



# Penny Vincenzi

*Niebywały skandal*

## BOHATEROWIE

Simon Beaumont, bankier

Elizabeth, jego żona, dyrektor zarządzający agencją reklamową Hargreaves, Harris & Osborne (H2O)

Annabel, Toby i Tilly, ich dzieci

Florian, fryzjer i najbliższy przyjaciel

Annabel Madison i Fallon, najlepsze przyjaciółki Tilly

Martin Dudley, prezes banku Simona

David Green, stary przyjaciel i kumpel z zagli Simona

Felicity Parker Jones, bliska znajoma Simona

Neil Lawrence, klient Elizabeth oraz ofiara firmy Lloyd's

Lucinda i Nigel Cowpernowie, małżeństwo z dobrych kręgów, mieszkające przy Cadogan Square

Eric i Margaret Worthingtonowie, rodzice Lucindy

Lydia Newhouse, sekretarka Nigela

Steve Durham, twardy adwokat Lucindy

Graham Parker, jej szef

Blue Horton, broker z City Charlie, jego najlepszy kumpel

Flora Fielding, imponująca wdowa

Richard Fielding, jej syn, nauczyciel

Debbie Fielding, żona Richarda

Alexander, Emma i Rachel, ich dzieci

Anna Carter, szefowa Debbie

Morag Dunbar, dyrektorka szkoły

Colin Peterson, właściciel firmy budowlanej

Joel Strickland, dziennikarz „Daily News”, specjalista od spraw finansowych

Hugh Renwick, jego redaktor naczelny

Catherine Morgan, młoda i ładna wdowa, ofiara firmy Lloyd's

Freddie i Caroline, jej dzieci

Phyllis i Dudley Morganowie, jej teściowie

Mary Lennox, opiekunka jej dzieci

Dominic Mays, najlepszy przyjaciel Freddiego w Londynie

Jane-Anne Price, najlepsza przyjaciółka Caroline na wsi

oraz jej bogaci i dobrze urodzeni rodzice

Mark Prices (z tytułem szlacheckim)

Patrick Fisher, wielbiciel Catherine

Jamie Cartwright, niezwykle atrakcyjny młody prawnik z Bostonu

Frances i Philip, jego rodzice

Kathleen, jego siostra i żona Joe'go

Bartholomew („Bif”), jego brat i mąż Dany

Gillian Thompson, nauczycielka gry na fortepianie oraz ofiara firmy Lloyd's

May Williams, jej sąsiadka

George Meyer, przywódca grupy występującej z roszczeniami prawnymi przeciwko Lloyd's

Fiona Broadhurst, adwokat

Tim Allinson, człowiek o rozmaitych zainteresowaniach i znajomościach

Robert Jeffries, biegły sądowy

# PROLOG

*SIERPIEŃ 1990*

Osoba, którą kochałeś najmocniej na świecie, popełniła samobójstwo. Była tak zrozpaczona, pogrążona w poczuciu tak kompletnej beznadziejności, że wydawało jej się to jedynym wyjściem.

Jak żyć ze świadomością, że nawet ty nie byłeś w stanie przynieść jej jakiegokolwiek pociechy?

Mimo wiedzy, że nie była to bezpośrednio twoja wina, że odpowiedzialność za tę tragedię złożyć można u drzwi tego lśniącego, futurystycznego gmachu w samym centrum londyńskiego City, nadal dręczyć cię będą wyrzuty sumienia; będą nękać cię w każdej godzinie każdego dnia, aż do końca życia.

To oczywiście nie pierwsza taka śmierć i nie ostatnia. Ludzi zawsze kusiała obietnica pozornie całkowicie wolnego od ryzyka bogactwa, składana przez przedstawicieli firmy rezydującej we wspomnianym budynku, iluzja stylu życia opartego na pięknych domach, kosztownych szkołach dla dzieci oraz wszystkich przyjemnościach związanych z posiadaniem dużego majątku, z czasem odkryli jednak, że gmach ich marzeń zbudowany został na ruchomych, choć rzeczywiście złotych piaskach. Obietnica nie była zresztą słowem bez pokrycia, ponieważ bazowała na trzech wiekach sukcesów finansowych. Jednak przez pewien okres w tych burzliwych latach pod koniec tak zwanej dekady chciwości, obietnica, o której mówimy, była nie tylko pustym słowem, ale także przerażającą otchłanią bez dna - ginęły w niej nie tylko drogie domy i szkoły, lecz nawet zupełnie podstawowe kwestie życiowe, a dla wielu ludzi również duma, szacunek do samego siebie oraz, co chyba najważniejsze, nadzieja.

# CZEŚĆ PIERWSZA

## ROZDZIAŁ 1

22 KWIETNIA 1988,

RANEK

Nawet nie zamierzała myśleć o żadnym romansie.

Była to sytuacja, której nigdy nie mogłaby zaakceptować, nie tylko niemoralna i świadcząca o głębokim egoizmie, ale i bardzo niebezpieczna. Była mężatką, szczęśliwą żoną człowieka, którego kochała i podziwiała, w żadnym razie nie mogłaby złamać małżeńskiej przysięgi (ryzykując złamanie serca Nigelowi), rzucić na szalę swoje małżeństwo i całkowicie satysfakcjonujące życie. I tyle. A gdyby zadzwonił... Oczywiście nie zadzwoni, prawie na pewno, bo przecież był po prostu pijany i najprawdopodobniej w ogóle nie mówił poważnie, ale gdyby jednak zadzwonił, powie mu: „Nie, przykro mi, cieszę się, że miałam okazję cię poznać, ale jestem szczęśliwą mężatką i... No, jestem szczęśliwą mężatką i już”. To powinno wystarczyć. Na pewno. Zrozumie, co ona ma na myśli, może rzuci w odpowiedzi jakiś nieszkodliwy żart i na tym wszystko się skończy. A jeśli będzie musiała wytłumaczyć mu to jaśniej, to zrobi to, nie zawaha się. Powie mu, że było miło, ale na tym koniec. Możliwe, że zachowała się trochę nierozsądnie... No, szczerze mówiąc, zachowała się nierozsądnie, nie warto owijać tego w bawełnę. Ale nigdy więcej nie pozwoli sobie na taki błąd. Zresztą wszystkiemu winien jest szampan... A Nigel nic nie zauważył, na szczęście...

Nigel wszedł właśnie do sypialni z łazienki i podsunął mankiety koszuli, aby zapięła mu spinki. Jej palce były nietypowo niezgrabne i sztywne; winą za to także mogła obciążyć zbyt dużą ilość wypitego szampana, najwyraźniej miała kaca. I nagle, zupełnie niespodziewanie, uważnie popatrzyła na Nigela, tak uważnie, jakby widziała go pierwszy raz w życiu. Czy Nigel naprawdę, jak nieuprzejmie wyraził się TAMTEN, był karykaturą? Szczerze mówiąc, chyba miał trochę racji... Nigel rzeczywiście uosabiał absolutnie wszystkie cechy Anglika z klasy wyższej: wysoki, jasnowłosy (no, na skroniach lekko posiwiały), bardzo szczupły, dość przystojny, doskonale ubrany - koszula z firmy Turnbull & Asser, garnitur w dyskretne prążki, buty od Lobbasa. (ON także nosił buty od Lobbasa... „To jedyna rzecz w dobrym stylu, jaką mam - powiedział. - Z przyjemnością wchodzę do sklepu i każę sprzedawcom pokazywać mi wszystkie modele”).

- Lucindo, skup się, skarbie, nie mogę stać tutaj cały dzień!
- Przepraszam... No, gotowe...
- Dziękuję. Zjesz jakieś śniadanie?
- Och, chyba nie... - Na samą myśl o jedzeniu robiło jej się niedobrze.

- Mam nadzieję, że nie przesadzasz z dietą, co?

- Oczywiście że nie! Chyba wystarczy na mnie spojrzeć!

- Moim zdaniem wyglądasz znakomicie. Nie wiem jak ty, ale ja jestem głodny. Na tej wczorajszej imprezie nie było zbyt dużo do jedzenia, prawda?

- Nie było, masz rację... O, Boże, zrobiło się późno, nie zauważyłam...

Dzisiaj w żadnym razie nie mogła spóźnić się do pracy. Pracowała w wydawnictwie Peter Harrison, jako sekretarka Grahama Parkera, jednego z redaktorów, który właśnie dziś miał ważne spotkanie z jakimiś Amerykanami. Amerykanie, jak to oni, zaproponowali godzinę ósmą rano. Grahamowi cudem udało się przesunąć spotkanie na dziewiątą, ale Lucinda musiała być w biurze sporo wcześniej, aby zaparzyć kawę, przygotować ciasteczka i przywitać gości promiennym uśmiechem. Zapowiadał się ciekawy dzień.

Lucindzie od początku bardzo się podobał towarzyski aspekt jej pracy. W wydawnictwie zawsze coś się działo - promocje książek, imprezy marketingowe, konferencje w dziale sprzedaży, spotkania z dziennikarzami... Pracowała tam od roku i miała nadzieję, że pewnego dnia sama zostanie redaktorem, ale jej ambicje nie były do końca szczerze, nie zamierzała bowiem wracać do pracy po urodzeniu dziecka. Pracujące matki - to jedno ze zjawisk, których nie akceptowała. Pragnęła stać się podobna do swojej matki, która zawsze była w domu i stawiała dzieci na pierwszym miejscu. No, dobrze, Lucindo, nie myśl o tym teraz, skarciła się surowo. Musisz zdążyć do pracy.

Spojrzała w wiszące w holu lustro i spróbowała zobaczyć siebie JEGO oczami: szeroka spódnica do połowy łydki (Laura Ashley), niebieska bluzka koszulowa z postawionym kołnierzykiem (Thomas Pink), perły, które dostała na dwudzieste pierwsze urodziny, granatowa pikowana kamizelka, pantofle na płaskim obcasie (Charlie Jourdan), jasne włosy podtrzymywane aksamitną opaską.

Nie mogła MU się podobać, nie ma mowy. W jego guście były ostre dziewczyny w krótkich spódniczkach i w zakietach z dużymi poduszkami, z tapirowanymi włosami i wybujałymi ambicjami. Na pewno zdążył już o niej zapomnieć i nie zadzwoni, skądże znowu... Kiedy stała tak w holu, sprawdzając, czy ma portfel i klucze, przez otwór skrzynki pocztowej w drzwiach do środka wpadło kilka listów. Dwie ładne koperty, na pewno z zaproszeniami, jakiś rachunek, pocztówka z Verbier od grupki znajomych, z którymi chciała pojechać na narty, a Nigel nie, i list z firmy Lloyd's. Lloyd's of London. Biała jak śnieg koperta, jedna z tych, które przychodziły raz w roku, w środku był wydruk stanu ich konta, a w jakiś czas później do domu docierał czek na dużą kwotę. Nigel był Członkiem Lloyda - była to jedna z rzeczy, które szczególnie ucieszyły ojca Lucindy, gdy przed ich zaręczynami odbył z przyszłym narzeczoną małą pogawędkę.

- Ma nie tylko tę ogromną posiadłość w Norfolk, ale jest także Nazwiskiem, a to doskonale zabezpieczenie na przyszłość, moja droga...

Jeden z wujów Lucindy także był Członkiem, i to ważnym.

Parę lat temu Lucinda usłyszała, jak jej matka rozmawiała o tym z ojcem, i zapytała ją, co to właściwie znaczy.

- Stajesz się kimś w rodzaju biernego współnika - wyjaśniła nieco mętnie Margaret Worthington. - Lloyd's ubezpiecza duże obiekty, na przykład statki i budynki, i robi na tym spore pieniądze. Kiedy jesteś Nazwiskiem, masz pewien udział w tych dochodach.

- A jeśli statek zatonie?

- Lloyd's zarabia wystarczająco dużo, aby pokryć ewentualne straty i wyjść na swoje. Zapytaj tatę, jak to dokładnie wygląda, bo ja nie do końca rozumiem te procedury. Wiem tylko, że twój wuj dzięki dochodom z Lloyd'sa opłaca chesne wszystkich twoich kuzynów...

Wtedy nie brzmiało to aż tak interesująco, aby Lucindzie chciało się dalej drążyć temat, teraz wiedziała jednak, że coroczne wpływy z Lloyd'sa stanowią poważną pozycję w dochodach jej i Nigela. Oczywiście te pieniądze nie były im koniecznie potrzebne, bo pensja Nigela jako prezesa rodzinnej firmy całkowicie im wystarczała, poza tym Nigel miał spory pakiet akcji giełdowych, ale dodatkowa suma na pewno im się przyda, kiedy postanowią przenieść się na wieś i kupić dom.

Planowali, że zrobią to, gdy tylko zostaną rodzicami. Nie chcieli przeprowadzać się do Norfolk, bo tamtejsza posiadłość znajdowała się za daleko od Londynu, zresztą Nigel zupełnie nie widział się w roli farmera, ale nie zamierzał też spędzić reszty życia w Londynie. Lucinda rozumiała go i popierała - sama wychowała się na wsi i uwielbiała swój rodzinny dom.

- Gdzie mieszkałaś w dzieciństwie? - zapytał ON poprzedniego wieczoru. - Pewnie w jakiejś kupie kamieni na wsi, mam rację?

- No, może nie w kupie kamieni, ale w całkiem ładnym domu - odparła. - Mieszkałam w Gloucestershire, niedaleko Cirencester.

- Naprawdę? I miałaś kucyki, co?

- Tak. Rzeczywiście miałam kucyka...

- Jakież to urocze! Sam urok, bez dwóch zdań! Chciałbym, żeby moje dzieci też miały takie dzieciństwo, z kucykami i szkołą z internatem. Uczylaś się w szkole z internatem, tak?

- Tak, od trzynastego roku życia.

- I podobało ci się tam?

- Raczej tak... Oczywiście z początku okropnie tęskniłam za domem i moim kucykiem... No i za mamą i braćmi...

- Twoi bracia pewnie też byli w szkole z internatem? W Eton, Harrow albo jakiejś takiej, prawda?

- Och... Tak, byli w Eton...

- A twój mąż? Też absolwent Eton?

- Tak...

Właśnie wtedy powiedział, że Nigel jest karykaturą. I... Och, przestań już, Lucindo! Przestań o tym myśleć!

Zaczęła pośpiesznie otwierać koperty. Najpierw zaproszenia... Fantastycznie, zaproszenie na ślub Caroline! A to chyba charakter pisma Philippy (tak jest!) - świetnie, przyjęcie na wsi! I chrzest maleństwa

Sarah! I... O, cholera! Przez pomyłkę otworzyła list zaadresowany do Nigela... Oczywiście Nigel nie miałby nic przeciwko temu, w każdym razie tak sądziła. Zawsze powtarzał, że nie ma przed nią żadnych tajemnic. Przeprosi go po prostu i... No, wspaniale, teraz nie może wsunąć kartki z powrotem do koperty... Wyjęła arkusik, aby ponownie go złożyć, i nie zdołała oprzeć się pokusie. Nagłówek firmy Jackson & Bond, Agencji ds. Obsługi Członków, Lloyd's of London... I krótki list...

*Drogi Nigelu,*

*pomyślałem, że dobrze będzie uprzedzić Cię w kwestii ostatecznego stanu na koncie, ponieważ, zgodnie z moimi obawami, ubiegły rok zamykasz ze stratą. Nie jest to duża kwota, zaledwie kilka tysięcy funtów...*

Strata? Bardzo dziwne... Coś takiego nigdy się wcześniej nie zdarzyło. Lucinda nie miała pojęcia, ile tysięcy funtów agenci Lloyd'sa uważają za „niedużą kwotę”. Dziesięć, może więcej? Nie, chyba nie aż tyle! Tak czy inaczej, wiedziała, że operują bardzo dużymi sumami. Nigel na pewno będzie w stanie lepiej oszacować tę stratę. Porozmawia z nim o tym wieczorem.

Boże, jak późno! Musi pędzić. Zostawiła listy na stole w holu i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Mimo wcześniejszego postanowienia, znowu zaczęła myśleć o NIM i o poprzednim wieczorze. Nigdy dotąd nie spotkała kogoś takiego. Poznała go na przyjęciu z okazji wydania przez Grahama Parkera książki o rynkach finansowych tuż przed i po Big Bangu, tym niezwykłym dniu w październiku 1986 roku, kiedy to całkowicie skomputeryzowana giełda stała się dostępna dla wszystkich, tracąc wizerunek poletka uprawianego przez tradycyjnych maklerów dżentelmenów. Lucinda organizowała wszystkie imprezy działu wydawniczego i brała w nich udział; była to ta część pracy, która dawała jej chyba najwięcej satysfakcji. Lista gości wyglądała jak wydruk z finansowego Who's Who. Nigela zaproszono nie dlatego, że pracował w City (był prezesem dużej firmy produkcyjnej, założonej przez jego dziadka), ale dlatego, że posiadał duży pakiet akcji i Graham uprzejmie podsunął Lucindzie myśl, że tego rodzaju spotkanie mogłoby go zainteresować. Natomiast ON oczywiście pracował w City...

Należał do całkowicie nowego gatunku maklerów, twórców rynku, którzy wyszli nie ze słynnych prywatnych szkół, ale z londyńskiego East Endu.

- Jestem jednym z tych elektronicznych chłopców - powiedział z szerokim uśmiechem, kiedy napełniała mu kieliszek. - Kiedyś w City patrzono na nas niechętnym okiem, chyba że znaleźliśmy swoje miejsce i pokornie siedzieliśmy na zapleczu wielkich banków i firm... - Wyciągnął rękę. - Gary Horton, lepiej znany jako Blue... Miło mi cię poznać... - Zerknął na plaketkę na jej piersi. - Lucindo Cowper...

Nieprawidłowo wymówił jej nazwisko, co zdarzało się dosyć często i zawsze ją denerwowało.

- „W” w „Cowper” jest nieme - wyjaśniła rzeczowo.

- Och, rozumiem... - mruknął z lekkim rozbawieniem, mierząc ją bystrym spojrzeniem ciemnych oczu. - Naprawdę masz na imię Lucinda?

- Tak. Co w tym dziwnego?

- Sporo, w każdym razie tam, skąd pochodzę... Chodzi mi o to, że to raczej eleganckie imię, prawda? Poważnie eleganckie...

- No, sama nie wiem...

- Nie przypuszczam, żeby kiedykolwiek przyszło ci to do głowy, co? I pewnie nie znasz nikogo, kto nie należy do eleganckiego towarzystwa?

- Oczywiście że znam! - oświadczyła raczej bezradnie.

- Jasne, jasne... Na przykład szofera tatusia i sprzątaczkę mamusi?

- To chyba niezbyt uprzejma uwaga. Przepraszam, ale muszę już...

- To ja przepraszam - przerwał, wyciągając rękę i zatrzymując ją. - Nie powinienem był tego mówić, przepraszam. Po prostu interesuje mnie cała ta otoczka, Eton, kucyki i tak dalej, chociaż właściwie nie wiem, dlaczego... Może dlatego, że nie rozumiem, jak im - wam - udało się ta sztuczka...

- Co masz na myśli? - spytała, zaciekawiona wbrew samej sobie.

- Jak udało się wam przetrwać tak długo... Ostatecznie większość dinozaurów wymiera, prawda? O, cholera, znowu powiedziałem coś nieuprzejmego, tak?

- Tak, bardzo - rzuciła chłodno.

Nie była w stanie zbyć go uśmiechem. Poszukała wzrokiem Nigela, podeszła do niego i dołączyła mu wina.

- Wszystko w porządku? - zagadnęła. - Masz z kim rozmawiać?

- Tak, naturalnie! Świetne przyjęcie, Lucindo, dobra robota!

Uśmiechnął się do niej pogodnie. Umiał cieszyć się życiem i była to jedna z jego najprzyjemniejszych cech. Cieszył się swoją pracą i życiem towarzyskim - chociaż niektóre z rozchichotanych przyjaciółek Lucindy trochę go irytowały - grą w tenisa i polowaniami. Prawie zawsze miał dobry nastrój, niezwykle rzadko bywał z czegoś niezadowolony. Był sporo starszy od niej - miał czterdzieści dwa lata, a ona dwadzieścia cztery - ale różnica wieku nigdy nie stanowiła dla niej problemu. Wręcz przeciwnie, czuła się bezpiecznie u boku starszego męża.

Była pochłonięta rozmową z jednym z redaktorów, kiedy Blue Horton znowu pojawił się w pobliżu.

- Posłuchaj... - rzekł, zaczekawszy cierpliwie, aż redaktor się oddalił. - Chciałem cię tylko przeprosić. Często mówię nie to, co należy, taki już mam dar i, niestety, niewiele mogę na to poradzić...

- Nic nie szkodzi - odparła. - Przepraszam, ale teraz muszę zamienić parę słów z... Jak ich nazwałś? Ach tak, z dinozaurami...

- Nie, nie odchodź! - położył rękę na jej ramieniu. - Proszę... Poniosło mnie między innymi dlatego, że zrobiłaś na mnie wielkie wrażenie...

- Wielkie wrażenie? Ja?

- Tak... Jesteś tak cholernie śliczna... Po prostu kompletnie się zapomniałem... Zagapiłem się na ciebie i...

Lucinda poczuła, jak rumieniec pełźnie po jej szyi i ogarnia policzki.



- Nie bądź śmieszny...

- Nie żartuję! Jestem nieśmiałym, niezbyt wymownym facetem...

- Teraz naprawdę się wygłupiasz... - Nie zdołała powstrzymać uśmiechu. - Jesteś równie nieśmiały jak... jak... - Usiłowała pomyśleć o kimś odpowiednio pewnym siebie. - Jak pani Thatcher...

- Ach, to dama, którą całym sercem podziwiam - rzekł, zupełnie ją zaskakując. - Cała ta sytuacja to jej zasługa. - Szerokim gestem ogarnął bankietową salę. - Tak jest... To ona uwolniła rynek, sprawiła, że wszystko stało się możliwe, że trzeba tylko ambicji i energii, aby osiągnąć, co się chce... Z każdym dniem coraz bardziej upodabniamy się do Stanów Zjednoczonych i naprawdę mi się to podoba. I chyba to próbowałem powiedzieć, kiedy mówiłem, że ludzie z waszej klasy przypominają dinozaury... - uśmiechnął się lekko. - Bo przecież wszystko się zmieniło, a wy nadal jesteście tacy jak dawniej i nadal dobrze sobie radzicie... To godne podziwu, słowo daję...

- No, niech będzie... - uśmiechnęła się w odpowiedzi. - Spróbuję przyjąć to do wiadomości...

- Doskonale! Więc jak długo jesteś mężatką?

- Trzy i pół roku.

- A dzieci? Macie dzieci?

- Nie. Jeszcze nie...

- Rozumiem... Gdzie mieszkasz? Zaraz, chwileczkę, nic nie mów - na pewno gdzieś w okolicy Sloane Square, trafiłem?

- Owszem... Mieszkam w krainie dinozaurów...

- Nie pozwolisz mi o tym zapomnieć, co? - Lekko unióśł brwi.

- Na to wygląda... Przepraszam, ale teraz naprawdę muszę trochę pokręcić się między ludźmi...

- Pójdę z tobą.

- Blue... - przerwała nagle. - Dlaczego „Blue”, skoro masz na imię Gary?

- To przydomek - odrzekł. - Wszyscy je nosimy, a każdy został nadany z konkretnego powodu. Jeden z moich kumpli ma ksywkę „Luft”, od „Luftwaffe”, bo ma jasne włosy, niebieskie oczy i bardzo, ale to bardzo prawicowe poglądy. Jest też „Croydon”, ponieważ jego nazwisko brzmi „Sutton”, i „Harry”, czarnoskóry, dlatego „Harry”, jak Belfonte, i „Kermit”, który wygląda jak żaba. Dlaczego „Blue”? „Blue Buttons” - tak nazywano gońców, którzy obsługiwali piętro dawnej londyńskiej Giełdy. Przynosili herbatę i kawę maklerom, no i informacje, oczywiście. Często słychać było okrzyki: „Gdzie jest Blue?”, „Hej, Blue, chodź no tutaj!”. Przed Big Bangiem byłem jednym z Blue Buttons, zostałem nawet ich szefem. Dlatego ta ksywka przyłgnęła do mnie na dobre. Nie mam nic przeciwko temu, nie przeszkadza mi, a tobie?

- Nie, chyba nie... - powiedziała niepewnie.

- To dobrze. No, chodź, pokręćmy się trochę między ludźmi, skoro musisz to robić. Przedstaw mnie niektórym, co ty na to? I twojemu mężowi, jeżeli chcesz...

Nie przedstawiła go Nigelowi. Nie wydawało jej się, żeby był to szczególnie dobry pomysł, chociaż nie wiedziała, dlaczego właściwie tak uważa. Przez następne pół godziny Blue chodził za nią po sali z bu-

telką szampana, aby mogła napełniać kieliszki gości. Potem nagle znalazła się razem z nim w malutkiej kuchence, sam na sam. Większość ludzi już sobie poszło, a pracownicy firmy cateringowej pakowali kieliszki i szklanki.

- Zjesz ze mną lunch któregoś dnia? - zagadnął niespodziewanie.

- Nie - odparła, mocno wstrząśnięta. - Oczywiście że nie!

- Dlaczego „oczywiście”?

- To chyba jasne...

- Nie bardzo...

- Panie Horton... - zaczęła zdecydowanym tonem, oddzielając puste butelki od pełnych. - Jestem... Jestem mężatką, przecież pan wie...

- A mężatki nigdy nie jadają lunchu z dżentelmenami? To taka reguła?

- Nie... Nie, to nie tak...

- Nie tak, czyli jak?

- Wie pan, że... - przerwała. - Doskonale rozumie pan, o co mi chodzi... Doskonale...

- Nie.

- To nieprawda! Och, to idiotyczne...

- Tak - przyznał. - Troszeczkę...

Pochylił się i pocałował ją. Prosto w usta. Lekko, przelotnie, ale to wystarczyło, aby obudzić w niej najbardziej niezwykle uczucia i wrażenia. Cofnęła się gwałtownie i popatrzyła na niego - uśmiechał się. Mimo ogromnego zmieszania zauważyła, że ma wyjątkowo ładne zęby. Nie był zbyt wysoki, tylko trochę wyższy od niej (była w czółenkach na obcasach). Miał krótko ostrzyżone ciemne włosy, ciemnobrązowe oczy, długie, prawie dziewczęce rzęsy, zupełnie prosty nos i dość szerokie usta (a w nich te piękne zęby). Nie był gruby, tylko bardzo solidnie zbudowany, szeroki w ramionach, z dużymi dłońmi i stopami. Tryskał energią, bez przerwy się poruszał. Było to dziwnie pociągające.

Pocałował ją znowu, tym razem odrobinę dłużej. Poczula, że reaguje - jej wargi rozchyliły się i lekko zadrżały. Było to straszne, przerażające...

- Przestań, proszę! - powiedziała. - Naprawdę muszę już iść...

- W porządku - kiwnął głową. - W porządku... Zadzwoń do ciebie za parę dni, żeby sprawdzić, czy nie zmieniłaś zdania. Nie poddam się łatwo. Do widzenia, Lucindo!

I już go nie było.

Myśląc o nim teraz, o tym, jak głęboki niepokój wywołał w jej sercu i jaki był zabawny, miły w gruncie rzeczy, kompletnie zapomniała o liście od agentów firmy Lloyd's.

W sali operacji banku McArthur's Blue Horton pochłaniał bułeczkę z bekonem i opowiadał swojemu najlepszemu przyjacielowi Charliemu, że poznał dziewczynę, z którą chce się ożenić.

- Naprawdę? Czym się zajmuje?

- Pracuje w wydawnictwie. A jej mąż jest...

- Jej mąż?! Blue, nie wydurniaj się, stary! Nie zamierzasz chyba pakować się w romans z mężatką?!

- To rewelacyjna dziewczyna, Charlie! Elegancka, naprawdę z klasą, wiesz, jak imponują mi takie rzeczy, i na dodatek piękna! Blondynka z niebieskimi oczami, nogi jak u konia wyścigowego i bardzo, bardzo miła. Nie masz pojęcia, jaka jest seksowna. Pewnie nigdy nikt nie przeleciał jej jak należy, a ja mógłbym jej to zapewnić, nie? Nie tyle mógłbym, co po prostu zamierzam to zrobić, i tyle!

- Zwariowałeś - oświadczył Charlie. - Jeśli pójdziesz tą drogą, narobisz sobie mnóstwo kłopotów, zobaczysz. Zresztą, jeżeli dziewczyna ma trochę oleju w głowie, nie pozwoli ci na to.

- Chyba nie jest szczególnie bystra - mruknął Blue. - I na to liczę. Powiem ci jedno, wpadłem jej w oko, jestem tego pewny.

Elizabeth Beaumont powoli zaczynała wpadać w obsesję na punkcie swoich ramion. Była absolutnie świadoma, że to absurdalna obsesja; jej życie obfitowało w wiele innych tematów, które mogły stać się powodem obsesji, jak chociażby kariera zawodowa, stosunki z mężem i z najstarszą córką, ale ona ciągle wracała do swoich ramion. Była to jedyna część jej ciała, nad którą najwyraźniej nie była w stanie zaplanować. Resztę potrafiła poskromić z pomocą osobistego trenera, siłowni oraz narzuconej sobie żelaznej dyscypliny; umiała ćwiczeniami ujędrnić mięśnie brzucha do tego stopnia, że był idealnie płaski (kto by pomyślał, że nosił trzy cięższe), sprawić, aby pośladki były twarde i sprężyste, a uda wolne od cellulitu, chociaż kilka przyjaciółek powiedziało jej, że efekty te zawdzięcza raczej swojemu szczęściu niż tym wszelkim pomysłom. Piersi miała małe, a co za tym idzie, nadal dość jędrne. Jednak jej ramiona - zwłaszcza nad łokciami - zaczynały wiotczeć. Tego ranka, po serii ćwiczeń w siłowni, włożyła top bez rękawów, czarny, doskonale pasujący do czerwonego kostiumu, i natychmiast się zorientowała, że popełniła błąd i chyba w ogóle nie zdejmie w pracy zakietu. Stanowiło to pewien problem, bo w sali konferencyjnej zawsze było gorąco, a jej kostium z grubego jedwabiu był dość ciepły. Och, na miłość boską, Elizabeth, dajże spokój, pomyślała, sięgając po torbę. Nie powinnaś myśleć o swoich ramionach, czeka cię ważne spotkanie.

Spotkanie mogło okazać się najeżone niespodziankami. Elizabeth czekała dyskusja z dyrektorem finansowym agencji, którego niepokoiła zbliżająca się prezentacja dla jednego z głównych klientów, firmy Hunters, wielkiego producenta bezrecepturowych specyfików medycznych oraz kosmetyków, a także poważnego reklamodawcy. Wyszła z domu, wsiadła do czekającej przed wejściem taksówki i skupiła całą siłę swego błyskotliwego umysłu na zadaniu, które ją czekało. Piastowała bardzo ważne i odpowiedzialne stanowisko. Była dyrektorem zarządzającym jednej z wiodących londyńskich agencji reklamowych, Hargreaves, Harris & Osborne, znanej w kręgach biznesowych jako H2O. Jej szef nazwał ją kiedyś uosobieniem cech i stylu życia kobiety lat osiemdziesiątych - Elizabeth była zamożna, miała troje wspaniałych dzieci, przystojnego, uroczego męża i robiła wielką karierę. Tym komplementem sprawił jej ogromną przyjemność. Elizabeth uwielbiała swoją pracę, z niesłabnącym entuzjazmem zachęcała pracowników do osiągnięcia coraz lepszych rezultatów i lubiła nawet torować sobie drogę pochlebstwami, jeśli uważała je za niezbędne. Z satysfakcją korzystała ze swojej wysokiej pensji, nie tylko dlatego, że dzięki niej mogła zaspoko-

koić swoje zachcianki, ale także z powodu wszystkiego, co symbolizowały te pieniądze - sukces oraz znaczący udział w tej dziedzinie życia zawodowego, którą tradycyjnie zdominowali mężczyźni.

Patrząc na tę sytuację z zewnątrz, każdy musiał podziwiać kobietę sukcesu, pewną siebie, obsypywaną w pełni zasłużonymi komplementami i bez reszty panującą nad swoim życiem; tymczasem z wewnątrz na świat patrzyła nieśmiała, nerwowa Elizabeth. Ta druga, prawdziwa Elizabeth była w pełni świadoma, że osiągnęła tylko pozorny sukces. I jej ramiona zdawały się idealnym odbiciem tego stanu rzeczy.

Simon Beaumont nigdy nie zazdrościł żonie sukcesów, ani odrobinę, wręcz przeciwnie, był z niej bardzo dumny. Oczywiście nie bez znaczenia było to, że sam sporo osiągnął - zajmował stanowisko dyrektora i członka zarządu Graburn & French, banku handlowego, i spędzał całe dni w fascynującym świecie globalnego rynku giełdowego, zarządzając pakietami akcji prywatnych klientów. Łączył łagodny, pełen uroku sposób bycia z błyskotliwą inteligencją oraz zdumiewającym instynktem finansowym i był znaną postacią w City, poszukiwanym partnerem rozmów i dyskusji. Jego zajmującym podobne stanowiska kolegom nigdy nie przyszłoby do głowy, aby zrobić to, co Simon zamierzał zrobić tego ranka, a mianowicie odwiedzić najstarszą córkę do szkoły przed zaczynającym się za dwa dni letnim semestrem. Simon wiele razy zajmował się też innymi, niewyobrażalnymi dla jego znajomych sprawami - sam (bez żony) zjawiał się na szkolnych przedstawieniach i koncertach kolęd, przychodził na wywiadówki i spotkania z rodzicami, a nawet raz czy dwa czuwał przy chorych dzieciach, kiedy ani niania, ani gospodynie nie miały czasu, Elizabeth zaś musiała stawić się na bardzo ważne biznesowe spotkanie. Żony ich wspólnych przyjaciół i znajomych zachwycały się nim z tego powodu i powtarzały Elizabeth, że nie ma pojęcia, jaką jest szczęściarą. Simon obawiał się, że Elizabeth faktycznie nie do końca zdaje sobie z tego sprawę, ale zachwyty przyjmował dość chętnie. Lubił kobiety - ich obecność w jego życiu stanowiła podstawowy warunek szczęścia i uczucia zadowolenia, taki sam, jak zdrowie, praca, świetne wina, którymi napełniał swoje piwniczki, dwa piękne domy, jeden w Londynie, drugi w Sussex, długie dni spędzane na żaglówce „Lizzie” oraz dzieci, na punkcie których był zupełnie zwariowany. Flirtował z kobietami i czarował je, a nawet plotkował z nimi (wszyscy wiedzieli, że Simon Beaumont potrafi dochować tajemnicy) i płał się w ich pełnych podziwu spojrzeniach. Uwielbiał też towarzystwo Elizabeth - wtedy, gdy pozwalała mu się nim cieszyć.

Tego ranka odwoził do szkoły z internatem Annabel, najstarszą córkę. Obowiązek ten był dla niego prawdziwą przyjemnością, ponieważ dawał mu możliwość przyjrzenia się i dziewczętom, i ich matkom.

Mogę być dumna z takiego ojca, pomyślała Annabel, gdy Simon stanął w drzwiach jej sypialni. Był bardzo przystojny, wysoki i szczupły, nadal miał gęste włosy, choć trochę siwiejące, i doskonale się ubierał. Tego ranka miał na sobie świetny jasnoszary garnitur i bardzo eleganckie buty.

Dobrze było mieć ojca, którego w żadnych okolicznościach nie trzeba się wstydić. Kiedy patrzyła na ojców niektórych swoich przyjaciółek, brzuchatych, łysiejących, czasami ubierających się absolutnie ohydnie, zwłaszcza na weekendowe spotkania, zastanawiała się, jak mogą to wytrzymać.

Matka Annabel też zawsze wyglądała bardzo dobrze, może dlatego, że pracowała i wiedziała, co, jak i dlaczego. Annabel z niej również była dumna, i to ogromnie. Oczywiście we wczesnym dzieciństwie

żałowała, że Elizabeth nie spędza więcej czasu w domu, ale ten etap rozwoju zostawiła już daleko za sobą i jej stosunki z matką układały się o wiele lepiej niż wielu jej koleżanek - były dojrzsze i naprawdę przyjacielskie.

- No, chodź, bo inaczej sporo się spóźnimy! - Głos Simona brzmiał mniej spokojnie niż zazwyczaj.

- Najwyżej! - odparła Annabel. - Nie mogę znaleźć jednego eseju. Wiem, że przywiozłam go do domu, a teraz zniknął...

- Pracowałaś nad nim? Więc może jest na twoim biurku? - Ojciec wyraźnie starał się nie okazywać zdenerwowania.

Boże, ależ był zestresowany... Oboje byli zestresowani.

- Przerzuciłam wszystkie papiery na biurku, tato, to chyba jasne! I tak, pracowałam nad tym esejem! Wcale nad nim nie pracowała; była zbyt zajęta spotkaniami z przyjaciółmi, rozrywkami i imprezami.

- Może ja poszukam, co? Czasami świeże spojrzenie...

- Nie - przerwała mu.

Nie chciała, żeby grzebał w jej biurku. Trzymała tam swoje pigułki. Oczywiście świeże opakowanie miała w torbie, ale w szufladzie biurka były ze dwa puste, które ciągle zamierzała wyrzucić. A opakowanie po tabletkach antykoncepcyjnych nie jest czymś, co wrzuca się do kosza na śmieci w rodzinnym domu...

- W porządku, ale skoro nie możesz znaleźć tego eseju, będziemy musieli jechać bez niego, bo spóźnisz się na pociąg. Później rozejrzę się tutaj i wyślę ci go, co ty na to?

- Tato, wiem, że ta praca gdzieś tu jest... Daj mi tylko pięć minut, dobrze? Poza tym zawsze mogę złapać późniejszy pociąg...

- Musisz jechać szkolnym pociągiem, skarbie! Za dwie godziny mam bardzo ważne spotkanie i...

- Przecież mogę sama pojechać na dworzec! Mam szesnaście lat, na miłość boską! Umiem zamówić sobie taksówkę, kupić nowy bilet i sprawdzić w rozkładzie jazdy, o której mam następny pociąg!

- Szesnaście lat skończysz dopiero za trzy tygodnie, a ja chcę, żebyś bezpiecznie wsiadła do pociągu. - Simon lekko zmarszczył brwi. - Powinnaś była spakować się wczoraj wieczorem, to idiotyczne!

- Masz rację, przepraszam... - Annabel podeszła do ojca i pocałowała go. - Wczoraj wieczorem byłam okropnie zajęta...

- Zajęta? - uśmiechnął się, niezdolny długo się na nią denerwować, o czym doskonale wiedziała. - Hmm... Tą imprezą, z której wróciłaś dopiero po północy?

- To była moja ostatnia szansa przed powrotem za kraty, przecież wiesz...

- Dobrze, już dobrze! Więc co robimy?

- Ty zaczekasz chwilę, a ja poszukam eseju. Jeżeli nie znajdę go w ciągu pięciu minut, pojedziemy na dworzec, obiecuję. Daj mi tylko pięć minut spokoju, błagam, w pojedynkę działam znacznie skuteczniej...

Miała rację, naturalnie. Kiedy tylko wyszedł z pokoju, przypomniała sobie, gdzie położyła esej - w swojej łazience, na półce z gazetami. Przeglądała go dwa dni wcześniej, czekając, aż wanna napelni się wodą, i zastanawiała się, co z nim zrobić. Po czym, jak zwykle, nie zrobiła nic... Teraz chwyciła niedokończoną pracę, wepchnęła kartki do skórzanej torby i wybiegła do holu.

- Jestem gotowa!

- Świetnie, w takim razie jedziemy... Masz jeszcze jakiś bagaż?

- Nie, nie lubię podróżować ze stosem walizek. Mam tylko jedną, tę, którą już włożyłeś do bagażnika.

- Dzwoniłaś do mamy?

- Dzwoniłam... No chodź, jedźmy już!

Na stole w holu leżał stos listów, pozostawiony tam przez Josie, portugalską gosposię.

- Chcesz przejrzeć pocztę? - spytała Annabel.

- Słucham? A, może rzeczywiście... Weź ją do samochodu, dobrze, kochanie? - Simon zatrzaskał drzwi i zbiegł po schodach przed Annabel. - Dzień dobry, Carter! Jedziemy na Paddington Station, a później do biura! Tu jest torba Annabel...

Annabel wtuliła się w kąt przy drzwiach. Spojrzała na dom, potem na przeglądającego listy ojca. Poprzedni dzień był bardzo przyjemny, wszyscy świetnie się bawili. Nie żałowała nawet, że została z całą rodziną na kolacji. Oczywiście trochę szkoda sobotniego wieczoru, ale Toby był w świetnej formie, w ogóle brat był z niego całkiem w porządku, a Tilly jak zwykle była słodka i śliczna jak laleczka.

- Wszystko w porządku, tato? - zapytała, ponieważ Simonowi wyrwało się nagle ciche przekleństwo.

Popatrzył na nią dziwnie, zanim w końcu przywołał na twarz słaby uśmiech.

- Przepraszam cię, kochanie... Tak, wszystko w porządku...

Nie wyglądał na człowieka, któremu nic nie jest. Twarz miał zaczerwienioną, chyba coś go zdenerwowało.

- Na pewno?

- Tak, tak, po prostu właśnie przypomniałem sobie, że powinienem coś załatwić, to wszystko...

Wsunął list z powrotem do koperty. Annabel nie zdążyła zobaczyć nawet fragmentu, ujrzała tylko duży nadruk „Lloyd's of London” u góry kartki. O firmie Lloyd's wiedziała tylko tyle, że działa w City. Cóż, skoro chodziło o sprawy biznesowe, to na pewno nie było to nic poważnego. Annabel miała absolutne zaufanie do ojca i jego zdolności zarządzania całym światem, a przynajmniej londyńskim City.

Po chwili byli już na parkingu przy dworcu Paddington, tuż przed nimi zatrzymała się matka Mirandy. Annabel zajęła się wyjmowaniem swojego bagażu i zapewnianiem ojca, że nie musi odprowadzać jej na peron. Uściskała Simona, powiedziała mu, że bardzo go kocha, pożegnała się z Carterem i razem z Mirandą ruszyła w stronę wejścia, przez ramię posyłając ojcu całusy i machając ręką. I natychmiast zapomniała o rzadkiej u niego chwili zdenerwowania, której była świadkiem.

- Jedz śniadanie, Emmo, bardzo proszę! Nie chcesz chyba spóźnić się do szkoły...

Debbie Fielding wypowiadała te słowa codziennie rano, dokładnie o tej samej porze (8.15). Później mówiła: „Dobrego dnia, chłopcy!”, do Aleksa i Richarda, parę minut wcześniej zęgnęła ich pocałunkiem (8.05), o 8.40 zaś tłumaczyła Rachel, że naprawdę trzeba iść do przedszkola.

Czasami przychodziło jej do głowy, że równie dobrze mogłaby nagrać to wszystko i puszczać codziennie rano (oczywiście poza całusami), bo przecież i tak prawie nie zwracali uwagi na jej słowa. Richard uśmiechał się i dziękował, to prawda, i wkładał Aleksowi czapkę na głowę, lecz Alex tylko zarzucał sobie tornister na plecy, Emma dalej nie jadła śniadania, a Rachel codziennie z tym samym uporem powtarzała, że wcale nie chce iść do tego głupiego przedszkola. Mimo tych wszystkich zawirowań mniej więcej o 9.30 Debbie była już z powrotem w domu, całkiem sama, jeśli nie liczyć psa i kota.

Była to jej ulubiona pora dnia. Na parę godzin miała dom wyłącznie dla siebie, nikt nie kłócił się z nią, nikt o nic nie prosił ani nie mówił, że powinni o czymś porozmawiać (to ostatnie było specjalnością Richarda - zwykle zaczynał poważne rozmowy w chwili, gdy Debbie, nieprzytomna ze zdenerwowania, usiłowała wypchnąć Emmę na lekcję baletu, Aleksa na zajęcia judo albo po prostu wyciągnąć Rachel z wanny).

Kiedy rano wracała do domu, brała długą kąpiel. Wiedziała, że to prawdziwa ekstrawagancja, jeśli chodzi o czas, ale dzięki temu rytuałowi mogła pozostać przy zdrowych zmysłach. Właściwie nie była pewna, dlaczego tak trudno było jej zachować opanowanie i kontrolę nad sytuacją; często powtarzała, że gdyby w Wielkiej Brytanii przyznawano nagrodę dla najnudniejszej rodziny, ona i jej najbliżsi bez wątpienia by ją zdobyli. Trójka dzieci, jeden chłopiec i dwie dziewczynki, jeden kot, jeden pies, jeden samochód, dom na przedmieściach (Debbie uparcie twierdziła, że Acton to jeszcze nie przedmieścia, ale jedna z dzielnic, jakby na potwierdzenie tego faktu wyposażona w londyński kod pocztowy); ojciec rodziny - dyrektor lokalnej szkoły podstawowej, matka - w domu, redaktor miejscowej gazetki, wiceprezeska oddziału Planowania Rodziny.

Jak się to wszystko stało, zastanawiała się Debbie. Jak to możliwe, że ta Debbie, która jako pierwsza w swojej klasie próbowała wszystkiego, co nowe i zakazane, która pierwsza pojechała na festiwal muzyczny w Glastonbury w 1971 roku (miała wtedy szesnaście lat, wyjechała bez zgody rodziców i w rezultacie została ukarana miesięcznym „aresztem domowym”, ale nigdy tego nie żałowała), pierwsza przespała się z chłopakiem, pierwsza zaczęła zażywać tabletki antykoncepcyjne, pierwsza wypaliła skręta, a rankiem pierwszego dnia pracy jako goniec dla lokalnej stacji radiowej była tak podekscytowana, że dosłownie się porzygała - przeistoczyła się w tę nudną, przerażająco obowiązkową osobę? Jak to możliwe?

Egzaminy na koniec szkoły średniej zdała celująco i z liceum w Kent przeniosła się na uniwersytet w Birmingham, aby studiować na wydziale filologii angielskiej. Tu nie była już pierwsza we wszystkim, ale bardzo szczęśliwa, wreszcie uwolniona z agresywnie klaustrofobicznej atmosfery podmiejskiego domu, w którym była jedynym dzieckiem, i wpuszczona do raju podobnie myślących, poszukujących przyjemności rówieśników. Wstąpiła do Towarzystwa Dyskusyjnego i kilku jeszcze bardziej zabawnych sto-

warzyszeń oraz uczelnianych bractw, między innymi do Druidów, imprezowała jak szalona i o mały włos nie oblała egzaminów po pierwszym roku. Otrzeźwiona tym doświadczeniem oraz jednoznacznym ostrzeżeniem ze strony władz uczelni, że może zostać wyrzucona, jeśli nie zacznie osiągać lepszych wyników, zajęła się ciężką pracą, ograniczyła życie towarzyskie i zaczęła pisać artykuły dla „Redbrick”, studenckiej gazety.

Właśnie w tej spokojniejszej, bardziej odpowiedzialnej fazie uniwersyteckiego życia poznała Richarda Fieldinga, całkowite przeciwieństwo wszystkiego, co lubiła i ceniła - Richard był absolwentem prywatnej szkoły, średnio przystojnym, uprzedzająco grzecznym i absolutnie poczciwym chłopcem (to staroświeckie określenie pasowało do niego jak ulał), trochę snobem i „odrzutem” z Cambridge, jak sam mawiał, zupełnie jakby miało to jakiegokolwiek znaczenie. Studiował na wydziale anglistyki, podobnie jak Debbie, był błyskotliwie inteligentny i zdolny, no i uważany za prawie pewnego kandydata na pierwsze miejsce na liście najlepszych studentów. Debbie z coraz większym zaciekawieniem przysłuchiwała się jego wypowiedziom na zajęciach, w studenckich debatach oraz na obradach studenckich organizacji i po pewnym czasie odkryła, że ten chłopak naprawdę ją interesuje. Richard przeżywał wszystko bardzo intensywnie i był niezwykle poważny - to także intrygowało Debbie, przyzwyczajoną do chłopców, którzy na serio traktowali tylko seks, alkohol i inne tego rodzaju przyjemności. Potrafił ją również zaskoczyć - okazało się, że jest wielkim fanem rocka oraz dumnym właścicielem harleya davidsona. Kiedy siadała za nim na siodelku i mocno obejmowała go w pasie, a cały świat stawał się rytmicznie warczącym, rozmazanym obrazem, doświadczała prawie erotycznego podniecenia. Poszła z Richardem do łóżka już po drugiej randce. Nie był fantastycznym kochankiem, w porównaniu z kilkoma innymi chłopcami wydał jej się wręcz nudny, ale od początku poświęcił mnóstwo uwagi jej przyjemności i ze wszystkich sił starał się dać jej rozkosz, co Debbie uznała za prawdziwie rozczulające.

Pod koniec drugiego roku byli już uważani za stałą parę i w któryś weekend Richard przedstawił Debbie swoim rodzicom, którzy mieszkali na półwyspie Gower w południowo-zachodniej Walii, zdumiewająco pięknym miejscu, wśród dzikiej, niezanieczyszczonej przyrody. Po wrzosowiskach i łąkach biegały dzikie kuce, nad wzgórzami wisiały w powietrzu jastrzębie, a na wysokich nadmorskich klifach pasły się owce. Broken Bay House był ogromną rezydencją, zupełnie odizolowaną, wybudowaną na skałach, z których rozciągał się niewiarygodnie piękny widok na morze. Dom był rozłożysty i bardzo zimny, pełny poprzecieranych starych dywanów i chodników, przykrywających kamienne posadzki, pozapadanych kanap, wazonów z zasuszonymi kwiatami, kominków z wesoło trzaskającym, najprawdziwszym ogniem, które już na pierwszy rzut oka domagały się remontu. Kuchnia była jedynym przytulnym pomieszczeniem, ponieważ stał tu duży piec, dlatego do posiłków siadali właśnie tutaj, przy potężnym drewnianym stole, przy którym bez trudu mogłoby usiąść osiem czy dziesięć osób, zostawiając drugą połowę wolną, zasypaną listami, gazetami, książkami oraz katalogami dzieł sztuki i sprzętu rolniczego. Za domem rozciągał się ogromny ogród z warzywnikiem, zamieszkanym przez sporą populację kur, nieco dalej stała stajnia z trzema końmi i starym rollsem, któremu za garaż służył jeden z boksów. Debbie uznała, że Fieldingowie są



najwyraźniej bogaci i zachodziła w głowę, dlaczego nie założyli w domu centralnego ogrzewania. Polubiła Williama, ojca Richarda, przemiłego dżentelmena w starym stylu, natomiast Flora, matka jej chłopaka, budziła w niej przerażenie swoją wielką pewnością siebie. Flora nosiła długie, szerokie spódnice, obszerne bluzki koszulowe i bardzo duże swetry, a jej włosy zawsze opadały gęstymi falami, chociaż upinała je w węzeł na czubku głowy. Debbie traktowała bardzo miło, ale z lekką pobłażliwością. Dziewczyna czuła, że Flora uważa ją za osobę pospolitą.

- To bardzo ciekawe, naprawdę... - mawiała, kiedy Debbie odważała się wygłosić opinię na jakiś temat (co nie zdarzało się często).

Ton Flory świadczył wtedy niedwuznacznie, że sama ma zupełnie inne zdanie i że nigdy nie przyszłoby jej do głowy coś takiego. Richard był jedynym dzieckiem Flory i Williama.

- Pamiętasz to czy tamto? - pytała Flora, przypominając jakieś wydarzenie. - Świetnie było, prawda?

I Debbie od razu czuła się wykluczona z rozmowy, postawiona poza nawiasem przeżyć matki i syna. Wyjechała z Broken Bay House pełna niepokoju, czy może liczyć na udany związek z człowiekiem, którego życie tak bardzo różniło się od jej własnego.

Przed dyplomem postanowili zamieszkać razem. Po sześciu miesiącach pracy dla jednej ze stacji telewizyjnych, pracy, którą była zachwycona,

Debbie odkryła, że jest w ciąży. Był to rezultat beztróskiego weekendu poza miastem, na który zapomniała zabrać pigułki. Niezbyt długo zastanawiała się nad swoją potencjalną karierą w telewizji i prawie natychmiast doszła do wniosku, że jest zdumiewająco szczęśliwa. Zdecydowali się wziąć ślub.

I dopiero teraz, kiedy jej wiecznie poszukujący, niespokojny duch został oswojony przez życie rodzinne i rutynę, kiedy pozwoliła obsadzić się w roli dyrektora szkoły, spojrzała wstecz i uświadomiła sobie, jak bardzo się zmieniła. Tylko raz wyrwała się na wolność - razem z dwójką starszych dzieci przyłączyła się do kobiet, które w Greenham Common protestowały przeciwko rozmieszczeniu w lokalnych bazach wojskowych amerykańskich pocisków samosterujących Cruise, i po czterech dniach wróciła, zziębnięta i brudna, do dość zadowolonego z siebie Richarda. Tylko ten jeden, jedyny raz. To wszystko.

Leżąc w wannie, powtarzała sobie w pamięci, co ma tego dnia zrobić: przygotować lasagne na wieczorne spotkanie towarzystwa charytatywnego, napisać artykuł do miejscowej gazetki, odebrać Rachel z przedszkola i zawieźć ją na przyjęcie, odebrać Emmę i Aleksa ze szkoły (z dwóch szkół!), zawieźć Emmę do dentysty, a Aleksa na trening judo (przy okazji wymienić uprzejmości z wyniosłymi, nieprzyjaznymi matkami ich kolegów i koleżanek), podać wszystkim podwieczorek, dopilnować, żeby dzieci odrobiły lekcje (gorzko żałując, że Richard nie może zrobić przynajmniej tego, zamiast tkwić w swoim gabinecie nad jakimiś papierami) i umyły się, zagonić Rachel do łóżka, przebrać się, zabrać lasagne i wyjść, a wszystko to do 19.30. I od razu uświadomiła sobie, że w ciągu całego dnia nie ma ani chwili, aby przypuścić atak na wysoki mur czekających na wyprasowanie rzeczy, piętrzący się w pralni.

Wkładała właśnie szlafrok, kiedy zadzwonił telefon. Czekwała na wiadomość o niedawnej serii wła-  
mań od przewodniczącego Straży Sąsiedzkiej, co chciała umieścić w gazecie.

- Cześć, John! - zawołała do słuchawki.

Nie był to jednak niezwykle sympatyczny John Peters, ale Flora. Debbie nadal nie była swobodna,  
kiedy rozmawiała z Florą; w obecności teściowej czuła się gorsza, a co za tym idzie, przewrażliwiona na  
własnym punkcie i zamknięta w sobie.

Flora Fielding owdowiała przed pięciu laty, kiedy William niespodziewanie zmarł na zawał. Była  
zrozpaczona, lecz dzielnie radziła sobie z życiem, zdecydowanie odrzucając możliwość wyprowadzenia się  
z wielkiego domu, co zdaniem Richarda powinna była zrobić. Nadal jeździła konno i polowała. Wróciła  
nawet do fotografowania.

Robiła tylko czarno-białe zdjęcia i specjalizowała się w krajobrazach nadmorskich oraz architekту-  
rze. Nie dostawała wielu zleceń, nie miało to jednak żadnego znaczenia. Te, które otrzymywała, oraz uko-  
chane konie i aktywne życie towarzyskie wypełniały cały jej czas. Z całą pewnością nie miała żadnych  
kłopotów finansowych. William był świetnym, rozchwytywanym księgowym, miał spory majątek, odzie-  
dziczony po rodzicach, a na dodatek był Nazwiskiem w Lloyd'sie. Debbie wiedziała o tym wszystkim od  
Richarda. Nie bardzo rozumiała, na czym polega wyjątkowa pozycja Nazwiska w Lloyd'sie, słyszała jed-  
nak, że firma ta była czymś w rodzaju klubu dla bogatych snobów, a przynależność do tej „organizacji”  
dawała wymierne korzyści finansowe.

Flora uparła się, że będzie płacić za edukację dzieci.

- Naprawdę bardzo mi na tym zależy - oświadczyła, kiedy Alex kończył siódmy rok życia. - Wola-  
łabym, żeby nie chodziły do jakiejś bezsensownej szkółki, gdzie będą mogły oddawać się nieskrępowane-  
mu wyrażaniu swojej osobowości czy innym modnym bzduram. Z takiej szkoły wyniosą tylko okropny  
akcent, fatalną dykcję i brak podstawowych umiejętności, na przykład czytania.

Debbie nawet nie mogła wtrącić się do rozmowy, co mocno ją rozżłościło. Florze nie przyszło do  
głowy, że Richard jest dyrektorem takiej właśnie „bezsensownej szkółki” (oczywiście mógłby tego unik-  
nąć, gdyby udało mu się pokonać dwóch rywali i zdobyć stanowisko dyrektora szkoły prywatnej w Chi-  
swick).

- Najpierw odrzucili mnie w Cambridge, a teraz w Grange House - powiedział do Debbie, siląc się  
na kpiący ton. - Ciekawe, co dalej?

Debbie zapewniła go, że znacznie więcej będzie mógł zrobić dla dzieci i lokalnej społeczności w  
szkole St Luke's Junior; wolałaby, żeby i Alex tam właśnie się uczył. Nie znosiła świadomości, że Flora  
płaci za wykształcenie dzieci. Pociągało to za sobą wieczne uczucie zobowiązania i wdzięczności, a także  
prawo Flory do wtrącania się w tok nauki wnuków. Nie egzekwowała tego prawa często, ale czasami się  
upierała, żeby Alex i Emma robili ćwiczenia ortograficzne i matematyczne w samochodzie, co doprowa-  
dzało Debbie do ataków milczącej furii. Oczywiście dzieci robiły ogromne postępy i mniej więcej o rok

wyprzedzały swoich rówieśników ze szkół państwowych; Debbie starała się myśleć przede wszystkim o tym i obudzić w sobie szczerą wdzięczność dla Flory, czuła jednak tylko gorącą niechęć.

Flora nadal była piękna, wysoka i smukła, ze zburzonymi ciemnymi, kręconymi włosami. Dzieci uwielbiały jej towarzystwo, bardzo lubiły bawić się z nią w chowanego i wspinać po skałach i nadmorskich ścieżkach.

- Nie powinnaś ich rozpieszczać - mawiała Flora, kiedy Debbie martwiła się, czy nie spadną z wyjątkowo stromej skały albo czy się nie przeziębią, włączając w kaloszach do lodowato zimnego morza (w kwietniu, na miłość boską!). - Dzieci mają wrodzony instynkt przetrwania.

Debbie nie wyobrażała sobie, w jaki sposób wrodzony instynkt przetrwania, choćby najsilniejszy, może uchronić siedmioletnie dziecko od upadku z kuca albo porwania przez potężną falę, ale nie wolno jej było tego powiedzieć, bo to by rozdrażniło Richarda. Richard dorastał nad morzem, wśród skał i kuców, i podobało mu się, że dzieci mogą zdobywać te same doświadczenia, przynajmniej od czasu do czasu.

Flora robiła także i inne irytujące rzeczy, na przykład pozwalała dzieciom bardzo późno kłaść się spać.

- Zasady są po to, aby je łamać - powtarzała, lekceważąc prośby Debbie i podając kolację dla wszystkich o dwudziestej trzydzieści. - Dobrze im zrobi, jeśli usiądą do stołu z dorosłymi. Może przynajmniej czegoś się nauczą, zamiast beczynnie leżeć w łóżku...

Zdarzało się nawet, że po kolacji proponowała wnukom jeszcze partyjkę scrabble'a. Naturalnie, w czasie świąt i wakacji nie miało to większego znaczenia, ale dzieci były potem przemęczone, nadmiernie podekscytowane, kwestionowały ustalone przez Debbie reguły i bez przerwy się z nią sprzeczały.

A czasami Debbie żałowała po prostu, że dzieci darzą takim uwielbieniem Florę, a nie jej matkę; że to z nią chętnie rozmawiają przez telefon, że to u niej z wielką radością zostają na parę dni i proszą, aby mogły zostać jeszcze trochę... Niestety, jej matka była beznadziejną babcią. Wciąż wymawiała się od zaproszenia dzieci swoim artretyzmem albo wysokim ciśnieniem męża, i w ogóle nie potrafiła się z nimi bawić.

- Debbie, tu Flora - odezwała się Flora Fielding niskim, fascynującym głosem. - Co u ciebie?

- Wszystko w porządku - odparła Debbie, momentalnie czując, że czegoś nie dopilnowała (dzieci nadal nie napisały do babci listu z podziękowaniami za cudowne wakacje wielkanocne, a przecież wszyscy wrócili do domu już dziesięć dni temu). - A co u ciebie? Przepraszam, że dzieci jeszcze nie...

- Doskonale, dziękuję - przerwała jej Flora. - Naprawdę świetnie. Czy mogłabym porozmawiać z Richardem? Jest w domu?

Chwila milczenia.

- Och, jaka jestem głupia, na pewno pojechał już do szkoły! - podjęła.

- Tak, już pojechał - potwierdziła Debbie. - Możesz spróbować zadzwonić do niego w czasie przerwy na lunch, ale...

- Nie, nie, to nie jest aż tak pilne... Mogłabyś przekazać mu, żeby do mnie zadzwonił? O której zwykle wraca? Koło szesnastej, prawda?

- Tak... A może ja mogłabym ci jakoś pomóc?

Debbie zadała to pytanie wyłącznie po to, by natychmiast uświadomić sobie, że Flora zbędzie ją byle czym.

- Och, nie, nie, dziękuję... Nie, nie trzeba! Dziękuję ci, Debbie... Miło spędziliśmy Wielkanoc, prawda?

- Było po prostu wspaniale - powiedziała Debbie. - I jak już mówiłam, przepraszam, że dzieci... Ale Flora już odłożyła słuchawkę.

Debbie zrobiła okropną minę do telefonu i pomyślała, że czasami naprawdę czuje się jak służąca.

## ROZDZIAŁ 2

*22 KWIETNIA,*

*WIECZÓR*

Powinna powiedzieć o wszystkim Nigelowi. Upредить go, że wybiera się na lunch z jednym z maklerów z firmy McArthur's, który zadzwonił i zaprosił ją, a ona nie bardzo mogła odrzucić zaproszenie. Brzmiało to raczej głupio, ale zawsze mogła dodać, że Blue pomógł jej przy pracy nad książką o Big Bang i teraz... I teraz co? Chciał się dowiedzieć czegoś więcej o redagowaniu i wydawaniu książek? Mało prawdopodobne... Może jednak lepiej będzie nic nie mówić Nigelowi.

Doszła do wniosku, że pójdzie na lunch i na tym koniec. Nie, odwoła spotkanie i nie pójdzie. Albo...

- W ogóle słuchasz, co mówię, Lucindo!

- Och, przepraszam, Nigel.

Prawie się zezłościł, czy też raczej zirytował, bo Nigel nie wpadł w złość, kiedy się dowiedział, że otworzyła list z firmy Lloyd's. Lucinda nie była pewna, co właściwie było powodem jego irytacji. Chyba treść listu, która wyraźnie go poruszyła.

- Naturalnie to nic strasznego - oświadczył. - Stać nas na to... W gruncie rzeczy nie będzie nas to dużo kosztowało, bo mogę odpisać sobie tę stratę od podatku. To jedna z przyjemnych stron bycia Nazwiskiem w Lloyd'sie. Poza tym, jeśli weźmiemy pod uwagę, ile zarobili dla nas przez ostatnie lata...

- W takim razie wszystko w porządku, tak?

- Tak.

Popatrzyła na niego, nakładając na talerze lasagne.

- Więc czym się martwisz? - spytała.

- Nie martwię się, skądże znowu.

- Przecież widzę!

- Po prostu nie przyszło mi do głowy, że coś takiego może się zdarzyć, chociaż na pewno było to nieuniknione. Nie byłem na to przygotowany, bo przekonywano nas, że nie grożą nam żadne straty.

- Naprawdę? - Lucinda lekko uniosła brwi.

Czy jakkolwiek inwestycja może być tak absolutnie bezpieczna? Przecież wszystkie instytucje czasami przeżywają gorsze chwile i tracą pieniądze. Gdyby tak nie było, wszyscy inwestujący byłiby potwornie bogaci.

- Ale chyba jednak ostrzegali cię, że nie zawsze będzie tak różowo?

- Tak, ostrzegali - przyznał Nigel z rozdrażnieniem. - Oczywiście, teoretycznie takie sytuacje są możliwe, ale to pierwszy dołek w historii Lloyd'sa i właśnie o to chodzi. No, może pierwszy od połowy lat sześćdziesiątych, kiedy także ponieśli pewne straty. Sęk w tym, że ludzie z zarządu Lloyd'sa są zbyt błyskotliwi i przewidujący, aby pakować się w takie sytuacje.

- Tak, ale...

- Lucinda, proszę cię... Wiem, co mówię, możesz mi wierzyć! Lucindę nagle ogarnął gniew.

- Wygląda na to, że jednak nie do końca wiesz, co mówisz! - rzuciła. - Nie ma inwestycji, które byłyby w stu procentach pewne i bezpieczne. To niemożliwe, nikt nie da ci absolutnej pewności, że każdego roku dostaniesz tyle i tyle tysięcy funtów, niezależnie od wszystkiego.

- Moja droga, naprawdę nie dysponujesz odpowiednim doświadczeniem i wiedzą, aby mówić o rynku inwestycji.

- Owszem, dysponuję! - odparła ostro. - Może nie wiem nic o Lloyd'sie, ale przez długie lata służyłam, jak tata mówił o giełdzie i rynku inwestycji, i sporo zapamiętałam! Tymczasem ty najwyraźniej masz mnie za kompletną idiotkę! No, nieważne. Ile wynosi ta strata? Bo widzę, że suma jest dość duża, skoro tak cię to zmartwiło.

- Myślę, że powinniśmy przerwać tę rozmowę - rzekł Nigel. - Zmierza w kierunku, który niezbyt mi się podoba. Jestem Nazwiskiem od ponad piętnastu lat, wcześniej mój ojciec był członkiem Lloyd'sa przez dwadzieścia lat i ta firma naprawdę dobrze nam służyła.

- Ale dotyczy to ostatnich trzydziestu pięciu lat, tak? Teraz jest inaczej, sytuacja wyraźnie się zmieniła!

- Błagam cię, moja droga, dajmy temu spokój!

- Nie rozumiem, dlaczego... Sam zacząłeś tę rozmowę, prawda? Chciałeś o tym pomówić, a mnie naprawdę zależy, żeby zrozumieć, na czym polega problem!

- Nie ma żadnego problemu! Rozmawiałem już z agentem członków Lloyd'sa, który zapewnił mnie, że to jednorazowa strata. Poradził mi nawet, żebym odpisał sobie maksymalną stratę w następnym rozliczeniu podatkowym. Naprawdę nie ma się czym niepokoić.

Lucinda milczała chwilę.

- Świetnie - powiedziała, z uśmiechem unosząc kieliszek. - W takim razie wypijmy za przyszłoroczny czek.

Nigel uśmiechnął się, chociaż przyszło mu to z trudem. I nie powiedział, ile wynosi strata. Tak czy inaczej, nie była to najlepsza chwila, aby powiadomić go, że jego żona wybiera się na lunch z innym mężczyzną. Lucinda pomyślała, że najlepiej zrobi, odwołując spotkanie następnego dnia rano.

- Dzwoniła twoja matka - powiedziała Debbie, kiedy Richard wszedł do domu. - Chce, żebyś do niej zatelefonował.

- Och, w porządku. Mówiła, o co chodzi?

- Nie. Pewnie o wakacje.

- No, tak... Zrobię sobie tylko filiżankę herbaty i... Też się napijesz?

- Tak, proszę.

Zniknął w gabinecie; centralka kliknęła cicho, gdy zaczął wybierać numer. Dwadzieścia minut później Debbie musiała zadzwonić do Sue, żeby się dowiedzieć, kto przynosi sztuce na wieczorne spotkanie. Podniosła słuchawkę, usłyszała jednak głos Richarda.

- Przepraszam - mruknęła, odkładając słuchawkę.

Dwadzieścia minut to dużo czasu na rozmowę, nawet w przypadku Richarda i jego matki.

Minęło jeszcze dziesięć minut, zanim Richard zajrzał do kuchni. Miał bardzo poważny wyraz twarzy.

- Jesteś zajęta? - spytał. - Muszę z tobą pomówić.

- Może później, dobrze? Teraz naprawdę przyda mi się pomoc! Pośpiesznie nakładała spaghetti bolognese na talerze dzieci. Emma natarczywie stuknęła ją w ramię, prosząc o sprawdzenie wypracowania.

- W porządku, w porządku, przepraszam! Co mam zrobić?

- Mógłbyś przywieźć Aleksa.

- Nie mogę, Debs! Nie mam aż tyle czasu, muszę sprawdzić mnóstwo prac, a już straciłem pół godziny. Przykro mi, ale...

- Nie liczyłeś czasu, kiedy rozmawiałeś z matką! - powiedziała, doprowadzona do ostateczności.

- Och, na miłość boską! - wybuchnął i wyszedł, trzaskając drzwiami. Debbie podniosła głowę i z zaskoczeniem spojrzała na zamknięte drzwi.

Richard miał wiele wad, ale drażliwość i skłonność do irytacji z pewnością do nich nie należały.

Później, kiedy się przebierała, przyszedł do sypialni.

- Przepraszam cię - powiedział. - Trochę się zdenerwowałem. Posłuchaj, czy naprawdę musimy iść na tę imprezę?

- Naprawdę musimy! Za trzy minuty jadę po opiekunkę do dzieci, poza tym przygotowałam lasagne na nasz stół! Nie możemy zrezygnować w ostatniej chwili!

- Muszę z tobą porozmawiać - powtórzył. - To dość ważne.

- Ten wieczór też jest dla mnie ważny! Pomogłam go zorganizować i muszę tam być!

- W porządku - odparł ze znużeniem. - Ale przynajmniej wyjdźmy stamtąd jak najszybciej, dobrze? Może poszlibyśmy gdzieś na drinka?

Popatrzyła na niego uważnie. Wyglądał na zmęczonego, był blady. Objęła go, nagle przejęta szczerym współczuciem.

- Na pewno nie jest tak źle, jak się wydaje - powiedziała. - I postaramy się wyjść jak najszybciej, oczywiście! Obiecuję, że jakoś wymigam się od sprzątania.

- Flora miała problem - oświadczył Richard, siadając na krześle w kącie pubu. - Powinniśmy się zastanowić, co robić... Mama... Cóż, sprawa jest prosta, w tym roku poniosła pewną stratę w Lloyd'sie. Nie jest to duża suma, ale mama bardzo się martwi.

- O, Boże! Ile straciła?

- Koło sześciu tysięcy.

- Sześć tysięcy?! Na miłość boską, to raczej sporo! Ale... No, chyba Flora nie ucierpi zbyt z tego powodu.

- Stać ją na to, to prawda, lecz tak czy inaczej poważnie uderzy ją to po kieszeni - westchnął Richard.

- Naprawdę? - Debbie pomyślała o wielkim domu, stojącym w stajni rollsie, nowym koniu niedawno kupionym przez Florę i pakiecie inwestycji, które ciągle omawiała z Richardem. - Nie może sprzedać jakichś udziałów czy coś w tym rodzaju?

- Mogłaby, ale rynek sprzedaży nie jest w tej chwili zbyt dobry, więc uważa, że byłoby to krótkowzroczne posunięcie.

- Och, rozumiem... Cóż, to jej decyzja, prawda?

- No, właściwie tak, ale nie tylko. Debbie ogarnął lekki niepokój.

- Jak to? - spytała. - Najlepiej powiedz wprost, o co chodzi! Nie sugerujesz chyba, że może to mieć jakiś wpływ na naszą sytuację?

- Tak, może mieć. Niewielki, ale mama zapytała, czy w tym roku możemy wziąć na siebie chesne dzieci. Tylko za ten rok. To prawie dokładnie taka suma - sześć tysięcy za Emmę i Aleksa.

- To niemożliwe. Nie mamy przecież sześciu tysięcy na zbyciu, prawda?

- Właściwie to mamy. Mamy pieniądze, które zostawił mi ojciec.

- Pieniądze, które... Nie do wiary, że słyszę od ciebie coś takiego! Ustaliliśmy, że są to pieniądze na przyszłość, że jest to nasze zabezpieczenie na wypadek, gdyby przydarzyło nam się coś strasznego albo gdybyśmy chcieli przeznaczyć je na jakiś wyjątkowo ważny cel, na przykład uniwersyteckie chesne dzieci lub...

- Tak, ale mama mówi, że odda nam tę kwotę, kiedy tylko będzie mogła.

- Bardzo to miło z jej strony! - Debbie nie mogła oprzeć się refleksji, że gdyby porozmawiali z nią odpowiednio wcześniej, teraz nie musiałyby się sprzeczać z Richardem.

- Byłby to dość niebezpieczny krok - podjęła po chwili. - Nie tak zamierzaliśmy zagospodarować te pieniądze.

- Wiem - mruknął. - Nie zapominajmy jednak, że ojciec zabezpieczył dla dzieci pieniądze w funduszu powierniczym, nie musimy więc specjalnie martwić się o ich dalsze wykształcenie.

- A co z naszym marzeniem? - spytała. - Chcieliśmy przez cały rok podróżować z dziećmi po świecie, pamiętasz? Moim zdaniem byłoby to cenne uzupełnienie ich edukacji. Przykro mi, ale nie ustąpię. Sęk w tym, że twoja matka sama, z własnej woli i inicjatywy zobowiązała się do opłacania czesnego dzieci, ja nigdy ją o to nie prosiłam.

- Pamiętam, że wypowiedziałaś się na ten temat bardzo jednoznacznie, nie musisz mi tego przypominać!

Debbie poczuła, że jej rozdrażnienie błyskawicznie narasta.

- Nie ukrywałam swojej opinii, chociaż nie pozostawiono mi cienia wątpliwości, że moje zdanie nie interesuje ani ciebie, ani twoją matkę. - A teraz ona prosi, żebyśmy przeznaczyli na czesne nasze cenne oszczędności. Nie zgadzam się na to, przykro mi. Jeśli twoja matka nie może płacić za te cholerne szkoły, możemy wypisać z nich dzieci i przenieść je na przykład do St Luke, gdzie poziom nauczania wcale nie jest niski.

- Jesteś do niej bardzo wrogo nastawiona, wiesz? - odezwał się Richard po chwili milczenia. - Nie lubisz jej i nie rozumiesz, jesteś o nią zazdrosna, nie doceniasz tego, co dla nas robi, to znaczy dla dzieci!

Debbie wpatrywała się w niego bez słowa.

- To niesprawiedliwe... - zaczęła.

- Nieprawda! Przypadkiem wiem, że twoja wrogość bardzo ją boli.

- Moja wrogość?! A co z jej stosunkiem do mnie?

- Moja matka nie ma nic przeciwko tobie - odparł krótko.

- Naprawdę? W takim razie nie wiem, jak to nazwać! Bardzo często czuję się w jej obecności jak intruz albo służąca! I skąd właściwie wiesz, że moja wrogość ją boli? Powiedziała ci? Jeżeli tak, to znaczy, że stosuje szantaż emocjonalny i próbuje wbić między nas klin!

- Och, przestań! - zaprotestował. - Nic mi nie powiedziała. Moim zdaniem, zachowuje się wobec ciebie bardzo lojalnie. Ja po prostu... po prostu widzę, że ją to boli, sam to widzę. I chcę jej pomóc.

- A ja nie! Na pewno nie w taki sposób, jak proponujesz! Oczywiście możemy pojechać do niej, omówić całą tę kwestię, pomóc jej uporządkować sprawy, potrzymać za rękę, ale nie zgodzę się, żebyśmy wydali te pieniądze na czesne, i tyle!

- Obawiam się, że będziemy musieli - niechętnie oświadczył Richard. - Trzeba będzie wypłacić przynajmniej część tej sumy albo wziąć pożyczkę w banku. Albo jeszcze jeden kredyt hipoteczny.

- Ale dlaczego?! - Debbie miała wrażenie, że twarda obręcz ściska jej płuca, powoli pozbawiając ją zdolności swobodnego oddychania.



- Nie można tak po prostu nie zapłacić czesnego na początku semestru i z dnia na dzień zabrać dzieci ze szkoły. Trzeba złożyć w szkole wypowiedzenie na piśmie, z semestralnym wyprzedzeniem, taki jest wymóg prawny. Krótko mówiąc, musimy znaleźć co najmniej dwa tysiące.

Debbie z trudem przetrwała tę informację.

- I Flora nie zapłaci nawet tyle?

- Nie. Mówi, że nie jest w stanie, i bardzo to przeżywa. - Głos Richarda zadrżał. - Nie pomyślałeś o tym, jakie to dla mnie upokarzające? Powiedzieć matce, że po wszystkim, co ona i ojciec zrobili dla mnie, mimo doskonałego wykształcenia, jakie dzięki nim odebrałem, nie stać mnie na to, aby zapłacić za szkołę moich dzieci i zapewnić im to, czego potrzebują? To cholernie trudne, możesz mi wierzyć.

Te słowa głęboko ją poruszyły. Jej gniew nagle osłabł, serce skurczyło się z bólu na myśl o jego braku pewności siebie i poczucia własnej wartości. Często się zastanawiała, dlaczego jest taki słaby, i zawsze dochodziła do wniosku, że winę za to ponosi Flora.

Pośpiesznie powiedziała, że jest jej naprawdę przykro i że naturalnie wezmą na siebie czesne za ten rok, bo niby co innego mogła zrobić.

- Ale tylko za ten rok, tak? Nie dłużej?

- Tylko za ten rok - przytaknął. - I tak nie możemy zrobić nic więcej, chyba że dostałbym jakąś nową, zdumiewająco korzystną propozycję pracy, a to jest zwyczajnie...

- Zwyczajnie możliwe - weszła mu w słowo. - I całkiem prawdopodobne. Nie dostajesz nowych, zdumiewająco korzystnych propozycji, ponieważ przestałeś się za nimi rozglądać, może nie? Wiem, że uwielbiasz pracę w St Luke, ale to nie jest szansa, o którą ci chodzi. Musisz - musimy - spokojnie przemyśleć, co powinieneś zrobić. Jesteś świetnym dyrektorem, a w okolicy jest mnóstwo szkół, które zatrudniłyby cię w mgnieniu oka. Musisz zacząć znowu kupować «Guardiana» w środy, to chyba oczywiste. Jeśli nie będziesz chciał sam odpowiadać na ogłoszenia, zrobię to za ciebie.

- Może to i dobry pomysł - uśmiechnął się lekko.

Miał wspaniały uśmiech, zaskakująco pogodny. I absolutnie czarujący.

- Kocham cię, Debs - powiedział. - Mam szczęście, że jesteś moją żoną. Codziennie to sobie powtarzam, słowo daję. Przepraszam cię za to, co mówiłem o mamie i o tobie. Wiem, jak jest, mama jest autorytarna, ma dominującą osobowość, widzę to wszystko, wierz mi.

- Naprawdę? - zdziwiła się.

Zawsze jej się wydawało, że w oczach Richarda Flora jest chodzącą doskonałością i wina za wszelkie nieporozumienia leży po jej stronie. Ogarnęła ją wdzięczność i uczucie głębokiej czułości, zapragnęła zrobić wszystko, aby poczuł się lepiej. Pochyliła się nad stolikiem i pocałowała go.

- W porządku, zadzwoń do niej rano i powiedz, że zapłacimy za szkoły dzieci. Ale zrobimy to ten jeden, jedyny raz, rozumiemy się?

- Tak - odparł. - Tylko w tym roku. Dziękuję, Debbie. Chodźmy do domu, chcę pokazać ci, jak bardzo cię kocham.

Elizabeth rozmawiała właśnie z Peterem Hargreavesem w swoim gabinecie, omawiając z nim szczegóły porannej prezentacji - udanej prezentacji - kiedy zadzwonił Simon.

- Cześć, to ja - powiedział. - Pomyślałem, że moglibyśmy dziś wieczorem wybrać się gdzieś na kolację.

- Z jakiegoś szczególnego powodu?

- A musimy mieć jakiś szczególny powód?

- Nie, oczywiście. Sądziłam tylko, że popracuję jeszcze ze dwie godziny. Mam mnóstwo roboty i...

- Proszę cię, kochanie. Chcę z tobą spokojnie porozmawiać. Ciekawe, o czym, pomyślała z nagłym lękiem. Chyba nie o tym, że znowu...

- Więc równie dobrze możemy zrobić to przy dobrej kolacji - dokończył. - I dopiero koło dziewiątej, jeśli wolisz.

- Och, świetnie... - na moment zawiesiła głos. - Będzie mi bardzo miło, naturalnie - dodała, trochę jak wyuczona lekcję.

- Doskonale! Zamówię stolik U Langana. Do zobaczenia, kochanie!

Elizabeth się spóźniła, co zdarzało jej się dosyć często. Simon czekał przy stoliku, a jego cierpliwość powoli zniknęła. Dlaczego tak go traktowała? Wiedziała przecież, że chce z nią porozmawiać, że zarezerwował stolik, że jest głodny. Czy robiła to celowo, aby dowieść mu, że ma własne życie, że nie jest do jego dyspozycji? Czy zasłużył na to, biorąc pod uwagę ostatnie dwa lata? A może w jej przepełnionym ważnymi spotkaniami i zajęciami planie dnia czas po prostu tracił znaczenie?

Zobaczył ją, jak szła przez salę. Pocałowała go lekko i wdzięcznie opadła na podsunięte przez kelnera krzesło. Jak zwykle wyglądała doskonale - miała na sobie czerwony kostium z krótką spódniczką i żakietem o szerokich ramionach, ciemne włosy idealnie ułożone i lśniące od lakieru, otaczała ją aura powodzenia i władzy.

Nagle przypomniał sobie inną Elizabeth, tę, w której zakochał się bez pamięci, tak piękną, że serce zabiło mu z zachwytu, kiedy zobaczył ją pierwszy raz, pozbawioną otoczki sukcesu i wysokiej pozycji. Była wtedy sekretarką w firmie reklamowej, z której usług chciał skorzystać jego bank. Przywitała go w recepcji poważnym spojrzeniem ciemnych oczu, uściśniła jego rękę i poprosiła, żeby poszedł za nią do sali zarządu. Już wtedy ubierała się z nieskazitelną elegancją - tamtego dnia miała na sobie wąską czarną sukienkę za kolano i wysokie buty na obcasie. Nie dla niej były szerokie, powiewne spódnice, tak modne w latach siedemdziesiątych. Ciemne włosy nosiła obcięte na pazia. Simonowi od razu spodobał się jej głos, dość niski i spokojny, głos wykształconej osoby, oraz jej dobre maniery. W recepcji z miłym uśmiechem wzięła od niego płaszcz, a gdy znaleźli się w sali zarządu, zaproponowała kawę i sok pomarańczowy. Powiedziała, że przyszedł pierwszy (Simon zawsze przychodził na spotkania odrobinę za wcześnie).

- Będzie pani na spotkaniu? - zapytał z nadzieją. Potwierdziła, ale tylko po to, aby robić notatki.

- I dolewać kawy - dodała z uśmiechem.

- To bardzo ważna funkcja - zauważył. - Mnie trzeba będzie dolewać kawy bardzo często. Żyję wyłącznie dzięki kofeinie.

- Ja też. Chociaż podobno jest bardzo szkodliwa.

- Och, mam mnóstwo szkodliwych nawyków! Jestem w tym naprawdę dobry. Lubię alkohol i papierosy...

Natychmiast podsunęła mu stojącą na stole papierośnicę.

Parę minut później zjawili się pozostali. Przez całe spotkanie Simon miał świadomość obecności Elizabeth.

Po trzecim spotkaniu (agencja zatrudniająca Elizabeth zdobyła zlecenie) zaprosił ją na randkę. Rzuciła mu to samo co zwykle poważne spojrzenie i długą chwilę milczała.

- Byłoby mi bardzo miło - odparła wreszcie. - Nie sądzę jednak, aby spodobało się to mojemu chłopakowi.

Simon powiedział, że w żadnym razie nie chciałby denerwować jej chłopaka, i na tym wszystko by się skończyło, gdyby razem z kolegami nie został zaproszony na ceremonię rozdania nagród przyznawanych agencjom reklamowym. Firma Elizabeth znalazła się wśród nagrodzonych, a sama Elizabeth była na sali i uśmiechała się do Simona przez całą szerokość stołu z drinkami.

- Bardzo się cieszę, że znowu się spotykamy - powiedział, biorąc kieliszek z szampanem. - Co w pracy?

- Wszystko w porządku, mam nową pracę - uśmiechnęła się. - Jestem teraz młodszym dyrektorem do spraw finansowych, to naprawdę ekscytujące.

- Na pewno! - przyznał. - Chociaż to wielka strata dla firmy, która prowadzi naszą kampanię reklamową. Czy da się panią zaprosić później na drinka w barze? Czy pani chłopakowi to także raczej się nie spodoba?

- Nie wydaje mi się, żeby miał coś przeciwko temu - odpowiedziała. - Zwłaszcza że nie jest już moim chłopakiem. Chętnie przyjmę zaproszenie, dziękuję.

Następnego dnia zjedli kolację w restauracji L'Escargot na Greek Street, a potem wszystko stało się bardzo proste - spędzali ze sobą mnóstwo czasu i zakochali się w sobie, namiętnie i z wzajemnością.

Elizabeth miała dopiero dwadzieścia lat i w tamtych czasach było nie do pomyślenia, aby zamieszkali razem. Dzieliła mieszkanie w Earl's Court z dwiema innymi dziewczętami, natomiast Simon, zaledwie dwudziestopięcioletni, mieszkał z trzema młodymi mężczyznami przy Brompton Road, w wiecznie zabałaganionym apartamencie.

Chciał się z nią ożenić, najlepiej jak najszybciej.

- Wiem, że jesteśmy bardzo młodzi - powiedział, prosząc ją o rękę. - Ale strasznie podoba mi się myśl, że będziemy małżeństwem. Będzie cudownie, zobaczysz! Moglibyśmy kupić jeden z tych domów w Boltons, które podziwiałaś parę dni temu.

- Chyba nie muszę ci mówić, że to zupełnie nierealne, prawda? Każdy z tych domów kosztuje mniej więcej ćwierć miliona!

- To prawda, ale ja jestem młodym człowiekiem z perspektywami! Kupimy taki dom w przyszłym roku albo kiedy urodzi nam się pierwsze dziecko, co ty na to?

- Nie chcę dziecka. Przecież wiesz, że nie chcę, przynajmniej na razie. Muszę zająć się karierą, nie mam czasu na dzieci!

Już wtedy była zajadłe ambitna, zdecydowana osiągnąć nie wysoką, lecz najwyższą pozycję w zawodzie, który uwielbiała.

- Chcę robić rzeczy, których kobiety zwykle nie robią w reklamie - tłumaczyła. - Nie zależy mi na tym, żeby zostać szefem jakiegoś tam działu kreatywnego, chcę kierować firmą, decydować o wszystkim, dosłownie o wszystkim. Umrę z rozpaczy, jeżeli nie dopnę swego!

Nie poszła na studia, chociaż egzaminy na zakończenie szkoły średniej zdała z doskonałymi wynikami. Uznała, że uniwersytet to strata czasu, że może i powinna od razu wyruszyć w drogę do celu.

Pobrali się sześć miesięcy później, kiedy skończyła dwadzieścia jeden lat. Ojciec Elizabeth był zachwycony czarującym, przystojnym i przedsiębiorczym młodym człowiekiem, który pragnął zostać jego zięciem. Wprowadzili się do ładnego małego szeregowego domku w Kensington.

Annabel urodziła się osiemnaście miesięcy po ślubie. W prasie, radiu i telewizji pojawiły się wtedy niepokojące wiadomości o szkodliwości pigułek antykoncepcyjnych i przestraszony Simon kazał Elizabeth natychmiast je odstawić. W tamtych czasach spełniała wszystkie jego życzenia, ufała mu bez reszty.

- Wszystko jasne - powiedziała, trochę z radością, a trochę ze smutkiem, pokazując mu wynik próby ciążowej.

Simon był uszczęśliwiony - uwielbiał dzieci i z całego serca pragnął zostać ojcem. Dla Elizabeth sytuacja nie była tak prosta i oczywista.

- Nie mogę zrezygnować z pracy - oświadczyła. - Przecież wiesz. Dopiero co dostałam nowe stanowisko.

- Wiem - odparł. - Znajdziemy nianię, nie martw się. I musimy się przeprowadzić, może tym razem jeszcze nie do domu w Boltons, ale...

- Będziesz musiał mi pomagać, wspierać mnie na każdym kroku...

- Będę cię wspierał, przyrzekam. Będę najbardziej wspierającym mężem w Londynie, co tam, na świecie. Bardzo cię kocham, Elizabeth... I jestem z ciebie strasznie dumny!

To był początek wspaniałych lat, przepełnionych niezwykłymi sukcesami w życiu zawodowym obojga. Simon w wyjątkowo młodym wieku został dyrektorem w banku Graburn & French, a Elizabeth najpierw szefową księgowości w agencji H2O, a dwa lata później dyrektorem firmy do spraw finansowych. Kupili większy dom w Kensington, a tuż przed przyjściem na świat Tilly ostatecznie przeprowadzili się na Bolton Place. Odnosili kolejne sukcesy, byli bogaci, atrakcyjni, stali na szycie i pełnymi garściami czerpali ze źródła życiowych przyjemności. Umieli się bawić - wyjeżdżali na wspaniałe, ekstrawagancko drogie

wakacje, czasami z dziećmi, czasami tylko we dwoje, na długie weekendy do Paryża, Rzymu, na francuską Riwierę. Spędzali razem cudowne, przesycone przyjemnościami i radością dni, cieszyli się sobą nawzajem i seksem tak samo, jak na początku małżeństwa.

Prowadzili intensywne życie towarzyskie, wydawali legendarne przyjęcia w pięknym domu w Boltons, kupili dom na wsi. Wszędzie byli chętnie widziani i podziwiani, ich nazwiska znajdowały się na każdej liście gości. Simon darzył Elizabeth absolutnym uwielbieniem, a ona odwzajemniała to uczucie. Więc w którym momencie - i dlaczego - wszystko nagle zaczęło się układać źle?

- Przepraszam, Simon - musnęła jego policzek przelotnym pocałunkiem. - Miałam kryzysową sytuację w pracy, właściwie przez cały dzień, a potem wieczorem chciałam jeszcze przekazać pewne informacje Peterowi Hargreavesowi.

- Jaką kryzysową sytuację?

- Nieważne, na szczęście już po wszystkim.

- Zamówiłem sancerre, może być?

- Jasne - uśmiechnęła się do kelnera, który właśnie napełniał ich kieliszki, później zaś przeniosła uśmiech na Simona. - Miałeś dobry dzień?

- Nieszczególnie.

- Przykro mi. Annabel zdażyła na pociąg?

- Tak, oczywiście. Mówiłem jej, żeby zadzwoniła do ciebie ze szkoły.

- Nie zadzwoniła. - Elizabeth pokręciła głową. - Och, Tilly została przewodniczącą swojej klasy, kochana mała. I dzwonił Toby. Nie mogę uwierzyć, że to już jego drugi rok w szkole. Bardzo mu się tam podoba.

- I dobrze - rzucił Simon. - Biorąc pod uwagę koszt. Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Simon! To do ciebie niepodobne!

- Cóż, naprawdę nie mam dziś najlepszego dnia.

- Czy to dlatego zaprosiłeś mnie na kolację?

- No, oczywiście chciałem zjeść z tobą coś smacznego, ale zależało mi też, żebyśmy mogli spokojnie porozmawiać.

- Równie dobrze mogliśmy to zrobić w domu, prawda?

- Tyle że do domu spóźniłabyś się jakieś trzy godziny, a nie jedną, jak teraz. Wiedziałaś, że zarezerwowałem stolik, więc trochę cię to zmotywowało i... - przerwał nagle i popatrzył na nią ze smutkiem. - Och, Elizabeth... Co się z nami stało, dlaczego ciągle się o wszystko kłócimy?

Ból zaatakował ją nagle, co wciąż czasami się zdarzało.

- Wydawało mi się, że powinieneś dobrze wiedzieć, dlaczego...

- Tak - rzekł cicho. - Wiem... Ale... O, Boże...

Kiedy odwrócił wzrok, serce ścisnęło się jej z przerażenia.

- Co się stało, na miłość boską?!

- Mam nie najlepsze wiadomości - powiedział ponuro. - Chodzi o Lloyd'sa... Mają straty, dotyczy to kilku moich akcji. W tym najważniejszego syndykatu.

- Och... A... a ile wynosi strata?

- Koło... koło piętnastu tysięcy funtów.

- Boże - wykrztusiła. - Dobry Boże, to naprawdę dużo.

- Tak, wiem. Oczywiście możemy sobie na to pozwolić, w tym roku jakoś sobie z tym poradzimy, ale...

- Ale?

- Mam okropne uczucie, że to dopiero początek - rzekł Simon.

## ROZDZIAŁ 3

### *BOŻE NARODZENIE 1988*

- O, mój Boże! O, Boże! O - mój - Boże!

Słyszała swój krzyk, była poza swoim ciałem, a jednocześnie wewnątrz niego, wewnątrz rozkoszy, cudownej, wznoszącej się wysoko, jasnej i mrocznej, pędziła na grzbiecie fali, delectowała się nią, długo, bardzo długo, tak długo, jak chciała i pragnęła.

Potem wszystko dobiegło końca. Minęło, łagodnie i słodko. Powoli opadła na ziemię, w ramiona normalności; jej ciało, tryskające rozkoszą, znowu było całością.

- Ojej - wyszeptała.

- Dlaczego „ojej”?

- „Ojej”, było cudownie, a teraz już po wszystkim. Nasza cudowna mała Gwiazdka się skończyła.

- Wcale nie musi tak być - powiedział. - Na pewno pozwolą nam zatrzymać ten pokój na całe święta. Nie mają kompletu rezerwacji. Wiem, bo pytałem.

- Nie żartuj, Blue.

- Wcale nie żartuję, po prostu rozsądnie odpowiadam. Słuchaj, wcześniej czy później i tak będziesz musiała to zrobić, więc dlaczego nie teraz? Moglibyśmy spędzić razem naprawdę wspaniałe święta. Ja tam wcale się nie palę, żeby siedzieć przy mojej mamie razem z setką dzieciaków.

- Moim zdaniem, brzmi to bardzo przyjemnie.

- Więc jedźmy tam razem, co ty na to? Moja rodzina się ucieszy, że może cię poznać.

- Założę się, że nie!

- I pewnie masz rację - odparł pogodnie. - Uważaliby, że muszą zachowywać się wzorowo, skoro wśród nich znalazła się księżniczka. Nie, lepiej zostaliśmy tutaj.

- Och, nie masz pojęcia, jak bym chciała, żeby było to możliwe! Nie masz pojęcia. Ten przytulny hotelik i ty, i... Ojej...

Rozejrzała się po pokoju. Blue zarezerwował go tylko na dwadzieścia cztery godziny, na ten dzień, 22 grudnia. Pokój znajdował się w uroczym hotelu w Cotswolds, pełnym kominków z wesoło trzaskającym ogniem, skórzanych foteli i falbaniastych zasłon z kretonu. Na użytek Nigela wymyśliła gwiazdkowe przyjęcie sprzedawców książek, na którym po prostu musiała być. Wyjechała z Londynu bardzo wczesnym rankiem. Zjadła późne śniadanie razem z Blue, potem poszli na spacer (bardzo krótki), wrócili, napili się szampana w łóżku, zamówili lunch (wędzony łosoś i kawior) do pokoju, znowu napili się szampana i znowu uprawiali seks, bez końca. I było cudownie. A teraz musiała wracać do Londynu (prawdopodobnie nie powinna prowadzić, chociaż w gruncie rzeczy wypila nie więcej niż trzy kieliszki), wstąpić do domu po Nigela oraz wszystkie prezenty, pozwolić mu zawieźć się do jego kuzynów w Norfolk i spędzić tam bardzo długie i zimne święta.

- Cóż, weź pod uwagę to, co mówię - odezwał się Blue. - Wcześniej czy później będziesz musiała to zrobić, Lucy... Więc zdobądź się na odwagę i powiedz mu...

- Nie mogę, nie w czasie świąt! To byłoby okrutne! Boże Narodzenie to wyjątkowy okres, ludzie starają się wtedy być z rodziną, z najbliższymi...

- Więc dlaczego my nie możemy być razem?

- Bo nie możemy! To byłoby złe!

- A to, co robisz, jest w porządku, tak? Mam wrażenie, Lucy, że zasady moralne trochę ci się pokreśliły.

- Wiem, przepraszam. Jestem absolutnie okropna.

- Nie do końca - mruknął.

Potem przyklęknął, pochylił się nad nią i zaczął pieścić ją językiem. Próbowwała odepchnąć go, oczywiście ze śmiechem.

- Blue, nie, nie! O, Boże, Blue, nie, to znaczy tak, tak...

\* \* \*

Jadąc bardzo powoli i ostrożnie trasą M40, co jakiś czas zerknęła na czarne, przewiązane białą wstążką pudełeczko firmy Chanel, w którym znajdował się wysadzany brylancikami zegarek na różowym pasku, prezent od Blue. Zegarek był absurdalnie wulgarny i piękny, i Lucinda wiedziała, że nie będzie mogła go nosić. Powiedziała mu to, obsypując go pocałunkami.

- Możesz wkładać go, kiedy jesteś ze mną - odparł, oddając pocałunki. - To może być twój zegarek do pieprzenia, do odmierzania czasu seksu.

Ostatnio ciągle się zastanawiała, jak to możliwe, że nagle stała się tą okropną, kłamliwą, całkowicie amoralną osobą. Kobieta, która regularnie uprawia seks z kochankiem, okłamuje szefa (miała jednak wrażenie, że Graham podejrzewał, co ona wyprawia i był tym nawet odrobinę rozbawiony) oraz męża, kobietą, która poważnie bierze pod uwagę możliwość porzucenia męża i zamieszkania z kochankiem. To ostatnie uświadomiła sobie stosunkowo niedawno; przez kilka miesięcy uważała, że ma romans, co jest naturalnie bardzo złe, ale przynajmniej Nigel nie ma o tym pojęcia i nie cierpi, wręcz przeciwnie, ponieważ była bar-

dzo szczęśliwa, traktowała go w niewiarygodnie miły sposób. Powtarzała sobie, że jedyną osobą, która drogo zapłaci za ten romans, będzie ona sama, kiedy go zakończy, co oczywiście zrobi, i to niedługo. Skończy z tym, znowu przeistoczy się w godną szacunku żonę i będzie miała dziecko z Nigelem, tylko jeszcze nie w tej chwili, bo teraz brała pigułki antykoncepcyjne, niestety. Wcześniej przez prawie dwa lata nie zażywała ich, bo przecież Nigel i ona starali się o dziecko. „Starali się” było jak najbardziej właściwym określeniem, gdyż podejmowali próby, ale bez powodzenia. Naturalnie Lucinda poszła do lekarza, który zbadał ją i kazał jej mierzyć temperaturę, żeby się upewnić, czy regularnie owuluje, i tak dalej. Wzmogli więc wysiłki, jak nazywał to Nigel, i nadal bardzo się starali, szczególnie w odpowiednim czasie, ale wciąż bez upragnionego efektu. I wtedy Lucinda poznała Blue. I we wstrząsająco krótkim czasie nawiązała z nim romans. I znowu zaczęła zażywać pigułki, oczywiście. Tak bardzo się bała, że Nigel je znajdzie, że trzymała je w biurze.

Do tej pory nie była pewna, jak Blue to zrobił, to znaczy, jak namówił ją na łóżko. Umówiła się z nim na tamten pierwszy lunch i wszystko było jak należy, najzupełniej w porządku. Spotkali się w hotelu Claridges.

- Pomyślałem sobie, że najswobodniej będziesz czuła się w takim właśnie miejscu - powiedział.

Potem całował ją w taksówce, ale tylko trochę, ona zaś powiedziała, że było jej naprawdę bardzo miło, ale nie może więcej się z nim spotykać.

Odparł, że to zwyczajne bzdury, bo przecież mogą się znowu umówić, dlaczego nie, a ona słabym głosem przyznała, że może rzeczywiście, ale tylko jeden, jedyny raz. Zgodziła się, bo wszystko to razem było ogromnie podniecające i czuła się inaczej, jak pewna siebie, naprawdę dojrzała kobieta. Doszła do wniosku, że przecież każdy powinien pozwolić sobie na ten jeden, jedyny skok w bok, zresztą jeszcze trochę i będzie mieszkała w domu na wsi, zajęta małym dzieckiem. I w ogóle co to za „skok w bok” - dwa spotkania w restauracji, nic poważnego. To drugie miało być ostatnim, naprawdę.

Tylko że w czasie drugiego lunchu (tym razem w hotelu Dorchester) Blue wyprawiał rozmaite niewiarygodne rzeczy pod stołem, a Lucinda dosłownie skręcała się z podniecenia, więc zgodziła się na jeszcze jedno spotkanie. Wieczorem przed trzecim lunchem z Blue potwornie pokłóciła się z Nigelem - znowu poszło o wypad na narty. Była wściekła na Nigela i powiedziała o tym Blue.

- Nigel nie lubi jeździć na nartach, a ja uwielbiam, rozumiesz? I oczywiście on nigdy nie chce ze mną jechać! To strasznie niesprawiedliwe, bo ja bez słowa jeżdżę z nim na te jego okropne weekendowe polowania, chociaż wcale mi to nie odpowiada i...

- Ile lat ma twój stary? - zapytał nagle Blue.

- Czterdzieści cztery. Blue, przestań, proszę...

Jego prawa dłoń bezlitośnie i zdecydowanie sunęła w górę jej uda.

- Czasami czuję, że w naszym małżeństwie tylko ja daję i nic nie dostaję w zamian - dokończyła słabo.



- Na to wygląda - rzekł Blue. - Dlaczego nie macie dzieci, Lucy? To chyba powinno być dla was ważne, w końcu mężulkowi nie ubywa latek.

- Po prostu nie mamy... - zarumieniła się. - Jeszcze nie.

- Och, rozumiem.

- Proszę cię - szepnęła, czując, jak jego palce wsuwają się pod koronkę majteczek. - Proszę, nie rób tego. Zaraz nas stąd wyrzucą.

- Na pewno nie. Ale może przenieślibyśmy się na górę?

- Na górę? Co masz na myśli?

- Pokój. Zarezerwowałem pokój...

- Po co? - zapytała, głęboko wstrząśnięta.

- A jak ci się wydaje? - uśmiechnął się szeroko. - Dla nas. Żebyśmy mieli gdzie uprawiać seks.

- Nie wierzę! Przecież tu na pewno nie można zarezerwować pokoju tylko na... tylko na popołudnie.

- Nie na popołudnie, ale na całe dwadzieścia cztery godziny. Nie miej takiej przerażonej miny, nie musimy siedzieć tam całą dobę. No, dokończ rybę, ryba jest zdrowa. Później pójdziemy na górę, napijemy się kawy i koniaku, ale przysięgam, że nie zrobię nic, czego byś nie chciała, zgoda? Ty decydujesz, w porządku? Przecież wiesz, że możesz mi ufać.

Z jakiegoś powodu (może z ciekawości albo chęci, by wydać mu się osobą wyrafinowaną i całkowicie dojrzałą) zgodziła się i odkryła, że nie może ufać nawet samej sobie.

- Nigdy dotąd nie miałaś orgazmu? - spytał, kiedy leżała nieruchomo, z szeroko otwartymi oczami i potarganymi włosami, prawie w szoku, po inicjacji w świat rozkoszy.

- Oczywiście, że miałam! - odpowiedziała z oburzeniem, ale nie była to prawda.

Nigdy wcześniej nie miała orgazmu. To, co przeżywała z Nigelem (w porównaniu z tym, co przeżyła chwilę wcześniej), przypominało pedałowanie na rowerze pod górę, nie lot w dół zbocza, z rozwianymi włosami.

- Nie wiem, o czym teraz myślisz - odezwał się z uśmiechem. - Ale wiem, że ci się podobało. Mam rację czy nie?

- Masz rację - odparła słabo.

I uśmiechnęła się w odpowiedzi.

No i naturalnie musiała zacząć zażywać pigułki, ponieważ od razu stało się oczywiste, że ten „skok w bok” trochę potrwa. Powtarzała sobie, że kiedy zerwie z Blue, a przecież zrobi to niedługo, znowu odstawi antykoncepcję. Pozwoli sobie tylko na ten szybki, niegodziwy romans, a później...

I wszystko poszłoby zgodnie z planem, na pewno, tylko że ona musiała się w nim zakochać. A on w niej. Naprawdę go kochała i rozumiała, że uczucie, którym darzy Nigela, nie ma nic wspólnego z miłością. Była to czułość, sympatia, pragnienie stabilizacji, świadomość, że Nigel jest takim człowiekiem, z jakim powinna pragnąć spędzić resztę życia. To, co czuła do Blue, było dzikie, nieokiełznane, niepokojące, podniecające - i bez reszty cudowne. I wcale nie chodziło tylko o seks; Blue potrafił rozbawić ją do łez i dodać

odwagi oraz pewności siebie. Nie ulegało wątpliwości, że uważa ją za osobę interesującą, bo zawsze chciał poznać jej zdanie na różne tematy i uważnie słuchał odpowiedzi, zupełnie inaczej niż Nigel, który pytał o opinię chyba wyłącznie z uprzejmości. Blue był zagorzałym torysem, wściekłym konserwatystą, którego szczerze bawił mętny liberalizm Lucindy. Fascynowała go także jej praca, ludzie, z którymi się spotykała, książki wydawane przez Petera Harrisona.

- Jestem absolutnie niewykształcony - mawiał. - O niczym nie mam pojęcia. Wiesz, że księżna Diana powiedziała, że ma mózg wielkości groszku? Otóż to. Obawiam się, że mój jest jeszcze mniejszy.

Parsknęła śmiechem i oświadczyła, że to zwykle bzdury. Mówiła szczerze. Blue zdał tylko dwa egzaminy na zakończenie szkoły średniej, i to te na poziomie podstawowym, to prawda, zakończył formalną edukację jako szesnastolatek, ale umysł miał ostry jak brzytwa - szybki, bystry, błyskotliwy. Lucinda powiedziała mu, że z łatwością mógłby zostać profesorem.

- Nie, serdeczne dzięki! - uśmiechnął się. - Profesorowie nie zarabiają pół miliona rocznie, prawda? W każdym razie tak mi się wydaje.

- Naprawdę zarabiasz pół miliona funtów rocznie? - spytała z podziwem.

I dowiedziała się, że w tym roku, z powodu krachu na giełdzie, zarobi może tylko jedną trzecią miliona, ale zwykle bez trudu zgarnia pół, wliczając w to bonusy. Ona także była zafascynowana jego pracą; powiedział jej, że codziennie gra na giełdzie w „wyścigowego demona” - kupuje i sprzedaje akcje, starając się zarobić jak najwięcej.

- Pracuję sam, bank tylko mnie wspiera - tłumaczył. - Zarabiam dla nich mnóstwo forsy i pewien procent zysku zgarniam dla siebie.

- Myślałam, że po krachu wszyscy straciliście pracę.

- Niektórzy tak, ale nikt nie wyrzuci człowieka, który robi pieniądze. Ja zarabiam naprawdę dużo. I wiesz co, Lucy? Na każdego nieudacznika przypada jeden zwycięzca - oto moja filozofia, która jak na razie sprawdza się w stu procentach.

Był bardzo bogaty, faktycznie. Miał mały dom na jednym z nowych osiedli koło Limehouse, z wypolerowanymi podłogami z jasnego drewna i meblami ze skóry i chromowanego metalu; jeździł ferrari, spędzał weekendy na nartach we francuskich Alpach, uprawiał windsurfing i ścigał się na skuterze śnieżnym, który garażował w Poole, był też właścicielem „jednej nogi konia wyścigowego” (pozostałe trzy należały do jego kolegów po fachu). Jego garderoba pełna była nieprawdopodobnie drogich ubrań od najlepszych projektantów, z czego był absurdalnie dumny.

- Kupiłem to u Gucciego w sobotę - mówił na przykład, przybierając zabawną pozę w skórzanym płaszczu. - A jak podoba ci się ten garnitur od Armaniego? Sprawilem sobie takie dwa, jeden czarny, drugi granatowy...

Podobnie jak jego koledzy, wydawał majątek na alkohol; ich ojcowie, zwykli robotnicy lub handlarze, chodzili po pracy do pubu, natomiast oni odwiedzali takie sklepy i lokale jak Corney & Barrow czy Colony Wine Bar, i wypijali niezliczone butelki szampana i wina do kolacji. Lucinda, wychowana w kultu-

rze, która uznawała demonstrację bogactwa za rzecz nie tylko wulgarną, ale prawie niemoralną, była bez reszty zafascynowana tym stylem życia.

Blue był błyskotliwy i bogaty, ale także dobry, myślący i szalenie hojny. I kochał ją. Nie przyszło jej do głowy, że może naprawdę coś do niej czuje, lecz pewnego wieczoru, który spędzili u niego, uprawiając seks i sącąc szampana w ogromnym łóżku, popatrzył na nią z dziwnym wyrazem oczu.

- Wiesz co, Lucy? - odezwał się.

Była zmęczona i trochę smutna, i wcale nie miała ochoty wracać do domu przy Cadogan Square i do Nigela.

- Nie - odparła.

- Nie mam pojęcia, co się ze mną dzieje, ale za każdym razem, gdy cię widzę, Kocham cię coraz mocniej. Trudno mi w to uwierzyć, lecz tak właśnie jest.

Zaskoczył ją tak bardzo, że upuściła kieliszek i rozlała szampana na łóżko.

- Kochasz mnie? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- Tak, jasne... Daj spokój, Lucy, przecież musiałaś się zorientować, co jest grane! Jak myślisz, dlaczego robię to wszystko, dlaczego biorę urlop po jednym dniu i przegapiam okazje do zarobku? Kocham cię tak bardzo, że aż strach. Mam nadzieję, że ty też mnie kochasz, bo jeżeli nie, to tylko marnuję czas, a przy okazji sporo forsy.

- Tak! - odparła, nagle zalewając się łzami. - Tak, Kocham cię! Nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale tak, tak!

Teraz zaś, dwa miesiące później, trwanie w małżeństwie z Nigelem wydawało się raczej bezsensowne. Lucinda nie była jednak do końca pewna, czy znajdzie w sobie dość odwagi, aby zrezygnować ze wszystkiego, z czym wiązało się jej małżeństwo - z przyjaciół, znajomych, rodziny, a nawet pracy, być może. Naprawdę nie wiedziała, czy stać ją na taki krok. Postanowiła, że zastanowi się nad tym po świętach.

Elizabeth zawsze przeklinała konieczność spędzania Bożego Narodzenia na wsi. Zaczęło się to osiem lat wcześniej, kiedy Simon kupił Chadwick House za ogromną premię i oświadczył, że dom jest wprost stworzony do tego, aby spędzać w nim Gwiazdkę. W Chadwick House były ogromne kominki, nad którymi można było wieszać pończochy na prezenty, olbrzymi hol - idealne miejsce dla imponującej choinki - i podjazd wysadzany iglastymi krzewami, znakomicie nadającymi się do dekorowania łańcuchami świątecznych lampek, i... i praktycznie wszystko, co pomagało wykreować tę szczególną atmosferę. Dom był naprawdę piękny, wybudowany na początku siedemnastego wieku, z czerwonej cegły, z sadem i otoczonym murem ogrodem warzywnym. Na terenie posiadłości znajdował się kort tenisowy, basen, oraz stajnia i padok dla największej miłości Tilly, którą w tamtym czasie był krzepki kuc New Forest, a obecnie piękny ogier jasnej maści imieniem Golden Boy.

Chadwick House położony był w regionie South Downs, w dogodnej odległości od Bosham, gdzie Simon trzymał jedną ze swoich ulubionych „zabawek”, siedmiostopową żaglówkę typu Seal, noszącą na-

zwę „Lizzie”. Tej wielkości dom na wsi był sporą ekstrawagancją, ponieważ trzeba było zatrudnić nie tylko gospodynię, ale także ogrodnika, który podjął się również funkcji stajennego. Simon z przyjemnością opowiadał znajomym, że jeżdżą do Chadwick w każdy weekend, ale nie było to prawdą, zwłaszcza odkąd Tilly zaczęła naukę w szkole z internatem. Tak czy inaczej, spędzali tam zwykle całe letnie wakacje (Simon i Elizabeth dojeżdżali do pracy), Boże Narodzenie, a czasami także Wielkanoc.

Elizabeth lubiła Chadwick i chętnie przebywała na wsi, zwłaszcza latem, kiedy często wydawali wielkie przyjęcia w ogrodzie i zapraszali przyjaciół na wieczory przy grillu oraz dłuższe wizyty. Jednak Boże Narodzenie stanowiło odrębną kwestię - był to cudowny, magiczny czas, tylko że wyjazd z Londynu pociągał za sobą konieczność robienia wszystkiego dwukrotnie.

Dom w Londynie należało udekorować, nie można przecież przeżyć w nim prawie całego grudnia i wydać świąteczne przyjęcie (co zawsze robili), nie ubierając choinki i nie wieszając wianków z jedliny z bombkami. Później, dwudziestego trzeciego grudnia, pakowali do samochodów jedzenie, prezenty, sztuczne ognie i fajerwerki i jechali do Chadwick w Sussex (mniej więcej sto kilometrów), gdzie Elizabeth natychmiast zabierała się do przeobrażania domu, by wyglądał niemal jak z powieści Dickensa.

I chociaż co roku zarzekała się, że będą w Chadwick na lunch, jeszcze nigdy nie udało im się wyjechać z Londynu przed czternastą, więc ostatecznie docierali na miejsce, gdy zapadał już zmrok. Podczas gdy Simon i pan Ford ustawiali choinkę, Toby i Annabel wieszali światełka na żywopłocie, a Tilly entuzjastycznie przeżywała ponowne spotkanie z Boyem, Elizabeth rozpakowywała stopy ubrań, prezentów, jedzenia i butelek z winem, i próbowała cieszyć się świętami na wsi. Kiedy zaś siadali do pierwszej kolacji w kuchni, obok rozgrzanego pieca, i otwierali pierwszą świąteczną butelkę szampana, jej radość stawała się jak najbardziej rzeczywista.

Boże Narodzenie zyskiwało dla całej rodziny zupełnie nowy, wyjątkowy wymiar właśnie dlatego, że obchodzili je w odmiennej scenerii. Poza tym, na wsi celebrowano wspaniałe tradycje - wszyscy chodzili na pasterkę w wiejskim kościółku, w dzień Bożego Narodzenia wybierali się na długi spacer po polach, śpiewali kolędy na rynku w miasteczku, spotykali się z sąsiadami w drugi dzień świąt. A w tym roku możliwość wyjazdu z miasta naprawdę cieszyła Elizabeth, ponieważ z pewnością nie miała za sobą przyjemnego i łatwego roku.

Ogólnie wiadomo, że kiedy firma zaczyna odczuwać trudności, w pierwszej kolejności obcina wydatki na reklamę, a kłopoty były naprawdę spore. Klimat ekonomiczny nie był przychylny, niezależnie od łatwych do przełknięcia historii, puszcanych w obieg przez Nigela Lawsons. I chociaż agencja wielkości H2O może pozwolić sobie na pewne straty, wszyscy pracownicy są podenerwowani, każdy raport działu księgowości kryje w sobie zawołowaną groźbę i każdy wie, że musi oszczędzać, gdzie tylko się da. Nawet gwiazdkowe przyjęcie było skromniejsze niż w poprzednich latach, zorganizowane w siedzibie firmy, a nie w „lokalnej knajpeczce”, jak nazywał Ritza prezes Peter Hargreaves.

- Sądzę, że lepiej będzie przeznaczyć dwadzieścia tysięcy na coś innego - oświadczył. - Zwłaszcza że po mniej więcej godzinie i tak nikt nie pamięta, gdzie się bawi...

Co więcej, dopiero teraz Elizabeth zaczęła odzyskiwać równowagę po Tamtej Sprawie, przeżyciu bardziej bolesnym i upokarzającym, niż mogłaby sobie to wyobrazić. Tak czy inaczej, przetrwała. Bo przecież przetrwała, prawda?

Dzięki Bogu, że święta już się skończyły, myślała Annabel. Było to pierwsze Boże Narodzenie, którym nie do końca się cieszyła, co w gruncie rzeczy było dość smutne. Ojciec sprawiał wrażenie zirytowanego i ciągle mówił o pieniądzach (koszmarna nuda), a matka starała się rządzić wszystkimi i we wszystko się wtrącała (jeżeli ktoś nie chce bawić się w jakieś tam gry, to chyba ma prawo odmówić, na miłość boską - święta są dla wszystkich, nie tylko dla jednej Elizabeth...). Toby także nie wyglądał na zachwyconego „święteczną” atmosferą i tylko Tilly była naprawdę szczęśliwa, głównie dlatego, że całymi dniami trenowała skoki i przejazdy po padoku na swoim ukochanym Boyu.

Sama Annabel bardzo tęskniła za Danem. W Wigilię odbyli długą rozmowę telefoniczną, a drugą, trochę krótszą, w drugi dzień świąt, i to wszystko.

Była głodna jego bliskości, tymczasem po powrocie ze szkoły widziała się z nim tylko raz, zaledwie przez godzinę. Chciała spotkać się jak należy, zobaczyć go całego. Chciała pójść z nim do łóżka.

Fantastycznie było mieć starszego chłopaka z własnym mieszkaniem. Annabel spędzała z Danem całe wieczory, chociaż rodzice myśleli, że w tym czasie była na zakupach albo z przyjaciółmi. W rezultacie seks był absolutnie wspaniały... Oczywiście Annabel nie miała żadnego punktu odniesienia do porównań, ale na podstawie tego, co słyszała od innych, bardzo wysoko oceniała umiejętności i chęci Dana. Cóż, nie było w tym nic dziwnego, ostatecznie miał spore doświadczenie, prawda? Miał dwadzieścia dwa lata, własne mieszkanie i pracował w firmie maklerskiej swojego ojca. Annabel poznała go na jakimś przyjęciu i zwyczajnie straciła dla niego głowę. Teraz nie mogła się już doczekać następnego dnia, czyli sylwestra, i spotkania z Danem. Wiele godzin przymierzała rozmaite stroje, zestawiała je i eksperymentowała z włosami. Doszła do wniosku, że chyba spróbuje znowu upiąć je na czubku głowy, z kilkoma pasmami opadającymi luźno po bokach - taka fryzura podobała się jej najbardziej, chociaż jeszcze musiała nad nią trochę popracować.

- Annabel! Wydawało mi się, że chciałaś się wybrać na spacer!

Matka. Annabel zgodziła się na spacer podczas śniadania, ponieważ miała nadzieję, że wtedy czas szybciej zleci, lecz teraz wołałaby zostać w domu, bo przecież Dan mógł zadzwonić w każdej chwili. Z drugiej strony, mógł też nie zadzwonić.

- Tak, już idę...

Annabel ruszyła w kierunku gradami, żeby poszukać kaloszy, ale w połowie drogi przystanęła, słysząc dziwne dźwięki dochodzące z salonu. Zajrzała do środka i zobaczyła Tilly, skuloną na parapecie i szlochającą tak rozpaczliwie, jakby serce miało jej pęknąć. Annabel usiadła obok młodszej siostry i objęła ją.

- Nie płacz, aniołku! Co się stało?

- Słyszałam, jak tata rozmawiał przez telefon. Zamierza sprzedać Chadwick, mówił, że utrzymanie domu to straszna strata pieniędzy. Gdyby to zrobił, musiałabym sprzedać Boya, nie mogłabym przecież trzymać go w Londynie, prawda? Och, nie zniosłabym tego! Nie wiesz nic o sprzedaży domu?

- Oczywiście, że nie! Na pewno coś źle zrozumiałaś, ale na wszelki wypadek zapytam mamę. Może ojciec próbował wybadać, jaka jest rynkowa wartość Chadwick albo coś w tym rodzaju? Wiesz, że ma obsesję na tym punkcie.

\* \* \*

- Nie myślisz chyba o sprzedaniu Chadwick, co? - Elizabeth dopadła Simona w jego gabinecie, gdy dzieci oglądały telewizję na górze.

Miał bardzo niepewną minę.

- Owszem - odparł.

- Dlaczego, na miłość boską?! Wszyscy kochamy Chadwick! I czy ja nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia?! Dom należy także i do mnie, w każdym razie tak mi się zawsze wydawało! - Ogarnął ją gniew na myśl, że nawet nie porozmawiał z nią o swoich planach.

- Wiem, wiem, przepraszam. Ale przecież za pieniądze, które wydajemy na utrzymanie Chadwick, moglibyśmy trzy razy w roku wyjeżdżać na wakacje na Bahamy.

- Wolę Chadwick!

Simon popatrzył na nią poważnie.

- Elizabeth, to nie jest kwestia tego, co wolimy, wierz mi... Przykro mi, ale jednak najprawdopodobniej będziemy musieli sprzedać Chadwick.

- Serdeczne dzięki, że raczyłeś mnie o tym poinformować! - wybuchnęła. - Tilly płacze, musiała przypadkiem usłyszeć twoją rozmowę z agentem nieruchomości. Powiedziałam jej, że na pewno się pomyliła, bo nigdy nie zrobiłbyś czegoś takiego bez porozumienia ze mną. I oczywiście nie powinieneś być tego robić, to chyba jasne!

- Nie można powiedzieć, żebyś miała czas na rozmowę - rzekł powoli. - W każdym razie, nie masz go zbyt często...

- Simon, to niesprawiedliwe! Wiesz, że mam rację!

- Może, ale taka jest prawda.

Elizabeth była bliska łez. Kochała Chadwick, nie tylko ze względu na urodę posiadłości, ale także z powodu wszystkiego, co dom reprezentował - beztroskie lata, kiedy była niewyobrażalnie szczęśliwa, przynajmniej tak jej się teraz wydawało. Chciała wrócić do tamtych lat, a w każdym razie do tego, co jej dały: do ciepła, poczucia bliskości, przekonana, że ona i Simon podążają w tym samym kierunku. Teraz nie mogła oprzeć się wrażeniu, że zgubili drogę, także do siebie, że błakają się samotnie po zimnym, pozbawionym jakichkolwiek drogowskazów terytorium.

- Mam czas na rozmowę - zaczęła. - Zwłaszcza gdy chodzi o coś ważnego...

- Naprawdę?

Wiedziała, co miał na myśli. Jej brak czasu stał się dla niego wymówką i w pewnym sensie rozumiała go i usprawiedliwiała.

- Poza tym, może nie zauważyłeś, że mam dość ważne stanowisko i zajmuję się całkiem sporą rodziną - dorzuciła.

- Nie mógłbym nie zauważyć, nie pozwoliłabyś mi na to.

- Ty draniu - powiedziała powoli. - Nawet nie myśl o sprzedaniu Chadwick! Na to także ci nie pozwolę!

Poszła na górę, żeby się spakować, a pół godziny później Simon wszedł do pokoju.

- Przepraszam - rzekł. - Bardzo cię przepraszam. Nie powinienem był powiedzieć czegoś takiego.

- Nie powinienesś.

- Fantastycznie radzisz sobie w pracy i w domu, i taka jest prawda. Nie zasługuję na ciebie. Och, Elizabeth - wyciągnął rękę i mocno chwycił jej dłoń. - Cała ta sytuacja jest bardzo smutna.

- Tak. - Zgadywała, że jej mąż ma na myśli coś więcej niż stratę Chadwick, coś więcej niż powiększający się dystans między nimi dwojgiem. - Denerwujesz się, prawda? Czy to z powodu tej historii z Lloyd'em?

- Tak.

- Rzeczywiście jest aż tak źle?

- Obawiam się, że będzie naprawdę źle.

- I nie możesz zwyczajnie wycofać się z tego? Zrezygnować z członkostwa, teraz, od razu?

- Absolutnie nie - odparł. - Zrobiłbym to bez chwili wahania, gdybym mógł, wierz mi.

Zdaniem dzieci była to najlepsza Gwiazdka w ich życiu; Debbie bardzo to denerwowało, wystarczyło, że pomyślała o wszystkich świętach, gdy harowała jak niewolnica, aby wypadły idealnie.

Byli w Walii, u Flory. Debbie nie miała zbyt wielkiej ochoty na tę wyprawę (oczywiście), natomiast dzieci i Richard wręcz przeciwnie, a Flora oświadczyła, że ich wizyta sprawi jej ogromną przyjemność, będzie też miała okazję podziękować za to, co zrobili. Poza tym rodzice Debbie wykupili wycieczkowy rejs na święta, nie miała więc żadnej wymówki i żadnego wyjścia.

Zresztą, rzeczywiście było cudownie - pasterka w przepięknym kościółku nad samym morzem w Oxwich, poranny spacer po plaży w Three Cliffs Bay, gdzie dzieci bawiły się godzinami, skacząc po kamieniach, świąteczna kolacja przy świecach... Naturalnie, następnego dnia dzieci były potężnie zmęczone, ale Debbie nie miała wątpliwości, że przeżyły coś wyjątkowego, coś, co na zawsze zapamiętają.

Flora sprzedała jednego konia, tego młodszego.

- Zrobiłam się trochę za stara dla niego - oznajmiła z lekko kpiącym uśmiechem. - A w następnym sezonie nie będę już polować, bo to strasznie droga impreza. Dalszy ciąg zaciskania pasa, sami rozumiecie... Liczy się każdy grosz.

Zdaniem Debbie zaciskanie pasa w wydaniu Flory nie było szczególnie nieprzyjemnym procesem, ale dobrze było mieć świadomość, że teściowa jest gotowa na pewne wyrzeczenia. Z drugiej strony, Debbie czuła lęk, że wkrótce może pojawić się konieczność dalszych oszczędności.

Święta w hotelu Diamond Bay na Barbadosie upłynęły we wspaniałej atmosferze. Klientela nie składała się z samej śmietanki towarzyskiej, w przeciwieństwie do Sandy Lane; w Diamond Bay zatrzymywali się głównie nowobogacy, którzy zrobili pieniądze za rządów Margaret Thatcher, ci, którzy praktycznie bez większego uszczerbku przetrwali krach w 1987 roku, ponieważ wprowadzili swoje firmy na giełdę na początku lat osiemdziesiątych, zdobyli miliony i wycofali się albo pojechali na fali wielkiego bumy rynku nieruchomości i we właściwym momencie zamknęli działalność. Wszyscy oni manifestowali ogromną, trudną do oszacowania wartość swoich majątków w postaci samochodów, ekskluzywnych motorówek, ślizgaczy, biżuterii oraz apartamentów, które rezerwowali w Diamond Bay na Boże Narodzenie i Nowy Rok.

Wcześniej Tim Allinson raczej nie chciałby przebywać w towarzystwie tych ludzi - pochodził z dobrej rodziny, odziedziczył majątek po wielu pokoleniach bogatych krewnych, był absolwentem Harrow, służył w Gwardii Królewskiej i mieszkał przy Belgrave Square. Wysoki, jasnowłosy, zawsze nienagannie ubrany i absolutnie czarujący, po odejściu z Gwardii pracował dla jednej z obsługujących eleganckich klientów agencji nieruchomości i zajmował się głównie wyławianiem zainteresowanych zakupami ze swojego imponująco dużego kręgu przyjaciół i znajomych w Londynie i na wsi. Jego specjalnością stało się „przedstawianie” lub „wprowadzanie”; w ciągu minionych dziesięciu lat osiągnął całkiem przyjemny drugi dochód, „wprowadzając” ludzi do Lloyd'sa, a konkretnie do gabinetu jednego z agentów firmy. Procent, jaki pobierał od tej działalności, wyglądał dość skromnie, ale duża liczba nowych

Nazwisk, które wprowadził do Lloyd'sa, w zasadniczej części finansowała jego styl życia.

Ostatnio interesy Lloyd'sa zaczęły się robić trochę ryzykowne, ale nadal można było spotkać sporo osób, które nie posiadały tej wiedzy; należeli do nich także liczni goście Diamond Bay, spragnieni nie tylko społecznej pozycji, ale także solidnego zabezpieczenia finansowego.

Tim przyjeżdżał do Diamond Bay jako specjalny gość właściciela hotelu, który miał świadomość, że ktoś tej klasy przydaje blasku jego firmie i nadaje jej elegancki ton - dzięki temu obaj byli bardzo zadowoleni z tego, co mieli sobie do zaoferowania. A w Nowy Rok, z uczuciem pewnej ulgi pakując się przed powrotem do domu, Tim Allinson miał w zanadrzu co najmniej dwa, trzy nazwiska, które mógł wprowadzić do elitarnego klubu Lloyd'sa.



# ROZDZIAŁ 4

*KWIECIEŃ 1989*

- Nie mogę powiedzieć mu w tym tygodniu, po prostu nie mogę. - Głos Lucindy wyraźnie drżał. - Byłoby to zbyt okrutne, Blue... Przykro mi. Dziś rano dostał list z Lloyd'sa i naprawdę się zdenerwował.

Blue wyprostował się w fotelu i poprawił słuchawkę telefonu, którą przytrzymał ramieniem.

- Z Lloyd's of London? Twój starszy jest Nazwiskiem, tak? Nie wiedziałem.

- Tak. I wygląda na to, że jego sytuacja jest niewesoła.

- No tak, należało się tego spodziewać - mruknął Blue.

- W zeszłym roku jego główny syndykat pierwszy raz poniósł straty. Nigel musiał wypisać czek na mniej więcej dziesięć tysięcy funtów, a w tym roku stracił dwa razy tyle. Nigel jest strasznie... - nagle przerwała. - Co powiedziałaś przed chwilą?

- Że można było się tego spodziewać. Straty muszą być duże, to oczywiste. Nie słyszałaś o azbesto-  
zie?

- Nie. Co to takiego?

- Masz ci los. Azbestoza to paskudna choroba, na którą zapadają robotnicy pracujący w tych dziedzinach przemysłu, gdzie wykorzystuje się azbest. Na przykład w budownictwie, przy produkcji samochodów oraz mebli. Azbestoza prowadzi do raka i wywołuje straszliwe spustoszenie w płucach.

- Nie rozumiem, co to ma wspólnego z Lloyd'sem...

- Bardzo dużo, Lucy, mój skarbie. Lloyd's jest ubezpieczycielem różnego rodzaju firm i pokrywa między innymi poniesione w pracy szkody fizyczne, tak się to chyba nazywa. Już od paru lat ludzie domagają się ogromnych odszkodowań od swoich pracodawców, a zaczęło się w Stanach. Te cholerne firmy w pełni zasługują na to, co je spotyka, bo zachowywały się niegodnie, próbowały zatuszować sprawę, wymigać się od odpowiedzialności. Tak czy inaczej, teraz to samo zacznie się tutaj. Kwoty odszkodowań sięgają podobno bilionów funtów i oczywiście Lloyd's poważnie ucierpi.

- Boże... Więc może być jeszcze gorzej?

- Nie ma tu żadnego „może”, złotko. Będzie gorzej i jeszcze gorzej. Rozważ, czy nie powinnaś się wycofać z całej tej sytuacji, teraz, jak najszybciej.

- Nie mogę, Blue! Jeszcze nie teraz, nie w tej chwili. Nigel tak strasznie się denerwuje.

Oto wyrok na mnie jako na matkę, pomyślała Elizabeth. Jak to możliwe, że nic nie wiedziałam, nie miałam pojęcia o tym, co się dzieje i...

Usłyszała trzask frontowych drzwi. Simon. Wrócił po trzydniowej podróży biznesowej do Francji. Elizabeth uznała, że powie mu, i to od razu. Na pewno będzie bardzo zaskoczony i sporą część winy zrzuci na nią.

Cisza. Simon przeglądał pocztę. Usłyszała, jak rozdierał koperty.

- Cholera - dobiegł ją stłumiony jęk. - Cholera jasna...

Wszedł do salonu, podszedł do barku i nalał sobie dużą whisky. Nie zauważył jej.

- Witaj - odezwała się.

- Elizabeth! Co robisz w domu o tej porze? Jesteś chora?

- Nie, czuję się całkiem dobrze. Simon, musimy porozmawiać.

- Zamierzałem powiedzieć dokładnie to samo. Ty pierwsza.

- Chodzi o Annabel. Wyrzucili ją ze szkoły.

- Wyrzucili?! Annabel?! Boże, to niemożliwe! Co takiego zrobiła? Przecież wróciła do szkoły dopiero tydzień temu!

- Wymknęła się z internatu, spędziła sobotnią noc w Londynie. Przyjechała do jakiegoś chłopaka - zawahała się, świadoma, że jej słowa nie przypadną Simonowi do gustu. - Do chłopaka, z którym najwyraźniej spotykała się już od pewnego czasu.

- O, mój Boże...

- Właśnie. Tak czy inaczej, musimy po nią pojechać.

- Dlaczego do nas nie zadzwonili, na miłość boską?! Wtedy, kiedy odkryli jej nieobecność?!

- Ponieważ sami nic nie wiedzieli - westchnęła Elizabeth. - Jej przyjaciółki świetnie ją kryły, zresztą w weekend jest to dość łatwe... Złapali ją wczoraj wieczorem, gdy próbowała ukradkiem dostać się do środka, z butelką szampana w plecaku i kilkoma skrętami na dodatek.

- Dobry Boże! A dlaczego wtedy nie dali nam znać?

- Powiedzieli mi, że chcieli doprowadzić dochodzenie do końca, wyjaśnić całą sytuację, upewnić się, że Annabel faktycznie zasłużyła na wydalenie.

- I upewnili się, prawda?

- Tak. No, chodź, powinniśmy już jechać!

- Teraz? - Simon nie krył zaskoczenia. - Do Somerset?

- Tak. Pomyślałam, że najlepiej będzie, jeżeli pojedziemy razem.

- Oczywiście. Chwileczkę, zmienię tylko koszulę. Po chwili zbiegł na dół i wsiedli do samochodu.

- Mam zupełnie nowe złe wiadomości - powiedział Simon, kiedy byli już na Cromwell Road. - Jeżeli jesteś w stanie ich wysłuchać...

- Jasne, mów!

Spojrzał na nią i po raz pierwszy tego wieczoru na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech.

- Muszę przyznać, że jesteś prawdziwym oparciem w kryzysowych sytuacjach - zauważył. - Zawsze tak było...

Mówił szczerze - Elizabeth nigdy nie wpadała w panikę ani nie płakała. Zachowywała spokój i nie traciła zdolności jasnego myślenia. Gdy Tilly doznała poważnej kontuzji po upadku z Boya, Elizabeth przyjęła tę wiadomość z godnością i odwagą. W taki sposób radziła sobie z życiem - ani na chwilę nie tracąc twarzy i nie psując swojego wizerunku w oczach innych.

- Wypróbuj mnie jeszcze raz - zaproponowała, również z uśmiechem.

- Dostałem list z Lloyd'sa. Drugi rok na minusie, ale teraz jest dużo gorzej. Będziemy musieli sprzedać Chadwick, nie ma wyjścia.

- Och, nie! Straty są aż tak duże? Ile tym razem?

- Koło czterdziestu pięciu tysięcy.

- Boże. - Potarła czoło otwartą dłonią, całkowicie oszołomiona. - To ogromna suma... Naprawdę ogromna. Mówiłeś przecież, że zgromadziłeś dodatkowe fundusze, aby pokryć ewentualne dalsze straty.

- Te fundusze okazały się za małe, obawiam się. - Simon starannie unikał jej wzroku.

- Nie możemy pożyczyć pieniędzy z banku?

- Raczej nie. I tak jestem już poważnie zapożyczony, bo w czasie krachu sporo straciłem na giełdzie. Teraz nikt nie udzieli nam kredytu. Poza tym, dużą sumę zainwestowałem w ten hotelowy biznes za granicą, pamiętasz? W firmę założoną przez Teda Rayne'a...

- Tę na Bahamach?

- Tak jest. Ted zbankrutował parę miesięcy temu.

- Nie mówiłeś mi o tym. Oczywiście nie poprawiłoby to sytuacji, ale...

- Wiem - rzekł Simon po chwili milczenia. - Powinienem być ci powiedzieć, przepraszam. Nie chciałem cię martwić. Sądziłem, że wszystko jakoś się ułoży, że giełda wróci do równowagi.

- I wróciła!

- Ale tylko do pewnego stopnia. Sytuacja w kraju jest zła, a Lawson koniecznie chce wprowadzić nas do ERM, co moim zdaniem byłoby katastrofalne. Jego polityka inflacyjna też nikogo nie zachwyca. Firmy bankrutują jedna za drugą, Lawson zupełnie nie może dojść do porozumienia z Thatcher. No, nieważne, powinienem był omówić to wszystko z tobą, i tyle. Bardzo cię przepraszam, naprawdę...

Elizabeth milczała chwilę.

- Wygląda na to, że niewiele możemy w tej sprawie zrobić - odezwała się w końcu. - Nie martw się, jakoś to będzie. Sądzisz, że uda nam się spędzić jeszcze jedno lato w Chadwick?

- Tak mi się wydaje...

- To już coś! Jesienią łatwiej będzie nam znieść to rozstanie, oczywiście wszystkim z wyjątkiem Tilly. Postarajmy się nie mówić o tym dzieciom tak długo, jak długo będzie to możliwe, dobrze?

- Oczywiście. - Simon rzucił żonie swój pełen uroku uśmiech, wyciągnął rękę i na moment chwycił jej dłoń. - Dziękuję, kochanie.

- Za co?

- Za to, że nie obarczasz mnie odpowiedzialnością za ten bałagan.

- Przecież to nie twoja wina. Poza tym nie zapominajmy, że mamy za sobą kilka naprawdę świetnych lat. Gdyby nie dochody z Lloyd'sa, w ogóle nie kupilibyśmy Chadwick. - Elizabeth nagle zdała sobie sprawę, że pierwszy raz od dawna czuje prawdziwą bliskość z mężem i zamiast buntować się przeciwko

niemu, próbowała go pocieszyć. - Zresztą sprawa z Annabel pomaga mi spojrzeć na to wszystko z innej perspektywy, naprawdę - dodała. - No i przecież nie głodujemy, na miłość boską.

- Jeszcze nie - pokiwał głową Simon.

\* \* \*

W następnych dniach ze wszystkich sił starał się nie tracić pogody ducha, lecz erozja jego osobistego dziedzictwa mocno go bolała. Simon nie mógł poszczycić się pochodzeniem z dobrej, starej rodziny; jego ojciec oszczędzał i stawał na głowie, aby posłać do prywatnej szkoły błyskotliwego, przystojnego i już od najmłodszych lat uroczego syna, ponieważ zależało mu, aby mały zdobył pewność siebie, akcent i maniery, których on sam uczył się z takim bólem.

Simon ukończył Charterhouse, potem Oksford i rozpoczął pracę w londyńskim City. Był wschodzącą gwiazdą biznesu i w ciągu kilku lat zrobił majątek. Jako chłopiec nienawidził porównań między pięknymi domami swoich szkolnych kolegów i własnym, zawsze dość skromnym; bardzo krępowało go, że przyjmując zaproszenia, nie może się odzwajemnić. Bardzo kochał rodziców, ale doświadczał też uczuć, które nękały wszystkie dzieci w podobnej sytuacji - w najlepszym razie zażenowania, w najgorszym wstydu. Dlatego symbole zdobytego ciężką pracą bogactwa były dla niego podwójnie ważne i cenne.

I dlatego świadomość ich utraty, oraz wpływu tej sytuacji na jego dzieci, wydawała mu się tak trudna do zniesienia.

Flora siedziała nieruchomo, wpatrzona w list. Firma Lloyd's znowu żądała pieniędzy, tym razem prawdopodobnie dwukrotnie wyższej sumy. Flora zupełnie nie rozumiała, jak mogła być aż tak głupia i naiwna. Jak? Dlaczego pozwoliła, aby William zrobił jej coś takiego, aby uczynił ją Nazwiskiem?

- Namawiają mnie, żebym został Nazwiskiem - oznajmił piętnaście lat wcześniej. - Wydaje mi się, że to znakomity pomysł, ale oczywiście istnieje pewne ryzyko i dlatego wołałbym, żebyś to ty weszła do klubu, oczywiście, jeśli się zgodzisz. W ten sposób nigdy nie groziłoby nam bankructwo. Nie masz żadnych pieniędzy, a dom nie jest zapisany na ciebie, więc bylibyśmy całkowicie bezpieczni. Przeleję na twój rachunek dokładnie tyle pieniędzy, żebyś mogła zostać Nazwiskiem. Kiedy mnie zabraknie, przyda ci się dodatkowa emerytura. Co ty na to?

Bez szczególnego entuzjazmu podeszła do jego propozycji. Od początku była nieco podejrzliwie nastawiona do tej sprawy z Lloyd'sem, nie ufała założeniu, że można dostać coś za nic, a jej wizyta w siedzibie firmy w dniu, kiedy została dopuszczona do członkostwa, bynajmniej nie wpłynęła na zmianę tej opinii. Edward Trafford Smythe, agent Klubu Członków, który namówił jej męża na tę imprezę, nie zrobił na niej najlepszego wrażenia - był dalekim kuzynem Williama i zdaniem Flory byłoby lepiej, gdyby ich kontakty w dalszym ciągu pozostały bardzo, ale to bardzo luźne.

Jednak niezależnie od złych przeczuć, musiała przyznać, że w ciągu ostatniej dekady członkostwo w Lloyd'sie okazało się doskonałym źródłem dochodów. Co roku w czerwcu lub lipcu otrzymywała czek opiewający na sporą sumę, nie astronomiczną, ale zawsze mile widzianą. Dzięki tym czekom kupili duży pakiet akcji giełdowych, konie, sprzęt do polowań oraz wspaniałe wycieczki do Afryki Południowej i Indii.

No i dom pochłaniał mnóstwo pieniędzy, zwłaszcza że parę lat temu musieli poddać konserwacji wszystkie części drewniane, a potem wymienili dach...

- Pieniądze z dobrego starego Lloyd'sa pokryją te wydatki - powtarzał William i miał rację.

Pojawiła się też możliwość zakupu graniczących z ich posiadłością gruntów, z której skwapliwie skorzystali - było to rozległe pole, schodzące aż do szczytu skał w Broken Bay, „Pękniętej Zatoce”, zwanej tak z powodu trzech ogromnych, poszarpanych skał, spoczywających na samym środku plaży, zupełnie jakby ktoś zrzucił je z dużej wysokości, zakłócających gładką krzywiznę łuku zatoki. Flora uwielbiała to pole. Nazwała je „Łąką” i nie chciała wypasać tam ani owiec, ani koni, zachowała je w stanie naturalnym, porośnięte dzikimi kwiatami i bujną trawą. Na samej granicy pola stały trzy rozpadające się kamienne budynki, w których poprzedni właściciel trzymał owce, lecz ich widok wcale nie psuł urody pięknego miejsca, a raczej ją wzbogacał, ponieważ jedna z szop porastała pnąca dzika róża, a pozostałe prawie skrywały krzewy jałowca i pękatych iglaków. Kiedy na początku lata Flora szła przez pole, motyle wzbijały się wokół niej w powietrze gęstymi chmurami, nocą zaś przez otwarte okna dobiegało pohukiwanie sów, polujących na krety i myszy. Jesienią razem z wnukami zbierała jeżyny z krzaków wytyczających granice pola i przerabiała soczyste, aromatyczne owoce na dżem, galaretkę i nadzienie do ciasta.

Kiedy owdowiała, dom stał się jej własnością, podobnie jak emerytura Williama, jego pakiet udziałów i lwia część kapitału, i teraz wszystko wskazywało na to, że te aktywa pochłonie mała, lecz niemożliwa do załatwienia dziura, czyli Lloyd's. Dzień po otrzymaniu listu, drugiego kwietnia, wybrała się na długi spacer plażą aż do Tor Bay. W zatoce usiadła na skałach i długo wpatrywała się w morze, próbując przewidzieć, jak dużej części majątku będzie musiała się pozbyć. Jej szczęście było nierozzerwalnie związane z tym miejscem - z huczącym morzem, leniwie przewalającymi się falami, wiatrem, sztormami, wysoko sklepionym błękitnym niebem. Nosila to wszystko w sobie i wiedziała, że bez swego domu i morza najzwyczajniej w świecie nie potrafi żyć.

Miała świadomość, że w tym roku jakoś sobie jeszcze poradzi. Oczywiście będzie musiała znowu prosić syna i synową, aby wzięli na siebie opłaty za szkoły dzieci, najprawdopodobniej przyjdzie jej też sprzedać cały pakiet akcji, naturalnie ze stratą, i może jeszcze kilka obrazów, ale powinna sobie poradzić. Tylko co dalej? Co będzie w przyszłym roku? I w następnym? Co jej zabiorą? Ziemię? Dom? Wszystkie pieniądze? Dokąd pójdzie, co będzie robić? I nagle Florę, kobietę o niewyczerpanej energii i lwim sercu, ogarnęło przerażenie. Była przestraszona i potwornie zmęczona. Nie mogła przecież stracić wszystkiego, co było tak drogie jej sercu. Wolałaby umrzeć.

# ROZDZIAŁ 5

*MAJ 1989*

- Zdecydowałam już, co chcę robić! - Annabel uśmiechnęła się do rodziców ponad zastawionym do kolacji stołem.

Simon był zachwycony. Wreszcie coś pozytywnego.

- Cudownie, kochanie! Więc co?

Po wydaleniu Annabel ze szkoły przeżyli kilka trudnych tygodni. Najpierw dziewczyna szalała - właściwie można by pomyśleć, że winę za całą sytuację ponosi szkoła, nie ona. Za żadne skarby nie chciała przyjąć do wiadomości, że to, co zrobiła, zasługiwało na karę. Przeprosiła rodziców, ale uparcie powtarzała, że szkołę prowadzi stado starych krów, które nigdy nie miały kontaktu z rzeczywistością.

- Mam siedemnaście lat, na miłość boską! Dlaczego wszystkie mamy żyć jak mniszki?! To żalosne!

Początkowo twierdziła też, że przeprowadzi się do Dana.

- Ma bardzo przyjemne mieszkanie w Pimlico, nad samą rzeką...

- I to właśnie tam spędziłaś sobotnią noc?

- Tak, tam!

- Jak długo trwa wasz związek? - zapytał Simon.

- Przecież wiecie, bo panna Durna...

- Nie nazywaj jej tak!

- Przepraszam... Panna Balls opowiedziała wam wszystko w czasie tej miłej pogawędki, którą z nią odbyliście, prawda?

- Annabel! - W głosie Elizabeth zabrzmiała ostra nuta. - Staramy się ciebie zrozumieć, ale jeżeli nie postarasz się z nami współpracować, zaczniemy traktować cię inaczej, na pewno nie w tak wyrozumiały sposób.

- A czy na pewno zauważę różnicę? - warknęła Annabel.

Później było trochę lepiej - Annabel próbowała wyjaśnić, że w żeńskiej szkole z internatem dosłownie się dusiła, że naprawdę zakochała się w Danie, który był wyjątkowym człowiekiem, że powiedziałyby o nim rodzicom, gdyby nie bała się ich dezaprobaty, że przecież i tak nigdy nie mieli dla niej czasu, że nigdy nie mogła z żadnym z nich spokojnie porozmawiać. Pełni wyrzutów sumienia, nawet nie starali się zaprzeczać. Jeszcze trochę później Annabel znowu przeprosiła, wyznała, że nie to miała na myśli, oni zaś ciągle zapewniali ją, że bardzo ją kochają i chcą wiedzieć, co się z nią dzieje i jakie ma plany na przyszłość.

Annabel oświadczyła, że poszuka pracy.

- Żeby zapłacić za swoje utrzymanie - powiedziała.

Bardzo krótko pracowała jako kelnerka w kawiarni Jigsaw, ale serdecznie nienawidziła tego zajęcia i o mało nie umarła z nudów. Elizabeth i Simon zaproponowali, żeby zapisała się do jakiejś szkoły wieczorowej i w następnym roku przystąpiła do egzaminów. Annabel obiecała, że zastanowi się nad tym, ale nie ma na to wielkiej ochoty.

- Chcę po prostu żyć własnym życiem - poinformowała ich.

Simon odparł (dość szorstkim tonem), że większość ludzi musi pracować, aby po prostu żyć własnym życiem.

Związek z Danem wypalił się powoli, pozbawiony blasku nielegalnego romansu, i po pewnym czasie Annabel doszła do wniosku, że jej ukochany jest nudny, a nawet trochę głupi.

- Przynajmniej tyle dobrego - powiedziała Elizabeth do Simona.

I oto teraz Annabel wyjawiała im, że wytyczyła już swoją dalszą życiową drogę.

- Nie trzymaj nas w napięciu - uśmiechnął się Simon. - Co wymyśliłeś? Chcesz pójść na Sorbonę, jak Miranda czy...

- Nie, nie, to w ogóle nie będzie was nic kosztowało! Chodzi o to, że... Że chcę zostać fryzjerką...

Annabel wyrzuciła z siebie te słowa gwałtownie, bardzo szybko, jakby obawiała się, że rodzice powstrzymają ją, jeżeli im na to pozwoli.

- Fryzjerką?! Annabel, nie możesz zostać fryzjerką!

- Dlaczego nie?

- Po prostu... Po prostu nie możesz! To nie jest zawód, jaki mogłabyś... Jaki chcielibyśmy... - głos Elizabeth ucichł nagle.

- To nie jest zawód dla mnie, to chciałaś powiedzieć? Mamo, mówisz to w taki sposób, jakbym chciała zostać prostytutką! Co złego widzisz w pracy fryzjerki?

- Ależ nic, kochanie. Wolałabym tylko...

- Co? Słuchajcie, przecież powinniście być zadowoleni! Znalazłam zajęcie, które naprawdę mi odpowiada!

- Skąd wiesz, że rzeczywiście chcesz to robić?

- W zeszłym tygodniu w klubie Jigsaw odbył się pokaz mody. Rozmawiałam z facetem, który czesał modelki, był wspaniały! Czesanie jest super, jestem pewna, że byłabym w tym dobra. Uwielbiam czesać siebie i Tilly, często wymyślałam też fryzury dla dziewczyn w szkole.

- Annabel, nie zostaniesz fryzjerką - oznajmił Simon zdecydowanym tonem. - Nie po to wydałem majątek na twoją edukację, żebyś przez resztę życia szczotkowała ludziom włosy!

- Fryzjerstwo wcale nie polega na szczotkowaniu włosów! Trzeba nieźle się napracować, żeby włosy dobrze wyglądały, dobrać każdemu fryzurę najbardziej odpowiednią do urody i stylu ubierania się, i tak dalej! Moim zdaniem to wspaniała praca! Nie będzie was to kosztowało nawet grosza, więc nie rozumiem, o co właściwie wam chodzi!

- Kochanie - odezwała się Elizabeth. - To na pewno świetny zawód, ale nie bardzo... Nie bardzo...

- Nie bardzo co? Och, już kapuję! Nie bardzo imponujący, tak? W tym sęk? Nie jest to coś, o czym moglibyście opowiadać znajomym! Cóż, chyba jednak będziecie musieli się z tym pogodzić, bo ja naprawdę zamierzam zostać fryzjerką, i tyle!

- Annabel...

- To po prostu żalosne, wiecie? Nie sądziłam, że aż takie z was snoby! Poza tym, jakoś nie widzę, żebyście byli tacy strasznie szczęśliwi w swojej pracy. Tata zamartwia się, że wszystko straci, a mama trzęsie się, że straci klientów i zlecenia! Może nie zauważyliście, ale świat naprawdę się zmienił! Mnóstwo fryzjerów zarabia fantastyczne pieniądze, na pewno większe niż wy! Chyba słyszeliście o Nickym Clarke'u albo Johnie Friedzie? Powinniście się cieszyć, że chcę zacząć normalnie żyć i robić coś konkretnego, zamiast przez następne cztery lata studiować bzdury, które w ogóle mnie nie interesują i nic mi nie dadzą! Tak czy inaczej, będę fryzjerką, i już! Jutro jestem umówiona na rozmowę w sprawie pracy i jeżeli zaproponują mi praktykę w zakładzie, zgodzę się bez mrugnięcia okiem!

Zerwała się od stołu i wyszła, z rozmachem trzaskając drzwiami.

\* \* \*

Debbie pakowała właśnie do pralki kostiumy kąpielowe dzieci, kiedy zadzwonił telefon.

- Dzień dobry, moja droga, tu Flora...

- O, dzień dobry! Jak się masz, Floro? Dać ci Richarda?

- Tak, jeżeli możesz... Nie zajmę mu dużo czasu, bo pewnie jest bardzo zajęty.

- Średnio - rzuciła Debbie, zerkając na Richarda, który sennie kiwał się nad planszą monopolu. - Richard, twoja mama!

Wstał i wziął słuchawkę.

- Halo? Nie, oczywiście, wszystko w porządku! Właśnie wróciliśmy z pikniku i... Chwileczkę, pójdę do gabinetu, tam jest ciszej.

Nie było go dość długo, ponad dziesięć minut. Kiedy wrócił, obdarzył Debbie roztargnionym uśmiechem.

- Przepraszam, kochanie.

- O co chodziło? O wakacje?

- Nie, nie, chciała tylko powiedzieć mi o spotkaniu ze swoim agentem.

„Agent”, „Nazwisko”, „Syndykat” - wszystko to były określenia ze słowniczka Lloyd'sa, które Debbie знаła jedynie ze słyszenia. Ostatnio Richard kilka razy mówił jej, że sytuacja Lloyd'sa znacznie się poprawiła, a ją nic więcej nie interesowało.

- Rozumiem... W porządku.

- I oczywiście wspomniała o wakacjach. Powiedziała, że nie może się już doczekać przyjazdu dzieci. Zapewniłem ją, że my także...

Flora zgłosiła chęć zajęcia się całą trójką przez tydzień w sierpniu, zupełnie sama. Debbie i Richard mieli przed sobą cudowne siedem dni tylko we dwoje - zamierzali pojechać do Szkocji. Zastanawiali się,



czy nie wybrać się do Florencji albo do Rzymu, uznali jednak, że na południu Europy w sierpniu na pewno będzie potwornie gorąco, że taka wycieczka mimo wszystko przekracza ich możliwości finansowe, a zresztą gdyby któremuś z dzieci coś się stało (Debbie starała się o tym nie myśleć, ale wyobraźnia podsuwała jej obrazy złamanych kończyn, nieszczęśliwych upadków, skurczów mięśni w zimnej wodzie, i tak dalej, i tak dalej), dużo łatwiej i szybciej dotarliby do Walii ze Szkocji.

- Nie martwi się już chyba tą sprawą z Lloyd'em? - zagadnęła nagle, przerywając obieranie ziemniaków.

- Skądże znowu - odparł Richard.

Debbie miała wrażenie, że zwlekał z odpowiedzią parę sekund za długo, lecz w tej samej chwili Rachel spadła z krzesła i uderzyła głową o kant stołu. Debbie przypomniała sobie o wahaniu w głosie Richarda znacznie później, kiedy wszyscy byli już w łóżkach, pomyślała jednak, że pewnie było to tylko złudzenie. Nie sądziła, aby Richard, najbardziej uczciwy człowiek jakiego znała, szczerzy aż do bólu, mógł świadomie okłamać ją w tak ważnej kwestii.

## ROZDZIAŁ 6

*LIPIEC 1989*

Annabel nigdy wcześniej nie myślała o swoich stopach. Istniały po to, aby wkładać na nie ładne buty i nosić ją po świecie, tymczasem teraz stały się najważniejszą częścią ciała. Bolały, i to bez przerwy, szczególnie pięty, które po prostu pulsowały z bólu. To przez ten ból Annabel wydawało się, że jest potwornie ciężka, że waży dużo więcej niż sześćdziesiąt kilo. Czasami spoglądała na swoje odbicie w jednym z ogromnych luster w salonie fryzjerskim i ze zdziwieniem konstatowała, że nadal jest taka sama, wcale nie grubsza - była blada i zmęczona, to prawda, bo ostatnio bardzo rzadko przebywała na świeżym powietrzu, a jej ściągnięte w koński ogon włosy z każdym tygodniem stawały się coraz jaśniejsze, ponieważ pozwalała wykorzystywać je jako model do rozjaśniania, i tyle. Nosila czarno-biały mundurek, jej biedne, wiecznie obolałe i obrzmiałe stopy tkwiły w białych lub czarnych pantoflach firmy Anello & Davide. Skórę dłoni miała mocno podrażnioną, bo stale moczyła je w wodzie, a pojawiającą się co jakiś czas wysypkę zwalczała sterydowym kremem. Bolały ją także plecy, no i głowa, zwłaszcza pod koniec zmiany, dziewięcio- lub dziesięciogodzinnej; godziny pracy w salonie stały w oczywistej sprzeczności z kodeksem prawa pracy, ale kto by tam je liczył... Annabel była głęboko przekonana, że dzięki niej producenci przeciwbólowego paracetamolu mają się po prostu świetnie, a kiedy jej zmęczenie osiągało apogeum, co zdarzało się codziennie, dzwoniło jej też w uszach.

Dostała pracę jako uczennica w salonie Mikiego Wallace'a, jednym z najmodniejszych w Londynie, i wiedziała, że może uważać się za szczęściarę. Czasami uwielbiała swoją pracę, czasami jej nienawidziła, ale nigdy nawet nie przyszło jej do głowy, że mogłaby ją rzucić. Zdawała sobie sprawę, że taka decyzja

zachwyciłaby rodziców, to po pierwsze, a po drugie, obiecała sobie, że odniesie sukces. Nie zapomniała tamtego wspaniałego wieczoru w Jigsaw, kiedy obserwowała, jak dwójka stylistów układa, skręca i rzeźbi z włosów najrozmaitsze kształty, przeistaczając modelki z dość przeciętnych dziewczyn w egzotyczne istoty, prawie dzieła sztuki. Codziennie widziała też, jak zupełnie zwyczajne kobiety siadają przed lustrem w salonie Mikiego i po pewnym czasie stają się olśniewającymi pięknosciami, co prawda tylko na jeden wieczór, dzień czy imprezę, ale jednak... Odkryła, że fryzura stanowi niezwykle ważne określenie i podkreślenie osobowości, ważniejsze niż makijaż czy strój. Style fryzur były bardzo różnorodne, lecz równie rozpoznawalne jak szerokie ramiona żakietów i sukienek czy bardzo wysokie obcasy; gładki „paż” kobiet biznesu, długie, warstwowo cieniowane loki artystki, tapirowana głowa damy zajętej głównie chodzeniem na lunch do modnych lokali - wszystkie te fryzury dzień w dzień wykonywano w salonie z perfekcyjną dbałością, ale i wyobraźnią. Jedną z najważniejszych rzeczy, jakich już zdążyła nauczyć się Annabel, była dość oczywista prawda, że stylistą najpierw opanowuje styl, a potem nadaje mu swój osobisty sznyt.

Salon znajdował się w Belgravii, tuż obok West Halkin Street. Był na tyle niewielki, aby zyskać miano ekskluzywnego, na tyle duży, aby przyjąć sporo osób, i położony dość blisko West Endu, aby przyciągnąć klientki z pracującej społeczności, nie tylko umawiające się tu na lunch damy. Miki obiecywał swoim klientkom i klientom, że u niego nikt nie czeka na czesanie dłużej niż dziesięć minut i zwykle dotrzymywał słowa.

Miki był uważany za jednego z „wielkich” fryzjerów-stylistów, równie wybitnego jak Michaeljohn, Daniel Galvin i John Frieda; był inteligentny i zabawny i Annabel po prostu go uwielbiała. Niezbyt wysoki, zaledwie parę centymetrów wyższy od niej, miał dość długie ciemne włosy i płomienne ciemne oczy, a także stałego chłopaka, choć sprawiał wrażenie heteroseksualisty. Rozmowy między Mikim i kobietami, które miały szczęście zaliczać się do jego osobistych klientek, nigdy nie były rozchichotane i po gejowsku plotkarskie, ale poważne i bardzo konkretne. Inni styliści w jego salonie byli bardziej zabawni i rozgadani; niektórzy z nich byli gejami, inni nie, lecz Annabel darzyła ich wszystkich ogromną sympatią. Sama była czymś w rodzaju lokalnej ciekawostki i dobrze o tym wiedziała; od pierwszego dnia pracy, kiedy zjawiała się w zakładzie mocno zdenerwowana, dość formalnie ubrana w czerwoną sukienkę i żakiet firmy Jigsaw, i przedstawiła się swoim wyraźnie świadczącym o pochodzeniu głosem, stała się obiektem obserwacji. Najpierw wszyscy podśmiewali się z niej trochę, kiedy zaś przetrwała ten okres, nieustannie dowodząc, że jest osobą obdarzoną niezniszczalnym poczuciem humoru, dalej z lekką kpina nazywali ją „Panienką”.

- Aby na pewno nie jesteś klientką, która trafiła tu tylko przez pomyłkę? - zapytała tamtego pierwszego dnia Carol, ostra, drobniutka dziewczyna z Croydon.

- Na pewno - odparła Annabel. - Przyszłam tu do pracy, chociaż oczywiście moja mama mogłaby tu przyjść jako klientka.

Zaprzyjaźniła się z Carol; dzieliły się kanapkami, zamieniały zmianami, kryły swoje pomyłki i wypróbowały nowe fryzury na swoich głowach. Jeśli chodzi o pochodzenie i wykształcenie, dzieliło je bardzo dużo, łączyła jednak identyczna ambicja, upór i zdolność do wyjątkowo ciężkiej pracy.

Tania, szefowa salonu, zajmująca się opieką nad uczniami i uczennicami, wysoka, wyluzowana, z pomalowanymi szkarłatnym lakierem długimi paznokciami, tamtego dnia zaprowadziła Annabel do pokoju dla personelu. Przedstawiła ją innym i udzieliła skróconej lekcji zachowania w zakładzie.

- Uśmiechaj się, uprzejmie witaj klientki, nie skupiaj uwagi na sobie, bądź uprzedzająco grzeczna wobec stylistów i wykonuj ich polecenia. Co jeszcze? Klient zawsze ma rację i od tego „zawsze” nie ma wyjątków. Jeżeli klientka rzuci w ciebie szczotką, co już się nam zdarzało, uśmiechnij się i powiedz: „Dziękuję bardzo!”.

Tania zaproponowała też Annabel, aby przedstawiała się jako „Bel”, bo jej imię jest trochę za długie, kazała jej się przebrać i oświadczyła, że od razu rzuci ją na głęboką wodę, bo tego dnia troje uczniów nie stawilo się do pracy. Ubrana w czarne spodnie i białą koszulową bluzkę Annabel dostała szczotkę do ręki oraz polecenie, aby zamiotła salon.

- Ale podłoga jest zupełnie czysta - zauważyła Annabel.

- Za dziesięć minut już nie będzie czysta - powiedziała Tania.

I rzeczywiście, Annabel szybko zrozumiała, że będzie musiała bardzo się starać, aby utrzymać czystość w salonie - kiedy tylko zdążyła zamieść i przemyć mopem podłogę dookoła fotela jednej klientki, natychmiast musiała przenosić się w inne miejsce.

Tania przysłała po nią o dwunastej.

- Dam ci teraz szybką lekcję pelerynowania, Bel - oznajmiła.

- Czego? - spytała Annabel.

- Pelerynowania. To bardzo ważna rzecz. Weź tę - podała dziewczynie pelerynkę z czarnego nylonu. - I wyobraź sobie, że jestem klientką. Najpierw mnie witasz, przedstawiasz się, potem prowadzisz do mycia albo do stylisty i pomagasz mi włożyć pelerynę. Postaraj się, żebyś poczuła się mile widziana, zadowolona, że tutaj jestem, bądź uprzejma, ale nie narzucająca się.

Annabel uśmiechnęła się pokornie. Może faktycznie niektórych ludzi trzeba było uczyć takich rzeczy, chociaż jej samej wydawało się to mało prawdopodobne... Tak czy inaczej, rozumiała także, że w żadnym razie nie powinna mówić tego Tani.

Najgorsze chwile przeżywała wtedy, gdy do salonu przychodziły matki jej przyjaciółek albo przyjaciółki jej matki.

- Annabel, skarbie, co ty tutaj robisz, na miłość boską? - wołały do niej głośno.

Często musiała podchodzić do nich, aby się przywitać, zdarzało się też, że zrywały się z fotela, aby ją ucałować. Było to nie tylko ogromnie krępujące i całkowicie sprzeczne z zawodowymi zasadami („nigdy nie całuj klientki ani jej nie obejmuj, nawet jeżeli ona wyraźnie na to nalega”), ale także ośmieszało ją w oczach kolegów i koleżanek.

- Annabel, skahbie! - witali ją, kiedy wchodziła do pokoju dla personelu. - Och, przecież to Annabel! Co tu rrobisz, kochanie?

Mimo tych kpinek wszyscy raczej ją lubili i akceptowali, chociaż nie kryli ciekawości, w jakich okolicznościach i dlaczego podjęła pracę. Annabel nie zamierzała nikomu wyjaśniać, że została wyrzucona ze szkoły, zwierzyła się jednak Carol, która natychmiast puściła informację w obieg. W rezultacie reputacja i popularność Annabel uległy zdecydowanej poprawie.

Gdy zadzwonił telefon, Simon siedział za biurkiem, pochłonięty wynikami Nikkei, japońskiej giełdy, i pozornie niepowstrzymanym wzrostem wartości akcji.

- Simon Beaumont?

- Tak.

- Nie zna mnie pan, ale pańska żona powiedziała, że nie będzie mi pan miał za złe, jeśli zatelefonuję. Nazywam się Neil Lawrence i...

- Och, tak, oczywiście, przypominam sobie! Miło mi, że zechciał pan zadzwonić!

Elizabeth opowiadała mu o Neilu Lawrensie.

- Spotkałam go na imprezie reklamowej w Hiltonie. Jest szefem działu marketingu u Maxwella, wiesz, to ci producenci artykułów spożywczych. Zazwyczaj jest strasznie sztywny i oficjalny, ale tym razem strasznie się upił w barze po kolacji i wspomniął, że „ma niezłą zabawę” z Lloyd'sem. Powiedziałam mu, że ty także, a później już nie byłam w stanie go powstrzymać. Gadał jak najęty. Musiał sprzedać dużo akcji i dom we Włoszech, a mimo tego boi się, że będzie musiał zabrać dzieci z prywatnych szkół. Jest zdesperowany. Opowiedziałam mu o tobie i naszej sytuacji, a wtedy on zapytał, czy mógłby z tobą porozmawiać. Zadzwoni do ciebie, to bardzo miły facet.

Simon zaprosił Neila na drinka. Nowy znajomy od razu zdobył jego sympatię - był spokojny, prawie nieśmiały i głęboko zażenowany tym, co zrobił.

- Nie mogę uwierzyć, że byłem aż tak głupi - powiedział, w rekordowym tempie wychylając duży kieliszek czerwonego wina i prosząc o powtórne napełnienie. - Po śmierci ojca odziedziczyłem pewną sumę i wtedy na przyjęciu spotkałem tego gościa... Zacząłem z nim rozmawiać, zapytał, czy myślałem o tym, aby zostać Nazwiskiem. Muszę przyznać, że ta propozycja...

- Nie musi pan kończyć - pokiwał głową Simon. - Ta propozycja bardzo panu pochlebiła.

- Tak jest! Wiem, że to żałosne, ale nic nie mogę na to poradzić!

- Jak nazywał się ten człowiek? Pytam na wszelki wypadek, żeby w razie czego nie dać się wciągnąć w rozmowę, albo odwrotnie, kopnąć go w jaja...

- Allinson. Tim Allinson. Klasyczny gość z dobrej rodziny, absolwent Harrow, były oficer Gwardii Królewskiej, absolutnie czarujący. Spotkał go pan kiedyś?

- Nie.

- Cóż, Allinson przedstawił mnie komuś z Lloyd'sa - ciągnął Lawrence. - Byłem pod wrażeniem, pomyślałem, że miałbym dodatkowe pieniądze na szkoły i tak dalej. Mam czworo dzieci, więc... Tak czy inaczej, nie mam pojęcia, co robić. Moja żona o niczym nie wie.

Wcisnął sobie do ust garść prażonych orzeszków. Był bardzo chudy; Simonowi przemknęła myśl, czy jego rozmówca nie oszczędza na jedzeniu.

- Jak to, nie powiedział jej pan?

- Nie, nie mogę tego zrobić. Moja żona jest dość nerwową osobą i na pewno nie poradziłaby sobie z taką sytuacją. Na razie udaje mi się jakoś spłacać należności, ale... Boże, nie mówiłem o tym nikomu do czasu, kiedy spotkałem pańską żonę. Jej powiedziałem wszystko i poczułem ogromną ulgę.

Simon milczał, głęboko poruszony. Bez słowa wpatrywał się w Lawrence'a i myślał o tym, jak straszne muszą być dla niego nocne godziny, kiedy nie może zasnąć. On miał Elizabeth i mógł z nią porozmawiać, oczywiście wtedy, gdy była w domu.

- Pana żona jest taka energiczna - westchnął Lawrence. - I naturalnie jej zarobki są dla was dużą pomocą. To po prostu wspaniałe. Amanda nigdy nie pracowała i...

- Przecież i tak niedługo się dowie, jak wygląda wasza sytuacja - zauważył Simon. - Słyszałem, że musiał pan sprzedać dom we Włoszech.

- Czekam na kupca, ale jak na razie nie dostałem wielu ofert. Na samą myśl o następnym liście z Lloyd'sa robi mi się niedobrze ze strachu. Ten Allinson ma sporo na sumieniu, słowo daję. Z drugiej strony... Cóż, może wszystko dobrze się skończy, nie sądzi pan? Mój agent był dobrej myśli.

- Mój także - rzekł Simon.

Zamówił drugą butelkę wina. Wyglądało na to, że tylko tyle może zrobić dla Neila Lawrence'a.

Alan Richards od pięciu lat pracował jako urzędnik w pracującej dla Lloyd'sa agencji Jackson & Bond, Members' Agents. Był bardzo ambitny i niedawno dowiedział się, że być może za jakiś rok czy dwa lata dostanie własną teczkę Członków. Kochał swoją pracę i zagadnienie ubezpieczeń jako takie; ludzie uważali, że to potworne nudy, lecz Alan Richards starał się uświadomić im, jakie uczucie towarzyszy pracy w samym sercu globalnych ubezpieczeń, w miejscu, gdzie prawie można poczuć zapach pieniędzy, którymi opłaca się narastającą powódź wniosków o odszkodowania, pieniędzy, których nikt nigdy nie widział, nawet w Lloyd'sie, ponieważ są obecne jedynie w postaci listów kredytowych i dokumentów bankowych, lecz wcześniej czy później, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, materializują się nie tylko jako wypłaty odszkodowań, ale także jako odpowiednio duże kwoty na kontach bankowych ludzi, którzy wcześniej zdecydowali się powierzyć je firmie Lloyd's. Heather, dziewczyna Richardsa, nie widziała w tym procesie nic ciekawego, a już z pewnością ekscytującego. Pracowała w banku w Esher i powtarzała, że swoją pracę doskonale rozumie, ponieważ operacje bankowe są proste - ludzie wpłacają pieniądze, czekiem albo gotówką, bank obraca tymi kwotami i wypłaca klientom procent za okres „przechowania” pieniędzy, a jeśli klienci chcą odzyskać pieniądze, dostają je z powrotem.

- A ta twoja praca trochę przypomina magiczne sztuczki, wiesz? - mawiała.

Alan zaprzeczał, lecz rozumiał, skąd bierze się to przekonanie. Uwielbiał siedzibę Lloyd'sa, a szczególnie główną salę - brokerzy tłoczyli się przy biurkach agentów ubezpieczeniowych, aby przedstawić im propozycje i sprzedać je, natomiast „kelnerzy”, jak ich nazywano, ubrani w czerwone marynarki,

kierowali klientów do właściwych stanowisk. Na podium na środku sali stał wielki dzwon Lutine Bell, którym nadal „oddzwaniano” bardzo ważne okazje i ceremonie.

- Dawniej dzwonił, aby ostrzec agentów o opóźnieniu statków - poinformował nieszczerze przejętą Heather. - A straty nadal wpisuje się do oficjalnej księgi strat prawdziwym gęsim piórem - dorzucił.

Był naprawdę dumny, że pracuje dla tak niezwykłej instytucji.

I nigdy nie kwestionował wewnętrznych machinacji Lloyd'sa; wiedział, że sytuacja rynkowa jest bardzo trudna i że Nazwiska, a w każdym razie pewna ich część, przeżywają ciężkie chwile, tłumaczył sobie jednak, że wcześniej ludzie ci przez całe dziesięciolecia korzystali z zysków, jakie proponowano im w Lloyd'sie. Raz na wozie, raz pod wozem, myślał. Tak to już jest w świecie biznesu.

Z czasem zaczął traktować Nazwiska z lekką pobłażliwością i wyższością, co było dość typowe dla doświadczonych pracowników. Ostatecznie Nazwiska powierzyły swoje pieniądze dla zysku, prawda? I Nazwiska długo odnosiły korzyści, więc teraz, kiedy sytuacja stała się trudniejsza, nie powinny narzekać.

Kiedy Gillian Thompson weszła do jego pokoju, prosząc o spotkanie z kimś, kto ma coś do powiedzenia w agencji, Alan Richards potraktował ją bardzo uprzejmie. Dzień był paskudny i już od rana lało jak z cebra. Panna Thompson do siedziby Jackson & Bond, tuż przy Bishopsgate przyszła pieszo od stacji metra Liverpool Street, była więc mocno zdyszana i zmoknięta; jej porządne brązowe półbuty były poplamione, ponieważ nie wszystkie kałuże udało jej się ominąć, a parasolka i fryzura, jak powiedziała recepcjonistce Marion, są kompletnie zdewastowane.

Marion weszła do gabinetu Alana i oznajmiła, że panna Thompson chce porozmawiać z kimś w sprawie swoich syndykatów, i że chyba jest bardzo zdenerwowana.

- Podaj jej filiżankę kawy, proszę - polecił Alan. - Za chwilę do niej wyjdę.

Zjawił się parę minut później, przywitał z uśmiechem pannę Thompson, która nerwowo gniotła chusteczkę, i zagadnął, w czym może jej pomóc.

- Nie wiem - odparła i wybuchnęła płaczem.

Alan się przestraszył. Poprosił Marion, żeby zaprowadziła ich do małej sali konferencyjnej i przyniosła jeszcze jedną filiżankę kawy.

- Nie chcę więcej kawy - powiedziała panna Thompson, wydmuchując nos. - Chcę porozmawiać z kimś o moich syndykatach.

- Może pani porozmawiać ze mną - zapewnił kojąco Alan, który nauczył się uspokajać kobiety w średnim wieku, gdy jego własna matka przechodziła menopauzalną Zmianę. - I znajdziemy jakieś rozwiązanie tego problemu, proszę mi wierzyć. Zaczniemy od początku, dobrze?

I rzucił pannie Thompson zachęcający uśmiech.

Wszystko zaczęło się kilka lat temu (dokładnie siedem), kiedy do panny Thompson zgłosił się syn znajomych jej rodziców - „bardzo miły młody człowiek” - i zaproponował jej, dowiedziawszy się o skromnym majątku, który odziedziczyła po ojcu, żeby została nazwiskiem w Lloyd'sie.

- Wszystkim się zajmę - obiecał. - Przedstawię panią komuś z Lloyd'sa, a on załatwi formalności.

Niezameżna Gillian Thompson była wdzięczna za okazaną jej uprzejmość i poczuła, że ciężar bezpośredniej odpowiedzialności za sprawy finansowe został zdjęty z jej barków. Trzy miesiące później przyjęto ją do Lloyd'sa jako Nazwisko.

- To był cudowny dzień - wspominała teraz. - Zaprowadzono mnie do pięknej sali, w starym budynku, rzecz jasna, i tam czekało już na mnie kilku wyjątkowo czarujących dżentelmenów. Miałam wrażenie, że nagle dostałam w prezencie drugą rodzinę i poczułam się całkiem bezpiecznie. Nie musiałam nawet wpłacać pieniędzy, wystarczył sam depozyt. Mój bank, Sinclairs, wystawił list kredytowy i już byłam Nazwiskiem. Przez pierwsze parę lat wszystko było wspaniale - co roku w czerwcu dostawałam czek i dzięki tym kwotom mogłam wyremontować mój domek i kupić mały samochód. Ale później... Później sprawy zaczęły układać się gorzej. Pierwszy rok strat był jeszcze znośny, zażądali ode mnie tylko czterech tysięcy funtów, więc jakoś sobie z tym poradziłam. Oczywiście martwiłam się, ale mój agent powiedział, że to tylko taka czkawka. Rok później straty wyniosły już jedenaście tysięcy, i to był szok, lecz jakimś cudem spłaciłam tę sumę. W tym roku dostałam zawiadomienie, że mam zapłacić czterdzieści tysięcy. Ja po prostu nie mam tyle, panie... panie...

- Richards - podsunął Alan.

- Nie mam tyle, panie Richards. Mogłabym sprzedać dom, ale wtedy nie miałabym gdzie mieszkać, a samochód już sprzedałam, tylko za niecałe tysiąc pięćset, niestety. Mam jeszcze biżuterię po matce, bardzo dla mnie cenną z powodów emocjonalnych, lecz są to stare ozdoby, w niemodnych oprawach, i nie dostanę za nie sumy, która odpowiadałaby ich rzeczywistej wartości. Nie mam pojęcia, do kogo się zwrócić. Pan, z którym rozmawiałam tamtego pierwszego dnia, z tej agencji, był naprawdę uroczy i ogromnie pomocny, i na pewno by wiedział, co powinnam zrobić...

- Jak się nazywał?

- Ferguson. Donald Ferguson.

- Niestety, pan Ferguson już tu nie pracuje - odparł ostrożnie Alan. - Odszedł na emeryturę.

W wielkim pośpiechu i tajemnicy, o czym Alan dowiedział się przypadkiem. Ferguson mieszkał teraz na południu Francji, w luksusowej willi.

- O, mój Boże. Tego się obawiałam. Ale chyba ktoś inny przejął jego obowiązki, prawda?

- Naturalnie. Z całą pewnością przedstawię mu pani sprawę.

- Ale... Czy nie mogłabym zobaczyć się z nim teraz? Przyjechałam specjalnie z Hampshire.

- Na umówione spotkanie?

- Nie... Miałam dziś inne spotkania, z przedstawicielem banku Sinclairs i z moimi prawnikami, a kiedy dzwoniłam do was pod koniec ubiegłego tygodnia, ktoś powiedział mi, że skoro i tak będę w Londynie, najlepiej zrobię, jeśli wpadnę tu przy okazji i spróbuję wyjaśnić komuś, o co mi chodzi.

Alan przeklął w myśli osobę, która wykazała się taką inwencją. Najprawdopodobniej była to telefonistka Jackie, której śpieszyło się do domu. Powiedział Gillian Thompson, że jest mu bardzo przykro.

- Oczywiście, sam bardzo dokładnie przyjrę się sytuacji pani syndykatów, mam tu wszystkie dane i sprawdzę, czy wszystko jest w porządku. I naturalnie napiszę do pani.

- Ale ja muszę wiedzieć coś więcej - w oczach kobiety znowu pojawiły się łzy. - Jestem zupełnie zdesperowana. Nie mam czterdziestu tysięcy funtów i nie mogę ich wpłacić. Potrzebuję rady albo zapewnienia, że nie będę musiała tego robić, w przeciwnym razie musiałabym... No, właśnie, nie mam pojęcia, jak poradzić sobie z tą sytuacją.

- Cóż, przede wszystkim należy się upewnić, czy wszystko jest w porządku z formalnego punktu widzenia - rzekł Alan. - Dlatego muszę sprawdzić, czy pani agenci ubezpieczeniowi są szczegółowo poinformowani o pani sprawie. Potem porozumiem się z panią listownie. Proszę spróbować się nie martwić, naprawdę. Mam zamówić pani taksówkę czy...

Gillian Thompson nagle przestała emanować aurą patetycznej bezradności. Wstała i spojrzała Alanowi prosto w oczy, nie kryjąc śladów łez na policzkach.

- W ogóle mnie pan nie słuchał, prawda? - odezwała się. - Stoję w obliczu całkowitej ruiny. Jestem samotną kobietą, zdaną wyłącznie na siebie, bez żadnych dodatkowych środków czy wsparcia, Lloyd's domaga się ode mnie czterdziestu tysięcy funtów, a pan proponuje, że zamówi mi taksówkę. Z trudem wygospodarowałam pieniądze na bilet, rozumie pan? Do widzenia. Uważam tę rozmowę za wysoce obraźliwą i zupełnie niesatysfakcjonującą.

I wyszła, wrzucając zepsutą parasolkę do kosza na śmieci w kącie recepcji.

Alana głębiej poruszył widok rozwścieczonej niż zapłakanej Gillian Thompson. Jej wybuch był najwyraźniej wynikiem absolutnej desperacji. Kiedy Richards sprawdził rezultaty finansowe jej największego syndykatu, Westfield Bradley, uświadomił sobie, że roszczenia wobec niego, związane z azbestozą, mogą całkiem dosłownie zrujnować pannę Thompson. Zdał też sobie sprawę, że oni sami zawiedli klientkę, nie poświęcając najmniejszej uwagi jej sytuacji. Co właściwie Gillian Thompson robiła w takim syndykacie? Kilka lat wcześniej mogli spokojnie zaproponować jej rozpoczęcie trzyletniego okresu wycofania się z interesów. Nawet najbardziej chciwy rybak wie, że drobne płotki trzeba wrzucać z powrotem do wody, bo i tak nie będzie z nich żadnej korzyści.

Kiedy trzy dni później wciąż miał przed oczami bladą, zmizerowaną i zapłakaną twarz Gillian Thompson, i nadal słyszał jej cichy, spokojny głos, nagle nieoczekiwanie wstał i poszedł porozmawiać z szefem. Powiedział mu o wizycie panny Thompson, jej rozpacz i całkowitej niewypłacalności.

Gdy zaczął mówić o swoim współczuciu dla klientki i obowiązkach, jakie miała wobec niej agencja, Norman Clarke przerwał mu w pół słowa.

- Każdemu, kto zgłasza się do Lloyd'sa, zależy na tym samym, a mianowicie na pozbawionej ryzyka inwestycji, i starsze panie nie stanowią tu wyjątku, mój drogi. Tymczasem pozbawione ryzyka inwestycje po prostu nie istnieją. Lloyd's to dla tych ludzi przede wszystkim instytucja, która realizuje marzenia, dość chciwe marzenia, warto podkreślić. Ostrzegamy swoich klientów, ponieważ mamy taki obowiązek, więc doskonale wiedzą, w co wchodzi. Nie przejmuj się tą sprawą, a już na pewno nie panną Thompson.



Nic jej nie będzie, jestem o tym głęboko przekonany. Nie zapominaj, że musiała mieć co najmniej siedemdziesiąt pięć tysięcy, aby zostać Nazwiskiem, więc raczej trudno zaliczyć ją do ubogich wdów bez grosza przy duszy.

- Gillian Thompson nie jest wdową, panie Clarke. Jest niezamężna, nie ma żadnej rodziny, nikogo, kto mógłby udzielić jej wsparcia i...

- W porządku, nie jest starą panną bez grosza przy duszy. Chyba wiesz, że stare panny często mają neurotyczne fantazje - Clarke rzucił Alanowi obojętny, wyraźnie zniecierpliwiony uśmiech. - A teraz proponowałbym, żebyś zajął się swoją pracą i pozwolił mi na to samo, dobrze?

Babcia Alana mawiała, że czasami trzeba zacisnąć zęby i zastanowić się, czy warto pakować się w kłopoty. Alan zupełnie podświadomie zastosował się do jej rady.

## ROZDZIAŁ 7

*LIPIEC 1989*

Lucinda umówiła się na lunch z Blue. Chciała mu wytłumaczyć, że nie mogą się dłużej spotykać, że to, co robią, jest złe, że podtrzymując swój związek, krzywdzą Nigela, który z całą pewnością na to nie zasługuje. Zamierzała powiedzieć, że było cudownie i że nigdy nie zapomni Blue oraz wspaniałych chwil, jakie razem spędzili, i że mogą rozstać się jako przyjaciele, nie wrogowie, co jest niezwykle ważne. Wtedy mogłaby wrócić do obowiązków dobrej żony, a Nigel wcale by się nie dowiedział o jej romansie. Smutek, który niewątpliwie dźwigałaby na swoich barkach, byłby po prostu sprawiedliwą karą za winy.

Więc spotkała się z Blue w jego mieszkaniu.

I bardzo zdecydowanym tonem wyłuszczyła mu, o co jej chodzi, tyle że w końcu...

- Naprawdę powiem mu dziś wieczorem, obiecuję. Blue, nie rób tego, proszę... Nie mogę skupić się na tym, co mówię, a to ważne.

- Przepraszam... Sęk w tym, że masz absolutnie niewiarygodnie piękne piersi. Może to kwestia pochodzenia, jak myślisz? Czy twoje piersi są owocem działań wielu szlachetnie urodzonych pokoleń?

- Nie wiem... Och, naprawdę... Tak czy inaczej...

- Mogłabyś bez problemu trafić na trzecią stronę, wiesz?

- Trzecią stronę czego?

- Lucy, czasami tracę nadzieję, że kiedyś będą z ciebie ludzie. Nie żyjesz w prawdziwym świecie, masz tego świadomość? Jak to, trzecią stronę czego?! Gazety „The Sun”, dziewczyno!

- Och, Blue, przecież to byłoby okropne! To, co oni robią, jest po prostu obrzydliwe!

- Dlaczego? Dają przyjemność milionom, co w tym złego?

- Ale to nie jest niewinna przyjemność, prawda?

- Nie jest?

- Oczywiście, że nie! Ci ludzie wykorzystują kobiety! Blue milczał chwilę.

- Nie przestajesz mnie zaskakiwać - odparł w końcu, schylając głowę, aby pocałować te partie ciała Lucindy, o których przed chwilą była mowa. - Jesteś dużo bystrzejsza, niż sądziłem wtedy, gdy cię poznałem.

- Wiem - westchnęła. - Ludzie zawsze mi mówią, że wcale nie jestem głupią blondynką, chociaż myśleli, że nie odbiegam od standardu, który sobie wymyślili. Sądzę jednak, że Nigel widzi we mnie właśnie słodką idiotkę. Nie przypuszcza, że w ogóle mam jakiś mózg.

- I między innymi dlatego porzucasz go dla kogoś, kto cię docenia. Całą siebie. Więc jak, przyjeżdżesz do mnie dziś wieczorem czy nie? Po tym, jak powiesz mu o nas?

- Chyba tak. Och, tak się boję...

- Chcesz, żebym był przy waszej rozmowie?

- Nie, nie. Nie boję się w takim sensie, nic nie grozi mi ze strony Nigela. Boję się, co z nim będzie, jak to przeżyje.

- No, na pewno mocno się zdenerwuje - rzekł Blue. - A to, że tak się o niego martwisz, dowodzi tylko, jakie masz dobre serce. Tak czy inaczej, Nigel jakoś sobie z tym poradzi, naprawdę, wierz mi. Powiedz mi lepiej, co właściwie zamierzasz zrobić. Mógłbym zawieźć cię do domu, zaparkować gdzieś za rogiem i poczekać na ciebie, co ty na to?

Lucinda dokładnie rozważyła tę propozycję.

- Tak, może to dobre rozwiązanie - zgodziła się w końcu. - Powiem mu, a potem po prostu... Po prostu wyjdę. I tak nie mogłabym przecież zostać, Nigel nie życzyłby sobie tego. Będzie bardzo zdenerwowany, to jasne, i każe mi się wynosić. Oczywiście, jak tylko przyjmie to wszystko do wiadomości. Och, biedny, biedny Nigel... Boże, czuję się tak okropnie...

\* \* \*

Ostatnio Annabel dużo myślała o Danie i zastanawiała się, jakim cudem mógł jej się tak bardzo podobać. To samo pytanie zadawała sobie na temat wielu swoich dawnych przyjaciół. Nowy świat, w którym teraz żyła, odpowiadał jej dużo bardziej, ponieważ otaczali ją ludzie motywowani prawdziwymi ambicjami - zarabiania dużych pieniędzy, jasne, ale także znalezienia własnego miejsca, nie tylko korzystania z życia. Pod tym względem nowi znajomi przypominali Annabel jej matkę.

Poza tym, wszyscy oni byli bardzo zabawni, absolutnie wyluzowani i zbuntowani. Ulubieńcem Annabel wśród stylistów był piękny chłopak imieniem Florian, wysoki i bardzo szczupły, z czupryną kręconych brązowych włosów ze złocistymi refleksami, dużymi niebieskimi oczami i pełnymi, dziewczęcymi wargami; nosił dość luźne ubrania, szerokie czarne spodnie, powiewne białe koszule i mnóstwo pierścionków. Należał do ścisłej czołówki trzech najlepszych fryzjerów i Annabel już na samym początku założyła, że musi być gejem, dlatego z ogromną przyjemnością gadała z nim jak z koleżanką i plotkowała do utraty tchu. Zareagowała oburzeniem, kiedy Carol powiedziała jej, że Florian to „fantastyczny ogier - dziewczyny ustawiają się w kolejce stąd do Fulham, gdzie mieszka”.

- Nie wierzę! - oświadczyła Annabel. - Skąd wiesz? Carol wzruszyła ramionami.

- Zapytaj któregoś z chłopaków.

Annabel nie chciała uciekać się do takich środków, lecz pewnego ranka zastała Floriana w pokoju dla personelu, z głową opartą na złożonych rękach.

- Co jest? - zagadnęła ze szczerym współczuciem.

- O, Boże, mam potwornego kaca... Po mieszance czerwonego wina z innymi rzeczami... Nigdy nie próbuj takich połączeń, skarbie, to okropnie głupie.

Annabel pobiegła do apteki przy Sloane Street, przyniosła Florianowi środek na kaca i przez cały ranek podawała mu tabletki rozpuszczone w soku pomarańczowym.

- Jesteś słodka - wzruszył się. - Naprawdę słodka. Pozwól zaprosić się na drinka dziś wieczorem, chciałbym ci jakoś podziękować.

I dotrzymał słowa. W pubie Annabel najpierw poczuła, jak Florian w dość jednoznaczny sposób przyciska swoją długą nogę do jej uda, potem zaś przechylił się przez stół i pocałował ją w usta.

- Jesteś absolutnie śliczna - rzekł, uwalniając ją. - Uwielbiam cię, skarbie! Zaskoczona, uśmiechnęła się słabo.

- Na pewno myślałaś, że jestem gejem - zauważył wesoło.

- Nie... Nic z tych rzeczy.

- Oczywiście, że tak właśnie myślałaś. Wszyscy tak myślą, ale ja nie jestem homo, złotko, nawet w najmniejszym stopniu. Nie jestem nawet biseksem. W tej chwili mój kutas jest równie sztywny jak przeguby moich dłoni, słowo daję. Gdzie chcesz pójść?

Silny instynkt samozachowawczy podpowiedział Annabel, że musi zdążyć na kolację w domu, którą jej rodzice wydają z niezwykle ważnej okazji. Nie była pewna, czy powinna angażować się w romans z Florianem, chociaż ten pomysł bardzo jej się podobał. Niewątpliwie nie zrobiłaby dobrze, decydując się na taki krok na samym początku swojej kariery w salonie Mikiego Wallace'a - reszcie personelu, a zwłaszcza Tani, z całą pewnością nie przypadłby do gustu fakt, że Annabel prowadzi się z jednym z najlepszych stylistów. Nie widziała też żadnej możliwości, aby wiadomość o jej ewentualnym związku z Florianem nie zaczęła krążyć po zakładzie, ponieważ nawet najlepszy kumpel Floriana nie uważał go za wzór dyskrecji.

Wracając do domu, dość smętnie zauważyła, że chyba jednak wolałaby, aby Florian był homoseksualistą, bo wtedy cała sytuacja byłaby znacznie mniej skomplikowana.

Elizabeth pomyślała, że właśnie to tak ją gniewało, wtedy i teraz również - dlaczego musiał zrobić to dosłownie pod jej nosem, skoro wiedział, że tak bardzo ją dotknie? Patrzyła, jak stał na środku sali i słuchał jakiejś kobiety, bardzo uważnie, z uśmiechem. Po chwili podeszła do nich jeszcze jedna kobieta, mój Boże, przerwała im i wspięła się na palce, żeby musnąć pocałunkiem policzek Simona. A on odwzajemnił pocałunek, powiedział jej coś do ucha, najpewniej coś, o czym wiedzieli tylko oni dwoje, przedstawił tę pierwszą drugiej, wziął kieliszek z podsunętej przez kelnera tacy, podał go świeżo przybyłej, wyjął portfel,

z niego wizytówkę, wręczył ją pierwszej kobiecie, która obejrzała ją, uśmiechnęła się do niego, rzuciła ją kąś uwagę i włożyła biały kartonik do torebki.

W takich chwilach wszystkie sukcesy Elizabeth, jej stanowisko, władza, ogólnie podziwiana inteligencja, nie miały dla niej najmniejszego znaczenia; całe jej istnienie sprowadzało się do tego, że była żoną, zaniepokojoną, przestraszoną, zazdrosną żoną...

- Pani mąż to naprawdę uroczy człowiek - powiedziała gospodyni przyjęcia, nowa sąsiadka z Boltons.

Elizabeth odwróciła się do tej prawie nieznamym kobiecie i zobaczyła, że jest ładna, młoda i świetnie ubrana. Pozwalało to zakwalifikować ją jako jeszcze jedno źródło zagrożenia, jeszcze jedną potencjalną kusicielkę, zdolną skupić na sobie uwagę Simona. Nagle Elizabeth poczuła, że nie zniesie tego ani chwili dłużej, że chyba podejdzie do małej grupki i chluśnie szampanem w twarz Simona, choćby po to, aby zerwać z niej ten drażniący uśmiech, i rzeczywiście podeszła, ale tylko po to, by lekko ująć go za ramię.

- Kochanie, przykro mi, że przerywam ci miłą rozmowę, ale naprawdę musimy już iść - odezwała się.

A on natychmiast zareagował, przytaknął, pocałował tę pierwszą kobietę i razem z Elizabeth pożegnał panią domu, i oczywiście ją także pocałował, a potem pomachał jej mężowi i wreszcie wyszli.

- Co się stało? - zapytał, wyraźnie zdziwiony.

- Mogłabym zadać ci to samo pytanie - odparła. - Co się stało? Kim była tamta kobieta, dlaczego dałeś jej swoją wizytówkę?

- To Amerykanka, która przyjechała do Londynu, żeby zamieszkać tu z mężem. On szuka partnera do tenisa, więc powiedziałem, że chętnie z nim czasem zagram.

- Naprawdę spodziewasz się, że w to uwierzę?

- Och, Elizabeth - potrząsnął głową ze znużeniem. - Proszę, proszę, nie rób tego.

- Czego?

- Nie prześladowaj mnie tą swoją szaloną zazdrością! To takie destrukcyjne uczucie.

- Szaloną zazdrością! - powtórzyła drwiąco. - Biorąc pod uwagę to, co się wydarzyło, to, co zrobiłeś...

Byli już pod swoim domem. Simon otworzył drzwi kluczem i cofnął się, przepuszczając ją pierwszą.

- To na pewno nie służy naszemu związkowi - rzekł.

- Więc nadal łączy nas jakiś związek? - Elizabeth weszła do kuchni i wyjęła z lodówki butelkę wody. - Nie wiedziałam.

- Na miłość boską, to chyba oczywiste! Moglibyśmy żyć jak normalna para, gdybyś dała mi chociaż pół szansy! Musisz nauczyć się znowu mi ufać. Wiem, że to trudne, wiem, że zachowałem się jak ostatni drań, ale było to ponad rok temu. Obiecałem ci i nie złamałem słowa.

W milczeniu przesuwiała palcami po zakrętce od butelki.

- Proszę cię, Elizabeth. Jeżeli mi nie uwierzysz, nie ma sensu, abyśmy byli razem... Równie dobrze mogę się wyprowadzić.

- I wrócić do niej? O to ci chodzi?

- Nie, oczywiście że nie!

- Bardzo łatwo jest ci mówić mi teraz to wszystko, powtarzać, że tamta sprawa należy do przeszłości, gdy tymczasem ja wiem, że okłamywałeś mnie latami!

- Nie latami.

- Latami, Simon! Nie masz pojęcia, jak cierpiałam! I nie możesz oczekiwać, że ktoś nagle zacznie ci wierzyć po tym, jak okłamywałeś go przez dłuższy czas!

- Pewnie nie...

- Zrozum, za każdym razem, gdy słyszę, jak wypowiadasz imię jakiejś kobiety, zaczynam się zastanawiać...

- Posłuchaj - przerwał jej. - Popełniłem straszny błąd i bardzo tego żałuję, ale nie jestem w stanie go wymazać. Co się stało, to się nie odstanie. Teraz wszystko zależy od ciebie, tylko ty możesz sprawić, żeby wszystko między nami ułożyło się jak należy.

- Tak, wiem - odparła bardzo cicho.

- Możemy to przetrwać, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Inne małżeństwa jakoś pokonują takie kryzysy.

- Znowu mówisz o tym tak, jakby to był nic nieznaczący, jednorazowy skok w bok, a oboje wiemy, że było inaczej!

- O, cholera jasna! - rzucił ostrym tonem. - Jestem zmęczony i mam jeszcze coś do zrobienia na jutro. Rozmawialiśmy już o tym ze sto razy. Jestem draniem i strasznie cię skrzywdziłem, to jasne, ale od dawna pokutuję za swoje winy i naprawdę nie mogę zrobić nic więcej. Dobranoc, do zobaczenia jutro.

Elizabeth siedziała nieruchomo, wpatrzona w zamknięte drzwi, zbyt rozgniewana i dumna, aby wyjść mu naprzeciw.

Simon miał rację - nie mógł zrobić nic więcej. Teraz wszystko zależało od niej. Jeżeli naprawdę mu nie przebaczy i nie uwierzy, ich dalszy związek nie ma sensu. Musiała zacząć mu ufać, chociaż było to bardzo trudne, albo przynajmniej zapanować nad podejrzliwością i zazdrością. Sęk w tym, że ona także miała słuszość. To nie był jednorazowy akt zdrady, coś takiego byłoby łatwiejsze do zniesienia, chodziło przecież o coś innego.

Dowiedziała się w zupełnie podręcznikowy sposób. Simon powiedział jej, że wyjeżdża gdzieś w interesach na dwa dni, ale jedno z dzieci zachorowało, więc zatelefonowała do hotelu, w którym mieli zatrzymać się uczestnicy konferencji i od wyraźnie zażenowanego recepcjonisty usłyszała, że jej mąż w ogóle się tam nie zameldował. Kiedy następnego dnia powiedziała mu o tym, przyznał się i przeprosił ją. Oświadczyła wtedy, że musi skończyć romans, i to natychmiast. Simon odparł, że to niemożliwe, że nie potrafi zrezygnować z tamtej kobiety.

- W takim razie wynoś się! - rozkazała Elizabeth. - Od razu, jeszcze dzisiaj!

Wyprowadził się więc na pewien czas, nie po to, aby zamieszkać z kochanką, ale by się zastanowić, co zrobić. Elizabeth nie chciała o niej nic wiedzieć, nie chciała poznać jej imienia, „nawet gdyby była to jedna z naszych wspólnych znajomych”.

- To nie jest żadna z naszych znajomych - odparł.

Zarzekła się, że w żadnym razie nie przyjmie go z powrotem, lecz kiedy poprosił, natychmiast się zgodziła. Oczekiwała, że poczuje się lepiej, ale było coraz gorzej. Zżerała ją zazdrość - co takiego miała tamta kobieta, czego brakowało jej, jego żonie? Co takiego mu dała?

- Czas - powiedział. - Czas i uwagę. Kiedy mnie potrzebujesz, staram się być przy tobie, jednak czasami czuję, że ciebie po prostu przy mnie nie ma. Bardzo często mam ochotę porozmawiać z tobą, wysłuchać twojej rady, być z tobą, ale ciebie zwykle wtedy nie ma. I naprawdę nie chodzi mi o obecność fizyczną. Zdarza się, że rozmawiam z tobą, próbuję omówić jakąś ważną sprawę i nagle sobie uświadamiam, że duchem jesteś już na następnej prezentacji albo że wracasz myślami do ostatniej konferencji.

Elizabeth, zawsze trzeźwa i krytyczna wobec samej siebie, uznała argumenty Simona za słuszne i poczuła wstyd. Postawiła swoją karierę ponad małżeństwem, ponad Simonem, którego nadal kochała, choć wydawało jej się to niezrozumiałe. Obiecała, że będzie spędzać więcej czasu w domu, z mężem, ale było to trudne - jej praca nie należała do zajęć, których czas wykonywania da się zamknąć w sztywno wytyczonych godzinach. Ze wszystkich sił starała się jednak poświęcać Simonowi więcej uwagi, częściej brać pod uwagę jego potrzeby, sprawiać mu przyjemność. Teraz okazało się, że jej wysiłki poszły na marne, w każdym razie tak to wyglądało.

Westchnęła, wzięła szklanekę, butelkę z wodą i poszła na górę, do swojego gabinetu. Czekają tam na nią jeszcze mnóstwo pracy, przy której, przynajmniej na chwilę, mogła poczuć, że znowu ma wszystko pod kontrolą. Przynajmniej na chwilę.

Nigel wcześniej wrócił do domu. Przywiózł butelkę szampana i truskawki, które można było w nim maczać, a na wieczór zamówił stół w restauracji San Frediano. Chciał, żeby była to wyjątkowa kolacja. Wiedział, że Lucinda będzie zachwycona i że wreszcie się uspokoi; był pewny, że w głębi duszy martwiła się całą tą sprawą z Lloyd'em. Pragnął też powiedzieć jej o innej decyzji, którą podjął i która też powinna ją uszczęśliwić. Zdawał sobie sprawę, że jej zdaniem przyszedł już czas, aby zrobić badania pod kątem dziecka (tak to ujmowała, chociaż ostatnio w ogóle nie wracała do tej kwestii). Nie miał na to ochoty, ale był gotowy zrobić to dla niej, oczywiście po to, aby mogli stworzyć prawdziwą rodzinę. Lucinda... O, właśnie otwierała drzwi.

Weszła, wyraźnie zmęczona i spięta. Pocałowała go przelotnie i położyła torbę na krześle.

- Możesz nalać mi czegoś mocniejszego do picia, Nigel? - zapytała.

Było to do niej kompletnie niepodobne. Nigel planował otworzyć szampana dopiero wtedy, gdy powie jej, co zrobił, wyjął więc z lodówki butelkę sancerre, którą zaczęli poprzedniego wieczoru.

- Może być?

- Tak, oczywiście, dziękuję - pociągnęła duży łyk wina. - Wcześniej wróciłeś - dodała, jakby dopiero teraz to zauważyła.

- Tak. Chciałem o czymś z tobą porozmawiać.

- Naprawdę? Ja też... To znaczy, też chciałam z tobą o czymś pomówić. Sobie też nalej, Nigel...

- Za chwileczkę, skarbie. Mam dla nas coś specjalnego w lodówce. Napijemy się szampana, żeby uczcić pewną sprawę.

- Och - w oczach Lucindy pojawił się przestach. - Wiesz, może ja powiem swoją nowinę pierwsza, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

- Moje biedactwo, jesteś bardzo zmęczona, prawda? To przez tę okropną pracę. Za ciężko pracujesz, kochanie. Myślę, że mogłabyś z niej zrezygnować, oczywiście jeśli chcesz.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Zrezygnować z pracy? Ale... Ale dlaczego? Poza tym sam mówiłeś, że moja pensja bardzo nam się przyda na wypadek, gdyby sytuacja w Lloyd'sie jeszcze się pogorszyła.

- Uporządkowałem sprawy związane z Lloyd'sem, skarbie. Teraz nie będzie to już dla nas wielki problem.

- Co takiego? Naprawdę? Och, to wspaniała wiadomość, tak się cieszę! Więc na pewno czujesz się dużo lepiej, prawda? I jesteś znacznie spokojniejszy?

- Tak jest.

- Świetnie! - rzuciła mu nerwowe spojrzenie. - W takim razie posłuchaj mnie, proszę... Ja...

- Pozwól mi dokończyć, Lucindo! Dopiero zacząłem!

- Ale...

- Proszę cię, kochanie!

Usiadła, ze wzrokiem utkwionym w jego twarzy.

- Mów, słucham...

- Od tej chwili, moja droga, a dokładnie od tego ranka, jesteś dużo bogatszą kobietą.

- O czym ty mówisz, na miłość boską?!

- Przepisałem na ciebie cały swój majątek, w każdym razie wszystko, co mogłem przepisać. Założyłem dla ciebie fundusz powierniczy. Pieniądze, które znajdują się na naszym rachunku oszczędnościowym, kilkaset tysięcy funtów, wszystko, co otrzymałem ze sprzedaży większości moich udziałów, akt własności tego domu oraz farmy - wszystko to będzie przepisane na ciebie. Więc teraz lepiej mnie nie porzucaj, dobrze?

Lucinda zbladła.

- Ale... Ale dlaczego to zrobiłeś? Nic nie rozumiem.

- To bardzo proste, jeżeli cały majątek zgodnie z wymogami prawnymi należy do bliskiej osoby, która nie jest Nazwiskiem, Lloyd's nie może go zabrać. Tak to wygląda. Możemy więc spać spokojnie, czy to nie cudowne?

- Tak - przyznała bardzo cichym głosem. - Czy sytuacja jest aż tak zła, Nigel?

- Raczej fatalna. Rozmawiałem z kilkoma osobami, które wycofują się z Lloyd'sa i...

- A ty nie możesz się wycofać?

- To nie takie proste, kochanie. Po pierwsze, odpowiedzialność finansowa jest w tym wypadku nieograniczona, dosłownie, dlatego Lloyd's może dochodzić swoich praw przez długie lata, nawet po śmierci Nazwiska. Po drugie, jak ci już wspominałem, zaszłości prawne sięgają trzech lat, więc nawet gdybym wycofał się jutro, co zresztą staram się zrobić, ściągali by ode mnie pieniądze jeszcze przez trzy lata. W najlepszym wypadku.

- Więc jak można z tego wybrnąć?

- Teraz wszystko jest już w porządku, ale mogło być naprawdę źle. Mogłem stracić wszystko, co do grosza. Podpisałem zobowiązanie na milion, a jeśli mam być szczerzy, to trudno by mi było wyłożyć połowę tej sumy. Tymczasem oni chcieliby dostać dwa razy tyle. Tak to działa. Mogliby puścić nas z torbami, bez żadnej przesady, skarbie, ale teraz mogą sobie zabierać wszystko, co mam, ponieważ jest tego bardzo niewiele, a ty zaopiekujesz się resztą.

- Jesteś pewny, że to takie proste?

- Na to wygląda. Ktoś podsunął mi to rozwiązanie. Stary Chris Paige, pamiętasz go?

Lucinda pamiętała Chrisa Page'a. Był przyjacielem Nigela, pogodnym, spokojnym człowiekiem. Nie przyjęłaby od niego żadnej bardziej skomplikowanej porady finansowej jak ta, aby trzymać pieniądze pod łóżkiem.

- Chris także przeprowadza taką operację - oświadczył Nigel. - Moim zdaniem to błyskotliwy pomysł.

- Ale jak wygląda to od strony prawnej? Radziłeś się adwokata?

- Gdyby sprawa trafiła do sądu, chociaż na pewno do tego nie dojdzie, najprawdopodobniej musiałabyś zeznać, iż nie miałaś pojęcia, iż wszystko przepisałem na ciebie - rzekł, już nieco mniej pewnym głosem. - A ponieważ rzeczywiście nic nie wiedziałaś, to sytuacja jest zupełnie czysta. Tylko lepiej mnie nie zostawiaj, skarbie! - zażartował znowu.

- A gdybym nie chciała przyjąć przepisane go majątku?

- Dlaczego miałabyś nie chcieć, kochanie? Nie rób mi tego, bo znajdę się po uszy w bagnie. A teraz, zanim wyjmę szampana, chciałbym powiedzieć ci coś jeszcze. Coś, co dotyczy nas i dziecka, które chcielibyśmy mieć. Doszedłem do wniosku, że byłem egoistą i...

Minęło pół godziny, nim Blue zobaczył wychodzącą z domu Lucindę. Bardzo powoli podeszła do samochodu i wsiadła. Sprawiała wrażenie zupełnie spokojnej i opanowanej. Odwróciła głowę i spojrzała na niego.

- Hej...

- Hej, śliczna! Wszystko w porządku?



- Ja... Blue, przepraszam cię, strasznie mi przykro, ale nie mogę tego zrobić. Nie mogę jechać z tobą. Nigel... Nigel postawił mnie w sytuacji bez wyjścia.

Siedziała nieruchomo, zimna jak lód, starając się go w ogóle nie dotykać. I powtórzyła mu wszystko, co usłyszała od Nigela.

George Meyer siedział przy stole w swoim skromnym mieszkaniu w nieco mniej eleganckiej części Putney i cierpliwie adresował koperty, w których miały znaleźć się kopie jego listu do wszystkich osób znajdujących się w spisie klientów agencji Jackson & Bond. Była to żmudna praca, ale George Meyer miał dużo czasu, mnóstwo pustych wieczorów.

List miał formę zaproszenia na spotkanie w klubie Grenville w Pall Mall i George liczył, że okaże się wystarczająco intrygujący, aby wiele osób odpowiedziało pozytywnie.

## ROZDZIAŁ 8

### *SIERPIEŃ I WRZESIEŃ 1989*

- Dobry Boże - odezwał się Simon. - Popatrz na to... Bardzo ciekawe...

Podał Elizabeth list, który przed chwilą skończył czytać. Elizabeth także czytała w łóżku, tym razem książkę, o dziwo, nie raport. Spędzali ten tydzień w Londynie, zmęczeni dojazdami do pracy w najbardziej upalne lato dekady, pozostawiwszy Tilly i Tobiego w Chadwick House pod opieką pani Ford.

Szybko przebiegła wzrokiem list.

- Rzeczywiście interesujące - powiedziała. - Ten George Meyer robi wrażenie bardzo rozsądnego człowieka.

- Więcej, moim zdaniem posiada imponującą wiedzę! Nie ulega wątpliwości, że starannie odrobił pracę domową. Uważasz, że powinienem tam pójść?

- Tak, zdecydowanie!

- Wybrałabyś się ze mną?

- Simon, ja - nagle przerwała.

Powinna z nim pójść, powinna go wesprzeć. Jej obecność mogła mu pomóc.

- Tak - odparła. - Jasne, pójdziemy razem.

- Dziękuję. Obiecuję, że przez cały wieczór nie ruszę się na krok od twojego boku i nie zamienię ani słowa z nikim, kto nie nosi trzyczęściowego garnituru i sznurowanych butów.

Uśmiechnęła się z pewnym wysiłkiem, sięgnęła po list i przeczytała go raz jeszcze.

Drogi Panie,

*Jako Nazwisko Lloyd'sa, klient agencji Jackson & Bond oraz posiadacz udziałów Westfield Bradley Group of Syndicates, z coraz większym niepokojem i przykrością obserwuję fatalne wyniki finansowe, które*

w ostatnich latach osiąga wspomniana grupa syndykatowa i na pewno nie jestem odosobniony w swoich odczuciach. Szczegółowo zgłębiłem całą sprawę i doszedłem do trzech wysoce nieprzyjemnych wniosków.

Poważne straty, które dotknęły nas wszystkich, niemal na pewno jeszcze wzrosną w ciągu następnych kilku lat. Wielu udziałowców ponosi nieproporcjonalnie dużą odpowiedzialność za te straty. Dotarły do mnie informacje (nie mogę jednak zapewnić, że są absolutnie wiarygodne), że 70 procent strat pokrywa zaledwie 30 procent Członków.

Obawiam się, że na tym etapie nie można wykluczyć prawdopodobieństwa poważnych błędów w zarządzaniu naszymi finansami, powstałych w rezultacie złego nadzoru i kontroli w firmie Lloyd's. Na razie nie chciałbym przekazywać tą drogą innych informacji, zapraszam jednak dużą grupę osób w podobnej sytuacji na spotkanie, którego celem będzie swobodna i nieformalna wymiana poglądów i opinii; będę szczęśliwy, jeżeli zechce pan dołączyć do nas. Spotkamy się w Dużej Sali Grenville Club w Pall Mall, w piątek, 9 września, o godzinie 18.00.

Z wyrazami szacunku

George Meyer

Nigel był bardzo zaintrygowany listem i od razu pokazał go Lucindzie.

- Ciekawe, skarbie, prawda? Oczywiście nie przypuszczam, aby czekały nas jeszcze jakieś kłopoty z tej strony, ale chyba dobrze byłoby tam pójść, spotkać się z ludźmi w podobnej sytuacji, wymienić poglądy i opinie, jak proponuje ten George Meyer...

- Czy ja też mogłabym pójść?

- Ty? Czemu miałoby cię to interesować, na miłość boską? Nie jesteś Nazwiskiem, nie sędzę, abyś dokładnie rozumiała całą tę sprawę i...

- Rozumiem ją doskonale, dziękuję ci bardzo - odparła, głęboko urażona. Znakomicie pamiętała rozmowę o Lloyd'sie z Blue. - Wiem, że Lloyd's ma poważne problemy z roszczeniami odszkodowawczymi w związku z... - przerwała.

- W związku z czym? - zapytał Nigel.

Wyglądał na człowieka w szoku, zupełnie jakby Lucinda wykazała się znajomością branży porno shopów.

- Ostatnio sporo o tym czytałam - powiedziała.

Ostrożnie, skarciła się natychmiast, Nigel zaraz zaczął się zastanawiać, skąd ona tyle wie na temat Lloyd'sa.

- Ma to jakiś związek z azbestem, prawda? - dodała spokojnie.

- Pewnie masz na myśli azbestozę. Cóż, możesz ze mną pójść, jeśli chcesz, ale tylko cię to znudzi.

- Na pewno nie - uśmiechnęła się lekko.

Było już trochę lepiej. Wiedziała, że niedługo poczuje się niemal normalnie. Przypominało to proces ziarnowania, powolnego zarastania rany ziejącej w miejscu, gdzie znajdowało się jej serce. Wracała do

równowagi stopniowo, dzień po dniu. Rekonwalescencja postępowała powoli; Lucinda nadal miewała okropne, albo raczej cudowne sny, w których była z Blue, i potem, gdy budziła się z uśmiechem, jeszcze nie do końca świadoma okropnej rzeczywistości, widziała go na rogu każdej ulicy, spodziewała się, że usłyszy jego głos w słuchawce za każdym razem, gdy dzwonił telefon. Krótko mówiąc, daleko jej było do dobrego samopoczucia.

Ale przynajmniej nie miała już ochoty umrzeć. Nigel był cudowny, oczywiście, i taki szczęśliwy, odkąd uwolnił się od dręczącego go niepokoju. Ciągłe powtarzał, że Lucinda wygląda na wyczerpaną, i że może powinni zafundować sobie krótkie wakacje.

- Tylko kilka dni, skarbie! Policzki zarumieniłyby ci się od słońca... Pomyśl, coś w rodzaju drugiego miesiąca miodowego! No, chyba że nie chcesz mnie ze sobą zabrać i wydawać na mnie pieniądze.

W tej chwili był to jego ulubiony żart, od którego Lucindzie robiło się już po prostu niedobrze - Nigel z upodobaniem udawał, że to ona jest osobą dominującą finansowo w ich małżeństwie, a on stał się całkowicie od niej uzależniony.

- Jestem utrzymankiem - rozповідаł wszystkim. - Nie inaczej, słowo daję! Raczej podstarzałym, ale jednak...

Lucinda z trudem znosiła chwile sam na sam z Nigelem i w ogóle nie chciało jej się myśleć o wakacjach, bo wtedy miałyby mnóstwo czasu na rozmyślanie o Blue. Jedyne ratunek widziała w otaczaniu siebie i Nigela wspólnymi przyjaciółmi, no i w ciężkiej pracy. Gorączkowo zapraszała gości, co tydzień wydawała jedno duże przyjęcie i jedną mniejszą kolację, chociaż była bezustannie zmęczona i chyba nie całkiem zdrowa. Kupiła kilkadziesiąt metrów materiału na zasłony do sypialni, którą w myśli nazywała „komnatą tortur”, a także do salonu i jadalni.

Wzięła też dodatkową pracę i teraz czytała manuskrypty powieści dla Grahama. Proponowała to szefowi już wcześniej, do tej pory bez powodzenia, lecz tym razem uśmiechnął się i polecił, żeby przedstawiała mu streszczenie i krótką recenzję każdego utworu. Lucinda była zadowolona, podniecona i prawie szczęśliwa, chociaż właściwie nie pamiętała już nawet tego uczucia. Może w głębi duszy była szalenie ambitną kobietą, która dąży do zrobienia kariery, kto wie...

Nigel zrobił dla niej coś jeszcze - oddał nasienie do badania, a ona doskonale wiedziała, jakie musiało to być dla niego okropne. Sam pojechał do kliniki leczenia zaburzeń płodności, wrócił dość milczący i trochę zagubiony, i powiedział, że było w porządku, ale nie chce o tym rozmawiać.

- Wyniki przyślą mi za jakiś tydzień - oświadczył. - Nie mam pojęcia, dlaczego trwa to tak długo. Pewnie chcą mieć stuprocentową pewność, ostatecznie to zbyt ważna sprawa, aby ryzykowali popełnienie błędu.

Lucinda miała ogromną nadzieję, że wynik będzie pozytywny. Z całego serca pragnęła teraz urodzić dziecko, bardziej niż kiedykolwiek. Dzięki dziecku jej życie znowu nabrałoby sensu, przestałaby tak cierpieć i może odbudowałyby swoje małżeństwo. Niewykluczone nawet, że łatwiej znosiłaby koszmar, jaki przeżywała w „komnacie tortur”.

Flora Fielding z podnieceniem przeczytała list od George'a Meyera. Była przekonana, że Meyer ma na myśli coś więcej niż tylko wypełniony czczą gadaniną wieczór i natychmiast zadzwoniła do Richarda.

- Chciałam zapytać, czy mogłabym zatrzymać się u was w przyszłą środę?

- Naturalnie, mamó! Przecież wiesz, że zawsze z radością cię witamy! Dzieci będą zachwycone... I Debbie także! - dodał pośpiesznie.

- Dziękuję ci, kochanie. Wieczorem wybieram się na spotkanie w centrum Londynu. Dostałam dość ciekawe zaproszenie na zebranie Nazwisk z grupy Westfield Bradley, mojego głównego syndykatu w Lloyd'sie, od niejakiego George'a Meyera. Jego list zrobił na mnie spore wrażenie.

- Tak czy inaczej, bardzo nam będzie miło cię zobaczyć - zapewnił z uśmiechem Richard. - Przyjedziesz najpierw do nas?

- Nie, chyba nie. Wcześniej umówiłam się z kierownictwem galerii w Mumbles. Chcę zorganizować moją wystawę. Stamtąd pojedę prosto na to spotkanie Nazwisk. No i muszę wyjechać dość wcześnie rano - wczesnym popołudniem w Stowarzyszeniu Mieszkańców Gower ma się odbyć wykład, którego za nic nie chcę przegapić.

- Dobrze, powiem Debs. Och, jeszcze coś, mamó... - w głosie Richarda pojawiła się nagle nuta zaniepokojenia.

- Przepraszam cię, kochanie, ale muszę kończyć, bo właśnie przyjechał kowal!

Richard odłożył słuchawkę. Pomyślał, że powinni być wdzięczni losowi za to, że Flora prowadzi takie dynamiczne życie. Musi zadzwonić do niej w najbliższym czasie, na pewno przed następną środą.

Debbie ostrożnie oświadczyła, że z radością zobaczy Florę.

- Nie do końca tylko rozumiem, dlaczego wybiera się na spotkanie Nazwisk Lloyd'sa, skoro jej sytuacja jest już zdecydowanie lepsza - dodała. - Moim zdaniem to zwykła strata czasu...

- Cóż, wszystkie te syndykatoowe sprawy są bardzo złożone - rzekł Richard.

Gdyby Debbie nie oddzielała właśnie białych rzeczy do prania od kolorowych, na pewno by zauważyła, że nagle się zarumienił, a potem pośpiesznie zajął przeglądaniem i składaniem jakichś papierów.

I być może wszystko potoczyłoby się bez wstrząsów, gdyby Flora nie zadzwoniła jeszcze raz następnego dnia, zanim Richard zdążył odbyć rozmowę (która niewątpliwie zapowiadała się na trudną) z Debbie. Debbie podniosła słuchawkę i pogawędziła chwilę z Florą, która następnie zapytała, czy Richard mógłby pojechać razem z nią na spotkanie Nazwisk.

- Oczywiście, ty także, kochanie, jeżeli by cię to zaciekało... Moglibyśmy się dowiedzieć, z czym właściwie mamy do czynienia. Na pewno przyda mi się wsparcie ze strony Richarda, chciałabym także poznać jego reakcję na to, co tam usłyszymy. Człowiek, który zorganizował spotkanie sprawia wrażenie świetnie zorientowanego...

- Richard na pewno się z tobą wybierze, jeżeli tylko będzie mógł - powiedziała Debbie. - W tej chwili jest zajęty układaniem planu, ale środowy wieczór ma wolny, o ile mi wiadomo. Poproszę go, żeby do ciebie zadzwonił.

- Dziękuję, Debbie!

I wtedy, gdy znaczenie słów Flory wreszcie dotarło do Debbie, a okropne, pełzające podejrzenie zaczęło rodzić się w jej umyśle, zadała to pytanie. Pytanie, które nieodwracalnie odmieniło jej życie (oczywiście w tym samym stopniu, co odpowiedź, jaką usłyszała).

- Nie bardzo rozumiem, Floro, dlaczego wybierasz się na to spotkanie i dlaczego potrzebujesz wsparcia Richarda, skoro twoja sytuacja uległa poprawie.

W słuchawce zapanowała cisza.

- Moja sytuacja wcale nie uległa poprawie, Debbie - odezwała się w końcu Flora. - Nie wiem, dlaczego tak uważasz, bo w gruncie rzeczy moje sprawy w Lloyd'sie układają się gorzej niż rok temu.

- Okłamałeś mnie! Nie próbuj zaprzeczać, okłamałeś mnie! Nie mogę uwierzyć, że zrobiłeś coś tak okropnego! Boże, jesteś obrzydliwy, oboje jesteście obrzydliwi!

- Moja matka nie ma z tym nic wspólnego...

- Przykro mi, ale wydaje mi się to bardzo mało prawdopodobne! Nie odzywaj się do mnie, nie zbliżaj się! Wychodzę, muszę się zastanowić, co robić! Zostań w domu i zajmij się dziećmi! I może wymyśl jeszcze parę rzeczy, które chciałbyś mi powiedzieć, tylko nie spodziewaj się, że kiedykolwiek uwierzę tobie albo jej!

- Debbie, przysięgam, że mama nie ma pojęcia, co ci powiedziałem! Zamierzałem ci to wyjaśnić, ale...

- Co wyjaśnić? Co chciałeś mi powiedzieć? Jeszcze więcej kłamstw? Nie wiem, czy będę mogła dalej żyć z kimś, kto zachowuje się w tak ohydny sposób! Muszę to sobie dokładnie przemyśleć! A ty lepiej napisz do tych idiotycznych prywatnych szkół, że nasze dzieci nie będą tam dłużej chodzić! Nie zamierzam płacić ani grosza więcej na te brewerie!

Płakała tak rozpaczliwie, że przez dłuższy czas nawet nie zauważyła deszczu. Bez celu spacerowała po Uxbridge Road, potem po Gunnersbury Avenue, następnie poszła do parku, zupełnie nie zwracając uwagi na to, że przemokła do suchej nitki i ludzie zerkają na nią z zaciekawieniem. Długo stała na brzegu Boating Lake i Potomac Fish Pond, gdzie razem z dziećmi i Richardem (tak, choć teraz trudno jej było to uwierzyć!) spędziła tyle szczęśliwych godzin. Usiadła na ławce, zapatrzona w wodę, oślepiona łzami i dużymi kroplami deszczu. Jak mógł ją tak oszukać? Mieli przecież ufać sobie nawzajem, całkowicie, bez żadnych zastrzeżeń - na tym polegało małżeństwo, prawda? Czowała, że nigdy więcej mu nie zaufa, nigdy. Równie dobrze mogłaby się dowiedzieć, że Richard ma romans. Nie, właściwie to odkrycie jego kłamstw było jeszcze gorsze. To, co się stało, nie dotyczyło tylko ich dwojga, ale wszystkich, całej rodziny. Po prostu zdecydował, co będzie najlepsze dla dzieci, i okłamał ją, bo przecież mogła się nie zgodzić.

- Nienawidzę cię! - krzyknęła, unosząc twarz ku mokremu, szaremu niebu. - Nienawidzę cię z całego serca!

I choć było jej bardzo zimno, dalej siedziała na ławce, wypłakując gorzkie łzy w złączone dłonie.

Wróciła do domu późnym popołudniem, przemoczona i zziębnięta do szpiku kości. Pobiegła na górę, napełniła wannę ciepłą wodą i zamknęła drzwi. Dzieci nie przyszły do niej, ale Richard tak. Najpierw chwilę ostrożnie pukał do drzwi, a potem zaczął walić w nie pięścią.

- Debs, wpuść mnie, proszę!

- Nie. Idź sobie. Zostaw mnie w spokoju.

- Nigdzie nie pójde! Muszę ci to wszystko wytłumaczyć!

- Nie chcę słuchać tych wyjaśnień! Po prostu... po prostu daj mi spokój!

Wreszcie wyszła z łazienki do wspólnej sypialni. Richard był tam, blady i ledwo żywy z niepokoju.

- Och, idźże sobie! - mruknęła.

- Debbie, proszę cię... - położył rękę na jej ramieniu.

- Przestań! Nie lubię, kiedy ktoś mnie okłamuje i nie życzę sobie o tym teraz rozmawiać!

- Przesadzasz, na miłość boską! - zawołał. - Przecież nie dopuściłem się zbrodni, nie zdradziłem cię ani nic takiego! Chciałem tylko oszczędzić ci zmartwienia, a dzieciom niepotrzebnego stresu! Czowałyby się okropnie, gdyby musiały teraz zmieniać szkołę! Świetnie sobie radzą! Przecież nie chciałybyś, żeby się denerwowały i przeżywały niepotrzebne napięcia, prawda? Poza tym wiem, że jakoś poradzę sobie z opłaceniem czesnego jeszcze przynajmniej przez rok! Znajdę nową pracę i...

- Zamknij się, dobrze? - rzuciła lodowatym tonem. - Jeśli o mnie chodzi, może nawet bym wołała, żebyś mnie zdradził, bo to byłaby stosunkowo prosta sytuacja! Tak czy inaczej, postanowiłam, że pojedę z tobą na to spotkanie, wysłucham wszystkiego i sama się dowiem, o co naprawdę chodzi. Tobie nie uwierzyłabym w żadnym razie, choćbyś przysięgał, że mówisz prawdę. A teraz znikaj! Zabierz dzieci do kina albo wymyśl coś innego!

Richard usłuchał jej bez słowa.

\* \* \*

Bardzo niewiele Nazwisk, noszących się z zamiarem uczestniczenia w zwołanym przez George'a Meyera spotkaniu w Grenville Club, spokojnie przespało noc poprzedzającą to wydarzenie. Sam George Meyer także z trudem panował nad niepokojem - sporo postawił na tę kartę, zainwestował w całą sprawę mnóstwo czasu i trochę pieniędzy, tylko kilka setek, ale i tak było to więcej, niż mógł sobie pozwolić. Nie miał pojęcia, jak ludzie zareagują na to, co zamierzał im powiedzieć, i nie był pewny, czy przypadkiem nie wróci do punktu wyjścia. Wprawienie maszyny w ruch dało mu nowy cel życia na kilka miesięcy; pracowicie zbierał informacje, rozważał swój pomysł, zasięgał porad prawnych, następnie pisał listy, organizował spotkanie i przygotowywał swoje wystąpienie. Pierwsza reakcja Nazwisk była zachęcająca - duża grupa przyjęła jego zaproszenie. Czuł, że wśród zainteresowanych znajdzie nie tylko towarzyszy broni, ale także innych przywódców, specjalistów w dziedzinach odrębnych niż jego własna, gotowych pomóc mu popchnąć sprawę do przodu. Co powiedział Henryk V przed bitwą pod Agincourt? Coś w rodzaju: „Napnijcie ścięgna, pobudźcie krew!”. W pojedynkę trudno było „napinać ścięgna”. George Meyer potrzebował teraz obecności i wsparcia innych ludzi.

Meyer, były dyrektor ds. marketingu średniej wielkości firmy z siedzibą w Greater Manchester, najpierw padł ofiarą recesji („strasznie nam przykro, George, ale niestety, musimy cię zwolnić...”), potem zaś Lloyd'sa, i wciąż jeszcze nie doszedł do siebie po zmianach, jakie zaszły w jego życiu. Jeszcze stosunkowo niedawno zamożny i zawodowo ustawiony, mieszkał w dużym domu w Cheshire z piękną, zadbaną żoną i trojgiem dzieci, teraz zaś, ledwo wiążąc koniec z końcem, wynajmował małe mieszkanie w Putney, już bez żony, która go porzuciła. I za niemal wszystkie te wydarzenia winił firmę Lloyd's.

Simon Beaumont wiązał ze spotkaniem duże nadzieje. Zawsze miał naturalny pociąg do nowych pomysłów i nowych spraw, poza tym wiedział, że bez konkretnego planu, być może tego, który zaproponuje George Meyer, czeka go przyszłość pełna spiętrzających się nieprzyjemności.

\* \* \*

Nadzieje Elizabeth były znacznie mniejsze; nie bardzo wyobrażała sobie, co może zrobić kilka osób, gotowych stawić czoło tak potężnej firmie jak Lloyd's. Była jednak poruszona i zaciekawiona, głównie dlatego, że Simon już od dawna nie miał do tej sprawy aż tak pozytywnego nastawienia, a ona ze wszystkich sił starała się go wspierać. W ostatnim czasie ich wzajemne stosunki bardzo się poprawiły i wiedziała, że jej obecność u boku Simona będzie miała dla niego duże znaczenie. Podejrzewała, że spotkanie może okazać się zwykłą stratą czasu, ale ostatecznie chodziło tylko o jeden wieczór. W każdym razie na to liczyła.

Nigel starał się nie przywiązywać zbyt wielkiej wagi do spotkania Nazwisk. Nie był już tak pewny, czy rzeczywiście udało mu się wybrnąć z problemów z Lloyd'sem, chociaż jeszcze niedawno nie miał co do tego żadnych wątpliwości. I nie był w stanie porozmawiać z Lucindą na temat dziecka. W ostatnich tygodniach bardzo schudła i najwyraźniej niewłaściwie się odżywiała. Poza tym pracowała bardzo ciężko, była wyczerpana, a w takim stanie miała chyba niewielkie szanse na zajście w ciążę. Kilka razy sugerował jej, żeby rzuciła pracę, ale ona natychmiast wpadała w złość i mówiła, że przecież nie będzie całymi dniami beczynnie przesiadywać w domu i wpatrywać się w kalendarz.

Był tak zachwycony swoim pomysłem przepisania majątku na Lucindę, że natychmiast wydał odpowiednie instrukcje dyrektorowi swojego banku, lecz adwokat, który siłą rzeczy musiał uczestniczyć w całej operacji, szybko zgasił entuzjazm Nigela.

- Przepisanie majątku z pełną świadomością posiadanych długów może być uznane za nielegalne - oświadczył. - Zdecydowanie radziłbym ci wstrzymać się z realizacją tego projektu. Jakie kroki już podjąłeś?

Nigel odparł, że na razie przekazał na rachunek żony tylko pieniądze ze swojego konta oraz pakiet akcji.

- I na twoim miejscu na tym bym na razie poprzestał. Ludzie z Lloyd'sa to nie idioci, zorientują się, co jest grane, i wystąpią z roszczeniami. Nawet pieniądze umieszczone na rachunkach zagranicznych nie są bezpieczne. Moim zdaniem, naprawdę stąpasz po cienkim lodzie, Nigel. Gdybyś zaprzeczył, że działałeś z

pełną świadomością sytuacji, popełniłbyś przestępstwo, bo przecież Lloyd's już od co najmniej roku nie ukrywa zaistniałych trudności...

Nigel postąpił zgodnie z radą adwokata i znowu stał się ofiarą okropnego niepokoju, który dręczył go nawet w środku nocy.

\* \* \*

Lucinda niecierpliwie czekała na zorganizowane przez Meyera spotkanie; wszystko, co odrywało jej myśli od sytuacji osobistej, było, jej zdaniem, jak najbardziej pozytywne. Dobrze było wszystko, co ratowało ją przed przesiadywaniem w domu z Nigelem.

Flora miała nadzieję, że spotkanie przyniesie coś dobrego, ale bardzo niepokoiła się emocjonalnym stanem Debbie oraz ich dalszymi wzajemnymi stosunkami. Była wściekła na Richarda, nie tylko dlatego, że w zupełnie idiotyczny sposób okłamał Debbie, ale także nie przemyślał całej sytuacji, nie zauważył, że może ona mieć bezpośredni wpływ na żonę, i nie ostrzegł jej. W gruncie rzeczy była zadowolona, że Debbie wybiera się na spotkanie, liczyła bowiem, że dzięki temu lepiej zrozumie, z czym wszyscy razem mają do czynienia. Czuła też, że kontakt z innymi osobami, które mają te same problemy może dać jej wiele dobrego, ponieważ ostatnio była przygnębiona i pozbawiona energii.

Richarda przerażała jedna myśl - że Debbie zrobi mu następną scenę. Wydawało mu się to wielce prawdopodobne, ponieważ nadal prawie się do niego nie odzywała.

A Debbie, pogrążona w cichej furii, za wszelką cenę pragnęła dowiedzieć się prawdy. Musiała ustalić, jakim zagrożeniem jest dla nich wszystkich sprawa Lloyd'sa, a co ważniejsze, jak długo jeszcze potrwa niebezpieczeństwo.

## ROZDZIAŁ 9

*WRZESIEŃ 1989*

- Mogę tu usiąść?

- Oczywiście. Mój syn i synowa przyjdą niedługo, ale mogą usiąść z drugiej strony.

- Dziękuję! Muszę też zająć miejsce dla żony. Na pewno przyjdzie, po prostu długo dziś pracuje.

Flora uśmiechnęła się do młodego mężczyzny, który zajął krzesło obok niej. No, może niezupełnie młodego... Cóż, młodzi ludzie wcześniej się teraz starzeją, pomyślała. Ten miał trzydzieści parę lat, najwyżej czterdzieści parę. Był świetnie ubrany i mówił z akcentem absolwentów szkół prywatnych; wydawał się czarujący. William zawsze powtarzał, że jedną z najlepszych stron członkostwa w Lloyd'sie była pewność, że człowiek ma do czynienia z odpowiednimi ludźmi.

- Nigel Cowper - przedstawił się młody człowiek, wyciągając rękę.

- Flora Fielding.



- Bardzo mi miło. Gdzie pani mieszka, pani Fielding?

- W Walii - uśmiechnęła się Flora miło. - I proszę mówić mi po imieniu, dobrze? Kiedy słyszę „pani Fielding”, czuję się okropnie staro, chociaż w gruncie rzeczy nie ma w tym nic dziwnego...

- Jeżeli pani pozwoli, to chciałbym powiedzieć, że w żadnym razie nie powinna pani czuć się staro, bo pani wygląd wcale na to nie wskazuje.

- Dziękuję!

- Za to na pewno nie można powiedzieć, że przyjechała pani na to spotkanie spod Londynu - za-uważyl nieśmiało.

- Och, jestem pewna, że nie tylko ja przyjechałam z tak daleka! Cała ta sprawa jest dosyć... dosyć niepokojąca. A zdobycie informacji o stanie naszych finansów wydaje się po prostu niemożliwe. Pomyślałam sobie, że list pana Meyera daje obietnicę uzyskania przynajmniej podstawowych wiadomości. To chyba on witał nas w drzwiach, prawda?

- Tak mi się wydaje. Cóż, na jego zaproszenie stawiło się sporo osób... O, jest Lucinda, moja żona! Witaj, kochanie! - wstał i pocałował młodą kobietę w policzek. - Siadaj tutaj... To jest pani Fielding, pani Flora Fielding. Przyjechała aż z Walii. Pani Fielding, to Lucinda...

W jego głosie brzmiała wielka duma. Flora wcale się nie dziwiła - Lucinda miała piękne jasne włosy i duże niebieskie oczy, zgrabną sylwetkę i miły, łagodny głos; pomyślała o nieco surowym, skażonym londyńskim akcentem głosie Debbie, zaraz jednak skarciła się za zupełnie nieuzasadnioną w tym wypadku skłonność do krytyki. Ostatecznie nikt nie może nic poradzić na to, jaki ma głos, prawda?

- Uwielbiam Walię - Lucinda serdecznie potrzęsnęła dłonią Flory. - Kiedy byłam mała, często jeździłam z rodzicami do Abersoch, na pewno wie pani, gdzie to jest...

- Och, to prześliczne miejsce! - powiedziała Flora. - Niestety, ostatni raz byłam tam ładnych parę lat temu... Mieszkam w południowej Walii, na półwyspie Gower. Proszę, niechże pani siada... O, a to mój syn i synowa... Debbie, Richard, jestem tutaj!

Debbie pomyślała, że rzeczywistość okazała się jeszcze gorsza, niż podejrzewała - sala pełna była rozgadanych ludzi z eleganckiego towarzystwa. Flora na pewno była w siódmym niebie. Już znalazła sobie jakąś dobrze urodzoną parę... Ta dziewczyna była po prostu śmieszna, bardziej w stylu księżnej Diany niż sama księżna Diana. I na dodatek ten pozbawiony podbródka facet, który jej towarzyszył.

- Dzień dobry - przywitała krótko Lucindę i Nigela. - Nie chcemy wam przeszkadzać. Przepraszamy za spóźnienie, Floro, ale opiekunka do dzieci wypięła się na nas i musieliśmy zorganizować coś innego.

- Och, macie dziecko? - ucieszyła się Lucinda. - Cudownie!

- Czasami - powiedział Richard. - To znaczy, czasami jest cudownie. A dzieci mamy troje, wszystkie, niestety, już raczej spore...

Uśmiechnął się do Lucindy, najwyraźniej zachwycony nową znajomą.

- Dlaczego „niestety”? - Debbie uniosła brwi. - Osobiście jestem bardzo zadowolona, że nasze dzieci nie są już małe.

- Jasne, wyobrażam sobie, ile pracy wymaga taki maluch - odezwał się pozbawiony podbródka Nigel. - Mój brat ma dwójkę i oboje z żoną są bezustannie wyczerpani. No, ale ich dzieciaki to jeszcze zupełnie berbecie.

Zupełne berbecie, pomyślała Debbie. Nie miała pojęcia, jak uda jej się przetrwać ten wieczór. Jeżeli tacy ludzie ucierpieli na machinacjach Lloyd'sa, to należało im się, i tyle... Nagle zobaczyła bladą kobietę w średnim wieku, bardzo schludnie ubraną, która siedziała przed nimi, trzymając męża za rękę. Mężczyzna z całej siły ścisnął jej dłoń i wyglądał na bardzo zdenerwowanego. Pewność siebie Debbie gwałtownie zmalęła.

Sala szybko się wypełniła. Simon rozejrzał się dookoła, mocno zdumiony i mile zaskoczony widokiem niezwykłego tłumu - przedstawicielei najbogatszej warstwy społeczeństwa, poważnych kobiet bez makijażu, z mężami w znoszonych sztruksowych marynarkach, rozgadanych facetów z City (miał szczerą nadzieję, że sam nie jest aż tak karykaturalnym przypadkiem człowieka biznesu, jak wielu z nich), innych prawie-karykatur, na przykład społeczności myśliwych i wędkarzy, kilku ludzi teatru i sporej liczby wyraźnie niespokojnych par w średnim wieku.

Mężczyzna, który wcześniej witał wszystkich w progu, teraz ruszył w stronę podwyższenia w drugim końcu sali. Był raczej niski, z porządnie ostrzyżonymi ciemnymi włosami i miał koło czterdziestu pięciu lat, pomyślał Simon, patrząc na niego ze swojego miejsca przy wejściu, gdzie czekał na Elizabeth. Czy przynajmniej raz, ze względu na niego, nie mogła przyjść punktualnie? W tym momencie drzwi się otworzyły i Elizabeth wśliznęła się do środka.

- Przepraszam - szepnęła. - Robiłam, co w mojej mocy. Czy to jest George Meyer?

- Tak sędzę. Ma krawat jednego ze stowarzyszeń studenckich Oksfordu, widzisz? To dobrze wróży, prawda?

George Meyer wszedł na podwyższenie, dokonał rytualnego ostukiwania i testowania mikrofonu, następnie uniósł dłoń, starając się skupić na sobie uwagę obecnych. Obecni przestali rozmawiać. Siedząca przed Debbie para w średnim wieku mocniej chwyciła się za ręce.

George Meyer uśmiechnął się do zebranych.

- Przede wszystkim dziękuję wam za przybycie - zaczął. - Nazywam się George Meyer i bardzo się cieszę, że was tu widzę. Z kilkorgiem z was miałem już okazję rozmawiać i z tych rozmów jasno wynika, że wszyscy zostaliśmy poważnie dotknięci szybko rosnącymi stratami, jakie na przestrzeni ostatnich kilku lat ponosi Lloyd's. Dla części z nas straty te oznaczają bardzo poważny uszczerbek w finansach...

Przez salę przebiegł potwierdzający słowa mówcy szmer.

- Łączy nas także fakt, że wszystkich nas obsługuje ta sama agencja, Jackson & Bond. W moim wypadku, a jestem przekonany, że dotyczy to także i was, głównym problemem okazało się nadmierne obciążenie udziałami w Westfield Bradley Group of Syndicates, syndykatu, którego wyniki okazały się wyjątkowo słabe.

Nowa fala szmeru. Debbie poruszyła się niespokojnie. George Meyer zadawał teraz pytania, prosząc obecnych o podnoszenie rąk w odpowiedzi. Pytał, ile osób zostało wprowadzonych do Lloyd'sa przez osobę nieznaną, ilu osobom agencja Jackson & Bond sugerowała, że rok 1986 ma być szczególnie korzystny i że najlepszym sposobem odrobienia strat za rok 1985 (pierwszy rok ze stratami) będzie zwiększenie premiowanego limitu przychodowego - cokolwiek to znaczy - do jak najwyższej kwoty, oraz ile osób dowiedziało się przez tę agencję, że powinny zwiększyć swój udział w syndykacie Westfield Bradley Group, ponieważ nie wiązało się to z dużym ryzykiem i było bezpieczne i pewne jak w banku.

Sala odpowiedziała niepewnym śmiechem. Mnóstwo rąk podniosło się do góry.

- Zastanawiam się też, ilu z was agencja Jackson & Bond zaproponowała zmniejszenie udziałów w Westfield Bradley? Ach, rozumiem... Nikomu. Nie wątpię też, że powiedziano wam, iż poza dwiema osobami w 1963 roku nikt nie pamięta żadnego Nazwiska, które straciłoby dużo pieniędzy, prawda?

Znowu śmiech, tym razem odważniejszy i głośniejszy.

Facet dobrze sobie radzi, pomyślał Simon. Naprawdę dobrze, lepiej, niż można było oczekiwać. Zauważył, że Meyer zrobił pozytywne wrażenie także na Elizabeth.

- A ilu z was uważa, że w czasie, kiedy zostaliście przyjęci do Lloyd'sa, nikt, ale to dosłownie nikt z pracowników tej firmy nie przeczuwał, że w przyszłości czekają ich poważne kłopoty?

Ani jedna ręka nie podniosła się do góry.

- No, właśnie. Nie jestem prawnikiem, lecz jeżeli firma Lloyd's miała świadomość, że przyszłość nie rysuje się zbyt różowo, i celowo zataiła te informacje przed potencjalnymi członkami, to najwyraźniej padliśmy ofiarą zaplanowanego oszustwa. I dlatego mamy prawo wkroczyć na drogę postępowania prawnego.

W sali zapadła głęboka cisza.

- Być może podnoszę chorągiew buntu, gdy mówię, że zamierzam podjąć błyskawiczne i, jeżeli okaże się to konieczne, drastyczne kroki. Bóg wie, jak trudno będzie zgromadzić dowody, które okażą się istotne w sądzie, ale jestem zdecydowany zaryzykować. Teraz chciałbym posłuchać waszych opinii. Jeżeli ktoś chce opowiedzieć swoją historię, wysłuchamy go z uwagą. Wydaje mi się ważne, abyśmy podzielili się doświadczeniami i w ten sposób się dowiedzieli, jakie trudności dotknęły innych. Potem proponuję przerwę na kawę i przejście do następnego kluczowego pytania - co dalej? A zatem, czy ktoś chciałby zabrać głos?

Jak zwykle w takich sytuacjach, wszyscy zgodnie milczeli, wpatrując się w podłogę, sufit lub ściany. Po paru chwilach z miejsca podniosła się Flora. Jakżeby inaczej, pomyślała Debbie.

- Pani w niebieskim żakiecie, prosimy bardzo! - George Meyer uśmiechnął się do niej serdecznie. - Zechciałaby pani podejść tutaj czy raczej...

- Już idę. - Flora dotarła do podwyższenia, wspięła się na nie i potoczyła wzrokiem po sali, odsuwając do tyłu burzę włosów.

Miała na sobie długą spódnicę, żakiet z haftowanego niebieskiego welwetu i wysokie czarne buty na obcasach. Debbie z niechętną dumą pomyślała, że jej teściowa wygląda wspaniale.

- Dzień dobry - odezwała się Flora. - Najpierw chciałabym podziękować George'owi Meyerowi za zorganizowanie tego spotkania, ponieważ był to naprawdę znakomity pomysł... I za to, że zadał sobie sporo trudu, aby skontaktować się z nami wszystkimi. Chcę też krótko opowiedzieć wam moją historię - wydaje mi się, że jest dość zwyczajna, ale może wyjaśni, dlaczego zależy mi na podtrzymaniu pomysłu naszego gospodarza.

I rzeczywiście krótko opowiedziała, jak za sprawą swojego męża stała się Nazwiskiem, a po jego śmierci przed czterema laty odziedziczyła cały majątek.

- Był to podwójny cios - uśmiechnęła się lekko. - Jestem sama i mam dużo więcej do stracenia. - I właśnie dlatego, panie Meyer, jestem po pańskiej stronie.

Wróciła na swoje miejsce. Po chwili przy mikrofonie stanął szpakowaty mężczyzna po pięćdziesiątce, o czerwonej twarzy, ubrany w tandetny tweedowy garnitur. Powiedział, że jest farmerem, ma „jakiś tysiąc akrów w Suffolk” i dołączył do grona Nazwisk przed dwudziestu laty.

- Muszę przyznać, że niektóre z tych lat były bardzo korzystne, ale teraz... Cóż, teraz właściwie jestem nędzarzem. Prawie.

Nędzarzem z tysiącem akrów, rzeczywiście, pomyślała Debbie. I kto w to uwierzy...

- Muszę pozbyć się wszystkiego, co miało dla mnie jakąś wartość. Farmy, która była domem dla mojej rodziny od wielu pokoleń, żywego inwentarza, koni... Oczywiście teoretycznie moglibyśmy zatrzymać dom, ale wtedy wartość gospodarstwa jest dużo mniejsza, więc moja żona i ja przeprowadzamy się do małego domku. Jedynym źródłem naszych dochodów będzie państwowa emerytura, na nic więcej nie możemy liczyć. Nie wiem, co zrobimy, słowo daję. Najbardziej gniewa mnie, że ci ludzie musieli wiedzieć, co się dzieje i co nam grozi, ale mój agent nie ostrzegł mnie ani jednym słowem. Nie dość tego, miał jeszcze czelność zachęcać mnie, abym zwiększył udziały na następny rok.

Nigel pomyślał o swoim majątku w Norfolk, także zagrożonym, i nagle zrobiło mu się niedobrze ze strachu.

Kolejka pragnących opowiedzieć swoje historie wydłużyła się; po farmerze z miejsc podniosła się starsza para. Oświadczyli, że jeżeli w następnym roku sytuacja się nie poprawi, będą musieli sprzedać nie tylko rodzinny dom, ale także wszystko, co mają. Kiedy kobieta zaczęła szlochać, z całej siły trzymając się ramienia męża, George Meyer łagodnie pomógł im zejść z podwyższenia.

Później głos zabrała młoda wdowa, która przez parę lat mieszkała w Hongkongu. Jej mąż zmarł i zostawił jej dość pieniędzy, aby mogła zostać Nazwiskiem w Lloyd'sie, co zaproponował jej pewien uroczy i przepelniony chęcią pomocy młody człowiek.

- Poznałam go po powrocie do Anglii. Był w jakiś sposób związany z firmą mojego męża i powiedział, że Lloyd's pomoże mi zachować odpowiedni standard życia i zadbać o przyszłość dzieci, ale teraz Lloyd's żąda ode mnie więcej, niż mogę dać. Naprawdę nie wiem, co robić...

I tak dalej, i tak dalej... Jedna historia po drugiej. Wszystkie mówiły o lęku, o konieczności sprzedaży domu, o utraconej bezpiecznej przyszłości. Wstrząśnięta i dziwnie zawstydzona Debbie starannie unikała wzroku Richarda. W końcu Meyer podszedł do mikrofonu i podziękował wszystkim mówcom za otwartość i odwagę.

- Teraz zrobimy przerwę na kawę - rzekł. - Serdecznie zapraszam wszystkich, chciałbym jednak poprosić tych, którzy są przeciwni mojej propozycji, aby po przerwie opuścili salę.

Kawę podano z tyłu sali. Wszyscy ruszyli w tamtym kierunku, niepewnie uśmiechając się do siebie nawzajem. Nigel stanął w kolejce za młodą wdową, która podzieliła się swoimi przeżyciami w czasie spotkania. Pomyślał, że jest całkiem ładna - miała jasnobrązowe włosy i duże, pełne niepokoju szare oczy. Wyciągnął do niej rękę.

- Nigel Cowper - przedstawił się. - Gratuluję odwagi, ja raczej bym się na to nie zdobył.

Odpowiedziała bladym uśmiechem.

- Catherine Morgan. Sama nie spodziewałam się tego po sobie, ale nagle poczułam, że muszę coś zrobić. Ludzie powinni wiedzieć, co spotkało innych. Jaki zresztą sens miałyby to spotkanie, gdybyśmy nie byli ze sobą szczerzy?

- Wygląda pani na bardzo zmęczoną - powiedział. - Może usiądzie pani tam, obok mojej żony, a ja zajmę się kawą...

Pomachał do Lucindy, wskazując jej Catherine.

- Mamy towarzystwo, kochanie! - zawołał.

- Proszę usiąść - Lucinda uśmiechnęła się serdecznie. - Co za straszna sytuacja. Bardzo mi przykro, nie zdawałam sobie sprawy, że sytuacja wygląda aż tak źle.

- Cóż, nie jestem jedyną osobą, którą to spotkało - odparła Catherine.

- Wiem, ale mimo wszystko... Tak czy inaczej, miło mi panią poznać. Mam na imię Lucinda.

Wracając do stołu, Nigel natknął się na Flore Fielding, która posłała mu miły uśmiech.

- Och, znowu się spotykamy! - zawołała. - Mój syn i synowa usiedli tam, ma pan ochotę do nas dołączyć?

- Dziękuję za zaproszenie, ale nie tym razem - odrzekł Nigel. - Rozbiliśmy obóz z tamtej strony sali, z tą biedną dziewczyną, wdową...

- Musi przeżywać prawdziwy koszmar. - Flora pokiwała głową. Chyba nikomu jeszcze nie współczułam tak bardzo jak jej.

- Sama jest pani wdową - powiedział Nigel, zaskoczony własną bezpośredniością.

- To prawda, ale ja jestem już stara i twarda, no i nie mam małych dzieci. Trudno wyobrazić sobie bardziej skomplikowaną sytuację niż ta, w jakiej ona się znalazła.

Catherine Morgan z wyraźną przyjemnością rozmawiała przy kawie z Nigelem i Lucindą.

- Jak to miło znowu być wśród ludzi - westchnęła. - Na co dzień jestem raczej samotna. Od dawna nie miałam żadnej rozrywki.

- O, mój Boże, musi być pani naprawdę trudno - odezwała się Lucinda. - W jakim wieku są pani dzieci?

- Caroline ma sześć lat, a Freddie osiem. Och, ależ ze mnie niezgara!

Filizanka Catherine przewróciła się, a zawartość wylała się na blat stołu i ściekała na podłogę. Lucinda chwyciła swoją torbę, aby uchronić ją przed poplamieniem.

- Nic nie szkodzi - powiedziała szybko. - Nigel, rozejrzyj się za serwetkami, dobrze?

Nigel posłusznie oddalił się w poszukiwaniu serwetek, a Catherine gorączkowo próbowała powstrzymać kawową powódź chusteczkami do nosa.

- Naprawdę jestem niezgrabna i okropnie się tego wstydzę - wyznała. - Na dodatek takie wypadki zdarzają mi się bardzo często. Mój tata zawsze powtarzał, że jestem chodzącą katastrofą.

- Nonsens! - zaprotestowała gorąco Lucinda. - Wcale nie! I na pewno nie każdy tak świetnie radzi sobie z publicznymi wystąpieniami! O, jest Nigel, przyniósł cały stos chusteczek! Doskonale!

- No, nic się nie stało - oświadczył Nigel, trochę nieporadnie wycierając kawę. - Już po kłopotcie... Gdzie pani mieszka, Catherine? Możemy mówić sobie po imieniu?

- Oczywiście! Mam mieszkanie w Fulham, ale obawiam się, że będę musiała je sprzedać, jeżeli sytuacja jeszcze się pogorszy. To cały mój majątek.

- Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie - powiedział Nigel bez wielkiego przekonania.

- Oby...

- Pracujesz, Catherine? - zagadnęła Lucinda.

- Tak, na pół etatu jako sekretarka w agencji nieruchomości. Dosyć męcząca praca, ale codziennie pozwalają mi wychodzić o piętnastej trzydzieści i dzięki temu mogę odebrać dzieci ze szkoły.

- A kiedy... kiedy umarł twój mąż?

- Ponad cztery lata temu. Dopiero wracałam do równowagi, starałam się poukładać najważniejsze sprawy, gdy zgłosił się do mnie ten człowiek od Lloyd'sa... Najwyraźniej dostrzegł we mnie idealną ofiarę. Nie potrafię zrozumieć, jak mogłam być taka głupia, ale pewnie wtedy jeszcze nie do końca otrząsnęłam się z szoku.

- Straszne - Lucinda pokręciła głową. - Uważam, że jesteś bardzo, bardzo dzielna. Boże, wszystkich tych drani powinno się powiesić! Masz ochotę na kawę, Catherine? Nie, nie, Nigel, ja przyniosę, a ty porozmawiaj z Catherine.

Stała na końcu kolejki, nie mogąc przestać myśleć o tym, że ten wieczór raczej wprawił ją w przestach, niż ukoił rozmaite wątpliwości.

Simon odszukał George'a Meyera, zostawiając Elizabeth pogrążoną w rozmowie z jakąś nieszczęśliwą, bliską leż kobietą.

Meyer od początku zrobił na nim bardzo dobre wrażenie.

- Simon Beaumont - przedstawił się, wyciągając rękę do gospodarza spotkania. - Nosi pan krawat Charterhouse, ja także tam studiowałem.

- Tak, jestem absolwentem z pięćdziesiątego czwartego roku, a pan?

- Byłem tam trochę później. - Simon uświadomił sobie, że Meyer musi być starszy, niż sądził. - Chciałem tylko powiedzieć, że doskonale pan zrobił, organizując to spotkanie. Nie mogę się już doczekać drugiej części.

- Dziękuję. Muszę przyznać, że sam jestem zachwycony reakcją ludzi. Nie oczekiwałem, że przyjdzie aż tyle osób.

- Cóż, wszyscy stoimy pod ścianą. W takiej sytuacji dobrze jest dostrzec jakieś światełko w tunelu, choćby najśłabsze.

Po paru chwilach Simon stanął w kolejce po kawę tuż za kompletnie oszalamiającą dziewczyną. Ubrana była jak typowa przedstawicielka młodej generacji klasy wyższej, w białą bluzkę koszulową z załobem, marszczoną spódniczkę w drobne kwiaty (zdaniem Simona spódnica była trochę za długa i zasłaniała większą część zachwycająco zgrabnych nóg), miała jasnobezowe mokasyny z łańcuszkiem od Gucciego oraz aksamitną opaskę na włosach. Elizabeth nie przepadała za tego typu osobami i z uporem nazywała je „dinozaurami”, lecz Simon uważał, że wśród dziewcząt z dobrych rodzin często zdarzały się prawdziwe, rasowe piękności.

- Halo - odezwał się. Uśmiechnęła się.

- Halo!

- Próbowała już pani kawy?

- Niestety, tak. Tym razem wezmę herbatę i panu radzę zrobić to samo -

wyciągnęła do niego drobną dłoń, ozdobioną złotym sygnetem (jakżeby inaczej!). - Miło mi pana poznać... Lucinda Cowper.

- Simon Beaumont, mnie także. Jest tu pani z mężem?

- Tak. Jak na razie cały ten kryzys nie dotknął nas bardzo boleśnie, ale kiedy słucha się tych historii, skóra cierpnie. Może usiądzie pan na chwilę z nami? Jesteśmy tam, razem z tą biedną owdowiałą dziewczyną.

- Dziękuję za zaproszenie, chętnie skorzystam. Czy mogę przyprowadzić żonę?

- Oczywiście...

Lucinda miała słodki, nieśmiały uśmiech, w którym odsłaniała śliczne, równe zęby. W ogóle sprawiała wrażenie nieco nieśmiałej, może nawet odrobinę przygaszonej, trochę innej od pewnych siebie dziewcząt z tego samego kręgu. Była przy tym jednak naprawdę piękna i bardzo seksowna... Och, na miłość boską, weź się w garść, Beaumont, ostro skarcił się Simon, podchodząc do Elizabeth.

- Chodźmy, chciałbym przedstawić cię nowym znajomym - odezwał się.

- Widziałam, jak rozmawiałeś z jednym z tych nowych znajomych - mruknęła Elizabeth. - Ta ślicznotka bynajmniej nie wyglądała na biznesmena.

Uśmiechnęła się jednak i z wdziękiem ruszyła za nim przez tłum.

Simon przyglądał się Nigelowi z pewnym zainteresowaniem. Oto klasyczne nazwisko, myślał, typowy absolwent prywatnych szkół, wysoki, szczupły, jasnowłosy, ubrany w bardzo formalnym stylu, prawdopodobnie trochę tępawy. Trudno było wyobrazić sobie mniej odpowiedniego męża dla słodkiej Lucindy.

Catherine Morgan od razu przypadła mu do gustu. Ona także była ładna i chociaż w jej ogromnych szarych oczach malował się wyraz znużenia, całkiem pogodnie rozmawiała z nim o tym, co robi i jak sobie radzi. A radziła sobie niezbyt dobrze; zwierzyła się Simonowi, że przed rozpoczęciem poprzedniego semestru musiała zabrać dzieci z prywatnych szkół i przenieść je do miejscowej państwowej podstawówki.

- Oczywiście zdaję sobie sprawę, że to nie koniec świata, ale oni naprawdę uwielbiali tamte szkoły... Nauka szła im doskonale, mieli też dużo miłych przyjaciół, a teraz wszystko wygląda inaczej. Szczególnie dotyka to Freddiego, który jest bardzo inteligentny i zależy mu na dobrych wynikach. W tej szkole ciągle wyśmiewają się z niego i przezywają kujonem, więc czuję się winna.

- Szczerze mówiąc, trudno wyobrazić sobie gorszą sytuację dla zdolnego chłopca - przyznał Simon. - I to w tych czasach, kiedy większość młodych ludzi ma tak niechętny stosunek do nauki. Boże, musi mu być naprawdę ciężko. Pracuje pani?

- Tak, ale nie jest to bardzo ambitne zajęcie, nie mówiąc już o tym, że zdecydowanie marnie płatne. Tak czy inaczej, nie miałam innej propozycji, która pozwoliłaby mi odbierać dzieci ze szkoły i spędzać popołudnie w domu. Nie ma co narzekać - przez część dnia jestem między ludźmi i dostaję jakieś pieniądze.

- W jakim wieku są pani dzieci? - zagadnęła Elizabeth.

- Freddie ma osiem lat, a Caroline sześć.

- Och, to jeszcze słodkie maluchy. Na pewno są dla pani ogromną pociechą.

- Tak, oczywiście... A czym pani się zajmuje?

- Pracuję w reklamie.

- To musi być bardzo interesujące, prawda?

- Czasami - przytaknęła Elizabeth.

Simon poczuł, jak jego serce zalewa fala miłości. Jego żona wykazała się ogromną klasą, przedstawiając swoją pracę jako nieszczęśliwie fascynującą, tylko po to, aby nie przygnać tej nieszczęsnej dziewczyny.

- A co ty robisz, Lucindo?

- Pracuję w wydawnictwie. Jestem zwyczajną asystentką, to nic wielkiego.

- Dajże spokój, kochanie, nie umniejszaj swojej roli w pracy! - zaprotestował Nigel. - Lucinda zawsze tak robi - dodał nieco pompatycznym tonem.

- Nieprawda! - W głosie Lucindy zabrzmiała nuta irytacji. - I nie mów o mnie w taki sposób, jakby mnie tu nie było!

Ach, niezgoda w raju, pomyślał Simon.



- Przepraszam, kochanie! Przepraszam.

- Gdzie mieszkacie? - spytała Catherine.

- W Chelsea - odparła Lucinda. - Przy Cadogan Square.

Przez głowę Simona przemknęła myśl, że już dawno nie spotkał tak uroczej osobki.

Debbie siedziała obok sympatycznej, trzymającej się za ręce pary z pierwszego rzędu krzeseł. W czasie przerwy na kawę nie ruszyli się z miejsca; oboje sprawiali wrażenie głęboko wstrząśniętych. Dopiero gdy

Flora z uśmiechem zaproponowała, aby dołączyli do niej i jej najbliższych, kobieta chętnie przyjęła zaproszenie, a mąż podążył za nią bez słowa. Flora i Richard poszli po kawę, zostawiając Debbie z nowymi znajomymi.

- Jestem Debbie Fielding - przedstawiła się niepewnie.

- Mary i Michael Gardnerowie - odparła starsza kobieta.

- Co myślicie o całej tej sprawie?

- O pozwie sądowym? Och, pan Meyer zrobił na nas bardzo pozytywne wrażenie, prawda, mój drogi? Mimo tego raczej nie będziemy podejmować jeszcze większego ryzyka. Mamy już dosyć kłopotów.

- Doskonale to rozumiem - pokiwała głową Debbie. Michael wstał.

- Idę do toalety, Mary. Zaraz wracam.

- Dobrze, kochany. - Mary chwilę patrzyła za nim z nieskrywanym niepokojem. - Michael nie chciał tu przyjść, ale powiedziałam mu, że powinniśmy - wyznała cicho. - Że należy się zorientować, czy możemy coś zyskać...

Była zupełnie inna, niż początkowo sądziła Debbie. Miała miły, bynajmniej nie wyniosły głos, a ubrana była w dość zwyczajną bluzkę ze sweterkiem z tej samej dzianiny i niemodne, wyczyszczone do połysku pantofle.

- A pani? - spojrzała na Debbie. - Jesteście Nazwiskami, pani i pani mąż?

- Och, nie - odparła Debbie. - Towarzyszymy tylko mojej teściowej. To Flora Fielding, przemawiała jako pierwsza.

- Ach, tak... Na pewno jest z niej pani ogromnie dumna.

Debbie miała wielką ochotę zaprzeczyć, ale zasady dobrego wychowania wykluczały taką możliwość.

- Tak, naturalnie.

- I macie szczęście, że nie jesteście w to wszystko bezpośrednio zaangażowani - westchnęła Mary Gardner. - To okropna sprawa, naprawdę. Najgorsze jest to, że... Och, mam nadzieję, że nie zanudzam panią, ale tak długo dusiłam to w sobie. Michael nie pozwala mi o tym mówić.

- Nie, skądże! - zaprzeczyła gorąco Debbie. - Wcale mnie pani nie zanudza!

- Najbardziej ucierpiała jego duma. Był bardzo dumny, gdy zaproponowali mu, aby został Nazwiskiem. Jego rodzice byli dość skromnymi ludźmi, więc uznał tę pozycję za wielki zaszczyt, prawie jak otrzymanie odznaczenia za osiągnięcia naukowe.

- Naprawdę? - zdziwiła się uprzejmie Debbie.

- Tak... No, prawie tak wielki... Tamto przeżycie było po prostu wspaniałe - siedziałam w pięknej sali i obserwowałam, jak królowa osobiście przypina medal Michaelowi i mówi coś do niego. Zawsze wydawało mi się to niesamowite, chodzi o to, że sama odznacza ludzi. Tak czy inaczej, kiedy akcje firmy Michaela trafiły na rynek giełdowy, dostał tę propozycję od Lloyd'sa. Michael był wtedy głównym dyrektorem firmy, a że o jej sukcesach sporo pisano w prasie, jakiś znajomy znajomych zadzwonił do Michaela, powiedział, że jest agentem Lloyd'sa, i spytał, czy Michael nie chciałby zostać Nazwiskiem. Och, Michael był taki podekscytowany! Wrócił z siedziby Lloyd'sa zafascynowany, zachwycony. Mówił, że dzięki tej ceremonii poczuł się naprawdę kimś, że widział teleskop lorda Nelsona, i że zatrzymali go na uroczysty lunch i pogratulowali pozycji Nazwiska, Wręczyli mu certyfikat, a on był z niego tak dumny, że powiesił go na ścianie w swoim gabinecie. Nie muszę pani mówić, że już dawno go zdjął.

- No, tak, rozumiem...

- I oczywiście powiedzieli mi, że ryzyko jest minimalne. Przez parę następnych lat rzeczywiście dostawaliśmy spore sumy. Michael lubił się tym chwalić. Wiele razy słyszałam, jak mówił: „Och, wiecie, jestem Nazwiskiem w Lloyd'sie...”, kiedy urządzaliśmy przyjęcia, ale wydawało mi się to zupełnie nieszkodliwe. I pewnie dlatego teraz tak bardzo cierpi. Kiedy zaczęli domagać się od nas pieniędzy - to było dwa lata temu - początkowo nawet mi o tym nie powiedział.

- Nie powiedział pani!

- Nie, nie potrafił się na to zdobyć. Nie tylko dlatego, że bał się mnie zmartwić, o, nie. Uważał, że zrobi z siebie głupca. Dowiedziałam się dopiero, gdy zachorował, bo wtedy nagle odkryłam, że zrezygnował z ubezpieczenia medycznego. Okazało się, że jest winien Lloyd'sowi mnóstwo pieniędzy, prawie tyle, ile wart jest nasz dom w Guildford. Przeżyłam straszny szok, ale sam ten fakt nie miał dla Michaela takiego znaczenia jak to, że musiał mi wszystko wyznać. Teraz nie chce o tym z nikim rozmawiać, nie powiedział nic nawet naszym dzieciom. Namówienie go, żeby przyjechał na to spotkanie, kosztowało mnie mnóstwo wysiłku.

- Więc... Więc co zamierzacie zrobić? - spytała niepewnie Debbie. Szczerze współczuła Mary Gardner.

- Cóż, możemy sprzedać dom i kupić dużo mniejszy, ale w ten sposób pokrylibyśmy tylko tego-roczone zadłużenie. Bóg wie, jak poradzimy sobie następnym razem.

- Prawdziwa katastrofa... Tak mi przykro.

- Dziękuję, moja droga, to bardzo miło z pani strony. Och, pani teściowa już wraca! Nic dziwnego, że ona została Nazwiskiem, ale wie pani, tę propozycję otrzymało również bardzo dużo takich jak my, zu-

pełnie zwyczajnych ludzi, którzy przede wszystkim w ogóle nie powinni byli znaleźć się wśród Nazwisk. Niestety, oszołomił ich ten wątpliwy zaszczyt, właśnie tak jak Michaela.

- Tak - przyznała Debbie. - Tak, nie zdawałam sobie sprawy, jak to naprawdę wyglądało.

George Meyer wrócił na podwyższenie i ponownie przywitał obecnych. Miał bardzo miły uśmiech, pomyślała Elizabeth.

- No, dobrze, wracamy do sprawy - zaczął. - Widzę, że prawie wszyscy zostali, co oznacza, że zależy nam na zbadaniu możliwości świadomego oszustwa ze strony przedstawicieli Lloyd'sa. Naszym podstawowym zadaniem jest znalezienie dobrego adwokata, najlepiej kogoś, kto wie, jak działa Lloyd's i będzie w stanie ocenić, czy mamy podstawy do wystąpienia z formalnym oskarżeniem. Poza tym, o ile dobrze rozumiem, musimy podjąć trudną decyzję - przeciwko komu występujemy?

Wszyscy słuchali go w skupieniu. Flora rozejrzała się po sali i z podziwem spostrzegła, że poza nią nikt nie odrywa wzroku od Meyera. Cieszyła się, że przyszła na spotkanie, cieszyło ją panujące wśród obecnych poczucie wspólnoty interesów i gotowość wzajemnego wsparcia. Była to bardzo pozytywna, dająca siłę atmosfera.

- Rozmawiałem już o tym z moim księgowym, który wysunął interesującą tezę - ciągnął Meyer. - Powiedział, że jego zdaniem nie należy występować przeciwko firmie jako całości. Twierdzi, że prawo chroni Naczelną Radę, a wszyscy inni są jak właściciele straganów na targu. Naszą szansą jest skupienie się na poszczególnych firmach, które zawiodły - oto jego rada, chyba jak najbardziej słuszna. Możemy więc pozwać agentów Lloyd'sa, firmę Jackson & Bond, prawda? Nie wiem, czy uda nam się dowieść, że jej przedstawiciele wiedzieli o grożących nam kłopotach, a jednak nie ostrzegli nas, ale warto spróbować. Nie ulega wątpliwości, że agencja Jackson & Bond nierozważnie zgromadziła nasze pieniądze w Grupie Westfield Bradley. I w przeciwieństwie do innych agencji, pracownicy Jackson & Bond zrobili mało lub wręcz nie zrobili nic, aby wkłady z Westfield Bradley trafiły do syndykatów z lepszymi wynikami, chociaż było to przecież ich obowiązkiem. Na ten temat można by powiedzieć dużo więcej, ale jedna kwestia wydaje mi się w tej chwili najważniejsza - proces będzie nas kosztował dużo pieniędzy, mam jednak wrażenie, że jeżeli nie damy ich prawnikom, wcześniej czy później będziemy musieli oddać je firmie Lloyd's. Tak więc, w pewnym sensie, wydajemy pieniądze Lloyd'sa i ta myśl jest dla mnie bardzo pocieszająca. Jeszcze raz serdecznie dziękuję wszystkim za przybycie. W sali zagrzmiały spontaniczne oklaski. Simon podniósł się z miejsca.

- Z pewnością wszyscy chcieliby razem ze mną podziękować George'owi Meyerowi za ciężką pracę i niezwykle inspirujące spotkanie - powiedział głośno. - Osobiście natychmiast przyłączam się do podjętej przez niego akcji.

Mógłby przynajmniej zapytać mnie o zdanie, pomyślała Elizabeth. Niezależnie od tego, co mówił Meyer, Simon miał przecież wyłożyć na proces nie pieniądze Lloyd'sa, ale swoje własne - ich wspólne. Nagle ogarnął ją gniew.

- Idziemy - szepnęła Lucinda. - Bardzo się cieszę, że mogliśmy was poznać. Twój mąż i Nigel wymienili wizytówki, więc na pewno wkrótce się spotkamy. Do zobaczenia!

- Do zobaczenia. - Elizabeth uśmiechnęła się z wysiłkiem.

Po chwili znalazła Simona w kolejce chętnych do rozmowy z George'em Meyerem i powiedziała mu, że już idzie, bo ma jeszcze mnóstwo pracy i wróci do domu taksówką.

- Dobrze - odparł Simon, zupełnie nie zauważając ostrej nuty w jej głosie. - Zobaczymy się później, kochanie. Dziękuję, że przyszedłaś i byłaś tu ze mną.

- Och, nie ma za co - uśmiechnęła się sztywno.

Wyszła. Gdyby została, zirytowałyby się jeszcze bardziej, ponieważ Simon, zamieniwszy parę słów z gospodarzem spotkania, przepychał się teraz przez tłum, usiłując dogonić Catherine Morgan.

Jej historia szczerze go poruszyła, podobnie jak oczywista samotność młodej kobiety i jej odwaga. Czuł, że przynajmniej jej jednej jest w stanie pomóc. Kiedy dotknął lekko jej ramienia, odwróciła się, zarumieniła i upuściła torebkę, której zawartość rozsypała się po podłodze.

- Och, Boże, strasznie przepraszam - wyjąkała, gdy schylił się, aby pozbierać szminki, długopisy i notatnik. - Bardzo dziękuję.

- Naprawdę nie ma za co. Chyba wszystko mam, proszę. A tu jest moja wizytówka. Przyszło mi do głowy, że chyba mógłbym pomóc pani znaleźć lepszą pracę. Zatrudniamy sporo sekretarek i dwie z nich odchodzą w przyszłym tygodniu. Proszę wpaść do mnie do firmy, jeżeli to panią interesuje.

- Ojej, jak to miło z pana strony! Oczywiście, że mnie to interesuje! Ale... ale nie jestem pewna, czy mnie pan rozumiał. Mogę pracować tylko w godzinach zajęć szkolnych, więc...

- Tak, zrozumiałem, że zależy pani na takim układzie. Jestem pewny, że uda nam się wypracować jakiś rozsądny grafik godzin. Chciałbym pani pomóc, jak jedna ofiara Lloyd'sa drugiej...

- Bardzo dziękuję! - duże szare oczy Catherine zaślnęły. - Naprawdę doceniam pana dobroć. Nie wiem tylko... Po prostu nie wiem, co powiedzieć.

- Nie musi pani nic mówić - uśmiechnął się. - Och, muszę wrócić do sali, zostawiłem szalik na krześle! Do zobaczenia, Catherine, mam nadzieję, że niedługo znowu się spotkamy.

Debbie i Richard pojechali do domu, lecz Flora zatrzymała się w holu, zajęta rozmową z niezwykle sympatyczną Mary Gardner. Ruszyła właśnie w stronę wyjścia, zapinając płaszcz, kiedy przypadkiem znalazła się tuż obok Simona. Przytrzymał drzwi, przepuszczając ją w progu.

- Dziękuję - powiedziała. - Interesujący wieczór, prawda?

- Rzeczywiście, bardzo interesujący. Wyciągnęła do niego rękę.

- Flora Fielding... Jest pan sam?

- Tak. Moja żona niedawno wyszła, musiała jeszcze wrócić do pracy. Miło mi panią poznać, pani Fielding. Simon Beaumont.

- Proszę mówić mi po imieniu, dobrze? Mój syn i synowa także już wyszli.

Uśmiechnął się. Uznała, że jest bardzo atrakcyjny. Szczególnie podobały się jej pogodne brązowe oczy i gęste, siwiejące na skroniach włosy.

- Powiedz mi teraz, co naprawdę myślisz o propozycji Meyera - rzekł. - Dołączysz do niego?

- Tak, przynajmniej na razie.

- Och, świetnie! Ja także! Muszę przyznać, że zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie, podobnie jak to, co ty powiedziałaś.

- Dziękuję.

- Skąd jesteś? Mieszkasz w Londynie?

- Nie, dzięki Bogu! - zaśmiała się. - Mieszkam w Walii.

- W mokrej Walii. Ale mam nadzieję, że nie wracasz tam już dzisiaj, co?

- Nie, nie, przenocuję u syna, w... Ealing.

Jakoś nie mogła zdobyć się na to, aby powiedzieć: „W Acton”. Brzmiało to okropnie.

Simon spojrzał na zegarek.

- To spory kawałek drogi stąd. Masz samochód?

- Tak, ale nie wiem, czy uda mi się go odszukać. Zostawiłam wóz na wielopoziomowym parkingu w pobliżu Leicester Square.

- O, ja też! - uśmiechnął się znowu. - Odprowadzę cię tam i poszukam samochodu razem z tobą, co ty na to? Nie chciałbym, żebyś sama błąkała się po tych niebezpiecznych ulicach.

- Bardzo to miło z twojej strony, ale...

- Żadnych „ale”. Nigdy nie opuszczam damy w kłopotcie!

- Obawiam się, że trudno nazwać mnie damą.

- Nonsens! Zadam ci teraz impertynenckie pytanie, ale cóż, ten wieczór sprzyja szczerości. Dużo straciłaś?

- Na razie jakoś sobie jeszcze radzę. Czym to się skończy, jak myślisz?

- Bóg jeden wie - odparł Simon.

# CZEŚĆ DRUGA

## ROZDZIAŁ 10

*JESIEŃ 1989*

Płakała prawie całą noc. Wstawał trzy razy i próbował ją pocieszyć, przytulić, ale odpychała go i powtarzała, że go nienawidzi; potem chowała twarz w poduszce i szlochała dalej. W końcu, koło drugiej, płacz ucichł. Simon leżał nieruchomo, wsłuchany w panującą w domu ciszę, i czuł nienawiść do samego siebie.

Jak to się stało, że mimo najlepszych intencji sprowadził na nią tak wielkie cierpienie, na tę swoją ukochaną młodszą córkę? Że zmusił ją - bo tak to widział - do ostatecznego rozstania z kucykiem, który był jej droższy niż wszystko inne? Dręczyły go ogromne wyrzuty sumienia; gdyby tylko mógł, wziąłby na siebie cały jej ból.

- Nie mogę trzymać go w Londynie? - pytała. - Przecież są tu stajnie, prawda? Mogłabym widywać go częściej niż teraz.

Odpowiedział, że tak, że mogłaby, poprosił jednak, aby się zastanowiła, jak czułby się w mieście jej piękny, wolny jak wiatr Boy, przyzwyczajony do wzgórz i dolin Susseksu, do radosnego galopu po łąkach w mroźne poranki i skoków przez płoty; jak czułby się, uwięziony w stajni w Kensington, na przykład, skazany na grzeczny trucht po Hyde Parku.

Obejrzeliby też kilka płatnych stajni na wsi. Oczywiście koszty utrzymania konia poza miastem były niższe, ale niby jak miałyby tam na nim jeździć, jak często mogłaby go odwiedzać.

Cała ta historia z Lloyd'em osaczała ich ze wszystkich stron, zupełnie jak ośmiornica o potężnych mackach. Nieszczęście chwyciło w dławiące objęcia coraz więcej ludzi, niewinnych ludzi. A przecież dziesięć lat wcześniej Simon podjął decyzję, która wydawała mu się dobra i uczynił to z myślą o poprawie warunków życia swojej rodziny, o szczęściu, bezpieczeństwie i radości najbliższych. I co z tego wszystkiego wynikło?

- Wracam do pracy - oświadczyła Debbie.

Kryła się w tym pewna przesada, ale bardzo jej zależało, aby wprawić Richarda w jak najgorszy nastrój.

- Debbie, nie możesz tego zrobić! Wiesz, że uzgodniliśmy...

- Uzgodniliśmy wiele rzeczy! Ustaliliśmy, na przykład, że zawsze będziemy wobec siebie szczerzy i uczciwi!

- Proszę cię, nie wracaj bez końca do tamtej sprawy, to w niczym nam nie pomaga! Przepraszam cię za to już tyle razy, że...

- To prawda, ale wcale nie czuję się przez to lepiej! Dziwne, co? No, chcesz dowiedzieć się czegoś o mojej pracy czy nie?

- Ale co z dziećmi? Kto się nimi zajmie?

- Ty, oczywiście po szkole. Jesteś wtedy w domu, więc nie powinno ci to sprawić kłopotu. To żadna filozofia. Rachel też chodzi do szkoły, możesz odebrać najpierw ją, a potem pozostałą dwójkę. Później dasz im podwieczorek i dopilnujesz, żeby odrobili lekcje. No i żeby się wykąпали. Ja będę w domu na długo przed kolacją i zajmę się resztą. Moim zdaniem, nie stanie ci się nic strasznego.

- Nie mogę, Debbie! Mam własną pracę, muszę przygotować się na następny dzień, przecież wiesz!

- Możesz popracować później.

Wyglądał na tak przerażonego, że w końcu ustąpiła i uśmiechnęła się lekko.

- Och, zapomniałam ci chyba powiedzieć, że ten ambitny plan obejmuje tylko dwa dni w tygodniu, poniedziałek i środek! Więc raczej nie będzie zbyt trudny, co?

Zawarli swego rodzaju zawieszenie broni. Jak wszystkie układy, był niezbyt wygodny, ale Debbie doszła do wniosku, że lepsza taka sytuacja niż rozstanie. Nadal denerwowała się sprawą opłat za szkoły. Kazała Richardowi dopilnować, aby dzieci można było jak najszybciej przenieść do państwowych szkół. Nie oponował, ale kiedy pierwszego dnia nauki Emma wróciła do domu z wiadomością, że została przewodniczącą klasy, a podniecony Alex poinformował rodziców, że trener wybrał go do pierwszego składu drużyny rugby, zapytał Debbie, czy nadal jest przekonana, że przeniesienie będzie najlepszym wyjściem dla dzieci.

- Naprawdę poradzę sobie z płatnościami za co najmniej dwa semestry i wiem, że do następnego lata znajdę nową pracę, więc czy dla ich dobra nie mogłabyś...

Poddała się. Wywalczyła tylko jedno - że Rachel pójdzie do lokalnej szkoły podstawowej razem ze swoimi koleżankami i kolegami z przedszkola. I nadal czuła się boleśnie zraniona; wcale nie przesadziła, kiedy powiedziała Richardowi, że już nigdy nie zdoła mu zaufać. Coś pękło między nimi raz na zawsze i już nic nie wydawało się takie jak dawniej.

- To trochę tak, jakbyś bezustannie cierpiała na niestrawność - zwierzyła się Jan. - Tyle że czujesz zgagę w całym ciele. Męczy mnie to szczególnie wtedy, gdy Richard chce uprawiać seks. Leżę wtedy, nieruchoma i wściekła, i czekam, kiedy wreszcie skończy.

Jan odparła, że sama prawie zawsze ma podobne odczucia.

- Chodzi mi o to, że też czekam, kiedy Mike skończy, a ja będę mogła spokojnie zasnąć - wyjaśniła. - A pamiętasz, jak dawniej nigdy nie miałyśmy dosyć seksu? Co się z nami stało? To chyba dzieci...

- Dzieci i praca w domu - westchnęła Debbie. - I ta cholerna pewność, łatwość przewidzenia, co będzie dalej. Czasami wydaje mi się, że jeśli Richard powie to, co wiem, że zamierza powiedzieć, zacznę krzyczeć. Zwłaszcza w łóżku. Boże, dlaczego im na to pozwalamy?

- A co Richard mówi? - zainteresowała się Jan.

- „Mam nadzieję, że zostało ci jeszcze trochę energii, tylko dla mnie”. I gasi światło. Bardzo podniecające, co?

- I tak lepiej niż Mike, który zawsze pyta, jak się czuję. Któregoś dnia powiem mu prawdę.

- Nie zrobisz tego - pokręciła głową Debbie.

Debbie znalazła pracę w agencji marketingowej, zajmującej się głównie promocją książek, lecz ostatnio prowadzącej także kampanię reklamową dwóch klubów fitness, strojów do tańca sportowego oraz linii kosmetyków do ciała - żeli pod prysznic, kremów, peelingów i specjalistycznych szamponów. Wpływy z nowej dziedziny działalności nie mogły wystarczyć na zatrudnienie pracownika na pełny etat, ale dwa dni w tygodniu okazały się możliwe.

Nie była to wymarzona praca Debbie, pozwalała jednak na wyjście z domu, wyprawę na West End (firma miała siedzibę przy Earl's Court) i przebywanie w towarzystwie dorosłych, co miało dla niej ogromne znaczenie. Równie ważne było to, że miała zarabiać osiem tysięcy funtów rocznie, czyli prawie tyle, ile zarabiała w swojej ostatniej pełnoetatowej pracy.

- Nie jest to fortuna, ale bardzo nam się przyda, prawda? - powiedziała. - I oczywiście ani jeden pens z tej kwoty nie zostanie przeznaczony na chesne, jasne?

Richard milczał.

Firmę o nazwie Know How Promotions prowadziło małżeństwo Anna i Peter Carterowie. Peter siedział w biurze i zajmował się ciężką pracą, natomiast Anna działała na zewnątrz i zdobywała nowe zlecenia. Debbie, która z trudem wyobrażała sobie siebie w roli twardej negocjantki, była pod ogromnym wrażeniem Anny. Jej pracodawczyni była drobniutka, miała krótko ostrzyżone ciemne włosy, duże brązowe oczy i energię, która wydawała się ją po prostu rozsadzać. Jej wysoki, dźwięczny głos czarował uczestników prezentacji, oślepiając potencjalnych klientów imponującymi faktami i danymi liczbowymi i wpajając im głębokie przekonanie, że po prostu nie mogą sobie pozwolić na rezygnację z usług Know How Promotions. Peter był znacznie powolniejszy i mniej błyskotliwy, lecz zdumiewająco pracowity i sprawny. Małżeństwo tworzyło wspaniały zespół i zatrudniało jeszcze cztery osoby na pełny etat.

- Wcześniej nigdy nie mieliśmy tu nikogo na część etatu, nie bardzo wierzyliśmy w takie rozwiązania - oświadczyła Anna w rozmowie z Debbie. - Szczerze mówiąc, nadal nie jestem do końca przekonana, że to dobre rozwiązanie... Musisz spróbować mi dowieść, że się myliłam!

Debbie postanowiła, że dokona tego cudu.

- Pani Fielding, prawda? Wszystko w porządku?

Flora biegła przez Leadenhall Market do stacji metra Monument, kiedy obcas utkwiał jej w szczelinie między kamieniami, którymi wybrukowano rynek, i się złamał. Stała teraz na jednej nodze i zastanawiała się, co robić, ze złością mamrocząc coś pod nosem. Podniosła wzrok i przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, kogo ma przed sobą.

- Simon Beaumont, pamięta pani? Poznaliśmy się na spotkaniu w sprawie Lloyd'sa, mniej więcej miesiąc temu...



- Och, tak, oczywiście! Bardzo przepraszam...

- Nie ma za co. Jakiś kłopot z pantoflem?

- Tak, złamałam obcas na rynku... To powinno mnie nauczyć, żeby nosić sznurowane buciki na płaskim obcasie, jak każda przyzwoita babcia, a nie fruwać pięć centymetrów nad ziemią...

- Wydaje mi się, że trudno o coś, co pasowałoby do pani mniej niż sznurowane buciki na płaskim obcasie - rzekł Simon. - Proszę pozwolić mi popatrzeć... Ach, tak, zupełnie się złamał... Trudna sprawa... Dokąd się pani wybiera?

- Na stację metra, a stamtąd do Paddington. Cóż, będę musiała skakać na jednej nodze. Przeklęty bruk! Bardzo malowniczy, rzecz jasna, ale...

- Malowniczy, prawda? Wie pani, że właśnie tutaj zaczęły się te nasze problemy, mniej więcej trzydzieści lat temu? Anglia była krajem kawiarni i niejaki pan Edward Lloyd wykazał się inicjatywą, otwierając jedną z nich w pobliżu Tower Wharf. Zachodzili tam wszyscy właściciele statków, podobnie kupcy, którzy zajmowali się ubezpieczeniami morskimi. Taki właśnie był początek Lloyd'sa - uśmiechnął się. - No, ale wracajmy do terażniejszości... Za pół godziny mam spotkanie w Park Lane, a mój szofer nie ma nic innego do roboty, jak tylko czekać, aż skończę, może więc zawieźć panią, gdzie tylko sobie pani życzy. Po drodze mogłaby pani kupić jakieś pantofle.

- Nie, to zbyt uprzejme z pana strony. Nie mogę.

- Jakim cudem coś może być zbyt uprzejme? - Simon lekko uniósł brwi. - Ludzie czasami zachowują się zbyt okrutnie, ale... No, nieważne, chodźmy. Moje biuro jest jakieś sto metrów stąd, więc jeśli udało by się pani jakoś tam dotrzeć. Zaproponowałbym pani swoje ramię, lecz może to już nadmierna śmiałość.

- Skądże znowu! - Flora z wdzięcznością oparła się na jego ramieniu. - W którą stronę mamy iść? A przy okazji, czym pan się zajmuje?

- Pracuję w niewielkim banku handlowym, jestem jednym z dyrektorów. O, to już tutaj... Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, aby poczekać parę minut w recepcji.

- Ten rynek to naprawdę fascynujące miejsce - powiedział Simon, kiedy trochę później przejeżdżali przez Leadenhall Market. - Wie pani, że co parę dni bardzo wczesnym rankiem wypuszczają tu sokoła przyuczonego do polowania na gołębice? Turyści nie życzą sobie, aby gołębice sr... Przepraszam, załatwiały się na ich głowy. Mogę zapytać, co robi pani w Londynie?

- Przyjechałam na lunch z moim agentem.

- Miał pani coś pocieszającego do powiedzenia?

- W żadnym razie, wręcz przeciwnie! Poinformował mnie, że Lloyd's ma za sobą kolejny ciężki rok.

- Mój powtarza dokładnie to samo. No, cóż... Czy George Meyer kontaktował się z panią?

- Nie, a z panem?

- Niedawno zjadłem z nim lunch i zaproponowałem, że pomogę znaleźć odpowiedniego prawnika, ale on czekał właśnie na ostateczne odpowiedzi od niektórych potencjalnych pozywających. Na tamtym spotkaniu wszyscy wyrażali zainteresowanie sprawą, lecz później zapał osłabł. Ludzie boją się podejmo-

wać jeszcze większe ryzyko. Jeżeli pani do niego nie napisała, proszę to jak najszybciej zrobić. Nie chciałbym naciskać, ale to przyłączenie się do Meyera stwarza przynajmniej jakąś możliwość działania.

- Tak, wiem o tym. Zamierzałam do niego napisać i zrobię to w najbliższych dniach.

- Świetnie. Moim zdaniem gra jest warta świeczki, chociaż jestem trochę zawiedziony, że jeszcze nie podjęliśmy żadnych konkretnych działań. Nie przejmowałbym się tak tą sprawą, gdyby chodziło tylko o mnie, ale cierpi na tym cała moja rodzina. Moja dwunastoletnia córka Tilly przestała się do mnie odzywać. Musimy sprzedać dom na wsi, a razem z nim jej kuca. Spędziliśmy tam ostatnie lato i wystawiliśmy posiadłość na sprzedaż.

- Gdzie to jest?

- W zachodniej części Sussexu, w przepięknej okolicy. Niedaleko Chichester, gdzie zawsze czekała w porcie moja żagłówka. Żona nazywa ją miłością mojego życia.

- Mój mąż też żeglował - pokiwała głową Flora. - Natomiast ja nigdy nie mogłam dopatrzeć się w tym sporcie niczego szczególnie przyjemnego.

- Spędziłem na „Lizzie” sporą część najszczęśliwszych godzin w życiu, proszę mi wierzyć. Żeglowanie przypomina w pewnym sensie fruwanie w powietrzu, jestem o tym głęboko przekonany...

- Dlaczego „Lizzie”?

- To imię mojej żony. Nazywa się Elizabeth, ale... Tak czy inaczej, wracając do Tilly i jej konia - moja córka uwielbia go całym sercem, a ja czuję się winny całej tej sytuacji. Mała codziennie wypłakuje sobie oczy, zanim w końcu zaśnie.

- To bardzo smutne - powiedziała szczerze Flora. - Braliście pod uwagę wynajęcie dla konia boksu w jakiejś stajni w Londynie?

- Tak, ale życie w mieście byłoby dla niego bardzo przykrym doświadczeniem. W grę wchodzi zresztą także względy praktyczne, co tu dużo mówić.

Chwilę oboje milczeli.

- Jeżeli potrzebujecie dla niego miejsca na wsi, to w tej chwili mam kilka wolnych bokсів - odezwała się Flora lekkim tonem. - Musiałam sprzedać jednego konia do polowań, oczywiście dzięki firmie Lloyd's. Dlatego chętnie przyjmę kuca pana córki. Jest duży?

- Piętnaście dłoni w kłębie. Doskonale skacze.

- Och, uwielbiam takie kucyki. Mogłabym też jeździć na nim od czasu do czasu, żeby nie stracił formy, a pańska córka przyjeżdżałaby do niego w czasie szkolnych przerw i wakacji. Mam duży dom, naprawdę. Wiem, że to dość daleka i męcząca podróż, ale przynajmniej dziecko nie musiałoby przeżywać bólu rozstania ze zwierzęciem. Proszę się nad tym zastanowić, mówię najzupełniej poważnie.

- Tato, och, tato, tak cię kocham! Dziękuję, dziękuję! - wołała Tilly, która właśnie przyjechała do Chadwick House na ostatni weekend.

- To nie mnie należą się podziękowania, skarbie, tylko tej bardzo miłej pani. To ona zgodziła się przyjąć Boya do swojej stajni.

- A kim jest ta miła pani? - zapytała dość chłodno Elizabeth, kiedy Tilly pobiegła po coś do picia.

- Nazywa się Flora Fielding, pamiętasz ją? Jako pierwsza przemawiała na spotkaniu w sprawie Lloyd'sa. Później rozmawiałem z nią jeszcze chwilę.

- Okazuje mnóstwo serca zupełnie obcym ludziom.

- To może dziwne, ale wcale nie wydaje mi się kompletnie obca. Najwyraźniej te wspólne doświadczenia z Lloyd'em stanowią silną więź, naprawdę. Jesteśmy w tym wszyscy razem, to jedyny pozytyw tej sytuacji.

- Tak, zauważyłam już, że bardzo chętnie dzielisz się przeżyciami i planami na przyszłość z George'em Meyerem.

- Na miłość boską, przecież to po prostu jakaś forma działania, nie rozumiesz? Lepsze to niż ogryzanie paznokci i wpatrywanie się w ciemność.

- To prawda, ale... - Elizabeth przerwała.

Mieli już za sobą jedną kłótnię na temat tego, że Simon nie konsultuje z nią swoich posunięć; okazało się wtedy, że najzwyczajniej w świecie nie rozumie jej gniewu.

- To moje pieniądze, nie proszę, żebyś się do tego dokładała - powiedział.

- Tyle że to ja muszę znaleźć pieniądze, których ty nie masz, prawda?

- To kłamstwo - odparł. - Najprawdopodobniej będę musiał sprzedać „Lizzie” i z tych pieniędzy opłacić koszty procesu. Och, zresztą o czym my właściwie rozmawiamy? Sądziłem, że ucieszy cię propozycja Flory Fielding, ale najwyraźniej bardzo się pomyliłem!

Elizabeth nagle ogarnęły wyrzuty sumienia.

- Przepraszam, naprawdę - odezwała się po chwili milczenia. - To bardzo miło z jej strony, że chce przyjąć Boya. Przyszło mi tylko do głowy, że powinniśmy płacić za jego utrzymanie...

- Oczywiście jej to zaproponowałem, ale powiedziała, że na razie wszystkie koszty sprowadzą się do ewentualnych rachunków za weterynarza. Boy większą część roku będzie spędzał na łąkach. Odniosłem wrażenie, że Flora Fielding ma całkiem sporą posiadłość.

- Kiedy będzie można go tam przewieźć?

- Chyba mniej więcej w połowie szkolnego semestru - Simon odwrócił się do Tilly, która właśnie weszła do pokoju. - Kochanie, zdajesz sobie sprawę, że nie będziesz mogła widywać Boya tak często jak teraz, prawda? Walia leży znacznie dalej od Londynu niż Chadwick...

- Oczywiście! Najważniejsze jest to, że nie musimy go sprzedawać, że będzie szczęśliwy, a ja będę mogła jeździć do niego w każde wakacje!

- Nie w każde, kochanie - sprostowała Elizabeth.

- Dlaczego? Tatuś mówi, że pani Fielding sama zaproponowała, że bym...

- Tak, ale nie zawsze będzie to możliwe. Poza tym musisz wziąć pod uwagę, że pani Fielding może nie przypaść ci do serca i vice versa. Simon, wydaje mi się, że powinniśmy pojechać z Tilly do pani Fiel-

ding, zanim przyjmie jej zaproszenie. Przy okazji obejrzymy miejsce, bo przecież może to być jakaś okropnie zaniedbana stajnia.

- Jestem pewny, że tak nie jest. Zgadzam się jednak, że Flora Fielding i Tilly powinny się poznać. Moglibyśmy pojechać do Walii choćby w przyszły weekend, gdyby jej to odpowiadało, no i jeżeli uda nam się zabrać Tilly ze szkoły.

- Och, szkoła nie będzie miała nic przeciwko temu - zapewniła pogodnie Tilly.

- Dowiem się, jak to wygląda - rzekł Simon. - Toby też przyjeżdża do domu, więc moglibyśmy pojechać wszyscy razem. Niezależnie od wyjazdu, powinnaś napisać do pani Fielding bardzo, bardzo miły list, kochanie, i serdecznie jej podziękować. I może wysłać jej parę zdjęć Boya, żeby...

- Żeby zobaczyła, jaki jest piękny - uzupełniła Tilly. - Jasne, zaraz do niej napiszę! Och, jestem taka szczęśliwa! Po prostu nie mogę w to wszystko uwierzyć!

Wydarzyło się to 10 października. Lucinda wiedziała, że nigdy nie zapomni tej daty - 10.10.1989 - nietrudnej zresztą do zapamiętania, a która raz na zawsze utrwaliła się w jej świadomości.

Dzień upłynął jej całkiem przyjemnie. Graham był bardzo zadowolony z recenzji manuskryptu, którą dla niego przygotowała, powiedział nawet, że podkreśliła kilka ważnych punktów, na które sam nie zwrócił uwagi, a Justin, dyrektor artystyczny, oznajmił, że Lucinda wygląda wyjątkowo gustownie. Miała na sobie nowy jasnoróżowy sweter z dekoltem w serek, który sama kupiła sobie w prezencie (ostatnio robiła sobie mnóstwo prezentów, bo uważała, że na nie zasługuje), i spódnicę znacznie krótszą od tych, jakie zwykle nosiła (kolejny prezent). Komplement Justina natychmiast przywołał myśli o Blue, który zawsze powtarzał, że ma ona najzgrabniejsze nogi, jakie kiedykolwiek widział, i dziwił się, dlaczego ukrywa je pod tymi stołowymi obrusami. Dopiero po dłuższej chwili udało się jej przegonić wspomnienia i skupić na słowach Justina.

Później zjadła lunch ze swoją przyjaciółką Katy, która pracowała w niewielkiej galerii sztuki przy Cork Street i właśnie się zaręczyła.

- Więc kiedy ślub? - spytała Lucinda, zdumiona, że udało jej się wykrzesać odrobinę zainteresowania światem zewnętrznym. - I gdzie?

- Och, naturalnie na wsi! Mama umarłaby, gdybym podjęła inną decyzję. Pobierzemy się w czerwcu - to jeszcze strasznie długo, nie sądzisz? Ale czerwiec to idealny miesiąc, wszędzie kwitną róże i pogoda jest zwykle nie najgorsza. Będziesz moją honorową drużną, Lucindo? Proszę, proszę...

Lucinda zarumieniła się z radości i entuzjastycznie przyjęła propozycję przyjaciółki. Pomyślała, że to prawdziwe szczęście, że ma wokół siebie tyle bliskich, życzliwych osób, które najzupełniej nieświadomie pomagają jej przebrnąć przez chwile rozpacz. Przez godzinę rozmawiały o ślubie i ewentualnej dacie, następnie Lucinda wróciła do pracy, prawie szczęśliwa.

Wieczorem wybierała się z Nigelem na film *Kiedy Harry poznał Sally*. Wyjścia do kina bardzo jej w tej chwili odpowiadały - przez mniej więcej dwie godziny była czymś całkowicie zajęta, nie musiała

zmuszać się do rozmowy z mężem, później zaś oboje od razu szli spać, bo było już późno, a to wyjątkowo cieszyło Lucinę.

Nigel przyjechał po nią do pracy. Porządkowała jeszcze papiery na biurku, więc poprosiła recepcjonistkę, żeby przysłała Nigela do jej pokoju. Wszedł rozpromieniony i gorąco ją pocałował.

- Powinniśmy coś uczcić - rzekł, zamykając drzwi i zniżając głos. - Odebrałem dziś wyniki badań, tych... No, wiesz, tych badań...

- I co? - zapytała, nagle dziwnie zdenerwowana.

- I nie jest źle. Nie mam bardzo wysokiej liczby plemników w spermie, można nawet powiedzieć, że raczej mało, ale nie ma powodu, żebyśmy nie mogli mieć dziecka. Czy to nie cudowne?

- Cudowne, naprawdę - przytaknęła z przekonaniem.

- No, właśnie! Musimy więc tylko dalej nad tym pracować, kochanie... A przy okazji będziemy się świetnie bawić, co? - Nigel zarumienił się po uszy.

- Bardzo, bardzo się cieszę - powiedziała, krzywiąc się wewnątrz na myśl o „pracy” nad poczęciem dziecka. - Słuchaj, skoczę na chwilę do toalety, żeby trochę poprawić sobie urodę, dobrze?

- Moim zdaniem wyglądasz pięknie - wyznał. - Ale ty zawsze ślicznie wyglądasz. Oczywiście, biegnij, zaczekam tu na ciebie.

- Zaraz wracam. Przejrzyj jakąś książkę, o, tam leży ta nowa o starożytnym Egipcie, która cię ciekawiła.

Nie śpieszyła się - nałożyła świeżą warstwę szminki, spryskała się perfumami, poprawiła nawet włosy, leciutko tapirując je grzebieniem. Nuciała pod nosem popularną melodię.

Przed wyjściem uśmiechnęła się do swego odbicia. Pomyślała, że teraz wszystko będzie już lepiej, że dzięki perspektywie urodzenia dziecka nawet seks z Nigelem stanie się łatwiejszy do zniesienia, i idąc korytarzem do swojego pokoju, kilka razy podskoczyła radośnie.

- Przepraszam, że trwało to tak długo, kochanie, ale...

Przerwała gwałtownie. Nigel stał odwrócony plecami do jej biurka, blady, z dziwnie zapadniętymi oczami i patrzył na nią z taką wrogością, że naprawdę się przestraszyła.

- Co się stało? - zapytała niepewnie. - O co chodzi?

- Co to ma znaczyć, kurwa?! - warknął, potrząsając przed jej oczami czymś, co trzymał w ręku.

Nigdy nie przeklinał; nigdy nie słyszała z jego ust mocniejszego słowa niż „cholera”, a i to tylko w pełnych ogromnego napięcia sytuacjach.

- Co ty wyrabiasz, do kurwy nędzy?! - dorzucił.

Przez chwilę nie mogła się zorientować, czym wymachuje, zaraz jednak uświadomiła sobie, co to takiego. Trzymała to w szufladzie biurka, zawsze zachowując ogromną ostrożność i zabierając do domu na weekend tylko pojedynczo, w przegródce portfela, zawinięte w chusteczkę higieniczną. Tabletki antykoncepcyjne.

Początkowo założył chyba, że przyjmowała je wyłącznie w celu uniknięcia ciąży, że okłamywała go i wcale nie chciała dziecka. Oskarżył ją o przerażający egoizm.

- Czego się tak bałaś, Lucindo?! Że zepsujesz sobie figurę?! Że będziesz musiała zrezygnować z pracy?!

Ledwo zdążyła zaprotestować, przetykając łzy, kiedy Nigel zdał sobie sprawę, co tak naprawdę mogło być przyczyną jej postępowania.

- Masz romans, tak?! Właśnie tym byłaś tak zajęta. To przesiadywanie w pracy do późna, wszystkie te wyjazdy. Wydawało mi się to trochę dziwne, bo nie jestem aż takim prostodusznym idiotą, za którego mnie masz, ale powtarzałem sobie, że nie zrobiłabyś czegoś takiego, że nie jesteś do tego zdolna. Tymczasem ty po prostu miałaś romans, prawda?

Po długiej chwili uspokoiła się i kiwnęła głową. On także odzyskał równowagę. Chciał wiedzieć, kto to jest, nalegał, aby mu powiedziała. Czy ktoś z pracy, a może jeden z ich wspólnych znajomych?

Wrócili do domu taksówką, nie odzywając się do siebie ani słowem.

- Nie, to nikt z naszych znajomych - powiedziała.

- Więc kto? Wolałbym wiedzieć, Lucindo! Muszę wiedzieć, bo zwariuję!

- Przecież to nie ma sensu - westchnęła. - Daj spokój, proszę...

- Nadal się z nim spotykasz?

- Nie, już nie - odparła, zadowolona, że przynajmniej tym może go pocieszyć.

- Dlaczego?

Nie mogła podać mu prawdziwej przyczyny. Nie mogła powiedzieć, że rozstała się z kochankiem z powodu pieniędzy; zabrzmiałoby to strasznie i stworzyło cały ocean błędnych interpretacji.

- Kiedy przestałaś się z nim widywać? Może będziesz na tyle uprzejma, aby przynajmniej to mi powiedzieć? Dziwne, że dalej bierzesz te... te pigułki.

- Nie biorę - pokręciła głową. - Odstawiłam je tego samego dnia, kiedy z nim zerwałam. Uznałam, że muszę dać naszemu małżeństwu każdą możliwą szansę, a urodzenie dziecka, czy też podjęcie próby urodzenia dziecka, dawało nam możliwość przetrwania.

- Jakie to miłe z twojej strony!

Lucinda milczała.

- Zależy mi, żeby się dowiedzieć, kiedy zakończyłaś romans, chociaż nie jestem pewny dlaczego - powiedział. - Uważam, że mam do tego prawo. Mam prawo wiedzieć wszystko, mam... - patrzył na nią jak człowiek kompletnie zagubiony i nagle znowu ujrzała dawnego Nigela, łagodnego i dobrego. - Nie chodziło ci chyba o pieniądze, co? Nie zostałaś ze mną z powodu pieniędzy? Tamtego wieczoru zastanawiałem się, dlaczego tak niespodziewanie wybiegłaś z domu i wróciłaś bez kawy...

- Jakiej kawy? - zmarszczyła brwi.

- Powiedziałaś, że idziesz po kawę. Czy to stało się właśnie wtedy? Czy wtedy postanowiłaś mnie nie opuszczać?

- Tak - odparła powoli, czując, że wchodzi w pułapkę i nie potrafi temu zapobiec. - Tak, to stało się tamtego wieczoru.

- Więc to nie lojalność przyprowadziła cię z powrotem do domu ani pragnienie dotrzymania przysięgi małżeńskiej? I nie miłość... Chodziło o pieniądze...

- Nigel, proszę cię... Nie rozumiesz...

- Jesteś obrzydliwa! - rzucił, i jego bladą, otwartą twarz zalał nagle paskudny rumieniec bólu i wściekłości. - Absolutnie odrażająca! Nie rozumiem, jak kiedykolwiek mogłem cię kochać! Wynos się! Nie obchodzi mnie, dokąd pójdziesz! Możesz spać na ulicy, wszystko mi jedno! Wynos się!

- Dobrze - powiedziała bardzo cicho. Wzięła torebkę i odwróciła się w stronę drzwi.

- Oczywiście możesz wynająć sobie apartament w hotelu Claridges albo w Savoyu, przecież wiesz, ile pieniędzy przepisałem na ciebie! Możesz zamieszkać tam ze swoim kochaniem! Zrób to, Lucindo, zrób to!

Oparł głowę na skrzyżowanych na stole ramionach i zaczął szlochać. Nie mogąc znieść myśli, że sprawiła mu tyle bólu, podeszła i położyła mu rękę na głowie.

- Strasznie cię przepraszam - powiedziała. - Jest mi bardzo, bardzo przykro... I mam nadzieję, że kiedyś jednak mi uwierzysz...

Wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

## ROZDZIAŁ 11

*LISTOPAD - GRUDZIEŃ 1989*

Debbie ze wszystkich sił starała się być dobrą żoną. Wiedziała, że Richard zasługuje na jej wysiłki, zwłaszcza że w tak pozytywny sposób odnosił się do jej nowej pracy. Oczywiście nadal miał poczucie winy, że ją okłamał, ale jednak na pewno nie było mu łatwo zabierać się do pracy dopiero po jej powrocie do domu, nie spóźniać się po dzieci do szkoły i przygotowywać im coś na podwieczorek. Ona, podobnie jak inne matki, robiła to wszystko bez mrugnięcia okiem, to prawda, lecz mężczyznom nie przychodziło to z taką łatwością. Na dodatek oznaczało to, że Debbie cudownie spędzała czas, przez dwa dni w tygodniu wykonując określone zajęcia tak dobrze, że otrzymywała za to pieniądze. Dzięki temu czuła się inteligentna, bystra i sprawna, zupełnie inna od szarej Debbie, którą zdążyła już tak dobrze poznać, wечно spóźnionej i nieustannie zmagającej się z domowym chaosem. Oczywiście w domu nadal była tą zwyczajną Debbie, lecz w pracy stała się uosobieniem wydajności i zorganizowania - na jej biurku zawsze panował idealny porządek, a notes był zapisany czytelnymi, jasnymi uwagami. Anna często powtarzała, że Debbie w ciągu dwóch dni robi więcej niż większość ludzi w ciągu pięciu.

- Cóż, moja praca sprzyja koncentracji - uśmiechnęła się Debbie. - Wiem, że od chwili wejścia do gabinetu nie wolno mi zmarnować ani minuty.

Uwielbiała swoją pracę. Z przyjemnością uczestniczyła w prezentacjach i z dnia na dzień radziła sobie z nimi coraz lepiej, jak mówiła Anna, która pozwoliła jej pełnić rolę swojej asystentki. Debbie umiała wyczuć, kiedy potencjalny, lecz chłodno nastawiony klient zapala się do projektu, wychwytywała rzeczy, które przypadają klientom do gustu i pracowała nad nimi.

- Ja uczyłam się tego całe lata - wyznała Anna z odrobinę niechętnym podziwem po szczególnie udanej prezentacji książek o finansach dla kobiet. - Kto cię tego nauczył?

- Mój mąż - odparła krótko Debbie.

W pewnym sensie była to prawda. Bardzo szybko nauczyła się czytać w myślach Richarda i wykorzystywać zdobytą wiedzę.

Zaproponowała, aby przerwę międzysemestralną spędzili w Walii. Wszyscy byli zachwyceni, szczególnie Richard.

- Początkowo byłem przeciwny twojej pracy - powiedział ostrożnie. - Ale najwyraźniej mocno się myliłem. Widzę, że te sukcesy świetnie ci robią, naprawdę.

Debbie była bardzo miła dla Flory i nie kosztowało ją to ani trochę wysiłku. I wszyscy wspaniale bawili się do chwili, gdy...

- Pojutrze będziemy mieli gości - oznajmiła Flora. - Mam nadzieję, że ich polubicie...

Okazało się, że zapowiedzianymi gośćmi są Beaumontowie.

- On był na spotkaniu w sprawie Lloyd'sa - wyjaśniła Flora. - Poznałam go już po waszym wyjściu. Uroczy człowiek, absolutnie uroczy.

Debbie dobrze wiedziała, co oznacza określenie „uroczy” w języku Flory - Simon Beaumont musiał być nadętym, pewnym siebie absolwentem szkół prywatnych.

Uśmiechnęła się z pewnym trudem.

- Przyjedzie z żoną i dziećmi - ciągnęła Flora. - Zaproponowałam, że przyjmę do mojej stajni kuczka jego młodszej córki, bo musieli sprzedać dom na wsi i...

Przyjechali koło południa, mężczyzna, och, jaki uroczy, świetnie ostrzyżony, miło uśmiechnięty, w kurtce od Barboura i zielonych kaloszach, z żoną, naprawdę piękną i, jak się okazało, zajmującą wysokie stanowisko, osobą taką, jaką Debbie sama chciałaby być, oraz dziećmi. Dziewczynka wydała się Debbie mocno irytująca, z długimi jasnymi włosami, dużymi niebieskimi oczami i akcentem tak wyrafinowanie poprawnym, że przydałby się tłumacz, aby ją zrozumieć. Flora oczywiście zachwyciła się nią od razu; Debbie pomyślała, że pewnie taką dziewczynę, tylko naturalnie starszą, widziałaby w roli najlepszej żony dla Richarda. A chłopak był po prostu śmieszny - najpierw siedział w land-roverze, słuchając walkmana, potem, kiedy ojciec go zawołał, niechętnie wysiadł z samochodu, wszedł do domu i bardzo oficjalnym uściskiem dłoni przywitał się z Florą i wszystkimi obecnymi.

- Gdzie się uczysz, Toby? - spytała Flora.

- W Eton - odparł.



Jakżeby inaczej... Debbie przyjrzała mu się uważnie - miał modną fryzurę z opadającą na oczy grzywką, koszulę w biało-niebieskie paski i rozpinany sweter (jaki chłopak nosi dzisiaj blezer, na miłość boską?!). Przyszło jej do głowy, że chyba by umarła, gdyby Alexander wyrósł na takiego nadętego smar-kacza.

Wszyscy stali w kuchni i popijali sherry, oczywiście poza dziećmi, które dostały lemoniadę, domo-wą, z denerwującym uśmiechem podkreśliła Flora; goście gadali o niczym, a ta dziewczyna, Tilly (Tilly, co za imię!), wyjęła zdjęcia swojego kuca, żeby inni także mogli się nim zachwycić.

- Och, jaki wspaniały, jaki piękny! - rozentuzjasmowała się Flora. - Jaki słodki pyszczek...

Zupełnie jakby koń mógł mieć słodki czy niesłodki pysk. Dopili sherry i poszli oglądać stajnie. Debbie obiecała, że zrobi na lunch sałatkę i z furią kroić ogórki, kiedy do kuchni zajrzał ten chłopak, To-by.

- Jak tam, skończyliście oglądać kwaterę dla kuca? - zagadnęła.

- Słucham? Och, tak, dziękuję - uśmiechnął się dość nieśmiało. - Nie jestem szczególnym fanem koni. Szczerze mówiąc, raczej ich nie lubię. Nie znoszę na nich jeździć, a pani?

- Nigdy nie próbowałam, ale na pewno też nie przypadłoby mi to do gustu. Nie lubię znajdować się za daleko od ziemi. A co lubisz robić? Masz ochotę napić się jeszcze lemoniady?

- Tak, bardzo chętnie. No, lubię narty... Jasne, pomyślała Debbie.

- I rugby... Och, i tenis! Uwielbiam tenis!

- Ja też. Ale nigdy nie miałam dość czasu, żeby przyzwyczoić potrenować. Chyba tylko na uniwersy-tecie.

- Ja oczywiście gram w szkole, zresztą w rugby także. Mam nadzieję, że uda mi się dostać do szkolnej reprezentacji, chociaż jestem trochę za niski...

- Lubisz szkołę?

- Tak, bardzo. Szkoła jest super.

- I nigdy nie tęsknisz za domem?

- Nie, dlaczego? - spojrzał na nią ze zdziwieniem. - Wyjechałem do Eton, kiedy miałem dziewięć lat, więc zdążyłem się już przyzwyczaić. Jest świetnie, ciągle mam wokół siebie przyjaciół...

Dziwni są ci ludzie z klasy wyższej, pomyślała. Wysyłają do szkoły z internatem małych, osmio-, dziesięcioletnich chłopców, chociaż wcale nie muszą. Po co w ogóle mają dzieci, skoro natychmiast po-zbywają się ich z domu?

- To bardzo miło ze strony pani Fielding, że zgodziła się przyjąć Boya - odezwał się.

- Myślę, że po prostu ma ochotę to zrobić. Nie lubi, kiedy stajnie świecą pustkami.

- Może ma pani rację... Tak czy inaczej, cieszę się, że to zaproponowała. Tilly jest wniebowzięta, a wcześniej płakała całymi godzinami.

- Biedactwo - pokiwała uprzejmie głową Debbie.

- A teraz będzie mogła widywać go przynajmniej w czasie wakacji - dodał. - To doskonale rozwiązanie, zwłaszcza że i tak nie pozwoliliby trzymać go w szkole.

- Na pewno! - roześmiała się Debbie. - W jakiej szkole zgodziliby się przyjąć kuca?

- Och, w niektórych nie mają nic przeciwko temu - oświadczył poważnie Toby. - Mam przyjaciela, który gra w polo i trzyma swoje kuce w szkolnej stajni. Uczy się w Millfield, mają tam drużynę polo.

- Nie wiedziałam. Bądź tak uprzejmy i podaj mi pomidory, dobrze?

Z podwórka dobiegł ich gwar ożywionych głosów; po chwili wszyscy weszli do kuchni, rozgadani i roześmiani.

- Pora na lunch - powiedziała Flora. - Mam nadzieję, że nie będzie wam przeszkadzać, jeżeli zjemy w kuchni? Och, Debbie, jak cudownie, że przygotowałaś sałatkę, moja droga. Tilly, może zechcesz pomóc Emmie nakryć do stołu. Simon, nalej jeszcze sherry Elizabeth i sobie, dobrze? A ty otwórz wino, Richard...

Pod koniec lunchu Debbie musiała przyznać, że Simon Beaumont zrobił na niej całkiem dobre wrażenie. Rozmawiało się z nim miło i swobodnie, flirtował z nią trochę, na tyle, żeby sprawić jej przyjemność, lecz nie wprawić w zażenowanie, i traktował ją jak osobę dużo bardziej interesującą, niż sama sobie się wydawała. Wypytywał ją o pracę i powiedział, że pewnie bardzo trudno jest pogodzić ją z prowadzeniem domu, a wtedy Debbie wzięła głęboki oddech i oświadczyła, że bez pomocy Richarda nigdy by jej się to nie udało. I uśmiechnęła się przez stół do męża, który najwyraźniej był bardzo zadowolony z jej słów. W tej samej chwili Elizabeth

Beaumont wyznała, dość nieoczekiwanie, że ona sama na pewno nie poradziłaby sobie z pracą, gdyby Simon nie pomagał jej z dziećmi, kiedy były małe.

- Zachowywał się wspaniale, w tamtych czasach wyprzedzał innych mężczyzn o całe lata świetlne - powiedziała. - Umiał przewinąć dziecko, gdy większość mężczyzn nie miała zielonego pojęcia, gdzie zakłada się maluchom pieluchy, i chodził na szkolne przedstawienia i koncerty, kiedy ja nie mogłam...

- Bardzo nowoczesne podejście do życia - uśmiechnęła się Debbie do Simona.

Potem Elizabeth Beaumont zaczęła rozmawiać z nią o jej nowej pracy, co trochę ją zestresowało, bo przecież Elizabeth zaszła tak wysoko... Jednak żona Simona wydawała się naprawdę zainteresowana i przyznała, że jej agencja także brała pod uwagę stworzenie działu marketingowego, nie znaleźli jednak nikogo, kto by ten dział poprowadził.

- Może za kilka lat ty zajmiesz się naszym marketingiem - zauważyła.

Simon wtrącił, że jego zdaniem za parę lat Debbie będzie prowadziła własną firmę i ostatecznie lunch okazał się całkiem przyjemny. Potem Emma, absolutnie zafascynowana Tilly, jak to zdarza się dziewczynkom w tym wieku, zapytała córkę Elizabeth i Simona, czy miałyby ochotę obejrzeć razem z nią konie Flory, i Tilly ze świętą cierpliwością prowadziła Emmę po podwórku na Becky, starej łagodnej kłaczki Flory, przez ponad godzinę, podczas gdy dorośli dalej spokojnie rozmawiali. I koniec końców, dopiero gdy goście wyjechali, a Flora zabrała dzieci na spacer, Debbie zorientowała się, że Richard jest w fatalnym nastroju.

- Co się dzieje? - zapytała.

- Och, nic takiego... Wygląda na to, że dobrze się bawiłaś.

- Tak. A co w tym złego?

- Zwykle nie gustujesz w towarzystwie ludzi tego pokroju.

- Wiem, ale oni dosyć mi się spodobali. Są całkiem interesujący.

- Pewnie odpowiadałby ci taki układ - odezwał się po chwili milczenia. - Duży, elegancki dom ze służącą, bogaty mąż na wysokim stanowisku, przy którym mogłabyś zająć się własną karierą.

Debbie popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Richard, o czym ty właściwie mówisz...

- Dobrze wiesz, o czym mówię! Chciałabyś mieć coś innego, a masz mnie! Nie jestem bogaty, nie zajmuję wysokiego stanowiska i mogę zaoferować ci tylko marny mały domek na przedmieściu.

- Przecież to jakieś kpiny, słowo daję! - zdenerwowała się Debbie. - Nie jesteś nieudacznikiem i nie mamy marnego małego domku, mamy nasz własny dom! Tylko oczywiście wołałabym, żebyś nie powtórzał, że mieszkamy na przedmieściu, bo mieszkamy w zachodnim Londynie! To trochę tak jak twoja matka, która z uporem twierdzi, że mieszkamy w Ealing... I mam ciebie. Naprawdę sądzisz, że mogłabym być szczęśliwa z takim gogusiem?

- W czasie lunchu wyglądałaś na całkiem zadowoloną z jego towarzystwa.

- Jasne, ale lunch to nie małżeństwo! My mamy nasz związek i jest nam ze sobą dobrze, szczególnie ostatnio. Wydaje mi się, że całkiem nieźle sobie radzimy!

- Naprawdę? - zapytał, obejmując ją w pasie i opierając głowę na jej piersi. - Naprawdę tak uważasz?

- Tak. Naprawdę! I jeśli pójdziesz teraz ze mną na górę, pokażę ci, co mam na myśli.

Rzucił jej na wpół zdumione, na wpół zachwycone spojrzenie.

- Ale oni mogą zaraz wrócić, Debbie. Co wtedy zrobimy?

- To, co zwykle robiliśmy w takich sytuacjach. Ubierzemy się w ekspresowym tempie i jedno z nas schowa się w toalecie. No, chodź, będzie świetnie, zobaczysz. Naprawdę mam ochotę, a ty?

- No... Tak, tak, ja też! Ale...

Prawie siłą ściągnęła go z krzesła i wsunęła palce pod pasek jego spodni.

- Richard, naprawdę mam ochotę. - Mówiła szczerze, po raz pierwszy od wieków ogarnęła ją fala podniecenia. - No, chodźże, na co czekasz...

Jednak on potrząsnął głową i się cofnął.

- Nie, nie, ciągle bym się denerwował - powiedział. - Przepraszam... Może później, dziś wieczorem albo...

Ale później jej pożądanie usnęło pod warstwą rozczarowania i chociaż pozwoliła mu się pieścić, nie potrafiła pozbyć się myśli o tym, co mogłoby wydarzyć się kilka godzin wcześniej. W pewnej chwili przy-

szło jej też do głowy, że niepokoił ją nie brak sukcesów Richarda w pracy, lecz jego nieumiejętność dostrzegania jej pragnień.

Lucinda była pewna, że wiele osób uznałoby za rzecz naturalną, gdyby wróciła do Blue, ale jej takie posunięcie wydawało się po prostu nie do pomyślenia. Związała się z nim, dopuściła, żeby się w niej zakochał, a następnie złamała mu serce. Zgodnie z jej kodeksem postępowania powrót do Blue byłby najzwyczajniej w świecie nieuczciwym krokiem, zrobionym w chwili, kiedy jej to odpowiadało. Okazałaby się straszliwą egoistką i arogantką, gdyby nagle oświadczyła: „W porządku, pokłóciłam się z Nigelem i jestem teraz wolna, więc zejdźmy się, skarbie”. Jedyną dobrą stroną całej tej sytuacji było to, że przynajmniej teraz mogła nosić różowy zegarek od Chanel przez cały czas.

Rodzice Lucindy byli przerażeni jej rozstaniem z Nigelem, ale przecież właśnie takiej reakcji się spodziewała. Po tamtym okropnym piątku pojechała do nich na weekend i odważnie wyznała im prawdę, a potem wynajęła sobie pokój w pensjonacie Victoria. Rozmowa z rodzicami wypadła gorzej niż oczekiwała - matka zalała się łzami, a ojciec bez słowa wypadł z pokoju i zamknął się w gabinecie, demonstracyjnie trzaskając drzwiami.

- Popelniasz straszliwy błąd - powiedziała matka Lucindy, ocierając oczy. - Nigel jest taki kochany i tak zachwycony tobą... Niełatwo znaleźć takiego mężczyznę, kochanie. Co się właściwie stało?

- Ja... Nie wiem, naprawdę. Bardzo trudno to sprecyzować. Nasze małżeństwo po prostu się rozpadło, mamo...

- Małżeństwo można naprawić, wystarczy odrobina determinacji z obu stron. Oczywiście uważałam, że powinniście byli wcześniej postarać się o dziecko. Dzieci cementują związek. Kariera to nie wszystko, moja droga.

Ojciec Lucindy wrócił do pokoju ze szklaneczką dżinu i obrzucił córkę gniewnym wzrokiem.

- Naprawdę uważam, że kompletnie zwariowałaś - oznajmił. - Nieprędko znajdziesz tak dobrego męża jak Nigel!

- Pewnie masz rację...

- Mam nadzieję, że nie pozwolił sobie na żaden skok w bok, co? Bo jeśli tak, to sam z nim pogadam.

- Nie, tato, nic z tych rzeczy. I proszę, nie próbujcie rozmawiać z Nigelem. Jest strasznie zdenerwowany i...

- Nie wątpię. Cóż, w takim razie musisz po prostu wrócić do niego i wyjaśnić mu, że chcesz naprawić błąd. Może wydaje ci się, że samotne życie w Londynie będzie szalenie ekscytujące, że znowu będziesz przeżywać beztrudne dziewczęce lata, ale to bzdura, wierz mi. Będziesz się czuła osamotniona i smutna, zobaczysz.

- Wcale nie pociąga mnie samotne życie, tato.

- W takim razie dlaczego...

- Mówiłam wam - przerwała ojcu Lucinda. - Nasze małżeństwo rozpadło się, i tyle!

- Moim zdaniem, marnie się starałaś, i tyle!

Od siostry Lucinda usłyszała mniej więcej to samo.

- Chyba oszalałaś! - zirytowała się Susannah. - Nigel jest kochany i uwielbia cię! Jeżeli nagle nie zaczął się zachowywać jak damski bokser, powinnaś wrócić do niego, i to galopem! Popracuj nad waszym związkiem! Małżeństwo nie zawsze jest ekscytujące, już ja coś o tym wiem, ale mimo wszystko to lepsze rozwiązanie niż samotność!

Bracia okazali się nieco bardziej wyrozumiali. John, najmłodszy w rodzinie, uściskał ją mocno i powiedział, że szczerze jej współczuje.

- Zawsze mi się wydawało, że Nigel jest trochę... No, wiesz, nieszczerólnie interesujący - przyznał Anthony, ukochany brat Lucindy. - Ale to jednak miły gość i sprawiał wrażenie zakochanego w tobie po uszy.

- Bo tak było - westchnęła.

- Nie pozwól, żeby rodzice zmusili cię do zrobienia czegoś, czego sama wcale nie chcesz. Jedyne, czego się obawiam, to tego, że będziesz samotna. Szkoda, że nie mieszkam w Londynie, wtedy mógłbym dotrzymać ci towarzystwa.

Anthony, który służył w wojsku, przebywał w tej chwili w bazie w Shrivenham, a niedługo miał wyjechać do Irlandii Północnej.

- Dzięki, Anthony! Jesteś jedyną osobą, która postarała się spojrzeć na tę sytuację z mojej perspektywy!

I tak ciągnęło się to, i ciągnęło...

- Może zostawimy ten tłum i pójdziemy na spokojnego drinka w barze?

Elizabeth planowała sama wymknąć się z sali i iść spać. Teraz posłała ostrożny uśmiech Johnowi Martinowi, prezesowi ogólnoswiatowego zarządu Hunter Pharmaceuticals.

Konferencja na temat sprzedaży przebiegła znakomicie; Elizabeth siedziała obok Petera Hargreave'sa i z dumą obserwowała swój zespół. Było to poważne wydarzenie, doroczna konferencja firmy Hunter z analizą wyników sprzedaży. Zorganizowano ją w Boyle Park, dużym kompleksie hotelowym na granicy hrabstw Gloucester i Warwick, gdzie znajdowały się nie tylko pokoje dla wszystkich pracowników działu sprzedaży oraz dyrekcji, ale także imponująco wyposażone centrum konferencyjne, spa z basenem, pole golfowe i jezioro z całą armadą żaglówek.

John Martin zawsze przyjeżdżał ze Stanów na tę konferencję, a Peter Hargreaves i Elizabeth wygłaszali na niej przemówienia. Wszystko razem trwało dwa i pół dnia, z jednym popołudniem przeznaczonym na swobodne korzystanie z uciech Boyle Park. Dział reklamy wypadł doskonale, wyniki sprzedaży, mimo ekonomicznego kryzysu, były dobre, podobnie jak nastroje uczestników. Elizabeth rozejrzała się dookoła. Wieczór powoli przechodził w fazę chaosu, aperitify zostały już wypite, złożona z czterech dań kolacja dobiegła końca. Mężczyźni stali w grupkach, nadal poważni, nieoczekiwanie bardziej przystojni w smokingach, a kobiety zaczęły do nich dołączać, roześmiane i nieco onieśmiałe, już nie w surowych bizne-

sowych kostiumach i bluzkach koszulowych, ale w barwnych jedwabnych i szyfonowych sukniach, podobne do motyli, z odsłoniętymi nogami i dekoltami, pięknie uczesanymi włosami, podzwaniające bransoletami, naszyjnikami i kolczykami, roztaczające wokół siebie aromaty trochę zbyt ciężkich perfum. Elizabeth pomyślała, że za jakieś dwie godziny fundamenty hotelu zadygoczą; nie miała pojęcia, co w tego typu okazjach sprawiało, że ludzie odsuwali na bok zasady moralne, że kochający i troskliwi młodzi mężowie wskakiwali do łóżek, w których nie powinni przebywać, a dobrze wychowane i szanujące się młode kobiety zachęcały ich do cudzołóstwa i z zapalem kusily. I nie działo się to z powodu alkoholu, bynajmniej; w hotelu panowała po prostu atmosfera moralnego moratorium, seksualnej wolności i pożądania, stworzona nie tyle przez oddzielenie od domu, lecz obecność we wspólnej przestrzeni, którą oferowało to odizolowane od reszty świata centrum. Potem wszyscy wracali do normalnego życia, łatwo i bezpiecznie, z niewypowiedzianą na głos obietnicą, że nikt nigdy nawet nie wspomni o tym, co się tu działo.

Przyglądając się, jak dziewczęta niezbyt pewnie suną w kierunku parkietu, Elizabeth czuła lęk, że ktoś poczuje się w obowiązku zaprosić do tańca także ją, i dlatego z mieszkanką zaskoczenia i ulgi przyjęła propozycję Johna Martina. Rok wcześniej z entuzjazmem tańczył do białego rana - przypominała mu o tym, kiedy usadowili się we względnie spokojnym i cichym barze.

- Och, pozwól mi zapomnieć o tym upokarzającym przeżyciu - powiedział. - Nie chcę myśleć o tym, jakiego zrobiłem z siebie idiotę. Moja czternastoletnia córka w zwięzły sposób wytłumaczyła mi, że ludzie powyżej dwudziestki, którzy tańczą w publicznym miejscu, są po prostu obrzydliwi. Czego się napijesz? Brandy? Whisky?

- Może jeszcze trochę szampana. Miło jest zakończyć wieczór na lekkim haju po szampanie, prawda?

- Mam nadzieję, że to jeszcze nie koniec wieczoru - uśmiechnął się lekko. - Ale w porządku, już zamawiam... Sam zdecydowanie wolę bourbona, bo tak przyjemnie rozgrzewa żołądek. Twój mąż na pewno jest prawdziwym znawcą win, prawda?

- Tak, lubi dobre wino i interesuje się jego produkcją, chociaż teraz chyba w mniejszym stopniu niż dawniej. - Elizabeth pomyślała o szybko opróżniającej się piwniczce w Londynie, znacznie skromniejszej od tej w Chadwick.

- Naprawdę? Dlaczego?

- To kosztowne hobby.

- Więc?

- Och, wiesz, jak to jest... Inflacja, edukacja dzieci i tak dalej - wyjaśniła szybko.

Nie miała najmniejszego zamiaru omawiać finansowych kłopotów z Johnem Martinem.

- Rozumiem... Jak udała się konferencja, twoim zdaniem?

- Bardzo dobrze. W firmie panuje doskonały nastrój i perspektywy są niezłe.

- Ja też jestem tego zdania. Mało brakowało, a przywiózłbym tu żonę, tyle że w gruncie rzeczy nie wierzę w łączenie interesów z przyjemnościami.

Elizabeth z trudem powstrzymała uśmiech. Słyszała, że John Martin bardzo chętnie łączy biznes z przyjemnością. Był naprawdę atrakcyjny - wysoki, mocno zbudowany, z grzywą jasnych włosów i ciemnoniebieskimi oczami pod gęstymi jasnymi brwiami. Na dodatek dobrze się ubierał, wybierając świetnie skrojone garnitury o nowoczesnej linii. Nie należał do żadnego ze starych, bogatych amerykańskich rodów i wspiał się na szczyt o własnych siłach, ale bez zahamowań sięgał po symbole stylu życia dobrze urodzonych; miał dom na Long Island i apartament na Manhattanie, jacht (motorowy, co Simon zdecydowanie potępiał) oraz imponującą kolekcję sprzętu do golfa. Miał także trzecią żonę.

- Klasyczna lalka - powiedział Elizabeth Peter Hargreaves. - Blondynka z dużymi błękitnymi oczami, wieczną opalenizną i wspaniałym biustem. Całkiem młoda.

- Wygląda na to, że świetnie się bawią w dyskoteci - odezwał się teraz John Martin. - Miło patrzeć, jak odpuszczają sobie codzienne napięcia. To naprawdę pomaga.

- W czym?

- No, w budowaniu lojalności wobec firmy i tak dalej... Jutro wszyscy wrócą za swoje biurka i będą ciepło o nas myśleć, nie wydaje ci się?

Najwyraźniej czekał na potwierdzenie.

- Jasne - kiwnęła głową.

Kelner przyniósł zamówione drinki.

- Twoje zdrowie, Elizabeth.

- Twoje, John. Dziękuję.

- Twój zespół doskonale się zaprezentował - rzekł. - Podoba mi się ta nowa kampania. Nie jestem tylko pewny, czy zabawy z logo to dobry pomysł, ale...

- Nie nazwałabym tego „zabawami” - przerwała mu. - To po prostu zdecydowane i wyraźne określenie marki.

- Tak, wiem, słuchałem uważnie. Nie patrz na mnie z takim oburzeniem, wszyscy byli zachwyceni, to znaczy, wszyscy oprócz mnie. Cóż, zdarza się... Od czasu do czasu ustępuję wobec nacisków, przecież wiesz.

- Nie, nic o tym nie wiedziałam! - roześmiała się. - Nigdy nie widziałam, żebyś choć pochylił głowę, nie mówiąc już o ustępowaniu!

- Najwyraźniej nie znasz mnie wystarczająco długo. Wiem na tyle dużo o zarządzaniu firmą, aby czasem przyznać rację ekspertom. A twoja agencja to wytrawni eksperci.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Powiedz mi, Elizabeth - nagle zniżył głos. - Jesteś szczęśliwa w małżeństwie?

- To wyjątkowo impertynenckie pytanie! - rzuciła, starając się utrzymać rozmowę w lekkim tonie.

Nie zamierzała myśleć teraz o swoim małżeństwie; było to zbyt niebezpieczne, zbyt destruktywne.

- Wcale nie - odparł. - Uważam, że jesteś interesującą kobietą i chciałbym wiedzieć...

- Nie wydaje mi się, abyś miał szansę poznać prawdziwą odpowiedź.

- W porządku - uśmiechnął się lekko. - Moim zdaniem znaczy to, że nie jesteś szczęśliwą mężatką...

- Nieprawda! - powiedziała zimno. - Znaczy to tylko tyle, że nie chcę o tym z tobą rozmawiać, bo ten temat nie ma nic wspólnego z tą okazją...

- Sądzę, że jednak ma.

- Dlaczego? - odparowała, zaskoczona irytacją, jaka zabrzmiała w jej głosie.

Pomyślała, że powinna lepiej nad sobą panować.

- Ach, Elizabeth, Elizabeth - John Martin pokręcił głową. - Nie złość się, nie ma potrzeby. Interesujesz mnie, to wszystko. Chciałbym wiedzieć, co tobą kieruje, co motywuje cię do działania.

- Wiesz, że często sama się nad tym zastanawiam? - odezwała się, nagle spokojniejsza, ponieważ wydawało jej się, że znaleźli się na bezpieczniejszym gruncie. - I nie potrafię znaleźć jasnej odpowiedzi. To co mną kieruje tkwi we mnie, i tyle. Taka już się urodziłam. Na pewno nie walczę o pieniądze i inne takie tam rzeczy. Z początku pracowałam praktycznie za darmo... Oczywiście coś zarabiałam, ale wystarczyło tego akurat na opiekunkę do dziecka. Byłam jedynaczką i często myślę, że może to dlatego. Ojciec był ze mnie niewiarygodnie dumny, ciągle zachęcał mnie do wysiłku, a ja bardzo chciałam sprawić mu przyjemność. Pragnął mieć syna, ale moja matka nie mogła urodzić więcej dzieci.

- Ja też byłem jedynakiem, pępkiem świata rodziców. Ciekawe, prawda? Oczywiście znam tę teorię o jedynakach, o ich dążeniu do sukcesu. Cóż, nadal nie mam pojęcia, co tobą kieruje, ale niewątpliwie dodaje ci to atrakcyjności.

- Och - mruknęła, nieco zaskoczona. - Dziękuję.

- Nie musisz dziękować, to fakt.

Uświadomiła sobie, że John Martin przyciska nogę do jej uda i odsunęła się lekko, starając się zrobić to jak najbardziej dyskretnie.

- Jesteś wyjątkowo fascynującą kobietą. A poza tym zdolną i inteligentną. Mam nadzieję, że twój mąż cię docenia...

Znowu przysunął się do niej; czuła falę gorąca bijącą z jego ciała i zapach whisky.

- Wiesz, że jesteś też bardzo pociągająca? - dodał cicho. - Seksowna i piękna... Może pójdziemy potańczyć?

Spojrzała na niego uważnie. Miała ochotę nie tylko zatańczyć z nim, ale również dalej z nim rozmawiać, wypić z nim następnego drinka, może nawet pójść z nim do łóżka, bo nie miała żadnych wątpliwości, że to także mogło się zdarzyć, na samym końcu tej drobnej przygody. Jak cudownie, że mogła wrócić do Simona ze świadomością, że nadal jest obiektem pożądania i sama umie pożądać.

- Dziękuję za zaproszenie, John, ale naprawdę jestem bardzo zmęczona - odparła jednak. - Rozmowa z tobą sprawiła mi dużą przyjemność, bardzo dużą. I dzięki za szampana. Świetnie się bawiłam. Do zobaczenia rano.

Bo przecież doskonale wiedziała, że John Martin jest najpotężniejszym, najbardziej wpływowym mężczyzną, jakiego знаła, co czyniło go nie tylko wyjątkowo atrakcyjnym, ale także niebezpiecznym. I



widziała już aż zbyt wiele takich krótkotrwałych romansów i zagrożeń, jakie stwarzały. Nie mogła ryzykować, byłby to akt absolutnej głupoty.

Uśmiechnął się do niej, z zalem w zaskakująco błękitnych oczach i całkowitym zrozumieniem. To, że ją rozumiał, sprawiło, iż zapragnęła go jeszcze mocniej, nabierając jednocześnie pewności, że podjęła właściwą decyzję.

## ROZDZIAŁ 12

### *BOŻE NARODZENIE 1989*

Simon obawiał się tej Gwiazdki, pierwszej, jaką mieli spędzić w Londynie, nie w Chadwick. Reszta rodziny, z wyjątkiem Tilly, nie podzielała jego obaw. Elizabeth była zadowolona, bo święta w Londynie łatwiej było zorganizować, Annabel i Toby zaś cieszyli się, że będą bliżej swoich przyjaciół.

Jednak dla Simona był to jeszcze jeden znak publicznej i całkowitej klęski; przez całe życie był „złotym chłopcem”, odnosił niepodważalne sukcesy w szkole, z kobietami, w pracy, a teraz musiał patrzeć, jak symbole jego powodzenia - piękny dom, konie, wspaniałe wakacje - powoli, lecz nieuchronnie znikają. Na początku nowego roku całą rodziną wybierali się na narty. Simon ostrzegł ich, że może jest to ostatni taki wypad, ale właśnie dlatego powinni „cieszyć się każdą chwilą, do diabła”.

Teraz, patrząc w przyszłość, widział szybko zbliżający się nowy rok i trzeci wykaz strat o takiej wielkości, że ledwo panował nad ogarniającą go paniką, zwłaszcza w środku nocy. Bał się potwornie; był to absolutnie samotny strach, którym trudno było mu podzielić się z innymi, nawet z Elizabeth. Pociechę niesły tylko rozmowy z innymi ofiarami Lloyd'sa, tylko oni rozumieli ataki przerażenia tuż przed świtem i uczucie obezwładniającej, przerażającej niemocy. Perspektywa procesu była jak światełko w tunelu, ale Simon zaczynał już wątpić, czy kiedykolwiek do niego dojdzie, bo George Meyer milczał jak zakłęty.

I wtedy, tuż przed świętami, odebrał dwa telefony, które zdecydowanie poprawiły mu nastrój.

Jako pierwsza zadzwoniła Catherine Morgan, z pytaniem, czy mogłaby wpaść do niego do pracy, naturalnie, jeżeli jego propozycja nadal jest aktualna. Jej głos brzmiał bardzo niepewnie.

- Oczywiście! - ucieszył się. - Z przyjemnością z panią porozmawiam!

Zaprosił ją na górę, do swojego gabinetu. Weszła do środka, wyraźnie onieśmiewiona imponującym wystrojem wnętrza, głębokimi skórzanymi kanapami, ogromnym biurkiem Simona, półkami pełnymi książek i lśniącem kominkiem z pięknego czarnego marmuru. Wyglądała na jeszcze bardziej zmęczoną niż poprzednio i miała na sobie dokładnie tę samą spódnicę i sweterek, co na tamtym spotkaniu. Simonowi przyszło nawet do głowy, że może po prostu nie ma się w co ubrać.

Kiedy usiadła, poprosił sekretarkę o kawę dla nich obojga.

- Jak dzieciaki radzą sobie w szkole? - zagadnął.

- Och, właściwie nie najgorzej - odparła, chociaż jej oczy pozostały smutne. - Właśnie dlatego zdecydowałam się przyjść. Caroline ma w swojej klasie kilka dość miłych dziewczynek, lecz Freddie... Cóż, jego koledzy ciągle wyśmiewają się z jego akcentu i drażnią się z nim, bo ma dobre wyniki, więc często wraca do domu bardzo zdenerwowany, a nawet z siniakami i zadrapaniami. Jest przy tym naprawdę dzielny i nie chce przyznać, że coś jest nie tak. Mogłabym zabić tych małych złośliwców. Nie wiem, co robić...

- Nie ma pani żadnej rodziny?

- Nie. Moi rodzice umarli, kiedy byliśmy w Hongkongu, a ich pieniądze także trafiły w łapy Lloyd'sa. Jeśli chodzi o moich teściów... Cóż, nie są do mnie szczególnie przychylnie nastawieni. Tak czy inaczej, przyszedłam tu, bo pomyślałam, że jeżeli jest pan na tyle szalony, aby mnie zatrudnić, to może udałoby mi się znowu zapisać Freddiego do prywatnej szkoły... Z drugiej strony, ciągle się zastanawiam, czy to sprawiedliwe wobec Caroline, bo nie poradzę sobie z płaceniem chesnego także i za nią...

- Jeśli Caroline jest dość zadowolona z tej szkoły, to nie martwiłbym się jej sytuacją, przynajmniej na razie - pocieszył ją. - Proszę powiedzieć mi coś o sobie, o swoich doświadczeniach zawodowych. Chodzi mi głównie o pani umiejętność posługiwania się nowoczesną technologią.

Okazało się, że Catherine jest doświadczoną sekretarką, która potrafi prowadzić korespondencję i dokumentację.

- Szybko piszę na maszynie, znam też stenografię i... No, naprawdę nieźle sobie radzę z tego typu zajęciami, chociaż oczywiście nie chcę się chwalić. Problem tkwi w tym, że jestem związana szkolnymi godzinami, bo w żadnym razie nie stać mnie na opłacanie opiekunki do dzieci. Myślałam nawet, czyby nie sprzedać mieszkania i nie wynająć czegoś taniego - w ten sposób zdobyłabym pieniądze na chesne za parę semestrów - ale ciągle martwię się o następny rok i nowe straty. Skąd wtedy wezmę pieniądze?

- Na pewno nie powinna pani sprzedawać mieszkania. Nieruchomości znowu idą w górę, więc wkrótce jego wartość wzrośnie. Moim zdaniem, najlepszym wyjściem jest znalezienie dobrej pracy. Z szefem, który zna pani sytuację, takim jak ja - uśmiechnął się lekko.

- Wygląda na to, że naprawdę miałam szczęście. Pan także ma dzieci, prawda?

- Tak. Dwoje jest jeszcze w szkole, a trzecie wyszło już w świat i pracuje.

- Naprawdę? Czym się zajmuje?

- To dziewczyna, jest fryzjerką. Muszę przyznać, że nie jest to zawód, który bym dla niej wybrał, ale...

- Dlaczego nie? - przerwała mu Catherine. - Wydaje mi się, że to dobry zawód dla kobiety. Stara się poprawić wygląd innych, co na pewno daje satysfakcję, a kiedy wyjdzie za mąż i urodzi dzieci, nadal może pracować, chociażby w domu.

- Chyba ma pani rację.

Nagle zawstydził się swoich poglądów i ujrzał sytuację w nowym świetle, porażony tak rozsądną oceną wybranego przez Annabel fachu. Cóż, może jego córka nie dostanie uniwersyteckiego dyplomu, ale co jemu samemu przyszło z dyplomu i doskonałych wyników? Co dało mu świetne wykształcenie teraz,

kiedy stanął twarzą w twarz z naprawdę trudnymi problemami? Annabel poszła dobrą, użyteczną ścieżką i postanowił jak najszybciej jej o tym powiedzieć.

- No, świetnie - uśmiechnął się do Catherine. - Mam osobistą sekretarkę, która pracuje dość długo, ale potrzebujemy kogoś, kto pomagałby mojej asystentce. Jej obecna zastępczyni odchodzi, ponieważ spodziewa się dziecka. Zaraz do niej zadzwonię i będzie pani mogła zamienić z nią parę słów.

- To brzmi zbyt pięknie, aby mogło być prawdą - westchnęła Catherine. - Ale czy pana asystentka nie będzie miała nic przeciwko temu, że mogę pracować tylko do trzeciej?

- Nie. Jeżeli będzie pani przychodzić odpowiednio wcześniej i w ten sposób nadgoni pewne sprawy - w bankowości zaczynamy pracę koło ósmej - to nie będzie jej to przeszkadzać.

Tak naprawdę asystentka, o której mówił, miała odmienne zdanie na ten temat, ale była też pod ogromnym wrażeniem Simona Beaumonta, podobnie jak wszystkie sekretarki i cały damski personel firmy.

- Tak, mogłabym przychodzić wcześniej...

- Dobrze. Cóż, nie wiem, ile zarabia pani w tej chwili...

- Dziewięć tysięcy. To spora suma, zdaję sobie sprawę, ale...

- To nie jest spora suma. - Simon pomyślał, że mniej więcej tyle wynoszą roczne rachunki za opiekę weterynarza nad Boyem. - Co powie pani na dwanaście tysięcy? Dwanaście i bilet okresowy? Proszę się zastanowić - uśmiechnął się. - Moim zdaniem naprawdę przyda się nam pani w firmie.

Catherine bez wahania oświadczyła, że przyjmuje propozycję i z najwyższym trudem opanowała się, by nie uściskać Simona.

Później, trzy dni przed Bożym Narodzeniem, Simon odebrał jeszcze ważniejszy telefon.

- Simon Beaumont?

- Tak.

- Tu George Meyer.

- Witam! Zaczynałem się już zastanawiać, kiedy się pan odezwie!

- Przepraszam, że tak długo milczałem, ale uznałem, że musimy pozyskać naprawdę dobrego prawnika, a pierwszy, z którym prowadziłem rozmowy, okazał się raczej słabo zorientowany w interesującej nas materii. Potem musiałem wyjechać nad Zatokę na cały miesiąc i...

- Tak, powiedziano mi o tym w pańskim biurze, zresztą to bez znaczenia.

- Właśnie. Tak czy inaczej, chciałbym teraz wiedzieć, czy nadal zamierza się pan do mnie przyłączyć.

- Oczywiście! Zwłaszcza że w przyszłym roku moje straty wyniosą ponad pół miliona! Będziemy musieli sprzedać dom, w tej chwili zaczynam się zastanawiać, kiedy się do tego zabrać...

- Powinien pan być wdzięczny losowi, że nadal ma pan dom, bo mój już dawno został sprzedany. Wie pan, kiedy człowiek sprzedaje dom, traci grunt pod nogami. Muszę powiedzieć, że uroniłem parę łez

w dniu, gdy straciłem dom. Znajdował się w pięknej części Cheshire. No, ale teraz to już nieważne... Znalazłem dla nas adwokata. To świetny prawnik, prawdziwy bokser. Chce spotkać się z nami jak najszybciej.

- Doskonale, może pan na mnie liczyć. Kiedy mamy się z nim zobaczyć?

- Im szybciej, tym lepiej, jak mówiłem. Może sięgnie pan po swój terminarz i zorientuje się, którego dnia mógłby pan zaplanować spotkanie. Och, jeszcze jedno... Nie wiem, jak pan do tego podejdzie, ale...

- O co chodzi? - Simon otworzył terminarz.

- To jest kobieta.

Alan Richards i Barry Grove jedli lunch w barze „George i Sęp”, ulubionym miejscu maklerów giełdowych, poważnych bankierów, a także pracowników firmy Lloyd's. Przy długich stołach panował taki tłok, że doniesienie jedzenia do ust mogło stanowić pewien problem, i taki hałas, że ktoś, kto nie był tu wcześniej, na pewno uznałby rozmowę za zwyczajnie niemożliwą. Jednak Alan i Barry należeli do stałych bywalców baru.

- Jakie masz plany na święta? - Barry pociągnął duży łyk piwa. - Spędzasz je razem z Heather?

- Podzieliliśmy pierwszy dzień - odparł Alan. - Jedziemy do jej rodziców na lunch, a do moich na wieczór. W drugi dzień zabieram Heather na wyścigi w Sandown Park. A ty?

- Będę u brata. On i jego żona naprawdę umieją świętować. Pierwszą butelkę otwierają zaraz po śniadaniu i popijają non stop aż do wieczora. W sumie całkiem nie najgorszy dzień. Nigdy nie byłem na wyścigach, trochę ci tego zazdrozczę. Dużo stawiasz?

- Nie należę do wielkich ryzykantów, postawię najwyżej dziesiątkę na wyścig dnia. Hej, a może wybrałbyś się z nami? Heather nie będzie miała nic przeciwko temu, wręcz przeciwnie - im więcej ludzi, tym weselej.

- Dzięki, stary, zastanowię się - powiedział Barry. - Tyle, że ja lubię pewność, jeśli chodzi o moje pieniądze - obligacje rządowe i tego typu rzeczy...

- Albo Lloyd's - pokiwał głową Alan. - Wszyscy akcjonariusze Lloyd'sa tak to sobie właśnie wyobrażali, biedacy... A, właśnie... Któregoś dnia przypadkiem usłyszałem w barze „Jam Pot”, że podobno nie tylko pech wpędził tych nieszczęśników w takie straszne kłopoty. Niektórzy mówią, że jest to coś w rodzaju spisku...

- Jakiego spisku?

Alan czujnie rozejrzał się dookoła.

- Lloyd's potrzebował więcej pieniędzy, i to szybko. Dlatego wciągnęli jako członków mnóstwo nowych ludzi, zamydlili im oczy statystyką, niezbyt dokładnie ocenili ich wartość majątkową i podparli ich pieniędzmi najbardziej ryzykowne syndykaty. Założyli, że wszystko to laicy, którzy i tak w niczym się nie zorientują. I mieli rację, prawda?

Barry potrząsnął głową.

- Jasne! Większość z tych ludzi ma takie pojęcie o inwestowaniu jak ja o wyścigach! Biedacy, słowo daję!

- Oczywiście to tylko plotki - podkreślił Alan. - I nie usłyszałeś ich ode mnie, rozumiemy się?

- W ogóle nic nie słyszałem - Barry uśmiechnął się szeroko. - Ale jeżeli to prawda, szczerze współczuję tym nabranym! Jeszcze jedno piwko?

- Dlaczego nie. - Alan wyjął chusteczkę z kieszeni i otarł czoło, trącając przy okazji w ramię swego sąsiada z drugiej strony. - Przepraszam bardzo...

- Nie ma sprawy - odparł mężczyzna. - Dziwne, że w ogóle da się tu jeszcze oddychać. Ja też zamówiłem piwo, ale założę się, że kelner nie przyniesie go przed upływem godziny. Pracuje pan w City?

- Tak, można tak powiedzieć. Dla agencji ubezpieczeniowej Jackson & Bond, zna ją pan?

- Tak, oczywiście. Działają dla Lloyd'sa.

- Pan też pracuje w biznesie? Pewnie tak, inaczej nie przychodziłby pan tutaj.

- W biznesie, ale trochę innym. Jestem dziennikarzem, piszę dla „Daily News”, w redakcji stołecznej.

- Ciekawa praca, co? - zagadnął Alan.

- Czasami. Słyszałem, o czym rozmawialiście, nic na to nie poradzę. Ta sprawa z Lloyd'sem... Chętnie dowiedziałbym się czegoś więcej, gdyby chciał pan o tym pogadać. Brzmiało to całkiem... całkiem intrygująco.

- Przykro mi. - Alan poczuł, jak nagle ogarnia go przerażenie. - Nigdy nie rozmawiam z prasą, nie tylko dlatego, że boję się o pracę. Nie wiem, co pan usłyszał, ale...

- Powiedzmy, że takie pogłoski dotarły do mnie już wcześniej - rzekł mężczyzna. - Mam na myśli pogłoski o paru paskudnych numerach, jakie Lloyd's wyciął swoim akcjonariuszom. Cóż, gdyby kiedyś jednak miał pan ochotę ze mną porozmawiać - oczywiście gwarantuję absolutną dyskrecję - to proszę zatelefonować. Tu jest moja wizytówka.

- Dzięki - Alan ujął kartonik w palce z takim wyrazem twarzy, jakby mógł się poparzyć. - Nie chcę, żeby zabrzmiało to nieuprzejmie, ale raczej jednak nie skorzystam.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- W porządku. Może jednak trafi pan na jakąś inną historię, mniej niepokojącą, nigdy nie wiadomo.

- Kto powiedział, że jestem zaniepokojony? - obruszył się Alan.

- Ja. No, muszę już lecieć, mój kumpel też zamówił dla mnie piwo i macha, żebym wyszedł z nim na zewnątrz. Miło mi było z panem pogadać, wesołych świąt...

- Wesołych świąt - odparł Alan.

Uśmiechnął się ostrożnie. Jego rozmówca był całkiem młody, miał najwyżej trzydzieści lat i Alanowi przyszło do głowy, że Heather uznałaby go pewnie za niezłego przystojniaka. Krótko ostrzyżone gęste ciemne włosy i elegancki garnitur. Zerknął na wizytówkę. „Joel Strickland, «Daily News», redakcja stołeczna, Butts Wharf, tel. bezp. 01-271-7913”. Nie zamierzał korzystać z propozycji Joela Stricklanda, ale na wszelki wypadek schował wizytówkę do kieszeni. Nigdy nie wiadomo...

Lucinda miała spędzić Gwiazdkę z rodzicami, siostrą, jej wyjątkowo nadętym mężem oraz ich nudnymi dziećmi. Nie była to atrakcyjna perspektywa.

Nie rozmawiała z Nigelem, który przysłał jej tylko wiadomość, w które dni i w jakich godzinach mogłaby przyjść po swoje rzeczy, oraz zwięzłą prośbę, aby zostawiła klucze na stole w holu. Teraz miała więc przynajmniej część ubrań i parę fotografii, chociaż większość z nich przedstawiała ją razem z Nigelem. Zostawiła mu klucze oraz karteczkę, na której napisała, że jest jej bardzo, bardzo przykro. Odpowiedzi nie otrzymała.

Dreńczył ją okropny wstyd i wyrzuty sumienia. Żałowała, że sprawiła mu tyle bólu i nie mogła otrząsnąć się z przygnębienia. Doszła do wniosku, że jest pozbawioną jakiegokolwiek wartości, bezużyteczną istotą. Nie mogła spać, nie mogła jeść, nie miała nawet dość energii, żeby czytać.

Blue Horton odkrył, że boi się Bożego Narodzenia. I słusznie, bo święta zapowiadały się koszmarne, chociaż oczywiście jego duża rodzina czekała na nie jak na największe wydarzenie roku. Dużo jedli, jeszcze więcej pili, mama Blue przygotowywała najlepszy obiad na świecie, jego tata przebierał się za Świętego Mikołaja i rozdawał prezenty dzieciakom, a wieczorem, kiedy wszyscy byli już nieźle wstawieni, mężczyźni próbowali grać w pokera, ale zwykle nie trwało to długo, bo dziewczyny zaraz zwijały dywan i domagały się potańcówki. W zeszłym roku było ich razem dwadzieścia czworo, wliczając dzieci. Święta zawsze spędzali w domu rodziców w Chelmsford, nie tylko dlatego, że był największy, ale i dlatego, że nikt nie potrafił urządzić takiej wspaniałej Gwiazdki jak oni. Od czasu do czasu, w okresie, który Blue nazywał „erą Lucindy”, starał się wyobrazić ją sobie w domu rodziców - może z początku byłaby trochę oszołomiona, ale pewnie przyzwyczaiłaby się do gwaru, tłoku i ruchu...

Teraz Blue czuł się tak paskudnie, że chyba już nie mogło być gorzej. Każdy dzień był okropny, a Boże Narodzenie... Cóż, Boże Narodzenie miało być po prostu kolejnym dniem, po brzegi wypełnionym tęsknotą.

Od tamtego straszego wieczoru upłynęły już dwa miesiące, a on nie czuł się nawet odrobinę lepiej. Kochał ją tak mocno, tak bardzo... Nie, więcej niż kochał - uwielbiał ją, do cholery, gdyby zechciała, umarłby dla niej, bez chwili wahania wyskoczyłby z okna na najwyższym piętrze hotelu, w którym zwykle wynajmowali pokój. Kiedyś powiedział jej o tym, ona zaś długo wpatrywała się w niego tymi swoimi pięknymi oczami, bardzo poważnie.

- Ale po co miałabym żyć, gdybyś zrobił coś takiego? - zapytała w końcu. - Musiałabym wyskoczyć zaraz po tobie - zachichotała cicho. - A przecież szkoda by było, gdybyśmy obydwójce zginęli tak bez sensu.

Boże, jak brakowało mu jej śmiechu... I tych oczu... I... Tak jest, nie było takiej rzeczy, za którą nie tęskniłby jak potępieniec. Co za koszmar...

Debbie i Richard zawsze kłócili się w Wigilię; Debbie twierdziła, że była to część ich świątecznej tradycji. Po fakcie zawsze wydawało im się to dość zabawne, ale w samym środku kłótni, kiedy emocje wywołane świątecznym stresem szalały, traktowali to zupełnie inaczej.

Ten rok nie stanowił wyjątku. Debbie weszła do gabinetu po taśmę klejącą i zastała Richarda ponuro zapatrzonego w okno.

- Co się dzieje? - zagadnęła rześko.

- Nic, co naprawdę by cię interesowało.

- W porządku, niech będzie, ale powiedz mi, o co chodzi!

- Martwię się o mamę, jeżeli rzeczywiście chcesz wiedzieć.

- Jestem pewna, że wszystko u niej w porządku!

- Nie, nieprawda! Była bardzo smutna, kiedy dowiedziała się, że nie przyjedziemy. Ostatnie święta sprawiły jej ogromną radość, podobnie jak dzieciom. I mnie.

- Nam wszystkim - powiedziała ostrożnie Debbie. - Myślałam tylko, że w tym roku miło by było, gdybyśmy spędzili święta w domu, jako rodzina. Dobrze wiesz, że zaprosiliśmy twoją mamę, ale odmówiła.

- Tak, wiem.

- Więc...

- Rozmawialiśmy już o tym wiele razy, naprawdę! Mama ma pod opieką zwierzęta i tak dalej! Poza tym lubi urządzać Boże Narodzenie na swój sposób, dekorować dom, przestrzegać swoich tradycji...

- Jakież to niezwykle, prawda? Ja też to lubię, wiesz?

- Ale my nie mamy takich tradycji, przecież wiesz!

- Dlatego, że zawsze musimy obchodzić święta razem z nią! Richard zignorował tę uwagę.

- Dzieci także uwielbiają Gwiazdkę w Walii - podjął po chwili. - A mama... Nie trzeba wiele, żeby ją uszczęśliwić...

- Moim zdaniem, trzeba całkiem sporo! Spakować się, wlec przez pół kraju w korkach, zostawić dom i wszystko, co się tu dzieje! Dzieci może i lubią pasterkę w Oxwich, ale lubią też nabożeństwo przy złóbku w naszym kościele i spotkania ze swoimi przyjaciółmi, i ja także! Cieszę się, że dziś wieczorem idziemy do Jan, a w drugi dzień świąt do Sarah, zamiast jeździć po tych wielkich domach, w których mieszkają znajomi twojej matki i rozmawiać z ludźmi, których nie znam i nie mam ochoty poznawać!

- A ja nic nie poradzę na to, że się o nią martwię! Starła się być bardzo dzielna, kiedy opowiadała nam o wszystkich przyjęciach, na które się wybiera, ale pozostaje faktem, że rankiem w dzień Bożego Narodzenia obudzi się w pustym domu i wieczorem w pustym domu położy się spać. Poza tym jej przyjaciele będą się zastanawiać, dlaczego przynajmniej nie pojechała do Londynu, żeby spędzić święta z wnukami, skoro my nie mogliśmy przyjechać do niej...

- Richard, przed sekundą mówiłam, że mogła być tu razem z nami! Och, cała ta rozmowa jest po prostu śmieszna! Nie mam zresztą czasu na bezsensowne powtarzanie w kółko tego samego! Masz taśmę klejącą? Muszę jeszcze zapakować z tuzin prezentów, a za godzinę wychodzimy do kościoła.

W pokoju długo panowała cisza.

- Nigdy bym nie uwierzył, że staniesz się taka twarda, Debbie - odezwał się w końcu. - Taka twarda i... Tak, i agresywna! Bardzo mnie to smuci.

I wyszedł, ale po paru sekundach wrócił.

- Teraz dzieci się denerwują - oświadczył. - Wiesz, jak nie znoszą, kiedy kłócimy się w święta!

- Bardzo mi przykro, ale to ty zaczęłaś tę idiotyczną dyskusję i ty trzasnęłaś drzwiami, podczas gdy ja chciałam się tylko dowiedzieć, czy nie masz taśmy, prawda? Może byś tak spróbował pomóc, zamiast bez przerwy się mnie czepiać, na miłość boską?!

- Och, zamknij się! - warknął Richard. - Naprawdę mam już... Właśnie w tym momencie w drzwiach stała Emma, z oczami pełnymi łez.

- Przestańcie! - krzyknęła. - To okropne, nie powinniście się kłócić w Boże Narodzenie! W czasie świąt ludzie powinni być szczęśliwi i okazywać sobie miłość, robić to, czego życzyłby sobie Jezus!

- Kochanie, tak mi przykro - wykrztusiła Debbie, którą natychmiast ogarnęły wyrzuty sumienia. - Tak mi przykro. To nie była prawdziwa kłótnia, tylko...

- Była prawdziwa, słyszałam, jak tata krzyczał na ciebie! Więc lepiej pogódźcie się od razu! Przepraszcie się, no, dalej, a potem tata powinien pocałować mamusię, a mamusia tatę.

Debbie zerknęła na Richarda i z trudem opanowała chichot. Cała sytuacja skojarzyła jej się z ceremonią ślubu, kiedy także osoba trzecia instruuje zainteresowanych, co mają zrobić i co powiedzieć, i że na zakończenie pan młody może pocałować pannę młodą. Jakimś cudem udało jej się jednak nie roześmiać.

- Przepraszam cię, Richardzie - powiedziała poważnie.

- Dobrze. Teraz tatuś... Richard milczał.

- Tato! No, tatusiu!

- Postaraj się - mruknęła Debbie. - Ja zrobiłam, co do mnie należało.

- Przepraszam! - powiedział bardzo szybko.

- W porządku - kiwnęła głową Emma. - A teraz tata całuje mamusię.

Kiedy sprawiedliwości stało się zadość, usatysfakcjonowana Emma opuściła gabinet. Debbie parsknęła śmiechem, Richard chwilę wpatrywał się w nią bez słowa, wreszcie jednak niechętnie zdobył się na uśmiech.

- No, daj spokój! - roześmiała się Debbie. - Zróbmy to jeszcze raz! Ten pocałunek bynajmniej nie rzucił mnie na kolana! Miałam wrażenie, że całujesz mnie na siłę.

- Skądże!

- Nieprawda... Chodź tutaj... Może już nie pamiętasz, ale pocałunek to trochę coś innego.

Zacząła go całować i, jak zwykle, kiedy jej emocje intensyfikowała kłótnia, poczuła podniecenie. I szybko się zorientowała, że Richard, choć chyba wbrew sobie, reaguje na jej pieszczoty.

- Zamknij drzwi - powiedziała.

- Debs, nie, dzieci biegają po całym domu.



- Poradzą sobie bez nas przez parę minut. Słyszałam, jak Emma informowała resztę, że właśnie się godzimy. Naprawdę uważam, że powinniśmy się pogodzić, a ty?

- Debbie...

Ale ona już podciągnęła spódnicę i zsunęła majtki. Gdy oparła Richarda o biurko i zaczęła rozpinąć mu spodnie, sięgnął po nią i objął z dziwnie niepewnym uśmiechem. I zaraz było po wszystkim. Pełen podniecenia, radosny, naznaczony poczuciem winy seks. Później, zarumieniona, zdyszana i absurdalnie uszczęśliwiona, uporządkowała ubranie i rzuciła mu zalotny uśmiech.

- Nadal umiesz to robić, panie Fielding, nadal potrafisz zapewnić mi świetną rozrywkę. No, dobrze, co teraz? Och, tak, nabożeństwo... Jak najbardziej à propos... Biedna Maria nie wiedziała nawet, co traci.

- Debbie! - wykrzyknął Richard, wyraźnie zgorzony. Mimo tego uśmiechnął się szeroko.

- Idę wziąć prysznic - powiedziała. - I wiesz co, może tak wszyscy pojechalibyśmy do Walii na Nowy Rok?

Było to spore poświęcenie, ponieważ jej nowi przyjaciele z Know How wydawali przyjęcie, które zapowiadało się po prostu fantastycznie, z mnóstwem dziennikarzy i ludźmi z rozmaitych wydawnictw.

- Świetny pomysł - odparł. - Dziękuję... I dzięki za gwiazdkowy prezent, który dostałem z wyprzedzeniem. To było coś znacznie lepszego niż zestaw płyt CD, który znalazłem w twojej szufladzie.

- Richard! Nie powinieneś grzebać w moich szufladach, to nie w porządku!

- A ja myślałem, że właśnie o to ci chodziło. Żebym jak najczęściej grzebał w twojej szufladce...

Nagle pomyślała, że minęło już bardzo dużo czasu od chwili, kiedy ostatni raz rozśmieszył ją albo doprowadził do orgazmu i ogarnęło ją poczucie wielkiego szczęścia.

- Wesołych świąt, kochanie - powiedziała.

Lucinda zaproponowała, że przyjdzie do pracy w Wigilię. Nie miała nic lepszego do roboty, a za nic nie chciała jechać do rodziców wcześniej, niż należało. Zresztą i tak tylko praca koła ten okropny, bolesny smutek, który wydawał się nie zmniejszać, lecz wciąż narastać.

\* \* \*

Blue starał się dobrze bawić na dorocznej świątecznej imprezie w firmie McArthur's. Sądził też, że kilka kieliszków - tylko parę - pomoże mu wyleczyć kaca. Alkohol rzeczywiście pomógł, ale na krótko, bo potem Blue znowu upił się na smutno. Odłączył się od reszty i usiadł za swoim biurkiem, wpatrzony w pusty ekran monitora. Pomyślał, że gdyby ktoś teraz podsunął mu rewolwer, bez wahania przyłożyłby sobie lufę do skroni i nacisnął spust.

- Blue!

W progu stała Stella, jedna z recepcjonistek. Dziewczęta na ogół nie zapuszczały się na piętro, ponieważ zwykle witano je tam entuzjastycznie, choć niekoniecznie po dżentelmeńsku.

- Dobrze się czujesz, Blue?

- Nie, niezbyt dobrze, skarbie - westchnął.

Wyciągnął ramię i objął ją w pasie, nawet na nią nie patrząc. Ciemnoszary ekran widział teraz przez łyzy. Stella stała najpierw bez ruchu, lecz po chwili schyliła się i pocałowała go w czubek głowy.

- Co się dzieje? Kłopoty z dziewczyną?

- Kłopoty z dziewczyną, złotko. Dobrze to ujęłaś.

- Och, przykro mi... Cóż, mogę tylko powiedzieć, że to chyba wariatka! Żadna dziewczyna przy zdrowych zmysłach nie zerwałaby z tobą! W każdym razie ja na pewno nie...

- Nie?

- Jasne że nie!

Odwrócił głowę i spojrzał na nią, omijając wzrokiem wydatny biust. Na jej twarzy malowało się z troskanie. Miała bardzo duże niebieskie oczy, trochę podobne do oczu Lucindy, i patrzyła na niego z prawie macierzyńskim współczuciem.

- Powinieneś spróbować jeszcze raz - powiedziała.

- Nawet jeżeli sytuacja była całkowicie beznadziejna?

- Oczywiście! Zawsze warto spróbować raz jeszcze. Może ona tylko udaje taką trudną do zdobycia - podsunęła.

- Nie wydaje mi się...

Stella schyliła się i znowu go pocałowała. Jej obficie skropione perfumami piersi zajęły całe pole jego widzenia. Dobry Boże... Zdążył już prawie zapomnieć, jaki wpływ wywierają na faceta kobiece piersi... Poza wszystkim, miał już po dziurki w nosie życia w celibacie.

- Co właściwie masz do stracenia? - zapytała. - Przecież są święta, wszystko jest możliwe!

Blue nie bardzo wiedział, co święta mają wspólnego z jego związkiem z Lucindą, ale nagle ogarnęła go fala dzikiej, beztroskiej śmiałości. Może energia ta była z biustu Stelli, kto wie...

- W porządku - oświadczył. - Zrobię to. Teraz.

- Dobra decyzja. - Stella wyprostowała się powoli. - Zrób, co należy, a ja pójde i przyniosę ci jeszcze jeden kieliszek bąbelków, co ty na to?

- Doskonale.

Chwycił słuchawkę i wybrał biurowy numer Lucindy. Był prawie pewny, że nie zastanie jej w pracy, ale nie mógł przecież zadzwonić do domu.

Zbliżała się pora lunchu i budynek kompletnie opustoszał. Nie było sensu siedzieć tu dłużej, skoro i tak poza nią i portierem w całej firmie nie było żywej duszy. Równie dobrze mogła wybrać się na szybkie i trochę spóźnione zakupy. Nadal nie miała żadnego prezentu dla siostry. A potem powinna włączyć się do ślimaczego ruchu na ogromnym parkingu, jakim w Wigilię zwykle stawała się autostrada M4...

Wyszła na korytarz i nacisnęła guzik, aby ściągnąć starą, rozchwierutaną windę. Boże, głowa ją bolała. Czowała, że im szybciej znajdzie się na świeżym powietrzu, tym lepiej.

Cisza. Trzymał słuchawkę przy uchu, chociaż już dawno powinien ją odłożyć. Najwyraźniej Lucinda wyszła, albo może w ogóle nie było jej tego dnia w pracy. Cóż, przynajmniej spróbował... Czuł się tro-

szeczkę lepiej, szczerze mówiąc, był prawie z siebie zadowolony. Dostrzegł Stellę, która właśnie wracała z szampanem. Pomyślał, że chętnie się napije, a potem może zaprosi Stellę na randkę. Była słodka... A te piersi - człowiek mógłby w nich utonąć. I właśnie tego potrzebował - piersi, w których mógłby się zanurzyć.

- Nie było jej - powiedział, uprzedzając pytanie dziewczyny.

Lucinda zjechała na parter i wyjrzała na ulicę. Wszędzie kłębiły się tłumy, ocean rozgadanych, roześmianych, szczęśliwych ludzi. Nie mogła wyjść i przyłączyć się do nich, nie z tą migreną... Chyba podda się i łyknie ze dwie aspiryny.

\* \* \*

- Może poszła do toalety - zasugerowała Stella. - Nie poddawaj się tak łatwo, Blue! Ma własny gabinet, tak?

- Tak.

- Więc spróbuj jeszcze raz! No, tylko ten jeden, jedyny raz...

- Potrzebujesz mnie za rękę?

- Z przyjemnością - odparła pogodnie.

Lucinda wróciła do biura, otworzyła drzwi, usiadła przy biurku i wyciągnęła szufladę. Była pewna, że miała tam jakieś tabletki przeciwbólowe. Te mocne, które dostała od Blue po jednym z ich najprzyjemniejszych lunchów.

„Te pastylki zawsze postawią cię na nogi, Lucy - powiedział. - W razie konieczności łyknij dwie i pomyśl o mnie!”.

Nie myśl o Blue, Lucindo, nie myśl, tylko nie to. To i tak nie pomoże.

Znalazła opakowanie i znowu wstała, żeby nalać wody do szklanki. Telefon nagle rozdzwonił się jak oszalały.

- Spadaj! - powiedziała, ponurym wzrokiem mierząc aparat. - Idź sobie i daj mi święty spokój!

I wtedy przyszło jej do głowy, że może to Nigel. Nigdy nie wiadomo, prawda? Może Nigel chce zawrzeć pokój, ostatecznie są święta... Z westchnieniem podniosła słuchawkę.

- Halo? - odezwała się. To nie był Nigel.

- Lucy? To ja, Blue... Ja... Dzwonię, żeby życzyć ci wesołych świąt... Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- Och, Blue - wykrztusiła. - Och, Blue, proszę... I rozplakała się rozpaczliwie.

- Nie ruszaj się stamtąd! - rzucił. - Już do ciebie jadę!

Po dwudziestu minutach był na miejscu. Lucinda nie miała siły ruszyć się z miejsca, uciec, polecić portierowi, żeby go nie wpuszczał; nie miała siły zrobić żadnej rozsądnej, właściwej w tym momencie rzeczy. Siedziała przy biurku i wpatrywała się w telefon, nie wypuszczając z ręki odłożonej słuchawki, ponieważ miała wrażenie, że w ten sposób wreszcie znowu ma kontakt z Blue. Postanowiła, że tylko zobaczy

się z nim, pogada chwilę i przekona go, że nic się nie stało, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, a potem...

- Cześć, Lucindo.

Stał w drzwiach.

Zrobiło jej się słabo. Słabo z oszołomienia, z miłości, z rozpacz...

- Och - przemówiła takim tonem, jakby jego pojawienie się bardzo ją zaskoczyło. - Och, cześć, Blue... e...

Nawet nie drgnął. Ona też nie.

- Nic ci nie jest?

- Nie, wszystko w porządku, dziękuję...

- Ale płakałaś!

- Wiem, głupia jestem... Nie mogłam się powstrzymać. Przepraszam...

- Dlaczego płakałaś? Czy coś jest nie tak?

- Nie, nie... Skąd, wszystko naprawdę świetnie się układa! Po prostu... Po prostu trochę się wzruszyłam... Bo... bo zadzwoniłeś i... I... Ale nie, wszystko dobrze... Jadę na wieś i...

I nagle znowu rozbeczała się jak idiotka, słaba i zrozpaczona. Sięgnęła po pudełko chusteczek stojące z boku biurka, rękaw bluzki podjechał do góry i... i Blue zobaczył to, czego zobaczyć nie powinien.

- Lucy... - powiedział, z wzrokiem utkwionym w przegub jej dłoni.

- Tak, Blue? - wydmuchała nos, zupełnie nieświadoma, że właśnie dokonała cudu. - Tak, słucham?

Obszedł biurko, uniósł jej głowę i zmusił, żeby na niego spojrzała.

- Jeżeli rzeczywiście wszystko tak świetnie się układa, to może powiesz mi łaskawie, dlaczego nosisz ten pieprzony zegarek, co?

## ROZDZIAŁ 13

### *STYCZEŃ 1990*

Fiona Broadhurst. Trzydzieści parę lat, zdaniem Simona. Wysoka, bardzo smukła, z jasnobrązowymi włosami ściągniętymi w koński ogon i lśniącymi, przenikliwymi niebieskimi oczami w bladej, raczej pozbawionej emocji twarzy. Ubrana w czarny kostium, białą koszulową bluzkę i czarne czółenka na nieprzeciętnie zgrabnych nogach.

Mówiła szybko i zwięźle, jakby nie chciała tracić więcej czasu niż potrzeba, i miała (Simon zawsze zwracał uwagę na takie rzeczy) bardzo ładne dłonie i paznokcie, oczywiście nielakierowane. Na swój własny, dość chłodny sposób, była bardzo pociągająca, bardzo seksy. A to mogło jedynie uprzyjemnić ich spotkanie, pomyślał Simon i uśmiechnął się do niej. Nie odpowiedziała uśmiechem. Więc może jednak nie...

Była partnerką w kancelarii adwokackiej Evans Dixon Campbell, niezbyt dużej, z siedzibą tuż koło Charterhouse Square; siedzieli w sali zarządu, równie eleganckiej i skromnej jak sama Fiona. Była dziesiąta trzydzieści rano.

- Dzień dobry - powiedziała, witając się z nimi uściskiem dłoni. - Miło mi państwa poznać... Nazywam się Fiona Broadhurst, a to moja asystentka Clare Lomax. Może pan zacznie, panie Meyer.

Przedstawiali się po kolei. Simon, który poznał swoich towarzyszy w czasie pierwszej nieudanej próby znalezienia adwokata, zastanawiał się, ile osób wytrzyma tę trudną fazę. Obok niego siedział krępy, mocno zbudowany Terence Cunningham z północnej części Anglii, dalej imponująca dama Anne Rudyard, a naprzeciwko niego Flora Fielding.

- Doskonale - Fiona obdarzyła wszystkich obecnych krótkim uśmiechem. - Przystąpmy do rzeczy, dobrze? Może chcieliby państwo, abym streściła całą sprawę w taki sposób, jak sama ją widzę. O ile mi wiadomo, pozew opiera się na tym, czy propozycja, aby zostali państwo Nazwiskami, została wysunięta pochopnie, czy też nie, czy w grę wchodziły nieuczciwe intencje, czy nie. Jeżeli potwierdzimy tę ostatnią tezę, zwalnia to was od wszelkiej odpowiedzialności finansowej. Oczywiście dowiedzenie oszustwa jest niezwykle trudne, bo wtedy w grę wchodzi oskarżenie z kodeksu kryminalnego, waga ciężka... Oszustwo to coś znacznie więcej niż nieostrożność czy pochopność. Zakładam, że wszyscy państwo wiedzą, co to oznacza?

Simon zdobył się na odwagę i przyznał, że nie wie. Fiona Broadhurst zmierzyła go wyrozumiałym spojrzeniem.

- Oznacza to pełną świadomość czynu, świadome przestępstwo - powiedziała. - To jest właśnie różnica między morderstwem a zabójstwem, na przykład. W tym wypadku pragnę państwo dowieść, że firma Lloyd's, czy też raczej agencja Jackson & Bond i/lub wasza główna grupa syndykatowa Westfield Bradley, z pełną świadomością grożących im roszczeń, przede wszystkim z powodu azbestozy lub pylicy, wobec braku środków na pokrycie wspomnianych roszczeń, usiłowały ściągnąć pieniądze od ludzi, nie szacując zasobów finansowych nowych inwestorów w prawidłowy sposób i nie ostrzegając ich przed możliwymi konsekwencjami. Czy przedstawiłam jasny opis państwa sprawy?

George Meyer przytaknął.

- Twierdzą więc państwo, że zostali skłonieni do zostania inwestorami, czyli Nazwiskami, z nieuczciwą intencją, że chcą państwo odzyskać zainwestowane środki oraz określone koszty, procent od sum, które powierzyli państwo agencji, oraz że nie chcą państwo płacić im ani grosza więcej.

- Tak - powiedział Meyer. - O to właśnie nam chodzi.

- Cóż, to dosyć proste.

- Naprawdę? - zapytał Simon z nadzieją w głosie.

- Panie Beaumont, kiedy mówię „proste”, mam na myśli państwa cele - oświadczyła surowo Fiona Broadhurst. - Nie chodzi mi o ostateczny wynik procesu. I oczywiście w tym kraju nie dostaną państwo ani pensa za przeżyte troski, niepokoje, załamania i tak dalej. Amerykanie przywiązują do tych kwestii dużą

wagę, ale brytyjski wymiar sprawiedliwości nie, więc liczę, że nie mają państwo żadnych oczekiwań tego rodzaju.

- Naturalnie! - rzekł Simon, pragnąc zdystansować się od wszelkich podejrzeń o uzalanie się nad sobą.

- Tak czy inaczej, sprawa jest skomplikowana i na razie nie mogę jeszcze powiedzieć, czy ją wezmę. Potrzebuję pomocy z państwa strony i sama także muszę wykonać sporą pracę. Domaganie się zwrotów i odszkodowań to praca zespołowa - będziemy musieli działać razem od początku do końca.

- O jaką pracę chodzi i czego pani po nas się spodziewa? - spytał Cunningham. - Zawsze wydawało mi się, że adwokaci biorą wszystkie sprawy, jakie wpadną im w ręce... Nigdy nie słyszałem, aby w ten sposób oceniali możliwości klientów.

Fiona Broadhurst popatrzyła na niego bardzo chłodno.

- Najwyraźniej nigdy nie uczestniczył pan w tego rodzaju sprawie - powiedziała. - Ja, podobnie jak inni partnerzy tej kancelarii, zawsze bardzo szczegółowo oceniam sprawę, zanim narażę ewentualnych klientów na poważne wydatki i duże ryzyko. A jeśli chodzi o drugą część pana pytania, czy też raczej pierwszą, gwoli dokładności, to chcę, aby każde z państwa przyszło do mnie i oświadczyło: „Taka jest moja sytuacja, to jest moja umowa, to jest to, co skłoniło mnie do zainwestowania, właśnie te określenia i informacja w broszurze, tę kwotę już zapłaciłem, takie jest saldo”. Muszę wiedzieć, co was niepokoi, poza zupełnie oczywistą kwestią, czyli waszym przekonaniem, że nie powinniście płacić firmie Lloyd's. Muszę wiedzieć, czy i z jakiego konkretnie powodu czujecie, że zwiedziono was grą pozorów, że ludzie z Jackson & Bond lub Westfield Bradley wiedzieli, co wam grozi i nie poinformowali was o tym w należyty sposób. Muszę to wszystko wiedzieć... Chcę, żeby każde z was udzieliło mi szczegółowych informacji, przedstawiło wykaz kwot, jakich domaga się Lloyd's, czy te kwoty wzrastają, czy na jakimkolwiek etapie zgodziliście się zapłacić więcej i dlaczego. Potem się zastanowię i powiadomię was o swojej decyzji. I oczywiście mam obowiązek powiedzieć wam, już na tym etapie, że wytoczenie procesu to bardzo poważna sprawa - z całą pewnością będzie to bardzo kosztowne i nie ma żadnej gwarancji, że wygracie.

- Jakie mogą być koszty, oczywiście w przybliżeniu? - zapytał Meyer.

- W tej chwili trudno je oszacować, bo nie wiem przecież, jak długo może potrwać sprawa, przewidyuję jednak, że będą duże. Trzeba zatrudnić dodatkowy personel, a nasze wynagrodzenie wynosi od dwustu pięćdziesięciu do trzystu funtów za godzinę, dla asystentów naturalnie odpowiednio mniej. Tak czy inaczej, będzie to kilkaset tysięcy funtów. Stosunkowo prosta sprawa, z procesem trwającym sześć, siedem dni, może kosztować około stu tysięcy, więc jest jasne, że przeprowadzenie sprawy tak złożonej jak wasza okaże się dużo droższe. Potrzebni nam będą najrozmaitsi eksperci - choćby od oceny stanu rynków finansowych czy azbestozy, a to kosztuje. Nasza kancelaria żąda pewnej kwoty z góry, wpłaconej na rachunek bankowy, w tym wypadku około pięćdziesięciu tysięcy funtów. Dlatego radzę państwu przemyśleć tę kwestię bardzo dokładnie, zanim znowu umówicie się ze mną na spotkanie. Jeszcze kawy? Nikt nie miał ochoty na więcej kawy.

- Co będziesz robiła jutro, Bel, skarbie?

- Och, nie mam pojęcia - odparła Annabel. - Gdybym miała szczęście, nie musiałabym myć klientom włosów, ubierać ich w pelerynki ani biegać dookoła nich z suszarką, ale raczej nie mogę na to liczyć.

- Jesteś strasznie zgorzkniała, skarbie! Pozwól, że trochę cię rozweselę. Mam jutro sesję dla „Siódmego dnia”, programu Sunday News, i zgadnij, kto będzie mi tam towarzyszył jako moja asystentka?

- Ja? - pisała ze zdumieniem Annabel.

- Właśnie! Merle ma grypę żołądkową, biedactwo, więc pomyślałem, że może by tak zabrać ciebie... Ostatnio byłaś bardzo grzeczną dziewczynką i...

- Och, Florian, tak ci dziękuję! - Annabel zarzuciła Florianowi ręce na szyję i ucałowała go gorąco, chociaż byli w pokoju dla personelu.

- Złotko, gdybym wiedział, że zrobi to na tobie aż takie wrażenie, wymyśliłbym coś dużo wcześniej! Więc jutro spotykamy się w Saville Studios w Whitechapel, punktualnie o ósmej rano.

- Dziękuję, Florian!

Była na miejscu już o siódmej trzydzieści, tak bardzo bała się spóźnić, z torbą pełną wałków, lokówek, suszarek, szczotek i spinek. Za pięć ósma przed Saville Studios zjawiała się dziewczyna, która wyciągnęła z kieszeni ogromny pęk kluczy. Była tak wysoka i chuda, że Annabel wzięła ją za modelkę, błędnie, jak się okazało.

- Cześć, jestem Elise, dziewczyna do wszystkiego - przedstawiła się tamta. - Wejdz do środka, chyba strasznie zmarzłaś.

- Tak, trochę...

- Zaraz zrobię ci kawę. Jesteś asystentką Floriana? Bardzo lubimy z nim pracować, jest bardzo zabawny i taki utalentowany! Boże, czeka nas okropnie długi dzień! Sześć ujęć, nie mamy szans skończyć przed północą!

Punktualnie o ósmej trzydzieści do studia wkroczył Florian.

- Co za piekielny dzień! - powiedział, rzucając płaszcz na skórzaną kanapę i przyjmując z rąk Elise kubek kawy. - Effie i Sandra razem, Boże, dopomóż...

- Lubię Sandrę - oświadczyła Elise. - Jest bardzo miła, poza tym to prawdziwa profesjonalistka...

- Tak, skarbie, ale właśnie dlatego nie umie wytrzymać z Effie! Dobrze wiesz, że Effie zachowuje się jak osoba z innego świata i nigdy nie wie, co właściwie się dzieje, chyba głównie z powodu marychy...

- Przyganiał kocioł garnkowi! - rzuciła Elise.

- Jesteś niesprawiedliwa! - obruszył się. - Ja nigdy nie palę przy pracy, no, w każdym razie nie przy takiej pracy. Mam rację, Bel, złotko?

- Hmm... Tak, oczywiście...

Florian brał, i to często, i między innymi ta strona jego charakteru poważnie niepokoiła Annabel. Nie dość, że praktycznie stale popalał trawę (choć nie w pracy, tu miał rację), to jeszcze zażywał tabletki ekstazy, których ona raczej nie akceptowała, oraz kokainę. Kilka razy już ją częstował - na razie odma-

wiała, chyba tylko ze dwa razy wciągnęła działkę - ale Florian nie ustawał w wysiłkach. Annabel myślała czasami, że jeżeli coś zmusi ją do zakończenia ich dość dziwnego związku, to właśnie ta sprawa.

Simon nie miał cienia wątpliwości, że stworzą doskonały zespół; polubił nawet Terence'a Cunninghama, upartego i wojowniczego przemysłowca z północy. Po spotkaniu poszli razem na drinka. Okazało się, że żona Cunninghama, podobnie jak Meyera, zostawiła go i odeszła z innym mężczyzną.

- Z początku była słodka jak miód, zarzekała się, że będzie wspierać mnie do samego końca, ale po pewnym czasie nie mogła poradzić sobie z tym, że straciła członkostwo w klubie golfowym, że jej przyjaciółki kupują sobie nowe kreacje, gdy ona wciąż nosi stare, i tak dalej - Cunningham utkwiał wzrok w kuflu z piwem. - Kobieta zmienną jest, mawiał mój ojciec i miał całkowitą rację.

Simon milczał. Myślał o Elizabeth, która niewzruszenie stała u jego boku, z determinacją utrzymując ich mały rodzinny statek na powierzchni wzburzonych wód, lecz także o Neilu Lawrence, który nadal nie mógł zdobyć się na to, aby wyznać żonie, jak wygląda ich sytuacja finansowa. Myślał również o okresie, kiedy zdradzał Elizabeth, i czuł, jak przygniatają go wyrzuty sumienia. Lawrence dzwonił do niego poprzedniego dnia. Był w strasznym stanie.

- Nie wytrzymam tego ani chwili dłużej - powiedział. - Nie jestem w stanie. Wczoraj byłem na lunchu z moim agentem, a potem przez całą noc dosłownie wpatrywałem się w ścianę, zastanawiając się, jak mogłem wpakować się w taką sytuację.

- Ile tym razem? - zapytał Simon.

- Co najmniej trzysta tysięcy funtów. Oba moje domy razem nie są tyle warte. Cały czas męczą mnie mdłości i okropny ból głowy. Nie potrafię myśleć o niczym innym, nie mogę pracować, nie mogę spać, to piekło. Teraz już wiem, jak czują się ludzie, którzy twierdzą, że chcieliby umrzeć... Moim zdaniem, to całkiem rozsądne wyjście z sytuacji.

- Bzdury! - przerwał mu ostro Simon. - Co na to wszystko pana żona?

- Nic jej jeszcze nie powiedziałem - wyznał Neil Lawrence.

Wszyscy byli bardzo podekscytowani spotkaniem, mimo dość przygnębiających prognoz Fiony Broadhurst i jej otrzeźwiającej obecności.

- Uważam, że jest świetna - oświadczyła Flora Fielding. - A ty, Simonie?

- Zrobiła na mnie wrażenie ogromnie sprawnej - przyznał.

W tym momencie pochwycił lekko rozbawione spojrzenie ciemnych oczu Flory. Najwyraźniej dostrzegła i właściwie oceniła jego reakcję na Fionę Broadhurst; nie potrafił jej oszukać.

- Moim zdaniem jest niezła - odezwał się Cunningham. - Oby tylko zdecydowała się wziąć naszą sprawę!

Elise miała słuszość - dzień był długi i męczący. Annabel ledwo trzymała się na nogach. Zrobili dopiero cztery z sześciu ujęć, a już dochodziła siedemnasta trzydzieści.

Sandra, redaktor programu do spraw mody, wdała się właśnie w niegroźną sprzeczkę z Florianem na temat fryzury w następnym ujęciu, gdzie główną rolę odrywała olśniewająca letnia suknia balowa, kiedy



do studia wszedł jakiś mężczyzna. Zdecydowanie atrakcyjny, pomyślała Annabel, przyglądając mu się spod oka. Trochę za stary, chyba już po trzydziestce, ale jednak... Wysoki, krótko ostrzyżony, z ciemnymi oczami o przenikliwym spojrzeniu, ubrany w smoking. W pierwszej chwili przyszło jej do głowy, że to nowy model i dopiero reakcja Sandry wyprowadziła ją z błędu.

- Joel, mój Boże! - wykrzyknęła Sandra, przerywając dyskusję z Florianem. - Jest już tak późno! Jeszcze nie jestem gotowa!

- Nie martw się, masz jeszcze co najmniej godzinę. Byłem na spotkaniu w NatWest Tower i pomyślałem, że zamiast wracać do redakcji, wstąpię tu po ciebie, a przy okazji się dowiem, jak naprawdę wyglądają sesje fotograficzne. Moim zdaniem nieźle się tu bawicie.

- Godzina mi nie wystarczy - powiedziała Sandra. - No, dalej, moi drodzy, bierzemy się do roboty! To jest Joel Strickland, redaktor naszego dodatku stołecznego. Dziś wieczorem mam ceremonię rozdania nagród - obydwoje jesteśmy nominowani - i wydawca zaprosił nas wcześniej na koktajl, więc po prostu musimy wyjść stąd o osiemnastej trzydziści.

- Nie przejmuj się, skarbie - uśmiechnął się Paolo, fotograf. - Jeżeli nawet nie uda nam się skończyć zdjęć do tej pory, to jakoś poradzimy sobie sami. Powiesz nam, na co mamy zwrócić szczególną uwagę, a my zrobimy, co trzeba.

- Dobrze... Joel, tam leżą różne magazyny, w szafce znajdziesz też pewnie wino.

- Nie, wystarczy mi kawa - rzekł Joel Strickland. - Czeką nas długi wieczór, więc lepiej nie zaczynać zbyt wcześnie.

- Zrobię panu kawę! - Annabel zerwała się z kanapy.

Przez ostatnią godzinę nie miała właściwie nic do roboty i czuła się zupełnie niepotrzebna. Wyglądało na to, że Jonty, asystentka Sandry, przejęła jej rolę jako asystentki Floriana.

- Będę bardzo wdzięczny - Joel rzucił jej bardzo miły uśmiech. - Z kim mam przyjemność?

- Jestem Annabel, to znaczy Bel...

- Nie jest pani pewna? Roześmiała się.

- Naprawdę mam na imię Annabel, ale w salonie fryzjerskim, gdzie pracuję, nazywają mnie Bel. Jestem jego asystentką - wskazała Floriana. - Chociaż wydaje mi się, że Jonty lepiej sprawdza się w tej roli.

- Cóż, ja nie mam wątpliwości, z kim wolałbym pracować - znowu uśmiechnął się do niej wesoło. - Możemy mówić sobie po imieniu? Doskonale... Usiądź tutaj i zabaw mnie rozmową, co ty na to? Jak długo masz do czynienia z tymi okropnymi ludźmi?

- Od rana - odparła, zanim zdążyła uświadomić sobie, co powiedziała. - Ale oczywiście oni wcale nie są okropni, przeciwnie, są bardzo mili! A w salonie fryzjerskim uczę się fachu od... Boże, to już osiem miesięcy!

- I podoba ci się ta praca?

- O, tak, uwielbiam ją!

- To dobrze. Tak powinno być, praca powinna sprawiać ludziom satysfakcję. To chyba najważniejsze.

- A ty lubisz swoją pracę?

- Jasne! Trudno znaleźć bardziej fascynujące zajęcie niż dziennikarstwo. Jeździsz, gdzie chcesz, rozmawiasz, z kim chcesz... Teraz siedzę tutaj i rozmawiam z tobą, prawda?

- I zostałeś nominowany do ważnej nagrody. To wspaniale!

- Ale nie dostanę jej, bo konkurencja jest zbyt duża. Tak czy inaczej, mam przed sobą przyjemny wieczór!

- O czym był twój artykuł?

- O oszustwie - odparł. - Soczysty tekst, lecz nie dość mocny. Nagrodę najprawdopodobniej dostanie facet z „The Times”, który pisał o Afganistanie i narkotykowych bossach. To bardziej popularny temat.

- A... przepraszam, może wcale nie masz ochoty odpowiadać na te wszystkie pytania...

Naprawdę ją to interesowało. Poza tym Joel Strickland był bardzo pociągający.

- Skądże znowu! Boże, co oni tam robią?

- Chyba starają się podnieść jej włosy.

- Niesamowite... Poważna sprawa! Pytaj śmiało, Bel, bardzo proszę.

- Czy dziennikarze pracują nad jedną sprawą i dopiero później przechodzą do następnej, czy piszą kilka tekstów równocześnie?

- Cóż, to zależy... Reporterzy zwykle koncentrują się na jednym tekście, ale zdarza się, że w ciągu jednego dnia piszą dwa czy nawet więcej. W naszej gazecie stołecznej mamy dużo krótkich tekstów o codziennych sprawach i jeden główny, duży temat, który ciągniemy tygodniami albo miesiącami. Pisanie takich dużych reportaży wymaga ogromnej uwagi, to niezła zabawa. Jak myślisz, moglibyśmy wypić kieliszek tego wina, o którym mówiła Sandra? Chyba jednak chętnie zacząłbym świętować już teraz.

- Ja nie powinnam pić, przecież jestem w pracy, ale zaraz przyniosę ci wino.

- Niezłe - ocenił Joel po chwili, odstawiając kieliszek. - Nie wiesz, co tracisz... No, nie chciałbym zanudzić cię na śmierć opowieściami o swojej pracy, więc może lepiej powiedz mi coś o sobie, co?

- Och, nie jestem szczególnie interesująca - Annabel pokręciła głową. - W zeszłym roku rzuciłam szkołę i teraz uczę się fryzjerstwa. Mieszkam jeszcze razem z rodzicami.

- Przeszkadza ci to?

- Nie, mamy duży dom, a moi rodzice są w gruncie rzeczy super. Nie wtrącają się w moje sprawy. Nie bardzo podoba im się, że chcę zostać fryzjerką, ale...

- Dlaczego?

- Są rozczarowani, że nie studiuje! Mój ojciec uważa to za coś w rodzaju odstępstwa od religii. Sam skończył Oxford i zależało mu, żebym ja też zrobiła tam dyplom. Na szczęście jest jeszcze mój brat, który na pewno go nie zawiedzie, no i młodsza siostra...

- Ja też skończyłem Oxford i nie mogę powiedzieć, żeby dużo mi to dało - uśmiechnął się. - Mój brat w ogóle nie poszedł na studia i teraz jest właścicielem prężnie rozwijającej się niewielkiej firmy budowlanej, dzięki czemu zarabia niemal trzy razy więcej ode mnie. Możesz powiedzieć to swojemu ojcu. A czym on się zajmuje?

- Pracuje w City, jest w zarządzie jednego z banków.

- Którego?

- Graburn & French.

- Przyzwoita instytucja. Tuż przed Bożym Narodzeniem siedziałem na jakimś oficjalnym przyjęciu obok prezesa Graburn & French. Całkiem miły facet. Ten bank dobrze sobie radzi, co nie jest łatwe w tym klimacie finansowym.

- Tak uważasz? To dobrze... Mojemu biednemu tacie przyda się teraz trochę szczęścia, bo stracił mnóstwo pieniędzy, które zainwestował w Lloyd'sa.

- Naprawdę? - powiedział Joel Strickland, lekko unosząc brwi.

Gillian Thompson wypła filiżankę gorącej, mocnej herbaty, takiej, jaką najbardziej lubiła, następnie wzięła w ramiona ukochanego kota Mustaphę, włożyła go do koszyka i zniosła do May Williams, która także mieszkała w Hampshire, w równie ładnym domku przy tej samej ulicy. Przyjaźniły się od lat. May bardzo lubiła Mustaphę i raz czy dwa zajmowała się nim, kiedy Gillian wyjechała na krótkie wakacje.

- Przepraszam, że nie uprzedziłam cię wcześniej, May, ale dostałem niespodziewaną wiadomość... Mogłabyś zaopiekować się nim przez parę dni? Nie znoszę oddawać go do tego hotelu dla zwierząt!

- Oczywiście - powiedziała May, wyjmując kota z kosza. - Przecież wiesz, że zawsze chętnie goszczę twojego Mustaphę. Dopóki żyję, może u mnie mieszkać.

- Świetnie - uśmiechnęła się Gillian Thompson. - Bardzo mnie to cieszy, naprawdę... Dziękuję ci, May. Nie jestem pewna, kiedy wrócę - nie przeszkadza ci to?

- Skądże znowu! Napijesz się ze mną herbaty?

- Nie, dziękuję. Przed chwilą wypłałam filiżankę i powinnam się już zbierać. Ja... Cóż, jeszcze raz ci dziękuję, May. Do widzenia...

Odwróciła się i odeszła wyłożoną cegłami ścieżką, stukając niskimi obcasikami starannie wypastowanych pantofli.

Gillian Thompson wróciła do swego domku, pozamykała wszystkie okna i ułożyła zwinięty w rulon koc pod drzwiami salonu. Potem wzięła dwie aspiryny i odkręciła gaz. Położyła się na podłodze, jak najbliżej kuchenki, i zaczęła oddychać powoli i głęboko.

# ROZDZIAŁ 14

WIOSNA 1990

Wyglądał strasznie poważnie. Jego oczy błyszczały i przybrały ten twardy wyraz, którego nie cierpiała, ponieważ wtedy nic nie mogła w nich wyczytać. Na dodatek mocno zacisnął wargi i... Nie ulegało wątpliwości, że jest zły. O, Boże... Nie miała pojęcia, co robić.

- Przepraszam - powtórzyła. - Naprawdę bardzo mi przykro.

- Tak, słyszałem.

- Wiem, że powinnam była powiedzieć ci wcześniej.

- Pewnie tak! No, ale - nagle uśmiechnął się i ten uśmiech prawie rozdzielił jego twarz na dwie rozradowane części. - Teraz powiedz to jeszcze raz! No, dalej! Chcę usłyszeć to znowu!

- Będę miała dziecko...

Odetchnęła z ulgą, lęk zniknął. Blue kilka razy potrząsnął głową, zupełnie jakby mimo wszystko nie wierzył własnym uszom.

- Nie nabierasz mnie? - spytał.

- Nie, nie... Przykro mi, że tak cię zaskoczyłam, ale...

- Zaskoczyłaś mnie, to prawda! Jestem oszołomiony. Nie wiem, jak to się mogło stać, bo przecież robiliśmy wszystko, co należy. Dobry Boże, Lucindo, dziecko... Ty i ja... Twoje i moje... Jezu! Jesteś absolutnie pewna?

- Pewna na sto procent. Nie miałam jednej miesiączki... No, właściwie to już dwóch...

- Wiesz, parę dni temu przyszło mi to nawet do głowy. Ale zaraz pomyślałem, że to niemożliwe, zresztą, nigdy nie umiałem dobrze liczyć. Mów dalej...

- I zrobiłam badanie. U lekarza, bo nie mam zaufania do tych testów, które można kupić w sklepie czy aptece...

- Boże! - westchnął. - To nieprawdopodobnie dobra wiadomość, nie uważasz?

- No, tak... Chyba tak... Więc nie jesteś zły?

- Zły? Nie, Lucy, nie jestem zły! Dlaczego miałbym się złościć, na miłość boską? Czemu tak pomyślałaś?

- Sama nie wiem... Przecież nie planowaliśmy tego... I to całkowicie moja wina! Skończyły mi się tabletki, nie wzięłam wcześniej recepty na nowe, a później... Później pomyślałam, że może jestem w ciąży i że w jakiś sposób zaszkodzę dziecku, więc uznałam, że lepiej będzie poczekać do następnej miesiączki i...

- Nie masz za dużo zdrowego rozsądku, prawda, Lucindo? - zagadnął.

- Chyba nie - przyznała pokornie. - Niezbyt dużo...

- I dzięki Bogu! - roześmiał się. - Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz tak mnie coś ucieszyło! Chyba wtedy, gdy zobaczyłem ten cholerny zegarek na twojej ręce! Dziecko... Boże kochany! Chodź tutaj, skarbie, i pocałuj swojego starego!

- Wiesz, co teraz musimy zrobić? - odezwał się Blue.

- Hmm... Powiedzieć naszym matkom?

Leżeli w łóżku. Blue popijał szampana, a Lucinda ciepłe mleko z kubka. Pokręcił głową, wziął ją w ramiona i powiedział, że teraz muszą przede wszystkim zająć się jej rozwodem.

- Nie zamierzam pozwolić, żeby mój syn urodził się w nieformalnym związku - oświadczył. - W żadnym razie!

- Daj spokój, przecież to zupełnie nieważne!

- Dlaczego?

- Po pierwsze, nie uda nam się załatwić rozwodu i wziąć ślubu przed listopadem.

- A to będzie już w listopadzie? - zapytał, wyraźnie zdziwiony. - Boże kochany... Jesteś pewna?

- Tak, w listopadzie. Cięża zwykle trwa dziewięć miesięcy, w każdym razie tak mi się wydaje. Po drugie, to może być dziewczynka...

Długie milczenie.

- Nie - powiedział w końcu. - To niemożliwe. Nie ma takiej możliwości.

- No, dobrze... Cóż, mogę spróbować porozmawiać z Nigelem jeszcze raz, ale nie miałabym zbyt wielkiej nadziei. Nigel zachowuje się tak, jakbym nie istniała.

Były to bardzo ekscytujące cztery miesiące, myślała, leżąc obok śpiącego Blue, z uszczęśliwionym uśmiechem wpatrzona w ciemność. Wszystko zaczęło się w wigilię Bożego Narodzenia, kiedy zadzwoniła do swoich rodziców i powiedziała im, że jednak nie będzie mogła przyjechać. Potraktowali ją dość chłodno, co było do przewidzenia; matka oświadczyła, że pokrzyżuje im to rozmaite plany.

W Nowy Rok Blue zabrał ją na spotkanie ze swoimi najbliższymi.

- Są może trochę trudni - oświadczył. - Muszę cię ostrzec... W niczym nie przypominają twojej rodziny.

- To miła wiadomość - uśmiechnęła się.

I zakochała się w nich, w całej tej hałaśliwej, radosnej, oszałamiająco emocjonalnej bandzie; zdawała sobie sprawę, że uważają ją za bardzo dziwną osobę, i że jeszcze bardziej dziwi ich fakt, iż Blue wybrał właśnie ją. Z początku było jej naprawdę trudno - starała się omijać kwestię swego pochodzenia, była spięta i onieśmielona, i robiła, co w jej mocy, aby nie powiedzieć nic takiego, co można byłoby zinterpretować jako zadzieranie nosa. Z tropu zbiło ją też to, że w domu wszyscy zwracali się do Blue per „Gary” - nie bardzo mogła się do tego przyzwyczaić. Zaczęła się naprawdę denerwować, kiedy dziewięcioletni siostrzeniec Blue, bardzo podobny do wuja, zwłaszcza jeśli chodzi o kształt głowy, utkwił w niej badawcze spojrzenie błyszczących jak koraliki ciemnych oczu.

- Gary mówi, że jesteś bardzo elegancka - oznajmił. - Nigdy nie spotkaliśmy nikogo z eleganckiego towarzystwa. Jak to jest? Byłaś u królowej, i takie tam różne?

- Jason, nie odzywaj się tak do Lucindy! - skarciła wnuka Margo, matka Blue.

- Dlaczego nie? - odezwała się Lucinda, wreszcie czując się prawie swobodnie. - Cóż, jeśli o to chodzi, to nie jestem taka znowu elegancka, Jason...

- Och, nie, skądże znowu - szepnęła Holly, dziesięcioletnia siostra Jasona, parodiując akcent Lucindy.

Ojciec dziewczynki lekko trzepnął ją w ucho.

- Nie zachowuj się beczelnie, Holly! Masz być uprzejma, i tyle! Przepraszam, Lucindo...

- Bardzo proszę, nie każcie im zachowywać się uprzejmie! - powiedziała Lucinda. - Wolę, żeby traktowali mnie normalnie! Nie, Jason, nie zaproszono mnie do królowej, byłam jednak w pałacu Buckingham...

- I widziałaś księżną Dianę? - Holly nie zdołała zapanować nad ciekawością.

- Nie, niestety. Towarzyszyłam mojemu ojcu, który odbierał jakieś odznaczenie. Księżna Diana była pewnie w swoim własnym pałacu. Jest piękna, prawda?

- Tak, a ty jesteś trochę do niej podobna - przyznała z namysłem Holly. - Nie jesteś aż tak ładna, ale jednak trochę podobna.

- Dziękuję! - uśmiechnęła się Lucinda. - To wielki komplement!

- A jaka dobra z niej matka, co? - wtrąciła Margo. - Ma pięknych synów. Wspaniała kobieta, naprawdę tak uważam. Nie wydaje mi się, aby księżę Karol potrafił ją docenić.

- Chyba rzeczywiście nie potrafi - pokiwała głową Lucinda.

- Na dodatek Diana umie się świetnie ubrać. Jest śliczna i elegancka, przy niej cała reszta królewskiej rodziny prezentuje się nie najlepiej.

- Tak, też tak sędzę! I bardzo podoba mi się w tej trochę dłuższej fryzurze!

Później wszystko poszło już jak po maśle.

Spotkanie Blue z rodzicami Lucindy przebiegło znacznie gorzej. Zareagowali na niego w taki sposób, jakby był kosmitą, który niespodziewanie wylądował na Ziemi. Wpatrywali się w niego jak urzeczeni, z twarzami wykrzywionymi w nienaturalnym, chłodnym uśmiechu i było tak przez cały lunch, który ciągnął się bez końca. Ojciec Lucindy zwrócił się bezpośrednio do gościa tylko raz, kiedy zapytał, czy dolać mu wina; matka, najwyraźniej zupełnie zagubiona i niepewna, jak traktować ten związek córki, starała się zachowywać bardziej przyjaźnie - zadała Blue kilka pytań o pracę i rodzinę, chciała wiedzieć, gdzie mieszka, ale wszystko to i tak wypadło boleśnie sztucznie. Poza tym oboje nie bardzo wiedzieli, jak zwracać się do Blue i ostatecznie poprzestali na formalnym „panu Hortonie”. W rezultacie zaraz po podaniu kawy Lucinda podniosła się i powiedziała, że muszą już jechać.

\* \* \*

- Bardzo cię za nich przepraszam - wyjąkała prawie przez łzy, kiedy odjeżdżali. - Są po prostu... Zachowują się po prostu głupio, trudno nazwać to inaczej.

- Nic nie szkodzi.

- Szkodzi, owszem! Byli strasznie nieuprzejmi! I dlaczego?

- Cóż, nie da się ukryć, że złamaliśmy podstawową zasadę - trzymaj się własnego plemienia...

- Twoja rodzina nie potraktowała mnie w ten sposób!

- No, może trochę. To znaczy, lubią cię i w ogóle, ale też uważają, że nasz związek to jakieś dziwactwo. Wszyscy, poza moim tatą, który jest tobą zachwycony i nazywa cię „księżniczką”. Nie mówiłem ci tego, prawda?

- Nie - westchnęła. - Nie mówiłeś. Naprawdę bardzo mi przykro, Blue. Blue zjechał na pobocze.

- Przecież ja kocham cię, nie ich - powiedział. - Szczerze mówiąc, teraz kocham cię jeszcze bardziej.

- Dlaczego? - zapytała z zaciekawieniem.

- Bo zdołałaś wyrosnąć na wspaniałą kobietę. Moim zdaniem, to nie lada osiągnięcie. A teraz pocałuj mnie i przestań się nimi przejmować, dobrze? Skoro ja potrafię z nimi żyć, to ty również.

- Boże, mam nadzieję, że nie dosłownie! - rzuciła, wstrząsając się lekko.

Swoim przyjaciołom powiedziała stopniowo, nie wszystkim od razu. Spora część wzięła stronę Nigela i przestała się z nią widywać. Zabolęła ją to, nie spodziewała się takiej reakcji. Przeżyła wstrząs, nie przypuszczała, że rozłam w małżeństwie może doprowadzić do powstania przepaści także między ich znajomymi. Niektórzy stanęli jednak po jej stronie; była im za to wdzięczna i po pewnym czasie, bardzo zdeenerwowana, przedstawiła im Blue. Generalnie, rzecz biorąc, bardziej przypadł do serca mężczyznom.

- Błyskotliwy facet - pokiwał głową Hugh, narzeczony Katy. - Codziennie przez jego ręce przechodzą grube miliony funtów, to fantastyczne. Nie mam pojęcia, jak udaje mu się podejmować takie ryzyko i nie dostać zawału.

Inni mówili mniej więcej to samo. Lucinda czuła się trochę głupio; zawsze uważała, że praca Blue wymaga dużej inteligencji, ale nigdy nie rozumiała, na czym właściwie polega, a już z pewnością nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest trudna. Teraz patrzyła na ukochanego prawie z podziwem, głęboko poruszona wagą jego zajęcia. Blue nie krył rozbawienia.

- Widzisz, skarbie, człowiek może być całkiem sprytny i nawet nieźle radzić sobie w życiu, mimo że nie chodził do jednej z tych twoich eleganckich szkół! - śmiał się.

Zamieszkali w jego małym domu w Limehouse. Lucinda nadal pracowała w wydawnictwie Harri-sons. Graham Parker mrugnął do niej znacząco, kiedy powiedziała mu o zmianach, jakie zaszły w jej życiu.

- Cieszę się, że wszystko jakoś się ułożyło - rzekł. - Bo muszę przyznać, że trochę się niepokoiłem.

- Dziękuję! - popatrzyła na niego niepewnie. - Co masz na myśli, mówiąc, że wszystko jakoś się ułożyło?

- Najwyraźniej uważasz mnie za kompletnego głupca, Lucindo. Trudno jest nie zauważyć, że ktoś, kto dla ciebie pracuje, ma romans, możesz mi wierzyć. Te przedłużające się przerwy na lunch... I cała masa wizyt u dentysty...

- Och - zarumieniła się gwałtownie. - Och, rozumiem, tak... Dziękuję, że tak cierpliwie to wszystko znosiłeś.

- Nie masz mi za co dziękować. Nie miałem do ciebie pretensji, raczej byłem pod wrażeniem. Dostarczyłaś trochę rozrywki panu w średnim wieku, moja droga.

Lucinda martwiła się o Nigela, dopóki Katy nie poinformowała ją, że porzucony mąż całkiem nieźle sobie radzi.

- Nie musisz się niepokoić, naprawdę! Wszyscy jego przyjaciele troskliwie się nim zajmują. Tylko w zeszłym tygodniu spotkałam go na dwóch przyjęciach.

Lucinda w pierwszej chwili poczuła zawód, zaraz jednak ogarnęła ją ulga. Mimo tego Nigel nadal nie odpowiadał na jej telefony i listy.

- Cóż, teraz będzie musiał coś zrobić - rzekł Blue. - Najwyższy czas uporządkować wasze sprawy, także kwestię pieniędzy.

- Tak, wiem, ale jak to zrobić, żeby cały majątek Nigela nie trafił w łapy Lloyd'sa?

- Nie mam pojęcia - odparł Blue. - Musisz poradzić się jakiegoś prawnika.

Co ja najlepszego zrobiłam, pomyślała Debbie. Na dodatek nawet nie zapytałam go o zdanie... Boże, wpakowałam się w kłopoty. Okropne, straszne kłopoty! Może powinnam się wycofać, powiedzieć, że muszę się jeszcze zastanowić? Ale właściwie dlaczego? Nie robię przecież nic złego, zarabiam pieniądze dla swojej rodziny, mam dla nich więcej cierpliwości, bo jestem bardziej zadowolona z życia.

Nagle podjęta decyzja przestała wydawać się szaleństwem. Nikt nie ucierpiał z jej powodu i...

Drzwi otworzyły się i do pokoju znowu zajrzała Anna.

- Przepraszam, zapomniałam cię zapytać... Kiedy mogłabyś zacząć?

- Zaraz, niech się zastanowię...

Za parę dni zaczynała się wielkanocna przerwa. Debbie uznała, że lepiej będzie poczekać trochę z nowiną. Kiedy dzieci wrócą do szkoły, powie Richardowi, że czeka go jeszcze jeden dzień opieki nad dziećmi w tygodniu.

- Za jakiś miesiąc? - zasugerowała. - Czy tak będzie dobrze?

- Skoro nie ma innego wyjścia... Nie mogłabyś skrócić tego miesiąca o tydzień?

- Postaram się, Anno, naprawdę, ale nie obiecuję!

- W porządku - kiwnęła głową Anna.

- Wielkanoc w Walii, u babci? - zapytała dzieci trzy dni później. - Nieźle, co? Właśnie nas zaprosiła...

- Tak! - wrzasnęli zgodnym chórem.



Debbie zareagowała by rozdrażnieniem, ale przecież była to część jej planu. Bo właściwie trudno powiedzieć, że Flora ich zaprosiła. To jest, tak, zaprosiła, ale dopiero po tym, jak Debbie w dość jednoznaczny sposób podsunęła jej tę myśl.

- No, dobrze - powiedziała Fiona Broadhurst. - Dokładnie przejrzałam całą dokumentację i zastanowiłam się nad tym, co mi przekazaliście, biorąc pod uwagę wszystkie implikacje sprawy. Myślę, że są podstawy do wystąpienia na drogę sądową. Jeżeli macie rację w waszych ocenach i jeśli uda nam się znaleźć dowody na poparcie podstawowej tezy, to możemy przystąpić do rzeczy. Mam tu na myśli wasze podejrzenia, a właściwie przekonanie, że pracownicy Lloyd'sa oraz współpracujących z tą firmą agencji wiedzieli, co się dzieje i mimo tego nadal zachęcali nowych członków do inwestowania. Nie zapominam też o tym, że nie wy pierwsi występujecie z takimi oskarżeniami, muszę jednak zaznaczyć, że to, co od was dostałam, niemal na pewno nie wystarczy. Musimy znaleźć dymiący pistolet.

- Czyli? - zapytał Meyer.

- Potrzebujemy czegoś bardziej zbliżonego do dowodu. Musimy poszukać kogoś, kto powiedział albo zrobił coś, co można by uznać za co najmniej istotne dla sprawy. Mamy przed sobą długą drogę. Moim zdaniem powinniście wspólnie ustalić, na jaki wydatek was stać, wytyczyć górną granicę kosztów, ponieważ to także i mnie pomoże w planowaniu procesu. I jeszcze jedno - jeśli w pewnym momencie zabraknie wam pieniędzy i nie będziecie w stanie ciągnąć sprawy dalej, nie wyobrażajcie sobie, że zacznę się nad wami użalać, bo ja również mam rachunki do zapłacenia.

W pokoju zapanowała cisza.

- Dziękujemy, że poświęciła nam pani swój czas - odezwał się wreszcie Simon. - I za to, że tak skrupulatnie rozważyła pani nasze roszczenia. Jestem zdecydowany pociągnąć to dalej, ale oczywiście mówię teraz we własnym imieniu.

- Dobrze - po raz pierwszy uśmiechnęła się do nich całkiem szczerze. - Mam nadzieję, że pana koleżdy mają takie same odczucia.

Jest naprawdę bardzo atrakcyjna, pomyślał Simon.

- Jeżeli tak jest, jeśli wszyscy podejmiemy taką decyzję, to co dalej? - spytał Meyer.

- Następnym krokiem będzie moja wizyta u eksperta, radcy prawnego, który, jak liczę, potwierdzi moją opinię. Jeśli tak, spotkamy się z nim wspólnie. Uważam, że powinniście osobiście usłyszeć, co będzie miał do powiedzenia. Zależy mi także, aby radca - on czy ona, nieważne - zrozumiał, co czujecie. Nie twierdzę, że będzie to łatwa rozmowa, ale spodziewam się, że powie nam, co musimy zrobić. Chcę uzyskać szczegółowe informacje, dowiedzieć się, kto poinformował was, że ze wszech miar warto wstąpić do tego elitarnego „klubu”, w jaki sposób wam to przekazał, jakim językiem się posługiwał i tak dalej. Potrzebne nam detale, żadne tam pogłoski. Sprawy roszczeniowe to praca zespołowa klientów i ich prawników, więc wszyscy musimy zrobić, co do nas należy, a nawet więcej. Mam nadzieję, że wyrażam się jasno.

- Bardzo jasno - rzekł Meyer. - I muszę przyznać, że bardzo mi to odpowiada. Podoba mi się idea naszej wspólnej pracy, pewnego rodzaju kontroli nad sprawą.

- Doskonale - oświadczyła Fiona Broadhurst. - To praktyczne podejście do problemu, które znacznie ułatwia planowanie. Proponuję, żebyście państwo spokojnie omówili sprawę i wrócili do mnie po podjęciu ostatecznej decyzji, oczywiście w formie pisemnej, dobrze?

Stali na chodniku przed budynkiem, w którym mieściła się kancelaria, i zerkali na siebie ukradkiem. Meyer i Cunningham z niepewnymi minami zapalili papierosy.

- Muszę się czegoś napić - odezwał się wreszcie George Meyer. - Może pójdziemy do jakiegoś pubu i wspólnie zastanowimy się, co dalej.

Ale w głębi serca dobrze wiedzieli, co będzie dalej i co myślą. Pół godziny później Simon zgodził się napisać oficjalne pismo, w którym postanowili zlecić Fionie Broadhurst prowadzenie ich sprawy.

Flora pomyślała, że dobrze się składa, iż rodzina przyjedzie do niej na tę Wielkanoc. Parę dni wcześniej otrzymała sprawozdanie finansowe z Lloyd'sa za ostatni rok i wszystko wskazywało na to, że w przyszłym roku może nie będzie już miała domu, do którego mogłaby ich zaprosić. Poprawka - na pewno nie będzie miała domu, do którego mogłaby ich zaprosić.

Kiedy przejrzała wyniki Lloyd'sa, przeżyła szok. Zrobiło jej się słabo, zabrakło tchu, musiała na chwilę zamknąć oczy. Potem podniosła powieki i zmusiła się do ponownego przeczytania pisma, które dostała.

Była winna firmie Lloyd's 275 tysięcy funtów. Nie miała takiej sumy i nie dysponowałaby nią nawet wtedy, gdyby sprzedała wszystko, co posiadała. Z rozpaczą rozejrzała się dookoła, uświadamiając sobie, co musi stracić, aby nakarmić nienasyconego potwora: dom, oczywiście, jej ukochany dom, przede wszystkim dom. Prawie zmierzyła się już z tą myślą, wiedząc, że tylko cud mógłby ją uratować, kiedy nagle dostrzegła inne rzeczy, których wcześniej nie wzięła pod uwagę, a z którymi także musiała się pożegnać. Stajnie i konie. Długie upalne dni, spędzane w siodle na wrzosowiskach, wśród dzikich kucyków i jastrzębi... Śpiew skowronka... Towarzystwo Tilly i Boya, i cudowne, spokojne wakacje, które spędzały u niej dzieci... Łąki i resztę ziemi, widok Gower, słodkie letnie noce, rozbrzmiewające pohukiwaniem sów i wrzaskami lisów, przepiękne świty, wypełnione śpiewem ptaków, dzikie zimowe krajobrazy, widok czarnych skał nad szalejącym morzem, wycie wichru, próbującego wdrzeć się do domu...

Było to straszne, potworne, przerażające i niesprawiedliwe, tym bardziej okropne, że spowodowane drobnym, nierozważnym aktem hojności ze strony jej męża. I nic, ale to nic nie mogła na to poradzić.

- Wy dranie! - krzyknęła głośno, stojąc na podwórku z listem w dłoni i wygrażając pięścią zachmurzonemu niebu. - Przeklęte dranie!

Boy, kuc Tilly i jej własny ukochany Książę Hal patrzyli na nią ze zdumieniem. Obecność Boya w stajni bardzo cieszyła Florę, podobnie jak przyjaźń, która narodziła się między nią i Tilly, przemiłym, doskonale wychowanym dzieckiem i utalentowaną amazonką. Gdyby nie brak pieniędzy, Tilly i Boy mogliby sporo osiągnąć w lokalnych zawodach, ale cóż... Zgodnie z obietnicą, Tilly i Simon przyjechali po Bożym Narodzeniu. Na dwa pierwsze dni zatrzymali się w najbliższej gospodzie, później zaś, gdy Richard przyjechał z rodziną na Nowy Rok, Flora zaprosiła ojca i córkę do siebie, bo przecież jej wnuki mogły tylko sko-

rzystać na towarzystwie Tilly, a powrót Simona do Londynu wydał jej się idiotycznym pomysłem. Emma uwielbiała Tilly, chodziła za nią wszędzie jak psiak, sprzątała stajnie i bez słowa skargi zamiatała podwórko w lodowatym wietrze, a wszystko to głównie dlatego, że Tilly udzielała jej lekcji jazdy konnej, zachęcała do wysiłku i cierpliwie odpowiadała na niekończące się pytania. Nawet Debbie polubiła Tilly. Flora często się zastanawiała, dlaczego jej synowa jest taka dziwna. Dlaczego nie może być miła, urocza i uступliwa, taka jak... No, taka jak Tilly. Richard miał sporo wad, oczywiście, i Flora nie przymykała na nie oczu; wydawało jej się nawet, że wraz z upływem lat Richard coraz bardziej upodabnia się do swego ojca... Z drugiej strony, ona sama nie była szczególnie podobna do Debbie... Pośpiesznie zdławiła w zarodku myśl, która próbowała wydobyć się na powierzchnię.

- Czy rozmawiam z Simonem Beaumontem?

- Tak, to ja... Kto...

- Panie Beaumont, mówi Joel Strickland. Jestem dziennikarzem, specjalizuję się w sprawach finansowych i pracuję dla „Daily News”.

- Tak?

- Wiem, że jest pan Nazwiskiem w Lloyd'sie.

- To prawda.

- Prowadzę prywatne śledztwo w sprawie pewnych wydarzeń w Lloyd'sie. Zamierzam napisać tekst na ten temat.

- Rozumiem - powoli powiedział Simon. - Jakiego rodzaju tekst?

- Trochę historii, ogólna analiza finansowa, i tak dalej. Osobiście uważam, że firma stara się obecnie tuszować pewne niewygodne kwestie. Chciałbym też uwzględnić aspekt czysto ludzki, mam tu na myśli często dramatyczne historie, stojące za suchymi faktami.

- Na pewno nie chcę stać się bohaterem wzruszającej historyjki, przykro mi. Od kogo dostał pan moje nazwisko i numer telefonu?

- Nie mam zamiaru pisać „wzruszającej historyjki”, jak pan to ujął - rzekł Joel Strickland. - Mogę to panu zagwarantować. A pańskie nazwisko dostałem od pana córki, którą poznałem na sesji fotograficznej. Naturalnie była bardzo dyskretna, ale najwyraźniej sądziła, że może chciałby pan porozmawiać na temat Lloyd'sa.

- Nie, dziękuję za propozycję. Przykro mi, że zmarnował pan przez nią swój cenny czas.

- Nic z tych rzeczy, tropienie wątków reportażu to mój zawód. Gdyby jednak zmienił pan zdanie, proszę do mnie zadzwonić. Podam panu numery, pod którymi można mnie zastać.

Simon odłożył słuchawkę. Będzie musiał pomówić z Annabel - nie życzył sobie, aby rozmawiała o rodzinnych sprawach z obcymi ludźmi, zwłaszcza z dziennikarzami. Mimo wszystko zainteresowało go to, co usłyszał od Joela Stricklanda, nawet bardzo... Niewykluczone, że reporter specjalizujący się w kwestiach finansowych mógł okazać się przydatny.

- Och, ale sztuka! Absolutnie cudowny! Bierz go, Bel, nie zapomnij tylko zmozyć koszulki.

Annabel zerknęła w stronę drzwi. Do salonu wkroczył właśnie najprawdziwszy adonis. Młody, ale nie szczeniak, dwudziestoparoletni, jasnowłosy, wysoki, w lekkim płaszczu z wielbłądziej wełny, w dżinsach i bardzo ładnych brązowych kowbojkach. Absolutnie cudowny, jak powiedziała Carol. Absolutnie. Annabel pomyślała, że nie może pozwolić, aby to чудо wpadło w ręce Carol, o, nie...

Odrzuciła do tyłu grzywę włosów i zdecydowanym krokiem ruszyła w jego stronę. Nawiązała już kontakt wzrokowy i gratulowała sobie, że zwrócił na nią uwagę, kiedy nagle usłyszała głos Susan, recepcjonistki.

- Carol, weź płaszcz od pana Cartwrighta, dobrze? I powiedz Davidowi, że ma klienta... Bel, wydaje mi się, że warto byłoby przemyć podłogę...

- Suka! - syknęła Annabel do ucha Carol.

Koleżanka rzuciła jej swój najśłodszy uśmiech i wyciągnęła rękę po płaszcz przybysza.

- Dzień dobry - odezwała się, zmieniając kierunek uśmiechu. - Jestem Carol, młodsza asystentka. Proszę pójść ze mną, David zaraz przyjdzie.

- Spokojnie, spokojnie! - rzucił Florian, widząc, że Annabel nieco zbyt energicznie zmywa podłogę wokół jego stanowiska pracy. - On nie jest dla ciebie, skarbie, to jeszcze praktycznie dzieciak. Tobie potrzeba dojrzałego, światowego faceta, nie takiego szczeniaka.

Annabel, która dostrzegła, że pan Cartwright został chwilowo pozostawiony sam sobie, pośpiesznie przejechała mopem po podłodze w kierunku jego fotela.

- Przepraszam, może podać panu kawę albo coś innego do picia? - zagadnęła.

Pan Cartwright skupił na niej spojrzenie intensywnie niebieskich oczu i uśmiechnął się.

- To bardzo miło z pani strony! - rzekł z akcentem, w którym Annabel rozpoznała brzęk Starych Amerykańskich Pieniędzy. - Wydaje mi się jednak, że ta druga młoda dama poszła już po kawę dla mnie...

- Proszę bardzo. - Druga młoda dama postawiła tacę z kawą na stoliku ozdobionym wizerunkiem Króliczka Playboya. - Przynieść może jakieś czasopisma? Bel, Florian cię szuka!

Annabel się poddała.

Tego wieczoru powoli mijała hotel Carlton Towers, łakomym wzrokiem patrząc na czekające na postoju taksówki, ledwo żywa ze zmęczenia, kiedy nagle usłyszała znajomy głos. Głos Starych Amerykańskich Pieniędzy.

- Hej, czy to Kopciuszek?

Odwróciła się. Wychodził właśnie z hotelu, całkiem sam, cudownym zbiegiem okoliczności.

- Tak! - odparła. - Tak, to ja. Szukam właśnie mojej wyczarowanej z dyni karety...

Uśmiechnął się, demonstrując idealnie białe i równe zęby, jak to u Amerykanina.

- Nie widzę jej nigdzie w pobliżu. Zaraz, zaraz... Nie mam wprawdzie karety ani niczego w tym rodzaju, ale jadę taksówką na Fulham Road, więc może panią podwieźć? Chyba że kierunek zupełnie pani nie odpowiada?

Annabel pojechałaby z nim nawet do Birmingham, ale postanowiła nie okazywać nadmiernego entuzjazmu.

- Chętnie skorzystam - uśmiechnęła się. - Dziękuję...

- Nie ma za co. - Pomógł jej wsiąść do taksówki i wyciągnął do niej rękę. - James Cartwright - przedstawił się. - Jamie dla przyjaciół...

- Miło mi, Jamie. Nazywam się Annabel. Annabel Cartwright.

- Pracujesz w tym salonie na pełny etat, Annabel?

- Tak, i bardzo mi się tam podoba - odparła, dostrzegając w jego oczach błysk zwykłego w takich okolicznościach zdziwienia. - Oczywiście nie mówię o myciu podłogi, bo akurat to nie jest szczególnie zabawne.

- Czuję się tam trochę jak idiota - wyznał. - W centrum uwagi wszystkich tych kobiet.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła siódma, na ulicach panował duży ruch.

- Straszne! - zdenerwował się nagle. - Na pewno się spóźnię!

- Jesteś umówiony?

- Tak, na drinka z przyjaciółmi moich rodziców. Moja matka już tam jest i oczywiście lada chwila zacznie się denerwować!

- Możesz do niej zadzwonić - podsunęła Annabel. - Za jakieś pięć minut będziemy pod moim domem, mógłbyś skorzystać z naszego telefonu.

- To naprawdę wspaniały pomysł! Naprawdę mógłbym?

- Naturalnie - uśmiechnęła się. - Nie mam nic przeciwko temu, rachunki i tak płaci mój ojciec.

- Dziękuję ci bardzo! Więc... Jak to się stało, że zaczęłaś pracować w salonie fryzjerskim? - zagadnął, wyraźnie uspokojony. - Nie wyglądasz na... na kogoś, kto...

Przerwał, bojąc się popełnić gafę.

- Na dziewczynę, która pracuje u fryzjera? - zaśmiała się Annabel.

- No, tak... Przepraszam, mam nadzieję, że nie zabrzmiało to nieuprzejmie.

- Nie, nie... Tak czy inaczej, niezależnie jak wyglądam, pracuję tam, nie gdzie indziej, i sprawia mi to ogromną frajdę! Naprawdę. Wiem, że robi to wrażenie marnego zajęcia i często takie właśnie jest, ale za rok zostanę stylistką, na czym bardzo mi zależy, i wtedy moje życie zmieni się na lepsze. Zresztą, nawet gdyby przestało mi się to podobać, i tak nigdy nie przyznałabym się do błędu moim rodzicom - zabawnie zmarszczyła nos. - Więc jestem skazana na tę pracę.

- Rozumiem, że twoi rodzice nie są zachwyceni twoim wyborem, czy tak?

- Ale powoli dociera do nich, że może to nie najgorsze wyjście - odparła. - No i przynajmniej coś zarabiam, chociaż na razie są to marne grosze.

Byli już na Bolton Place.

- Tamten dom, na końcu - wskazała Annabel.

- Tutaj mieszkasz? - spytał Jamie, szybkim spojrzeniem omiatając dom.

- Tak, tu mieszkam... Chodźmy. - Chwilę grzebała w torbie. - Chyba nie mam klucza, ale Josie nas wpuści.

- Josie?

- Nasza gospodyni.

- Ach, tak... Proszę chwilę poczekać - polecił kierowcy.

Annabel z lekkim rozbawieniem słuchała rozmowy Jamiego z matką. Najwyraźniej okropnie się jej bał.

- Tak, mamo, wiem, wiem, przepraszam. Wszędzie są straszne korki i... Słucham? Tak, trzeba było, ale... Teraz to nieważne... Będę za jakieś... Chwileczkę, mamo! - zasłonił słuchawkę dłonią i odwrócił się do Annabel. - Jak myślisz, kiedy dojadę na miejsce?

- Och, przy tym ruchu za piętnaście minut, najwyżej...

- Za piętnaście minut - powtórzył do słuchawki. - Przepróż Deirdre w moim imieniu, dobrze? Tak, oczywiście... Na razie, mamo...

- Fiuuu - gwizdnął, z ulgą wypuszczając powietrze z płuc. - Nie jest zachwycona. No, nieistotne. Czy mógłbym jutro zaprosić cię na drinka w dowód wdzięczności? A może na lunch?

- Na lunch? - roześmiała się. - Odkąd pracuję, zdążyłam już zapomnieć, że istnieje coś takiego jak lunch!

- Więc wieczorem? Koło szóstej trzydzieści? Wpadniesz po mnie do hotelu, co ty na to?

- Dobrze, koło szóstej trzydzieści. Wiesz, możesz kupić kwiaty dla przyjaciółki swojej mamy - zaproponowała. - Przy Fulham Road jest znakomita kwaciarnia, koło kina. Taksówkarz będzie wiedział, gdzie to jest.

- Fantastyczny pomysł! - ucieszył się. - Do zobaczenia jutro, w takim razie!

- Do jutra! Przyjemnego wieczoru!

Pomachała mu od progu i z uśmiechem zamknęła drzwi. Wszystko wskazywało na to, że jej Książę z Bajki wreszcie się pojawił.

Alan Richards był bardzo poruszony wiadomością o Gillian Thompson. Krótka wzmianka o jej śmierci znalazła się w prawie wszystkich gazetach - najwyraźniej kiedyś zmarła była dość utalentowaną pianistką koncertową, poza tym od lat uczyła gry na fortepianie dzieci z Hampshire, te, których rodzice nie mogli pozwolić sobie na dodatkowe wydatki, zupełnie za darmo. „Pianistkę i filantropkę znaleziono martwą w jej domu”, pisali dziennikarze, wspominając, że całe miasteczko opłakiwało jej śmierć. Alan zauważył króciutki tekst w magazynie „Sketch”, jadąc do pracy.

Gillian Thompson była biedną, samotną i przerażoną starą kobietą. Co on i jego zwierzchnicy zrobili, aby jej pomóc? Nic, kompletnie nic... Nie mógł przestać myśleć o jej rozpacz i lęku. Z artykułu w gazecie wynikało, że znalazła ją sąsiadka, inna starsza pani, która opiekowała się jej kotem. Alan Richards nawet nie chciał wyobrazić sobie, co musiała przeżyć ta biedaczka. Sprawę badała policja, ponieważ Gillian Thompson nie zostawiła żadnego listu, ale sąsiadka zeznała, że jej zdaniem było to samobójstwo.

„Ostatnio była bardzo przygnębiona i miała poważne kłopoty finansowe, naprawdę bardzo poważne”, powiedziała.

Richards nagle przypomniał sobie Joela Stricklanda i rozmowę, którą odbył z nim w barze przed świętami. Może jednak powinien się z nim skontaktować. Czuł, że jest to winien pannie Thompson. Tak, zrobi to, i do diabła z Normanem Clarkiem. Zajrzał do portfela. Nadal miał wizytówkę Joela Stricklanda.

## ROZDZIAŁ 15

*KWIECIEŃ 1990*

Ludzie są bardzo skomplikowani, myślała Debbie. Nigdy nie wiadomo, jak zareagują... Była już gotowa stoczyć ostrą walkę o swoją karierę zawodową, wygłosić płomienną mowę na temat swoich praw jako człowieka i kobiety, i zwrócić Richardowi uwagę, że powinien respektować te prawa, a nie zmuszać ją do uległości (powtarzała sobie rozmaite argumenty od wielu dni), gdy tymczasem on z uśmiechem powiedział, że nie ma nic przeciwko temu, aby pracowała jeszcze jeden dzień w tygodniu, bo naprawdę polubił zajmowanie się dziećmi i jest bardzo dumny z jej sukcesu.

- Mówiłem ci już, że praca najwyraźniej ci sprzyja - rzekł. - Wyglądasz na dużo szczęśliwszą, Debs! Moim zdaniem wszystko świetnie się układa, a w domu panuje większy porządek niż zwykle.

- Och - wykrztusiła. - Naprawdę tak myślisz? To... To świetnie! Fantastycznie! Dziękuję ci, kochany, naprawdę.

- Nie musisz dziękować - powiedział. - Myliłem się za pierwszym razem i uczciwie przyznaję się do błędu. Wydaje mi się tylko, że trzy dni w tygodniu to dosyć, nie sądzisz? I może jakąś drobną sumę z tych dodatkowych pieniędzy przeznaczylibyśmy na sprzątaczkę, co ty na to? Raz w tygodniu?

Debbie naturalnie zgodziła się bez wahania, pocałowała go i podziękowała jeszcze raz. Nagle przyszło jej do głowy, że Wielkanoc w Walii wcale nie była konieczna, zaraz jednak skarciła się za tę myśl i powiedziała Richardowi, że chciałaby wcześniej położyć się spać, wywołując na jego twarzy nieśmiały uśmiech, który kiedyś uważała za słodki, a teraz za wyjątkowo irytujący, i zabrała się do sprzątanania w kuchni.

Tak czy inaczej, na razie wszystko układało się nie najgorzej. Flora ze zwykłym entuzjazmem zajmowała się dziećmi, co oznaczało, że Debbie i Richard mieli trochę czasu dla siebie, na spacer, czytanie, a nawet rozmowy, których nikt nie przerywał.

Debbie pomogła Richardowi napisać CV.

- Nie myśl, że się wtrącam, ale do naszej firmy przychodzi mnóstwo podań o pracę, i chociaż oczywiście jest to zupełnie inna dziedzina, to w każdej chodzi przecież o to, aby zwrócić uwagę pracodawcy.

Asystowała mu też jako kuchcik, kiedy przygotowywał wielkanocne ciasto dla Flory (niespodzianka!) i generalnie rzecz biorąc, była całkiem zadowolona z życia. Chociaż, oczywiście, sobotni przyjazd

Beaumontów był jej trochę nie w smak. Ta mała, Tilly, okazała się całkiem w porządku, ale zapowiadał się długi festiwal nudnych rozmów o koniach, siodłach, uprzężach i karmie, którym Emma przysłuchiwała się z błyszczącymi oczami, rzecz jasna.

Przyjechali w porze lunchu. Tilly wyskoczyła z range rovera i jak szalona pognęła przez dziedziniec do Boya, a Flora, która wybiegła na powitanie gości, pocałowała Simona w policzek i serdecznie uściskała dziewczynkę. Simon miał zostać na jeden dzień i zostawić Tilly do końca tygodnia. Debbie pomyślała, że od ich ostatniego spotkania wyraźnie schudł, lecz dalej wyglądał jak z reklamy najnowszej kolekcji Ralpa Laurena, z tym cholernym kucykiem do gry w polo na swetrze i tweedowej marynarce.

Zjedli lunch w kuchni. Flora zaproponowała, że po południu wybierze się z Tilly na przejażdżkę.

- Oczywiście możesz jechać sama, kochanie, tylko ty i Boy, ale bardzo chętnie będę ci towarzyszyć.

Tilly ucieszyła się, chyba całkiem szczerze, i obiecała, że po powrocie da Emmie lekcję jazdy, a ta ostatnia zarumieniła się z radości i podniecenia.

- Jak długo tu będziecie? - zapytał Simon.

- Tylko do wtorku - odpowiedziała Debbie.

- Straszna szkoda! - zauważyła Tilly. - Ja zostaję na cały tydzień i mogłabym sporo nauczyć Emmę...

- Przecież Emma może zostać - wtrąciła się Flora. - Nawet jeżeli wy musicie wracać we wtorek. Naprawdę nie możecie później?

- Obawiam się, że nie - odparła Debbie. - W środę muszę być w pracy!

- No, tak, oczywiście... Więc po prostu zostawcie Emmę, będzie mi bardzo miło.

- Och, mamó, zgódź się, błagam cię! Błagam!

- Moglibyśmy przywieźć ją do Londynu - odezwał się Simon. - W niedzielę przyjeżdżam po Tilly, więc to żaden kłopot...

- Co ty na to, Richardzie? - zapytała Debbie.

Richard najwyraźniej nie darzył Simona Beaumonta szczególną sympatią. Debbie trochę z rozba-wieniem, a trochę ze współczuciem obserwowała, jak Simon opowiada dowcipy i rozmawia z Florą, pra-wiąc jej mnóstwo komplementów, i jak żartuje z dziećmi, zabawiając wszystkich obecnych z zupełnie na-turalnym urokiem; doskonale wiedziała, że w głębi serca Richard żałuje, że nie potrafi tak się zachowywać, chociaż pręde-j by umarł, niż się przyznał do tego.

- No, nie wiem... - powiedział teraz. - Czy to nie za duży wysiłek dla ciebie, mamó?

- W żadnym razie! Daj spokój, Richardzie, kiedy tak mówisz, zaczynam czuć się jak zgrzybiała sta-ruszka!

- Co za nonsens! - zaprotestował Simon. - Nie znam drugiej osoby, która miałaby tyle energii, ile ty, Floro!

- Proszę, panie Fielding - uśmiechnęła się Tilly do Richarda. - Tak bym chciała, żeby Emma została tu ze mną. Będziemy się nią bardzo troskliwie opiekować, prawda, Floro?



I w końcu Richard ustąpił.

- Alan, naprawdę uważam, że powinieneś zadzwonić do tego dziennikarza - powiedziała Heather. - Przecież nic złego nie może z tego wyniknąć, a chociaż tej biednej starszej pani nic już nie pomoże, to jednak chodzi także i o innych. Zmobilizuj się i zatelefonuj do niego, nie musisz się nawet przedstawiać, jeśli się boisz.

- Tak, masz rację - pokiwał głową Alan. - Nie pomyślałem o tym.

- Możesz zadzwonić z budki telefonicznej, wtedy na pewno nie zostawisz żadnego śladu.

- Jesteś niesamowita! - popatrzył na nią z podziwem. - Powinnaś pracować dla MI6, skarbie...

\* \* \*

Nigel dwukrotnie przeczytał list Lucindy, zanim w pełni dotarł do niego jego sens, a potem ukrył twarz w dłoniach i rozplakał się. Nigdy by nie przypuszczał, że coś może mu sprawić aż tyle bólu. Lucinda oczekiwała dziecka, dziecka, które przecież tak bardzo pragnął jej dać. Było to straszliwie niesprawiedliwe.

„W tej sytuacji, co na pewno zrozumiesz, zależy mi na jak najszybszym przeprowadzeniu rozwodu - kończyła list Lucinda. - Naturalnie zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby było to dla Ciebie jak najmniej bolesne. Proponuję, żebyś porozumiał się ze swoim adwokatem i powiadomił mnie, czego ode mnie oczekujesz”.

Najbardziej ze wszystkiego chciałby, żeby do niego wróciła - co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. Oczywiście nie taka, jaka była teraz, o, nie... Pragnął tej dawnej Lucindy, ślicznej, słodkiej i kochającej, tamtej, która dawała mu tyle szczęścia i tak wspaniale się nim opiekowała. Dlaczego odeszła, na miłość boską, dlaczego?

- Nie mam żadnego usprawiedliwienia - powiedziała tamtego okropnego wieczoru, gdy dowiedział się prawdy. - Jesteś idealnym mężem, Nigel, a ja zupełnie na ciebie nie zasługuję.

Może jednak wtedy powinien był zdobyć się na wysiłek, pozwolić jej zostać, wybaczyć? Z drugiej strony, wiedział przecież, że nic z tego nie wyjdzie! Nie mógłby kochać osoby, która oszukała go tak strasznie i bezlitośnie...

Nie pamiętał już, jak udało mu się przetrwać te pierwsze tragiczne miesiące, ale jakoś je przeżył. Praca uodporniła go na ból i upokorzenie. Dopóki był w biurze, czuł się bezpieczny; harował bez chwili wytchnienia, codziennie do późna i nikomu nie mówił o odejściu Lucindy. Jediną osobą, której się zwierzył, była jego sekretarka Lydia Newhouse. Lydia pracowała dla Nigela od prawie dziesięciu lat i uwielbiała go bez żadnych zastrzeżeń. Kompletnie nie rozumiała, jak Lucinda mogła zrobić coś tak przerażającego, a także najzwyczajniej w świecie głupiego. Jej oburzenie koło cierpienia Nigela, chłonał je wraz z każdą filiżanką kawy, jaką mu podawała, wraz z każdym nienagannie przepisany kompletem listów, które kładła przed nim na biurku, z każdym łagodnym pytaniem, czy może zrobić coś dla niego, zanim wyjdzie do domu.

Wiosną Nigel zaczął powoli odzyskiwać równowagę. Przywykł już do samotności i wracał, stopniowo, choć nie bez bólu, do kawalerskich nawyków. Nadal często marzył o życiu z Lucindą i nad ranem budził się całkowicie oszołomiony jej zdradą, lecz potrafił już wyobrazić sobie, że może za jakiś czas znowu będzie w stanie cieszyć się drobnymi przyjemnościami.

Było tak aż do teraz, bo teraz przeniósł się na zupełnie nowy poziom surowego, dotkliwego bólu. Na dodatek, okrutnym zrzędzeniem losu, dzień przed otrzymaniem listu od Lucindy dostał od firmy Lloyd's nowe wyniki finansowe, których implikacje były po prostu katastrofalne.

Adwokat Nigela poinstruował Lucinę, aby przelała wszystkie środki na rachunek bankowy, gdzie miały pozostać do czasu, aż Nigel podejmie decyzję, co z nimi zrobić. Nowa sytuacja powstała w rezultacie zdrady Lucindy wytworzyła jednak bardzo konkretne zagrożenie - środki finansowe Nigela nie były już bezpieczne i w każdej chwili mogły wpaść w łapy bezwzględnych, drapieżnych przedstawicieli Lloyd'sa. Prawnicy Nigela doskonale pojmowali gorzką ironię całej sprawy - niewierna żona mogła uratować zdradzonego męża, mogła jednak także zachować się zupełnie inaczej.

Lydia znalazła Nigela przy biurku, płaczącego nad listem Lucindy (otrzymała instrukcje, aby pisała do niego do pracy, nie na adres domowy), przyniosła mu filiżankę bardzo słodkiej kawy i zapytała, czy może coś dla niego zrobić. Emocjonalnie osłabiony faktem, że zastała go w takim stanie, opowiedział jej najnowszy smętny rozdział swojej sagi.

- Nie mogę się z nią zobaczyć, Lydio, nie byłbym w stanie tego znieść. Lydia popadła w zamyślenie i po dłuższej chwili oświadczyła, że jej zdaniem Nigel powinien zgodzić się na rozwód.

- Nie wolno panu dalej tak żyć - powiedziała. - Tę sytuację trzeba do końca rozwiązać, ze względów finansowych i innych! I wydaje mi się, że gdyby zmusił się pan do spotkania z nią twarzą w twarz, znacznie uprościłoby to sprawę.

Nigel wydmuchał nos i pociągnął łyk kawy.

- Dobrze - zgodził się niechętnie. - Umów mnie na spotkanie z prawnikami, Lydio. Porozmawiam najpierw z nimi, może się okaże, że nie będę musiał rozmawiać z Lucindą. Tu jest jej numer telefonu i adres. Bądź tak dobra i napisz do niej, że skontaktuję się z nią po rozmowie z adwokatem. Mimo wszystko wolałbym się z nią nie spotykać, ale zobaczymy, jak to będzie. I masz rację, im szybciej to załatwię, tym lepiej...

Im szybciej, tym lepiej, bo nie chce patrzeć na nią w widocznej ciąży, pomyślała Lydia i jej serce ścisnęło się ze współczucia. Dobry Boże, chętnie powiedziałałaby tej dziewczynie, jakie ma o niej zdanie.

\* \* \*

Kiedy Simon przyjechał z Emmą i Tilly, Richard wybrał się na spacer po Richmond Park. Debbie miała wrażenie, że zrobił to celowo, aby nie spotkać się z Beaumontem. Było to odrobinę żalodne, ale cóż...

Emma od razu zabrała Tilly do swojego pokoju, żeby pokazać jej kolekcję pluszowych koników, a Debbie zaprosiła Simona do kuchni, mocno żałując, że wcześniej nie sprzątnęła. Była przekonana, że dom Simona jest zawsze idealnie czysty.

Gość chwilę chodził po kuchni, podziwiając rzeczy, które Debbie sama lubiła najbardziej - stare dzbanki, kolaże ze zdjęć, oprawione rysunki dzieci, a potem usiadł i wziął z jej rąk kubek z herbatą.

- Przykro mi, że nie mam pysznych domowych ciasteczek, takich jak u Flory - uśmiechnęła się nieśmiało.

- Nie wolno mi jeść ciasteczek, ani pysznych, ani jakichkolwiek innych - odparł. - Mój krawiec zalecił mi surową dietę. Co u ciebie słyhać, Debbie? Kiedy widzieliśmy się ostatnim razem, wspomniałaś, że masz nową pracę. Jesteś z niej zadowolona?

- Bardzo! Chyba aż za bardzo.

- Nie można być za bardzo z czegoś zadowolonym ani za bardzo coś czy kogoś lubić - rzekł. - Dlaczego zresztą nie miałybyś się zachwycać swoją pracą?

- No, mam trochę wyrzutów sumienia, bo przecież zostawiam dzieci i tak dalej...

- To raczej śmieszne skrupuły! - roześmiał się. - Dzieci to twarde stworzenia, zawsze powtarzałem to Elizabeth, kiedy miała podobne wątpliwości. Nie skazujesz ich przecież na życie na ulicy, na miłość boską!

- To jasne, oczywiście... Twoja żona naprawdę też tak myślała?

- Tak, ale ja zachęcałem ją, żeby pracowała dalej, bo w domu byłaby nieszczęśliwa. Obrazek idealnej mamusi, która bez przerwy siedzi w domu, piecze ciasteczka i robi szmaciane laleczki jest mocno przestarzały. Świat bardzo się zmienił, a takie osoby jak ty i Elizabeth mają zupełnie inne potrzeby i nie pasują do wizerunku typowej kury domowej. Byłoby niesprawiedliwe i zwyczajnie złe, gdybyśmy siłą wciskali was w taką formę...

Do kuchni weszły Tilly i Emma.

- Tilly mówi, że muszę pojechać do Walii, kiedy ona będzie tam następnym razem - oznajmiła Emma z szerokim uśmiechem.

- To bardzo miło z jej strony - zauważyła Debbie. - Ale Tilly na pewno chciałaby spędzić trochę czasu tylko ze swoim koniem i przy okazji nacieszyć się spokojem i ciszą.

- Tilly? - Simon uniósł brwi. - Tilly nie miałaby pojęcia, co zrobić ze spokojem i ciszą, prawda, skarbie?

- Och, tato, ty zawsze musisz ze mnie żartować!

- Ależ, kochanie, strasznie cię przepraszam! - zakpił lekko. - No, na nas czas... Powinniśmy jechać do domu, skarbie, bo mama bardzo się za tobą stęskniła.

- Bardzo dziękuję za odwiezienie Emmy - powiedziała Debbie. - I dziękuję, że bawiłaś się z nią przez cały tydzień, Tilly, naprawdę.

- Mamo, wcale się nie bawiłyśmy! Zajmowanie się końmi to ciężka praca!

- Z pewnością - mruknął Simon.

- Nie masz o tym zielonego pojęcia, tato! - oburzyła się Tilly. - Ty tylko przyglądasz się koniom z daleka!

- To fakt. I wcale mi to nie przeszkadza. Debbie, gdybyś chciała, żebyśmy zabrali Emmę do Walii albo przywieźli ją stamtąd, po prostu do mnie zadzwoń. Tu jest moja wizytówka.

Debbie szybko przebiegła wzrokiem jej treść. Simon Beaumont, dyrektor, dział klientów prywatnych, Graburn & French.

- Dziękuję. - Przypięła kartonik do korkowej tablicy. - Naprawdę jestem ci bardzo wdzięczna.

W holu Simon ucałował Emmę i, najwyraźniej pod wpływem impulsu, pochylił się i pocałował w policzek także Debbie.

- Miło mi się z tobą rozmawiało - rzekł. - Do zobaczenia, Debbie!

- Mnie także - uśmiechnęła się. - Do zobaczenia...

Po powrocie ze spaceru Richard natychmiast zauważył wizytówkę Simona.

- Skąd się to tutaj wzięło? - zapytał ostro.

- Simon mi ją zostawił, na wypadek, gdybyśmy jeszcze kiedyś chcieli, aby zawiózł Emmę do twojej mamy albo ją stamtąd zabrał. To bardzo miłe z jego strony, nie uważasz? - odpowiedziała, doskonale świadoma tego, co robi i niezdolna oprzeć się pokusie.

- Nieszczerólnie, skoro i tak się tam wybiera.

Nie ulegało wątpliwości, że Richard jest zazdrosny. Debbie sprawiło to sporą przyjemność; nie pamiętała już, kiedy ostatni raz udało jej się wzbudzić zazdrość w sercu męża.

\* \* \*

Pierwsza randka była idealna. Jamie zamówił koktajle z szampanem w Carlton Towers i zapytał Annabel, gdzie miałyby ochotę zjeść kolację. Zaproponowała „Rumours” w Covent Garden, bo uznała, że ta restauracja może wydać mu się interesująca, poza tym nie będzie zbyt droga, jeżeli musiałyby sama zapłacić za siebie; to ostatnie było jednak mało prawdopodobne, gdyż Jamie robił wrażenie prawdziwego dżentelmena, na dodatek bardzo bogatego. No, w każdym razie jego rodzice na pewno byli bogaci. Jamie powiedział, że przyjechali do Londynu na dwa tygodnie - ojciec miał tu jakieś sprawy do załatwienia, matka uwielbiała zakupy w Europie, a on sam postanowił zrobić sobie krótkie wakacje. Był prawnikiem, „na razie jeszcze na stażu”, ponieważ niedawno skończył Harvard. Jego ojciec także był adwokatem i miał w Bostonie własną kancelarię. Jamie podjął pracę w rodzinnej firmie parę miesięcy wcześniej. Uwielbiał prawo; mówił, że fascynuje go tworzenie ładu z chaosu i poprawianie jakości życia ludzi. Z jego słów wynikało jasno, że uważa swoją pracę za bardzo szlachetne zajęcie. Zupełnie pomijał przy tym konkretne korzyści, jakie praktyka adwokacka przynosiła jego rodzinie.

Rodzice Jamiego mieszkali w pobliżu Beacon Hill, w najlepszej dzielnicy Bostonu, jak powiedział ojciec Annabel. Simon poznał nowego znajomego córki przed drugą randką, kiedy ten przyjechał po Annabel, i od razu go polubił. Jamie był najmłodszym członkiem rodziny Cartwrightów, miał starszego brata

imieniem Bartholomew (zwanego Bifem) oraz siostrę Kathleen - oboje założyli już własne rodziny. Bif również był adwokatem w kancelarii ojca.

- Bif jest wspaniały - wychwalał go Jamie. - To wzór starszego brata. Opiekował się mną od samego początku i nadal to robi. Nie wiem, jak bym sobie bez niego poradził. A jego żona Dana jest bardzo, bardzo piękna... Zajmuje się handlem nieruchomościami i zarabia mnóstwo pieniędzy. Kathleen pracuje w galerii sztuki, jest agentką wielu znanych artystów.

- Mają dzieci?

- Jeszcze nie. Mama się martwi, że ciągle odkładają to na później...

- Dawno wyprowadzili się z domu?

- Dana i Bif są małżeństwem już trzy lata, Kathleen wyszła za mąż dwa lata temu.

- Więc właściwie dopiero zaczynają życie na własną rękę! - powiedziała Annabel. - Prawda? - do-dała pośpiesznie, nie chcąc, aby to zabrzmiało jak niezbyt uprzejma ocena poglądów rodzeństwa Jamiego, czy też raczej ich matki.

- Cóż, wydaje mi się, że Kathleen jest trochę rozdarta - odparł Jamie. - Kocha swoją pracę i świetnie sobie w niej radzi, ale mam wrażenie, że dla młodej kobiety główny cel małżeństwa to dzieci...

- Chyba raczej wspólne życie z osobą, którą kocha - sprostowała delikatnie Annabel. - Matką jest się bardzo długo, w każdym razie tak mówi moja mama.

- Twoja matka to niezwykła osoba. Ma odpowiedzialną pracę i wychowuje dzieci, coś niesamowitego...

- Tak, jest niezwykła, chociaż oczywiście tata zawsze bardzo jej pomagał. Nie chodzi mi o to, że zmieniał nam pieluchy i tak dalej, bo przecież mieliśmy nianie, ale jeżeli, na przykład, mama nie mogła przyjechać na jakąś szkolną uroczystość czy coś w tym rodzaju, zastępował ją i nie robił z tego żadnego problemu.

- Wyjątkowy facet - westchnął Jamie. - Polubiłem go, słowo daję.

- Ja także go lubię - powiedziała Annabel.

Jamie trochę przypominał jej ojca - był uroczy, miły, pogodny. Doskonale czuła się w jego towarzystwie, była naprawdę szczęśliwa.

Kiedy tego wieczoru odwoził ją do domu taksówką, wcześniej zapłaciwszy za kolację, całował ją prawie przez całą drogę. Było to bardzo przyjemne.

- Jesteś cudowną dziewczyną - rzekł, kiedy wreszcie niechętnie wysiadła z taksówki, poganiana uporczywym chrząkaniem kierowcy. - Nie mogę się już doczekać naszego następnego spotkania... Może jutro?

- Jutro? Tak, bardzo chętnie...

Mieli jeszcze cały tydzień dla siebie. Wszystko układało się po prostu wspaniale.

- Przepraszam, czy to pani Cowper?

Tak, to była ona, oczywiście, jeszcze piękniejsza niż poprzednio i ubrana w dużo bardziej seksownym stylu, w spódniczkę nad kolano, odsłaniającą te przepiękne nogi, i wyjątkowo szykowny mały żakiet w ostrym odcieniu różu. Popatrzyła na niego niepewnie.

- Poznaliśmy się na spotkaniu w sprawie Lloyd'sa - podsunął.

- Och, naturalnie! - obdarzyła go cudownym uśmiechem, odrobinę nieśmiałym, odrobinę zalotnym.

- Pan Beaumont, prawda?

- Simon, jeśli można - uśmiechnął się.

- Bardzo mi miło... Mam na imię Lucinda...

Lucinda, tak, teraz sobie przypomniał... Idearne imię dla takiej dziewczyny.

- Cieszę się, że na siebie wpadliśmy - powiedział. - Co robisz w tej części miasta?

- Ja również... Byłam... Umówiłam się tu z kimś na lunch.

- Dobry?

- Tak, świetny, dziękuję! No i pędzę z powrotem do pracy, bo jestem już trochę spóźniona.

- Próbowałam skontaktować się z twoim mężem, omówić z nim pewne sprawy, ale nie odpowiada na telefony - rzekł Simon. - Mogłabyś przekazać mu, żeby do mnie zadzwonił? To dosyć ważne, chodzi o tę sytuację z Lloyd'sem.

- Och... och, to skomplikowane, bo... Cóż, nie jesteśmy już razem i...

- Bardzo mi przykro. - Spojrzał na nią z zaskoczeniem. - To smutne, naprawdę...

- Tak, bardzo smutne.

Chyba jednak nie bardzo, pomyślał, bo wyglądała po prostu znakomicie. Wiele to tłumaczyło. I w gruncie rzeczy nie było takie dziwne.

- Niedługo będę się jednak widziała z Nigelem, więc spróbuję namówić go, żeby do ciebie zatelefonował. Nie wiem tylko, czy mi się uda. Obawiam się, że nie mam wielkiego wpływu na jego decyzje.

- Rozumiem, oczywiście... I dziękuję za dobre chęci. Gdzie pracujesz, Lucinda?

- W Bloomsbury, w wydawnictwie Petera Harrisona.

- Naprawdę? Czy to nie wy wydaliście tę biografię Sorosa? Wpisałem ją na listę prezentów, które chciałbym dostać na urodziny! Słuchaj, dam ci moją wizytówkę, dobrze? Na spotkaniu dałem ją twojemu mężowi, ale mógł zgubić...

- Tak, jasne... Miło mi było znowu cię spotkać, Simon. Do zobaczenia!

I pobiegła, na pożegnanie rzucając mu kolejny olśniewający uśmiech. Z przyjemnością patrzył za nią chwilę, dopóki nie zniknęła w tłumie śpieszących się ludzi.

Catherine Morgan, która właśnie wybiegała z gmachu Graburn & French, zauważyła Simona z Lucindą i poczuła ukłucie zazdrości, na szczęście dość łagodne. Nie mogła rywalizować z urzekającą urodą Lucindy. Po czterech miesiącach pracy dla Simona Beaumonta była w nim lekko zakochana. Nie na tyle, aby cierpieć z tego powodu czy aby to mogło być dla niego kłopotliwe, ale z pewnością na tyle, aby codzienne wyjście do pracy dostarczało jej przyjemnej ekscytacji. Nie widywała Simona codziennie, ale zaw-

sze uśmiechał się do niej miło, pytał, jak się czuje, a jeżeli miał chwilę czasu, jak na przykład przed spotkaniem, które protokołowała, czy w windzie, chciał także wiedzieć, jak radzą sobie dzieci, zwłaszcza Freddie. Na widok jego pełnego uroku, naturalnego uśmiechu Catherine miała ochotę skakać, tańczyć i śpiewać. Wiedziała, że to głupie, że przeżywa coś w rodzaju dorosłej wersji cielejącej miłości, ale dzięki temu uczuciu codzienność, przez ostatnie lata ponura i szara, była łatwiejsza do zniesienia.

W ogóle wszystko układało się lepiej; Freddie bardzo cieszył się z powrotu do Lynton House, a Caroline w ogóle nie narzekała na państwową szkołę St Joseph Fulham. Catherine odbierała Caroline niedługo po zajęciach i zwykle udawało im się dotrzeć do Lynton House tuż przed wyjściem chłopców. Oczywiście zdarzały się też i takie koszarne dni, kiedy jedno z dzieci lub oboje chorowało, ale na szczęście były one rzadkie. Udało jej się znaleźć bardzo miłą opiekunkę do dzieci na dni wolne od szkoły, panią Lennox, która mieszkała parę domów dalej i z przyjemnością zajmowała się Freddiem i Caroline.

Idąc przez Leadenhall Market, Catherine pomyślała, że jej życie w zasadniczy sposób zmieniło się na korzyść. A wszystko to dzięki Simonowi, czarującemu, przystojnemu, dobremu Simonowi Beaumontowi, który patrzył teraz za wsiadającą do taksówki Lucindą z takim wyrazem twarzy, jakby marzył przede wszystkim o tym, aby odjechać razem z tą piękną dziewczyną.

Im więcej Joel Strickland dowiadywał się od odtwórców ról w dramacie firmy Lloyd's, tym częściej myślał o tym, że cała ta sprawa nadaje się na znakomity artykuł. Tyle tylko, że zgromadzenie informacji przychodziło mu z ogromnym trudem.

Telefon od tego biednego przerażonego faceta, który najwyraźniej wyobrażał sobie, że za brak ślepej lojalności wobec firmy trafi do Tower, pomógł Joelowi umieścić we właściwym miejscu kolejny fragment układanki. I chociaż Joel naprawdę szczerze ubolewał nad śmiercią nieszczęsnej starszej pani, nie tracił z oka faktu, że tragiczny zgon zawsze ożywia historię, daje jej bijące serce. Redaktor naczelny odnosił się do całej sprawy raczej bez entuzjazmu - mówił to samo, co wszyscy, a mianowicie, że nikt nie przejmie się losem bandy bogatych, zmanierowanych ludzi, którzy próbują wypłakać się komuś w rękaw, ponieważ stracili część majątku. Początkowo Joel raczej się z nim zgadzał, ale kiedy przekopał się przez rozmaite wersje historii inwestorów Lloyd'sa, szybko zmienił zdanie.

Gillian Thompson, na przykład, nie była ani bogata, ani zmanierowana i, co jasno wynikało z opowieści tamtego gościa, stosunkowo niedawno została Nazwiskiem. Biedaczka... Kto jej to zrobił? Kto zaproponował jej zainwestowanie tak dużej sumy? I kto na to pozwolił, skoro minimalny wymóg kapitałowy wynosił 75 tysięcy funtów, wyłączając wartość rezydencji? Na dodatek, zdaniem wystraszonego młodego człowieka, Gillian Thompson, razem z wieloma innymi ludźmi, została umieszczona w niewłaściwej grupie syndykatowej, grupie wysokiego ryzyka. Joel postanowił umówić się na spotkanie z May Williams, kobietą, która znalazła zwłoki Gillian Thompson.

# ROZDZIAŁ 16

*KWIECIEŃ 1990*

- Co się stało, skarbie? Słuchaj, dobrze wiesz, że łyż są u nas niedozwolone, więc nie rozczulaj się nad sobą. Nakapiesz tylko do tej farby rozjaśniającej i później klientki podadzą nas do sądu, bo chciały być blondynkami, a wyszły z salonu czarne. No, dajże spokój, nie warto tak płakać, naprawdę... Co byś powiedziała, gdybym po pracy zaprosił cię na najwspanialsze kakao na świecie, ze wszystkimi możliwymi dodatkami? Wytrzymaj oczy, już! Ale przecież nie w to, durna suko, nie w mój fartuch!

Annabel uśmiechnęła się, zupełnie wbrew sobie i potarła powieki pięścią.

- Przepraszam...

- No, myślę, że przepraszasz! Powinnaś spojrzeć na siebie w lustrze - z tymi czarnymi kołami wokół oczu wyglądasz jak zmizerowana panda, słowo daję!

- Dzięki serdeczne!

- Nie ma za co, skarbie. O, mój Boże, nadciąga Jej Wysokość we własnej osobie... Miki, kochanie, daj nam dwie minutki, zaraz rozwiążemy ten mały problemik i będę cały do twojej dyspozycji, naturalnie jeśli mnie chcesz...

- Florian, za dwie minutki pani Alexander wyleci z salonu jak rakieta - oświadczył Miki. - Jest wściekła. Leć na górę i spróbuj ją ułagodzić. A ty, Bel, skoro już musisz płakać, to przynajmniej zajmij się tym w wolnym czasie, dobrze? Masz dwie klientki, które czekają na umycie głowy. Nie pozwolę, żeby działały się tu takie rzeczy, to kompletnie nieprofesjonalne zachowanie! Umyj twarz i bierz się do roboty, bardzo proszę.

Annabel naprawdę nie spodziewała się, że tak mocno to odczuje. Znała Jamiego dopiero dwa tygodnie, a rozpaczała, jakby byli razem od paru lat. Cóż, może właśnie to dowodziło, jak ważna była dla niej ta znajomość. Poza tym, zdała najważniejszy egzamin ze wszystkich - poznała jego rodziców.

Spędzili absolutnie cudowny weekend, wspaniałe popołudnie i wieczór w Londynie - dużo koktajli w „Criterion” na Piccadilly (ekstra!), potem kolacja w „Daphne's” (bosko!), a potem... Potem szampan i pieszczoty bez końca w pokoju Jamiego w „Carlton Towers”. Jego rodzice mieli wrócić dopiero następnego dnia, więc Jamie czuł się zupełnie swobodnie. Annabel nie do końca potrafiła zrozumieć, dlaczego dwudziestoczteroletni mężczyzna czuje się skrępowany obecnością rodziców w innym pokoju hotelowym, ale cóż... Powiedział jej, że na razie nie chce seksu, bo to za wcześnie. Annabel była trochę rozczarowana, a trochę zadowolona; dorastała w kulturze, gdzie seks na drugiej randce był rzeczą najzupełniej normalną i oczywistą, więc tak skromne zachowanie wydawało jej się dość dziwne, ale z drugiej strony, nadawało ich związkowi szczególną rangę. Zastanawiała się, czy ze strony Jamiego w grę wchodzi onieśmienie lub nawet lęk, lecz kiedy leżeli na jego łóżku, obserwując wschodzące słońce, wyznał jej, że ma za sobą dwa



poważne romanse i po prostu uważa, iż trzeba być całkowicie pewnym swoich uczuć, zanim zaproponuje się komuś seks.

- Jeśli o mnie chodzi, jest to bardzo poważne zobowiązanie - oświadczył. - Moim zdaniem, nie powinno się traktować tego jak... No, jak coś w rodzaju pocałunku.

Spokojnie zasnęła w jego ramionach, częściowo rozebrana. Była pewna, że kelner, który przyniósł im rano śniadanie, nigdy nie uwierzyłby, że spędzili ze sobą całkowicie niewinną noc.

Potem, w drodze powrotnej z Bath, po kolejnym idealnym dniu razem, kiedy mknęli przez złocisty letni wieczór, nagle poprosił ją, żeby zatrzymała samochód.

- Chciałbym ci coś powiedzieć...

Trochę przestraszona, zjechała na asfaltowe pobocze i z mocno bijącym sercem czekała na ostre, osądzające ją słowa lub na ostateczne pożegnanie.

- Powinnaś wiedzieć, że zakochałem się w tobie - rzekł. - Wiem, że znamy się bardzo krótko, ale jestem tego całkowicie pewny. I muszę zapytać, co ty do mnie czujesz...

- To samo - odparła. - Dokładnie to samo, kochany... Więc wszystko w porządku, prawda?

- Tak! Przyszło mi też do głowy, że moglibyśmy wrócić do hotelu i... I potwierdzić swoje uczucia, skoro oboje jesteśmy przekonani, że to poważna sprawa.

Pozostałą część drogi przebyli z jego dłonią między jej udami; zanim znaleźli się na miejscu, Annabel była w stanie tak intensywnego seksualnego podniecenia, że z trudem siedziała za kierownicą, a jej majtki były nieprzyjemnie wilgotne, tak wilgotne, że obawiała się, czy na cienkiej spódnicy nie powstały plamy.

Właśnie wtedy, gdy trzymając się za ręce wbiegli do holu, rozchichotani jak psotne dzieci i poprosili recepcjonistkę o klucz do pokoju Jamiego, usłyszeli głos. Niski, przeciągający sylaby, trochę ostry głos.

- Ach, wreszcie jesteś, kochanie! Oboje z ojcem zastanawialiśmy się, co porabiasz! Miło spędziłeś weekend? Zjesz z nami kolację?

Była to matka Jamiego.

Robi całkiem miłe wrażenie, pomyślała Annabel, ściskając z obowiązkowym uśmiechem rękę pani Cartwright i starając się stać plecami do recepcji. Żałowała, że nie miała czasu poprawić włosów, nadal wzburzonych po namiętnych pieszczotach na polu pod Bath i może nawet pełnych słomy. Pani Cartwright była uprzejma i urocza, ale odrobinę chłodna; niewątpliwie piękna, w stylu Grace Kelly, nienagannie ubrana i uczesana, i chociaż z pewnością średnio zachwycona widokiem syna w towarzystwie nieznajomej dziewczyny, którą był w oczywisty sposób bardzo zainteresowany, to jednak dość opanowana, aby ukryć nieprzyjemne zaskoczenie i zaprosić Annabel na kolację. Annabel naturalnie przyjęła zaproszenie - nie mogła nagle wymówić się zaplanowanym wcześniej spotkaniem, skoro oboje z Jamiem w dość jednoznacznym celu wybierali się do jego pokoju. Równie dobrze mogliby nosić na czołach neonowe plakietki z napisem: ZA CHWILĘ ORGAZM.

Annabel z największym trudem opanowała się i udała, że wszystko jest w całkowitym porządku, chociaż bardzo cierpiała, wiedząc, że nie będzie mogła bez końca słuchać jego deklaracji miłości, mówić mu, że ona także kocha go całą sobą i po prostu pójść z nim do łóżka, na miłość boską. Jednak właśnie dlatego, że tak bardzo go kochała, dlatego że tak bardzo zależało jej na jego zadowoleniu i zdobyciu sympatii jego rodziców, jakimś cudem spokojnie wysłuchiwała długiej opowieści o wieczorze w Stratfordzie oraz, co ze strony Amerykanów było nieuniknione, paru krytycznych uwag na temat brytyjskich hoteli i porównań z tymi, w których państwo Cartwright zatrzymywali się w Stanach, na przykład z „Bel Air” w Los Angeles.

Kiedy dołączył do nich pan Cartwright, sytuacja znacznie się poprawiła. Wyglądał jak starsza wersja Jamiego, i Annabel z rozbawieniem zajęła się porównywaniem ojca i syna. Cartwright senior także lubił flirtować, oczywiście w jak najlepszym stylu, a jej całkiem się to podobało. A gdy wreszcie długi, długi wieczór dobiegł końca, Annabel bez trudu odgadła, że musi wracać do domu sama i że nie będzie kochać się z Jamiem ani tej nocy, ani przez wiele następnych, bo nazajutrz państwo Cartwright z synem wracali do Bostonu. Jednak jej cierpienia okazały się nie do końca pozbawione sensu, bo koło południa w dzień wyjazdu Jamie nagle zjawił się w salonie fryzjerskim, a Annabel zdołała ubłagać Marcję, żeby wypuściła ją na dziesięć minut. I wtedy, na ulicy, Jamie powiedział jej, że ją kocha i że niedługo znowu się zobaczą. Że wróci do Londynu, a jeśli nie, to ona przyjedzie do Bostonu i zatrzyma się u nich.

- Bo moi rodzice są tobą po prostu zachwyceni - wyznał. - Szczególnie mama... Powiedziała, że jesteś przeurocza! Nie przypominam sobie, aby zachwycała się tak którąkolwiek z moich dziewczyn!

Pocałował ją, szybko, lekko i czule, i już go nie było. Annabel długo stała na ulicy, niepewna, czy ma się śmiać, czy płakać, a w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin robiła i jedno, i drugie, oczywiście na zmianę.

## ROZDZIAŁ 17

*MAJ 1990*

Mdłości nie męczyły Lucindy do dnia, kiedy miała spotkać się z Nigelem, aby omówić kwestię rozwodu. Obudziła się w strasznym stanie, z płaczem, w koszuli nocnej mokrej od potu i poczuła wokół siebie ramiona Blue. Przyłgnęła do niego bez słowa i wtedy zaatakowały ją mdłości; pobiegła do łazienki i kilka razy zwymiotowała.

- Co się dzieje, najdroższa? Musisz mi powiedzieć, na miłość boską! Wracaj do łóżka, wezwę lekarza!

Wszedł za nią do łazienki i stał obok, kiedy klęczała przy muszli klozetowej, sam biały jak ściana. Wydmuchała nos, podniosła się z wysiłkiem i zdołała nawet uśmiechnąć się do niego.

- Wszystko w porządku, nic mi nie jest, zemdliło mnie tylko, to normalne... Miałam zły sen, ale to dlatego, że dziś mam się spotkać z Nigelem i... Przecież wiesz.

- Oczywiście, że wiem! Nie spodziewałem się tylko, że będziesz w takim marnym stanie! Chyba lepiej pójdę tam z tobą.

- Nie - powiedziała ze zmęczeniem. - Nie, Blue. Dla Nigela i tak będzie to wystarczająco trudne. Nie wyobrażam sobie, co poczułby na twój widok.

- No, bardzo ci dziękuję! Tak czy inaczej, bardzo mi się nie podoba, że masz spotkać się z nim sama, zwłaszcza teraz, skoro nie czujesz się dobrze!

Kiedy Nigel zaproponował spotkanie, Blue był absolutnie przerażony, i minęło kilka dni, nim Lucindzie udało się go przekonać do tego pomysłu.

- Nie pozwolę na to, i koniec - powtarzał. - Nie chcę, żebyś rozmawiała z nim sama, beze mnie!

Jego reakcja całkowicie zaskoczyła Lucindę i doprowadziła do jednej z ich rzadkich, lecz niezwykle barwnych kłótni.

- Możesz sobie pozwalać na to albo nie, to bez znaczenia - powiedziała. - To moja decyzja i ja ją podjęłam! I pójdę na to spotkanie! Nie mamy o czym rozmawiać!

Ostatecznie Blue zgodził się, chociaż bardzo niechętnie.

- Bardzo mi się to nie podoba. To nie w porządku. Facet może ci coś zrobić.

- Nic mi nie robi, co za głupstwa! Po prostu cała ta sytuacja jest dla mnie nie do zniesienia, chyba to rozumiesz!

- Musisz pozbyć się przynajmniej części wyrzutów sumienia, Lucy. W przeciwnym razie zwariujesz! Masz przed sobą długą i trudną drogę i...

- Nie rozumiem, dlaczego miałaby być długa czy trudna! Nie zamierzam o nic się z nim wyklócać! Chcę zrobić dla niego wszystko, co w mojej mocy!

- To nie najlepsze podejście do rozwodu - zauważył. - Jeżeli nie będziesz ostrożna, jego adwokat przerobi cię na kotlet mielony!

- Proszę bardzo, może przerobić mnie na cokolwiek! Nie chcę nic od Nigela, nic! Chcę mu tylko pomóc! Niestety, nie bardzo mogę, i głównie dlatego tak fatalnie się czuję!

Znowu zaczęła płakać.

- Naprawdę będzie lepiej, jeśli pójdę tam z tobą - westchnął. - Miałas kiedyś do czynienia z prawnikami, Lucy?

- Nie! Tylko wtedy, kiedy kupowaliśmy mieszkanie. No i kiedy Nigel przepisał na mnie te pieniądze, musieliśmy wtedy pójść do kancelarii prawnej i podpisać parę dokumentów, związanych z bardziej skomplikowanymi kwestiami.

- Tak myślałem. Adwokaci to pieprzone sępy, skarbie. Zarabiają na każdej minucie, jaką ci poświęcają, więc im więcej czasu, tym lepiej, oczywiście dla nich. Bez przerwy patrzą na zegarek i liczą pienią-

dze, więc naprawdę uważaj, złotko. Szkoda, że nie pozwoliłaś mi poszukać jakiegoś sprytnego gościa, bo ktoś taki przydałby ci się znacznie bardziej niż ten głupek, który zajmuje się sprawami twojego ojca.

- To nie jest głupek! - zaprotestowała Lucinda. - Nie mów tak! Ciągłe ci powtarzam, że... O, Boże, chyba znowu będę wymiotować.

\* \* \*

Wiadomość była naprawdę wstrząsająca. Elizabeth zadzwoniła po wczesnym spotkaniu i spokojnym, trzeźwym głosem przekazała ją Simonowi: Neil Lawrence celowo przedawkował środki nasenne i został przewieziony do szpitala, na oddział intensywnej terapii. Simon stał w holu, głęboko poruszony i przerażony.

- Możemy coś zrobić? - zapytał.

- Nie wiem... Jego żona jest przy nim. Lekarze nie wiedzą, czy Neil przeżyje. To ona go znalazła, biedactwo. Ktoś zadzwonił do agencji i...

- O, Chryste... Zadzwoń do ciebie później, dobrze? Daj mi znać, jeśli się dowiesz czegoś nowego! Niepewnym krokiem poszedł do kuchni i usiadł przy stole. Annabel popijała sok pomarańczowy.

- Jesteś okropnie blady, tato! - objęła go. - Co się stało?

- Nic, kochanie, nic ważnego...

Jak mógł powiedzieć jej, swojemu ukochanemu dziecku, któremukolwiek ze swoich ukochanych dzieci, że człowiek zmagający się z takimi problemami jak on sam, że strata wszystkiego, co posiadał, targnął się na własne życie... Że przerażenie i wstyd doprowadziły go do takiego stanu, że nie był w stanie ocenić, jaki wpływ wywrze jego krok na życie żony i dzieci.

Później, kiedy Annabel wyszła do pracy, zadzwonił do George'a Meyera.

- Jeden z moich przyjaciół, nie, raczej znajomy, próbował zabić się wczoraj wieczorem. Zażył tabletki nasenne. Po szyję tkwi w długach, jest winien pół miliona funtów, nie miał już żadnej nadziei, ukrywał wszystko przed żoną i najwyraźniej w końcu się załamał... Miły facet, bardzo go lubiłem.

W słuchawce długą chwilę panowała cisza.

- Wyobrażasz sobie, że mógłbyś zrobić coś takiego? - odezwał się wreszcie Meyer.

- Nie, w żadnym razie! Podejmując taką decyzję, pozwoliłbym im wygrać, prawda? Jezu, ciągle się zastanawiam, czy mogłem coś dla niego zrobić, pomóc mu w jakiś sposób... Kiedy to się skończy, George?

- Bóg jeden wie - odparł Meyer. - Wątpię zresztą, czy jest tym bardzo zainteresowany.

- Wiesz co? - rzekł Simon. - Porozmawiam z tym dziennikarzem, o którym ci mówiłem. Ludzie powinni wiedzieć, jaka to paskudna sprawa!

\* \* \*

Tim Allinson doszedł do wniosku, że nadszedł czas, aby przeprowadzić się na południe Francji. Właściwie podjął tę decyzję już wcześniej, ale sądził, że wytrzyma w Anglii jeszcze jeden letni sezon i dopiero potem sprzeda wszystko i wyjedzie. Miał co sprzedawać - mieszkanie w Pelham Crescent było

całkiem sporo warte, nie wspominając o cennych obrazach i meblach. I za to wszystko Allinson mógł podziękować Lloyd'sowi, a dokładnie syndykatoowi Westfield Bradley...

Zawsze uwielbiał Niceę, a także Antibes, przepiękne miejsce, gdzie w restauracjach podawano najlepsze ryby na świecie; był tam również Hôtel du Cap, z którym, zdaniem Tima, niewiele innych mogło się równać. Było go stać na przejście na emeryturę, owszem. Miał trochę inwestycji, a poza tym na południu Francji zawsze kręciło się mnóstwo bogatych wdówek, więc kto wie... Tak czy owak, atmosfera w Anglii zrobiła się ciężka. Allinsonowi nie bardzo się spodobało, kiedy w poprzedni weekend gospodarz przyjęcia, na które został zaproszony, powiedział mu, oczywiście w bardzo uprzejmy sposób, żeby przestał naganiać klientów Lloyd'sowi.

- Wszystko to bardzo pięknie, stary, ale inwestowanie w Lloyd'sa nie jest już tak bezpieczne jak dawniej - usłyszał Allinson. - Osobiście radziłbym wszystkim obchodzić Lloyd'sa z daleka, bo słyszałem kilka nieprzyjemnych historii o poważnie zawiedzionych udziałowcach i inwestorach.

Tim oświadczył, w umiarkowany sposób manifestując oburzenie, że Lloyd's jest równie bezpieczny jak Bank of England, i że tylko rozmawiał o inwestycjach z Mickiem Bridgemanem, bynajmniej niczego mu nie sugerując. Podkreślił, że nigdy by się do czegoś takiego nie posunął, bo zawsze podejmuje rozmowy z ewentualnymi klientami na oficjalnym gruncie, ale jednak krytyczna uwaga dobrego znajomego mocno go poruszyła. Nie chciał dać się przyłapać bez gaci, jak to mówią, zwłaszcza że jego gacie były bardzo drogie. Postanowił więc znaleźć sobie jakieś inne zajęcie, najlepiej równie intratne. Na przykład uwodzenie bogatych wdówek.

Michael Booker, jeden z agentów związanej z Lloyd'sem firmy Jackson & Bond z przyjemnością przyjął zaproszenie na lunch od Simona Beaumonta.

- Chciałem po prostu omówić z tobą parę spraw - oświadczył Beaumont. - Niedługo pojawią się przecież nowe raporty finansowe, prawda? Zaprosiłem też George'a Meyera...

- Doskonale, będzie mi bardzo miło!

Simon zarezerwował stół w restauracji „Simpsons” na Strandzie. Był tam dobrze znanym klientem, więc mogli liczyć na dobrą obsługę i bardzo dobry lunch. On i George przyszli przed Bookerem i zamówili tylko dżin z tonikiem, lodem i cytryną.

- Musimy być kompletnie trzeźwi - powiedział Simon.

Booker zjawił się parę minut później. Był wysoki, ciemnowłosy, z lekką nadwagą, ubrany w świetnie skrojony garnitur, który prawie maskował jego tuszę. Podeszedł do stolika z uśmiechem i wyciągniętą ręką.

- Bardzo się cieszę, że mogę spotkać się z wami oboma - oznajmił z entuzjazmem.

Dobry Boże, ci ludzie są niesamowici, pomyślał Simon. Mają skórę grubszą niż nosorożec.

- Co ci zamówić, Michael? - zapytał. - My pijemy dżin z tonikiem, odpowiada ci to?

Booker przytaknął. Jadł jak koń - ostrygi, pieczeń wołową z piwnym ciastem, bardzo słodkie ciasto z karmelem. I gadał jak najęty, kłapiąc szczękami i często demonstrując jeszcze nieprzełknięte fragmenty dań. Z serów zrezygnował.

- Powiniennem uważać, bo ostatnio trochę przytyłem - rzekł. - No, jak tam, moi drodzy? Wszystko w porządku? Chcieliście pogadać o jakichś konkretnych sprawach?

Simon, który pozwolił sobie tylko na jeden kieliszek doskonałego wina Merlot, odparł, że spraw jest kilka.

- Kiedy dostaniemy plan finansowy na następny rok? - spytał.

- No, tak - zaczął Booker. - Dobry stary Lloyd's, co?

Boże, pomyślał Simon, może powie nam, że jest lepiej i wreszcie wszyscy będziemy mogli złapać oddech.

- Jak zwykle punktualny - ciągnął Booker. - Plan będzie na początku kwietnia, z całą pewnością.

- I... Masz może dla nas jakieś wiadomości?

- Dla was? Cóż, obawiam się, że niezbyt dobre... No właśnie... - Jego twarz, zaczerwienioną po merlocie, pokryły drobne kropelki potu, nie był to przyjemny widok. - Raczej nie... W tym roku notowania Westfield Bradley poważnie spadły, nie ma co ukrywać...

- Zupełnie inaczej niż w ubiegłym roku, prawda? - rzucił sucho Simon.

- Słucham? Ach, no tak... To fakt. Grupa Westfield Bradley przeżywa ciężkie chwile, tak...

- To coś więcej niż chwile, Michael - przerwał mu George. - Zła passa trwa już od dłuższego czasu!

- Fakt... Ale właśnie dlatego cieszę się, że mogę dzisiaj z wami porozmawiać... Nie chciałbym, żebyście w pośpiechu sprzedawali swoje domy czy podejmowali inne trudne decyzje.

- Trochę się z tym spóźniłeś, niestety - powiedział Simon. - Obaj sprzedaliśmy już domy. Co prawda ja mam jeszcze dom w mieście...

- Och, to dobrze, stary! I staraj się go za wszelką cenę zatrzymać!

- Tak - skrzywił się lekko Simon. - Chciałbym go zatrzymać, to chyba jasne, ale sytuacja staje się coraz trudniejsza. Zastanawiam się, co robić.

- Przecież wiesz, że zawsze możesz ze mną pogadać!

- To bardzo krępujące, naturalnie, ale szczerze mówiąc, mam wrażenie, że nie możemy rozmawiać zupełnie otwarcie, nie narażając cię na sytuację, w której twoja lojalność zostanie wystawiona na szwank.

- To niemożliwe, Simon! Zresztą, nie bardzo rozumiem...

- Zaraz ci to wyjaśnię. Na przykład w liście do mnie, z listopada ubiegłego roku, wykazałeś jasno, że wsparcie dla syndykatu Westfield Bradley w latach 1986-87 spadło o jakieś siedemdziesiąt procent, czyli ponad 300 milionów funtów. Mimo tego mój udział w tej grupie ograniczyłeś tylko o dziesięć procent. Dlaczego natychmiast nie wycofałeś moich pieniędzy z tej inwestycji?

- Mój drogi, mieliśmy poważne obawy, że jeśli wszyscy zaczną się wycofywać, syndykaty poniosą jeszcze większe straty! - oświadczył Booker z nutką oburzenia w głosie. - Tymczasem najważniejszą sprawą jest podtrzymanie operatywności syndykatów, dla dobra nas wszystkich!

Przez dobre dwadzieścia sekund wpatrywali się w niego w milczeniu.

- Brak mi słów, Michael - odezwał się wreszcie Simon. - Potwierdziłeś właśnie moje najgorsze obawy.

Booker opuścił restaurację zaraz potem. Kiedy wyszedł, Simon zamówił jeszcze jedną butelkę merlota.

- I co o tym myślisz? - zapytał. - Mamy dowód czy nie?

- Nie jestem pewny - rzekł Meyer, wyjmując notes z kieszeni. - Rozumiem, o co mu chodziło, kiedy mówił o podtrzymaniu operatywności syndykatów, ale najlepiej będzie, gdy zapiszemy każde słowo i prześlemy całość pani adwokat Broadhurst.

Uzgodnili, że spotkają się w holu hotelu Selfridges o czwartej po południu. Lucinda powiedziała, że to idealne miejsce, ponieważ panuje tam spokój i hotel znajduje się w połowie drogi między jej biurem i pracą Nigela.

Punktualnie o czwartej oboje znaleźli się na schodach; wymienili słabe uśmiechy i przywitali się krótko, następnie usiedli na jednej z niskich, krytych kwiecistym kretonem kanap i zamówili herbatę.

- I rogaliki! - Lucinda uśmiechnęła się do kelnera. - Rogaliki z odrobiną truskawkowego dżemu „Little Scarlet”, jeśli można... Lubisz rogaliki, prawda, Nigel?

Z trudem skinął głową.

Ból był tak dotkliwy, że Nigel o mało nie stracił przytomności. Siedział i patrzył na nią, taką śliczną, z jasnymi włosami ściągniętymi w koński ogon, z dużymi niebieskimi oczami, utkwionymi z czułością, choć także ze sporym zdenerwowaniem, w jego twarzy. Przypominało to szczególnie wyrafinowane tortury. Na razie nic nie było po niej widać, dzięki Bogu... Chyba nawet była szczuplejsza niż tamtego wieczoru, kiedy się rozstali. Kiedy skonstatował ten fakt, poczuł się odrobinę lepiej. Alternatywa byłaby nie do zniesienia.

- Wyglądasz - zaczął niepewnie. - Dobrze wyglądasz... Każde słowo przychodziło mu z niezwykłym wysiłkiem.

- Dziękuję. Ty także.

- No, tak... Ostatnio często wyjeżdżam na weekendy do Norfolk. Świeże powietrze i tak dalej, wiesz, jak to jest...

- Tak... To bardzo dobrze... Och, byłabym zapomniała, Simon Beaumont, ten miły człowiek, którego poznaliśmy na spotkaniu w sprawie Lloyd'sa, prosi, żebyś do niego zadzwonił.

- Dlaczego rozmawiałaś z Simonem Beaumontem?

- Przypadkiem wpadłam na niego w zeszłym tygodniu. W City... Nigel wiedział, co robiła w City - umówiła się na spotkanie z Tamtym.

Skrzywił się, jakby ktoś ukłuł go igłą.

- Nie mam mu nic do powiedzenia - oświadczył. - Proces przeciwko Lloyd'sowi to ostatnia rzecz, na jaką mogę sobie w tej chwili pozwolić!

- Rozumiem, oczywiście... Ja... Zadzwoń i powiem mu... Zresztą, to nieważne...

Uśmiechnęła się do niego. Miała piękny, słodki uśmiech, jak zwykle...

- Musimy porozmawiać, Lucindo.

- Tak, wiem... Nie jesz rogalika.

- Nie mam ochoty na tego cholernego rogalika! - Nigel sam usłyszał gwałtowną nutę w swoim głosie.

- Przepraszam - powiedziała. - Przepraszam, Nigel.

- Nie przepraszaj, nie ma za co. Zastanówmy się lepiej, co robić... Jak to wszystko rozegrać. Mój adwokat mówi, że musimy zdecydować, które z nas wystąpi z pozwem o rozwód.

- Rozumiem.

- Pewnie już o tym z kimś rozmawiałaś.

- Nie, jeszcze nie... To znaczy, tylko... tylko z rodziną.

Oczywiście miała na myśli Jego. Człowieka, o którym Nigel nie mógł nawet myśleć.

- Ale nie z prawnikiem? - zapytał.

- Nie. Pomyślałam, że najpierw zorientuję się, jak ty to widzisz i dopiero potem zgłoszę się do adwokata. Zrobię wszystko, żeby ci pomóc, przynajmniej tyle mogę.

- Tak pomyślałaś? - przerwał jej zimno.

- Przepraszam - powiedziała znowu. - Jest mi strasznie przykro, naprawdę. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

- Ciągłe to powtarzasz!

- Wiem, jakie to straszne. Jak ci jest ciężko.

- Wcale nie!

- No, tak... Więc może wcale nie jest ci ciężko.

- Jest mi cholernie ciężko! - wykrztusił. - Ciężej niż potrafisz sobie wyobrazić! Dlaczego to robiłaś?! Jak mogłaś?! Dlaczego nie przerwałaś tego zaraz na początku, zanim... zanim... Och, do wszystkich diabłów!

Zaczął płakać. Czuł, jak łzy spływają mu po nosie i potwornie wstydził się swojej słabości. Siedział obok niej, pozornie opanowany i spokojny, zdecydowany omówić szczegóły rozwodu, i nagle rozplakał się jak dziecko. Wyjął chusteczkę, wydmuchał nos i pośpiesznie wytarł oczy.

- Przepraszam - powiedział. - Przepraszam cię...

- Och, mój drogi...

Podniósł wzrok, bo usłyszał, że głos jej się łamie i zobaczył, że ona także płacze, że łzy lecą jej po policzkach jak groch.



- Nie przepraszaaj, nie przepraszaaj mnie - wyszeptala. - Tak mi wstyd, ze cię zraniłam, ze przeze mnie jesteś nieszczęśliwy.

Przysunęła się do niego, otoczyła go ramionami, a on przylgnął do niej, choć wiedział, że to bez sensu, ale jednak przez chwilę był szczęśliwy, bo czuł jej ciepło, jej zapach i nadal kochał ją, tak bardzo, tak mocno.

- Przepraszam - powtórzył.

Cofnął się szybko i jeszcze raz wytarł oczy.

- Nic mi nie jest, naprawdę - podjął. - Ciekawe, czy... Ciekawe, czy o tej porze można zamówić tu drinka.

- Na pewno można, przecież to hotel, na miłość boską! - Lucinda ruchem ręki przywołała kelnera. - Chcielibyśmy zamówić... Na co masz ochotę, Nigel? Na whisky?

- Nie, brandy - odparł. - Podwójną. A ty?

- Ja nie, dziękuję... Nie...

Pomyślał, że powie: „Nie powinnam”, i z tak wielkim wysiłkiem oderwał myśli od powodu, który mogłaby podać, że nagle zakręciło mu się w głowie.

- Ja... Nigel, zanim zaczniemy rozmawiać o rozwodzie, musimy ustalić, co z pieniędzmi. Co z Lloyd'sem? Strasznie mnie to niepokoi, bo wiem, że sytuacja wcale się nie poprawia.

- Mnie też. - Pociągnął duży łyk brandy. - Wiesz, czego się dowiedziałem? Adwokat powiedział mi, że nawet gdybym zbankrutował dwa lata po przelaniu tamtych pieniędzy na twoje konto, Lloyd's i tak rościłby sobie do nich pretensje, więc nie było to szczególnie sprytne posunięcie.

- Och, to straszne! Co za okropni ludzie! A gdybym tak oświadczyła w sądzie, że te pieniądze należą mi się w ramach rozwodu i później ci je oddała?

- Nie żartuj! - powiedział. - Natychmiast by się zorientowali, o co chodzi! Tak czy inaczej, nie chcę cię urazić, ale chyba raczej nie mogłabyś domagać się ode mnie pieniędzy, bo to ty ponosisz winę jako strona w procesie rozwodowym...

Po raz pierwszy tego dnia uśmiechnął się naprawdę szczerze.

- Tak, oczywiście, wiem... Tylko żartowałam... Może jednak... - zamilkła na moment, myśląc o Blue i o tym, co mówił rano. - Może jednak da się coś wymyślić. Prawnicy są bardzo, bardzo sprytni, wymyślają rozwiązania, które nam w ogóle nie przychodzą do głowy.

- Mój prawnik wcale taki nie jest - wyznał ponuro Nigel. - A twój?

- Zamierzałam zgłosić się do adwokata taty, ale teraz... Może poszukam kogoś naprawdę bystrego, kto znalazłby jakieś wyjście z tej sytuacji.

- To niemożliwe, Lucinda. Sam jestem sobie winien i teraz muszę płacić. Jeżeli skończę jako bankrut, co wydaje się całkiem prawdopodobne, to po prostu będę musiał sobie jakoś poradzić, poszukać pracy w sklepie czy coś takiego... Przeprowadzić się do czynszowego mieszkania...

- Chyba nie stracisz domu, prawda?

- Wszystko może się zdarzyć, mogę stracić wszystko, do ostatniej spinki do mankietu, jak mówią w Lloyd'sie, kiedy zostajesz Nazwiskiem...

Niewykluczone, że będę musiał sprzedać nawet złote spinki z brylantami, te po dziadku Cowperze.

- Co to, to nie! - oświadczyła zdecydowanie.

Brylantowe spinki po dziadku Cowperze wydały jej się nagle symbolem osobowości Nigela, choć może było to śmieszne. Spinki były jego dziedzictwem, symbolem jego pochodzenia, jego korzeni. Tyle razy pomagała mu je zapinać, kiedy wychodzili gdzieś wieczorem. Nigel uwielbiał je i był z nich bardzo dumny.

- Nie sprzedasz ich - powtórzyła. - Ani spinek, ani domu, ani farmy w Norfolk! Wymyślimy coś, przyrzekam ci! Nie mam pojęcia co, ale...

Po spotkaniu wróciła prosto do domu. Była zmęczona. Blue czekał na nią, blady, prawie siny, popijając whisky.

- Wszystko w porządku? - zapytał. - Dobrze się czujesz? Nie wymiotowałaś więcej? Jak on się zachował? Co mówił? Mam nadzieję, że ci nie dokuczył, bo...

- Och, Blue, zamknij się - powiedziała ze znużeniem. - Wiesz, dziś rano nie miałam racji. Chciałabym jednak porozmawiać z jakimś sprytnym adwokatem, i to jak najszybciej. Pomóż mi znaleźć takiego, dobrze?

## ROZDZIAŁ 18

*MAJ 1990*

Richard oznajmił, że wyjeżdża na trzydniową konferencję dla nauczycieli.

- To interesująca propozycja, poza tym powinna trochę poprawić wygląd mojego CV. Sama mówiłaś, że nie robi najlepszego wrażenia. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że jest środek semestru i będzie ci trochę trudno, ale inne pracujące matki pewnie jakoś radzą sobie w takich sytuacjach. Niemożliwe, żeby wszystkie miały mężów nauczycieli...

Uśmiechał się, ale w jego głosie brzmiała odrobinę zjadliwa nuta. Debbie pomyślała, że w żadnym razie nie poprosi go, żeby nie jechał. Nie miała najmniejszego zamiaru stwarzać wrażenia, że jej praca może być dla niego jakkolwiek przeszkodą.

- Wszystko będzie w porządku, naturalnie - odparła. - Jest mnóstwo osób, które w razie czego mogę poprosić o pomoc, w ostateczności nawet jedną z naszych babysitterek.

- Niezbyt podoba mi się ten pomysł - pokręcił głową. - Nie wyobrażam sobie, żeby jakaś uczennica poradziła sobie z dziećmi przez większą część dnia, to jednak trochę co innego niż wieczór.

- Myślałam o jednej z dziewczyn z liceum, one świetnie poradzą sobie nawet przez cały dzień. Tak czy inaczej, nie musisz się tym martwić.

- Postaram się - rzekł i wyszedł z pokoju.

Mimo wszystko nadal byli szczęśliwi i zadowoleni; dodatkowy dzień pracy Debbie nie stał się przyczyną żadnych trudności, udało jej się także znaleźć sprzątaczkę, która, co prawda, okazała się średnia, ale jednak...

Flora zaproponowała, żeby dzieci przyjechały do niej na przerwę semestralną.

- Będzie ci ciężko - powiedziała. - Przecież pracujesz, a skoro Richard zdecydował się na ten kurs...

- No, tak...

Czy istniało coś, o czym Richard nie rozmawiał z matką? Boże, ależ ją to irytowało.

- A co z letnimi wakacjami? - ciągnęła Flora. - Nawet jeżeli na jakiś czas pojedziecie na wycieczkę z przyczepą campingową po Francji...

- Nie miałam pojęcia, że wybieramy się na wycieczkę po Francji - wtrąciła Debbie.

- Och, kochanie, przepraszam. Richard wspominał mi o takiej możliwości, ale może chce zrobić ci niespodziankę. Jak mogłam być taka głupia...

- Nie, nic się nie stało - uspokoiła teściową Debbie. - Może rzeczywiście pojedziemy do Francji. A jeśli chodzi o przerwę semestralną, to by mi naprawdę rozwiązało ręce... Dziękuję. Jedno z nas przywiezie dzieci.

- Świetnie. I może zostanie na dzień czy dwa... Będzie też Tilly, a Emma ją uwielbia, więc w domu zaroi się od dzieci... Dla mnie to prawdziwa przyjemność. Do zobaczenia, Debbie, daj mi znać, kiedy przywieziecie dzieciaki!

Debbie odłożyła słuchawkę, lecz zamiast uczucia ulgi, nagle ogarnęło ją rozdrażnienie. Kursy, letnie wakacje... O czym jeszcze Richard opowiadał matce? O ich finansach? Życiu seksualnym? Nic nie byłoby w stanie jej zaskoczyć...

- Boże, gdzie to jest...

Lucinda szukała adresu agenta literackiego. Do wydawnictwa przysłano manuskrypt, zupełnie beznadziejny, podobnie jak wiele innych, i teraz trzeba było odesłać go z jednym z tych uroczych i pełnych żalu liścików, które stały się jej specjalnością. Inni ludzie wysyłali gotowe, drukowane notki, lecz ona, ze swoim współczującym sercem, uważała, że odrzucenie niedoszłej książki, która, niezależnie od ostatecznej oceny, była owocem ciężkiej pracy, wymagało pewnego złagodzenia. Tyle że teraz nie mogła znaleźć tego przekłętego adresu... Ostatnio ciągle coś gubiła - miała wrażenie, że jej mózg kurczy się, w miarę jak macica rozrasta. To bez znaczenia, bo jeszcze nigdy w życiu nie była taka szczęśliwa. Za każdym razem, gdy wyobrażała sobie, jak opiekuje się dzieckiem, dzieckiem swoim i Blue, wydawało się jej, że patrzy na piękną, wyłożoną słońcem łąkę. Oczywiście Blue też będzie zajmował się maleństwem, nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości.

Jedynym cieniem, jaki padał na cudowną łąkę z jej wyobraźni, był Nigel. Nigel i jego straszna, widoczna gołym okiem rozpacz... I był to bardzo mroczny cień, ponieważ to ona ponosiła winę, że się pojawił.

Blue oświadczył, że nie wydaje mu się, aby Nigel faktycznie potrzebował pomocy, ale jednak umówił ją na spotkanie z prawnikiem, który był jego kolegą.

- Na pewno nie jest to adwokat, jakiego byś wybrała, Lucy - powiedział. - Chodziliśmy do tej samej pieprzonej...

- Blue, nie używaj takiego języka! Musisz zacząć myśleć o dziecku!

- Przepraszam... Chodziliśmy do tej samej cholernej szkoły i on także wydobył się z tego bagna, ale nie ma w tym nic dziwnego, facet ma łeb jak sklep, wiesz?

- Rozumiem... Moim zdaniem „cholerna” to niewiele lepsze określenie niż „pieprzona”.

Była więc umówiona na dzisiejsze popołudnie i bardzo się denerwowała; pewnie dlatego jej umysł nie funkcjonował najlepiej.

Wreszcie znalazła adres agenta, wetknięty między recenzje, które powinna była już dawno włożyć do segregatora. Przy okazji natknęła się na wizytówkę Simona Beaumonta.

- Och, Boże - powiedziała do siebie, ponieważ Graham wyszedł na lunch. - Obiecałam, że do niego zadzwonię i kompletnie wyleciało mi to z głowy.

Postanowiła naprawić swój błąd, najlepiej od razu. Simon był bardzo miły i zapewnił ją, że nic się nie stało.

- Ale ogromnie się cieszę, że w ogóle pani zadzwoniła...

- To okropne, że nie zrobiłam tego wcześniej! Stale o czymś zapominam, wyrzucą mnie z pracy, jeżeli nie będę uważać! - Nagle jej wzrok zatrzymał się na książkach na półce. - Mogę jednak postarać się choć w części naprawić to niedopatrzenie i przysłać panu tę biografię Sorosa, o której pan mówił, naturalnie, jeśli jeszcze jej pan nie ma... Przynajmniej tyle...

- Proszę nie żartować, minęło dopiero kilka dni, zresztą mówiłem już, że nic nie szkodzi! I w żadnym razie nie mógłbym przyjąć tej książki.

- Ależ mógłby pan, dlaczego nie. Mam tu co najmniej tuzin egzemplarzy, więc proszę wykreślić Sorosa z listy prezentów. A przy okazji, kiedy ma pan urodziny?

- W przyszłym tygodniu, dwudziestego siódmego maja.

- Będę wtedy w City, bo jestem z kimś umówiona i mogłabym podrzucić ją panu do biura. Mam przed sobą pańską wizytówkę, to przy Threadneedle Street, prawda? Ja mam spotkanie w Cornhill, więc to żaden kłopot!

- Jest pani bardzo miła, naprawdę, jestem poruszony... Pewnie nie zechciałaby pani w rewanżu przyjąć zaproszenia na lunch, żeby uczcić moje urodziny.

Lucinda zachichotała.

- Nie, chociaż odmawiam z przykrością. Mój przyjaciel nie byłby tym zachwycony... Ale na pewno zostawię książkę w recepcji, dobrze?

- W żadnym razie, proszę zadzwonić z recepcji, a ja zejdę do pani! I może poczęstuję panią kawą, co pani na to?

Zawahała się.

- Nie, dziękuję, będę musiała szybko wracać do pracy. Przykro mi...

- Nic nie szkodzi. Do zobaczenia, Lucindo.

Chwilę stała nieruchomo, wpatrując się z uśmiechem w telefon. Simon Beaumont był całkiem apetycznym facetem... Otrząsnęła się i natychmiast wróciła do rzeczywistości. Co też pomyślałby o tym Blucie...

Debbie uzgodniła z Florą, że zawiezie dzieci do Walii w sobotę. Wywołało to gwałtowne protesty Emmy.

- Ale mam, babcia mówi, że w sobotę jest wielki pokaz jazdy konnej, na który wybiera się z Tilly! Nie możemy pojechać w piątek? Och, proszę, przecież o trzeciej będziemy już po lekcjach i...

- Nie - odparła Debbie. - Nie możemy. W piątek pracuję, a tata wyjeżdża na kurs.

Wydawało jej się trochę dziwne, że kurs odbywa się w weekend, ale nie chciała wypytywać męża, żeby nie posądził jej o chęć stwarzania problemów.

- I co z tego? Najwyżej przyjedziemy późno, babci wcale to nie przeszkadza, a...

- Nie, Emmo.

Emma zerwała się z krzesła i wybiegła z pokoju, trzaskając drzwiami.

- Nienawidzę was! - wrzasnęła ze szczytu schodów. Richard spojrział na Debbie.

- Wcześniej zaczyna - zauważył.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Odniosła wrażenie, że nagle poczuł się lepiej. Może po prostu zaczął przyjmować do wiadomości, że ich życie naprawdę się zmieniło.

Ostatecznie wypracowali kompromisowe rozwiązanie - pokaz jazdy konnej miał się odbyć w Margam Country Park, niedaleko Swansea, i Debbie umówiła się z Florą, że właśnie tam przyjedzie z dziećmi.

- Będzie świetnie! - oznajmiła Emma z błyszczącymi oczami. - Obejrzymy konkurs skoków, w którym wezmą udział Tilly i Boy. Babcia mówi, że mają szanse na dobre miejsce. Możemy posuwać się za nimi, żeby wszystko dokładnie widzieć...

- I może jeszcze skakać przez przeszkody, co? - prychnął Alex. - Już sobie wyobrażam, jak kłusujesz i trzaskasz kopytami!

- Och, zamknij się! - zdenerwowała się Emma. - Nie masz o niczym pojęcia!

- Całkiem przyjemna rozrywka...

Debbie stała w słońcu i uśmiechała się do Flory, zaskoczona, że mówi zupełnie szczerze. Znajdowała się wśród ludzi w kaloszach, z labradorami i wiatrówkami, którzy pokrzykiwali do siebie w czymś, co wydawało jej się zupełnie obcym językiem, a jednak świetnie się bawiła.

- Prawda? - ucieszyła się Flora. - Przy dobrej pogodzie nie ma to jak dzień na konkursie jazdy konnej! Nawet jeżeli ktoś nie przepada za końmi, tak jak ty, Debbie, przecież wiem.

- Nie chodzi mi o konie, ale o... - Debbie przerwała, przerażona tym, czego o mały włos nie wypowiedziała głośno.

- Ale o koniarzy - dokończyła za nią Flora. - Nie musisz się denerwować, ja też ich nie lubię, no, w każdym razie niektórych. Czasami zachowują się tak, jakby nie mieli za grosz wrażliwości, bywają jednak zabawni i mają jedną wspólną cechę, mianowicie odwagę. Są bardzo odważni, tak samo jak konie, na których jeżdżą. Moim zdaniem, jest to dość ważne. No, moi drodzy, czas przejść dalej...

Przez jakieś dziesięć minut obserwowali skoki. Trzy konie wystartowały jeden po drugim, jeden jeździec spadł, drugi koń się potknął, ale szybko odzyskał równowagę, trzeci dosłownie przefrunął nad przeszkodami. Debbie zaczynała powoli rozumieć, o co chodzi - należało przesuwac się od jednej przeszkody do drugiej, stać cierpliwie z tyłu stłoczonej grupy, kiedy pierwszy koń najeżdżał na pierwszą przeszkodę, potem przejść do drugiej, popychając przed sobą dzieci, aż w końcu przy trzeciej można było liczyć na miejsce w pierwszym rzędzie, oczywiście przy odpowiednim refleksie. Niektórzy widzowie nosili nawet ze sobą niskie drabinki, na które się wspinali, żeby lepiej widzieć. Debbie nigdy by nie uwierzyła, że uzna ten sport za fascynujący, czy choćby w przybliżeniu ciekawy, teraz jednak z zapałem klaskała i wydawała zachęcające okrzyki.

- Kiedy pojedzie Tilly? - spytała Emma. - Nie mogę się już doczekać!

- Chyba po następnym uczestniku - odparła Flora. - Naprawdę nie sądzę, aby bardzo dobrze wypadła - powiedziała cicho do Debbie. - Nie ze swojej winy, po prostu nie miała dość czasu, żeby potrenować z Boyem. Szkoda, bo ma talent i szanse na niezłą pozycję. Ach, jest Simon! Znalazłeś ją?

- Tak. Strasznie się denerwuje, biedactwo. Nie powinniśmy jej byli na to pozwolić, Floro, wczoraj wieczorem nie najlepiej się czuła, a ja...

- Nonsens! - oburzyła się Flora. - To tylko nerwy, po konkursie Tilly uzna, że świetnie się bawiła, zobaczysz! Poza tym pozna kilkoro młodych ludzi z okolicy i w przyszłości będzie miała z kim pogadać. Nie mówiąc już o tym, że sam udział w tych zawodach to przywilej, rozejrzyjcie się tylko dookoła!

Debbie usłuchała. Byli na pięknym parkowym terenie Margam, niżej widać było ruiny opactwa, nad nimi rozpościerało się błękitne niebo, pod którym szybowały mewy, a wokół piętrzyły się łagodne zielone wzgórza, porośnięte kwitnącymi krzewami janowca. Popatrzyła też na konie, piękne, lśniące, doskonale wyszkolone, niezwykle odważnie, jak mówiła Flora, biorące pozornie niemożliwe do pokonania przeszkody; jeźdźcy wydawali się prawie zrośnięci z wierzchowcami. Debbie na moment zamknęła oczy. Wsłuchana w śmiech swoich dzieci, nagle poczuła się absurdalnie szczęśliwa i zapragnęła, aby Richard był tutaj, tuż obok niej.

- Numer siedemnaście, panna Otilie Beaumont na koniu Golden Boy! - usłyszeli wreszcie.

Wtedy wszystkie inne rzeczy przestały być ważne, znieruchomieli, jak przykuci do miejsca, przerażeni, że mogliby przegapić występ Tilly. Na samym początku znajdowały się dwie trudne przeszkody, ustawione w zygzak. Debbie wbiła paznokcie w skórę dłoni, wpatrzona w jasną smugę, którą tworzyli widziani z tej odległości Tilly i Boy. Pokonali dwie pierwsze przeszkody, na chwilę zniknęli i pojawili się znowu, nad rowem z wodą, i najechali na jeszcze trudniejszą przeszkodę. Debbie i jej grupka nie mogli wydobyć z siebie słowa, wszyscy w równym stopniu przerażeni. Tilly zbliżyła się już do nich, widzieli jej

bladą, skupioną twarz, jej oczy, utkwione w jakimś niewidocznym dla nich horyzoncie. Teraz była tuż obok, brała przeszkodę. Debbie poczuła, jak jedną jej rękę chwyta Emma, a drugą Simon. Trochę rozba- wiona, a trochę wzruszona, popatrzyła na niego - był blady, wpatrzony w córkę tak, jakby mógł przenieść ją nad przeszkodą samą siłą woli. Tilly przeskoczyła, zawróciła Boya i mocno wbiła pięty w jego boki. Koń się zawahał, wydawało się, że nie skoczy.

- Skacz, no, dalej... - jęknął Simon.

Nagle Boy odzyskał odwagę i skoczył, chyba z niewielkim opóźnieniem, musnął przeszkodę kopy- tami, zachwiał się i wyprostował. Tilly pomogła mu, zdecydowanie ściągnając wodze, i pomknęli dalej.

- Mają przed sobą jeszcze jeden rów z wodą - odezwała się Flora. - Poradzi sobie... Boże, naprawdę dobrze wypadła, oboje byli świetni! Och, taka jestem z niej dumna!

- Ja też. - Simon puścił dłoń Debbie, nagle, jakby dopiero się zorientował, że ją trzymał. Uśmiech- nął się do niej szeroko. - Przepraszam, trochę mnie poniosło!

- Nie szkodzi! - parsknęła śmiechem. - Poszło jej po prostu wspaniale! Jak myślisz, Floro, ile dosta- ła punktów?

- Dowiemy się za parę chwil. Nie jechała bardzo szybko, więc...

- Ależ, babciu! - wykrzyknęła Emma. - Pędziła jak wiatr!

- Wiem, kochanie, ale niektórzy pędzili szybciej, poza tym odejmą jej parę punktów za dotknięcie przeszkody. Tak czy inaczej, teraz powinno pójść jak po maśle! To był jej najgorszy skok, a i tak poradziła sobie doskonale...

Debbie pomyślała, że „doskonale” nie było może najtrafniejszym określeniem. Ci koniarze byli na- prawdę dziwni.

Ostatecznie Tilly zajęła siódme miejsce i wszyscy wrócili do Broken Bay na kolację w triumfalnych nastrojach, Emma zarumieniona i podniecona, tak jakby to ona pokonała tor przeszkód, nie jej przyjaciół- ka. Kiedy siedzieli już przy stole, zadzwonił telefon - Richard chciał się upewnić, czy bezpiecznie dotarli na miejsce i Emma przez prawie dwadzieścia minut opowiadała mu o konkursie, aż wreszcie Debbie, świadoma, ile zapłacą za tę pogawędkę, przerwała córce, żeby zamienić parę słów z mężem. Richard spra- wiał wrażenie bardzo zadowolonego i podekscytowanego.

- Może po powrocie do domu będę miał dla was dobre wiadomości - powiedział, ale nie chciał zdradzić żadnych szczegółów.

Debbie, która wypijała sporo wina, odparła, że nie może się już doczekać jego powrotu i że żałuje, że nie oglądał z nią konkursu skoków.

- Brałeś kiedyś udział w takiej imprezie? - zapytała.

- Dobry Boże, nigdy w życiu! Marny ze mnie jeździec! Później Debbie spytała Florę, czy Richard mówił prawdę.

- Nie urodził się w siodle, to fakt - wyznała Flora nieco lekceważącym tonem. - Właściwie to zaw- sze trochę się bał koni.

Debbie po raz pierwszy zorientowała się, że Richard wcale nie jest absolutnie doskonały w oczach matki i poczuła dziwne zadowolenie.

Po kolacji zaczęli grać w scrabble, ale Simon, który był nieźle wstawiony, ułożył kilka raczej nieodpowiednich słów, więc Debbie skorzystała z okazji, żeby zapakować dzieci do łóżek. Tilly leciała z nóg ze zmęczenia, a kiedy Debbie znowu zeszła do kuchni, Flory także już nie było.

- Prosiła, żebym ci życzył dobrej nocy - oświadczył Simon. - Była wykończona.

- Och, jasne... Flora nieczęsto przyznaje się do zmęczenia. Cóż, chyba sama pójde za jej przykładem.

- Nie idź jeszcze. Posiedź chwilę i pogadaj ze mną. Poszukam wina...

- No, dobrze - nagle pomyślała, że to może całkiem niezły pomysł. - Ale tylko chwilę...

- Oczywiście! Dziękuję. - Na chwilę zniknął w piwniczce, lecz zaraz wrócił. - No, znalazłem coś! - uśmiechnął się. - To był przyjemny dzień, prawda?

- Bardzo przyjemny.

- Przede wszystkim dla Tilly, po wszystkich tych ciężkich przeżyciach. Nie spodziewałem się, że tak dobrze sobie poradzi.

- Była świetna - potwierdziła Debbie. - Jest taka miła dla Emmy, naprawdę to doceniam.

- Jeśli chodzi o konie, Tilly zrobi wszystko, może nawet wyszorować całą stajnię szczoteczką do zębów, ale spróbuj poprosić ją o wyjęcie naczyń ze zmywarki. Tak czy inaczej, twoja Emma to miłe dziecko i Tilly chętnie z nią przebywa.

Napełnił kieliszek Debbie.

- Nie tak dużo! - zaprotestowała. - Nie chcę mieć kaca.

- Och, nie grozi ci to! - uspokoił ją. - Wydaje mi się, że masz teraz lepszy kontakt z Florą - dodał nieoczekiwanie.

- Tak, rzeczywiście...

- To dobrze. A jak układają się twoje sprawy?

- Całkiem nieźle - odparła. - Dziękuję...

- Cieszę się... Gdzie podział się mąż, bo jakoś wcześniej nie słuchałem?

- Richard jest na kursie, a że mamy przerwę semestralną, Flora zaprosiła dzieci.

- Wspaniała osoba z tej Flory. - Simon potarł oczy. - Boże, jestem nieludzko zmęczony. Co to za kurs?

- Dla nauczycieli.

- Ma już nową pracę?

- Nie, jeszcze nie.

- Na pewno wkrótce coś znajdzie - rzucił lekko. - Jak twoja praca?

- Nie sądzę, żebyś naprawdę chciał słuchać, jak rozprawiam o swojej pracy - zaśmiała się.



- Chcę, jak najbardziej - powiedział. - Szczerze mówiąc, chcę wiedzieć o tobie wszystko. Uważam cię za bardzo interesującą kobietę, Debbie, więc proszę, opowiedz mi o swojej pracy.

Spełniła jego prośbę, starając się trochę go rozbawić i nie podkreślać zbyt własnej roli i zasług. Słuchał uważnie i od czasu do czasu zadawał bardzo celne, sensowne pytania, co wydało jej się naprawdę miłe i odświeżające. Na co dzień nie miała nikogo, z kim mogłaby pomówić o pracy; Richard, Flora, jej rodzice, wszyscy oni nie byli zachwyceni faktem, że pracuje, podobnie jak większość jej dawnych przyjaciół, którzy byli zwyczajnie zazdrośni i wyraźnie dawali jej odczuć, że odcięła się od nich i ich wspólnego życia, goniąc za czymś bardziej interesującym.

- Więc uważasz, że prowadzenie działu public relations to twoja mocna strona, tak? - zapytał. - Czy też może któregoś dnia wolałabyś zająć się inną dziedziną?

- Myślę, że przede wszystkim chciałabym być dziennikarką - wyznała. - Bardzo podoba mi się ta praca. Oczywiście jest ciężka i trudna, ale...

- Najwyraźniej wcale by ci to nie przeszkadzało - kiwnął głową. - Co właściwie cię motywuje?

- Nie jestem pewna - odrzekła. - Moim zdaniem, człowiek powinien robić wszystko, co umie, dopóki może... Zdaję sobie jednak sprawę, że dzieciom nie jest łatwo, kiedy rodzice realizują się w pracy.

- Och, dzieci radzą sobie zdumiewająco dobrze! Są tyranami, trochę jak mężowie.

- Ty na pewno nie jesteś tyranem!

- Jestem, oczywiście na swój sposób. Zdziwiłabyś się...

- Chyba tak. Ostatnim razem mówiłeś mi, że jesteś bardzo dumny z Elizabeth i jej osiągnięć.

- Bo tak jest - uśmiechnął się. - Zwykle jestem z niej cholernie dumny i rozumiem, że gdyby była inna, nie kochałbym jej. Jednak gdyby usłyszała mnie teraz - nagle zmienił ton na zupełnie poważny. - Gdyby usłyszała, jak wygłaszam te wszystkie piękne słowa, kopnęłaby mnie w jaja, i to nie bez powodu. Zachowałem się wobec niej bardzo źle, naprawdę bardzo paskudnie.

- Nie wierzę!

- Ale to prawda... I popatrz tylko, co narobiłem - w jakie finansowe bagno wpakowałem swoją rodzinę.

- Jeśli masz na myśli tę aferę z Lloyd's, to przecież nikt nie był w stanie przewidzieć, do czego dojdzie, o ile mi wiadomo! Nie zapominaj, że byłam na tamtym spotkaniu! Jestem pewna, że wszyscy działaliście w najlepszej wierze.

- Obawiałbym się tak zdecydowanych opinii. - Simon znowu opróżnił kieliszek. - Nalej mi jeszcze trochę, grzeczna dziewczynko.

Naląła mu wina, wiedząc, że nie powinna tego robić. Simon był już mocno pijany, ale ona wcale nie miała ochoty, żeby ich rozmowa dobiegła końca.

Popatrzył na nią i spróbował się uśmiechnąć.

- Zrobiłem sporo naprawdę okropnych rzeczy, naprawdę strasznych - powiedział. - I teraz Elizabeth jest na mnie bardzo zła i czuje się zraniona, i... O, Boże...

Na moment zasłonił oczy dłonią, a kiedy znowu na nią spojrzął, zobaczyła w nich łzy.

- Jestem idiotą i gówniarzem, Debbie, ot, co... Zasłużyłem na to, co mnie spotkało.

Debbie ogarnęła fala tak bolesnego współczucia, że prawie nie mogła tego znieść. Wyciągnęła rękę przez stół i mocno chwyciła jego dłoń.

- To nieprawda! - rzuciła twardo. - Nieprawda! Starasz się postępować tak, żeby innym było jak najlepiej, jestem o tym absolutnie przekonana!

- Nie - pokręcił głową, przyciągając jej dłoń do piersi. - Nie, moja droga... Zawiodłem Elizabeth, zawiodłem ich wszystkich i teraz... Dobry Boże... - Łzy pociekły mu po policzkach. - Co ja mam zrobić, co zrobić, na miłość boską?!

Debbie ostrożnie pogłaskała go po twarzy, otarła parę łez.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała, jakby był dzieckiem. - Będzie dobrze, na pewno.

- Nie - powtórzył. - Nie, nie będzie dobrze, to niemożliwe. Parę dni temu pewien facet, którego znam, miły, normalny gość, słowo daję, łyknął całe opakowanie proszków nasennych, bo nie potrafił poradzić sobie z tą sytuacją. I wiesz, dotarło do mnie wtedy, że rozumiem, dlaczego to zrobił.

- Nie mów tak, bardzo cię proszę. Proszę...

- Naprawdę go rozumiem. Gdyby mu się udało, byłby teraz bezpieczny, z dala od tego wszystkiego, od wstydu i cierpienia. To jedyne pewne wyjście, słowo daję. Boję się, Debbie, wiesz? Jestem przerażony.

Wstała i podeszła do niego. Odwrócił się na krzesło, a ona przyciągnęła jego głowę i oparła ją na swojej piersi, i stała tak, głaszcząc go po włosach. Po chwili, gdy otoczyły ją jego ramiona, poczuła się dziwnie, była zdezorientowana i zagubiona, jakby nie wiedziała, kim jest i co robi.

- Simon, mój drogi, nie myśl tak - zaczęła.

I wtedy, zupełnie nieoczekiwanie, drzwi kuchni otworzyły się i w progu stanęła Flora.

## ROZDZIAŁ 19

*MAJ - CZERWIEC 1990*

- No, dobrze, Lucindo - Steve Durham uśmiechnął się. - Nie masz nic przeciwko temu, żebym mówił ci po imieniu?

- Nie, nie, oczywiście...

- Doskonale! Jestem Steve. Porozmawiajmy teraz o twoim małżeństwie, moja droga, dobrze? Zobaczmy, co da się zrobić.

Steve Durham bardzo jej się nie podobał. Blue uprzedził ją zresztą, że tak będzie.

- Ale Steve to facet, jakiego nam potrzeba, skarbie - dodał. - To nie jest człowiek z towarzystwa, do którego przywykłaś, ale nie szkodzi, nie musisz przecież zapraszać go na przyjęcie czy coś w tym rodzaju.

Lucinda nie powiedziała, że teraz nikogo nie zaprasza już na przyjęcia. Była to jedna z rzeczy, których jej brakowało.

Czuła się nieswojo w imponującym gabinecie Durhama, gdzie wszystkie meble były z chromowanej stali i czarnej skóry, w budynku tuż przy Regent Street. Sam Durham też był imponujący i też ubrany w czarną skórę, w każdym razie od góry - w piękną czarną skórzaną marynarkę, która przykrywała jasnoniebieską koszulę, ozdobioną krawatem z białego jedwabiu. Przez głowę Lucindy przemknęła nagle myśl, że jej matka nigdy nie zaprosiłaby Steve'a Durhama do swego domu; chwilę później uświadomiła sobie, że i Blue też nie, oczywiście, gdyby pani Worthington miała możliwość wyboru.

- Nie chciałbym, żebyś denerwowała się tą sprawą - powiedział Durham.

- Nie jestem ani trochę zdenerwowana - odparła trochę sztywno.

- Doskonale, w takim razie bierzmy się do pracy. Twój mąż nazywa się Nigel. Nigel Cowper. Niezłe imię i nazwisko, bez dwóch zdań. Pochodzi może z jakiegoś potwornie starego angielskiego rodu, czy tylko tak mi się wydaje?

- Tak, to stara rodzina. Myślę, że ich korzenie sięgają kilkaset lat wstecz...

- Cudownie... Korzenie mojej rodziny można prześledzić na przestrzeni kilkuset miesięcy, potem sprawa robi się bagnista. No, dobrze, więc byliście małżeństwem. Jak długo?

- Cztery lata.

- Ach, tak. Nie macie dzieci?

- Nie - powiedziała szybko.

- I mieszkaliście... Gdzie?

- W naszym domu, przy Cadogan Square.

- Milutko... Nigel dalej tam mieszka, tak?

- Tak.

- Nadal jesteś z nim w dobrych stosunkach?

- Tak, bardzo - odrzekła zdecydowanym tonem. Durham westchnął i potrząsnął głową.

- Określiłabyś wasze małżeństwo jako szczęśliwe? Naturalnie do czasu, kiedy poznałaś pana Hortona?

- Tak, bardzo szczęśliwe.

- Mąż dobrze cię traktował?

- Naturalnie. Był bardzo dobry, troskliwy i hojny.

- Więc do czasu, gdy poznałaś pana Hortona, nie miałaś powodów do niezadowolenia?

- Nie, i nadal nie mam. Żadnych powodów.

- No, dobrze... Wybacz mi, Lucindo, ale nie jestem pewny, czy mamy jakieś podstawy do pozwu. Ani czy potrzebny ci jest ktoś taki jak ja. Sytuacja przedstawia się następująco - byłaś szczęśliwą żoną dobrego, troskliwego człowieka, o którym nie masz złego słowa do powiedzenia. Raczej nie znajdziesz wielu sędziów, którzy wezmą twoją stronę.

Lucinda milczała.

- Całość wygląda dość paskudnie, ale dla ciebie. Porzuciłaś męża bez powodu, wyprowadziłaś się z domu, zamieszkałaś z panem Hortonem i teraz jesteś z nim w ciąży. Obawiam się, że czyni cię to stroną winną.

- Tak, zdaję sobie z tego sprawę.

- Małżeństwo o krótkim stażu, zero dzieci - znaczy to, że niewiele wniosłaś do tego związku. Rozumiem, że pan Cowper jest dość zamożny?

- Tak, ale to...

- Czy jego majątek to głównie środki płynne? - przerwał jej.

- Nie bardzo wiem, co masz na myśli.

- Pytam, czy ma przede wszystkim pieniądze na koncie bankowym, udziały i obligacje, nieruchomości, czy coś jeszcze innego!

- Och, rozumiem... Cóż, Nigel ma trochę udziałów i obligacji, i sporo gotówki. W każdym razie miał. Ale większa część jego majątku to nieruchomości - ma mniej więcej dwa tysiące akrów w Norfolk, na przykład...

- Co jeszcze?

- Na tym terenie znajduje się farma i zabudowania. To gospodarstwo rolne.

- Taaaak... A w Londynie?

- Dom przy Cadogan Square.

- Kapuję...

- I jeszcze dochód z rodzinnej firmy, to przedsiębiorstwo produkcyjne, nadal własność prywatna. Niewielkie, ale Nigel jest prezesem i większość udziałów należy do niego. Panie Durham...

- Steve, bardzo proszę!

- Steve, chciałabym ci coś wyjaśnić...

- Zaraz do tego dojdziemy - znowu jej przerwał. - Na początek wolałbym uporządkować fakty. Czy któreś z tych aktywów zostały nabyte w okresie istnienia waszego związku?

- Nie, absolutnie nie!

- Więc finansowo także nic nie wniosłaś do waszego małżeństwa?

- Nie.

Steve Durham zamilkł.

- Jasne - odezwał się po chwili. - Nie mieliście dzieci, tak?

- Nie.

- Czy... Przepraszam, że cię o to pytam, ale nie da się tego uniknąć. Czy uzgodniliście to między sobą?

- Och, tak! - Nie zamierzała wdawać się w rozmowę na ten temat, na pewno nie ze Steve'em Durhamem.

- Ale chcieliście mieć dzieci?

- Tak, oczywiście, w przyszłości. Uważaliśmy jednak, że mamy mnóstwo czasu.

- A jednak ty i pan Horton postaraliście się o dziecko dość szybko po rozpoczęciu współżycia?

- Tak...

- Chyba znaczy to, że zależało ci na dzieciach, prawda?

- Och, tak!

- Krótko mówiąc, to Nigel nie chciał mieć dziecka?

- Nie powiedziałam tego!

- W porządku, zostawmy to na razie... Wiem, że pan Cowper założył fundusz dla ciebie, czy tak?

- Tak.

- Umieścił na nim bardzo dużą kwotę, prawda?

- Tak.

- Oczywiście te pieniądze zostaną teraz przeniesione na inne konto czy konta, w zależności od decyzji sądu.

- Pewnie tak.

- No, dobrze - westchnął Durham. - Nieczęsto mówię potencjalnym klientom takie rzeczy, ale wydaje mi się, że niewiele mogę dla ciebie zrobić. Sprawa wygląda nieciekawie. Małżeństwo trwało krótko, twój wkład w związek jest niewielki albo wręcz żaden, a teraz, po porzuceniu męża, żyjesz z innym zamężnym mężczyzną i jesteś z nim w ciąży.

- Wiem, wiem! Ale... Czy teraz mogę już wyjaśnić, o co naprawdę mi chodzi?

- Proszę bardzo.

Wyprostował się, patrząc na nią z uczuciem chyba bardzo zbliżonym do pogardy.

- Jest coś, z czego chyba nie zdajesz sobie sprawy - zaczęła. - Myślałam, że Blue ci powiedział.

- Nic mi nie powiedział - rzucił Steve Durham. - Mogę zapalić?

- Nie - odparła Lucinda. - Przykro mi, ale wołałabym, żebyś nie palił! I pozwól mi skończyć.

Wszystko wskazuje na to, że w najbliższej przyszłości Nigel straci prawie wszystko, co ma, ponieważ Lloyd's domaga się od niego pieniędzy.

- Ach, tak... Cóż, to ostatecznie zamyka sprawę. Na pewno nie zostanie mu nic, co mogłabyś zyskać w rezultacie procesu.

- Wiem! - powiedziała Lucinda. - I o to właśnie chodzi!

- Słucham? Chyba nie łapię...

- Panie... Steve, posłuchaj mnie chwilę, a wszystko zrozumiesz. Mam pewien pomysł, wydaje mi się, że całkiem niezły, ale nic nie osiągnę bez twojego... twojego doświadczenia i wprawy. Mogę mówić dalej?

- Jasne...

Sprawa teraz wrażeń odrobinę bardziej zainteresowanego.

- Więc wygląda to tak...

Nie zajęła mu dużo czasu. Kiedy skończyła, wstał i podszedł do okna, wychodzącego na Regent Street. Po paru chwilach odwrócił się i uśmiechnął szeroko.

- Nie będzie łatwo - oświadczył. - Ale lubię wyzwania. Wydaje mi się, że jakoś powinniśmy to przeprowadzić. Muszę przyznać, Lucindo, że jesteś dużo bardziej inteligentna, niż sądziłem. Jestem pod wrażeniem, pod dużym wrażeniem.

- Och, to dobrze! - powiedziała. - Bardzo się cieszę!

Myślała, że im się udało. Że Flora ich nie widziała, że nie przyłapała ich na gorącym uczynku, jak to się mówi. Chociaż oczywiście nie był to żaden „gorący uczynek”. Z drugiej strony, kto mógłby mieć Florze za złe, gdyby doszła do wniosku, że tak właśnie było, że wcale nie był to niewinny - no, prawie niewinny - gest pocieszenia.

Simon zareagował niewiarygodnie szybko, cofnął się, chwycił butelkę z winem i skupił się na rozlewaniu alkoholu do kieliszków, natomiast Debbie równie szybko podeszła do zlewozmywaka i zaczęła udawać, że czegoś szuka.

- Przyłapałaś nas, Floro! - odezwał się Simon.

Debbie odwróciła się z przerażeniem, lecz on łobuzersko uśmiechał się do Flory (Debbie nie miała do tej pory pojęcia, co tak naprawdę oznacza to określenie).

- Upijamy się powoli, lecz skutecznie, to okropne - podjął Simon. - Zanudziłem już biedną Debbie na śmierć, ale twoja synowa dzielnie to znosi i pozwala mi gadać bez ładu i składu...

- Ach, tak - rzuciła Flora.

Żołądek Debbie skurczył się ze strachu.

- Chciałam tylko zaparzyć sobie filiżankę herbaty - ciągnęła Flora. - Czy mogę liczyć, że któreś z was zainteresuje się tak przyziemnym napojem?

- Jasne! - oświadczył Simon. - Herbata dobrze nam robi! Mogłabyś opłukać jeszcze te filiżanki, Debbie?

- Mam nadzieję, że cię nie obudziliśmy, Floro? - powiedziała Debbie przez ramię, starając się, aby jej głos brzmiał jak najnaturalniej.

- Nie, nie! Po prostu nie mogłam zasnąć. Ostatnio często mi się to zdarza.

- To symptom naszej wspólnej choroby - rzekł Simon do Debbie. - Lloydocytoza, bardzo paskudna przypadłość! Inne objawy to mdłości, bóle głowy, koszmary senne. No i utrata apetytu...

Jak to on robi, zdumiała się Debbie. Jak można w ułamku sekundy zmienić nastrój? Jeszcze przed chwilą był załamany, a teraz kpi ze swojej sytuacji. To wielki dar.

Potem długo leżała w łóżku, wpatrując się w ciemność. Nie potrafiła otrząsnąć się ze strachu, ciągle się zastanawiała, co Flora mogła pomyśleć i co być może zrobi. Wszystko razem wyglądało nieciekawie - oto ona, synowa Flory, żona jej jedynego syna, zachowywała się w jej domu jak dziwka. Jednak Flora wcale nie wydawała się zdenerwowana i chyba nic nie podejrzewała, chociaż może była odrobinę zdziwiona.

Tak czy inaczej, co mogłaby powiedzieć Richardowi? W tym momencie Debbie znowu traciła świeżo odzyskany spokój ducha - Simon ją obejmował, a ona pochylała się nad nim, jakby pragnęła go pocałować. Poza tym Flora nie lubiła jej od samego początku i pewnie z radością przedstawiła jej mroczny wizerunek Richardowi.

O szóstej, po mniej więcej dwugodzinnej niespokojnej drzemce, usłyszała stukot końskich kopyt na dziedzińcu. Zeszła na dół, wyszła do skąpanego we mgle ogrodu i ujrzała siedzącego na niskim murze Simona.

- Cześć - odezwał się. - Wszystko w porządku?

- Niezupełnie - odparła. - Trochę się martwię, no, wiesz...

- Ostatnim wieczorem? Niepotrzebnie. Flora nic nie podejrzewa. Przed chwilą z nią rozmawiałem, wybrała się właśnie na codzienną przejażdżkę. Zachowywała się najzupełniej naturalnie, była bardzo miła, jak zwykle. Zresztą, przecież i tak nie miałyby podstaw do żadnych podejrzeń.

- Może by i miała... Jestem żoną jej syna, nie żartuj sobie...

- Kochanie...

- I nie mów tak do mnie! Nie podoba mi się to!

- Przepraszam. Tak czy inaczej, nie musisz się martwić, słowo honoru. Sama zobaczysz.

I rzeczywiście, miał rację. Pani domu wróciła w świetnym nastroju, wszyscy razem zjedli śniadanie w kuchni, następnie Flora zaproponowała piknik i bardzo ciepło rozmawiała z Debbie. Mimo tego Debbie nadal się trochę niepokoiła; ciągle wracała także myślami do tamtej chwili, kiedy poczuła, że Simon jest bardzo interesującym mężczyzną i zastanawiała się, co by się stało, gdyby Flora nie weszła do kuchni.

\* \* \*

Lucinda głośno przełknęła ślinę.

- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego nie chcesz o tym porozmawiać! - powiedział Blue. - To śmieszne!

- Bo... Bo muszę to spokojnie przemyśleć.

- Co przemyśleć? Lucindo, długo i cierpliwie znoszę twoje uzalanie się nad tym przerośniętym chłopaczkiem, jakim jest twój mąż! Nie mogę już słuchać tego, jak ci go żal, jak martwisz się jego losem, i tak dalej! Pozbądź się go, i to szybko! Chcę wziąć z tobą ślub, jeszcze zanim nasz chłopiec przyjdzie na świat.

- To raczej niemożliwe! Rozvodu nie przeprowadza się w pięć miesięcy!

- Bzdury! - zdenerwował się Blue. - Twój mąż nie wnosi sprzeciwu, ty dostarczyłaś mu powód do rozwodu, więc wszystko można załatwić błyskawicznie, na miłość boską!

- Steve Durham jest innego zdania. Blue, proszę cię... Musimy być bardzo... bardzo ostrożni, naprawdę...

- Ostrożni? Niby z jakiego powodu, do ciężkiej cholery? Co się z tobą dzieje, skarbie? Wygląda na to, że spotkanie z tym gościem nie zrobiło ci najlepiej!

- To nieprawda... Durham skłonił mnie do zastanowienia się nad tą sytuacją, to wszystko.

- Nad jaką sytuacją, na Boga?! Nad nami?! Bo jeżeli sugerował ci coś takiego, to urwę mu jaja, słowo daję!

- Blue, przestań! Nie rozumiesz! Ja...

- Masz rację, nic nie rozumiem! Teraz wychodzę i lepiej by było, żebyś później spróbowała mi to wyjaśnić, dobrze?!

Zerwał się na równe nogi i wypadł z pokoju, z rozmachem trzaskając drzwiami. Lucinda patrzyła za nim bliska łez, niepewna, czy w gruncie rzeczy ma dość odwagi, aby zrealizować plan, który w najlepszym razie określić można jako bardzo, bardzo trudny. Po chwili pomyślała jednak o Nigelu, droгим, kochanym Nigelu, skazanym na czynszowe mieszkanie oraz sprzedaż brylantowych spinek do mankietów, i już wiedziała, że musi znaleźć i odwagę, i determinację.

- A to Flora Fielding... Floro, przedstawiam ci Colina Petersona! Flora ma jeden z najpiękniejszych domów w Gower, Colinie, założę się, że dałbyś wiele, aby mieć taką rezydencję!

- Naprawdę? Szuka pan domu w Gower? - zapytała Flora, starając się zachowywać bardzo uprzejmie, chociaż wcale nie miała na to ochoty.

Wolałaby być teraz w domu, gdzie znacznie pewniejsza siebie Tilly wzięła na siebie rolę opiekunki do dzieci, wspierana sąsiedzką bliskością państwa Connor, mieszkających w odległym o 500 metrów domku; pan Connor miał mniej więcej co godzinę zaglądać do dzieciaków i sprawdzać, czy wszystko jest w porządku.

Flora nie mogła odrzucić zaproszenia Philippy na kolację co najmniej raz w miesiącu. Nie sposób było nie lubić Webberów, Phillipy i jej męża, którzy zamieszkali w okolicy dziesięć lat wcześniej. William ze wszystkich sił starał się nie nawiązywać z nimi bliższych stosunków, lecz po jego śmierci Flora po prostu nie mogła nie wstydzić się jego uporu - Webberowie dzwonili raz albo dwa w tygodniu, próbowali wyciągać ją na spacer, przynosili kwiaty, a w początkowym okresie wdowieństwa Flory Phillipa od czasu do czasu przywoziła jej zupę albo zapiekankę.

- Wiem, jak łatwo jest przestać przejmować się codziennymi sprawami - powtarzała spokojnie, opiekując się Florą w dyskretny, bardzo delikatny sposób.

Właśnie dlatego Flora od czasu do czasu z mnóstwem obaw w sercu wybierała się do Webberów na świetnie przyrządzoną kolację i spotkanie z ich przyjaciółmi, którzy dla niej byli zupełnie obcymi ludźmi, mieszkali bowiem w wielkich nowoczesnych domach w Swansea czy nawet w Cardiff, jeździli najdroższymi samochodami i spędzali wakacje w takich miejscach, jak Gran Canaria i Floryda. Debbie całkiem słusznie uważała swoją teściową za okropną snobkę...

Okazało się, że Colin Peterson, wdowiec, o czym mimochodem wspomniała Philippa, prowadząc ich do jadalni, nie szuka domu w Gower, a w każdym razie nie dla siebie. Peterson był właścicielem firmy budowlanej, której dziełem było kilka okazałych osiedli na obrzeżach Swansea. Ponieważ, jak Flora powtarzała, dla takich ludzi nie było miejsca w normalnym świecie, teraz z przerażeniem spostrzegła, że Phi-



lippa posadziła ją obok Petersona. Nieszczęśnik miał także inne wady - nosił na przykład koszulę od Ral-pha Laurena z firmowym emblematem, doskonale dopasowany krawat od Christiana Diora i jedwabną chusteczkę, miał też podejrzenie zadbane paznokcie.

Z drugiej jednak strony, jego towarzystwo nie sprawiało jej przykrości. Był rozbijającym szczery. Powiedział Florze, że nigdy w życiu nie zabrałby się do budowania czegośkolwiek w Gower, i że chociaż zarabia na życie stawianiem nowoczesnych domów, to jest także członkiem rozmaitych wiktoriańskich stowarzyszeń i poświęca mnóstwo czasu na pisanie petycji w obronie starych budynków. Jego życiową pasją była muzyka sakralna.

Ostatecznie Flora wyszła od Webberów znacznie później, niż planowała, rozluźniona, rozpogodzo- na i prawie szczęśliwa. Na poprawę jej nastroju w pewnym stopniu wpłynęła propozycja Colina Petersona, aby w najbliższym czasie razem wybrali się na koncert w katedrze w Cardiff.

Biorąc wszystko pod uwagę, noszenie ubrań z tymi okropnymi emblematami - Tilly nazywała je firmowymi logo - nie było zbrodnią. Simon także je nosił i Flora jakoś mu to wybaczała...

Annabel naprawdę nie mogła w to uwierzyć, naprawdę. W głębi duszy raczej nie spodziewała się, że Jamie jeszcze się odezwie. Od jego wyjazdu minął dopiero tydzień, to fakt, a wcześniej powiedział jej, że ją kocha, ale przecież właśnie tak wyglądały wakacyjne romanse, zresztą Ameryka była przecież bar- dzo, bardzo daleko, Jamie miał tam własne życie, był młody, przystojny i... I...

- I zaprosił mnie do siebie! - oznajmiła radośnie.

- Kto, kochanie?

- Tato, ty mnie w ogóle nie słuchasz! Jamie, ten cudowny młody Amerykanin, przecież wiesz!

- A, ten... Podoba ci się?

- Podoba mi się, naprawdę! Zaprosił mnie do Bostonu, mam zatrzymać się w domu jego rodziców!

Na parę dni!

- To bardzo miło... Myślisz, że pojedziesz?

- To chyba oczywiste!

- Poznałaś jego rodziców?

- Tak!

- I?

- Są świetni, to znaczy jego tata jest świetny, jego mama trochę mnie wystraszyła. Jamie też się jej boi...

- Skarbie, nigdy nie zadawaj się z facetem, który boi się własnej matki! To bardzo źle rokuje na przyszłość!

- Żartujesz sobie, prawda?

- Ale tylko częściowo! No, nieważne... Na kiedy cię zaprosił?

- Na lipiec. Boże, mam nadzieję, że uda mi się wziąć wolne! Och, to takie ekscytujące, tato! Muszę zaraz do niego zadzwonić! A może lepiej będzie napisać, jak sądzisz?

- Dużo lepiej. Ostatecznie on też do ciebie napisał.

- Tak, wiem, ale... Tak, tak, masz rację! Napiszę dzisiaj, ale wcześniej poproszę o kilka dni wolnych. Och, po prostu nie mogę w to uwierzyć! To zupełnie niesamowite, nie mogę się już doczekać, żeby opowiedzieć o tym Carol...

Joel Strickland pisał właśnie średnio interesujący tekst o negative equity - było to nowe modne określenie w świecie handlu nieruchomościami - i zastanawiał się, czy po lunchu wracać jeszcze do pracy (był piątek, prawda?), kiedy na jego biurku zadzwonił telefon.

W słuchawce rozległ się głos Simona Beaumonta.

- Jeżeli nadal jest pan zainteresowany rozmową, mogę poświęcić panu pół godziny w przyszłym tygodniu - powiedział. - Nie wiem, czy na coś się to panu przyda, pewnie moja historia nie różni się od innych, ale chętnie ją panu opowiem.

Joel odparł, że nadal bardzo zależy mu na rozmowie.

- W takim razie umówmy się na czwartek, koło siódmej - zaproponował Beaumont. - W hotelu Royal Garden, odpowiada to panu?

- Jak najbardziej. Będę na pewno, dziękuję. Czy... czy stało się coś, co skłoniło pana do zmiany decyzji?

- Owszem. Jeden z moich znajomych, także ofiara machinacji Lloyd'sa, próbował popełnić samobójstwo. Uważam, że ktoś musi wreszcie poruszyć tę sprawę.

- Całkowicie się z panem zgadzam. I jeszcze raz bardzo dziękuję!

Simon wpatrywał się w telefon, zdenerwowany i prawie podniecony, zupełnie jakby zrobił coś niezwykle ważnego, chociaż nie był pewny, skąd wzięło się to uczucie. Otwierał puszkę Pandory i Bóg jeden wie, jakie demony uwolni. Z drugiej strony, ktoś musiał przecież to zrobić...

- Freddie, gdzie twoje pudełko na drugie śniadanie? - spytała Catherine.

- Nie wiem, mam. Musiałem zostawić w szkole...

Zwykle blada twarz Freddiego zarumieniła się lekko, a jego duże brązowe oczy utkwione były w opakowaniu po kukurydzianych płatkach.

- Kochanie, to już drugie w tym semestrze! Postaraj się pilnować swoich rzeczy, one nie są tanie!

- Przepraszam...

- I w co zapakuję ci teraz kanapki?

- Może sobie wziąć mój - pośpieszyła z pomocą Caroline.

- Co? To różowe paskudztwo w kolorowe kucyki? - zirytował się Freddie. - Nie, dzięki! Wystarczy mi foliowa torebka, mam, naprawdę...

- Cóż, w twojej szkole wymagane są pudełka, ale teraz raczej nie mamy wyboru, prawda? - westchnęła Catherine. - Muszę już bieć, dzieci. Do zobaczenia po południu, dobrego dnia, całuski!

- Dobrego dnia! - odparli chórem.

Zostawiła ich, jak zawsze pełna niepokoju, modląc się, aby nic im się nie stało, i pobiegła ulicą w stronę stacji metra. Nie było to idealne rozwiązanie, ale dzięki jej pracy Freddie był szczęśliwszy i dobrze czuł się w szkole, więc było warto.

- W porządku - powiedział Freddie dziesięć minut później, kiedy już sprzątnęli po śniadaniu i spakowali tornistry. - Chodźmy, już czas!

- Nie sądzisz, że powinniśmy powiedzieć mamie? - spytała niepewnie Caroline.

- Dlaczego codziennie mnie o to pytasz? Nie możemy jej powiedzieć, bo i tak ma już dosyć zmar-twień! Nic mi się nie stanie - spojrzał na zegar. - Jeżeli wyjdziemy od razu, będziemy mogli pójść dłuższą drogą. No, chodź już!

Caroline popatrzyła na niego ze smutkiem.

- Jesteś bardzo dzielny - oświadczyła.

Debbie chyba jeszcze nigdy nie była tak przestraszona i wstrząśnięta. Siedziała nieruchomo, wpa-trzona w Richarda, jakby chciała siłą woli wtłoczyć mu słowa z powrotem do ust, aby pozostały tam na zawsze, bezpiecznie niewypowiedziane.

- Więc tak powiedziała! - Richard uśmiechnął się szeroko. - I co ty na to?

- Ja... To niesamowite... Tak, zupełnie niesamowite...

- Prawda? Gdybym nie pojechał na ten kurs, nigdy bym się o tym nie dowiedział! I pomyśleć, że mało brakowało, a bym się nie zdecydował! Oczywiście, nic nie jest jeszcze ostatecznie ustalone, ale...

- Jeszcze nie? - Debbie miała nadzieję, że w jej głosie nie zabrzmiała zbyt wyraźna nuta nadziei.

- Nie. Czeka mnie oficjalna rozmowa, ale właściwie to tylko formalność, jak zapewniła mnie panna Dunbar... Morag... Musi uzyskać akceptację zarządu i tak dalej. Chciałaby, żebym był na miejscu od je-siennego semestru. Dawała już ogłoszenie w prasie, naprawdę nie wiem, jak to się stało, że je przegapiłem, i przeprowadziła kilka rozmów, więc teraz może powiedzieć członkom zarządu, że nie daje tej pracy pierwszej lepszej osobie.

- No, tak, rozumiem... Ale... ale ona proponuje ci stanowisko zastępcy dyrektora, prawda? Czy to nie krok do tyłu?

- W żadnym razie, nie w tym przypadku! To bardzo słynna szkoła i... Widzisz, Morag Dunbar zwi-erzyła mi się w zaufaniu, że stara się o stanowisko dyrektora w szkole średniej i chociaż oczywiście niczego nie może mi obiecać, to gdyby odeszła, ja automatycznie przejąłbym jej funkcje.

- To fantastycznie, naprawdę! Gratuluję ci, kochanie, jestem z ciebie bardzo dumna!

- Dziękuję - nagle odmłodził o dobre dziesięć lat, oczy mu błyszczały. - Ja też jestem z siebie dumny, wiesz? I oczywiście, ponieważ to szkoła z internatem, musielibyśmy poświęcać dużo czasu chłop-com. Dostaniemy dom na terenie szkoły.

- Dom przy szkole?

- Jeden z najlepszych! Bardzo ładny i duży, mogę pokazać ci zdjęcie!

- Więc to nie będzie nasz własny dom?

- No, nie... Naturalnie możemy kupić dom gdzieś w pobliżu i potraktować to jako inwestycję albo zatrzymać ten i wynająć go, ale będę musiał stale być na miejscu, to część umowy. Oczywiście ty także byłabyś częścią zespołu... To jest coś, co moglibyśmy robić razem, Debbie, a wiesz, że zawsze bardzo mi na tym zależało.

- Ja? Częścią zespołu?

- Tak! Żona zastępcy dyrektora - to bardzo ważna funkcja... Nie tylko pomagałabyś mi prowadzić szkołę, ale także angażowałabyś się w życie chłopców i ich sprawy! Nie patrz na mnie z takim przestraszaniem, skarbie, na pewno świetnie byś sobie poradziła! I nie mów o swojej pracy, błagam, nie! Nawet o niej nie myśl, przynajmniej na razie! Najważniejsze to nie panikować. W tej chwili tylko rozmawiamy, więc spokojnie, kochanie, spokojnie...

- A co z dziećmi?. Musiałyby zmienić szkoły, prawda?

- Tak, jasne! Alex może pójść do Saint Andrews, do mojej szkoły! To wielka szansa dla niego, bo Saint Andrews słynie z wysokiego poziomu. A dla dziewczynek jest w pobliżu bardzo dobra żeńska podstawówka, co rozwiązuje sytuację.

Wzbierająca w Debbie fala wściekłości wychynęła na powierzchnię.

- Widzę, że podjąłeś mnóstwo decyzji i nawet nie zapytałeś mnie o zdanie - zauważyła ostro. - Nie przyszło ci do głowy, że ja mogę nie uważać tego wszystkiego za znakomite rozwiązanie?

Przez chwilę sprawiał wrażenie nieco zaskoczonego.

- To przecież oczywiste, że musisz tam pojechać i zorientować się, czy ci to odpowiada - powiedział. - Ale wiem, że będziesz zadowolona. Morag Dunbar zaprosiła nas wszystkich na weekend za parę tygodni. Polubisz ją, zobaczysz, to bardzo... Bardzo ciepła i otwarta osoba. I bardzo chce cię poznać. Naturalnie widzi w tobie niezwykle ważny aspekt kontraktu. Wiem, że zrobisz na niej doskonale wrażenie i że będziesz się tam świetnie czuć. Chodź, kochanie, uściskaj mnie. Zawsze to powtarzam, fakt, ale naprawdę tak myślę - bez ciebie, bez twojego wsparcia, nigdy by mi się nie udało.

Debbie sztywno stała w kręgu jego ramion.

- Cóż, nie jestem pewna, czy masz rację - oświadczyła. - Chodzi mi o to, że nigdy dotąd nie zajmowałam się czymś takim...

- Będziesz fantastyczna, kochanie! Dzieci cię uwielbiają i jesteś bardzo zorganizowaną osobą.

- Nie jestem zorganizowana.

- Ależ jesteś! Popatrz tylko, jak świetnie radzisz sobie z pracą i ze wszystkim!

- Wiem, ale...

- Oczywiście będziesz musiała zrezygnować z pracy. Wydaje mi się jednak, że w gruncie rzeczy tak będzie lepiej dla wszystkich, nie uważasz?

Wtedy nie wytrzymała. Wyrzuciła to z siebie, wbrew sobie, mimo że starała się zdusić tę myśl, że walczyła z nią ze wszystkich sił.

- Dla wszystkich poza mną - powiedziała. Był to ogromny błąd.

Flora nie zamierzała przyjeżdżać do Londynu - to miasto coraz mniej jej się podobało - miała jednak jeszcze trochę obligacji i akcji, i uznała, że powinna osobiście porozmawiać ze swoim maklerem giełdowym. Przy okazji postanowiła też wybrać się tego samego dnia na koncert w St Martin in the Fields, który miał się odbyć wczesnym popołudniem. Flora, podobnie jak Debbie, wołała, aby jej dni były wypełnione po brzegi.

Trochę później zdecydowała się na jeszcze jeden koncert, w Wigmore Hall, wieczorem, i pomyślała, że zamiast od razu wracać do Walii, jak początkowo planowała, przenocuje u Richarda i Debbie. Na dodatek Simon, dziękując jej telefonicznie za opiekę nad Tilly, wspomniał, że w piątek ma urodziny, więc Flora mogła przy okazji złożyć mu życzenia. Przesunęła spotkanie z maklerem o pół godziny i tuż po trzeciej zjawiała się w siedzibie banku Graburn & French, niosąc ładnie zapakowaną nową powieść P.D. James. Simon nie czytał kryminałów tej autorki i Flora powiedziała mu, że koniecznie powinien to zrobić.

- P.D. James łączy świetne wątki z doskonałym stylem, a to wielka rzadkość, moim zdaniem - oświadczyła.

Siedziała w wyłożonym marmurem atrium i czekała na sekretarkę Simona, która miała po nią zejść, kiedy do stanowiska recepcji podeszła olśniewająco piękna dziewczyna z niewielką paczką w ręku. Flora miała wrażenie, że gdzieś ją już widziała.

- Dzień dobry - odezwała się piękność. - Mam coś dla pana Beaumonta, Simona Beaumonta.

- Proszę zostawić to tutaj, a ja mu doręczę - uśmiechnął się recepcjonista.

- To bardzo miło z pana strony, ale pan Beaumont prosił, abym dała mu znać, że jestem w recepcji.

- Rozumiem, już do niego dzwonię. Kogo mam zapowiedzieć?

- Lucinda Cowper, dziękuję bardzo. - Dziewczyna rozejrzała się, dostrzegła Florę i uśmiechnęła się do niej. - Dzień dobry! Poznałyśmy się na spotkaniu w sprawie Lloyd'sa, prawda? Pamiętam pani piękny niebieski żakiet!

- Ach, naturalnie! - Flora podniosła się i wyciągnęła rękę. - Flora Fielding.

- Pan Beaumont zaraz zejdzie - powiedział recepcjonista. - Cieszy się dziś dużą popularnością - czekają na niego dwie piękne damy.

- Naprawdę? - Lucinda spojrzała na Florę. - Pani także? Pan Beaumont naprawdę ma szczęście.

Drzwi windy otworzyły się i z kabiny wyszła Catherine Morgan.

- Pani Fielding? - zwróciła się do Flory. - Pan Beaumont już idzie i... Och, dzień dobry! - ucieszyła się na widok Lucindy. - Jak miło panią widzieć!

- I nawzajem - powiedziała Lucinda. - Catherine, prawda? Jak się pani czuje? I pracuje pani dla Simona, to świetnie!

- Tak, pan Beaumont był tak dobry, że dał mi tutaj pracę.

- Na pewno nie zrobił tego tylko ze względu na swoją dobroć - zauważyła Lucinda. - A jak pani dzieci?

- Bardzo dobrze, dziękuję... Miło mi, że pani pamięta.

- Niektóre rzeczy pamiętam, inne po prostu przelatują przez siatkę, jaką stał się mój mózg. - Lucinda lekko poklepała swój jeszcze niewielki, ale wyraźnie widoczny brzusek. - Oto winowajca... Tak czy inaczej, ja też wpadłam do Simona, przyniosłam mu książkę na urodziny. Pracuję w wydawnictwie i...

- Ja również przyniosłam mu książkę - przerwała jej Flora. - Mam nadzieję, że nie tę samą! Moja to... Och, witaj, Simon! Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!

- Wszystkiego najlepszego! - przyłączyła się Lucinda.

- Lucinda, jak miło! Tak się cieszę, że was widzę, moje panie! Cudowny dzień! A dzieci Catherine zrobiły dla mnie urodzinowe kartki, wyobrażacie sobie? Wszyscy mnie rozpieszczacie!

- Wierzę w rozpieszczanie - oznajmiła Lucinda. - Przynajmniej z okazji urodzin.

- Wspaniale! No, no, co za zgromadzenie! Można by powiedzieć, że urządziłyście mi przyjęcie urodzinowe! Może pójdziemy do mojego gabinetu, co wy na to?

- Nie, ja muszę już bieć - Lucinda zerknęła na zegarek. - Boże, strasznie się spóźnię. Mam nadzieję, że książka ci się spodoba.

- Na pewno! Napijesz się herbaty, Floro? No, chodź, chociaż na chwilę! Do zobaczenia, Lucindo, dzięki za prezent!

Poprowadził Florę w kierunku windy, a Catherine ruszyła za nimi.

- Wspaniały facet - mruknęła z roztargnieniem Lucinda, szybkim krokiem idąc do drzwi.

## ROZDZIAŁ 20

*CZERWIEC 1990*

Debbie sądziła, że sprawy nie mogą ułożyć się jeszcze gorzej, nie po tym, jak wyskoczyła z tamtą zabójczą uwagą, ale jednak właśnie tak się stało, i to w obecności matki Richarda. Od tamtej rozmowy Richard prawie się do niej nie odzywał, porozumiewał się z nią tylko w codziennych sprawach. Debbie wciąż słyszała swój głos, wypowiadający tamte słowa i nadal trudno jej było uwierzyć, że okazała się aż tak głupia. I okrutna... Nie ulegało wątpliwości, że Richard poczuł się głęboko zraniony, i było to zupełnie zrozumiałe. Zachowała się okropnie. Wyrwało jej się, nie zdołała utrzymać języka za zębami, a on oświadczył, że zepsuła mu całą radość z nowej pracy.

- Teraz nie mam nawet ochoty tam jechać - rzekł wieczorem, patrząc na nią wrogo. - Nie widzę sensu.

- Przestań, nie wygłupiaj się, wcale nie chodziło mi o to, że...

- Chodziło ci o to, że dla ciebie będzie to prawdziwa męka! Cóż, nie zamierzam przybijać cię do krzyża i później do końca życia słuchać wyrzutów, że zmusiłem cię do tego! Oczywiście zawsze mogę pojechać sam, to też jakaś opcja.

- Nie, w żadnym razie! Pojadę z tobą! Po prostu... Po prostu trochę mnie zaskoczyłeś, to wszystko! Chyba rozumiesz, że...

- Rozumiem, że liczy się przede wszystkim twoje życie i twoja praca, natomiast moje potrzeby są niewygodne! Nie tak wyobrażałem sobie małżeństwo!

Debbie zauważyła, dość śmiało, że małżeństwo polega na komunikacji, kompromisie i wspólnym podejmowaniu decyzji.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - oznajmił sztywno. - Tymczasem przez ostatnich kilka miesięcy wszystkie nasze sprawy kręcą się wokół ciebie, twojej pracy, twojej przyszłości. Moje problemy pozostają z boku. Jestem tutaj, próbuję cię wspierać, a fakt, że wykonuję marną, niesatysfakcjonującą pracę, z której dochód nie wystarcza nawet na zaspokojenie potrzeb mojej rodziny, nie ma dla ciebie najmniejszego znaczenia. Lepiej zastanów się nad tym, Debbie, bo długo w ten sposób nie pociągniemy.

Sam pojechał do Walii po dzieci; powiedział, że bardzo chętnie spędzi z nimi trochę czasu. Debbie chodziła bez celu z kąta w kąt i nie traciła nadziei, że Richard wróci w lepszym nastroju. Nic z tego.

Na dodatek zjawiała się jeszcze Flora.

Tylko na jedną noc - przyjechała późno i od razu zaczęła opowiadać o koncertach, na których była i jakiejś naprędce zorganizowanej urodzinowej imprezie w biurze Simona Beaumonta.

I właśnie wtedy to się stało.

Jedli śniadanie. Debbie usmażyła grzyby i jajecznicę, ponieważ Flora za tym przepadała; dzieci ucieszyły się, że mogą zjeść coś pysznego, bo zwykle dostają okropne muesli. Debbie myślała, że Richard też będzie zadowolony, lecz on z ponurą miną zjadł posiłek, odzywając się tylko wtedy, kiedy musiał.

- Richard, co to była za wiadomość, z którą dzwoniłeś do nas ze Szkocji? - zapytała Flora.

- Och, to nic ważnego...

- Naprawdę?

- Wręcz przeciwnie - odezwała się Debbie. - Richardowi zaproponowano nową pracę, właśnie w Szkocji, na stanowisku zastępcy dyrektora bardzo dobrej szkoły podstawowej.

- Tak? - ucieszyła się Flora. - To cudownie! Dlaczego nic mi nie powiedziałeś, na miłość boską?

- Bo nie zamierzam przyjąć tej propozycji - Richard wstał i przełknął resztę soku pomarańczowego.

- Nie zamierzasz jej przyjąć? - zdziwiła się Flora. - Dlaczego?

- Ponieważ przedyskutowaliśmy to z Debbie i uważamy, że nie leżałoby to w interesie naszej rodziny - rzekł Richard, patrząc na żonę z wyraźną antypatią.

Debbie drgnęła nerwowo.

- Jak to? - Flora uniosła brwi. - Ale przecież...

Przerwała, ponieważ Debbie podniosła się od stołu z oczami pełnymi łez.

- Przepraszam na chwilę - wymamrotała, wybiegając z kuchni. Flora zmierzyła Richarda twardym spojrzeniem.

- To chyba szkoda, ale na pewno sami wiecie, co dla was najlepsze - powiedziała. - Muszę się już zbierać. Odwieszysz mnie na dworzec, Richardzie?

Debbie zeszła na dół, pocałowała Florę na pożegnanie i próbowała udawać, że wszystko jest w porządku i że wcale nie płakała. Kiedy Richard wrócił, oświadczył, że jedzie do szkoły, ponieważ ma dużo pracy i potrzebuje spokoju i ciszy. A gdy po południu zjawił się w domu, wcale nie krył, że nie może patrzeć na Debbie. I tak to się ciągnęło.

Później Debbie spróbowała jeszcze raz.

- Proszę cię, porozmawiajmy spokojnie! Bez całego tego emocjonalnego bagażu, dobrze? Nie mogę przecież w kółko powtarzać, że jest mi przykro.

- Nie musisz. Wcale nie chcę, żebyś mówiła nieprawdę.

- Ale to prawda, do cholery! - krzyknęła, rozwścieczona i sfrustrowana.

- Nie kluj!

- Będę klęła, jeżeli przyjdzie mi na to ochota! Posłuchaj...

- Debbie, powiedziałaś, że nie chcesz jechać do Szkocji i jeśli o mnie idzie, to na tym koniec. Niestety.

- Nic takiego nie powiedziałam, to niesprawiedliwe! Zauważyłam tylko, że dla mnie nie jest to idealne rozwiązanie! I bardzo tego żałuję, nie powinnam była. Ale powiedziałam też, że pojedę, że zrezygnuję z pracy! Czego jeszcze chcesz, cyrografu?

- Chcę mieć żonę, która mnie wesprze - rzekł. - Szczerze, nie z niechęcią.

- Nie robię tego z niechęcią! Och, to beznadziejne! Co zrobiłeś w sprawie tej pracy? Uważam, że mam prawo wiedzieć!

- Odrzuciłem propozycję. Powiedziałem pannie Dunbar, że nie możemy przyjechać, że ty nie decydujesz się na przeprowadzkę do Szkocji, że byłoby to niedobre dla naszej rodziny.

Najpierw zrobiło jej się zimno, a zaraz potem niedobrze. Zakręciło jej się w głowie, myślała, że zemdleje.

- Naprawdę to zrobiłeś? Oficjalnie? Bez porozumienia ze mną?

- Tak.

- Nie miałeś prawa, Richardzie! Jesteś szalony!

- Masz ci los! Robię, co chcesz, a ty mówisz mi, że oszalałem!

- Wcale tego nie chcę - powiedziała bardzo cicho, trzęsąc się ze zdenerwowania. - I ty doskonale o tym wiesz, chociaż ukrywasz to pod tą swoją cholerną dumą i zarozumiałością! Zrobiłeś to tylko po to, aby mnie zranić, chociaż Bóg jeden wie, dlaczego tak ci na tym zależały.

- Może powinnaś najpierw przyjrzeć się swojemu postępowaniu. - Richard wstał i podszedł do drzwi. - Naprawdę nie wydaje mi się, aby ta rozmowa prowadziła do czegoś dobrego!

Zamknął za sobą drzwi starannie i cicho, a ona została, wpatrzona w krzesło, na którym przed chwilą siedział. I bardzo, bardzo przestraszona.



- Więc tak to wygląda - powiedziała Lucinda. - I tak zrobimy! Sprytne, co? Nie jesteś zadowolony?

Nigel siedział naprzeciwko niej na wielkiej kanapie - znowu umówili się na spotkanie w hotelu Selfridges - i chłonał wzrokiem jej śliczną, słodką i przejętą twarz, jej łagodny uśmiech i błyszczące niebieskie oczy. Miał uczucie dziwnego oderwania od rzeczywistości. Czy ona naprawdę mówiła te wszystkie rzeczy, wysuwała te sugestie bez trudu, a nawet z wyraźnym entuzjazmem? Nie była to Lucinda, w której się zakochał i którą poślubił... Zmieniła się, bardzo się zmieniła, i winę za to ponosił tamten człowiek. To on zbrutalizował ją, wypaczył jej rozeznanie dobra i zła, jej honor. A teraz najwyraźniej próbował zrobić to samo z nim...

- Oczywiście będziesz musiał potwierdzić całą tę historię - ciągnęła. - Ale przecież to prawda!

- Prawda? - zawahał się. - Jesteś o tym przekonana?

- O co ci chodzi? Nigel, nie zdrażamy wiele, jeżeli będziesz stwarzał trudności! Tu chodzi o ciebie, nie zapominaj o tym! Więc to prawda, czyż nie?

- No, cóż... Cóż, nie pamiętam tej sprawy z galerią.

- Nie pamiętasz? To świadczy tylko o tym, że byłam całkowicie pozbawiona egoizmu i nie chciałam cię martwić! Ale chyba przypominasz sobie, że kiedy się poznaliśmy, pracowałam w agencji?

- Tak, oczywiście!

- Nie możesz sobie tylko przypomnieć, że proponowali mi wyjazd do Nowego Jorku?

- Właśnie... Tego zupełnie nie pamiętam.

- Więc będę musiała ci o tym przypomnieć, wyłącznie po to, aby spinki do mankietów dziadka Cowpera pozostały tam, gdzie ich miejsce! No, proszę, postaraj się trochę!

- Mam przypominać sobie rzeczy, które w ogóle się nie wydarzyły? - Nigel sam usłyszał nutę goryczy w swoim głosie.

Lucinda westchnęła.

- Ależ wydarzyły się! Porozmawiam z Virgilem Barrymore'em, który na pewno zdoła cię przekonać, że tak było! Naprawdę, mój drogi, poprosili mnie, żebym pojechała do Nowego Jorku, a ja odmówiłam! Bardzo proste!

- A tamta sprawa? To, że założyłam dla ciebie fundusz powierniczy, bo niepokoję się o twoją przyszłość?

- A nie niepokoisz się o mnie?

- Oczywiście, że się niepokoję...

- Więc w czym rzecz?

- Ale jak zareaguje na to pan Horton? I... I jeszcze tamta rzecz, o której wspomniałaś.

- Nie będzie miał nic przeciwko temu - oznajmiła Lucinda. - Wszystko będzie w porządku. Teraz porozmawiajmy o domu i o tym, co możemy zrobić w tej kwestii.

Nigel poddał się i skupił na jej słowach. Plan był bardzo sprytne. Naprawdę bardzo sprytne. I z całą pewnością rozwiązywał wiele spraw. Jednego tylko Nigel był absolutnie pewny, niezależnie od tego, jak

bardzo zdecydowana i przekonana o słuszności swoich decyzji była Lucinda - wiedział, że Hortonowi wcale się to nie spodoba. O, nie...

Catherine osiągnęła poziom nieustannego zdenerwowania z powodu pieniędzy i chociaż może wydawać się to dziwne, w pewnym momencie straciła poczucie rzeczywistości w tej sprawie. Wiedziała, że nic nie może poradzić na swoje kłopoty, dlatego mogła tylko przestać je dostrzegać. Było to trochę jak wyjątkowo dotkliwy ból, do którego w jakiś sposób przywykła; przyjmowała środki przeciwbólowe w postaci swojej pracy, dzieci oraz nielicznych przyjaciół, i dzięki temu prowadziła w miarę normalne życie. Tylko w nocy, kiedy środki uśmierzające przestawały działać, musiała stawać twarzą w twarz z nagą prawdą - z listami - coraz bardziej nagłymi - od swego agenta, dręczącym wahaniem, czy sprzedać mieszkanie, przerażeniem, że może znowu będzie musiała zabrać Freddiego ze szkoły, w której czuł się tak dobrze, i paralizującym lękiem, co stanie się z samotną matką bez grosza przy duszy, obciążoną ogromnymi długami, których nie jest w stanie spłacić. Może dzieci zabierze opieka społeczna, a ona będzie musiała zebrać na ulicy...

Mimo tego w pracy robiła wrażenie pogodnej, sprawnej i odważnej i czuła, że do pewnego stopnia faktycznie taka jest; chwilami zaskakiwała nawet samą siebie. Może powinna była zostać aktorką? Wiele wskazywało na to, że mogłaby bez większego trudu zdobyć Oscara.

Pewnego popołudnia podniosła wzrok znad klawiatury komputera i zobaczyła uśmiechniętego Simona.

- Cześć, Catherine. Chcę poprosić cię o przysługę.

- Oczywiście!

Spodziewała się, że przydzielili jej jakieś dodatkowe zadanie, tymczasem on chciał tylko, żeby pojechała do Ascot z kilkoma osobami z Graburn & French.

- I żebyś roztoczyła opiekę nad zaproszonymi przez nas paniami - dodał.

Odparła, że to wspaniała propozycja, ale że nie może z niej skorzystać. Że nie ma co na siebie włożyć, że na pewno od razu coś upuści i rozleje, że nie potrafi się odezwać w tak eleganckim towarzystwie i że Simon jest dla niej za dobry. Pośpiesznie przerwał ten potok upokarzających dla Catherine wyznań i oświadczył, że wcale nie jest za dobry, tylko planuje wykorzystać jej nieocenione zalety i „umiejętność dyskretnego zajmowania się ludźmi”.

- Potrzebny mi ktoś, kto dopilnuje, czy w łóży niczego nie brakuje, czy nie trzeba komuś dolać wina, czy wszyscy się najedli, wiedzą, gdzie są toalety i tak dalej. Chodzi mi zwłaszcza o żony naszych gości. Chcę mieć pewność, że nikt nie poczuje się zaniedbany i pozostawiony sam sobie. Nie masz pojęcia, jak łatwo jest wprawić ludzi w zły nastrój... Jakaś cicha kobietka nie zostanie przedstawiona innym i spędzi cały dzień gdzieś w kącie, podczas gdy jej mąż będzie szastał pieniędzmi i świetnie się bawił. Jesteś idealną osobą do tego zadania. Wyścigi przypadają w środę za dwa tygodnie. Jeżeli martwisz się, że nie masz nic odpowiedniego na taką okazję, kup sobie wszystko, czego potrzebujesz, oczywiście na koszt firmy,

podpiszę rachunek. I naturalnie nie musisz niepokoić się o dzieci - ruchem głowy wskazał fotografię na biurku. - Pokryjemy wszystkie koszty, możesz być spokojna.

- Nie, nie! - zaprotestowała. - Mam bardzo miłą sąsiadkę, panią Lennox, która chętnie pomaga mi w czasie wakacji. Na pewno zgodzi się nimi zająć.

Tego samego dnia zapytała panią Lennox, która odrzekła, że z przyjemnością zaopiekuje się dziećmi.

Catherine, uspokojona i podekscytowana, poczuła się trochę jak Kopciuszek, który nagle dostał zaproszenie na bal, i wyruszyła na zakupy. Zdecydowała się na firmę Fenwicks - Simon zapewnił jej budżet w wysokości 200 funtów, który wydał jej się ogromną fortuną. Kupiła sukienkę i żakiet, podobne do kostiumu, jaki rok wcześniej miała na sobie księżna Diana, ponieważ uznała, że jeśli chodzi o styl, będzie to najbezpieczniejsze rozwiązanie. Obie rzeczy były bardzo proste, z jedwabiu w odcieniu fuksji, żakiet z klapami obszytymi czarną lamówką. Do tego wybrała prosty, elegancki kapelusz z czarnej słomki i czarne czółenka na dość niskim obcasie (Simon powiedział, że prawie cały dzień będzie na nogach, więc zależało jej na wygodnych pantoflach).

Dzieci wydawały się całkiem zadowolone, że spędzą dzień pod opieką pani Lennox; Caroline przyjęła tę wiadomość z uśmiechem, natomiast Freddie był dziwnie nieswój, blady i zmęczony, chociaż na pytania Catherine uparcie odpowiadał, że nie ma się czym niepokoić.

- Nic mi nie jest - powtarzał. - Nie martw się o mnie!

Elizabeth zamierzała wcześniej wyjść z agencji. Wiedziała, że Simon chce porozmawiać z nią o planowanym procesie, ale zaraz po lunchu do jej gabinetu zajrzał szef działu obsługi klientów i powiedział, że ma problem z przygotowywaną na następny dzień prezentacją. Elizabeth zorientowała się, że rozwikłanie problemu zajmie sporo czasu i zadzwoniła do Simona.

- Przepraszam - powiedziała. - Postaram się być w domu przed dziewiątą. To chyba nie za późno, co?

- Chyba nie - odparł, wyraźnie zmęczony i przybity.

- Przepraszam cię - powtórzyła. - Nic nie poradzę, to naprawdę ważna sprawa...

- Nie szkodzi.

Dotarła do domu o dziesiątej trzydzieści.

Simon czytał w łóżku. Spojrzał na nią i zaraz znowu utkwiał wzrok w książce. Jego twarz była kompletnie pozbawiona wyrazu.

- Miło, że wróciłaś - rzucił.

- Przecież byłam w pracy!

- Jasne, jak zawsze... Ważny klient, prawda?

- Ważny potencjalny klient! Jutro prezentacja, która wymagała błyskawicznych poprawek. Boże, ależ jestem zmęczona.

Zrzuciła buty, rozmasowała kark.

- Naprawdę? Tak mi przykro... Cóż, ja jestem tylko nieważnym mężem. W tym domu obowiązują dwa prawa, jedno dla bogatych, drugie dla biednych, przy czym ja naturalnie należę do tej drugiej kategorii!

- Simon...

- Ty możesz przesiadywać w pracy do późnej nocy, wychodzić na proszone kolacje, odwoływać wieczory ze mną i wszystko jest w porządku! Ale uchwaj Boże, gdybym to ja pozwolił sobie na coś podobnego!

- Jak śmiesz - wybuchła Elizabeth, zdyszana z wściekłości. - Jak śmiesz porównywać swoje zachowanie z moim?! Pozwól, że ci coś przypomnę - to nie ja wdałam się w romans, nie ja oświadczyłam, że zakochałam się w kimś innym, nie ja groziłam rozstaniem! Ja tylko pracuję, rozumiesz?! Ja tylko staram się zarobić dość pieniędzy, żebyśmy nie zbankrutowali już jutro!

- O, cholera, mam już dosyć wysłuchiwania uwag o moim złym zachowaniu! Jak długo jeszcze mam chodzić we włosiennicy, z głową posypaną popiołem, co? Minęły już prawie dwa lata, Elizabeth! Opuść mi wreszcie, na miłość boską! Wydaje ci się, że miło jest mi żyć w tym koszmarze z Lloyd'sa?! Robię, co mogę, naprawdę robię, co w mojej mocy dla ciebie i dzieci! Ale cokolwiek bym zrobił, żeby poprawić sytuację, i tak dostaję tylko po głowie, a to za sprzedaż Chadwick, a to za sprzedaż obrazów. Jezu Chryste, dziś wieczorem doszedłem do wniosku, że muszę sprzedać „Lizzie”. Przeraza mnie to, wierz mi! Wiem, że to moja wina, ale nie dam sobie rady bez ciebie, bez twojego wsparcia, więc przestań ciągle wypominać mi moje błędy.

Przerwał, a ona z zaskoczeniem dostrzegła łzy w jego oczach, które szybko otarł wierzchem dłoni.

- Najlepiej odpięrz się, i już! - warknął. - Idź spać, przygotuj prezentację na jutro czy coś w tym rodzaju.

W pokoju zapanowała długa cisza. Elizabeth nagle usiadła i położyła rękę na ramieniu męża.

- Przepraszam cię - powiedziała. - Bardzo cię przepraszam, ja... Nie pomyślałam o tym wszystkim. Nie zdawałam sobie sprawy, jak fatalnie się czujesz i jak bardzo się martwisz. A powinnam była pomyśleć.

- Tak, powinnas była! Nigdy w życiu nie czułem się taki samotny!

Otóż to, zrozumiała nagle, wpatrując się w niego. Oboje czuli się samotni. Byli samotni. Rozdzieliła ich przepaść wyrzutów i odrzucenia. Jak mieli ją pokonać? Nagle ogarnęła ją fala przerażenia, że może uczucie bliskości zniknęło już na zawsze.

- Chyba lepiej będzie, jeżeli odejdę - odezwał się Simon.

- Dokąd?!

- Nie wiem... Po prostu odejdę stąd, z domu, od was. Najwyraźniej do niczego nie jestem wam potrzebny. Mówię szczerze, lepiej wam będzie beze mnie. Wyprowadzę się, Elizabeth. Pogubiliśmy się i nie ma już dla nas drogi powrotu.

Patrzyła na niego w milczeniu.

- Nie czujesz tego? - zapytał. - Powiedz szczerze! Nie sądzisz, że czas się poddać? Bo ja tak. Walczyliśmy z tym długo i wcale nie wygrywamy, prawda? - Twarz miał poszarzałą z rozpaczy. - Boże, jak ja cię kochałem. I ty mnie także... Ale to już odeszło... Naprawdę tak myślę. Staralem się, Bóg mi świadkiem, że starałem się wrócić do tamtych dni, odzyskać cię, ale nie jestem w stanie tego zrobić. Za daleko już zabrnęliśmy.

Elizabeth siedziała na łóżku i myślała, że Simon rzeczywiście zrobił, co w jego mocy; zdawała też sobie sprawę, że musi jakoś spróbować wyjaśnić mu swoje zachowanie. Wymagało to wielkiej odwagi, a ona nie była pewna, czy ją posiada. Odwagi, aby opuścić gardę, odrzucić maskę zimnej, opanowanej, samowystarczalnej osoby i odsłonić prawdziwą siebie, słabą, kruchą i zależną od niego.

- To wszystko... to wszystko nie twoja wina - zaczęła powoli, z ogromnym wysiłkiem. - To przeze mnie... Czuję się taka... Taka niezdolna do niczego... Nie mogę... Nie mogę sobie z tym poradzić...

- Z czym?

- Nie umiem z tym żyć. To strasznie trudne - poczuła, jak łzy napływają jej do oczu. - Wydaje mi się, że już nie jestem tą kobietą, której pragniesz. Że nie mogę nią być.

- Zawsze byłaś tą, której pragnąłem!

- Ale nie do końca, prawda? Na tamtej też ci zależało. A teraz... Teraz zawsze, zawsze, gdy jesteśmy razem, blisko, kiedy się kochamy, myślę o niej... Albo raczej o tobie i o niej... Co takiego zrobiła? Co takiego zrobiła, żeby sprawić ci przyjemność? W jaki sposób różniła się ode mnie? Czy wiedziała, jak cię podniecić, czy robiła rzeczy, których ja nie umiałam, nie rozumiałam.

- Elizabeth...

- Nie, nie, wysłuchaj mnie. Musisz zrozumieć! To dlatego jestem taka zazdrosna! Dlatego tak się boję. Obserwuję samą siebie, kiedy jestem z tobą w łóżku i... i nie mogę... Nie mogę... - Łzy popłynęły jej po policzkach, zaczęły kapać na pościel; otarła je gniewnym ruchem. - Myślisz, że łatwo jest mi przyznać się do tego? Że czuję się nie dość dobra, kiedy jestem z tobą? Jest mi trudno! Okropnie trudno! Jestem w rozpacz! Mam dosyć samej siebie!

Wyciągnął rękę i bardzo delikatnie dotknął jej twarzy.

- Teraz już wiesz, jak ja się czuję - powiedział. - Bez przerwy... Ciągłe mam siebie dosyć. Moja najdroższa Elizabeth, nigdy nie pragnąłem nikogo tak bardzo jak ciebie. Nigdy! I po wszystkich tych latach nadal cię pragnę, aż do bólu. To, co wtedy zrobiłem, było czymś w rodzaju... czymś w rodzaju odwetu, tak. Oczywiście jest to bardziej złożone, bynajmniej nie udaję, że był to jedyny powód - uśmiechnął się do niej. - Nie jestem najlepszym mężem na świecie, wiem o tym. Ale wydawało mi się, że stawiasz mnie na ostatnim miejscu, i to zawsze. Nie, jeszcze inaczej, po prostu rzuciłaś mnie emocjonalnie i zajęłaś się swoimi ważnymi sprawami. Byłem zbyt wymagający, zabierałem ci za dużo czasu. Trudno jest żyć z taką świadomością. W tym samym czasie ktoś inny postawił mnie na pierwszym miejscu i było to bardzo przyjemne. Tyle że... Cóż, bardzo szybko okazało się, że to mi nie wystarcza. W głębi serca pragnąłem tylko ciebie. Gdybyś wiedziała, jak bardzo... I jak bardzo nadal cię pragnę i kocham.

- Naprawdę?

- Oczywiście... Widzę, że zastanawiasz się, jak to możliwe, skoro cię zdradziłem, ale tak naprawdę była to tylko częściowa zdrada. Zrobiłem to dlatego, że nie mogłem mieć ciebie, nie tak jak dawniej. Wiem, że to marna wymówka i nie zamierzałem do tego wracać, bo przecież rozmawialiśmy już o tym tyle razy, okropnie wstydzę się siebie i swojego zachowania, ale pozwól mi powiedzieć ci, ten jeden, ostatni raz, że cię kochałem, pragnąłem i potrzebowałem, a ty nie chciałaś mnie już, nie chciałaś mnie kochać i pragnąć... Możesz mówić, że to nie tak, lecz ja tak się czułem. I nadal tak się czuję, uwierz mi. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że usunęłaś się z mojego życia. Jesteś wspaniała, przyjęłaś mnie z powrotem i nadal byłaś idealną żoną, którą wszyscy podziwiają, ale straciłem cię, tę część ciebie, która była mi najbliższa.

- Wcale mnie nie straciłeś, rozumiesz? Właśnie to próbuję ci przecież powiedzieć! Nadal jestem tuż obok, tyle że ukryłam tę część, o której mówisz, bo inaczej nie poradziłabym sobie z codziennością! Musiałam udawać chłodną i opanowaną, całym swoim zachowaniem mówić: „Popatrzcie na mnie, wciąż się uśmiecham, wciąż odnoszę sukcesy, wciąż mam kontrolę nad swoim życiem! Tamten skok w bok Simona nie miał dla mnie wielkiego znaczenia, nie należę do kobiet, które załamują się po zdradzie męża!”.

- I naprawdę dobrze udawałaś - pokiwał głową. - Czasami myślałem, że jeśli tak świetnie radzisz sobie z tą sytuacją, to widać wcale cię to tak boleśnie nie dotknęło. I co to mówi o tobie, o mnie i o naszym małżeństwie?

Patrzyła na niego, wstrząśnięta i przestraszona.

- O, Boże - westchnął. - Zapuściliśmy się na niebezpieczne terytorium, byle tylko wykazać swoją wyższość... Ja uciekłem w niewierność, ty w odrzucenie innego rodzaju. Ale przynajmniej teraz rozumiem i mogę spróbować znowu przyciągnąć cię do siebie, oczywiście tylko spróbować... Zdaję sobie sprawę, ile wysiłku wymagało od ciebie wyjaśnienie mi tego wszystkiego i wiem, że oznacza to, że nadal mnie kochasz... I wiesz, jak teraz się czuję?

- Nie! - odparła, prawie z rozdrażnieniem.

Spojrzała na niego i zobaczyła na jego twarzy najbardziej zaraźliwy, cudowny uśmiech.

- Mam ochotę wykrzyczeć to przez otwarte okno, dać ogłoszenie w gazetach, wynająć samolot z transparentem: „Elizabeth Beaumont mnie kocha!!!” Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie! I jeżeli usiądziesz tutaj, o, tak, trochę bliżej, i zdejmiesz te idiotyczne pantofelki, i może jeszcze żakiet... Jeżeli zrobisz to wszystko, postaram się przekonać cię, że nigdy w życiu nie mówiłem poważniej!

To był wspaniały seks - szybki, gwałtowny, namiętny. Po raz pierwszy pragnęła go, naprawdę pragnęła go od... No, od tamtego czasu. I pierwszy raz poczuła się na tyle swobodnie, że odrzuciła mroczny gniew i rozpacz, które tak długo wisiały nad ich łóżkiem. Czuła się kochana, naprawdę kochana i bez reszty nim pochłonięta, zapomniała już, że seks może zatrzeć wszystkie inne wrażenia, że czas, miejsce i inne aspekty rzeczywistości mogą zatracić się w jego intensywności i rozkoszy, jakiej dostarcza. Miała orgazm, najpierw jeden, potem drugi, krzyczała, wyginała ciało w łuk, pragnęła, aby te doznania trwały i trwały.

Później, leżąc na łóżku, nadal częściowo ubrana, prawie zaskoczona głębią swego pożądania, z umysłem wyzwolonym z napięcia, uśmiechnęła się do niego.

- Bardzo mi tego brakowało. Bardzo...

- Mnie także... Wygląda na to, że dalej umiemy to robić, musimy tylko dużo trenować.

- Bardzo chętnie!

- Nigdy nie kochałem nikogo tak jak ciebie, Elizabeth. Pod każdym względem. Postaraj się uwierzyć...

- Dobrze.

Roześmiała się i nagle dotarło do niej, że czuje się zupełnie inaczej. Że jest silniejsza i dużo bardziej szczęśliwa. Była realistką i doskonale wiedziała, że za jakiś czas wróci do zazdrości i gniewu, ale też pierwszy raz od tamtych dni czuła, że może jednak zostawi za sobą tamte przeżycia.

- Kocham cię! - uśmiechnęła się.

Nie mówiła mu tego od dawna. Tak dobrze było znowu móc to zrobić.

- Ja też cię kocham - odparł.

## ROZDZIAŁ 21

*CZERWIEC 1990*

- I może mogłabym zaprosić pana na drinka po spotkaniu? Czy naprawdę zdobyła się na taką propozycję?

- Z przyjemnością skorzystam z zaproszenia...

Zamierzała zaprosić mężczyznę - nieszczególnie atrakcyjnego, ale bardzo sympatycznego i zajmującego ważne stanowisko - na drinka... Za własne pieniądze.

- „Royal Garden” jest stosunkowo blisko - powiedziała. - Czy to miejsce by panu odpowiadało?

- Jak najbardziej, dziękuję!

Nie ulegało wątpliwości, że cały pomysł przypadł Derekowi Earnshawowi do gustu w nie mniejszym stopniu niż samej Debbie.

Pójdzie do baru eleganckiego hotelu... W porze popołudniowej herbaty, w porze podwieczorku, na przykład rybnych paluszków, tyle że ona będzie jadła oliwki i te wyjątkowo cieniutkie, chrupiące chipsy, popijając je znakomitą, zimnym chardonnay.

Machnęła już ręką na Richarda - cała ta sprawa po prostu nie miała sensu. Życie było okropne. Aż do dzisiaj.

Jakimś cudem po powrocie do pracy udało jej się przywołać tę drugą Debbie, chłodną, sprawną i inteligentną, tę Debbie, która świetnie radziła sobie z trudnymi wyzwaniem i którą wszyscy w pełni akceptowali.

Kontrast między jedną i drugą był tak wielki, że coraz bardziej czuła się tą drugą; była też seksowna, dowcipna i absolutnie czarująca.

To było jej pierwsze całkowicie samodzielne zadanie - kampania marketingowa małej firmy wydawniczej, specjalizującej się w książeczkach dla dzieci, których bohater lub bohaterka mogli nosić imię czytelnika.

- Powinnaś się tym zająć - oświadczyła Anna. - Masz dzieci, więc na pewno przyjdzie ci do głowy mnóstwo pomysłów.

I rzeczywiście. Zgodnie z jednym z nich każde dziecko, które miało dostać książkę, mogłoby wziąć udział w konkursie na krótkie opowiadanie - zwycięski utwór zostanie wydrukowany i już w ostatecznej formie ofiarowany młodemu autorowi. Właśnie z tego pomysłu Debbie była najbardziej dumna.

- A w jury znajdzie się znany autor książek dla dzieci - wyjaśniała. - Może zwycięzca konkursu mógłby się z nim nawet spotkać.

- Świetnie! - pochwalił ją Derek Earnshaw. - Doskonały pomysł, bardzo mi się podoba! Dobra robota!

Podobały mu się także inne jej pomysły. Wchodząc z nim do baru hotelu „Royal Garden”, Debbie czuła się podekscytowana i zadowolona z siebie, zupełnie jakby wkraczała do teatru po specjalnie dla niej rozłożonym czerwonym dywanie albo...

- Witaj, Debbie! Cieszę się, że cię widzę!

Simon Beaumont. Do tej pory widywała go tylko w sportowym stroju, teraz miał na sobie ciemnoszary garnitur, w którym wyglądał wyjątkowo elegancko. I jakby młodziej... Kiedy podniósł się od stolika i pocałował ją w policzek, poczuła się jeszcze lepiej.

- Ja też bardzo się cieszę, Simon - powiedziała. - To Derek Earnshaw, mój klient, a to Simon Beaumont.

- Który także bardzo chciałby zostać klientem Debbie! - Simon z uśmiechem wyciągnął rękę do Earnshawa. - Miło mi pana poznać.

Debbie przyszło do głowy, że sama nie napisałaby lepiej scenariusza tego spotkania.

Siadali właśnie przy stoliku pod oknem, kiedy do Simona podszedł młody, atrakcyjny mężczyzna o ciemnych, ostrzyżonych na lekko sterczącego jeża włosach, w bardzo nowoczesnym i eleganckim garniturze. Szkoda, że nie zjawił się parę minut wcześniej, pomyślała i zaraz ostro się skarżyła. Skup się, Debbie! Jesteś ciężko pracującą kobietą, nie jakąś latawicą! Musisz zająć się klientem!

- Miły człowiek - odezwał się Derek Earnshaw. - Czym się zajmuje?

- Simon Beaumont? - spytała lekko. - Zarządza bankiem.

Simon od razu poczuł sympatię do Joela Stricklanda. Oczywiście nie spodziewał się, że zobaczy zaniedbanego dziennikarzynę w poplamionej piwem marynarce, jasne, ale nie liczył też na spotkanie z bystrym, robiącym doskonałe wrażenie młodym człowiekiem, na dodatek świetnie zorientowanym w temacie.



- Postaram się powiedzieć panu wszystko, co wiem, naturalnie w dużym skrócie - zaczął. - Nie mam zbyt wiele czasu, jadę z klientami do White City, na wyścigi psów. Był pan tam kiedyś?

- Tak, raz czy dwa z chłopcami z działu sportowego. To niezła zabawa - uśmiechnął się Joel. - Przede wszystkim chciałbym podziękować panu, że znalazł pan dla mnie chwilę. Zależy mi na każdym szczególe tej historii, więc proszę po prostu opowiedzieć mi o swoich doświadczeniach z Lloyd'sem, o tym, jaki wpływ wywarła ta sprawa na pana życie.

Zadawane przez Stricklanda pytania były dość łatwe do przewidzenia: kiedy Simon pierwszy raz pomyślał o tym, aby zostać Nazwiskiem, kto wprowadził go do Lloyd'sa, jaką kwotę wpłacił, czy zachęcano go, aby ją powiększył, czy mógł wybierać syndykaty, w które inwestował.

- Niestety, nie! - westchnął Simon. - Zresztą nawet gdybym mógł, to skąd miałbym wiedzieć, że Westfield Bradley jest jedną z najgorszych grup. Tak, powiedziano mi, że zawsze zarobię na grupie Marine & Motor... Odparłem, że jestem tym zainteresowany, a oni się zgodzili. I umieścili moje pieniądze w tej grupie, ale także w innych. Dopiero później dowiedziałem się, że Westfield Bradley zмага się z roszczeniami w związku z azbestozą.

Powtórzył, że absolutnie niczego nie podejrzewał. Lloyd's cieszył się nienaganną opinią, wielu przyjaciół zarobiło dzięki firmie spore pieniądze.

- Uznałem, że mam szczęście. Przecież nie wszystkich zapraszali, prawda?

- I potem nastąpiły dobre lata?

- Bardzo dobre, cała dekada, nie da się zaprzeczyć. Później... Cóż, pierwsze plotki zaczęły krążyć chyba pod koniec osiemdziesiątego siódmego roku. Pamiętam, że byłem gdzieś na lunchu i przypadkiem usłyszałem, jak ktoś mówi, że jego zdaniem Lloyd's zacznie wkrótce ściągać z Nazwisk ciężką forszę, bo firma jest zadłużona na miliard funtów, czy coś w tym rodzaju. Powiedziałem wtedy, dość beztrąsko, wie pan, jak to jest, że przecież nic nie mogę na to poradzić. Wszyscy byliśmy pewni, że nasze syndykaty nie doznają szkody i że nasi agenci dopilnują, abyśmy nie ponieśli żadnych strat. Człowiek zawsze sobie wyobraża, że nieszczęście spotka kogoś innego...

- A teraz nie może się pan wycofać, tak?

- Teoretycznie mogę zrezygnować, ale to zwalnia mnie z odpowiedzialności finansowej tylko za nowe przedsięwzięcia Lloyd'sa. Wszystko, co podpisałem, to po prostu cyrograf. Przedstawiciele firmy mogą pociągnąć do odpowiedzialności nawet moich spadkobierców, jeżeli uznają, że gra jest warta świeczki. Można więc powiedzieć, że tamte dobre lata były jak sen, a przebudzenie nastąpiło w osiemdziesiątym ósmym, kiedy otrzymałem pierwszy wyciąg z debetowym saldem.

- Jak się pan wtedy poczuł?

- Przeraziłem się, mało nie narobiłem w portki, prawie dosłownie. Ten rok jest jeszcze gorszy. Nie wykluczone, że będę musiał sprzedać dom w Londynie, ale zamierzam podać ich do sądu.

- Naprawdę?

- Tak. Wiele osób nosi się z takim zamiarem, wszystkie obsługiwała ta sama agencja. Wystąpimy na drogę sądową, jednak nie przeciwko Lloyd'sowi jako całości, bo to raczej nie miałyby wielkich szans powodzenia.

- Kto jest autorem tego pomysłu?

- Facet, który być może też zgodziłby się z panem porozmawiać. Bardzo miły gość. Miał wszystko - duży dom, dzieci w prywatnej szkole. Różnica między nami polega na tym, że jego żona zostawiła go na samym początku afery. Pod tym względem ja mogę uważać się za szczęściarza, naprawdę. Tak czy inaczej, doszliśmy do wniosku, że proces sądowy jest jedynym wyjściem. Zdecydowałem się przekazać panu te informacje głównie dlatego, że niedawno jeden z moich bliskich znajomych próbował popełnić samobójstwo. Był absolutnie zrozpaczony, nie mógł się zdobyć nawet na to, żeby powiedzieć o wszystkim żonie. Łyknął proszki nasenne. Odratowali go, ale nie jestem pewny, czy czuje wdzięczność. Ciężko o tym myśleć... No i nie jest to jedyna ofiara Lloyd'sa, oczywiście.

- Wiem - odparł Strickland. - Rozmawiałem już z sąsiadką pewnej starszej pani, która odkręciła gaz, lecz jej nie dało się uratować. Okropne... Czy nazwisko Allinson coś panu mówi?

- Chyba nie... Dlaczego pan pyta?

- Ktoś podrzucił mi taki trop. Czy pański znajomy, ten niedoszły samobójca, zechciałby może ze mną porozmawiać?

- Nie wiem, zapytam go. Jedno jest pewne - z przyjemnością ujrzałby wszystkich ludzi z Lloyd'sa na dnie piekła.

- Będę wdzięczny za taki kontakt - pokiwał głową dziennikarz. - Nie brak wam odwagi, skoro chcecie podać Lloyd'sa do sądu. Jak posuwają się sprawy?

- Powoli. Mamy bardzo dobrego prawnika i staramy się zmobilizować jak najwięcej ludzi, aby zasilić fundusz procesowy. Byłbym zadowolony, gdyby zebrała ich się przynajmniej setka. No, niezależnie od wszystkiego, rozmawiam z oboma moimi znajomymi i zorientuję się, czy będą chcieli podzielić się z panem swoimi doświadczeniami.

- Czy pamięta pan, w którym roku przedstawiciele Lloyd'sa zasugerowali, aby zwiększył pan inwestowaną kwotę?

- Chyba w osiemdziesiątym trzecim albo czwartym...

- O ile mi wiadomo, roszczenia związane z azbestozą i podobnymi schorzeniami zaczęły być wysuwane już w latach siedemdziesiątych - rzekł Strickland. - Może to byłoby właściwe uzasadnienie waszego pozwu - że ludzie Lloyd'sa z pewnością wiedzieli, co grozi nowym inwestorom.

- Ogólnie rzecz biorąc, o to właśnie chodzi, ale mam wrażenie, że nie powinniśmy tego teraz omawiać. Chyba jest to wbrew zasadom, w każdym razie wolałbym najpierw porozmawiać z naszym adwokatem.

- W porządku, będę bardzo wdzięczny.

- Szczerze mówiąc, miło mi się z panem rozmawiało - powiedział Simon. - A teraz... Ach, Debbie, wychodzisz już?

- Tak, pan Earnshaw śpieszy się na pociąg.

- Rozumiem... Więc nie dasz się skusić na wspólnego drinka, co? Mam nadzieję, że Debbie dobrze się panem opiekowała, panie Earnshaw.

- Znakomicie, dziękuję - uśmiechnął się Derek Earnshaw. - Do widzenia!

- Kto to był? - zagadnął Joel, kiedy tamtych dwoje zniknęło za drzwiami baru.

Wydawało się oczywiste, że jego zainteresowanie wzbudziła Debbie, nie Earnshaw.

- Moja młoda znajoma - odparł Simon.

- Bardzo atrakcyjna.

- Tak, chociaż także odrobinę kłopotliwa!

- Pod jakim względem?

- Och, trudno to określić... Pamiętam, jak Roald Dahl powiedział, że mieszkając z córkami pod jednym dachem, czuł się trochę jak w towarzystwie kapryśnych, wiecznie rozdrażnionych jałówek... Debbie przypomina mocno rozdrażnioną jałówkę.

- Chyba pana lubi...

- To tylko sympatia, nic więcej - rzekł Simon.

\* \* \*

Czekali już na windę, kiedy Debbie zorientowała się, że zostawiła w barze szalik.

- Przepraszam, straszna ze mnie gapa - powiedziała do Earnshawa. - Muszę tam wrócić, proszę się mną nie przejmować.

- Na pewno? Rzeczywiście robi się już trochę późno...

- Oczywiście, niech pan już jedzie, bo inaczej nie zdąży pan na pociąg!

- Jeszcze raz serdecznie pani dziękuję. Jestem bardzo podekscytowany całym projektem...

- To dobrze! Ja również.

Niejeden psychiatra powiedziałby pewnie, że zostawiła szalik celowo, aby zyskać pretekst do powrotu do baru. I ponownego, choćby przelotnego spotkania z Simonem Beaumontem oraz jego interesującym towarzyszem. Jednak Debbie naprawdę nie należała do takich kobiet i chociaż w tej chwili nie rozmawiała z mężem, czy też raczej on nie rozmawiał z nią, to jednak nigdy nie posunęłyby się do podstępu, aby poznać mężczyznę, którego fryzura przypadła jej do gustu. Takie numery należały już do odległej przeszłości. Niestety.

Weszła do baru, starając się nie zwracać na siebie uwagi.

- To znowu ja - powiedziała, kiedy obaj podnieśli na nią wzrok. - Zostawiłam szalik, straszne gapiostwo.

- Cóż, twoja strata to nasz zysk, Debbie! - roześmiał się Simon. - Napij się z nami? No, pozwól sobie na chwilę relaksu! W gruncie rzeczy możesz nawet uznać to za pracę, Joel jest dziennikarzem i może okazać się ważnym kontaktem.

- Może...

Byłoby to pozytywne zakończenie doskonałego dnia. Czują się tak rozluźniona i spokojna. Richard od wielu dni traktował ją jak, za przeproszeniem, psie gówno, które przykleiło mu się do podeszwy, a tu atrakcyjni mężczyźni pochlebiali jej i prosili, aby poświęciła im odrobinę czasu. Trudno się temu oprzeć...

Simon zamówił butelkę szampana. Debbie usiadła obok niego, naprzeciwko Joela i spod oka obserwowała, jak dziennikarz przygląda się jej i uśmiecha, kiedy nieszkodliwie żartowała z Simona i rzucała dowcipne uwagi na temat Flory.

- To moja teściowa, bardzo piękna i pod każdym względem godna podziwu - wyjaśniła.

- Ma tylko jeden minus, potwornie denerwuje Debbie - dorzucił Simon.

- Nie, nieprawda! No, w każdym razie nie „potwornie"! Tak czy inaczej, nie zmienia to faktu, że Simon jest nią zauroczony i...

- Nonsens, po prostu bardzo ją lubię i podziwiam. Niewykluczone, że teściowa Debbie zgodziłaby się z panem porozmawiać - zwrócił się do Joela. - Ona także jest Nazwiskiem, dzięki temu się poznaliśmy.

- Sprawia wrażenie imponującej teściowej - zauważył Strickland.

- I taka jest! - zaśmiała się Debbie. - Trudno wytrzymać z takim wzorem cnót! A pan ma teściową?

Boże, dlaczego wymknęło jej się tak idiotyczne pytanie? Co za straszliwie żenująca sytuacja, co za brak taktu.

- Nie, dzięki Bogu - odparł, rozbawieniem reagując na jej skrepowanie. - Jak na razie zostało mi to oszczędzone.

- Pozwól, że doleję ci szampana, Debbie - odezwał się Simon. - Muszę już lecieć, niestety.

- Nie, nie, nie nalewaj mi więcej.

- Dlaczego? Przecież dobrze się bawisz. Kiedy spotkaliśmy się ostatnim razem, Debbie i ja, wypiliśmy troszeczkę za dużo, prawda, skarbie? I trochę za dużo gadaliśmy.

- Trochę, to prawda...

- A działo się to w kuchni Flory, Joel, nie wyobrażaj sobie, że byliśmy na schadzce w jakimś ustronnym miejscu! O, Boże, zrobiło się naprawdę późno. Czas już na mnie. Dokończcie we dwoje tę butelkę, a ja zajmę się rachunkiem.

- Nie, nie! - zaprotestował Joel. - Nic z tych rzeczy, prasa płaci! Proszę cię, Simon, nie nalegaj!

- Zgoda... Miło mi się z tobą rozmawiało, Joel, naprawdę. Zadzwoń do ciebie i powiem, co z moimi znajomymi. I z procesem.

- Więc pisze pan tekst o Lloyd'sie? - spytała Debbie, kiedy Simon zostawił ich samych.

- Próbuję. Większość zaangażowanych w tę sprawę ludzi nie chce rozmawiać z dziennikarzami, ale Simon otworzył mi pewne drzwi.

- To dobrze. Jest pan redaktorem naczelnym miejskiego wydania „News”, czy tak?

- Zastępcą naczelnego, Simon awansował mnie o jeden szczebel. Proszę mi powiedzieć, co taka miła dziewczyna jak pani robi w dziedzinie PR? - Ciemnobrązowe oczy Joela Stricklanda uważnie patrzyły na Debbie.

- Lubię swoją pracę - odparła, mimo woli przyjmując defensywny ton.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę! To świetne zajęcie, poza tym często mam do czynienia z dziennikarzami! - uśmiechnęła się, chociaż w jej głosie wciąż brzmiała ostra nuta.

- Najwyraźniej jest to bardzo istotny bonus - uśmiechnął się w odpowiedzi. Boże, ależ był seksowny...

- A co robi pani mąż? - zapytał.

- Jest dyrektorem szkoły w Ealing.

- I też uważa to za świetne zajęcie?

- No, nie do końca. Jest trochę zniechęcony i zmęczony, ale niedawno otrzymał propozycję nowej pracy, w Szkocji.

- Więc czeka panią przeprowadzka.

- Nie jestem pewna - odrzekła ostrożnie. - Na razie zastanawiamy się nad tym krokiem.....

- To kawał drogi stąd - zauważył Joel. - Poważna decyzja. Rozstanie z przyjaciółmi i tak dalej...

- Tak, ale to ważne dla niego.

- Cóż, najwyraźniej źle panią oceniłem - znowu uśmiechnął się szeroko. - Wziąłem panią za dziewczynę, która robi karierę, tymczasem teraz widzę pełną poświęcenia żonę.

- Czy to coś złego?

- W żadnym razie, wręcz odwrotnie! Jestem pod wrażeniem. Powiedziałbym nawet, że należy pani do wymierającego gatunku - uniósł kieliszek z szampanem. - Za dobre żony!

- Proszę tak nie mówić! - obruszyła się. - Teraz czuję się nudna i zupełnie przeciętna.

- O, niesłusznie! - Strickland obrzucił ją baczny, poważny spojrzeniem. - Nikt nie uznałby panią za nudną czy przeciętną. To absolutnie niemożliwe.

Zaczerwieniła się, nagle zabrakło jej słów. Joel Strickland przejął inicjatywę.

- Muszę już iść - powiedział.

- Ja także.

- Cieszę się, że mogłem panią poznać.

- Dziękuję, mnie też było bardzo miło - Debbie zerknęła na zegarek. - Boże, jest już naprawdę późno! Do widzenia, Joel!

- Do widzenia, Debbie. Gdybyś kiedyś znalazła się przypadkiem w redakcji „News”, koniecznie do mnie zajrzyj.

\* \* \*

- Powinniśmy się przeprowadzić - oświadczył Blue.

- Przeprowadzić? Dlaczego?

- No, trudno uznać to za dom dla rodziny, prawda? Nie mamy pokoju dla dziecka, ogrodu, mieszkamy w samym środku zanieczyszczonego miasta. Dzieci powinno się wychowywać na wsi.

- Na wsi?!

- Myślałem, że spodoba ci się ten pomysł, Lucy. Sama mówiłaś, że chcesz, aby nasze dzieci jeździły na kucykach i tak dalej.

- To prawda... Więc dokąd mielibyśmy się przeprowadzić?

- Do Chislehurst - odparł Blue bez wahania.

- Chislehurst! Gdzie to jest?

- W Kent.

- Ach, tak... Ale ja nie znam nikogo w Kent. Chyba wolałabym zamieszkać niedaleko przyjaciół czy dobrych znajomych. Na przykład... Na przykład w Gloucestershire.

- Średni pomysł. Nie chciałbym cię urazić, Lucy, lecz twoi rodzice dość skutecznie zniechęcili mnie do Gloucestershire, wiesz? Nie, Chislehurst to znacznie lepszy wybór. Piękna okolica, łatwy dojazd do Londynu, co dla mnie jest bardzo ważne. Poza tym mieszkają tam Luft i Harry, więc byłabyś wśród przyjaciół.

- No, może warto byłoby obejrzeć parę domów - zgodziła się Lucinda. - Nalej mi jeszcze kawy, dobrze?

- Jasne, skarbie! Dobry Boże, w ciąży jesteś jeszcze piękniejsza! Dziś rano wyglądasz po prostu zachwycająco.

- Dziękuję, tak też się czuję - odparła. - Po prostu zachwycająco.

- Mamy niedzielę, więc może powinniśmy wrócić do łóżka. Chociaż na chwilę...

- Doskonały pomysł - uśmiechnęła się.

Zabawne, że w ciąży była jeszcze bardziej spragniona seksu. Wzięła Blue za rękę i pozwoliła zaprowadzić się do sypialni. Dawniej myślała, że ciężarne kobiety nie mają wielkiej ochoty na miłość fizyczną, a tymczasem...

Później, kiedy wróciła już do równowagi po gwałtownej, przesywającej rozkoszy, zanurzyła się w fali rozleniwiającego, ciepłego spokoju. Blue leżał za nią i z pewnym roztargnieniem pieścił jej piersi, cudownie pełne piersi, takie, o jakich zawsze marzyła.

- Oczywiście z radością przeprowadziłabym się na wieś - odezwała się. - Ale może jeszcze nie teraz. Nie przed urodzeniem dziecka, bo przecież nie mogłabym poświęcić przeprowadzce całej uwagi, a to ciężka praca.

- Słusznie - odparł sennie. - Pomyślimy o tym później, skoro tak wolisz.

Lucinda, głęboko zgorzozona własną perfidią, uświadomiła sobie, że oto pierwszy raz nie była z nim całkowicie szczerą. Z drugiej strony, nie mogła nie zauważyć, że zepsułaby im obojgu cudowną niedzielę, gdyby otwarcie przyznała, dlaczego na razie nie chce się wyprowadzać z Londynu.

## ROZDZIAŁ 22

*CZERWIEC 1990*

W Ascot naprawdę panuje wyjątkowa atmosfera, pomyślała Elizabeth, patrząc w dół z łoży na szóstym piętrze, i to mimo całej wulgarności, pijaństwa i nadmiernej komercjalizacji. Przy dobrej pogodzie to wspaniały spektakl - błękitne niebo, zielona wstęga toru, pastelowe odcienie kapeluszy oraz ostre dżokejskich kurtek, zmieniające układ jak w kalejdoskopie; piękne, lśniące zwierzęta, tak wyraźnie zadowolone z możliwości pokazania się. Wszędzie wyczuwało się aurę radości i satysfakcji, a słońce świeciło jasno, niezagrożone choćby jedną chmurką.

Elizabeth była bardzo zadowolona ze swego stroju - kremowej jedwabnej garsonki, bardzo prostej, i kapelusza z czarnej słomki, z szerokim rondem otoczonym kremową wstążką. Do tego włożyła pantofle z paseczkami, na bardzo wysokim obcasie, chociaż doskonale wiedziała, że pod koniec dnia będzie tego gorzko żałowała. Na razie najbardziej liczyło się jednak to, że pantofle były śliczne. Na ich widok Annabel zachichotała i powiedziała, że są to „pantofelki-pieprz-mnie”, co bardzo zgorzowało Elizabeth.

Ze wszystkich oficjalnych okazji, jakie fundowała pracownikom agencja, Elizabeth najbardziej lubiła właśnie Ascot. Była to urocza zabawa, fascynujący karnawał, którym cieszyć mógł się każdy, nawet największy ponurak. Poza tym, wyścigi w Ascot to dość ekskluzywna rozrywka i klienci zawsze chętnie przyjmowali zaproszenie do łoży.

Agencja Elizabeth wynajmowała łożę na jeden dzień, zwykle Dzień dla Pań, natomiast bank Simona na dwa - czasami terminy te nakładały się na siebie, i w tym roku tak się zdarzyło. Do tej pory ani razu nie udało im się spędzić tu czasu razem, tylko dla przyjemności, i wszystko wskazywało na to, że raczej już nie będą mieli takiej możliwości, ponieważ koszt pobytu w Ascot był po prostu astronomiczny. Tego dnia przyjechali wynajętym samochodem, pocałowali się, pożegnali i poszli do swoich łoż (pół godziny przed najwcześniej spodziewanymi gośćmi); ustalili, że spróbują spotkać się później choć na chwilę na padoku, lecz teraz cała ich uwaga skupiona była na klientach. Przez głowę Elizabeth przemknęła myśl, że tworzą swoją własną iluzję - oboje przystojni, świetnie ubrani, pozornie zamożni i niczym niezdradzający, że wisi nad nimi ciemna chmura finansowych kłopotów.

Lucinda zawsze lubiła Ascot. Najbardziej podobało jej się to, że może ubrać się z odrobinę przesadną elegancją, której tu nikt nie uzna za wulgarną. W tym roku miała jeden z najlepszych kapeluszy, starannie wybrany model od Harveya Nicholasa, raczej płaski, z szerokim rondem, bo mniejsze nie bardzo pasowały do jej zmieniającej się sylwetki. Była też całkiem zadowolona z sukienki, jasnobłękitnej jak kape-

lusz, z lekko uniesioną talią i wąskimi rękawami. Uśmiechnęła się na myśl, że przynajmniej jej ramiona wyglądają szczupło.

W tym roku wszystko zapowiadało się nieco inaczej. Lucinda czuła, że miejsce w wynajętej przez firmę łoży na jednym z najwyższych pięter to nie to samo, co krzesło w łożach królewskich, gdzie zwykle mogła do woli nagadać się z przyjaciółkami i koleżankami, i jeszcze umówić z nimi na wielką wieczorną imprezę w Kensington.

Wcześniej była w Derby razem z Blue - lubił wielkie wyścigi, jak to nazywał - i świetnie się bawiła w towarzystwie jego przyjaciół, którzy bardzo się nią zajmowali i traktowali jak osobę królewskiej krwi, chociaż chwilami trochę się z niej podśmiewali, a parę dziewcząt patrzyło na nią raczej niechętnie. Blue postawił duże pieniądze i przegrał, ale roześmiał się tylko i powiedział, że wcześniej czy później wszystkim się to zdarza. Jego luźny stosunek do pieniędzy był jedną z rzeczy, które Lucindzie najbardziej się w nim podobały.

Teraz sprawy ułożyły się już między nimi jak należy. Zdołała wyjaśnić Blue, co Steve Durham powiedział jej na temat rozwodu; oczywiście nie wdawała się w szczegóły, bo Steve nadal nad nimi pracował, a niektóre mogły nawet rozdrażnić Blue, dla którego jeszcze nie wszystko było do końca jasne. Tak czy inaczej, w tej chwili Blue wydawał się w pełni zadowolony z rozwoju sytuacji.

Joel Strickland wybierał się do Ascot. Co prawda teksty z wyścigów nie należały do jego tematów jako redaktora wydania stołecznego, ale gazeta dostała kilka wejściówek prasowych, a on uwielbiał konie. Wyścigi na płaskim torze trochę go nudziły, wołał skoki, lecz Ascot stanowiło jednak pewną atrakcję. Grupa dziennikarzy z „News” jechała razem minibusem: Sandra Keswick i przydzielony jej fotograf z działu mody, Suzy Jameson, specjalistka od plotek, i kilku chłopców ze sportowego. Joel wiedział, że czeka ich świetna zabawa, poza tym lubił pracować z ładną, odrobinę wyzywającą Suzy, która miała piękne nogi i spory talent dziennikarski. W bardzo przebiegły sposób łowiła plotki, a jej ulubionymi źródłami informacji były manikiurzystki, kwiaciarki i pokojówki; Suzy zdawała sobie sprawę, że jeśli ktoś puści farbę, to raczej właśnie one, a nie przyjaciele czy krewni ofiary, którą akurat tropiła. Swoją godzinę chwały przeżyła, gdy udało jej się wycisnąć z kierowcy ciężarówki dostawczej pralni informacje na temat pewnej młodej kobiety z najlepszego towarzystwa (mężatki), która nagle zaczęła oddawać do prania dwa razy więcej pościeli tygodniowo niż wcześniej.

- Na dodatek płaciła mi gotówką - wyznał kierowca przy trzeciej whisky z lodem. - I to wydało mi się zastanawiające. Gotówka zawsze jest trochę podejrzana, nie?

Suzy przytaknęła.

To z jej powodu Joel nie zabrał ze sobą swojej dziewczyny Maggie. Na takich imprezach często współpracował z Suzy, która miała dość zalotny styl bycia, a Maggie bywała bardzo zazdrosna, nie tylko o inne kobiety w życiu Joela, nawet jego koleżanki z redakcji, ale nawet o samą pracę, o przyjęcia, eleganckie hotele i zdarzające się od czasu do czasu wypadki za granicę. Maggie pracowała w City i świetnie wiedziała, jak wiele zależy od kontaktów towarzyskich. Zdawała sobie także sprawę, jak bardzo Joel lubi tę



stronę swojej pracy i chociaż udawała, że jej to nie obchodzi, po przyjęciach czy konferencjach zawsze szczegółowo go odpytywała.

Joel czuł, że wkrótce będzie musiał zrobić coś z Maggie - ich związek pozostawiał wiele do życzenia. Bardzo lubił Maggie, ale nie chciał spędzić z nią reszty życia, natomiast jej wyraźnie na tym właśnie zależało.

Rozwiązanie tej sytuacji mógł jednak odłożyć na później, teraz zaś był tutaj, w Ascot, i to nie tylko dlatego, że taki miał kaprys. W Ascot zawsze można było wpaść na trop interesującego wątku finansowego albo przynajmniej jakiejś plotki, ponieważ dosłownie roiło się tu od wielkich i bogatych tego świata. Kiedyś zaczął tu rozpracowywać dużą operację prania brudnych pieniędzy - gdzież łatwiej dyskretnie puścić w ruch parę tysięcy funtów niż na wyścigach. Miał nadzieję, że tym razem dowie się czegoś nowego na temat Lloyd'sa, bo praca nad tą sprawą szła mu bardzo powoli. Redaktor naczelny wcale nie był entuzjastycznie nastawiony do publikacji o Lloyd'sie; uważał, że mało kogo obchodzi historia chciwych bogaczy, którzy przypadkiem dostali trochę po nosie.

- Och, bardzo przepraszam!

- Nie, nie, to moja wina, słońce zupełnie mnie oślepiło. Ach, Simon, dzień dobry!

Simon Beaumont wyglądał po prostu zachwycająco, pomyślała Lucinda. Warto było wpaść na tak przystojnego faceta.

- Rzeczywiście dobry! - odparł z uśmiechem. - Wspaniały dzień, prawda? A ty jesteś piękna jak słońce, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Śliczny kapelusz!

- Dziękuję bardzo... Ascot to cudowne miejsce, nie uważasz?

- Tak, zwłaszcza przy takiej pogodzie! - pokiwał głową Simon. - A gdzie jest twój... twój...

- Mój narzeczony? W loży, razem ze swoimi kolegami. Żaden z nich nie interesuje się zbytnio końmi, więc sama zeszłam na dół. Uwielbiam odwiedzać padok, to mój ulubiony czas w Ascot.

- Mój także! Na dodatek mam podobne doświadczenia z naszymi klientami. Jeśli chcesz, możemy przejść się razem.

- Z przyjemnością!

Szli w milczeniu, zadowoleni, że są razem, przyglądając się koniom, które zaczęto już ustawiać do następnego biegu. Zwierzęta tańczyły i mierzyły się nawzajem wzrokiem, zupełnie jak modelki przed wyjściem na wybieg.

- Więc jesteś tu z ludźmi z City? - zagadnął Simon.

- Tak... To dla mnie pewna nowość. Blue... mój narzeczony... pracuje dla firmy McArthur's, jest maklerem.

- Rozumiem - Simon przerwał na chwilę, nie odrywając wzroku od koni. - Zachwycające stworzenia, prawda? Mam na myśli te tutaj piękności, nie maklerów, rzecz jasna. Z bliska wydają się dużo mniejsze, niż można by się spodziewać, nie sądzisz?

- Tak, ja też zawsze mam takie wrażenie. Lubisz konie?

- Lubię na nie patrzeć, natomiast moja młodsza córka bardzo chciałaby być koniem albo przynajmniej zostać żoną pięknego wierzchowca.

Lucinda się roześmiała.

- Ile ma lat?

- Trzydzieści.

- I ma kucyka?

- Tak. Nie możemy trzymać go we własnej stajni, dzięki Lloyd'sowi. Ma stajnię dalej niż Tilly by sobie tego życzyła, ale przynajmniej nadal należy do niej. Znaleźliśmy dla niego miejsce w Walii, u Flory Fielding; nie pamiętam, czy miałaś okazję ją poznać, lecz to także ofiara Lloyd'sa.

- Tak, poznałam ją, wspomniała kobieta. Ty też nie jesteś tu wyłącznie dla przyjemności, prawda?

- Nie, reprezentuję firmę i zajmuję się gośćmi z innego banku, handlowego. Powinienem już do nich wracać. Może później miałabyś ochotę zajrzeć do mojej loży, numer pięćset dwa, oczywiście ze swoim narzeczonym. Będzie nam bardzo miło. Catherine również tu jest.

- Och, naprawdę? Jak to miło.

- Tak, ciężko pracuje, więc na pewno z radością z tobą porozmawia. Będzie miała przyjemny powód, żeby zrobić sobie krótką przerwę.

- W takim razie musimy do was wpaść! Blue chętnie cię pozna. Dziękuję za zaproszenie, Simon!

Joel zmierzał w stronę namiotu dla prasy, kiedy dostrzegł machającego do niego ręką Simona Beaumonta. Simon najwyraźniej był w bardzo pogodnym nastroju i niewątpliwie wypił już więcej niż jeden kieliszek szampana.

- Przed chwilą wygrałem trzysta funtów - oznajmił. - Naturalnie nie rozwiąże to moich problemów, ale zawsze. Jak idzie ci pisanie tekstu?

- Powoli. Dziękuję za pomoc, twój przyjaciel Neil Lawrence powiedział, że chętnie ze mną porozmawia.

- Świetnie! Długo siedzieliście w barze z Debbie?

- Och, nie bardzo - odrzekł Joel. - To bardzo sympatyczna dziewczyna. W głębi serca uważał, że Debbie jest więcej niż bardzo sympatyczna.

Przez parę dni nie mógł przestać o niej myśleć, chociaż właściwie nie wiedział dlaczego. Nie była szczególnie ładna, miała tylko te przykuwające uwagę brązowe oczy, no i bardzo seksowny wykrój ust, ale poza tym niczym nie zachwycała, niska, drobna i wręcz chuda. A przecież mimo tego była bardzo atrakcyjna i całkiem zabawna - gdyby nie była mężatką, Joel pewnie umówiłby się z nią na randkę.

- Wpadnij do mnie na drinka trochę później - zaprosił go Simon. - W naszej firmowej loży jest dziewczyna, która dla mnie pracuje. Machinacje Lloyd'sa poważnie jej zaszkodziły, więc może chciałaby z tobą pogadać. Po południu zastaniesz tam również moją żonę - ona też chciała cię poznać, chociaż nie wiem, z jakiego powodu. A może to była moja córka? Nie mogę sobie przypomnieć.

- Jest tutaj twoja córka? - spytał Joel, który dobrze zapamiętał Annabel w całym blasku jej zachwycającej urody.

Naturalnie była dla niego zdecydowanie za młoda, ale chętnie by ją jeszcze kiedyś zobaczył.

- Nie, nie, Annabel jest dziś w pracy! Rozpoczęcie wyścigów w Ascot to podobno wielki dzień dla fryzjerów! Tak czy inaczej, wpadnij koło piątej, kiedy zrobi się już trochę spokojniej. Loża pięćset dwa, zapamiętaj... Napijemy się czegoś dobrego, no i poznasz Catherine.

- Simon, to jest właśnie mój narzeczonny, Blue Horton. Na pewno nie będziemy ci przeszkadzać?

- W żadnym razie! Miło mi pana poznać, Blue!

Więc to był ten adonis, dla którego Lucinda porzuciła swego nudnego męża. Interesujące... Z całą pewnością nie zrobiła tego ze względu na aparycję tego tu faceta. Blue Horton miał sylwetkę robotnika portowego, krótko ostrzyżone włosy i dość potężny kark. Tak, sprawiał wrażenie robotnika, chłopaka z ulicy. Zdumiewające.

Blue wyciągnął rękę do Simona.

- Ja też się cieszę, że wreszcie mogę pana poznać! Lucinda ciągle o panu mówi!

- Doprawdy? Trochę trudno mi w to uwierzyć. Kieliszek szampana?

- Nie odmówię, bo chociaż Lucinda uważa, że dosyć już wypilem, to, moim zdaniem, szampana nigdy za dużo. Miał pan dobry dzień?

- Nie najgorszy, dziękuję. Trochę wygrałem.

- Szczęściarz z pana, bo ja dużo straciłem!

Blue uśmiechnął się i Simon w jednej chwili zrozumiał, co skłoniło Lucindę do tak odważnej decyzji - ten gość miał mnóstwo uroku osobistego, całe tony. Mimo swobodnego stylu bycia wyczuwało się w nim ogromną energię. Prawie iskrzył, kiedy tak stał przy wejściu, ciemnymi oczami ogarniając wnętrze łoży i z nieskrywaną czułością patrząc na serdecznie witającą się z Catherine Lucindę.

- Pańska żona też tu jest? - spytał.

- Nie, Elizabeth zajmuje się jeszcze swoimi gośćmi.

- Tak? - W głosie Blue brzmiała nuta szczerego zainteresowania, nie było to podyktowane zwyczajną uprzejmością pytanie. - Ma własną firmę?

- Prawie. Jest szefem marketingu w agencji reklamowej.

- Dobry Boże... Słyszałem o takich superkobietach, ale nigdy żadnej nie poznałem!

- Teraz ma pan okazję, wystarczy tylko trochę poczekać. Obiecała, że zajrzy tu koło piątej.

- Możemy poczekać, nie ma problemu. Bardzo dziękuję.

- To jest Catherine, Blue. - Lucinda podeszła do nich z wyraźnie zmęczoną młodą kobietą. - Opo-  
wiadalam ci o niej, pamiętasz?

- Skarbie, gdybym zapamiętywał wszystko, o czym mi mówiłaś, głowa by mi pękła - oświadczył  
Blue Horton.

Catherine czuła się już bardzo zmęczona. Miała za sobą długi, pełen napięcia dzień. Nie udało jej się nic zjeść - kiedy tylko wyciągała rękę po kanapkę z wędzonym łososiem albo minizapiekankę, ktoś zawsze podawał jej kieliszek z szampanem albo talerz z ciasteczkami, które musiała podać komuś innemu. Bardzo chętnie rozejrzałaby się dookoła i od początku do końca obejrzała chociaż jeden bieg, ale nie miała szans. W loży panował wesoły nastrój - każdy coś wygrał albo z przyjemnością opowiadał, ile przegrał, przy czym to drugie wydawało się wszystkim chyba bardziej zabawne i godne uwagi.

- Tak, w sumie prawie tysiąc! - oświadczył czerwony jak burak mężczyzna.

- Dobrze ci poszło - rzekł drugi. - Ja zrobiłem fatalną rzecz - wygraną z pierwszego wyścigu od razu postawiłem na dwa pozorne pewniaki i przegrałem wszystko. Oczywiście żonie nawet o tym nie pisnę!

Catherine zastanawiała się, czy któryś z nich zdaje sobie sprawę, jak wielkie mają szczęście, że mogą tak lekko potraktować stratę kwoty wynoszącej prawie tyle, ile musiała zapłacić za semestr nauki w szkole Freddiego.

- Chwileczkę, może teraz ja potrzymam ten talerz, a pani coś zje, dobrze? Wygląda pani na ledwo żywą z głodu.

Catherine odwróciła się i zobaczyła młodego, przystojnego mężczyznę o bardzo ciemnych włosach i oczach.

- Joel Strickland - przedstawił się z uśmiechem, wyciągając rękę po talerz.

- To bardzo uprzejmie z pana strony - powiedziała z wdzięcznością.

Chwyciła dwa ciastka i wpackowała je sobie do ust. Po prostu nie mogła się powstrzymać.

- Miło mi pana poznać, Joel - dodała po chwili. - Skąd zna pan Simona?

- Jestem dziennikarzem i niedawno przeprowadzałem z nim wywiad.

- Dla jakiej gazety pan pracuje?

- Dla „News”. Jestem redaktorem wydania stołecznego.

- Ojej, nigdy nie znałam żadnego dziennikarza, to znaczy prawdziwego dziennikarza. Kiedyś pisałam dla lokalnej gazetki, ale nie byłam w tym zbyt dobra.

- Nie wierzę! Czym się pani tutaj zajmuje?

- Och, jestem dziewczyną na posyłki. Pilnuję, żeby nikt nie był głodny i nie czuł się zaniedbany.

- I widzę, że świetnie pani sobie z tym radzi! Nikt nie umiera z głodu, oczywiście poza panią. Proszę usiąść na chwilę i spokojnie coś zjeść, dobrze?

- Nie mogę. Nie płacą mi za to, żeby siedziała... Ma pan ochotę na drinka?

- Owszem... Jak podoba się pani Ascot?

- Bardzo! - Zaczerwieniła się, napotkawszy jego bystre, nieco rozbawione spojrzenie. - To znaczy... Chyba jednak spodziewałam się czegoś trochę innego.

- Tak?

- Tak. Myślałam, że najważniejsze są tu wyścigi, konie, no, wie pan...

- Niestety - uśmiechnął się. - Ludzie, którzy przyjeżdżają do Ascot ze względu na wyścigi, raczej nie siedzą w łóżach. Ci tutaj chcą po prostu jak najwięcej wypić i opowiedzieć wszystkim, ile przegrali, no, a panie pragną pokazać swoje kapelusze.

- Catherine, tak się cieszę, że cię widzę! - zawołała Lucinda. - Simon mówił mi, że tu będziesz!

W tym momencie ktoś trącił Catherine i wylała szampana na koszulę i krawat Joela.

- O, Boże, strasznie przepraszam...

- Nic się nie stało, proszę się nie przejmować. Ryzyko zawodowe.

- Nie martw się, Catherine - powiedziała Lucinda. - Pan ma rację, w Ascot należy liczyć się z kąpielą w szampanie - odwróciła się do Joela. - Podać panu chusteczki czy coś w tym rodzaju? Albo jeszcze jeden kieliszek szampana?

Simon, który kątem oka obserwował całą scenę, doszedł do wniosku, że Lucinda jest najprawdziwszym skarbem. Miał nadzieję, że jej uroczy narzeczony zdaje sobie z tego sprawę.

Simon był zadowolony. Goście sprawiali wrażenie zachwyconych, wiele męskich ego zostało utwierdzonych, a kobiecych mile polectanych, atmosfera była miła i swobodna. Słońce świeciło, szampan był przyzwoicie schłodzony, jedzenie wyśmienite, a widok z łoży zapierał dech w piersiach, oczywiście, jeśli ktoś był nim zainteresowany. Tak przyjemnie spędzony dzień sprzyjał nawiązywaniu i podtrzymywaniu kontaktów biznesowych, a w ostatecznym rozrachunku o to przecież właśnie chodziło.

- Simon, kochanie, jestem, zgodnie z obietnicą! Jak wygląda sytuacja? Elizabeth wyglądała oszałamiająco. Boże, ależ był z niej dumny.

- Wszystko w porządku - pocałował ją szybko. - Tyle że teraz jestem jeszcze uboższy.

- Ja też, znacznie!

- Pani Beaumont? Nazywam się Blue Horton. A pani jest superkobietą, prawda?

- Kiedy mam dobry dzień.

- Cóż, żałuję, że nasz dyrektor nie jest choć trochę do pani podobny! Mogę zadać pani pytanie?

- Oczywiście!

- Nie potrafię zrozumieć, jaki jest sens niektórych reklam, tych naprawdę dobrych... Weźmy na przykład reklamę cinzano, tę z Joan Collins i Rossiterem. Wszyscy ją kojarzą i wychwalają pod niebiosa, ale kiedy zapyta pani, o jaki produkt chodzi, powiedzą, że o martini lub campari. Więc po co je opracowywać? Wszystko to razem funta kłaków...

Lucinda podeszła i wsunęła dłoń pod ramię narzeczonego.

- Blue - zaczęła ostrzegawczo.

- Przepraszam! Po prostu wydaje mi się, że to sztuka dla sztuki, a przecież zadaniem reklamy jest sprzedaż produktu, może nie?

- Tak, ma pan rację, to bardzo celne spostrzeżenie, ale widzi pan, rzecz polega na tym, aby marka produktu wyraźnie utkwiała w pamięci potencjalnego klienta. Poza tym...

Rozpoczęta w ten sposób dyskusja trwałaby pewnie długo, gdyby Catherine powoli i wdzięcznie nie osunęła się na podłogę.

- Moim zdaniem ona zwyczajnie zemdląca z głodu - powiedziała surowo Elizabeth do Simona, zupełnie jakby była to jego wina.

Catherine siedziała już na krześle, ktoś przyniósł jej szklanekę wody, ktoś inny przytrzymał głowę między kolanami.

- To całkiem możliwe - rzekł Simon. - Bardzo się o nią martwię.

- Słuchajcie, najlepiej będzie, jeśli zabiorę ją do domu - odezwała się Lucinda. - Sama jestem już bardzo zmęczona. Nie, Simon, naprawdę, zapytaj Blue, jeśli mi nie wierzysz! Czy nie mówiłam, że jestem zmęczona, Blue?

- Mówiłaś.

- Blue musi jeszcze tu zostać i zabrać swoich klientów na kolację - ciągnęła Lucinda. - Ale ja nie zamierzałam mu towarzyszyć, bo jestem... No, wiesz...

- Lucinda jest przy nadziei - oznajmił Blue.

Nuta ogromnej dumy w jego głosie szczerze wzruszyła Elizabeth. Miała ochotę go uściskać.

- No, właśnie... I nie mogę się przemęczać, więc wezmę samochód i podrucę Catherine do domu. Możesz przecież wrócić z kimś do miasta, prawda, Blue?

- Nie, nie! - zaprotestowała Catherine, zażenowana tak bardzo, że o mało znowu nie zemdląca. - Nie trzeba, naprawdę!

- Wszystko w porządku - Lucinda poklepała ją po ręce. - To duży samochód, mogłabyś nawet położyć się na tylnym siedzeniu, gdybyś miała ochotę. Na razie, Blue, kochany! Postaraj się nie upić! Chodźmy, Catherine, tylko powoli. Dasz radę dojść do parkingu?

- Chyba pojedę z wami - powiedział Blue. - Wolę być pewny, że spokojnie dotrzesz do domu, Lucindo. Tu impreza już się kończy, a kolacjęjemy „U Langana” na West Endzie, więc pojedę prosto na miejsce.

- To bardzo miło z waszej strony, oczywiście jeżeli jesteście pewni, że nie będę przeszkadzać - wymamrotała Catherine.

- Jesteśmy pewni - pokiwała głową Lucinda.

- Jest cudowna, prawda? - zwrócił się Blue do całego świata, patrząc, jak Lucinda pomaga Catherine włożyć zakiet. - I na dodatek ma złote serce. Nie mogę uwierzyć, że jest moja.

Było to bardzo wzruszające wyznanie, nawet z ust mężczyzny, który pochłoniął co najmniej dwie butelki szampana.

Łoża szybko opustoszała. Joel wyszedł pierwszy, za nim inni. Wszyscy powtarzali, że był to niezwykle udany dzień.

Kiedy jednak Catherine, Lucinda i Blue dotarli do Fulham, zastali w domu tylko panią Lennox oraz Caroline, obie blade i z trudem walczące z histerią. Freddie zniknął.

# ROZDZIAŁ 23

*CZERWIEC 1990*

Wyraz przerażenia pojawił się na twarzy Catherine, dopiero kiedy policjant zapytał, czy Freddie jest ufnym dzieckiem. Do tego momentu jakoś się trzymała, głównie ze względu na Caroline, która siedziała obok z szeroko otwartymi oczami i pobladłą buzią, nie odzywając się ani słowem, gdy Mary Lennox opowiadała, co się stało. W tym samym czasie Catherine dzwoniła do szkoły i do sąsiadów, a Blue pukał do drzwi wszystkich okolicznych domów, pytając, czy ktoś nie widział Freddiego, i prosząc, aby zajrzeli do swoich ogrodów, garaży i domów na wypadek, gdyby chłopiec gdzieś się ukrył, chociaż wydawało się to bardzo mało prawdopodobne.

Jednak właśnie wtedy, słysząc tamto pytanie, z całym jego mrocznym, ponurym i dość jednoznacznym podtekstem, Catherine załamała się i zaczęła szlochać dość głośno, tuląc Caroline w ramionach. Na ten widok solidnie zbudowana policjantka o miłej twarzy, która wcześniej tylko przyglądała się całej scenie z daleka, poleciała młodemu posterunkowemu, wyglądającemu najwyżej na osiemnaście lat, aby poszedł do kuchni i zaparzył herbatę.

- Już w porządku - powiedziała Catherine, ocierając oczy. - Przepraszam, przecież na pewno musicie już jechać. Poradzę sobie, najważniejsze jest odnalezienie Freddiego.

Policjanci zachowywali się fantastycznie od samego początku, od chwili, gdy Blue podjął decyzję, aby do nich zadzwonić.

- Marnujemy tylko cenny czas - oświadczył. - Wezwijmy na pomoc zawodowców.

Przyjechali w ciągu dziesięciu minut, we czworo, spokojni i sprawni. Dwóch natychmiast udało się na przeszukiwanie okolicy, a młody posterunkowy i kobieta zaczęli zadawać niezliczone pytania: od jak dawna Catherine zna Mary Lennox, kogo jeszcze poznała w najbliższym sąsiedztwie. Zachowywali się bardzo miło i bezpośrednio, w ich pytaniach nie było ani cienia wyrzutu, lecz Catherine od razu poczuła się odpowiedzialna za zniknięcie syna, było to po prostu nieuniknione. Poprosili o zdjęcie; dała im to, które nosiła w torebce, szkolną fotografię uśmiechniętego, ładnego chłopca. Mary i Caroline potwierdziły, że kiedy widziały Freddiego ostatni raz, miał na sobie szkolny mundurek, że nie przebrał się w dzinsy po powrocie do domu.

I właśnie wtedy policjant zapytał, czy Freddie był ufnym dzieckiem.

- Może spróbujemy jeszcze raz, pani Lennox - zasugerował dowodzący grupą oficer. - Bardzo proszę dokładnie opowiedzieć nam, co działo się po południu, kiedy zabrała pani Freddiego ze szkoły.

Mary Lennox zaczęła od początku: jak przyszli do domu, jak dała dzieciom mleko i ciasteczka, jak odrobili lekcje i jak potem włączyła im telewizor, a sama poszła przygotować dla nich podwieczorek. I jak wróciła po nich i zastała samą Caroline, która popatrzyła na nią z lekkim zdziwieniem, gdy Mary zapytała, gdzie jest Freddie.

- Poszedł do toalety, a potem miał pójść do pani, bo chciał pani coś powiedzieć.

Pani Lennox zadzwoniła do Lynton House, szkoły Freddiego, chociaż wydawało jej się bardzo mało prawdopodobne, aby tam wrócił, i do przyjaciółki Catherine, której numer dostała „na wypadek, gdyby zdarzyło się coś nieprzewidzianego”.

- I już zaczęłam się zastanawiać, czy dzwonić na policję, kiedy przyjechała pani Morgan z przyjaciółmi.

Blue i Lucinda popijali herbatę, zdecydowani wrócić do siebie dopiero wtedy, gdy sytuacja w jakiś sposób się wyklaruje. Policjanci ciągle wypytywali Catherine o rozmaite rzeczy. Czy Freddie był szczęśliwy w domu i w szkole? Czy dawała mu dużo wolności? Czym lubił się zajmować, jakie miał hobby? Czy to możliwe, aby nagle postanowił wybrać się do kina?

- Nie, nie sędzę... Nie chodzimy do kina, Freddie nie przepada za oglądaniem filmów.

- Czy miał przy sobie jakieś pieniądze?

- Tak, dałam mu parę funtów na dzisiaj, na wszelki wypadek, żeby w razie czego mógł coś kupić.

- I nie wydał ich? Pani Lennox odebrała go ze szkoły i wrócił prosto do domu, tak?

- Nie, nie miał ani powodu, ani możliwości wydać tych pieniędzy - powiedziała Mary Lennox, która w ciągu ostatnich kilku godzin postarzała się o dobre dwadzieścia lat.

- To dosyć ważne - rzekł policjant. - Jeżeli miał w kieszeni parę funtów, mógł wsiąść do autobusu czy coś w tym rodzaju...

Przerwał. Wszyscy nagle spojrzeli na Caroline, z której gardła wydobył się niewyraźny szept.

- Słucham, kochanie? - ostro zapytała Catherine. - O co chodzi?

- Jacyś chłopcy zabrali mu te pieniądze - odparła Caroline.

- Jacy chłopcy?

- Ze szkoły...

- Nie rozumiem! Mówisz o jego poprzedniej szkole? Twojej? Caroline niechętnie kiwnęła głową.

- Ale kiedy? Jak?

Okazało się, że jacyś „okropni duzi chłopcy” codziennie rano czekali na Freddiego.

- Wywracali mu kieszenie i przeszukiwali plecak, i brali, co chcieli... Grozili, że zbiją go, jeżeli piśnie komuś choć słówko.

- Och, nie! - Catherine pomyślała o wszystkich okazjach, kiedy karciała Freddiego za nieuwagę i gubienie rzeczy. - Dlaczego ty mi o tym nie powiedziałaś, skoro on za bardzo się bał?

- Bo mnie też grozili.

- O, Boże! - Catherine z całej siły przytuliła córeczkę, zastanawiając się, czy kiedykolwiek będzie jeszcze w stanie spuścić ją z oka i jak to możliwe, że są na świecie dzieci zdolne do takich okropnych rzeczy.

- Przynajmniej jedno jest w tym wszystkim dobre - zauważył sierżant. - Wiemy teraz, że nie miał pieniędzy, więc na pewno nie uciekł daleko, w każdym razie nie sam.



- Dalej nic nie wiadomo - westchnęła Lucinda następnego dnia rano, odkładając słuchawkę. - Biedna, biedna Catherine. Jak ona przetrwała tę noc, na miłość boską? Czy możemy coś dla niej zrobić? Cokolwiek?

- Nic - odparł Blue. - Policja robi wszystko, co można. Działają bardzo szybko i sprawnie, to naprawdę imponujące. Zapytałem ich na stronie, co z pedofilami i innymi zbrojcami, sierżant powiedział mi, że już wzięli pod obserwację tych z najbliższej okolicy.

- To po prostu straszne!

- Wiem, ale trzeba patrzeć prawdzie w oczy.

- Może powinnam tam pójść? Jak myślisz?

- Nie, nie powinnaś. Nie jesteśmy ich rodziną ani nawet bliskimi znajomymi, to tylko zbieg okoliczności, że akurat byliśmy wtedy z Catherine.

- To prawda... Miło z twojej strony, że zgodziłeś się zostać i spóźniłeś się na kolację. Catherine jest bardzo sympatyczna, prawda?

- Tak, jasne... Biedaczka! Pomyśl tylko - nie ma męża, nie ma pieniędzy, przyjaciół jak na lekarstwo i jeszcze prześladowają ją te skurwysyny z Lloyd'sa.

- Kochanie...

- No, przecież trudno nazwać ich inaczej! A teraz zaginął jej dzieciak, coś okropnego! Mam nadzieję, że gliniarze przesłuchają tych gnojków ze szkoły Freddiego.

- Catherine mówiła, że idą dzisiaj do szkoły.

- Boże, dzieciaki bywają potworne! Mało brakowało, a zadreczyliby tego biednego malca na śmierć!

- Wiem... Ale przynajmniej teraz jest już znowu w przyzwoitej szkole i wszystko będzie w porządku, byle tylko wreszcie się znalazł.

- Naprawdę uważasz, że w tych „przyzwoitych szkołach”, jak je nazywasz, nie ma dzieci, które prześladowają słabszych? Dzieci to dzikusy, wszystkie jak leci, i to, że ubierze się je w eleganckie mundurki i nauczy poprawnego wysławiania się, niczego nie zmienia, możesz mi wierzyć! Luft chodził do jednej z takich szkół i opiekun jego grupy tak mu dokuczał, że biedak do tej pory nie otrząsnął się z tej traumy!

- Rozumiem, o co ci chodzi - przyznała pokornie Lucinda.

Simona męczyły wyrzuty sumienia, że czegoś nie dopatrzył w sprawie Freddiego, chociaż było to najzupełniej absurdalne. Boże, biedna Catherine. Całe jej życie było jednym wielkim koszmarem. Simon zadzwonił do Elizabeth, żeby powiedzieć jej o Freddie. Bardzo się przejęła.

- Co za okropna historia! Tak mi przykro. Biedna, biedna Catherine! To chyba najstraszniejsza rzecz, jaka może się człowiekowi przydarzyć! Sama nadal dzień w dzień trzęsę się ze strachu, że coś stanie się któremuś z naszych dzieci. To dużo gorsze niż każde nieszczęście, jakie może spotkać nas samych.

- Takie zdarzenie sprawia, że zaczynamy patrzeć na wszystko z innej perspektywy, prawda? - westchnął Simon. - A, właśnie, umówiłem ludzi z agencji nieruchomości, żeby obejrzeni nasz dom i wycenili go. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- Nie, oczywiście.

- Doskonale! Dziękuję. Widzisz, ja wiem... Po prostu wiem, że w gruncie rzeczy zupełnie ci to nie odpowiada.

- Och, wiem, że ty wiesz. Z drugiej strony, cała ta sprawa naprawdę nie jest taka znowu ważna. To nie jest kwestia życia i śmierci!

Elizabeth była teraz znacznie szczęśliwsza i bardziej zadowolona z życia. To dziwne, ale teraz, kiedy znowu byli ze sobą naprawdę blisko, nic nie wydawało się niebezpieczne i poważne. I naturalnie, w porównaniu ze stratą dziecka, sprzedaż domu, nawet ukochanego, była po prostu mało istotna.

- Przed chwilą rozmawiałem z tą panią adwokat - powiedział Simon. - Chce spotkać się w piątek po południu. Przyjedzie Flora. Mogę zaproponować jej, żeby u nas przenocowała?

- Oczywiście. Z przyjemnością spędzę z nią trochę czasu!

- To dobrze. Dziękuję!

- Nie musisz mi dziękować. Och, jeszcze coś...

- Tak?

- Kocham cię, Simon.

- Ja ciebie też - odrzekł.

Catherine nie wyobrażała sobie, żeby kiedykolwiek odzyskała chęć do życia, jeżeli Freddie się nie znajdzie. Prześladowało ją uczucie przygnębiającej beznadziei. W całej tej sprawie było coś, co wykluczało pozytywne myślenie. Najbardziej męczyło ją chyba to, że Freddie po prostu zniknął, jakby go nigdy nie było. Że nikt nawet nie zauważył go na ulicy.

- Czy zastałam Joela Stricklanda? - Debbie starała się nadać głosowi zupełnie naturalne brzmienie.

Usiłowała zachowywać się tak, jakby po prostu przypadkiem wpadła do redakcji, ot, tak sobie, zobaczyć się ze znajomym, który tu pracuje.

- Nie jestem pewna. - Nicky Holt, zastępca działu mody i urody zmierzyła ją chłodnym spojrzeniem.

Ale Debbie powiedziała jej o nowej linii kosmetyków do ciała z dezodorantem w składzie, którą właśnie wprowadzał na rynek jeden z ich klientów, i Nicky była pod wrażeniem tej informacji.

- To pani znajomy? - spytała.

- Tak, mój znajomy.

- Więc może zajrzy pani do jego gabinetu? Nasz Joel pracuje w dziwnych godzinach!

- Och, doskonale! - Debbie zaczęła już żałować, że w ogóle wspomniała o Joelu.

Najprawdopodobniej nie pamiętał jej i tylko zrobi z siebie idiotkę.

- Wie pani, gdzie jest jego gabinet?

- Nie - odparła Debbie, czując się najzupełniej idiotycznie. Nicky popatrzyła na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

- Cały czas prosto, za newsroomem w lewo, pierwsze drzwi po prawej stronie!

- W porządku, dziękuję.

Zdołała trafić na miejsce, nie pytając nikogo o drogę, i zajrzała do środka. W pokoju nikogo nie było. Gabinet Joela w niczym nie przypominał pograżonego w chaosie i bałaganie działu mody i urody, gdzie wszystkie biurka oraz inne powierzchnie tonęły pod stosami swetrów, butów, torebek, sukienek, spódnic, bluzek i tak dalej. Tu panował idealny porządek; na ekranie monitora widać było ceny akcji spółek giełdowych, na ścianach wisiały oprawione najlepsze artykuły Joela, między innymi jeden z wydrukowanym wielkimi czerwonymi literami tytułem „DOSYĆ!”, opublikowany po potężnym krachu w 1987 roku. Debbie stała chwilę na korytarzu, na wypadek, gdyby Joel wyszedł tylko na moment i miał zaraz wrócić, a potem wyszła. Miała uczucie, że otrzymała wyraźny znak od losu. Po co miałyby zresztą spotykać się z Joelem? No, po co? I tak nie miało to najmniejszego sensu.

- No, dobrze - powiedział sierżant Lockyer, badawczo patrząc na pięciu chłopców.

Wszyscy byli rośli, twardzi i agresywni, dwóch miało twarze obsypane pryszczami; nie ulegało wątpliwości, że daleko im do łagodnych baranków.

- Z którym mam porozmawiać najpierw? - spytał.

Dalej rozmowa potoczyła się normalnie - nie mieli na myśli nic złego, Freddie nie powinien mieć im za złe, że trochę się z nim drażnili, widać był okropnie delikatny i nadwrażliwy, nie przyszło im nawet do głowy, że mu dokuczili. Z początku bardzo pewni siebie, zmiękli, gdy Lockyer oświadczył, że zamierza wezwać ich rodziców. Wtedy ten największy i najbardziej pryszczaty wreszcie puścił farbę.

- Jeżeli naprawdę chce pan wiedzieć, kto jeszcze robił mu koło pióra, powinien pan pogadać z tamtymi mądralami - powiedział. - Z tymi z eleganckiej szkółki, z tymi, których tak niby lubił ten cały Freddie.

## ROZDZIAŁ 24

### *CZERWIEC 1990*

Catherine nie potrafiła uznać, co byłoby najgorsze z tego, co mogło się przydarzyć Freddiemu. Zmusiła się, aby przyjrzeć się tym możliwościom kolejno, jednej po drugiej, ponieważ czuła, że skoro on być może ich doświadcza, ona również powinna się z nimi zmierzyć. Porwanie, maltretowanie, gwałt, morderstwo - każda gorsza od poprzedniej. Starła się widzieć syna takim, jakim widziała go ostatni raz, tuż przed wyjazdem do Ascot - był wtedy uśmiechnięty, pogodny i bardzo dzielny, tak, naprawdę dzielny, teraz, kiedy się dowiedziała o tym, co spotkało go w szkole, szczerze podziwiała jego odwagę. Nie miała pojęcia, jak to się stało, że jej śliczny, bystry, odważny synek stanął oko w oko z tak trudną sytuacją. Jak to możliwe, że życie, które tak starannie dla niego zaplanowała, które wypełniła ważnymi (jej zdaniem)

sprawami, książkami, muzyką, przyjaciółmi, zabawą, bo przecież jednak wszyscy troje, mimo wszystko, całkiem nieźle się bawili, jak to możliwe, że właśnie to pozornie bezpieczne życie okazało się tak paskudne, tak zdradliwe.

Kiedy druga koszmar na noc dobiegła końca, Catherine zaczęła tracić nadzieję. A podskórną warstwą jej okropnego, paraliżującego lęku był gniew, narastająca wściekłość wymierzona w Lloyd'sa, bo przecież wszystko to razem było winą Lloyd'sa, co do tego nie miała cienia wątpliwości.

\* \* \*

Sierżant Lockyer powziął instynktowną niechęć do Donalda Archera, dyrektora szkoły Lynton House, ponieważ pewność siebie Archera była w zaistniałej sytuacji zupełnie nie na miejscu.

- Nie wiem, skąd wzięliście tę historyjkę, ale na pewno nie ma ona nic wspólnego z prawdą - oznajmił Donald Archer, patrząc na sierżanta znad półokrągłych szkielec. - Nie tolerujemy tu gnębienia słabszych i to jest jedna z przyczyn naszego powodzenia! Właśnie dlatego rodzice wybierają Lynton House, właśnie dlatego decydują się posyłać swoje dzieci do nas, a nie do innej prywatnej szkoły w tej okolicy! Liczy się dla nich bezpieczeństwo, no i naturalnie wyniki.

- Dowiedzieliśmy się o tym od ucznia szkoły St Joseph's, który ma tutaj brata. Potwierdziła to młodsza siostra Freddiego Morgana. Chłopiec czuł się tak zaszczuty, że zdecydował się zatelefonować na linię pomocy dzieciom, mamy już oficjalne potwierdzenie tej informacji!

Na twarzy Donalda Archera pojawił się wyraz ogromnego zdumienia.

- Nie wiem, co powiedzieć - wykrztusił w końcu.

- Ja natomiast chciałbym powiedzieć, na początek klasie Freddiego, że chłopiec zniknął, prawdopodobnie uciekł, i że pan został poinformowany o prześladowaniu niektórych uczniów przez innych. Będziemy też musieli porozmawiać z odpowiedzialnymi za całą tę sytuację uczniami.

- Na to raczej nie mogę się zgodzić! Poza tym, jeśli mam być szczery, nie widzę związku...

- Doprawdy? - sierżant uniósł brwi. - Moim zdaniem, związek między tymi zdarzeniami jest tak oczywisty, że pańscy uczniowie mogą zostać potraktowani jako współwinni!

- Współwinni czego? Zniknięcia Freddiego Morgana? Ależ to absurd!

- Może panu wydaje się to absurdalne, ale w takich wypadkach obowiązuje nas właśnie taka procedura, nie inna! Proszę więc wezwać tych uczniów i od razu podkreślić, że krycie innych kolegów nie wchodzi w grę, ponieważ jest to sprawa życia i śmierci. Jeżeli nie zechce pan im tego wyjaśnić, będziemy musieli zająć się tym sami...

Kiedy zadzwoniła Lucinda, Nigel dokonywał właśnie dość nieprzyjemnych obliczeń. Wynikało z nich dość jasno, że będzie musiał sprzedać farmę, a w każdym razie większą część ziemi. I nawet wtedy wcale nie pozbędzie się kłopotów. Gdyby nadal był prawnym właścicielem domu przy Cadogan Square, musiałby sprzedać i ten, żeby mieć za co żyć, ale dom został przepisany na Lucindę. Tak czy inaczej, czy zostałyby mu jakieś pieniądze, żeby cokolwiek kupić? Nigel czuł się tak, jakby wir obezwładniającej paniki wsysał go na samo dno, powoli pozbawiając oddechu.

- Halo, Nigel, to ja!

- Och, halo - nie był pewny, czy w tej chwili jest w stanie rozmawiać z Lucindą.

- Jak się czujesz?

- Trochę się martwię, szczerze mówiąc.

- Przykro mi... Czym się martwisz?

- Niczym szczególnie ważnym, po prostu brakuje mi kilkuset tysięcy funtów, wiesz, jak to jest. - Sam słyszał nutę goryczy w swoim głosie.

- Właśnie w tej sprawie dzwonię. Mój adwokat napisał bardzo sprytne pismo i wysłał je do twojego prawnika, dobrze? Określa w nim dokładnie, czego ja, a raczej my potrzebujemy.

- Tak?

- Tak. Musisz trzymać się planu, Nigel, żadnych odstępstw, rozumiesz?

- Mówiłaś... mówiłaś o tym temu swojemu panu Hortonowi?

- Oczywiście! Nie ma nic przeciwko temu!

- Naprawdę? Zupełnie nic? Nawet jeśli chodzi o tę... no, wiesz, o tę trudną część?

- Tak. To znaczy, w zasadzie na wszystko się zgodził, a cała reszta to przecież drobiazg, prawda?

Nigel przytaknął, pomyślał jednak, że Horton z całą pewnością jest człowiekiem, który bardzo szczegółowo rozpatruje nawet drobiazgi i niekoniecznie musi być zadowolony z „całej reszty”, jak określiła to Lucinda.

- Więc trzymaj się i cała naprzód, zgoda? Wszystko będzie dobrze, zobaczysz!

- W porządku - odparł.

Robiło mu się niedobrze na myśl o tej sprawie; instynkt podpowiadał, że ułożony przez Lucindę plan spali na panewce.

- Doskonale! Posłuchaj, mam okropną wiadomość. Pamiętasz Catherine, Catherine Morgan? Była na spotkaniu w sprawie Lloyd'sa, na tym pierwszym. Taka ładna dziewczyna... Zabrała nawet głos, to wdowa z dwójką małych dzieci. Mieszkała wcześniej w Hongkongu.

- A, tak... Co się z nią stało?

- Nie z nią, ale z jej synkiem, Freddie. Chłopiec zniknął.

- Zniknął? To straszne! Ale jak to zniknął, skąd?

- Z ich domu w Fulham, przedwczoraj, po wyścigach w Ascot. Szuka go policja i tak dalej, ale na razie nic nie wiadomo. Bardzo mi żal Catherine, chciałabym coś dla niej zrobić.

- Co za przerażająca sytuacja! Tak mi przykro. Jeżeli jesteś z nią w kontakcie, przekaż jej... przekaż, że ogromnie jej współczuję, dobrze?

- Dobrze, oczywiście... Mógłbyś do niej zadzwonić, ale pewnie za każdym razem, gdy dzwoni telefon, biedaczka myśli, że to ktoś z wiadomością o Freddie, więc może lepiej nie dzwoń.

- Pewnie masz rację... Poza tym, prawie jej nie znam, a to przecież bardzo osobista sytuacja. O, Boże, co za okropny świat!

- Okropny - przytaknęła.

Nigelowi nie dane było zaznać radości i trosk rodzicielstwa, lecz nagle nawet strata farmy wydała mu się bardzo mało ważna.

W rezultacie sceny, jaką Blue Horton z przyjemnością odegrałby przed Lucindą, trzech chłopcy z Lynton House zostali przyprowadzeni do gabinetu dyrektora. („Przerażające! - powiedział później Donald Archer. - I to niektórzy z moich najzdolniejszych uczniów, jeden z nich dostał stypendium w Winchester!").

Jeden z młodocianych opryszków, najmłodszy, przyznał się dobrowolnie, a potem jego najlepszy kolega wsypał pozostałych dwóch.

- To były tylko żarty - powiedział najstarszy, próbując się bronić. - Żarty, nic więcej!

- I jaką to formę przybrały wasze żarty, tak dokładnie?

- No - najmłodszy zaczerwienił się gwałtownie. - No, chodziło głównie o... Głównie o pieniądze. Freddie musiał odejść z Lynton, ponieważ jego matkę nie było stać na czesne i przeniósł się do państwowej szkoły tu w pobliżu...

- I dlatego mu dokuczaliście? - Lockyer uniósł brwi. - Nie widzę w tym nic zabawnego!

- No tak, to wcale nie było zabawne! Bardzo nam go było żal, to normalne. Ale później, kiedy wrócił do Lynton, zachowywał się trochę inaczej niż wcześniej. Zaczął się przechwalać i takie tam... Mówił, że jego matka pracuje dla jakiegoś wielkiego bankiera z City i że teraz wszystko jest już w porządku.

- Ach, tak? - Lockyer pomyślał, że dzieci to bardzo skomplikowane stworzenia i odwrócił się do najstarszego chłopca. - I co było dalej?

- No, wydawało nam się to trochę dziwne... Chodzi mi o to, że chyba dalej nie mieli pieniędzy, bo Morgan wciąż mieszkał w tej norze i nadal nie miał fajnego sportowego sprzętu, i nie mógł pojechać na tę wycieczkę do Francji.

- Więc dokuczaliście mu, bo nie miał pieniędzy, tak?

- Nie, raczej mu nie dokuczaliśmy.

- Nie dokuczaliście mu? Więc byliście dla niego mili?

- Tak, można tak powiedzieć.

- Hmm... Ciekawe, dlaczego uciekł, skoro byliście dla niego mili. Obawiam się, że będziemy jednak musieli skontaktować się z waszymi rodzicami, bo nie bardzo chcecie współpracować! To bardzo, bardzo poważna sprawa, chyba jesteście tego świadomi!

Milczenie.

Lockyer spojrzał na Donalda Archera.

- Proszę zadzwonić do rodziców chłopców, dobrze?

- Nie, nie, proszę tego nie robić! - odezwał się nagle trzeci chłopiec. - W porządku, trochę mu dokuczaliśmy, fakt, ale sam był sobie winien. Nie robilibyśmy tego, gdyby nie był taki zarozumiały.

- Dokuczaliście mu, ponieważ nie miał tego, co wy wszyscy macie, czy tak? Rozumiem... Coś jeszcze?

- Morgan był trochę za bardzo święty, podlizywał się nauczycielom i wychowawcom, i tak dalej. No i jeszcze zawsze przychodził do szkoły bez lunchu i takich tam różnych rzeczy. Był dosyć beznadziejny...

- No, tak. - Lockyer spojrział na Donalda Archera i znowu na chłopców. - Najwyraźniej nie przyszło wam do głowy, że Morgan próbuje jakoś sobie radzić, że wstydzi się braku odpowiedniego sprzętu, jak to nazwaliście, i tego, że musiał zmienić szkołę z przyczyn finansowych.

Milczenie.

- Moim skromnym zdaniem lepiej by było, żebyście się postarali pomóc koledze, który ma problemy, który jest „dosyć beznadziejny”, a nie pomiatać nim - powiedział Lockyer. - I wasz dyrektor na pewno się ze mną zgodzi.

- Cóż, tak - rzekł Archer. - Tak, oczywiście! Ceniśmy tutaj właśnie takie wartości. Naturalnie!

- I bardzo dobrze, miło mi to słyszeć. Chcielibyście powiedzieć mi coś jeszcze?

- Chyba nie...

Tylko że ostatnio Morgan zaczął opowiadać, że w państwowej szkole całkiem mu się podobało, że tamci chłopcy zachowywali się zupełnie przyzwoicie, a my jesteśmy bandą snobów i takie tam, więc powiedzieliśmy mu, żeby spieprzał do tej swojej państwowej szkółki.

- Rozumiem - mruknął Lockyer. - Wiedzieliście, że Morgan był tak zdesperowany, że zadzwonił do pogotowia dla dzieci w trudnych sytuacjach?

- Do pogotowia dla dzieci w trudnych sytuacjach?! - powtórzył ze zdziwieniem najstarszy chłopiec. - Nie, nic o tym nie wiedzieliśmy! Nie przyszło nam do głowy, że...

- A szkoda! - przerwał mu Lockyer. - Musiał czuć się nieźle zastraszony, prawda? Cóż, trudno... Czy któryś z was ma pomysł, dokąd Morgan mógł uciec? Znać może kogoś, kogo on także znał, ze szkoły albo z zewnątrz, kogoś, z kim powinniśmy porozmawiać?

Wszyscy zgodnie potrząsnęli głowami. Wyglądali na bardzo skruszonych.

- Naprawdę, proszę pana, gdybyśmy coś wiedzieli, od razu byśmy się przyznali - powiedział najstarszy. - Naprawdę, proszę mi wierzyć.

Lockyer uwierzył mu, choć niezbyt chętnie.

# ROZDZIAŁ 25

*CZERWIEC 1990*

Simon siedział wpatrzony w osobę, w której rękach najzupełniej dosłownie spoczywała jego przyszłość, i miał nadzieję, że Fiona Broadhurst wie, co robi. Nie spodziewał się, że zobaczy tu kogoś takiego jak ten wysoki, jasnowłosy patrycjusz, leniwie rozwlekający sylaby w sposób typowy dla dawnych absolwentów Eton. Sądził, że Fiona przedstawi im kogoś innego, mniej pewnego siebie i wyrafinowanego, zwłaszcza po wszystkich jej uwagach, że chce, aby pracowali jako zespół i nie uważali adwokata za przedstawiciela nadrzędnej rasy. Lindsay-Cowan w ogóle nie wyglądał na przeciętnego gracza z zespołu. Uśmiechnął się do nich dość łaskawie, gestem zaprosił, aby zajęli miejsca na nieco wytartych skórzanych kanapach pod ścianami jego gabinetu i zapytał, czy wolą herbatę chińską, czy indyjską. Ustaliwszy preferencje gości, zaczął mówić i Simon od razu poczuł się lepiej.

- No, dobrze. Po pierwsze, chciałbym powiedzieć, że może damy tym draniom popalić, a może nie, ale tak czy inaczej, z przyjemnością spróbuję zaleźć im za skórę. Rozumiem oczywiście, że dla państwa może to się okazać znacznie mniej przyjemne, zwłaszcza jeśli nie wygramy. Jeżeli jednak odniesiemy zwycięstwo, przejdziemy do historii. W tej chwili, właśnie teraz, przygotowywane są dosłownie setki takich pozwów. Pewnie zdajecie sobie sprawę, że siedemdziesiąt procent strat spadło na trzydzieści procent Nazwisk, moim zdaniem te dane mówią same za siebie. Nie można przypisywać tego zbiegowi okoliczności! W grę wchodzi jedno z trzech rozwiązań - wygramy, co jest raczej mało prawdopodobne, przegramy, co jest zupełnie prawdopodobne, albo wypracujemy jakąś formę ugody, co wydaje się dość prawdopodobne, chociaż nie w takim stopniu, jak nasza przegrana.

- Więc po co tu właściwie jesteście, do diabła? - zapytał Meyer.

- Jesteśmy tutaj, bo mamy pewną szansę. No i przynajmniej pociągniemy tygrysa za ogon, a to będzie bardzo przyjemne! Tygrysy nie lubią takich igraszek, prawda? I od dwudziestu jeden lat nie doświadczały totalnego deficytu, takiego jak w tej chwili. Tygrysy zostały przyparte do ściany, bez dwóch zdań, lecz, niestety, trzymają w ręku dużo kart. Mówiąc wprost i zgodnie z literą prawa, słuszność jest po ich stronie. Wyraziliście zgodę na uznanie strat, które tygrysy poniosły. Podpisaliście dokumenty, zaniedbaliście dokładne zbadanie sytuacji, nie podjęliście dość zdecydowanych kroków, aby zabezpieczyć się przed stratami, chociaż oczywiście w wielu wypadkach i tak prawie nic by wam to nie dało. Wiem, że polisy zabezpieczające przed stratami są ogromnie kosztowne. No i naturalnie w latach tłustych braliście pieniądze tygrysów. Wiele osób mogłoby powiedzieć, że w zasadzie nie macie na co narzekać, że po prostu płaczecie nad rozlanym mlekiem, które i tak było już skwaśniałe.

Cała grupa milczała. Simon pomyślał, że czują się trochę jak na połajance u dyrektora szkoły.

- Jeśli dobrze rozumiem, podstawą waszego sporu z agencją Jackson & Bond lub syndykatem Westfield Bradley, albo oboma tymi instytucjami, jest to, że ich przedstawiciele zachęcali do przyjęcia członko-



stwa ludzi, których najzwyczajniej w świecie nie stać było na podjęcie ogromnego ryzyka, na jakie zostali narażeni, przy czym fakt tej niemożności nie był dla nikogo żadną tajemnicą. Gdyby udało się dowieść, że rzeczywiście tak było, zdobylibyśmy mocny przyczółek, ale będzie to niezwykle trudne. Potrzebni wam będą świadkowie z wewnątrz, gotowi przyznać, że właśnie tak się sprawy miały, kopie obciążających winą dokumentów, notatek oraz zapisy rozmów. Wszystko to będzie bardzo trudno zdobyć, jeśli w ogóle nie jest to niemożliwe. Zdaję sobie sprawę, że zależy wam też na wykazaniu niewątpliwego istnienia tak zwanych syndykatów mniejszych, syndykatów wewnątrz syndykatów, ponieważ byłoby to poważnie obciążające dla Lloyd'sa. Jest to niezwykle wątpliwa nić. Musielibyście przedstawić sądowi agenta, który złożyłby takie zeznania przed sądem albo potwierdził zeznania w innych okolicznościach, ale pod przysięgą, a to wydaje się jeszcze mniej prawdopodobne.

- A nagrane oświadczenie? - odezwał się Simon.

- Jeżeli osoba nagrana wie, że została nagrana, sąd dopuszcza takie oświadczenie, w innej sytuacji zdecydowanie nie. Możecie jednak nakłonić kogoś do rozmowy, byłoby to bardzo cenne. Pani Broadhurst wyjaśni wam, że dużą część pracy możecie wykonać sami. Potrzebna mi będzie wszelka pomoc, sugestie, podpowiedzi, wskazówki, świadkowie. Pani Broadhurst naświetli wam to wszystko dokładnie, lecz zasadniczo najbardziej użyteczną rzeczą, jaką możecie zrobić, będzie zdobywanie zeznań świadków. Rozmawiajcie z każdym, kto miał jakikolwiek związek z waszym syndykatem, nie tylko z osobami bezpośrednio zaangażowanymi w tę konkretną sprawę. Załóżmy, że ktoś o pozycji Nazwiska z końcem roku zwiększył limit dochodu ze 150 tysięcy funtów do 180 tysięcy - dowiedźcie się dokładnie, dlaczego tak zrobił, z kim rozmawiał na ten temat, kto go zachęcał, pytajcie o wszelkie związane z decyzją dokumenty. Mamy prawo wglądu we wszystkie dotyczące sprawy dokumenty, na wszystkie, dosłownie wszystkie tematy.

- Mam pytanie - powiedział George Meyer. - W jakim stopniu i zakresie możemy liczyć na waszą pomoc? Bo już teraz jestem w stanie przewidzieć mnóstwo okazji, kiedy komuś z nas trzeba będzie wyjaśnić, czy jakiś tok rozumowania jest słuszny, czy jakaś kwestia jest istotna, i tak dalej. Mówię tu także o takich sytuacjach, jak pytanie Simona, czy nagranie jest dowodem w oczach sądu. Krótko mówiąc, jak często możemy się z wami kontaktować i czy taki kontakt będzie łatwo nawiązać. Wydaje mi się to dosyć ważne.

Fiona Broadhurst zmierzyła go chłodnym spojrzeniem.

- Nie mogę mówić w imieniu pana Lindsay-Cowana, ale do mnie możecie państwo dzwonić tak często, jak uznacie to za konieczne, przypominam tylko, że czas poświęcony przez nas waszej sprawie podlega ustalonym zasadom wynagrodzenia. Nie muszę chyba wyjaśniać, że rozmowa z moim asystentem będzie tańsza.

- Jeszcze jedno ważne pytanie, co dalej? - Flora przygryzła dolną wargę. - Chodzi mi o to, ile może potrwać cała sprawa, czy jest to kwestia miesięcy, lat...

- Na pewno wielu miesięcy - odparł Lindsay-Cowan. - Pozwólcie państwo, że nakreślę prawdopodobny przebieg wydarzeń. Składamy pozew, otrzymujemy od nich pismo w odpowiedzi i jeśli będzie to

konieczne, prosimy o dokładniejsze wyjaśnienie stanowiska obrony, oczywiście wszystko to drogą urzędową. Dochodzi do wstępnego przedstawienia stanowisk przed sądem i otrzymujemy plan postępowania sądowego. Przygotowujemy listę dokumentów, które zamierzamy przedstawić, strona przeciwna robi to samo, wymieniamy się tymi listami i żądamy od nich kopii ważnych dokumentów, zapoznajemy się z nimi i przygotowujemy zeznania świadków. Powołani eksperci oceniają materiał dowodowy, mój asystent robi to samo. Przez cały czas współpracujemy z panią Broadhurst. Wszystko to razem potrwa parę miesięcy. Później, przy założeniu, że wszystko będzie w porządku, wymieniamy się z obroną - my dostajemy ich świadków, ich dokumenty, opinie ekspertów i vice versa. W końcu podejmujemy ostateczną decyzję o wytoczeniu oskarżenia i sąd wyznacza termin rozprawy, której trwanie zależy od liczby świadków oraz dokumentów. Uzgadniamy daty z sądem, powiadamiamy drogą urzędową świadków, dowiadujemy się, jakie daty odpowiadają im, jakie wam, jakie mnie. Zgrywamy to wszystko i uzgadniamy z sędzią, który poinformuje nas, że możemy rozpocząć proces za dziewięć miesięcy, na przykład. Powiedziałbym więc, że w grę wchodzi okres mniej więcej dwóch lat.

- Dwa lata! - zawołał George Meyer.

Popatrzyli po sobie z przerażeniem. Dwa lata, rozpaczliwie długo... Jak zdołają przetrwać ten czas?

- Wpadnę wieczorem do Catherine, jeżeli nie masz nic przeciwko temu - powiedziała Lucinda do Blue przez telefon. - Wiem, że nie jestem jej bliską znajomą, ale uważam, że czasami człowiek czuje się lepiej, kiedy po prostu z kimś porozmawia. Minęły już trzy dni, w każdym razie to będzie trzecia noc... Och, mówię tak, jakby ona o tym nie wiedziała.

W drzwiach mieszkania w Fulham przywitała Lucindę Catherine o zmizerowanej, udrepczonej twarzy.

- Witaj - odezwała się ciężkim, martwym głosem.

- Witaj, Catherine... Mogę wejść?

- Oczywiście. Caroline śpi, dzięki Bogu. Ze względu na nią muszę być dzielna, a to najtrudniejsze ze wszystkiego.

- Och, kochanie - Lucinda otoczyła ją ramieniem. - Tak mi strasznie, strasznie przykro.

Catherine zdobyła się na blady uśmiech.

- Czas wcale nie pomaga, z każdą godziną jest coraz gorzej, wiesz? - westchnęła. - Wracam myślami do tamtej chwili, kiedy dowiedziałam się o jego zaginięciu i wydaje mi się, że wtedy wcale nie czułam się tak strasznie. Było okropnie, jasne, przeżyłam szok, ale wtedy miałam... miałam nadzieję. Teraz już ją straciłam. Nie mam nadziei. Nie mogę uwierzyć, że w ogóle miałam Freddiego, że był ciepły, żywy i oddychał, że nie był...

- Ale on żyje! - zaprotestowała Lucinda. - Jestem tego pewna!

- Nie jesteś pewna! - Catherine podniosła głos. - Nie masz żadnej pewności, więc przestań wygadywać te bzdury! Gdyby żył, ktoś wiedziałby o tym, a jeżeli nawet ktoś wie i nie skontaktował się ze mną ani z policją, to dlatego... dlatego... O, mój Boże, kiedy pomyślę, przez co on może przechodzić, co mogą

mu robić jacyś ludzie, wszędzie dookoła pełno jest takich przerażających zbrodni, może ktoś zadaje mu ból, straszy go... O, Boże, Lucindo, nie mogę tego znieść, już nie mogę, naprawdę! Gdyby nie Caroline, zabiłabym się, bo tylko śmierć może przynieść ulgę w takiej sytuacji.

Spuściła głowę i ukryła twarz w dłoniach, gwałtownie dygocząc na całym ciele. Lucinda objęła ją i sama zaczęła płakać, zastanawiając się, co mogłaby powiedzieć lub zrobić, żeby Catherine poczuła się choć odrobinę lepiej.

- Przepraszam - szepnęła Catherine, patrząc na nią przez łzy. - Przepraszam. Nie powinnam na ciebie krzyczeć.

- Nie opowiadaj głupstw! Gdyby to miało ci pomóc, pokrzycz jeszcze trochę.

- To też nie pomaga. Nic mi nie pomaga. To zupełnie nie do zniesienia... Boże, dlaczego on to zrobił? Dlaczego uciekł? Co ja takiego zrobiłam? Och, Lucindo, kiedy już urodzisz to dziecko - ruchem głowy wskazała brzuch Lucindy. - Kiedy już je urodzisz, nigdy nie spuszczać go z oka, nigdy, ani na sekundę...

Przecież to zupełnie absurdalne, pomyślał Simon. Stał na nabrzeżu i zachowywał się jak sentymentalna panienka, zupełnie jakby żaglówka była żywą osobą, osobą, która ma uczucia. A brało się to chyba stąd, że na wodzie byli jednym, stanowili jeden organizm, on i „Lizzie”... Wspólnie zmagali się z morzem i wiatrem, bez reszty skupieni na tym cudownym, jedynym w swoim rodzaju przeżyciu, jakim było żeglowanie. Czasami wypływał w morze niezadowolony, nieszczęśliwy lub wykończony, tak jak dzisiaj, po wyczerpującej konferencji z Lindsay-Cowanem, ale wracał uzdrowiony, w pełni sił, radosny. Albo wyruszał pogodny i szczęśliwy i wracał jeszcze bardziej zadowolony z życia. „Lizzie” nie przywodziła na myśl żadnych negatywnych skojarzeń; nawet niebezpieczeństwo, nawet lęk były czymś, z czego można było się śmiać, czym można było się chwalić, gdy już pokonali je razem. „Lizzie” była mu niezbędna do szczęścia, a teraz musiał się jej pozbyć. To był ich ostatni wspólny dzień. Znalazł na nią kupca i musiał ją oddać, pozwolić, aby ktoś ją zabrał, aby stała się jedynie wspomnieniem. I nawet jego słynna zdolność znajdowania dobrych stron we wszystkim, absolutnie we wszystkim, została wystawiona na poważną próbę.

Poprzedniego dnia spędzili bardzo miły wieczór z Florą. Elizabeth bardzo się postarała, kupiła świetną jagnięcinę i przygotowała doskonałą pieczeń, i chociaż jedli w kuchni, udekorowała stół świecami i kwiatami. Simon był szczerze wzruszony.

Flora była zachwycona ich domem i ciężko westchnęła, słysząc, że może będą zmuszeni się go pozbyć.

- Nie mówcie mi o sprzedawaniu pięknych domów - jęknęła. - Czasami się zastanawiam, jak zniosę rozstanie ze swoim, a czasami po prostu wiem, że tego nie zniosę.

Siedzieli do późna, omawiając we troje sprawę wystąpienia do sądu.

Rano Simon wyjechał z Londynu mniej więcej o tej samej godzinie co Flora; dzień był zbyt piękny, żeby marnować go w mieście, chciał zresztą spędzić z „Lizzie” jak najwięcej czasu.

Teraz spojrzał w błękitne, zawleczone lekką mgiełką niebo i schylił się, żeby sięgnąć po cumę, kiedy nagle usłyszał swoje imię.

- Cześć, Simon! Wybierasz się do Francji? Odwrócił się.

- Felicity! Witaj! Cieszę się, że cię widzę! Tak, taki mam plan!

- Ja także, płynę do Saint Valery. Umówmy się tam na lunch, co ty na to?

- Świetny pomysł! Pierwszy zamawia wino, zgoda? Do zobaczenia w Saint Valery!

Felicity Parker Jones. Simon znał ją od dawna, żeglował z nią i nawet się ścigał. Była osobą, z którą mógł bez bólu spędzić ten dzień - chłodna, pozbawiona sentymentalnych skłonności, zawsze dzielna. Wiedział, że Felicity oszczędzi mu męczących pytań i pełnych współczucia komentarzy, a przy tym doskonale go zrozumie i zachowa dla siebie własne uczucia i przemyślenia. Felicity była też bardzo atrakcyjna - mniej więcej w wieku Elizabeth, wysoka, smukła, jasnowłosa i bardzo zabawna. To również powinno mu pomóc.

Pomachał do niej i wskoczył na pokład „Lizzie”, nagle czując się zdecydowanie lepiej.

Catherine próbowała właśnie podnieść się z krzesła, na którym przesiadziała tyle godzin, i przygotować jakiś lunch dla Caroline, gdy nagle zadzwonił telefon.

- Halo - odezwała się obojętnie.

- Pani Morgan? Tu sierżant Lockyer.

- Tak? - usłyszała swój głos, zachrypnięty ze strachu.

Wtedy nastąpiła ciągnąca się w nieskończoność cisza. Catherine czekała na wiadomość, którą, jak dobrze wiedziała, musiała w końcu usłyszeć - że Freddie nie żyje.

- Wszystko w porządku, pani Morgan - powiedział wreszcie sierżant Lockyer. - Mam tu Freddiego. Jest cały i zdrow!

Dorośli nie doceniają dzieci, pomyślał sierżant Lockyer. Zwykle tak bywa. A dzieciaki są o wiele sprytniejsze i bardziej praktyczne niż dorośli sądzą. Patrzył na dwóch chłopców, z których jeden był nieco bardziej zmęczony i brudny niż drugi; obaj odpowiedzieli mu hardymi spojrzeniami, choć najwyraźniej mocno im ulżyło, iż wreszcie zostali znalezieni.

- No, no, no - odezwał się sierżant. - Ależ narobiliście wszystkim kłopotu...

Doskonała kryjówka - pawilon przy basenie. Dach nad głową, woda i toaleta, czyli większość niezbędnych do życia rzeczy, poza żywnością. A ponieważ właściciele basenu, pawilonu i całej posiadłości mieli pojawić się dopiero za parę dni, mały chłopiec i jego wspólnik byli całkowicie bezpieczni i nawet nie mogli skarżyć się na niewygodę. Wiele to wyjaśniało, między innymi to, w jaki sposób wspomniany już chłopiec zniknął bez śladu na całe trzy dni, dlaczego nikt go nigdzie nie zauważył, brudnego, ukradkiem kupującego coś do jedzenia.

Gdyby nie weekend, i to piękny weekend, który sprawił, że basen skusił właścicieli, może Freddie ukrywałby się tam jeszcze dłużej.

- To, co zrobiliście, było wyjątkowo głupie! - skarcił surowo obu chłopców, Freddiego i jego najlepszego kolegę ze szkoły Dominica Maysa, kiedy siedzieli w kuchni domu w Chelsea, czekając na przybycie Catherine. - Wyjątkowo! Mnóstwo osób się niepokoiło, denerwowało i ciężko pracowało z waszego

powodu! Policja musiała poświęcić wam dużo czasu i był to czas zmarnowany! Mama Freddiego szalała ze strachu. Ach, to właśnie ona! Mówiłem chłopcom, jak okropnie się pani martwiła i ile nerwów to wszystko panią kosztowało.

Catherine, wychudzona i biała jak ściana, podtrzymywana przez małą Caroline o oczach wielkich jak spodki, słabo kiwnęła głową i usiadła. Freddie patrzył na nią przez całą szerokość kuchni i uśmiechał się niepewnie. Targające Catherine emocje były tak gwałtowne, że nie mogła się zdobyć nawet na uśmiech. Przyglądała się tylko synkowi, napawała się jego widokiem i ciągle myślała o tym, że już nie spodziewała się zobaczyć go żywego, całego, zdrowego, niezgwałconego.

- Przepraszam - powiedział Freddie. - Bardzo przepraszam... Myślałem...

- Co myślałeś, Freddie?

- Och, to bez znaczenia.

Jego głos brzmiał dziwnie, trochę chłodno. Cóż, pomyślał sierżant, może nie należy się temu dziwić.

- I co macie na swoje usprawiedliwienie? - spytał Paul Mays, ojciec Dominica.

Razem z opiekunką miał się zająć chłopcem przez parę dni, na czas nieobecności matki, swojej byłej żony Denise, która wyjechała do Paryża z nowym przyjacielem, i teraz wyglądał tylko trochę lepiej od Catherine. Wyrzuty sumienia, pomyślał Lockyer. Nie bez powodu - niewątpliwie powinien był się zorientować, że Dominic coś knuje. Może zresztą nie, szybko usprawiedliwił Paula, biorąc pod uwagę inteligencję i spryt dzieci. I oczywiście względną głupotę dorosłych.

- Bardzo przepraszamy! - powiedział Dominic. - Ale wydawało nam się, że to naprawdę dobry pomysł! Freddie był okropnie biedny, prawda, Fred? A ja chciałem mu tylko pomóc.

Freddie bez słowa kiwnął głową.

- I w ogóle nie przyszło ci do głowy, że gdybyś to ty zniknął bez śladu, umarłbym ze zmartwienia, synu? - zapytał Paul Mays.

- Nie - odparł Dominic z bezwzględną dziecięcą szczerością. - Pomyślałem tylko, że pewnie z radością zostałbyś trochę dłużej w pracy.

Wyraz twarzy Denise Mays stanowił interesującą mieszankę rozbawienia i pogardy.

- A dlaczego nic nie powiedziałaś, kiedy o Freddiego zaczęła wypytywać policja?

- Bo powiedzieli, że Freddie padł ofiarą złego traktowania i że chcą rozmawiać z każdym, kto mógł mieć coś wspólnego z tą sprawą. Ja byłem przecież miły dla Freddiego i wiedziałem, że jest zupełnie bezpieczny.

Dominic także uczył się w Lynton House, i też nie był tam szczęśliwy, podobnie jak Freddie. Dominic był gruby, inni chłopcy bezlitośnie mu dokuczali i właśnie to zbliżyło go do Freddiego. Błagał rodziców, aby przenieśli go do innej szkoły, ale oni, nękani wyrzutami sumienia, że chłopiec się przejada, aby stłumić smutek po ich rozwodzie, powiedzieli mu, że powinien zignorować zaczepki, bo jego prześla-

dowcy szybko się znudzą i znajdą sobie nową ofiarę. W ten prosty, standardowy sposób usiłowali naturalnie znaleźć usprawiedliwienie dla siebie samych.

- Freddie był nieszczęśliwy, tak jak ja - ciągnął Dominic. - Raz rozplakał się i powiedział, że musi uciec, bo nie ma innego wyjścia, ale że nie wie, gdzie mógłby się ukryć, i zapytał, czy nie mam jakiegoś pomysłu. Odparłem, że mógłby trochę posiedzieć w pawilonie nad basenem w nowym domu mojego taty, że nikt go tam nie znajdzie, no i będzie zupełnie bezpieczny. To była prawda. Jak się dowiedzieliście?

- Jeden z waszych kolegów z klasy zadzwonił dziś rano na policję, to znaczy zadzwonił nie on, tylko jego ojciec. Chłopak pomyślał sobie, że Dominic może pomagać Freddiemu, i miał rację. Wykazał się trochę większym rozsądkiem niż wy dwaj.

- Cóż, po prostu brak mi słów! - oświadczyła Denise Mays, chociaż dla sierżanta Lockyera było jasne, że czego jak czego, ale słów na pewno jej nie brak. - Nie mogę uwierzyć, Paul, że nie zdawałeś sobie sprawy, co się dzieje dosłownie pod twoim nosem! W przyszłości poważnie się zastanowię, zanim zostawię Dominica pod twoją opieką. Nie było cię w domu? Wyjechałeś? Chcę wiedzieć, jak mogło dojść do czegoś takiego.

- Pracowałem - odrzekł Paul Mays, patrząc na byłą żonę z intensywną niechęcią. - Siedziałem w pracy do późna, wychodziłem z domu wcześniej rano, jak zwykle, jeśli jeszcze pamiętasz.

- Pamiętam, niestety! A jeśli o ciebie chodzi, Dominic, to jak mogłeś być tak samolubny, tak absolutnie głupi.

- Nie jest samolubny ani głupi - odezwał się Freddie. - Dominic to naprawdę dobry przyjaciel! Można na nim polegać i jest mądry. I to nie był jego pomysł, wymyśliliśmy to razem. Proszę się na niego nie złościć, to niesprawiedliwe.

- Jak się tutaj dostałeś? - spytała Catherine, pierwszy raz, odkąd weszła. - Przecież to daleko od domu.

- Pieszko.

- Pieszko!

- Tak, szedł według mapy, którą mu dałem - potwierdził Dominic. - Zajęło mu to tylko pół godziny. Na szczęście wszystko się udało, bo Freddiem i jego siostrą zajmowała się ta pani, mama wyjechała, a ja zostałem z tatą.

- Faktycznie, wszystko się udało - mruknął sierżant.

- Z początku było całkiem fajnie, zwłaszcza do wieczora, bo wieczorem to tata wracał z pracy. Kiedy opiekunka cmoktała swojego chłopaka, mogliśmy nawet popływać albo pograć w tenisa stołowego i mieliśmy całe góry jedzenia.

- Och, Dominic. - Paul Mays ukrył twarz w dłoniach.

- I wydawało ci się, że Freddie będzie mógł siedzieć i siedzieć? - zagadnął Lockyer. - Jak długo?

- Nie byliśmy pewni. Wiedziałem, że gdyby tata miał tę sobotę wolną, w weekend byłoby dużo trudniej...

- Często pracuje pan w soboty, panie Mays?

- Tak, dość często.

- To pracoholik - oznajmiła z zimną wzdardą Denise Mays.

- A poza tym pani Patton - podjął Dominic.

- Kto to taki?

- Gospodyni. Pani Patton powiedziała, że na przyszły tydzień umówiła kogoś do sprzątanego w pawilonie, żeby przygotować wszystko na lato. Więc nie wiedzieliśmy, co robić dalej...

- Rozumiem - Lockyer pokiwał głową. - No, teraz już wszystko wiecie! Dominic, nie wolno robić takich rzeczy, zapamiętaj to sobie raz na zawsze! A ty, Freddie, przeproś mamę! Obaj powinniście się wstydzić! I to bardzo...

Powiedzieli, że się wstydzą. I to bardzo.

I wreszcie Catherine, Caroline i Freddie zostali odwiezieni do domu. Koszmar dobiegł końca. Przy najmniej na razie.

## ROZDZIAŁ 26

*CZERWIEC - LIPIEC 1990*

Nic nie było do końca tak, jak wyobrażałyby to sobie Catherine, oczywiście gdyby była dość odważna, aby wyobrazić sobie odnalezienie Freddiego. Nie było radosnego spotkania z rzucaniem się sobie na szyję, uściskami i pocałunkami; nie było skruszonego, stęsknionego małego chłopca, który wpadłby w jej objęcia z radosnym okrzykiem.

Miała teraz w domu przygaszonego małego obcego, który bardzo uprzejmie całował ją w policzek i co jakiś czas powtarzał, że czuje się dobrze i przeprasza, że narobił wszystkim tyle kłopotu. I tyle.

- Może poszlibyśmy na pizzę? - zaproponowała. - Na kolację?

Była to naprawdę wielka, zawsze niecierpliwie wyczekiwana frajda. Teraz Freddie lekko wzruszył ramionami.

- Dobrze - powiedział.

- Och, tak! - zawołała Caroline.

Zjedli swoje pizze w pełnym napięcia milczeniu. Zanim wrócili do domu, w sercu Catherine zaczęła powoli podnosić się fala gniewu, chociaż ze wszystkich sił usiłowała się powstrzymać. Freddie był chyba wystarczająco duży, aby zdawać sobie sprawę, na co ją naraził, jak bardzo musiała się martwić, jak przerażające było to przeżycie. Wystarczyłoby jej zwyczajne wyjaśnienie, ale Freddie nie powiedział na ten temat ani słowa.

- Jest jakiś dziwny - wyznała Caroline, która wróciła do równowagi ze zdumiewającą odpornością, typową dla dzieci. - Mogę iść pobawić się z Katy, mamusiu?

Catherine zdołała zachować całkowity spokój i nawet namówiła Freddiego na kąpiel. Był zdumiewająco brudny, jeśli wziąć pod uwagę, że cztery dni spędził praktycznie na basenie. Zaproponowała, że mu poczyta, bo nadal bardzo to lubił, i że następnego dnia zabierze ich do zoo. Mimo tego Freddie pozostał milczący, niekomunikatywny i wcześniej poszedł do łóżka. Kiedy zajrzała do niego, przerażona, że może znowu uciec, mocno spał i ssał kciuk przez sen, czego nie robił od ładnych kilku lat.

Do poniedziałku nadal nic nie powiedział.

- Słuchaj, Nigel... - w głosie Douglasa Wilsona brzmiała nuta wzburzenia. - Dostałem list od adwokata twojej żony, w sprawie rozwodu! I muszę przyznać, że to, co sugeruje jako uposażenie dla niej wydaje mi się zupełnie niewiarygodne. Twierdzi jednak, że ty i twoja żona uzgodniliście to między sobą, oczywiście w ogólnym zarysie. To prawda?

- Tak.

- Rozumiem, dlaczego on się na to zgodził, ale czy tobie naprawdę to odpowiada? To niezwykle wspaniałomyślne! Byliście małżeństwem zaledwie cztery lata, twoja żona nie wniosła praktycznie żadnego finansowego wkładu w wasz związek, nie macie dzieci.

- Wiem, ale te warunki zupełnie mi odpowiadają. Chcę... chcę, żeby otrzymała dobre uposażenie.

- Ale... Słuchaj, stary, przecież ona cię zostawiła! I to bez żadnego powodu z twojej strony, o ile mi wiadomo! Nie wydaje mi się, żebyś ją bił, bo coś ci się nie podobało...

- Oczywiście, że nie! - przerwał mu Nigel.

- Przepraszam cię, ale musiałem zapytać. I nie wyczyniałeś żadnych innych sztuczek...

- Sztuczek?

- No, tak, chodzi mi o to, że jej nie zdradzałeś.

- W żadnym razie!

- No i z twojego punktu widzenia wasze małżeństwo było idealnie szczęśliwe.

- Tak - odparł Nigel z ogromnym smutkiem.

- Więc skąd ta absurdalnie hojna propozycja? Naprawdę nie musisz posuwać się tak daleko! - Douglas Wilson nie krył lekkiego zniecierpliwienia. -

Nie musisz dawać jej aż tyle! A już na pewno nie pieniądze z tego funduszu i dom! Przecież to po prostu śmieszne!

- Wcale nie śmieszne! Zależy mi, żeby była odpowiednio zabezpieczona finansowo.

- Ależ ona jest zabezpieczona finansowo! A ta historia z galerią w Nowym Jorku to prawda?

- Tak, jak najbardziej. Tak. Bardzo ją to dotknęło. Chciałbym jakoś jej to wynagrodzić.

- Oddając jej sto tysięcy funtów?! To czyste szaleństwo!

- Rozumiem twój... Rozumiem twój punkt widzenia, ale Lucinda mogłaby być teraz bogatą kobietą, gdyby nie ja, spójrz na to w ten sposób.

- Cóż, to twoje pieniądze, rzecz jasna, ale mimo wszystko nie bardzo mi się to podoba. Zamierzam napisać do jej adwokata, naturalnie za twoją zgodą, i podkreślić, że wasze małżeństwo trwało krótko, a ona



żyje teraz z zamożnym kochankiem i jest z nim w ciąży. Nie wydaje mi się, żeby mogła wysuwać jakieś roszczenia, jeśli chodzi o dom, a już na pewno nie może żądać jego pełnej wartości. Co do rekompensaty finansowej za tę galerię w Nowym Jorku, to przecież zakrawa to na jakąś bzdurę. Moim zdaniem, nie powinniśmy przyjmować takich idiotycznych warunków, nie bez walki!

- Ale...

- Zaufaj mi, proszę! Naprawdę wiem, co robię. Dobra ugoda rozwodowa to kompromis, a z ich strony nie widzę żadnej gotowości pójścia na kompromis, więc przynajmniej spróbujmy zawalczyć!

- No, dobrze, skoro uważasz, że powinniśmy...

- Tak uważam.

Nigel z wahaniem odłożył słuchawkę. Nie podobało mu się to wszystko, ani trochę. Uważał, że to nie w porządku, i wcale nie wierzył, że ujdzie im to na sucho. Ale... Ale w gruncie rzeczy i tak nie miał innego wyjścia. I może jednak uda im się uratować spinki do mankietów dziadka Cowpera, a to byłoby naprawdę coś...

Kiedy lipcowy świt rozjaśnił niebo, Catherine zrozumiała, że nie zniesie tego ani chwili dłużej. Wiedziała, że Freddie nie śpi, słyszała, jak się ruszał. Ostrożnie zapukała do drzwi jego pokoju.

- Kochanie, to ja! Wpuść mnie, proszę. Cisza.

- Freddie, proszę, bardzo chcę z tobą porozmawiać! Otwórz, proszę. Powiedz mi, co się stało, muszę wiedzieć, żebym mogła to naprawić!

Cisza.

- Dobrze - odezwał się wreszcie Freddie, bardzo niechętnie.

Otworzył drzwi i wpuścił ją. Był bardzo blady, pod oczami miał głębokie cienie.

Popatrzył na nią bardzo poważnie, bez uśmiechu, bez słowa.

- Skarbie, proszę, muszę wiedzieć, co się stało! Bardzo cię kocham, musisz mi uwierzyć.

Wzruszył ramionami.

- Więc dlaczego chcesz się nas pozbyć? - zapytał, z każdym słowem coraz bardziej podnosząc głos, aż do krzyku.

Na policzkach wystąpiły mu krwawe placki, oczy otworzył szeroko.

- Co ty mówisz? Nie chcę się was pozbyć, skąd...

- Chcesz! Wolałabyś, żeby nas tu nie było! Tak powiedziałaś, słyszałem! Dlatego uciekłem, bo myślałem, że tego chcesz! Myślałem, że tak będzie ci łatwiej!

- Nie rozumiem - powiedziała powoli Catherine. - Naprawdę nie rozumiem... Niczego takiego nie mówiłam, jestem tego pewna. To niemożliwe! Moje życie jest znośne tylko dlatego, że mam ciebie i Caroline, naprawdę.

- Słyszałem cię, słyszałem na własne uszy! Rozmawiałaś z kimś przez telefon!

- Powiedz mi dokładnie, co usłyszałeś. Dokładnie!

- Powiedziałaś: „Gdyby nie dzieci, a zwłaszcza Freddie, w ogóle by mnie to nie dotknęło. Bez nich z łatwością pogodziłabym się z tą sytuacją"! I nie mów mi, że miałaś na myśli coś zupełnie innego, bo nie jestem aż taki głupi!

- Och, kochanie... - po policzkach Catherine pociekły łzy, chwyciła rękę syna, ale on ją wyrwał. - Rozmawiałam z dawnym przyjacielem taty, o tej okropnej sprawie, przez którą nie mamy pieniędzy.

- O Lloyd'sie?

- Tak, o Lloyd'sie. I faktycznie tak powiedziałam, ale chodziło mi o to, że cierpię nad tym, że jest wam teraz tak trudno. Ja naprawdę jakoś radzę sobie z brakiem pieniędzy, lecz najgorszy ciężar spada na was, musicie ciągle zmieniać szkoły, nie możecie jeździć na szkolne wycieczki i nie macie przyzwoitego sportowego sprzętu. Martwię się tym wszystkim, to chyba jasne i nie podoba mi się, że mieszkamy w tym ciasnym mieszkanku, chociaż przeżyliśmy tu sporo miłych chwil. Mnie nie przeszkadzają te utrudnienia, ale przeszkadza mi, że ty jesteś nieszczęśliwy, że nie masz rzeczy, które powinieneś mieć, i jeszcze musisz zajmować się Caroline, kiedy późno wracam z pracy, rozumiesz? Rozumiesz, skarbie? Och, Freddie, ty potworny głuptasie! I to dlatego uciekłeś? Bo myślałeś, że wolałabym, żeby cię nie było?!

Kiwnął głową, ani na sekundę nie odrywając oczu od jej twarzy; wpatrywał się w nią takim wzrokiem, jakby nigdy nie miał przestać.

- Och, kochanie, tak mi przykro, że coś takiego przyszło ci do głowy! Bo przecież gdyby nie ty i Caroline, chyba... No, po prostu nie potrafiłabym dalej żyć bez taty. Jesteście dla mnie wszystkim, całym moim światem! I gdybyś wtedy posłuchał jeszcze chwilę, usłyszałbyś, że poza wami nic się dla mnie nie liczy! Wierzysz mi?

Stopniowo, bardzo powoli, kamienna buzia złagodniała. Najpierw pojawił się na niej słaby, drżący uśmiech, a potem Freddie podszedł do Catherine i pozwolił, aby go objęła, i wreszcie nagle, w przypływie gwałtownej ulgi, zarzucił jej ramiona na szyję i przywarł do niej tak mocno, że prawie nie mogła oddychać.

- Kocham cię, mamusiu! - wykrztusił zduszonym głosem. - Przepraszam, że się martwiłaś! Strasznie cię przepraszam. Myślałem... Myślałem, że ci pomogę.

I rozplakał się. Catherine czuła, jak jego chude ciało dygocze, wstrząsane szlochem, czuła jego łzy na swojej szyi i siedziała tak, głaszcząc go po włosach, całując po głowie i myśląc o tamtych strasznych chwilach, kiedy była pewna, że już nigdy więcej nie będzie mogła trzymać go w ramionach i pocieszać, i śmiać się z nim razem. Uczucie wielkiej ulgi, które ją także ogarnęło, było tak obezwładniająco silne, że sama też zaczęła płakać.

Annabel była tak podekscytowana, że z trudem oddychała. Za trzy dni, już za trzy dni znajdzie się na pokładzie samolotu lecącego do Bostonu, a na lotnisku Logan będzie czekał na nią Jamie i razem pojedą do miasta wodnym autobusem.

- To bardzo przyjemna trasa widokowa - powiedział. - Chyba najlepsza dla tych, którzy pierwszy raz przyjeżdżają do Bostonu!

Dodał, że wszyscy bardzo cieszą się z jej przyjazdu, i że dokładnie zaplanowali już, co jej pokazać. Brzmiało to cudownie, każdego dnia coś niezwykłego - wycieczka po Bostonie, impreza, na której Annabel pozna przyjaciół Jamiego, koncert Boston Pops („Są niesamowici!”), wyprawa na zakupy z jego matką i siostrą („Mamy tu taki odpowiednik waszej Bond Street!”), a w drugim tygodniu wypad do ich rodzinnego domu na Cape Cod („Jest nad samym oceanem, będziesz zachwycona!”).

Carol zrobiła jej piękną fryzurę z bardzo, bardzo subtelnym balejażem i troszeczkę skróciła niektóre pasma, a Annabel zafundowała sobie manikiur, pedikiur oraz solarium. James miał zobaczyć ją całą i nie chciała, żeby jego zapach ostygł z powodu jej bladej jak mąka skóry. Ledwo mogła sobie przypomnieć, jak Jamie wygląda, pamiętała jednak, że ma cudowne błękitne oczy, opadające na czoło jasne włosy, wyrazistą linię ust, no i że jest wysoki i atletycznie zbudowany. Nie potrafiła tylko przywołać z pamięci jego uśmiechu, wyrazu oczu, kiedy się w nią wpatrywał, i tak dalej.

Florian kpił z niej trochę, co oczywiście było nieuniknione i za każdym razem, gdy wchodziła do pokoju dla personelu, zaczynał na cały głos śpiewać *Bitewny hymn republiki*, ale także doradził jej, do jakiej długości powinna skrócić włosy, a ostatniego dnia wręczył prezent, przepiękny, po prostu przepiękny grzebień z szylkretu i srebra.

- Zależy nam, żebyś zaimponowała im klasą, słoneczko! - oświadczył. - Nie mogę pozwolić, żeby pomyśleli sobie coś złego o naszym salonie, a te ohydne spineczki, które ostatnio zaczęłaś nosić we włosach są przerażająco tandetne!

Annabel tak się wzruszyła, że łzy napłynęły jej do oczu.

- I żadnego seksu w pierwszą noc, pamiętaj!

- Dlaczego?! - zapytała, śmiejąc się i pociągając nosem.

- Och, nadmiar entuzjazmu też jedzie tandetą! Jego matce na pewno by się to nie spodobało!

- Jego matka nigdy by się o tym nie dowiedziała.

- Znam ten typ, zaufaj mi! Będzie podsłuchiwała pod drzwiami, a rano dokładnie obejrzy prześcieradła!

- Daj spokój, Florian! - prychnęła Annabel. - Jesteś po prostu obrzydliwy!

Oczywiście za żadne skarby świata by się nie przyznała, że już wcześniej zastanawiała się, jak pani Cartwright, osoba o autokratycznej osobowości, rozwiąże sprawę spania i czy w razie gdyby to rozwiązanie okazało się nieprzyjemne, uda się jakoś przezwyciężyć przeciwności losu.

- Słoneczko, słuchaj mnie, a dobrze na tym wyjdiesz! Po pierwszej nocy mamusia twojego ukochanego nie będzie już taka czujna, zobaczysz!

- No, dobrze! - zgodziła się Annabel.

Wydarzyło się to w dniu, kiedy miał spotkać się z Joelem Stricklandem.

- Wpadnij do mnie na słówko, Simon - powiedział prezes w windzie. Simon wracał właśnie z lunchu, śmiesznie drogiego lunchu.

- Oczywiście - odparł. - Za pięć minut będę, dobrze?

Dokładnie pięć minut później wszedł do dużego gabinetu o ścianach wyłożonych boazerią, takiego jak z reklamy w eleganckim magazynie, ze skórzanymi krzesłami i fotelami, i portretami Williama Grubna oraz Theodore'a Frencha. Zdziwił się trochę na widok dwóch innych członków zarządu, którzy czekali na niego razem z prezesem, ale pomyślał, że może mają omówić jakąś ważną umowę.

- Cześć! - rzucił z uśmiechem.

Uśmiechnęli się, lecz trochę niewyraźnie, i nic nie powiedzieli. Wyglądało to odrobinę dziwnie.

- Napijesz się czegoś, Simon? - zagadnął Dudley. Simon potrząsnął głową.

- Nie, dziękuję, mam jeszcze sporo pracy.

Usiadł wygodnie w jednym z obitych skórą foteli i popatrzył wyczekująco na trzech mężczyzn. Pomyślał, że kiedy Dudley powie już, co ma do powiedzenia, będzie musiał porozmawiać z nimi na temat Lloyd'sa.

- Opowiedz mi o tej sprawie z Lloyd'sem - odezwał się wtedy Dudley.

I Simon zaczął mówić. Powiedział, że cała sytuacja przedstawia się dość koszmarnie, ale jest przekonany, że jakoś przetrwa jeszcze co najmniej rok, a poza tym występuje do sądu i...

- Tak, ale ile wynosi twoje zadłużenie? - przerwał mu Dudley. - To chciałbym wiedzieć.

- No, mniej więcej... około pół miliona - odparł Simon, nagle czując się trochę mniej pewnie.

- Pół miliona? Masz osobiste długi w wysokości pół miliona?

- Tak, mniej więcej pół miliona...

- I masz tę kwotę? Dysponujesz taką sumą?

Tamci dwaj wpatrywali się w dywan z takim skupieniem, jakby nigdy nie widzieli nic bardziej interesującego.

- Nie, raczej nie...

Dlaczego jego wnętrzności wykonywały coś w rodzaju serii bardzo nieprzyjemnych skoków?

- Wystawiam dom na sprzedaż, chociaż zdecydowałem się już pozwać Lloyd'sa do sądu, podobnie postąpiło kilka innych osób, które znalazły się w takiej sytuacji.

- Podajesz Lloyd'sa do sądu? Bo chyba tak powiedziałeś, prawda?

- Tak. Adwokat, którego zatrudniliśmy, uważa, że mamy podstawy.

- Zaraz, zaraz... Czy to oznacza, że nie zamierzasz spłacić Lloyd'sowi długu?

- Tak, to właśnie to oznacza, oczywiście, jeżeli mamy traktować ich roszczenia jako dług, co jest punktem spornym. Naszym zdaniem działali w złej wierze i oszukali nas, więc...

- Uważasz, że przedstawiciele Lloyd'sa działali w złej wierze i was oszukali?

- Tak, wszyscy tak uważamy. Dudley westchnął.

- Rozumiem - powiedział. - Choć bardzo trudno mi w to uwierzyć.

- Nie dziwię się! - rzekł Simon, starając się mówić lekkim tonem. - Początkowo wszystkim zainteresowanym trudno było w to uwierzyć, mnie również, ale gdy przyjrzymy się faktom... Jeżeli chcesz, mogę przedstawić wam tę historię w dużym skrócie.

- Raczej nie, w każdym razie nie w tej chwili. I mówisz, że inni też podjęli podobne kroki?

- O, tak! Szykuje się cała lawina procesów! Stanowimy niewielką grupę, ale ciągle nas przybywa, ponieważ kolejni ludzie zyskują przekonanie, że mamy podstawy do wytoczenia pozwu i...

- Simon! Simon, posłuchaj... Strasznie mi przykro, nie mogę jednak dopuścić do powstania sytuacji, w której jeden z naszych głównych dyrektorów zaangażowany jest w proces roszczeniowy przeciwko Lloyd'sowi. To niedopuszczalne!

W gabinecie zapadła nagle cisza jak makiem zasiał. Nawet najcichszy dźwięk zabrzmiałby teraz jak armatni wystrzał.

- Lloyd's to jedna z najbardziej znaczących instytucji w City, wielu naszych klientów ma z nimi powiązania, niektórzy są agentami bądź brokerami firmy - Dudley przerwał na chwilę. - Chwileczkę... Czy twoje konto byłoby czyste, gdybyś w tym roku sprzedał dom i spłacił dług?

- Oczywiście że nie! - powiedział Simon. - Cały problem z Lloyd'sem polega na tym, że odpowiedzialność finansowa jest nieograniczona, trwa aż do śmierci, bez żadnej przesady, jeżeli czyjaś polisa związana jest z jednym z syndykatów, gdzie roszczenia mogą pojawić się nawet po okresie wygaśnięcia. Dlatego są w prawie wysuwać roszczenia wobec nas choćby i przez pięćdziesiąt lat, to naprawdę koszmar-na sytuacja!

- Tak czy inaczej, podpisałeś umowę z takimi warunkami, prawda?

- Tak, naturalnie. Tak.

- I najwyraźniej nie do końca to sobie przemyślałeś. Poza tym, mieliście lata tłuste, jak sądzę. Wracając do sprawy zasadniczej - w tej chwili jesteś winny Lloyd'sowi pół miliona, tak?

- Tak.

- Co będzie w przyszłym roku? Co wtedy zrobisz?

- Jak już mówiłem, mam nadzieję, że wygramy sprawę. Jeden z pozostałych członków zarządu odchrząknął głośno.

- Nawet jeśli zostawimy w spokoju kwestię twojego zadłużenia, sądzimy, że pojawia się tu możliwość poważnych komplikacji finansowych - oznajmił.

Kiedy później Simon wracał myślami do tej rozmowy, uświadomił sobie, że właśnie w tym momencie stracił wszelką nadzieję. To wtedy zrozumiał, że wszyscy trzej działają wspólnie.

- Otóż to - Dudley pokiwał głową. - Przejrzałem twoją umowę o pracę i znalazłem w niej bardzo wyraźne odniesienia do sytuacji, w której jesteś zmuszony ogłosić upadłość finansową, co teraz wydaje się bardzo prawdopodobne, albo do twojej niemożności uzgodnienia warunków spłaty z wierzycielami, co także wchodzi w grę. I jedno, i drugie pociąga za sobą konieczność złożenia rezygnacji.

Simonowi zrobiło się niedobrze.

- Przecież żadna z rzeczy, o których rozmawialiśmy przed chwilą, nie usprawiedliwia takiego kroku - powiedział, starając się zachować normalny ton.

- Obawiam się, że nie masz racji. Podjęcie kroków prawnych wobec Lloyd'sa kwalifikuje się jako pogwałcenie umowy, którą z nami podpisałeś, podobnie twoja ewentualna upadłość finansowa. Poza tym, na pewno znasz trzeci punkt dwunastego paragrafu umowy...

- Nie, chyba niedokładnie.

- W takim razie ci go przeczytam. - Dudley otworzył szufladę i wyjął z niej dokument, niewątpliwie umieszczony tam właśnie w tym celu.

Wszystko to razem przypomina marną sztukę, pomyślał Simon.

- „Żaden z warunków kontraktu nie wyklucza jego zakończenia przez pracodawcę bez wypowiedzenia i wypłacenia odprawy w razie niewłaściwego zachowania pracownika - no, naturalnie tego nikt tu nie sugeruje - Dudley uśmiechnął się z wyraźnym wysiłkiem - albo w razie konieczności ogłoszenia upadłości finansowej przez pracownika”.

- Ale ja nie ogłosiłem upadłości finansowej!

- Ustaliliśmy jednak wspólnie, że istnieje takie niebezpieczeństwo. Oczywiście musimy też wziąć pod uwagę siódmy punkt paragrafu dwunastego, który stwierdza to samo, co wyżej: „jeśli pracownik zachowa się w sposób przynoszący szkodę lub ujmę pracodawcy”...

Simon milczał.

- Cóż, na pewno uda nam się wypracować jakieś rozwiązanie. Na początek powinieneś wycofać się z wszelkich działań, zmierzających do wszczęcia procesu. Chętnie zaproponowałbym ci jakiś rodzaj kredytu w naszym banku.

Żołądek Simona znowu wykonał nerwowy podskok, jednak tym razem dużo przyjemniejszy.

- ... ale obawiam się, że byłoby to całkowicie wbrew obowiązującym tu zasadom. Może masz jakieś inne źródła, co?

- Nie mam - odparł szczerze Simon.

- Hmm... Szkoda! Słuchaj, przemyśl to wszystko spokojnie. Nie chciałbym się z tobą rozstawać, jesteś znakomitym pracownikiem i specjalistą, na dodatek długoletnim. Jednak musisz zrozumieć, że nie mogę działać wbrew naszym zasadom, ponieważ byłoby to najzwyczajniej w świecie niesprawiedliwe wobec innych dyrektorów. Bardzo niesprawiedliwe. A teraz przepraszam cię, ale robi się późno, o czwartej mam ważne spotkanie i muszę się do niego przygotować. Dziękuję ci za szczerść, to ogromnie ważna rzecz. Jak już mówiłem, z pewnością osiągniemy jakiś kompromis. Umówmy się, że zajrzysz do mnie za... No, powiedzmy, że za dziesięć dni... Wystarczy ci tyle czasu?

- O, tak! - rzekł Simon. - Po dwudziestu pięciu latach pracy, w czasie których napychałem ciężkimi milionami wasze cholerne skrzynie... Absolutnie wystarczy! Jeżeli takie są warunki umowy, to musisz ich przestrzegać, jasne, w żadnym razie nie szukaj sposobu, aby je obejść! Ty draniu, ty podły, tchórzliwy łajdaku!

Potem odwrócił się i wyszedł z gabinetu, bardzo starannie zamykając za sobą drzwi.

Na korytarzu panowała kompletna cisza, słyszał tylko jakieś ciężkie, głucho uderzenia. Dopiero po paru chwilach zorientował się, że to jego serce. Na moment oparł się o ścianę i przymknął oczy. Później poszedł do swego gabinetu. Został zwolniony jak stojący najniżej w hierarchii goniec, powiedziano mu, że już nie przyda się bankowi, upokorzono go i obrażono. W odpowiedzi na uczciwość i szczerotę potraktowano go jak przestępcę. Był oburzony i tak zdenerwowany, że gdyby ktoś nagle zapytał go o nazwisko i adres, musiałby długo się zastanawiać.

Otworzył okno w swoim gabinecie na szóstym piętrze, spojrzął na ulicę w dole i chwilę zupełnie poważnie zastanawiał się, czy nie wyskoczyć.

Potem sięgnął po telefon i zadzwonił do Joela Stricklanda...

## ROZDZIAŁ 27

*CZERWIEC - LIPIEC 1990*

Joel był mocno poruszony wieczornym spotkaniem z Simonem. Następnego dnia siedział w redakcji, przygnębiony i bezradny. Rzadko zdarzało mu się widzieć kogoś pogrążonego w takiej rozpacz. Było to okropne - Simon siedział nieruchomo, odarty z pewności siebie, poczucia humoru i uroku, całkowicie obnażony emocjonalnie. Mówił i wychylał niezliczone whisky z wodą sodową, aż wreszcie Joel zasugerował, że powinni już wyjść i wsadził Simona do taksówki przed Savoyem.

Z początku Simon nic mu nie powiedział. Wszedł do baru bladej i potwornie zdenerwowany, ale wyraźnie zdeterminowany zachować pozory normalnej sytuacji. Wytrzymał tak parę minut, wreszcie wyrzucił wszystko z siebie.

- Zwolnili cię? - powtórzył Joel. - To po prostu niemożliwe! Bardzo mi przykro.

- Tak, zwolnili mnie, praktycznie za nic. Nie zdefraudowałem firmowych pieniędzy, nie zachowałem się niewłaściwie wobec klienta, nie zdradziłem tajemnicy służbowej, nie naciągnąłem nawet firmy na opłacenie rachunku za taksówkę. Powiedziałem tylko parę słów prawdy o tych skurwysynach i zacząłem domagać się sprawiedliwości dla nas wszystkich! To niesprawiedliwe, to nie w porządku! Chcę, żebyś o tym napisał, o tej niesprawiedliwości. Ludzie powinni o tym wiedzieć, muszą wiedzieć!

- Jasne, oczywiście...

- To niesprawiedliwe, do kurwy nędzy! Mam rację?

- Tak, absolutnie...

Wtedy Simon nagle spojrzął na Joela z najszczerzym przerażeniem w oczach.

- Jezu Chryste, co ja będę robił przez cały dzień? - zapytał bezradnie. - Powiedz mi, co ja ze sobą zrobię. No? Bo przecież nikt mnie teraz nie zatrudni.

I właśnie to, pomyślał Joel, gdy taksówka wyjeżdżała z dziedzińca przed hotelem Savoy, będzie dla Simona najgorsze ze wszystkiego.

Zastanawiał się, czy Debbie wie, czy w ogóle chciałaby wiedzieć; po chwili doszedł do wniosku, że pewnie tak, ale nie mógł się zdecydować, czy do niej zadzwonić. Ona i Simon byli chyba dobrymi znajomymi, lecz Joel nie sądził, aby Simon sam zatelefonował do niej z tą wiadomością. Tak czy inaczej, on, Joel, miał teraz wymówkę, aby skontaktować się z Debbie.

Podchodząc do sprawy z praktycznego punktu widzenia, nie miało to sensu - Debbie była mężatką, miała dzieci i Joel nie bardzo sobie wyobrażał, aby miał śmiałość zaprosić ją na randkę. Jednak z drugiej strony nie mógł, po prostu nie mógł przestać o niej myśleć. Kilka dni wcześniej Nicky Holt powiedziała mu, że Debbie próbowała się z nim zobaczyć, więc jego zainteresowanie niewątpliwie było odwzajemnione. Mógłby przynajmniej zaprosić ją na drinka i może poznać trochę lepiej, nie byłoby w tym nic złego. Poza tym...

- O, cholera jasna! - zaklął i wybrał jej numer.

Bardzo się zdenerwowała, kiedy opowiedział jej o Simonie.

- To straszne, Joel! Co za okropna sytuacja! Biedny Simon, tak mi przykro! Nie wyobrażam sobie, co zrobi bez tej pracy! Była jego nieodłączną częścią, może raczej cechą, zupełnie jak kolor oczu albo te jego idealnie skrojone garnitury! Rozumiesz, o co mi chodzi, prawda?

- Oczywiście, doskonale to wyraziłaś. Zadzwoniłem, bo pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć.

- Tak, dziękuję ci! Może do niego zadzwonię. Ciekawe, czy Flora już wie?

- Twoja egzotyczna teściowa? A właśnie, myślisz, że chciałaby porozmawiać ze mną na temat Lloyd'sa? Simon miał ją zapytać, ale w tej chwili nie będę mu przecież zawracał głowy... Mam ochotę napisać o tym, co oni robią z ludźmi, teraz bardziej niż kiedykolwiek...

- Może by chciała... Zapytać ją?

- Gdybyś mogła.

- OK. Dowiem się i oddzwonię!

\* \* \*

- I tak to wszystko wygląda - powiedziała Flora. - Chyba rozumiesz, czemu jestem przygnębiona.

Siedziała w restauracji w Cardiff z Colinem Petersonem, zgodziwszy się, właściwie wbrew sobie, pójść z nim na koncert, a później na kolację. I ze zdumieniem pomyślała, że nie tylko cieszy się z tego, ale jeszcze zwierza się Colinowi ze swoich kłopotów. Kłopotów finansowych.

- Rozumiem, oczywiście - pokiwał głową. - Bardzo mi przykro. I mówisz, że niedługo musisz wpłacić im tę następną sumę, tak?

- Tak, teoretycznie! Pewnie odłożą trochę termin wpłaty, jeżeli jako argument podam trudne warunki i tak dalej. Pozornie zachowują się jak dżentelmeni.

- Na pewno... Takie zachowanie musiało ściągnąć do nich wielu klientów i przynieść mnóstwo korzyści.



- Nie inaczej! Pamiętam, że William był pod dużym wrażeniem całego tego sztafażu. Jego zdaniem byli to „bardzo przyzwoici ludzie”. Naturalnie zaliczał do nich swego kuzyna, który wciągnął go w całą tę aferę. Aż trudno uwierzyć, prawda?

- Co myślałaś o tym wtedy, na początku? - spytał Colin Peterson.

- Och, nic szczególnego... I tak nie zakwestionowałabym zresztą takiej decyzji Williama, finanse nie były moim poletkiem. - Flora roześmiała się nagle. - Brzmi to okropnie staroświecko, prawda? Ale cóż, byliśmy staroświeckim małżeństwem. William miał bardzo dokładną wizję granic, wytyczających moje pole działania, a ja nigdy nie protestowałam. Dawał mi określoną sumę na wydatki domowe i drugą na ubrania, i już. Nie miałam żadnych własnych pieniędzy, no, może od czasu do czasu jakąś niewielką kwotę ze zdjęć, a moja pozycja była... była raczej mało znacząca, lecz tego także nie podważałam.

- W tamtych latach tak to zwykle było, prawda? Moje małżeństwo było w gruncie rzeczy bardzo podobne. Ja zajmowałam się finansową stroną życia, to znaczy zarabiałem i podejmowałam wszystkie większe decyzje, na przykład, kiedy powinniśmy położyć nowy dach albo zmienić samochód, a żona koncentrowała się na wychowaniu dzieci, pracach domowych, gotowaniu, organizowaniu wakacji. Oczywiście jej zajęcia były o wiele ważniejsze, dziś widzę to bardzo wyraźnie. Ten podział obowiązków bardzo ułatwiał życie i był dość szczegółowy, co zmniejszało ryzyko ząębiana się działań, a także konfliktów. Naturalnie omawialiśmy rozmaite rzeczy, ale oboje znaleźliśmy priorytety swoich „przydziałów”.

- Kiedy... kiedy umarła twoja żona? - zapytała Flora.

- Już dość dawno, ponad pięć lat. Teraz całkiem nieźle radzę sobie z życiem w pojedynkę, chociaż nadal tego nie lubię.

- A ja tak, wiesz? Oczywiście w pewien sposób nadal okropnie tęsknię za Williamem, ale mam świadomość, że czasami był zrzędą. I muszę przyznać, że lubię samodzielnie podejmować decyzje, w ogóle lubię samodzielność. Pewnie nie ma w tym nic dziwnego, bo jestem jedynaczką.

- Ale czy byłaś szczęśliwa w małżeństwie? Och, przepraszam, nie powinienem zadawać tego pytania.

- Nie przepraszaj, nie ma za co! Tak, byliśmy idealnie szczęśliwi. Kiedy William umarł, jakaś część mnie odeszła razem z nim. Nie znoszę jednak ludzi, którzy się poddają, także w takich sytuacjach, zresztą ja nigdy nie rezygnuję. No i wciąż mam bardzo dużo - moją rodzinę, pracę, wspaniały dom. Tylko... - i Flora sama usłyszała, jak jej głos nagle się załamał. - Tylko że najprawdopodobniej nie będę mogła w nim dalej mieszkać.

- Nie?

- Nie. Będę musiała go sprzedać, i to już wkrótce. Nie mam pojęcia, skąd wziąć pieniądze na następną wpłatę.

- Czy mogę zachować się niezgodnie z regułami dobrego wychowania i zapytać, ile wynosi następna wpłata?

- Dwieście siedemdziesiąt pięć tysięcy funtów - odparła bardzo, bardzo cicho.

Chwilę patrzył na nią w milczeniu, wyraźnie wstrząśnięty.

- Jeżeli nie sprzedam domu, znajdę się w patowej sytuacji... Jeśli go sprzedam, też jej nie uniknę, ale przynajmniej na jakiś czas będę miała względny spokój...

- Próbowałaś z nimi rozmawiać? Negocjować?

- Oczywiście! Są bardzo mili i uprzejmi, lecz zawsze na koniec przypominają, że jestem im winna te pieniądze, że podpisałam z nimi umowę i że muszę spłacić dług, skoro w dobrych latach korzystałam z zysków. O, Boże... - Flora z przerażeniem poczuła, że jej oczy napęcznieją się łzami i ze zniecierpliwieniem otarła je wierzchem dłoni. - Przepraszam.

- Nie żartuj, przecież to najzupełniej zrozumiałe! Wybacz, że pytam, ale czy naprawdę nie masz żadnych innych wartościowych rzeczy?

- Już nie. Sprzedałam wszystkie akcje, dwa obrazy...

- A gdybyś wzięła kredyt hipoteczny pod zastaw domu?

- Nie stać mnie na obsługę kredytu. Teraz, gdy pozbyłam się akcji, mam bardzo niewielki dochód i równie niewielki kapitał.

- A gdybyś sprzedała część ziemi?

- Ziemia w Gower nie jest dużo warta, a ja mam tylko koło dziesięciu akrów, więc to mnie nie ura- tuje. Poza tym, jeżeli nadal będę właścicielką domu, i tak mnie dopadną. Mówią, że nikogo nie zmuszają do sprzedaży miejsca zamieszkania, ale zorientują się przecież, że ten dom jest dla mnie o wiele za duży. Nie powiem, że oddałam im już wszystko, co miałam, bo będzie to oczywiste i łatwe do wykazania kłam- stwo. Dług przenosi się z roku na rok, nawet mimo tego, że zrezygnowałam już z członkostwa. Nigdy nie będę bezpieczna, na tym polega nieograniczona odpowiedzialność, właśnie w tym sęk.

- Brzmi to jak fragment z kryminału. Ale wiesz... - Colin się zawahał. - Twoja ziemia byłaby cał- kiem sporo warta, na przykład dla kogoś takiego jak ja.

- Nie, nieprawda... Przecież to głównie pas łąki, nie można zakwalifikować tej ziemi jako działki albo działek budowlanych, bo zasady w tej branży są całkowicie jednoznaczne, i chwała Bogu. Och, prze- praszam, to było chyba nieuprzejme. Naprawdę nie wiem już, co robić.

- Mówiłem ci, że nie chciałbym budować na terenie Gower, ponieważ to byłaby prawdziwa zbrod- nia, ale gdybyś jednak musiała sprzedać swój piękny dom...

- Tak, wiem, wiem... Wtedy mogłabym przynajmniej zostawić ziemię bez lęku, że stanie się z nią coś złego, nie musiałabym wstydzić się sama siebie.

- Gdzie byś zamieszkała, gdyby przyszło co do czego? - spytał Colin.

- Nie mam pojęcia - odparła ze smutkiem. - To jest moje miejsce, tu zawsze wracałam i nadal wra- cam. Wiem, że gdybym rzeczywiście nie miała już nic, zostawiliby mi jakąś małą sumę, żebym znalazła sobie inne mieszkanie. Starsze panie wyrzucają na bruk tylko w ostateczności, ponieważ takie kroki nie przyczyniają się do stworzenia pozytywnego wizerunku firmy.

- Ale gdzie byłoby to mieszkanie, na które czułabyś się skazana? Zostałabyś gdzieś tutaj?

- Nie wyobrażam sobie, żebym mogła mieszkać gdziekolwiek indziej. Nie lubię żadnego innego miejsca. Kocham morze, wrzosowiska, klify i niebo nad Gower, bo wszystko to stanowi część mnie samej. Ale wiesz, w ciągu ostatnich paru dni stało się coś, co zmieniło mój sposób patrzenia na całą tę sytuację, sprawiło, że nawet ewentualna strata domu wydaje mi się mniej ważna.

Opowiedziała mu o Freddie, a on zareagował dokładnie tak, jak się spodziewała.

- Straszne! - powiedział cicho. - Znasz tę dziewczynę, tak?

- Tak, poznałam ją. Jest miła i śliczna i także padła ofiarą Lloyd'sa, właśnie dlatego doszło do tej tragedii. Musiała zabrać synka ze szkoły, później inni chłopcy bardzo mu dokuczali.

- Nie do wiary... Całe szczęście, że go znaleźli! Posłuchaj, Floro - zawahał się. - Czy mogę spokojnie zastanowić się nad tą sprawą? Jestem całkiem obrotny pod względem finansowym, w moim zawodzie to wręcz niezbędne. Pewnie nic nie wymyślę, ale zawsze co dwie głowy, to nie jedna. No dobrze... Napijesz się jeszcze wina albo może koniaku? Nie wiem, dlaczego, ale wydaje mi się, że lubisz koniak.

- Co z twoim szoferem? Pewnie już się zmęczył czekaniem.

- Płacę mu za to zmęczenie, poza tym to bardzo cierpliwy gość.

Debbie oglądała program *Domowe przedszkole* razem z Rachel, która rozchorowała się na grypę żołądkową. Kiedy zadzwonił telefon, zignorowała go, ponieważ wcześniej włączyła automatyczną sekretarkę. Rachel była bardzo senna; Debbie czuła, że gdyby dziewczynka zdrzemnęła się teraz trochę, dobrze by jej to zrobiło.

Rachel zasnęła. Debbie ostrożnie ułożyła ją na kanapie, przyniosła poduszkę i kołdrę, a potem poszła zrobić sobie filiżankę kawy i sprawdzić, kto dzwonił.

Usłyszała miły głos ze szkockim akcentem. Kobieta chciała rozmawiać z Richardem.

- Mówi Morag Dunbar. Prosiłabym, żeby pan Fielding zadzwonił do mnie wieczorem. To nic szczególnie ważnego, chciałabym tylko ustalić termin następnej wizyty i zawiadomić, że dom można w każdej chwili obejrzeć, gdyby pani Fielding także miała pojechać. Wydaje mi się, że będzie w pełni zadowolona.

# ROZDZIAŁ 28

*LIPIEC 1990*

Stała nieruchomo, wpatrzona w automatyczną sekretarkę, czując dziwną mieszankę nadziei i strachu. Teraz już nic nie mogło ich uratować, ani jej samej, ani domu, ale jednak... Przycisnęła klawisz i jeszcze raz odsłuchiwała nagraną wiadomość.

- Floro, mówi Colin Peterson. Słuchaj, chciałbym wpaść do ciebie, jeżeli to możliwe. Przemyślałem kilka kwestii, tak jak obiecałem, i wpadłem na pewien pomysł. Zadzwoń do mnie do domu, podaję numer...

Jaki miły człowiek z tego Colina, pomyślała. A ja byłam okropna, traktowałam go trochę z góry. No, może niezupełnie z góry, ale... Nie kłam, Floro, uznałaś go za kogoś gorszego od siebie! Powinnaś się wstydzić.

Chwyliła słuchawkę i szybko wybrała numer. Odezwał się automat. No, oczywiście, o tej porze Colin jest w pracy. Zostawiła wiadomość, dziękując mu za troskę i prosząc, aby oddzwonił.

- Może miałbyś ochotę wpaść w przyszłym tygodniu na mało wymyślną kolację w kuchni. To, co powiedziałaś, brzmi bardzo intrygująco. Czekam na telefon.

Zadzwoił w ciągu godziny; umówili się na następny poniedziałek.

- Na razie nie zdradzę ci nic więcej, ale wydaje mi się, że wpadło mi do głowy pewne rozwiązanie - oświadczył.

\* \* \*

- Joel? Mówi Debbie... Debbie Fielding.

- O, cześć! Co słychać?

- Wszystko w porządku. Nie udało mi się złapać Simona, ale zadzwoniłam do mojej teściowej, która bardzo chętnie z tobą porozmawia. Nie wiedziała, że Simon stracił pracę, naprawdę się zdenerwowała.

- Nie dziwię się... Dzięki, Debbie, cieszę się, że ją namówiłaś!

- Podaję ci jej numer. Powiedziała, że najlepiej dzwonić do niej wieczorem.

- Dobrze. Zanotowałem, dziękuję. Pani Flora Fielding, tak?

- Tak.

Matka mojego męża, pomyślała Debbie. Mojego przerażająco niezycziwego, złośliwego, podstępного męża... Który jeszcze nie wie, że ja wiem, jak bardzo jest podstępny.

Joel się zawahał.

- Nie wiem, ale może - zaczął. - Pewnie nie miałabyś ochoty wybrać się gdzieś na drinka któregoś wieczoru, co?

W słuchawce zapadło bardzo długie milczenie. Słyszał, jak rozważa jego zaproszenie i jak wreszcie z wyraźnym trudem odrzuca pokusę.

- Przykro mi, Joel, to świetny pomysł, ale po prostu nie mogę. Tak czy inaczej, bardzo ci dziękuję.

Ktoś, kto w tej chwili obserwowałby ich oboje, miałby poważne trudności ze stwierdzeniem, które czuło większy żal.

Richard jadał ostatnio kolacje w kompletnym milczeniu. Byłoby już lepiej, myślała Debbie, gdyby przeglądał gazetę albo czytał książkę, ale on siedział przy stole, starannie omijając ją wzrokiem i skrupulatnie przeżuwał kolejne kęsy jedzenia. Wcześniej nie zauważała, jak dokładnie żuł wszystko, ponieważ zawsze dużo rozmawiali podczas posiłków; pewnie to Flora przyzwyczyła go do tego, podkreślając wpływ starannego gryzienia pokarmu na dobre trawienie. Kiedy już zjadł, mówił „dziękuję”, podchodził z talerzem do zlewozmywaka, opłukiwał go, również bardzo dokładnie, i wychodził z kuchni.

Tego dnia postanowiła w ogóle odpuścić sobie gotowanie. Dała dzieciom podwieczorek, sama coś zjadła - paluszki rybne, zapomniała już, jakie są pyszne z mnóstwem keczupu - i kiedy Richard wychynął ze swego gabinetu o dziewiętnastej trzydzieści, obrzuciła go tylko obojętnym spojrzeniem i znowu przeniosła wzrok na ekran telewizora.

- Nie jemy dziś kolacji? - zapytał bardzo chłodnym tonem.

- Ja nie jem - odparła i uśmiechnęła się, doskonale wiedząc, że to rozdrażni go jeszcze mocniej. - Ale ty zrób coś sobie.

- Ugotowałaś coś?

- Nie, ale pewnie znajdziesz coś do kanapek w lodówce, zajrzyj...

I znowu zajęła się oglądaniem *Albert Square*. Usłyszała, jak Richard szybko przechodzi przez pokój, ale nie zorientowała się, co się dzieje, dopóki ekran telewizora nie zgasł nagle. Dopiero wtedy spojrzała, całkowicie zaskoczona. Patrzył jej prosto w oczy, a jego twarz była biała jak kreda z wściekłości.

- Jak śmiesz się tak zachowywać?!

- Czyli jak? Bo szczerze mówiąc, ostatnio dosłownie staję na głowie, żeby ci dogodzić! Gotuję, pierę i prasuję twoje koszule, i tak dalej! A w te dni, kiedy pracuję, dbam, żebyś poradził sobie z dziećmi, i sprawdzam, czy wszystko jest w porządku! Mam już dość siedzenia naprzeciwko ciebie co wieczór i obserwowania, jak skupiasz się na tym, żeby przypadkiem się do mnie nie odezwać i nie spojrzeć w moim kierunku! Och, zapomniałam, że jeszcze bardzo starannie przeżuwasz wszystko, co wkładasz do ust! Twoja matka byłaby z ciebie bardzo dumna, na pewno!

Chwilę milczał, jakby na coś czekał.

- Nie możemy tak dalej żyć, to bez sensu - odezwał się w końcu bardzo zmęczonym głosem. - Zaczynam się zastanawiać, czy w twoim życiu nie ma kogoś innego.

Patrzyła na niego z mocno bijącym sercem. Czy Flora... Może Flora... Nie! Niemożliwe. Gdyby powiedziała coś Richardowi, zareagowałby wcześniej. Na pewno.

- Co za idiotyczny pomysł!

- Może i idiotyczny, ale takie mam wrażenie.

- Chyba oszalałeś! Kompletnie oszalałeś! Nikogo nie mam, co za bzdura!

- Cóż, muszę uwierzyć ci na słowo, nie mam wyjścia. Tak czy inaczej, nie możemy dłużej żyć w ten sposób.

- Całkowicie się z tobą zgadzam!

- I co z tym zamierzasz zrobić?

- Wydaje mi się, że to zależy od ciebie. To ty powinieneś coś zrobić.

- A ja jestem innego zdania! To nie ja zacząłem całą tę... całą tę aferę! To twoja wina, ty narobiłaś bałaganu w naszym życiu!

W jakimś zakamarku serca albo może mózgu Debbie doszło do drobnej eksplozji. Zastanawiała się chwilę - i był to niespieszny proces, bo czuła, jak dokładnie rozważa każdą możliwość - czy uderzyć Richarda w twarz, zdzielić go po uszach, kopnąć w krocze lub splunąć na niego, lecz żadna z tych opcji nie wydawała jej się adekwatna, żadna nie była dość obraźliwa i bolesna. I nagle doznała prawdziwego olśnienia.

- Mam nadzieję, że skontaktowałeś się już z Morag Dunbar - powiedziała z chłodnym, uprzejmym uśmiechem. - W sprawie domu i naszego przyjazdu. Dzwoniła już prawie tydzień temu, o ile sobie dobrze przypominam, więc byłoby trochę niegrzecznie, gdybyś zignorował wiadomość od niej.

Dobrze wiedziała, że Richard odebrał wiadomość, słyszała, jak odsłuchiwał ją zaraz po powrocie z pracy do domu. Teraz zobaczyła, jak mąż wstrzymuje oddech, jego wzrok nieruchomieje, podobnie jak wszystkie mięśnie twarzy. Jego ręka zawisła w powietrzu - chciał odgarnąć włosy do tyłu, jak zwykle, gdy był zdenerwowany lub zaniepokojony, ale znieruchomiał. Wyglądał jak manekin, najzupełniej absurdalnie. Debbie chciało się śmiać. Minął dłuższy czas, nim Richard wypuścił powietrze.

- Skąd o tym wiesz? - zapytał.

- Słyszałam wiadomość, nagrała się na sekretarce.

- Ale nic mi nie powiedziałaś!

- Nie, nie powiedziałam ci. Słyszałam jednak, jak ją odsłuchiwałeś.

- I wtedy też nic nie powiedziałaś.

- Nie. Nie mam pojęcia, co mogłabym ci powiedzieć, jeśli mam być szczerą.

Znowu zamilkł.

- To paskudne! - wybuchnął w końcu. - Paskudne, że nic mi nie powiedziałaś! I podstępne!

- Och, doprawdy? Ale chyba nie tak paskudne i fałszywe jak to, że zapewniłeś mnie, że odrzuciłeś tę propozycję, chociaż naprawdę wcale tego nie zrobiłeś, prawda? A wszystko po to, żebym miała jak najgorsze wyrzuty sumienia i fatalnie się czuła! To dopiero było rzeczywiście paskudne i podstępne! No, więc jak - skontaktowałeś się z nią czy nie? Może to śmieszne, ale chciałabym wiedzieć, z zupełnie oczywistych powodów! Chodzi mi o sprawy organizacyjne i tak dalej!

- Wszelkie kwestie organizacyjne, jakie wynikną z moich decyzji, nie będą miały nic wspólnego z tobą. Możesz być tego absolutnie pewna, Debbie!

Joel wyłączył magnetofon z uczuciem mocnego przygnębienia. Jego tekst na temat Lloyd'sa wreszcie nabierał kształtu i barw, ale historia Neila Lawrence'a była naprawdę wyjątkowo okropna. Neil stracił wszystko - dom, a właściwie dwa domy, samochód, pracę i teraz żonę. Nic dziwnego, że biedak próbował się zabić. Próbę samobójczą podjął zresztą jeszcze przed odejściem żony, która niedługo potem zostawiła go, zabierając ze sobą dzieci. Lawrence powiedział, że samobójstwo wydawało mu się jedynym wyjściem z sytuacji.

- Wszystko jedno, w którą stronę bym się zwrócił, wszędzie pakowałem się w ślepy zaułek - rzekł.

„Ślepy zaułek” - niezły tytuł. A co takiego powiedział Simon? A, nazwał całą tę sytuację „niebывалым skandalem”... Ten zwrot też świetnie się nadawał.

Neil Lawrence wyznał, że wcale nie chciał, aby go odratowano, że moment, kiedy odzyskał przytomność w szpitalu należał do najgorszych w jego życiu.

- To nie było wołanie o pomoc - powiedział. - To była próba ucieczki. Jego żona nazwała go tchórzem i oświadczyła, że między innymi dlatego go zostawia. Biedny Neil. Mieszkał teraz w kawalerce w Camden Town i utrzymywał się z zasiłku.

- Jak pan w to wdepnął? - zapytał go Joel.

- Przez faceta, z którym grałem w tenisa, w Queens. Miły gość, zagraliśmy kilka razy i wtedy zapytał, czy nie miałbym ochoty zostać członkiem, czyli Nazwiskiem. Był początek lat osiemdziesiątych, pieniądze nadal praktycznie rosły na drzewach i wszyscy zapomnieli, że istnieje coś takiego jak ostrożność. Kupowało się akcje i ich wartość podwajała się dosłownie z dnia na dzień, kupowało się dom i jego wartość podskakiwała o dwadzieścia tysięcy jeszcze zanim tusz zdążył wyschnąć na podpisie złożonym na umowie kupna. Wydawało mi się, że wejście do Lloyd'sa to kolejny świetny pomysł i ta propozycja nawet mi pochlebiła, bo było to coś w rodzaju zaproszenia do ekskluzywnego klubu, na przykład Reform albo Wentworth Golf...

- Jak nazywał się ten facet?

- Allinson - odpowiedział Lawrence. - Tim Allinson.

- Mój Boże! - zawołał Joel. - Jest pan już drugą osobą, która mówi mi, że to właśnie ten skurwysyn poprowadził ją na rzeź!

- Nie dziwię się. Dla niego było to coś w rodzaju pracy na zlecenie, w każdym razie tak mi się wydaje. Gdybym złapał tego drania, przybiłbym go do drzewa głową w dół.

- Próbował pan? To znaczy dopaść go, nie przybić do drzewa.

- Tak, próbowałem. Kiedy sprawa się rypla, nagle zniknął. Na pewno zmienił numer telefonu. Zabawne, co?

- Chciałbym go wytropić - mruknął Joel. - Cóż, serdeczne dzięki, naprawdę bardzo mi pan pomógł! I nie ma pan nic przeciwko temu, abym wykorzystał to wszystko?

- Absolutnie nic - rzekł Lawrence. - A co mam do stracenia?

Ta celna uwaga przygnębiła Joela najbardziej, ponieważ była w tak oczywisty sposób prawdziwa. Postawił Lawrence'owi jeszcze jedno piwo, pożegnał się i wyszedł.

Stał oparty o liny w hali przylotów, wypatrzyła go z daleka. Kiedy ją zobaczył, wyciągnął do niej ramiona, a ona zostawiła swój wózek i rzuciła mu się w objęcia. O, Boże, był taki przystojny! Tak niesamowicie, nieprawdopodobnie, cudownie przystojny!

- Cześć - powiedział z uśmiechem, cofając się o krok, aby objąć ją całą spojrzeniem.

- Cześć, Jamie! - uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Myślała teraz tylko o tym, jak bardzo za nim tęskniła i jakie to dziwne, że tak szybko stał się najważniejszą osobą w jej życiu.

- Ślicznie wyglądasz - zauważył.

- Dziękuję!

Musnął jej wargi szybkim pocałunkiem.

- Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś.

- Naprawdę? Ja też nie!

Podniósł wózek z bagażem, drugą ręką objął ją w pasie.

- Jednak nie pojedziemy wodnym autobusem - oświadczył. - Zwykle jest w nim dość tłoczno. Obejrzyj całą tę trasę jutro. Przed budynkiem czeka kierowca taty, zawiezie nas do domu.

Annabel nie sprzeciwiłaby się, nawet gdyby Jamie zaproponował, że pójdą pieszo. Była tutaj, patrzyła na niego, więc czemu cokolwiek miałoby jej przeszkadzać.

Wszystko bardzo jej się podobało, rzecz jasna, chociaż może spodziewała się czegoś odrobinę mniej formalnego i sztywnego niż przejażdżka z szoferem tatusia. Samochód był olbrzymi, kierowca także, potężnie zbudowany i czarny jak smoła. Wsteczne lusterko także było ogromne i za każdym razem, gdy Annabel w nie spoglądała, napotykała jego wzrok, zabrakło więc okazji, żeby mocno, naprawdę mocno przytulić się do Jamiego. Jamie siedział w sporej odległości od niej i dopiero po pewnym czasie wziął ją za rękę. Annabel widziała, że szofer tatusia, Tony, zauważył i to.

Podróż z lotniska nie była długa, ale jechali bardzo powoli, oczywiście z powodu korków.

- Trafiliśmy na godzinę szczytu, przykro mi - powiedział Jamie i dodał, że w zasadzie korki tworzą się przez cały dzień, niezależnie od pory.

Do centrum dotarli koło siedemnastej. Annabel czuła się bardzo zmęczona - cóż, w Londynie było już koło dwudziestej drugiej - i kiedy usłyszała głos Jamiego, z przerażeniem uświadomiła sobie, że musiała zasnąć.

- No, jesteśmy!

Boże, mogła tylko mieć nadzieję, że nie chrapała. I że ślina nie ciekła jej z ust.

- Przepraszam - szepnęła do Jamiego.

- Wszystko w porządku, pewnie jesteś strasznie zmęczona - uśmiechnął się.



Jamie był tak dobrze wychowany i uprzejmy, że za nic na świecie nie powiedziała jej, że zrobiła coś obrzydliwego albo choćby tylko niegodnego damy.

Dom Cartwrightów, przed którym stanęła, mrużąc oczy w blasku popołudniowego słońca, był zupełnie inny, niż się spodziewała. Zbudowany na planie kwadratu, wysoki, o świetnych proporcjach, z łukowatym frontonem, naprawdę piękny. Równie dobrze mógłby znajdować się w eleganckiej dzielnicy Londynu. Natychmiast powiedziała o tym Jamiemu, a on uśmiechnął się lekko.

- My bardzo go lubimy - oświadczył z dumą w głosie. - O, jest mama. Witaj, mamó, odebrałem Annabel z lotniska, całą i zdrową!

- Annabel, kochanie!

Pani Cartwright ubrana była w śnieżnobiałe spodnie i bluzkę koszulową w biało-niebieskie paski. Pocałowała Annabel, albo raczej cmoknęła powietrze gdzieś w okolicy jej ucha, i odsunęła się z uśmiechem. Miała bardzo dziwny uśmiech, Annabel zauważyła to już wcześniej, w Londynie; był to uprzejmy grymas, który unosił kąciki warg i odsłaniał idealnie białe, równe zęby, ale nie znajdował żadnego odbicia w oczach pani Cartwright.

- Tak się cieszę, że przyjechałaś! Jak minął ci lot?

- Och, świetnie, dziękuję. Jestem trochę zmęczona, ale...

- Na pewno! Chodź, pozwól, że od razu zaprowadzę cię do twojego pokoju. Sądzę, że będziesz chciała odpocząć chwilę przed kolacją! Annabel poszła za panią domu, nagle dziwnie zdenerwowana.

Wnętrze domu także wydało jej się niepokojąco znajome - wysokie, smukłe okna, kominki z ozdobnymi parapetami, kwiaty w wielkich wazonach na wypolerowanych stołach, drewniane podłogi, piękne orientalne dywany. Przez jedną, zupełnie niesamowitą chwilę zastanawiała się nawet, czy w ogóle udało jej się opuścić Anglię.

Jej pokój był uroczy - biało-niebieska tapeta na ścianach, śliczny biały kominek, białe łóżko z jasnoniebieską pikowaną narzutą, jasnoniebieski dywan, firanki z białego muślinu. Na półce książki dla dzieci, sama klasyka - *Małe kobiety*, *Ania z Zielonego Wzgórza*, *Alicja w Krainie Czarów* i wiele innych. Na nocnej szafce okrągły bukiet niebieskich i białych kwiatków, naprzeciwko, po obu stronach kominka, dwa haftowane bieżniki. Całość mówiła jasno - to jest pokój młodej dziewczyny, żadnych gości na noc.

- Mam nadzieję, że będzie ci tu wygodnie! Łazienka w korytarzu obok przeznaczona jest wyłącznie dla ciebie, ręczniki także. Chciałabyś, żeby coś ci przynieść? Może coś zimnego do picia, bo jest okropny upał, mrożoną herbatę albo naszą domową lemoniadę?

- Bardzo chętnie napiję się lemoniady.

- Zaraz każę przynieść! I nie śpiesz się, zrób sobie kąpiel, jeśli masz ochotę. O szóstej trzydzieści spotykamy się w salonie, dobrze?

- Doskonale...

- Na kolacji będzie tylko najbliższa rodzina, więc nie musisz się jakoś specjalnie ubierać. Przyjadą Kathleen i Joe, Bif i jego żona Dana. Wszyscy pragną cię poznać!

- Ja również...

Gdzie podział się Jamie? Dlaczego nie było go tutaj, w tym pokoju? Do kogo przyjechała? Po plecach przebiegł jej nagle dreszcz, zupełnie jakby wzdłuż kręgosłupa spłynął strumyczek lodowatej wody.

Czekał na nią w holu. Niepewna, co włożyć na kolację tylko z najbliższą rodziną, zgodnie z określeniem pani Cartwright (która kazała Annabel zwracać się do siebie po imieniu, per Frances!), zdecydowała się na sukienkę z gniecionego jedwabiu w kwiaty, do połowy łydki, krojoną ze skosu, z krótkimi rękawkami, zwanymi „skrzydełkami”, czyli dość typową kreację na angielski podwieczorek.

- Wyglądasz cudownie! - powiedział Jamie i pocałował ją w policzek. Annabel chwyciła go za rękę.

- Chcę być z tobą sama! - syknęła.

Spojrzał na nią z zaskoczeniem, może nawet przerażeniem.

- Nie teraz - odparł. - Może później... Chodźmy do salonu. Annabel, to jest moja siostra Kathleen i jej mąż, Joe.

- Witaj, Annabel! - odezwała się Kathleen. - Tak się cieszę, że mogę cię poznać!

Była bardzo ładna, z idealnie ułożonymi jasnymi włosami, takimi jak włosy matki, i błękitnymi oczami Jamiego. Miała na sobie kostium z czerwonego jedwabiu, z szerokimi ramionami i rękawami do łokcia, pantofle na bardzo wysokich obcasach i ciężki złoty łańcuch na szyi, ozdobę odpowiednią raczej dla starszej pani, pomyślała Annabel. Jednak uśmiech Kathleen był ciepły i przyjazny.

- Ja też bardzo się cieszę.

- Cześć, Annabel! - powiedział Joe.

Potrząsnął ręką Annabel; dłoń miał mokrą od potu. Nie była do końca przekonana, czy Joe jej się podoba - wyglądał trochę oblesnie. Ubrany był w ciemny garnitur, marynarka nieco opinała mu się na pączkującym brzuchu, a linia ciemnych włosów zaczęła się już cofać.

- Witamy w Bostonie! - dodał. - Byłaś tu już kiedyś?

- Nie. To piękne miasto...

- Cieszymy się, że przypadło ci do gustu!

- Jutro Duck Tour, obowiązkowe zwiedzanie Bostonu - oświadczył Jamie. - Na dobry początek!

- O, nie! Biedna Annabel!

Pokojówka w czarnej sukience i białym fartuszkowi wniosła tacę z kieliszkami szampana. Śmieszne, słowo daję, pomyślała Annabel. Kolacja tylko z najbliższą rodziną, też mi coś.

- Cudownie wyglądasz, Annabel! - Do salonu weszła Frances Cartwright w kostiumie identycznym jak Kathleen, tyle że w intensywnym szafirowym odcieniu, z hełmem z jasnych włosów na głowie, najwyraźniej świeżo polakierowanym na tę okazję.

- Dziękuję...

- Uwielbiam ten naturalny angielski styl! Czy to sukienka od Laury Ashley?

- Nie! - warknęła Annabel, nawet nie siląc się na uprzejmość. - Od Miss Selfridge!

Laura Ashely, na miłość boską! W sukience od Laury Ashley nie dałaby się nawet włożyć do trumny!

- Dostałaś już szampana?

- Tak, dziękuję...

Wypiła już pół kieliszka. Był zimny, musujący, po prostu doskonały. Właśnie czegoś takiego potrzebowała na poprawę nastroju.

- Bif! Nie słyszałam, kiedy weszliście!

- Przepraszam, mammo... A to jest oczywiście zachwycająca Annabel! Uśmiechnęła się do niego.

- Mam nadzieję - powiedziała.

Był bardzo podobny do Jamiego, z takimi samymi włosami i oczami, z tym samym czarującym uśmiechem, tylko trochę solidniej zbudowany. Ubrany znacznie rozsądniej niż Joe, w lniany garnitur oraz rozpiętą pod szyją jedwabną koszulę.

- Pozwól, że przedstawię ci Danę, moją żonę...

Dana wyglądała jak ciemnowłosa klon Kathleen. Ona także miała na sobie kostium, czarny, i szeroki naszyjnik z pereł.

- Miło cię poznać - powiedziała Kathleen z uśmiechem dużo cieplejszym niż uśmiech Frances. - Mam nadzieję, że miałaś przyjemny lot.

- Tak, dziękuję!

Annabel pozwoliła, aby pokojówka ponownie napełniła jej kieliszek, zauważyła jednak, że kieliszki pozostałych były jeszcze do połowy pełne. A, co tam, pomyślała. Muszę się jakoś wzmocnić...

- Tata trochę się spóźni - odezwała się Frances Cartwright do Jamiego. - Więc damy mu pół godziny, a potem usiadziemy do stołu bez niego. Najwyraźniej jest w trakcie negocjowania jakiegoś ważnego kontraktu. Bardzo cię przepraszam, Annabel.

- Nic nie szkodzi, naprawdę!

Pokojówka obeszła pokój z talerzem pełnym malutkich kanapek; Annabel potrząsnęła głową i wypiła drugi kieliszek szampana, posyłając Jamiemu uśmiech pełen nadziei. Cóż z tego, kiedy Jamie patrzył nie na nią, ale na matkę... Annabel znowu poczuła zimny jak lód strumyczek na plecach. Co ona tu właściwie robi? Po co tu przyjechała?

Kiedy zasiedli do kolacji - bez pana Cartwrighta - kombinacja wypitych na pusty żołądek trzech kieliszków szampana oraz osiemnastu godzin bez snu sprawiła, że Annabel była mocno wstawiona. Siedziała obok Jamiego, co samo w sobie było po prostu zdumiewające, z drugiej strony miała Joego. Wsunęła rękę pod stół i poszukała dłoni Jamiego, która bynajmniej nie podążyła na jej spotkanie. Co się z nim działo, do diabła?!

- Czym się zajmujesz, Annabel? - zagadnęła Dana. - Jamie mówił, że masz fascynującą pracę.

- Jestem fryzjerką.

- Fryzjerką! - powtórzyła Frances Cartwright z absolutnym niedowierzaniem i oszołomieniem.

Annabel natychmiast poczuła się jak parias, który wdarł się na królewski dwór, kłamiąc i oszukując. W jadalni zapanowała cisza jak makiem zasiał, naturalnie tylko na chwilę.

- To musi być rzeczywiście bardzo ciekawe - uratowała sytuację Dana.

- Tak, to bardzo ciekawa, ale i bardzo ciężka praca. I bardzo twórcza. Moim największym marzeniem jest założyć własny salon.

- A... A gdzie mieszkasz?

- W tej chwili razem z rodzicami, w Londynie.

- Ach, tak! Mama mówiła chyba, że twój ojciec jest bankierem.

- Tak.

Nie miała najmniejszego zamiaru mówić im, co go spotkało.

- A moja matka jest głównym dyrektorem agencji reklamowej. Wydawało jej się ważne, aby jak najszybciej ich o tym poinformować.

Powinni wiedzieć, że jej matka jest niezależną, samodzielną osobą, bo to ukazywało jej rodzinę w takim świetle, w jakim należało ją zobaczyć.

- Naprawdę? - Ciemne oczy Dany były pełne uwagi. - Wspaniale! Musi być wybitnie inteligentna i zdolna!

- Tak, jest świetnym specjalistą. Oczywiście ciężko pracowała, aby osiągnąć tę pozycję.

- Masz rodzeństwo? - spytała Kathleen.

- Tak, brata i siostrę. Oboje są młodszy ode mnie, Toby ma piętnaście lat, a Tilly trzynaście.

- To jeszcze niemal dzieci! Kiedy wasza mama wróciła do pracy? Pewnie niedawno...

- W ogóle nie przestała pracować - zdecydowanym tonem oznajmiła Annabel. - Wszyscy wychowywali się w poczuciu akceptacji dla jej pracy. Podobało nam się, że nasza mama pracuje. Po prostu tak było, i już...

- Dobry Boże, to naprawdę imponujące - rzekła Frances, wyrazem twarzy jasno dając do zrozumienia, że uważa taką sytuację za niemożliwą do przyjęcia. - Jamie, kochanie, dolej Annabel wody... I wina, oczywiście.

Ale najpierw wody, czyli zauważyła... O, Boże! O, Boże! Annabel miała wielką ochotę znaleźć się w domu. Albo w łóżku. Z Jamiem.

Później było już coraz gorzej. Udało jej się trochę wytrzeźwieć, ale kolacja ciągnęła się w nieskończoność, cztery dania, na dodatek w jadalni było upiornie gorąco. Annabel coraz trudniej było sprawiać wrażenie zainteresowanej rozmową lub choćby tylko z grubsza inteligentnej. Zerknęła na zegarek, nadal nastawiony na czas europejski, i zorientowała się, że nie śpi już od dwudziestu czterech godzin. Na miłość boską, chyba ci ludzie także zdają sobie z tego sprawę, pomyślała z rozpaczą. Jak mogą tak ją męczyć? Czy oni w ogóle mają sumienie?

Pan Cartwright zjawił się w domu o dwudziestej drugiej, w nie najlepszym nastroju. Wszedł do jadalni, przywitał się z nią z wyraźnie wymuszonym uśmiechem i poprosił żonę, aby kazała zanieść mu kolację do gabinetu.

- Muszę jeszcze wysłać kilka faksów i zadzwonić w parę miejsc. Bif, chodź ze mną na chwilę, chcę tylko sprawdzić z tobą parę detali.

Bif natychmiast wstał od stołu i wyszedł za ojcem. Dana uśmiechnęła się do teściowej.

- Trudna sprawa, prawda?

- Wyjątkowo trudna - kiwnęła głową Frances Cartwright. - Przepraszam cię, Annabel, pewnie zachowanie mojego męża wydało ci się nieco nieuprzejme, ale...

- Nie, nie, skądże znowu!

- Jakie plany macie na jutro, Jamie?

- Rano, jak już mówiłem, wybieramy się na zwiedzanie miasta, Duck Tour...

- Duck Tour! Jamie, nie rób tego Annabel! To okropne! - Frances zwróciła się do gościa. - Duck Tour to wycieczka po mieście starym czołgiem, a właściwie amfibią, bo część trasy pokonuje się drogą wodną. Bardzo pro-turystyczny, ale moim zdaniem dość tandetny i wulgarny pomysł, zwłaszcza że przewodnikami są bezrobotni aktorzy.

- Moim zdaniem Duck Tour to dość zabawna impreza - odezwała się Dana.

- W każdym razie tak to brzmi - przytaknęła Annabel. Uśmiechnęła się do Jamiego, lecz on patrzył na Frances.

- Myślę, że Annabel spodoba się taki sposób zwiedzania Bostonu, mamó, lecz jeśli uważasz...

- Chętnie pojedę, Jamie - powiedziała twardo Annabel.

- W takim razie jedźcie! - W głosie Frances zabrzmiała nuta z trudem ukrywanej irytacji. - Ale nie mówcie później, że was nie ostrzegałam!

- Na pewno tak nie powiem - uśmiechnęła się Annabel.

Przynajmniej na parę godzin będę miała Jamiego tylko dla siebie, pomyślała.

- A my będziemy czekać na was z piknikiem o piątej - rzekła Kathleen. - I żebyście się przypadkiem nie spóźnili!

- Oczywiście że nie! - Jamie spojrzął na Annabel. - Piknikiem zaczynamy obchody 4 Lipca, Dnia Niepodległości... Mówiłem ci, że to genialna rozrywka - koncert Boston Pops i wielki pokaz sztucznych ogni nad Charles River. Wszyscy idziemy na nabrzeże, siadamy na trawie, jemy i słuchamy muzyki, będziesz zachwycona.

- Na pewno - powiedziała cicho Annabel.

Chciało jej się płakać. Wszyscy szli na piknik. Wszyscy ci okropni, sztywni ludzie.

- Weź czekoladkę - Kathleen podsunęła jej miseczkę ze słodyczami.

- Dziękuję.

Pomyślała, że potężny zastrzyk cukru może jej pomóc, doda energii i nie pozwoli zasnąć. Zjadła dwie czekoladki, jedną po drugiej. I nagle, ku jej wielkiemu przerażeniu, ogarnęły ją mdłości. Było jej nie-dobrze, pociła się, kręciło jej się w głowie i...

- Przepraszam! - rzuciła, odsuwając krzesło i zrywając się na równe nogi. - Jamie, pokaż mi, gdzie jest toaleta, bardzo proszę! Czuję się trochę...

Wybiegła z pokoju, Jamie za nią. W ostatniej chwili dopadła do małej toalety koło garderoby, nie zdążyła zamknąć za sobą drzwi.

Później, kiedy już leżała na łóżku i powoli popijała przyniesioną przez Jamiego zimną wodę, bardziej zgnębiona i zawstydzona niż kiedykolwiek wcześniej, przypomniała sobie wypowiedziane przy jakiejś okazji słowa Floriana.

- Nienawidzę wymiotować - oznajmił wtedy z całą mocą. - To takie wulgarne.

Rzeczywiście wulgarne, podobnie jak pochłanianie dużych ilości wina w domu rodziców chłopaka. Jak mogła coś takiego zrobić? Jak mogła?

- Strasznie przepraszam, Jamie - powiedziała, odsuwając szklanekę. - Naprawdę bardzo mi przykro. Co oni sobie o mnie pomyślą?

- Na pewno będą ci szczerze współczuli - odparł. - Wydaje mi się, że zaszкодziło ci coś, co zjadłaś w samolocie.

- Nie, Jamie... Zaszкодził mi szampan i czekoladki, za dużo szampana, za dużo czekoladek! Boże, tak mi wstyd...

- Głupstwa mówisz! Teraz powinnaś się porządnie wyspać, rano poczujesz się znacznie lepiej, zobaczysz.

- Nie! - pokręciła słabo głową. - Nie poczuje się lepiej, jeśli nie spędzimy trochę czasu razem, tylko we dwoje! Przecież ja przyjechałam do ciebie! Twoja rodzina jest cudowna, ale chyba jednak liczyłam, że dziś wieczorem będziemy razem, sami - poklepała łóżko obok siebie. - Połóż się tutaj, Jamie.

- Nie w domu moich rodziców! - W jego głosie brzmiała mieszanka oburzenia i skrępowania. - Nie możemy... Mama czeka na dole na wiadomość, jak się czujesz, bardzo się o ciebie niepokoi!

- No, dobrze, ale później przyjdź do mnie, proszę...

- Kochanie, ty chyba nie rozumiesz. Pokój rodziców znajduje się niemal tuż obok!

- Rzeczywiście, czegoś tu nie rozumiem - powiedziała powoli. - Czyżby twoi rodzice przypuszczali, że jesteśmy parą dziewczyc, albo coś w tym rodzaju?

- Nie, oczywiście że nie... - Jamie uparcie wpatrywał się w krawędź łóżka, nie ulegało wątpliwości, że najchętniej by uciekł. - Ale jesteś gościem w ich domu, musimy przestrzegać zasad, które są dla nich ważne.

Annabel ogarnęła nagle fala wściekłości, wściekłości i determinacji. Usiadła.

- Przykro mi, ale nie pokonałam tak wielkiej odległości po to, aby pobyć z twoją matką! Albo spędzimy trochę czasu razem, tylko we dwoje, albo jutro pierwszym samolotem wracam do Londynu! A skoro ten pokój znajduje się obok pokoju twoich rodziców, to gdzie jest twój?

- Piętro wyżej - odrzekł, nie zmieniając wyrazu twarzy.

- W porządku. Powiedz mi, gdzie dokładnie, bo później przyjdę do ciebie. Jamie, cała ta sytuacja jest dla mnie naprawdę trudna! Kocham cię, tęskniłam za tobą, proszę, proszę, postaraj się mnie zrozumieć!

- Ja też za tobą tęskniłem - wyznał Jamie. - Ale...

- Ale co? Posłuchaj, nie przyjdę do ciebie dzisiaj, zostanę tutaj („Zaczekaj na drugą noc” - Florian), niech będzie, i tak jestem potwornie zmęczona, ale jutro... Jutro będziemy tylko we dwoje, dobrze? No, może pójdziemy z nimi na ten koncert muzyki pop wieczorem.

- To nie jest koncert muzyki pop! - sprostował ze zmęczeniem.

- Dobrze, koncert wszystko jedno czego! Chcę zobaczyć miasto i chcę być z tobą sama, najlepiej w łóżku. Boże, mówimy przecież, że się kochamy, a jeszcze nigdy nie uprawialiśmy seksu, to śmieszne! Nie pociągam cię czy co?

- Ależ oczywiście, że mnie pociągasz! Ale...

- Żadnych „ale"! W takim razie umowa stoi! No, już czuję się trochę lepiej. Słuchaj, macie może dietetyczną colę, bo chętnie bym się napiła?

- Nie jestem pewny.

- Więc idź i sprawdź. Potem dam ci spokój, aż do jutra... Wstał i popatrzył na nią niepewnie.

- No, idź! Chyba nie proszę o wiele, co?

- Wiem... Przepraszam cię. - Wyglądał raczej jak przestraszony chłopiec niż kochanek.

- Nie ma za co! I na wszelki wypadek przynieś mi jakąś miskę, dobrze? Naprawdę czuję się już lepiej, ale... Ale nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć.

Gdy wrócił z miską i dzbankiem wody z lodem, bo dietetycznej coli nie znalazł, Annabel mocno spała. Jamiemu wyrwało się westchnienie ogromnej ulgi. Na palcach wyszedł z pokoju i ostrożnie zamknął za sobą drzwi, odrobinę nerwowo uśmiechając się do matki, która czaiła się w korytarzu.

- Śpi - powiedział. - Dobranoc, mamo!

- Dobranoc, Jamie! Śpij spokojnie... Mam nadzieję, że Annabel nic nie będzie. Po prostu zjadła coś nieświeżego w samolocie.

- Pewnie masz rację - przytaknął Jamie.

# ROZDZIAŁ 29

LIPIEC 1990

Simon powoli odkrywał, jak dziwnie się czuł, nie wychodząc codziennie do pracy. Jego życie kręciło się wokół banku przez prawie trzydzieści lat; z początku snuł marzenia o tym, jak kiedyś zostanie prezesem, a przynajmniej głównym dyrektorem, lecz jakiś czas temu twarda rzeczywistość skorygowała te iluzje i uświadomiła mu, że w najlepszym razie jeszcze przez długie lata pozostanie jednym z wielu dyrektorów, pozbawionych faktycznej władzy wykonawczej, albo przejdzie na wczesną emeryturę i ograniczy się do jakichś niewiele znaczących zleceń dla konsultanta.

Bonusy jego pracy - podróże pierwszą klasą, samochód z szoferem, łatwość rezerwacji stolików w modnych restauracjach, najlepsze miejsca w teatrach i na trybunach stadionów - były tym, bez czego mógł się obejść. Wiedział, że będzie mu brakowało rzeczy o wiele ważniejszych - wyzwań, trudności, które pompowały adrenalinę i sprawiały, że czas pędził jak szalony. To składało się na poczucie ważności nie w dziedzinie osobistej, lecz zawodowej.

Poza tym był winny pieniądze Lloyd'sowi i zdawał sobie sprawę, że nie wypłaci się do końca życia. Boże, to było tak strasznie, tak przerażająco niesprawiedliwe! Przez całe życie pracował, walczył, manewrował, planował, i otrzymywał za to nagrody. Teraz żadna nagroda nie wystarczy, aby przywrócić mu poczucie bezpieczeństwa. Wszystko, co zrobił, aby znaleźć się w tej fatalnej, beznadziejnej sytuacji, to jeden błąd w ocenie, popełniony zresztą w najlepszej wierze. Inne pomyłki można było naprawić, ale nie tę; już pod koniec tego pierwszego, straszego dnia bez pracy zorientował się, że Simon Beaumont, którym był jeszcze w poprzednim tygodniu, którym nadal chciał być, mógł równie dobrze umrzeć, ponieważ jego przyszłość nie zawierała nic, kompletnie nic.

- Postanowiłam spojrzeć bestii prosto w oczy - powiedziała Catherine. - Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, abym miała jakiś wybór...

Blue i Lucinda zaprosili ją z dziećmi na podwieczorek, ponieważ wcześniej Catherine przypadkiem się wygadała, że tego dnia obchodzi urodziny. Lucinda naprawdę się postarała, zamówiła tort u Fortnum'sa, przygotowała całe góry kanapek z wędzonym łososiem i podarowała Catherine różowy kaszmirowy sweter, natomiast Blue udekorował front domu balonikami oraz transparentem z wielkim napisem „WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO CATHERINE” i kupił grające świece na tort. Zaśpiewali *Happy Birthday* i Catherine wzruszyła się do łez. Potem Blue zabrał dzieci na spacer, aby pokazać im powstającą w pobliżu marinę, a Lucinda i Catherine usadowiły się w kuchni i udawały, że wcale nie jedzą tortu, chociaż bez przerwy go podskubywały.

- Jakiej bestii? - spytała Lucinda.

- Zamierzam poprosić o pomoc rodziców Fredericka.

- Ale przecież oni są okropni! Mówiłaś, że wolałabyś umrzeć, niż zwrócić się do nich!



- Nawet jeśli ja wolałabym umrzeć, to dzieci na pewno nie. Prawie na pewno wyrzucą mnie z pracy. Sekretarka Simona, która od początku mnie nie znosiła, zadzwoniła w piątek i oznajmiła, że Simon już nie pracuje w banku i powinnam stawić się w dziale kadr, co oznacza, że wręczą mi wypowiedzenie. Wiedziałam, że tak będzie. Byłam podwładną Simona i jego protegowaną, to on mnie zatrudnił. Tak czy inaczej, nie daję już sobie rady. Nie wystarcza mi na chesne Freddiego, a nie pozwolę, żeby wrócił do tamtej okropnej szkoły, bo to byłoby zbyt okrutne.

- Tak, rozumiem cię...

- Najgorsze w całej tej sprawie jest to, że nikt z nas nie zrobił nic złego - westchnęła Catherine. - Zostaliśmy ukarani za to, że staraliśmy się zapewnić dostatnie życie naszym rodzinom. Nic nie ukradliśmy, nie zdefraudowaliśmy żadnych pieniędzy ani... No, po prostu nic nie zrobiliśmy, wczoraj rano rozmawiałam o tym z Nigelem.

- Z Nigelem!

- Tak. Ojej... - Catherine zarumieniła się nagle i niepewnie spojrzała na Lucindę. - Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe.

- Oczywiście że nie, wszystko w porządku! Dlaczego miałabym mieć coś przeciwko temu, żebyś rozmawiała z Nigelem?

- No, nie wiem... Był twoim mężem i wiem, że nadal jesteście przyjaciółmi.

- Przyjaciółmi i tylko przyjaciółmi. Nigel był moim mężem, ale już nie jest, więc nie żartuj sobie. Gdzie go spotkałaś?

- Byliśmy w magazynie Peter Jones, bo mam tam otwarty rachunek, z którego nigdy nie korzystam, a nasze ręczniki kąpielowe są już kompletnie przetarte, więc pomyślałam, że dlaczego niby miałabym nie skorzystać z tego ich kredytu. Mogę spłacać go po pięć funtów miesięcznie przez następne dwadzieścia lat, co mi tam... No, więc weszliśmy do środka i kupiliśmy takie ogromne, puszyste ręczniki, precudne, a potem dzieci chciały pojeździć na ruchomych schodach i właśnie jechaliśmy na górę, a Nigel zjeżdżał na dół i... Krótko mówiąc, poszliśmy na kawę. Byłam zaskoczona, że w ogóle mnie pamiętał, przecież wcześniej widzieliśmy się tylko jeden raz.

- Ja wcale się nie dziwię, że cię zapamiętał - wtrąciła Lucinda.

- I przy kawie bardzo miło porozmawialiśmy. Nigel ma świetny kontakt z dziećmi, zadawał im rozmaite śmieszne zagadki i tak dalej. Oboje patrzyli w niego jak w obraz.

- Nigel bardzo by chciał mieć dzieci - powiedziała Lucinda z lekkim smutkiem. - Ale... Cóż, jestem przekonana, że jeszcze nie jest za późno.

- Mam nadzieję. No i rozmawialiśmy o tym, że wszyscy byliśmy zupełnie niewinni, a tu nagle zważyło się na nas coś takiego, że teraz nikt z nas nie potrafi podnieść się o własnych siłach.

- Właśnie... Och, cieszę się, że poszłaś z nim na kawę! Może trochę poprawiło mu to nastrój, bo jest strasznie samotny, biedaczek.

- Ale wracając do moich teściów, zamierzam zdać się na ich łaskę, a powiem ci od razu, że z całą pewnością nie należą do miłych, wyrozumiałych ludzi. Są naprawdę okropni, chociaż muszę przyznać, że gdy Freddie zaginął, starali się wspierać mnie i okazywali dużo troski, ciągle dzwonili i pytali, czy mogliby jakoś pomóc.

- Nic dziwnego, przecież to jego dziadkowie!

- No, wiem... Są dziadkami, ale takimi, którzy raczej średnio interesują się wnukami. On jest domowym tyranem, a ona złośliwą jedzą, słowo daję. Nie mam zielonego pojęcia, jakim cudem udało im się spłodzić Fredericka! Mają jednak mnóstwo pieniędzy i nawet jeżeli nie mieliby nic przeciwko temu, że bym umarła z głodu, a nie mieliby, to nie pozwolą, aby dzieci spotkało coś złego.

- Ale... Ale co oni mogą dla was zrobić?

- Och, zaraz po naszym powrocie do Anglii proponowali mi pomoc w pewnej formie... Otóż mają ogromny dom, w każdym razie mnie wydaje on się olbrzymi. Niezbyt ładny, coś w rodzaju dwupiętrowego bungalowu w samym środku Somerset. Mogłabym zamieszkać u nich z dziećmi do czasu, aż znajdziemy sobie inny dom. Zdaję sobie sprawę, że brzmi to całkiem miło, ale będzie koszarne, wierz mi... Postaram się, żebym czuła się u nich jak uboga krewna czy ktoś w rodzaju Jane Eyre, a pani Morgan już powiedziała mi, że mogę wystąpić o różne zasiłki i dawać jej pewną kwotę w zamian za mieszkanie i utrzymanie...

- Co takiego?!

- Właśnie... Ale Freddie i Caroline będą bezpieczni, nie będą musieli nosić klucza na szyi i dusić się w ciasnym mieszkanku. Dużo świeżego powietrza, miejsca do biegania i zabawy - to dla nich naprawdę dobre wyjście, nie sądzisz? - Catherine uśmiechnęła się z wyraźnym trudem.

- No, owszem... Tylko że Freddie znowu będzie musiał zmienić szkołę - westchnęła Lucinda. - Myślałam, że...

- I tak nie stać mnie już na chesne w Lynton House. W Somerset Freddie pójdzie do jakiejś podobnej szkoły, Caroline także. Może ja za jakiś czas znajdę tam pracę, może nawet uda nam się wynająć mieszkanie, kto wie...

- Jesteś bardzo dzielna, wiesz? - Lucinda pogłaskała dłoń Catherine. - Skoro twoi teściowie są bogaci, to czy nie pomogliby wam w bardziej rozsądny sposób? Czy nie mogliby spłacić twojego długu? Albo kupić wam mały domek?

- Nie, skądże znowu. Ich zdaniem, to wyłącznie moja wina, uważają, że nie powinnam była podpisywać tej umowy z Lloyd's, no i mają trochę racji. Rzeczywiście wykazałam się sporą naiwnością.

- Przestań opowiadać bzdury, moja droga! O, halo, Blue! Miły spacer?

- Tak, bardzo miły. Twój Freddie jest bardzo inteligentny, Catherine. Zapytał, czym się zajmuję, a kiedy mu wyjaśniłem, oświadczył, że przypomina to pokera. Skąd on zna podstawowe zasady pokera?

- Freddie! - zawołała Catherine. - To nie było zbyt uprzejme!

- Przepraszam. Tatuś grywał czasami w pokera, kiedy mieszkaliśmy w Hongkongu i parę razy tłumaczył mi, na czym ta gra polega.

- Freddie nie powiedział nic nieuprzejmego - rzekł Blue. - Jestem pod wrażeniem, słowo daję! Moja praca faktycznie do złudzenia przypomina pokera, no, w każdym razie w dużym stopniu. Freddie może w każdej chwili zgłosić się do mnie do pracy!

- Ale pewnie nie zatrudniasz nieletnich, co? - uśmiechnęła się Catherine.

Plan Colina był bardzo sprytny, pomyślała Flora. I chyba też wykonalny. Nie uratowałby jej domu ani ukochanej łąki, ale zapewniłby środki do życia na odpowiednim poziomie, bynajmniej nie najniższym, i pozwolił wystawić Lloyd's do wiatru. Uśmiechnęła się do niego.

- Bardzo ci dziękuję! Naprawdę doceniam to, że poświęciłeś tyle czasu moim problemom, jestem głęboko wzruszona. I widzę, że to może zadziałać... Słuchaj, pozwól mi się zastanowić nad tym, dobrze? Potem będziemy mogli przejść do następnego etapu.

- Oczywiście!

- A na razie może weźmiesz jeszcze trochę zapiekanki, co?

- Z przyjemnością! Jest absolutnie świetna. Mięso z jagnięcia wypasanego na pastwiskach nad morzem?

- A są jakieś inne? - spytała z uśmiechem. - I jeszcze trochę wina? Rozumiem, że przyjedzie po ciebie kierowca, tak?

- Tak, faktycznie... Doskonale, poproszę jeszcze wina. I może zmienimy temat, bo nie chcę dłużej dreńczyć cię tą sprawą z Lloyd'em! Za dwa tygodnie w katedrze w Cardiff odbędzie się kolejny ciekawy koncert, miałabyś ochotę przyjechać?

- Z wielką radością - odparła Flora.

Kiedy odjechał, wyszła na zewnątrz i usiadła na kamiennej ogrodowej ławce, popijając kawę. Była piękna noc i światło księżyca, odbijające się od spokojnej powierzchni morza, wydawało się prawie tak jasne jak słoneczne. Postawiła filiżankę na ławce, podeszła do furtki, przez którą wchodziło się na łąkę i po chwili wahania otworzyła ją. Ruszyła ścieżką w stronę morza, świecąc sobie dużą latarką. Ciężki tupot w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów przed nią trochę ją wystraszył, ale zaraz uśmiechnęła się lekko. Wiedziała, co było źródłem tych odgłosów. Był to Pan Borsuk, jak nazywał go William, a raczej pra-pra-pra-prawnuk Pana Borsuka, który właśnie wybrał się na polowanie. Zawsze podążał tą samą trasą, podobnie jak wszystkie borsuki, i zawsze załatwiał swoje naturalne potrzeby w tym samym miejscu, na brzegu rowu; jego ślady na łące były tak samo czytelne jak ślady stóp człowieka. Pan Borsuk zamarł na moment w promieniu światła latarki, a potem pobiegł dalej, rozgarniając trawy dużym, ciężkim ciałem. Flora wyłączyła latarkę. Blask księżyca wydobywał z mroku całe stada królików. Doskonałe źródło pożywienia dla lisów oraz ich młodych.

Jeżeli istnieje niebo, to musi być bardzo podobne do mojej łąki, pomyślała. A jeśli nie jest podobne, to wcale nie chcę tam iść.

Nie wyobrażała sobie, aby mogła równie mocno kochać inne miejsce. Nawet gdyby przeniosła się w tak piękne okolice, jak szkockie góry czy skaliste wybrzeże Algrave, które Colin zasugerował, i tak nie

czułaby się tak cudownie jak tu... I czy przeprowadzka nie oznaczałaby zdrady tego domu i otaczającego go niezwykłego piękna? Z drugiej strony, i tak będzie musiała się stąd wyprowadzić, a przecież wolałaby nie widzieć, co zrobi z tym miejscem nowy właściciel.

Chwilę stała nieruchomo, wpatrzona w morze, a potem odwróciła się i poszła przez łąkę w kierunku domu, pięknego szarego kamiennego domu, który przez ponad dwa stulecia gościł w swych ścianach rodzinę jej męża. Wszystko, na czym jej zależało, mieściło się w tych ścianach. Opuszczenie domu przypominałoby śmierć, to jak wyrwanie serca z piersi... Jak miała to znieść? Pewnie tak samo, jak zносиła inne smutki i cierpienia - niezliczone poronienia, śmierć Williama... Była przecież sobą, miała dość siły. Tyle że ostatnio wcale nie czuła się silna. O, nie, z każdym dniem traciła energię i chęć do życia. I wciąż myślała o tym, że została pokonana, rzucona na kolana.

- Halo, Debbie...

- Witaj, Simon! Jak to miło, że dzwonicz!

Naprawdę było jej miło. Zawsze z przyjemnością z nim rozmawiała.

- Co słyhać? - zagadnął.

- Och, wiesz, jak to jest, wszystko po staremu. A co u ciebie?

- W porządku - odparł, lecz w jego głosie słyhać było wysiłek, jaki włożył w to dwa słowa. - Cudownie jest nie być przykutym łańcuchem do biura i terminarza!

- Co teraz robisz?

- Jestem bardzo zajęty. Naprawdę. Mam mnóstwo spraw, które już dawno trzeba było zakończyć, dom do sprzedania, i tak dalej...

- No, tak. Mogę coś dla ciebie zrobić? Bo...

- Nie, nie! Chciałem tylko powiedzieć ci, co u mnie, dowiedzieć się, co porabiasz, i dać ci mój domowy numer telefonu, to znaczy mój osobisty numer. Bo przecież nigdy nie wiadomo, może jeszcze kiedyś zechcesz się do mnie odezwać.

- Och, przestań, zawsze będę miała ochotę na rozmowę z tobą, nie żartuj tak paskudnie! Słuchaj, czy mogę zaprosić cię na drinka? Teraz moja kolej! I moglibyśmy trochę pogadać, obiecuję, że ani słowem nie wspomnę o moim mężu.

- Jak to miło z twojej strony. Ja... - zawahał się. - Z przyjemnością pogadam, dziękuję! Gdzie chciałabyś się spotkać? Gdzieś w twojej okolicy?

- Tak byłoby mi łatwiej. Może znowu w Royal Garden?

- Doskonale. Którego dnia i o której? Ty decyduj, bo ja mam teraz mnóstwo, naprawdę mnóstwo czasu.

- Więc może w środę wieczorem? Richard zabiera dzieci na jakiś film do kina z okazji zakończenia semestru i wróca do domu najwcześniej o dwudziestej.

- W środę wieczorem, umowa stoi! Dziękuję, Debbie, nie mogę się już doczekać. Do zobaczenia, skarbie!

Wydawało jej się, że upłynęły całe wieki od czasu, gdy ktoś zwrócił się do niej w tak czuły sposób. Oczy nagle napełniły jej się łzami. Weź się w garść, na miłość boską, skarciła się twardo.

Koncert z okazji Dnia Niepodległości był po prostu wspaniały. Siedzieli na trawie wokół ogromnej czerwono-złotej platformy koncertowej w kształcie muszli, zwanej Hatch Memorial Shell, i popijali szampana (Annabel oczywiście była wyjątkowo ostrożna). Frances Cartwright wypakowała z dużego kosza imponujący wybór piknikowych dań, Dana i Bif ze śmiechem wyjęli z torby srebrny kandelabr i wszyscy razem słuchali Boston Pops, grających klasyczne utwory. Po koncercie nad Charles River rozpoczął się niezwykle widowiskowy i bardzo długi pokaz fajerwerków, które co chwilę rozświetlały niebo i wodę. Annabel zawsze uwielbiała sztuczne ognie; z jakiegoś powodu wprawiały ją w stan wielkiego wzruszenia i pobudzały do płaczu, cała rodzina żartowała z niej z tego powodu. Teraz siedziała z głową wciąż pełną muzyki i patrzyła na wybuchające na niebie świetlne fontanny, czując, jak po policzkach zaczynają płynąć jej łzy. Bif zauważył to i łokciem trącił w bok młodszego brata.

- Annabel płacze, co jej zrobiłeś?

- Nic! - odparł z oburzeniem Jamie i otoczył ją ramieniem. - Co się stało? O co chodzi?

- Och - powiedziała. - Zawsze płaczę, gdy patrzę na sztuczne ognie, bo czuję się wtedy bardzo szczęśliwa, a te są takie piękne.

Nic nie mogło przekonać Cartwrightów do niej w większym stopniu niż ta uwaga. Wszyscy roześmiali się z rozczuleniem i sympatią i nagle nikomu nie przeszkadzało, że Jamie obejmował ją ramieniem. Poczucie, że rodzina Jamiego raczej jej nie akceptuje, zniknęło w jednej chwili i kiedy wreszcie dotarli do domu, przeciskając się przez uśmiechnięty tłum i co jakiś czas witając się z przyjaciółmi i znajomymi, Annabel uświadomiła sobie, że Jamie nadal trzyma ją za rękę.

Później, dużo później, kiedy w domu zapanowała cisza, Annabel zamknęła za sobą drzwi uroczego, dziewiczego pokoiku i na palcach weszła na drugie piętro.

- Twój pokój jest przeznaczony dla małego chłopca, tak jak mój dla małej dziewczynki - szepnęła do Jamiego.

I rzeczywiście tak było - był to duży, prostokątny pokój z ciemnozielonymi zasłonami i kremowymi ścianami, z półkami pełnymi książek, takich jak *Przygody Tomka Sawyera* i *Człowiek w żelaznej masce*, z fantastyczną wystawą ołowianych żołnierzy na stole, ale także z bardziej nowoczesnymi dodatkami, czyli komputerem, wysokiej klasy wieżą, telewizorem i płaskim, zajmującym bardzo mało miejsca wideoodtwarzaczem. Była to jednak sypialnia, nie sypialnia z aneksem, jaką Annabel miała w domu - nie było tu kanapy ani stolika do kawy i najwyraźniej nikomu nie przyszło do głowy, że ten pokój mógłby zapewnić Jamiemu jakiś stopień prywatności. Swoje życie Jamie przeżywał z rodziną, i tyle.

Ale teraz wreszcie byli sami. Annabel zrzuciła płaszcz kąpielowy z ramion i wsunęła się do łóżka. Była naga, lecz Jamie miał na sobie piżamę.

- Zdejmij to, i to natychmiast. Zaraz ci pomogę. - Ściągnęła w dół jego spodnie i zachichotała, dotykając dłonią erekcji. - I nie chcę słyszeć ani jednej sylaby słowa w rodzaju „mama” albo „rodzice”. Zga-

sili już u siebie światło, a twój tata chrapie, może to poprawi ci samopoczucie. Och, Kocham cię... Naprawdę, naprawdę cię Kocham. Wieczór był przepiękny.

Zaczął ją całować, powoli i z czułością. Jego dłonie wędrowały po jej ciele, z początku z wahaniem, potem coraz pewniej i śmielej. Annabel poczuła pierwsze prawdziwe eksplozje pożądania, oddychała coraz szybciej i szybciej. Nagle Jamie przerwał i odsunął się lekko.

- Czy powinienem... To znaczy, czy chcesz, żebym...

W pierwszej chwili nie zorientowała się, o co mu chodzi, a później ogarnęło ją rozbawienie.

- Biorę pigułkę, nie martw się - powiedziała. - Chcę tylko jednego - żebyś nie przestawał.

- Nie mogę przestać - szepnął. - Nie mogę...

I wreszcie wszedł w nią, i oboje zaczęli się poruszać. Wspomnienia wieczoru, muzyki, fajerwerków i poczucia zadowolenia, wszystko to połączyło się z ich ciałami, i już nie był to tylko seks, ale absolutne szczęście i rozkosz. Otaczała go ze wszystkich stron, topniała, tonęła, wznosiła się i wspinała ku jasności, i w końcu osiągnęła orgazm, tak gwałtowny, ognisty i przeszywający jak widok sztucznych ogni, które razem z nim oglądała.

- Kocham cię - wyszeptał, zanim sam wspiął się na szczyt.

Leżeli obok siebie, a rozkosz powoli wypuszczała ich z ciasnego uchwytu i odpływała. Annabel po raz pierwszy od przyjazdu czuła się naprawdę szczęśliwa.

Jeżeli nawet Frances Cartwright słyszała ich albo może rano oglądała pościel, jak przewidywał Florian, to nie dała po sobie poznać, że coś jest nie tak. Rano serdecznie przywitała Annabel przy stole, podsunęła jej zapiekankę, grzanki, grzyby i sok pomarańczowy, i zapytała, czy dziewczyna dobrze spała.

- Bardzo dobrze, dziękuję - odparła Annabel. - Wczorajszy wieczór był naprawdę cudowny, tak się cieszę, że mogłam tam być! Nigdy tego nie zapomnę!

- Ja też bardzo się cieszę.

I na twarzy Frances pojawił się ten okropny, lodowaty uśmiech. Jak ona to robiła, na miłość boską?

- A dziś po prostu pochodzimy trochę po mieście - odezwał się Jamie, który przed chwilą wszedł do jadalni i usiadł obok Annabel. - Spędzimy spokojny, niespieszny dzień. Pomyślałem, że wieczorem może poszlibyśmy na kolację, tylko we dwoje. Może do Legal obok Akwarium.

- Legal? - Annabel uniosła brwi.

- Tak, to skrót od „Legal Seafoods”, nazwy chyba najsłynniejszej na świecie restauracji specjalizującej się w owocach morza.

Na pewno nie słynniejszej od Wheelers, pomyślała Annabel, ale uśmiechnęła się słodko.

- Cudownie!

- Doskonały pomysł! - pochwaliła Frances. - A właśnie, Bif i Dana uwielbiają Legal Seafoods, więc może przyłączyliby się do was.

Serce Annabel wykonało najprawdziwsze salto mortale z rozpaczy i gniewu, ale wtedy do akcji wkroczył pan Cartwright.

- Daj im spokój, Frances! - odezwał się. - Chcą побыć trochę sami, na miłość boską!

Annabel z trudem powstrzymała się, aby nie uściskać go gorąco.

Kiedy później spacerowali brukowanymi uliczkami i zaglądali do małych sklepików i kafejek, charakterystycznych dla Beacon Hill, i zeszli aż do centrum, Annabel poczuła, że widzi prawdziwy Boston, stylowy i pełen uroku. Była zachwycona miastem Jamiego. Przeszli się po Newbury Street, przy której ulokowały się wszystkie najbardziej eleganckie salony mody, Chanel, Gucci i Ralph Lauren.

- Mama i dziewczyny zamierzają zabrać cię tu jutro - powiedział Jamie.

Pokazał jej sklep jubilerski Shreve Crump & Low przy Boylston Street, gdzie najbogatsi bostończycy kupowali pierścionki zaręczynowe z najpiękniejszymi brylantami.

- Tata kupił tu pierścioneł dla mamy, Bif dla Dany i Joe dla Kathleen - oświadczył.

Annabel zastanawiała się, dlaczego pokazał jej to miejsce; pochwaliła wystrój salonu i powiedziała, że przypomina jej Tiffany'ego.

- Znasz Nowy Jork? - zdziwił się Jamie.

Zirytowało ją trochę, że Jamie uważa ją za jakąś naiwną podróżniczkę, olśnioną wszystkim, co zobaczyła w Stanach.

- Kilka razy byłam w Nowym Jorku - rzuciła lekkim tonem. - I w Los Angeles, i w San Francisco... I w Disneylandzie, kiedy byłam mała - dorzuciła. - Ale ty pewnie byłeś tam wiele razy, prawda?

Była w szoku, kiedy odparł, że nigdy nie odwiedził Disneylandu.

- Mama uznała, że nie ma ochoty tam jechać - wyznał z cieniem rozczarowania i żalu.

Kiedy wrócili, było bardzo gorąco i ogród z wysokimi drzewami wydał im się wyjątkowo kuszącym miejscem. Jednak w ogrodzie siedziała już Frances Cartwright oraz wyraźnie podekscytowana, zarumieniona Kathleen.

- Kathleen ma dla nas cudowną nowinę! Będzie miała dziecko, jej lekarz właśnie to potwierdził! Czy to nie wspaniale?

- Wspaniała wiadomość, Kathy. - Jamie podszedł do siostry i uściskał ją serdecznie. - Gratulacje!

- Dziękuję...

- Cudownie! - rzekła z uśmiechem Annabel. - Gratulacje, Kathleen!

- Dziękuję... Nie chciałam nic mówić przed otrzymaniem wyniku badania, ale wygląda na to, że teraz nie ma już żadnych wątpliwości. - Zerknęła na swój brzuch i uśmiechnęła się trochę nieprzytomnie. - Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

- Kathleen czuje się całkiem dobrze - oznajmiła Frances. - Nie ma mdłości, nie jest zmęczona - szczęściara z ciebie, naprawdę! No, musimy wznieść toast, ale chyba jakimś napojem bezalkoholowym. Zaraz każę przygotować owocowy poncz! Mój Boże, wreszcie zostanę babcią! A już myślałam, że nigdy mnie to nie spotka! Muszę zawiadomić tatę, och, jak on się ucieszy.

- Pomogę przynieść poncz - zaproponował Jamie.

Oboje z Frances zniknęli w domu. Annabel uśmiechnęła się do Kathleen.

- Joe na pewno jest bardzo szczęśliwy, prawda?

- Tak... Przyjedzie trochę później. Mama już organizuje uroczystą kolację, zaprosiła Danę i Bifa. Wiem, że zamierzaliście wyjść, ale mam nadzieję, że jednak zostanieie. Miło by mi było, gdybyście oboje z Jamiem spędzili ten wieczór z nami.

- Zostaniemy, oczywiście - powiedziała Annabel. - Czuję się zaszczycona, że mogę wziąć udział w tej uroczystości.

Mówiła zupełnie szczerze, ponieważ od początku polubiła Kathleen. Jamie przyniósł tacę z napojami.

- Proszę bardzo... Mama już rozpuszcza wici. Tata zaraz będzie w domu, przyjadą też Caroline i Jerome.

- Caroline i Jerome? - w głosie Kathleen zabrzmiała nuta zdziwienia.

- Tak... Mama uważa, że powinni być z nami tego wieczoru. Caroline jest przecież twoją matką chrzestną.

- Tak, tak, naturalnie...

- Jedyne problem w tym, że ta wiadomość nie ułatwi życia Danie - zauważył Jamie przyciszonym głosem.

- Wiem - westchnęła Kathleen. - Myślałam o tym... To jeszcze zwiększy uczucie presji.

\* \* \*

Frances wróciła z promiennym uśmiechem na twarzy.

- Caroline i Jerome już jadą - powiedziała. - Są uszczęśliwieni! Wiedziałam, że chciałabyś ich zobaczyć, Kathleen!

- Oczywiście...

- I wysłałam faks do babci Cartwright. Na pewno popłacze się z radości, bo zawsze powtarzała, że ma już tylko jedno marzenie i ambicję zarazem - zostać prababcią. Boże, jestem taka podekscytowana, że zupełnie nie mogę zebrać myśli! Tyle rzeczy trzeba przemyśleć i zaplanować, prawda?

Ktoś mógłby dojść do wniosku, że to Frances jest w ciąży, pomyślała Annabel.

Wieczór był bardzo przyjemny i nastrój Richarda uległ zdecydowanej poprawie. Pojechał z dziećmi na film *Wojownicze żółwie Ninja*, a po kinie, w ramach nagrody za dobre wyniki, na podwieczorek do McDonalda przy Kensington High Street. Wiedział, że nie powinien demonstrować dzieciom swojej akceptacji dla tego typu żywienia, ale im tak bardzo podobała się nowość polegająca na jedzeniu palcami oraz małe kartonowe pudełeczka z frytkami i obrzydliwie słodkie mleczno-lodowe koktajle.

- No, dobrze, wracamy do domu - powiedział, kiedy wszyscy już skończyli. - Metro jest tuż obok, a do Central Line mamy tylko jeden przystanek.

Czekali przed przejściem na zmianę świateł, gdy obok nich zatrzymał się turystyczny autokar z otwartym dachem. Rachel wpatrywała się w niego jak zaczarowana.

- Możemy takim pojechać? - zapytała. - Och, proszę cię, tato, proszę! Na piętrze, dobrze?



- Ten nie jedzie w kierunku naszego domu.

- Ale przecież to nie ma znaczenia - zauważyła Emma. - Możemy wrócić trochę później, mamy już wakacje! Proszę, tato, przejedźmy się nim!

- Nie sądzę, żeby nas wpuścili - zaczął Richard, lecz szczęście było po stronie dzieci - stali obok przystanku linii wycieczkowych, na którym ludzie mogli wsiadać i wysiadać.

Więc wsiedli.

Wieczne słońce jeszcze dość mocno grzało, gałęzie kasztanowców prawie muskały ich głowy. Po lewej stronie mieli teraz Ogrody Kensington i...

- Patrzcie, tam jest mama! - zawołała nagle Emma. - O, tam, przed hotelem! Z tym mężczyzną, widzicie? Mamo, mamo, mamusiu! Och, to przecież Simon, tata Tilly! Mamo, mamo, popatrz na autokar!

I wszyscy zaczęli krzyżeć, krzyżeć i machać, ale Debbie ani nie usłyszała ich w gwarze i szumie ulicznego ruchu, ani nie odwróciła się w stronę autokaru, ponieważ właśnie w tej chwili wspięła się na palce, żeby pocałować Simona Beaumonta, który na ich oczach objął ją i mocno uściskał. A potem powoli poszli w dół podjazdu, on z ramieniem otaczającym jej barki, ona obejmując go w pasie.

Dzieci, już trochę zaniepokojone, przeniosły wzrok na ojca, bladego jak ściana. Emma zbliżyła się do niego i wsunęła rękę pod jego ramię.

- Pewnie mieli jakąś wspólną pracę do wykonania - bąknęła niepewnie.

Jakiś głęboko ukryty instynkt podpowiedział jej, że taka pociecha jest Richardowi koniecznie potrzebna.

## ROZDZIAŁ 30

*LIPIEC 1990*

Dzięki Bogu za dziennik „Daily Mail”, pomyślał Joel. I za ten mały cud, którego sprawcą był Nigel Dempster, autor króciutkiego tekstu „Kłopoty w Raju”... Tytułowym Rajem była wyspa Paradise w pobliżu Nassau, a kłopoty wiązały się z niedotrzymaniem terminu ukończenia renowacji jednego z prywatnych domów na wyspie, należącego do niejakiego Micka Bridgema.

„Brytyjski multimilioner i przemysławiec Bridgeman wpadł we wściekłość, ponieważ musiał przyjąć gości w hotelu Ocean Hill, a nie w swojej własnej rezydencji. Jego prawnicy otrzymali instrukcje, aby podać do sądu firmę budowlaną, jeżeli prace renowacyjne nie zostaną ukończone w ciągu następnych dwóch tygodni. Bezustanne flirtowanie oszałamiająco atrakcyjnej młodej żony Bridgema Thandie z jednym z gości, muzykiem rockowym Nelsonem Crewe, bynajmniej nie poprawiło nastroju milionera. Wśród gości znaleźli się także: włoska supermodelka Bibi, projektant mody Giles Courtney, jego bliski przyjaciel Dick „Tracy” Lord oraz irlandzki czarujący Tim Allinson, biznesmen i romantyk. Niedługo dalsze fascynujące wiadomości”.

- Mam go! - Joel triumfalnym gestem wznosił w górę zaciśniętą pięść i wybiegł z gabinetu.

\* \* \*

Hugh Renwick, redaktor działu informacyjnego, wcale nie był zachwycony odkryciem Joela.

- Oczywiście, że nie możesz polecieć na Bahamy! - oświadczył. - Wszystko to gonitwa za nie wiadomo czym! Tak czy inaczej, nie mam najmniejszego zamiaru publikować tej historii. Banda bogatych, zepsutych ludzi, którzy nie potrafią pogodzić się z tym, że muszą zapłacić za całe lata życia na najwyższym poziomie, też mi coś...

- Ale to przecież wcale nie tak! - zaprotestował Joel, myśląc o Catherine, Gillian Thompson, Neilu Lawrensie i Simonie Beaumoncie. - To znacznie głębsza i ciekawsza sprawa, przysięgam! Ci ludzie są kompletnie zrozpaczeni, zebrałem już dużo materiału, niektórzy ludzie opowiadali mi rzeczy naprawdę zdolne poruszyć serca czytelników.

- Cóż, ja nie jestem poruszony, przykro mi, Joel! Daj sobie z tym spokój, dobrze ci radzę. Chcę, żebyś pisał dobre, solidne teksty, nie takie eleganckie bzdury. A właśnie, jak ci idzie z artykułem o funduszach edukacyjnych, który u ciebie zamówiłem?

- Mam parę ciekawych tropów - odparł Joel ze zniecierpliwieniem.

Myślał o Timie Allinsonie, który teraz spokojnie siedział gdzieś na Bahamach. Za kilka dni pojedzie gdzie indziej, nie wiadomo gdzie, i szansa na wyduszenie z niego historii o jego związkach z Lloydsem zniknie. Nie mógł tego znieść.

- Więc zajmij się nimi! W przeciwnym razie wylądujesz w głębokim gównie, nie na Fleet Street, ostrzegam cię!

- Niech ci będzie - powiedział Joel. - Ale kiedyś będziesz żałował, że nie chciałeś tego materiału!

- Widzieliśmy cię, widzieliśmy cię!

Dzieci wpadły do kuchni, gdzie Debbie usiadła przy stole, aby przejrzeć pocztę. Wróciła do domu pięć minut przed nimi.

- Gdzie mnie widzieliście? O czym wy mówicie? Jak film?

- Świetny! - powiedział Alex.

- Fajny! - dorzuciła Rachel.

Emma milczała. Patrzyła na matkę niepewnie, nalewając sobie szklankę owocowego soku.

- Gdzie mnie widzieliście?

- Przed hotelem Royal Garden - odezwał się Richard, bardzo zimnym głosem. - Z Simonem Beaumontem...

- Och, naprawdę? - Debbie poczuła, że się rumieni i zakłęła w myśli; nie miała przecież czego się wstydić. - Tak, poszliśmy tam na drinka. Wiesz, Simon został zwolniony z pracy, z banku i...

- Nie powinniśmy teraz o tym rozmawiać - rzekł Richard.

- Zwłaszcza że nie ma o czym!

- To dobrze. No, dzieci, chodźcie! Obiecaliście, że pójdziecie od razu do łóżek! Chcę zadzwonić do babci, zapytać, czy moglibyście pojechać do niej trochę wcześniej.

- O, taaaak! Możemy pojechać do niej wcześniej?

- Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł - wtrąciła Debbie. - Mam parę spraw do załatwienia pod koniec tygodnia!

Popatrzył na nią z tak obehwładniającą niechęcią, że zrobiło jej się niedobrze.

- Naprawdę? - spytał.

I wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

- No, teraz przynajmniej już wiem, dlaczego tak naprawdę nie chcesz jechać do Szkocji - powiedział.

Było już późno. Debbie prasowała w salonie i oglądała migawki z Wimbledonu. Spojrzała na niego z roztargnieniem.

- Co powiedziałaś? Richard wyłączył telewizor.

- Powiedziałem, że wiem, dlaczego nie chcesz jechać do Szkocji. Wyjazd położyłby kres twojemu romansowi z Simonem Beaumontem.

Żołądek podskoczył Debbie aż do gardła. Czyżby Flora...? Nie, na pewno nie...

- Chyba zupełnie oszalałaś! - rzuciła, starając się zachować spokój. - Nie mam romansu z Simonem Beaumontem!

- Naprawdę? I to dlatego wychodziłaś z nim z hotelu, całując go i przytulając się do niego?

- Nie bądź śmieszny! Wcale się do niego nie przytulałam! Wpadliśmy na drinka do baru, bo Simon dostał wypowiedzenie z pracy i chciałam trochę poprawić mu nastrój...

- Och, na pewno! Szczęściarz z niego! Mnie już od dawna nie miałaś ochoty poprawić nastroju!

- To nieprawda - powiedziała cicho.

- Tak ci się wydaje? Nie pamiętam, kiedy ostatni raz uprawialiśmy seks! Tak czy inaczej, nie o to chodzi. Musimy zdecydować, co dalej robimy.

- O czym ty mówisz, na miłość boską?

- O naszym małżeństwie.

- O naszym małżeństwie? Nie rozumiem cię... Czyli właściwie o czym? Nie mam romansu z Simonem Beaumontem, to jakiś absurd, Simon jest dla mnie po prostu miły i...

- Debbie, nie jestem głupi! Obserwowałem cię z nim. Jesteś nim w oczywisty sposób zafascynowana. Powiedz mi, tylko nie kłam, bardzo proszę, czy dziś pierwszy raz spotkałaś się z nim w Londynie?

- No, nie... - wydawało jej się, że lepiej będzie powiedzieć prawdę, bo kłamstwo zawsze jest niebezpieczne.

- Ach, tak... Umawialiście się na drinki w innych hotelach?

- Stworzyłaś zupełnie fałszywy obraz całej tej sytuacji, naprawdę! Simon Beaumont wcale mi się nie podoba! Wbij to sobie do głowy - nie podoba mi się!

- Och, zamknij się - rzekł ze znużeniem. - Nieważne... Jutro odwożę dzieci do mamy. Nie chcę, żeby odczuły napięcie w domu, a my po prostu musimy rozwiązać parę problemów. Nie mówię tylko o naszym małżeństwie, ale także o tym, co mam powiedzieć Morag Dunbar i...

- Tak, właśnie się zastanawiałam, kiedy przejdziemy do tego tematu! A co zamierzałeś jej powiedzieć? „Moja żona całowała pewnego faceta na schodach hotelu, w biały dzień, więc chcę się z nią rozwieść”, tak? Nieszczęsna Morag Dunbar pomyśli sobie, że ma do czynienia z szaleńcem! I słusznie, bo przecież ty zupełnie oszalałeś!

- Masz prawo do własnego zdania - odparł. - Proszę tylko, żebyś spakowała rzeczy dzieci. Rozmawiałem z mamą, będzie czekała na nas jutro po południu.

Debbie pojęła, że nic nie może zrobić. Richard sprawiał wrażenie całkowicie zdeterminowanego. Kiwnęła głową.

- Dobrze - powiedziała cicho.

Mdliło ją ze zdenerwowania. Co będzie, jeśli Richard zapyta Florę, czy uważa, że ją i Simona coś łączy? Co wtedy? Co powie Flora? Co, na miłość boską?

Lucinda otworzyła list.

*Najdroższa Lucindo,*

*Bardzo się ucieszyłem, że do mnie napisałaś. Moje życie bez ciebie to już nie to samo... Nie mam pojęcia, jak udało mi się przetrwać. Zaintrygowała mnie twoja prośba. Chętnie ci pomogę, jeżeli tylko leży to w moich możliwościach, ale chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej. Wpadnę do Londynu w drodze do Francji, w ostatnim tygodniu lipca. Będzie ze mną Greg, mój partner - dam głowę, że bardzo ci się spodoba, i z wzajemnością. Spotkamy się wtedy i wszystko mi opowiesz. Nie mogę się już doczekać, kiedy poznam twojego nowego faceta...*

*Ucałowania,*

*Virgil*

- Cholera! - powiedziała Lucinda. - Cholera, cholera jasna!

Robiło się coraz trudniej; miała ogromną pokusę, aby dać sobie spokój. A Blue coraz mocniej naciskał ją w sprawie przeprowadzki i nie miała pojęcia, jak długo jeszcze zdoła stawiać opór...

Gdyby jednak teraz się poddała, Nigel byłby załatwiony na dobre. Naprawdę musiała omówić z kimś tę sprawę. Z kimś wyposażonym w mnóstwo zdrowego rozsądku, przy czym ten ktoś koniecznie musiał znać Blue i Nigela. Z kimś... O, może z kimś takim jak Simon. Tak, z Simonem mogłaby o tym wszystkim porozmawiać. Zaprosić go na lunch, dowiedzieć się, co o tym myśli...

Sięgnęła po słuchawkę.

- Debbie, kochanie, tu Flora.

- Halo! - powiedziała ostrożnie Debbie. Siedziała w swoim biurze w Know How Promotions.

- Do tej pory nie odezwał się do mnie ten młody człowiek, ten dziennikarz, wiesz... Gdyby chciał ze mną pomówić, to niech spróbuje zadzwonić dzisiaj, bo po przyjeździe dzieci trudno mi będzie znaleźć wolną chwilę.

- Och, dobrze! Zaraz do niego zadzwonię.

Zadzwoniła do Joela, zbyt zmęczona i znękana, aby czuć skrępowanie, i powtórzyła mu słowa Florry.

- Przepraszam cię, naprawdę - powiedział. - Tak, miałem do niej zatelefonować, ale... Cóż, szczerze mówiąc, nie jestem pewny, czy uda mi się pociągnąć tę historię... Mój naczelny chce, żebym dał sobie z nią spokój, zadzwonię jednak do twojej teściowej, bo inaczej zachowałbym się nieuprzejmie... Dziękuję, Debbie!

Flora okazała się fantastyczną rozmówczynią. Nie gubiła wątku, panowała nad emocjami i spokojnie przedstawiała fakty, które były dramatyczne, biorąc pod uwagę, że najpierw straciła męża, a potem wszystko, co miała. Na zakończenie podziękował jej i chwilę siedział zamyślony, odtwarzając z taśmy niektóre fragmenty nagrania. I w końcu, w przypływie naprawdę niemałej odwagi, postanowił sam sfinansować wypad na Bahamy. Niektóre historie były tak dobre i znaczące, że grzechem byłoby je przegapić. Pół godziny później zadzwonił do Debbie.

- Chcę ci tylko powiedzieć, że rozmawiałem z twoją teściową. To prawdziwy as w rękawie, jestem ci bardzo wdzięczny.

- Nie żartuj sobie, niewiele zrobiłam.

- Zaprowadziłaś mnie do niej! Przemyślałem wszystko i nie mam już żadnych wątpliwości, że to dobry materiał. Zamierzam zrobić go mimo wszystko. Mam zamiar na tego gościa na Bahamach i...

- Na Bahamach? Więc chyba jednak twój naczelny nie chce, żebyś dał sobie z tym spokój, tak?

- Redakcja nie opłaci mi tej podróży, to ja sam...

- Ojoj... Spore ryzyko!

- Wiem, ale wydaje mi się, że gra jest warta świeczki.

- To świetnie...

Odebrała telefon od Joela w swoim biurze, kompletnie zdołowana. Dzieci prawie się z nią nie pożegnały, bo dosłownie wylażyły ze skóry, żeby jak najszybciej jechać, podekscytowane perspektywą dłuższego pobytu w Gower. Richard oznajmił, że zostanie z nimi do soboty i za każdym razem, gdy Debbie pomyślała o tym, że mógłby porozmawiać z Florą o niej i Simonie (Boże, Boże, chyba mimo wszystko nie był aż tak szalony?!), naprawdę robiło jej się niedobrze.

Z przerażeniem poczuła, że zbiera jej się na płacz. Przełknęła ślinę.

- No, baw się dobrze! - powiedziała. - Muszę już lecieć, cześć, Joel!

Rzuciła słuchawkę na widełki, odchyliła głowę do tyłu i długą chwilę zmagła się ze łzami. Idiotyczna sytuacja, powinna wziąć się w garść! Telefon znowu zadzwonił.

- Debbie? To ja... Dobrze się czujesz?

Nie zamierzała zwierzać mu się ze swoich problemów. Nie, i już...

- Tak, nic mi nie jest. Dziękuję...

- To dobrze. Wydawało mi się, że miałaś smutny głos.

- Nie, nie, skądże! Czuję się wręcz doskonale. Głos załamała jej się dopiero na ostatnim słowie.

- Wcale nie czujesz się doskonale, prawda? - powiedział powoli. - Co ci jest, co jest grane?

- Och, nic... Na pewno nic poważnego.

- W porządku... Zadzwoń teraz do Simona, może dorzuci mi jeszcze jakieś ciekawe szczegóły.

- Doskonale... świetnie... - i nagle dotarło do niej, jak mało prawdopodobne jest to, żeby jeszcze w ogóle porozmawiała z Simonem, i to jeszcze bardziej ją przygnębiło, i tym razem łzy popłynęły na całego, i nie była już w stanie ich powstrzymać, i Joel oczywiście usłyszał jej płacz.

- Hej - zaczął ostrożnie. - Coś jednak jest nie w porządku, prawda? Chcesz mi o tym powiedzieć? Jestem teraz twoim dłużnikiem, to pewne. Po pracy nie mam żadnych zajęć, a ty? Musisz wracać do domu?

- Nie. - Głośno pociągnęła nosem, świadoma, że smutek czyni ją okropnie szczerą. - Nie muszę wracać do domu. Nikogo tam nie ma.

- Świetnie! Może w Criterionie? Koło osiemnastej trzydzieści?

- Naprawdę nie powinnam - powiedziała cicho.

- Ja też nie, więc najlepiej po prostu się spotkajmy! Do zobaczenia, Debbie...

I po co to zrobił, na miłość boską? Bardzo, bardzo głupi krok. Mieszał się w życie mężatki, i to nie do końca szczęśliwej mężatki, jeśli wierzyć Simonowi. Oczywiście nie zamierzał angażować się w żaden romans, nic z tych rzeczy, po prostu umówił się z nią na drinka.

Debbie przez całe popołudnie podnosiła słuchawkę, aby odwołać spotkanie, i szybko ją odkładała.

## ROZDZIAŁ 31

*LPIEC 1990*

- No, dobrze - odezwał się Jamie. - Chcę cię o coś zapytać...

Siedzieli na plaży przed domem Cartwrightów w Cape Cod. Annabel była zachwycona Cape Cod - wielkie pasma białych plaż, porośnięte długą trawą wydmy, lasy, pokryte krzewikami żurawiny mokradła, rybackie wioski i porywisty słony wiatr, który ciągle wprawiał w ruch powietrze.

Dom Cartwrightów był uroczy, z czyszczonymi piaskiem prawie do białości podłogami, białymi ścianami, kominkami z cegły i dużymi francuskimi drzwiami, przez które wpadało do wnętrza świeże, morskie powietrze. Jak określił to Jamie, był „wygodnie umeblowany” plecionymi z trzciny krzesłami i fotelami, niskimi stołami oraz pomalowanymi na piękne kolory meblami w nieformalnym stylu; trzy boki domu obiegała weranda, z przodu był taras i kipiący zielenią ogród z rozwieszonymi wśród drzew hamakami.

- Jeżeli po śmierci trafię do nieba, to będzie ono właśnie tak wyglądało - powiedziała Annabel do Frances, z błyszczącymi oczami, spacerując po ogrodzie.

Frances uśmiechnęła się łaskawie i odparła, że bardzo jej miło, iż dom przypadł Annabel do gustu.

- Oczywiście Cape Cod nie jest już takie jak dawniej, teraz przyjeżdża tu mnóstwo turystów i rozlewiska są stale zagrożone. Mój mąż co roku przeznaczają duże sumy na program zasiewania trawą.

- To właśnie tutaj zamieszkali pierwsi angielscy osadnicy - rzekł Jamie. - No, niedokładnie w tym miejscu, trochę bliżej wysuniętego na północ cypla, koło Truro. Jeżeli masz ochotę, możemy tam jutro pojechać.

- Bardzo chętnie! - ucieszyła się Annabel.

Cape Cod było jak inny świat; wszyscy Cartwrightowie zachowywali się swobodniej, spokojniej, byli po prostu na luzie. Nawet włosy Frances układały się w bardziej naturalny sposób. Dni mijały jeden po drugim, przesuwały się jak ogniwa pięknego, promiennego łańcucha, każdy równie pogodny i szczęśliwy jak poprzedni. Zadowolona i tryskająca energią Annabel prosiła, aby Jamie zabierał ją we wszystkie ciekawe miejsca, jeździli więc razem na rowerze, spacerowali po wioskach i wydmach, oglądali rozlewiska wodne i bagniska, wybrali się na rejs, aby obserwować wieloryby i przez dwa cudowne dni żeglowali na jachcie z Daną i Bifem.

- To najbliższe lataniu uczucie, jakiego można doświadczyć na ziemi! - zawołał do Annabel Bif, kiedy przechylali się przez burzę, uczepli żagli.

Rzeczywiście, pomyślała Annabel, patrząc na wysokie żagle na tle błękitnego nieba i przesuujące się leniwie obłoki. Nagle przypomniała sobie, że jej ojciec musi sprzedać „Lizzie” i zrozumiała, jak wielka to strata.

Do końca tygodnia zjadła tyle owoców morza w niezliczonych rybnych restauracjach i barach, że nie miała cienia wątpliwości, iż lada chwila zamieni się w rybę.

- Przyjemniejsza byłaby syrena - wyznał Jamie.

W restauracjach i barach jadali jednak tylko lunchy - nawet tu, w Cape Cod panowały zasady obowiązujące w klanie Cartwrightów. Philip Cartwright co wieczór przyrządzał kolacje na grillu i nikt nie brał pod uwagę możliwości, że Jamie i Annabel mogliby wybrać się gdzieś sami, no, chyba że w ostatni wieczór... Annabel nie była bardzo rozczarowana, bo posiłki w domu nad morzem w niczym nie przypominały tych serwowanych w domu w Bostonie. Wszyscy siadali przy długim stole na werandzie albo na patio od strony plaży, czuli, jak ciepły wiatr staje się coraz chłodniejszy i w końcu wchodzili do środka i grali w rozmaite gry, między innymi w scrabble i tryktraka, a potem szli spać. Nawet to było tutaj łatwiejsze - Frances chyba pogodziła się z ich związkiem, a w każdym razie przyjęła go do wiadomości, ponieważ ich pokoje sąsiadowały ze sobą, rozdzielone tylko łazienką.

Poza tym Annabel przywykła już do rodziny Cartwrightów. Życie z nimi to jak przynależność do klubu; nowy członek wiedział, że musi przestrzegać dość archaicznych tradycji i zwyczajów, bo inaczej ubieganie się o członkostwo nie ma najmniejszego sensu. I w gruncie rzeczy był to całkiem miły klub. Jego

członkowie dbali o siebie nawzajem i choć obcych trzymali na dystans, byli hojni i serdeczni dla tych, których raz zaakceptowali.

Annabel została przyjęta do klubu, mimo tamtego okropnego pierwszego wieczoru, i ostatniego, kiedy usadowili się przy długim stole w jednej z lokalnych restauracji, śmiejąc się i żartując. Zmęczona świeżym powietrzem i słońcem, czuła się prawie jedną z nich. Siedziała między Bifem i Jamiem, naprzeciwko Phillipa, który uśmiechał się do niej szeroko.

- Będzie nam ciebie brakowało, Annabel! Szkoda, że nie możesz zostać.

- Ja też bardzo tego żałuję - odparła najzupełniej szczerze.

Musiała wyjechać w południe następnego dnia, żeby wieczorem wsiąść w Bostonie na pokład lecącego do Londynu samolotu. Ostatnia noc w ramionach Jamiego była cudowna, lecz smutna. Kochali się spokojnie i łagodnie, a potem długo leżeli przytuleni.

- Jak ja przeżyję resztę lata bez ciebie? - zapytał cicho, zanim zasnęła.

Pamiętała, że zdążyła jeszcze pomyśleć, że jemu będzie łatwiej, bo na pociechę będzie miał cudowne białe plaże i bezchmurne niebo, była jednak tak znużona, że od razu zapadła w głęboki sen. Gdy się obudziła, Jamie siedział na łóżku i przyglądał się jej.

- Jesteś taka piękna - odezwał się. - Taka śliczna. Będę za tobą bardzo tęsknił! Popatrz, cała jesteś w kolorze jasnego miodu...

Podniósł do ust pasmo jej długich, rozjaśnionych słońcem włosów i pocałował je, całował ręce, piersi, płaski opalony brzuch. Annabel ogarnęło uczucie bardzo zbliżone do smutku. Jamie stał się częścią jej życia, częścią jej samej.

- Och, kochany - jęknęła. - Nie znoję tego, nie mogę żyć bez ciebie, nie mogę nawet o tym myśleć! Byliśmy tacy szczęśliwi, a teraz będziemy okropnie nieszczęśliwi.

Spojrzała przed siebie, na dni, tygodnie i miesiące bez Jamiego, bez dotyku jego dłoni, bez fizycznej bliskości, pieszczot i pocałunków, rozmów i żartów; ujrzała samotność i smutek i zrozumiała, że takie życie nie ma dla niej sensu.

- Chodźmy na spacer - powiedział Jamie.

Ubrali się i przez ogród zeszli na plażę. Było jeszcze bardzo wcześnie.

- Dopiero szósta? - zdziwiła się Annabel.

Utknęła wzrok w linii horyzontu, pomyślała, że musi wyjechać stąd do innego świata, w którym będzie tak bardzo samotna, i zaczęła płakać. Właśnie wtedy Jamie powiedział, że chce ją o coś zapytać.

Kupił nawet pierścionek, pierścionek z brylantem z salonu jubilerskiego Shreve Crump & Low, wręczył go w pięknym firmowym pudełku. Wsunął go jej na palec, na właściwy palec, a ona patrzyła na niego, śmiejąc się i płacząc.

- Nie do wiary! - wykrztusiła. - Nie mogę uwierzyć, że jestem z tobą zaręczona, że ty naprawdę wiesz, że chcesz się ze mną ożenić.



- Naturalnie będziemy musieli trochę poczekać - rzekł Jamie. - Jesteś bardzo młoda, twoi rodzice w ogóle mnie nie znają, a ja dopiero skończyłem studia. Minie co najmniej rok, może dwa, zanim się pobierzemy, chcę jednak mieć pewność, że jesteś naprawdę, naprawdę moja.

- Jestem naprawdę, naprawdę twoja! - Roześmiała się i pocałowała go. - Możesz być tego absolutnie pewny!

Dopiero po chwili w jej głowie pojawiły się inne myśli. Ogarnęło ją uczucie dziwnego lęku.

- Mówiłeś swoim rodzicom? - zapytała.

- Jeszcze nie - odparł. - Najpierw chciałem zdobyć pewność, że ty też tego chcesz. Ale oni będą zachwyceni, kochają cię, cała moja rodzina cię kocha i...

- Czy mógłbyś na razie nic im nie mówić? Niech to będzie naszą tajemnicą, oczywiście tylko na razie... Wolałabym wyjechać stąd dziś ze świadomością, że o naszych zaręczynach nie wie nikt poza nami. To mi pomoże, nie będzie mi wtedy tak strasznie smutno. Nie chcę żadnego zamieszania ani toastów, to zbyt trudne... To nasz dzień, tylko nasz! I nie jest bardzo smutny, jest wyjątkowy, jedyny, niepowtarzalny. Niech tak zostanie, dobrze?

Jamie nie krył rozczarowania.

- Myślałem, że powiemy im razem...

- Ale... Jesteś pewny, że będą zadowoleni? Nie uznają, że jesteśmy za młodzi i tak dalej?

- Nie, nie! - Uśmiechnął się. - W naszej rodzinie wszyscy pobierają się młodo. Bif miał dwadzieścia dwa lata, kiedy się zaręczył, a Kathleen dwadzieścia. Tata ożenił się z mamą, gdy miał dwadzieścia dwa lata, ona była od niego dwa lata młodsza. Sama widzisz, że nasz wiek na pewno nie będzie im przeszkadzał! Ja w ogóle się tym nie niepokoję!

Przetrawiała przez chwilę fakt posłuszeństwa Jamiego wobec jeszcze jednej rodzinnej tradycji Cartwrightów, a także swoją rolę w tym wszystkim.

- Może rzeczywiście powiemy im razem, ale kiedy indziej, innego dnia. Proszę cię, Jamie... Przecież to dotyczy tylko nas, prawda? Tylko nas...

- No, niezupełnie - odrzekł. - Dotyczy to także naszych rodzin, to chyba oczywiste.

- Tak, ale to my się kochamy i my zamierzamy się pobrać! Mój Boże, ciągle nie mogę w to uwierzyć! Mamy zamiar wziąć ślub, ty i ja... Jak dwoje dorosłych ludzi.

- Zupełnie dorosłych, to prawda! - przytaknął ze śmiechem. - Moja śliczna Annabel... Jesteś doskonała, idealna w każdym calu. Idealna pani Jamesowa Cartwright.

Na sekundę, na ułamek sekundy ogarnęło ją... Co takiego właściwie? Przerazenie. Nie, nie przerazenie, zdenerwowanie. Nie na myśl o tym, że ma zostać Annabel Cartwright, ale panią Jamesową Cartwright. Że będzie musiała być idealną panią Cartwright, tak jak Frances i Dana. Idealną członkinią tego idealnego klanu. Bo tak właśnie to wyglądało. I Annabel w pełni zdawała sobie sprawę, jakie to może być trudne.

Po sekundzie dziwne uczucie minęło, równie szybko, jak się pojawiło.

Flora i Richard kończyli właśnie kolację, kiedy zadzwonił telefon.

- Przepraszam, kochanie, ale odbiorę. Chyba wiem, kto to...

- Odbierz, mamu, oczywiście!

- Ach, Edward! - usłyszał po chwili jej głos. - Tak, dziękuję, jak to miło, że dzwonicz... Tak, wszystko, co mógłbyś zrobić, mówiłam ci... Ach, tak... Rozumiem... No, cóż, w tej sytuacji liczy się nawet dobra rada! Tak, bardzo. Na przykład, czy muszę sprzedać dom, albo... Słuchaj, w tej chwili jestem trochę zajęta, ale w przyszłym tygodniu znowu wybieram się do Londynu, prawdopodobnie w środę... Może spotkalibyśmy się wtedy? Chętnie zaprosiłabym cię na lunch w dowód wdzięczności... Słucham? Och, to bardzo miło z twojej strony... Zadzwoń do ciebie zaraz po weekendzie, kiedy już będę dokładnie wiedziała, jak wygląda sytuacja... Tak, doskonale! Dziękuję, Edwardzie!

- I co, czy to była ta osoba, której telefonu się spodziewałaś? - zapytał Richard.

- Tak jest... Wstrętny szczur, odpowiedzialny za wszystkie moje kłopoty!

- Nie rozmawiałaś z nim w taki sposób, jakby był wstrętnym szczurem.

- Wiem, jestem trochę podstępna... Może dzięki temu uda mi się wyciągnąć z niego jakieś informacje, które pomogą Simonowi Beaumontowi w procesie, jaki zamierza wytoczyć.

- Naprawdę?

- Ten Edward to kuzyn Williama. Gdyby był moim krewnym, wyrzekałabym się go! Obrzydliwy facet, śliski, zadowolony z siebie gnojek!

Do tej pory Richard ani słowem nie wspominał o Simonie. Matce powiedział tylko, że Debbie pracuje przez cały tydzień i dlatego bardzo chętnie przywiózłby dzieci dwa dni wcześniej, ale teraz...

- Dobrze znasz Beaumonta? - zapytał.

- Nieźle. Bardzo go lubię. Okazał się prawdziwą opoką w całym tym koszmarze, i to nie tylko dla mnie. Wygląda na to, że nic nie jest w stanie go przygnębić, chociaż teraz wyrzucili go z Graburn & French, z banku, w którym pracował. Okropna sytuacja. Biedny Simon, powołali się na umowę, którą z nimi podpisał, na punkt, zgodnie z którym nie wolno mu narażać na szwank dobrej opinii pracodawcy.

- Szkoda - mruknął Richard.

W jego głosie nie było cienia sympatii i zrozumienia, sam to słyszał. Flora spojrzała na niego uważnie.

- Wiem, że nie przepadasz za Simonem, twój ojciec też by go pewnie nie lubił... Powiedziałaby, że Simon jest trochę zbyt elegancki. Ale ja szczerze go polubiłam. Simon pomógł wielu ludziom, dał tej biednej Catherine Morgan pracę w swoim banku, służy radą człowiekowi, który próbował się zabić, wyobrazasz sobie? No i oczywiście jest ojcem Tilly, więc tak czy inaczej ona, Flora, miałaby wobec niego pozytywne uczucia! Uroczy facet i doskonały kompan...

To było więcej, niż Richard mógłby znieść. Miał absolutnie dosyć słuchania litanii pochwał pod adresem Simona Beaumonta.

- Pójdę sprawdzić, co z dziećmi - powiedział. - Jeśli ci to nie przeszkadza, rzecz jasna...

- Idź, kochanie, oczywiście...

- Zaraz wrócę i pomogę ci posprzątać!

- Nie ma potrzeby. Wyglądasz na zmęczonego, lepiej połóż się wcześniej spać.

Czuł się zmęczony. Miał problemy ze spaniem, wciąż miał wrażenie, że dotknął go jakiś dziwny paraliż. Musiał zatelefonować do Morag Dunbar i coś jej powiedzieć, chociażby to, że nie przyjedzie. Albo że przyjedzie sam... Albo...

- Nie, nie, zaraz przyjdę...

Kiedy wrócił do kuchni, na stole czekała na niego czekolada na gorąco, którą po prostu uwielbiał.

- Proszę bardzo! - uśmiechnęła się Flora. - Porządnie posłodzona, taka, jakiej ojciec nigdy nie pozwalał ci pić. Ostatnio robię dużo rzeczy, które jemu nie mieściły się w głowie. To pomaga.

- Dalej tak bardzo za nim tęsknisz? - spytał.

- Oczywiście...

- Och, mamoo... - Spojrzał na nią szarymi oczami, takimi samymi jak oczy jego ojca, pełnymi troski.

- Nie powinnaś być taka... taka dzielna. Przez to zapominamy. No, nie tyle zapominamy, co nie troszczymy się o ciebie tak, jak powinniśmy.

- Nic mi nie dolega, przecież wiesz!

- Ale w gruncie rzeczy, wcale nie jesteś taka twarda, prawda? Masz naprawdę paskudny problem i radzisz sobie z nim całkiem sama. Bardzo mi przykro, że nie mogę częściej być z tobą.

- Nie bądź śmieszny, kochanie! Masz własne życie, a ja jestem bardzo szczęśliwa, naprawdę, oczywiście, nie licząc tej okropnej sprawy z Lloyd'em... Słuchaj, czy nie miałbyś nic przeciwko temu, ty i naturalnie Debbie, żebym w przyszłym tygodniu zostawiła dzieci na jeden dzień pod opieką pani Connor? Tylko na jeden dzień! Daję słowo, że zajmie się nimi jak należy i będzie stanowcza, zresztą ona dobrze je zna. Poza tym będzie tutaj Tilly, bardzo rozsądna i poważna młoda osoba. Powinnam wziąć udział w planowanym na przyszły tydzień spotkaniu, to ważne.

- Oczywiście! - powiedział Richard. - Oczywiście, że powinnaś! Naprawdę sądzisz, że będziesz musiała sprzedać dom?

- To chyba pewne, niestety. Jest mi podwójnie przykro, bo miałam nadzieję, że kiedyś go odziedziczysz, no i bardzo kocham to miejsce, jak wiesz. Ale cóż, nic na to wszystko nie mogę poradzić, to naprawdę diabelska sprawa.

- Na to wygląda!

Richard marnie wygląda, pomyślała Flora. Jest spięty i przygnębiony, na dodatek wyraźnie schudł.

- Masz ochotę na jeszcze trochę wina, kochanie? - spytała. - Mogę... Znowu zabrzączał telefon. Dzwonił Simon.

- Przepraszam, to nie potrwa długo! - powiedziała Flora do Richarda, zasłaniając dłonią mikrofon. - Co słychać, Simon?

- Nic specjalnie interesującego... Odkrywam właśnie, jak męcząca potrafi być nuda. I samotność - to naprawdę trudne po wielu latach pracy wśród ludzi, przez cały dzień.

- Na pewno... Ale z czasem wszystko się ułoży, sam sobie wszystko poukładasz, zobaczysz! Przepraszam, nie mogę teraz długo rozmawiać, jest u mnie Richard i właśnie gawędzimy... Rozmawiałam z kuzynem Williama, który nadal jest członkiem Lloyd'sa... Tak... Wyobraź sobie, że miał czelność powiedzieć mi, żebym jakoś przetrzymała złe czasy, bo to jak na wyścigach, akurat mam złą passę.

- A czym tłumaczy twoje problemy?

- Oznajmił, że w ogóle tego nie rozumie. Zapytałam go, czy zapisał mnie do tych samych syndykatów, w których on jest, tak jak obiecał Williamowi, a on potwierdził... Kiedy jednak spytałam, czy nadal w nich jest, zaczął kręcić, powiedział, że musiał przesunąć część pieniędzy gdzie indziej, ale ogólnie rzecz biorąc, znowu potwierdził, że nic się nie zmieniło. Simon, jestem przekonana, że nie powiedział mi prawdy. To oczywiste, bo dalej mieszka w Chelsea, ma dwa konie wyścigowe oraz willę w jakiejś okropnej miejscowości w Hiszpanii. Gdyby rzeczywiście był w tych samych syndykatach co ja, nie miałby tego wszystkiego.

- Pewnie siedzi w tak zwanych „małych syndykatach” - odparł Simon. - Jasne... Jak on się nazywa?

- Twierdzi, że Edward Trafford Smythe.

- Jak to, „twierdzi”? - Simon się roześmiał. - Jesteś jak napój energetyzujący, Floro, słowo daję! Już czuję się lepiej!

- Chodzi mi o to, że nazywa się po prostu Smythe, ale jakiś jego wuj albo stryj nosił nazwisko Trafford. To strasznie pospolity zabieg, naprawdę. Tak czy inaczej, umówiłam się z nim na lunch w przyszłym tygodniu. W środę, w Savoyu. Jesteś wtedy wolny?

- Jestem wolny codziennie, niestety... Teraz będę miał przynajmniej na co czekać!

- Co mam zrobić?

- Chciałbym, żebyś zachowywała się tak, jakbyś była pod wrażeniem jego wiedzy i tak dalej... Będę jadł z kimś lunch przy innym stoliku i jakoś tak to zaaranżuję, żebyś mogła nas sobie przedstawić. Zaproś mnie wtedy do waszego stolika. Pociągnę rozmowę dalej i może uda nam się skłonić go, żeby powiedział coś jednoznacznego. Zawsze warto spróbować, prawda?

- Oczywiście... Och, to powinno być ciekawe! Już czuję się jak prywatny detektyw albo tajny agent!

- Cóż, ja wcale nie czuję się jak Bond. Kogo tam masz, Richarda i Debbie?

- Nie, nie, Debbie jest w Londynie, pracuje! Richard przywiózł dzieci, wraca w niedzielę.

Świetnie, pomyślał Richard. Moja matka powiedziała właśnie kochankowi Debbie, że jej mąż wyjechał i na jak długo. Nieważne, tamten i tak pewnie wiedział. Beaumont zastosował sprytny chwyt, aby zademonstrować swoją niewinność w oczach Flory. Niewykluczone, że Debbie jest z nim teraz i zachęca go do dalszych sztuczek. I pewnie oboje śmieją się do rozpuku z niego, zdradzonego męża... Gardło Richarda ścisnęło się nagle boleśnie. Ogarnął go wielki, naprawdę wielki smutek. Podniósł się, odwrócił i zaczął ładować naczynia do zmywarki. Był niebezpiecznie bliski łez.

- Przepraszam. - Flora odłożyła słuchawkę. - Nasz adwokat mówi, że musimy znaleźć pistolet z dymiącą lufą, jeśli mamy postawić tych ludzi przed sądem. Oboje z Simonem uważamy, że mamy pewną szansę, właśnie z pomocą Trafforda Smythe'a. No i magnetofonu...

- Magnetofonu?!

- Tak. Podejrzewamy, że Smythe prowadzi część tych „małych syndykatów” i spróbujemy zastosować jakiś podstęp, żeby coś mu się wymknęło.

- Co to takiego te „małe syndykaty”, na miłość boską?!

- Zazwyczaj są to małe, niezależne komórki istniejące wewnątrz głównego syndykatu, syndykatu-matki, stworzone z myślą o krewnych i przyjaciółach członka. Polega to na tym, że nominalnie tkwią w dużym syndykacie, na przykład Bloggs Group, albo, w naszym przypadku, Westfield Bradley, ale kiedy na horyzoncie pojawia się szczególnie intratny biznes, ludzie z Lloyd'sa wpisują go do „małego syndykatu”. To niezłe matactwa, mówię ci! Kochanie, dobrze się czujesz?

- Tak, tak, doskonale...

- To dobrze. Biedny Simon strasznie oberwał, naprawdę. To dla niego bardzo trudna sytuacja, zajmował przecież ważne stanowisko i...

- Moglibyśmy przestać rozmawiać o cholernym Simonie Beaumoncie?! - wybuchnął Richard. - Nie chcę... Nie...

Przerwał. Flora patrzyła na niego czujnie.

- Tak, naturalnie - odparła spokojnie. - Jeżeli tak wolisz... Przepraszam...

Minęło parę sekund. Oboje milczeli.

- Czy między tobą i Simonem coś jest nie tak? - zapytała Flora bardzo łagodnie.

- Ja... Nie wiem... - wykrztusił Richard i wreszcie się rozplakał.

Było to okropnie krępujące; siedział przy stole w kuchni matki, z twarzą ukrytą w dłoniach, i płakał.

- Naprawdę nie wiem - powiedział, już pewniejszym głosem. - Przepraszam cię, mamoo...

- Nie masz mnie za co przepraszać, nie żartuj. Chcesz o tym pomówić?

- Nie. To znaczy... Tak. Mamoo, dobrze go znasz, prawda? Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy... Czy miałaś powody myśleć, że... Że między nim i Debbie coś jest?

W kuchni zapanowało milczenie, które Richardowi wydało się bardzo długie.

- Napijmy się czegoś, dobrze? - odezwała się w końcu Flora.

Zaproponowała, żeby spotkali się w cukierni Fortnum's Soda Fountain.

- Zapraszam cię na podwieczorek - powiedziała. - Z ciasteczkami i tak dalej... W zamian za twoją radę.

- Uwielbiam ciasteczka do herbaty! Umowa stoi! Wypatrzyła go już w drzwiach. Wstała, podeszła i uściskała go.

- Och, Simon, mój drogi! Jak to miło, że przyszedłeś! Co słyhać?

- Nie jest źle, biorąc pod uwagę okoliczności. A teraz, kiedy cię widzę, czuję się znacznie lepiej!

- Trudno mi w to uwierzyć, naprawdę. Zaczynam czuć się jak beczułka.
- W żadnym razie nie wyglądasz jak beczułka, to zupełnie nieodpowiednie określenie, jeśli o ciebie chodzi! No, dobrze, zamówmy herbatę, żeby łatwiej mi było się skupić.
- Nie wiem, od czego zacząć - powiedziała parę chwil później. - Pijesz herbatę z mlekiem?
- Odrobinę mleka, tak, bardzo proszę. Może po prostu zaczniesz od początku, co ty na to?
- Od początku, czyli od tego, że opuściłam Nigela. Nie, to nie był początek... Początkiem była sprawa Lloyd'sa. Jak wiesz, Nigelowi grozi utrata praktycznie całego majątku. Biedaczek...
- Tak, wiem.
- Steve Durham i ja wymyśliliśmy jednak chyba dosyć sprytny plan.
- Kim jest Steve Durham?
- Moim adwokatem.
- Rozumiem. Mów dalej...
- Pomyśleliśmy, że... Simon, nikomu tego nie powtórzysz, prawda? To dość... dość delikatna kwestia.
- Oczywiście!
- No więc, pomyśleliśmy, że powinnam jak najwięcej wyciągnąć od Nigela w drodze ugody finansowej.
- Z tym będzie raczej trudno, bo przecież nie jesteś niewinną ofiarą, prawda, skarbie?
- Jasne, że nie... Jednak Steve wymyślił parę takich rzeczy, żebym wyglądała na ofiarę. Uważa, że mam szansę dostać dom, zwłaszcza że Nigel i tak go na mnie przepisał i trwa przy tej decyzji.
- Nigel! Więc Nigel bierze udział w tych machinacjach?!
- Och, tak, naturalnie! Ma trudności, bo jest strasznie uczciwy, ale udało mi się go do tego namówić... Poza tym Nigel wciąż powtarza, że ma poważne obawy co do trwałości mojego związku z Blue, że moja sytuacja jest bardzo skomplikowana, bo jestem w ciąży, a ja i Blue nie mamy ślubu, i dlatego zależy mu, żebym była solidnie zabezpieczona finansowo. I chce, żebym miała przynajmniej ten dom... Nigel założył też dla mnie specjalny fundusz i wpłacił mnóstwo pieniędzy, a Steve twierdzi, że teraz wycofanie się z tej operacji byłoby nierozsądne...
- No, tak... Tak czy inaczej, Nigel wyjdzie na straszną gapę i faceta bez jaj, prawda?
- Może, ale gra jest warta świeczki. Steve wpadł też na pomysł, aby podnieść kwestię tego, z czego jakoby zrezygnowałam, wychodząc za Nigela, na przykład z mojej ówczesnej pracy. Zrezygnowałam z niej, to fakt. Pracowałam wtedy dla pewnego malarza, byłam kimś w rodzaju jego asystentki. To bardzo sympatyczny facet, nazywa się Virgil Barrymore. Otóż kiedy Virgil przeniósł się do Nowego Jorku, zaproponował, żebym pojechała razem z nim, ale nie zrobiłam tego, bo zamierzałam wyjść za Nigela.
- Taaak...
- No i obrazy Virgila sprzedają się teraz za miliony, a ja mogłam pobierać procent od ich sprzedaży, dziesięć procent od tych milionów. I pewnie rzeczywiście byłabym teraz finansowo niezależna, więcej, co

najmniej zamożna. W przyszłym miesiącu Virgil będzie w Londynie i potwierdzi... No, mam nadzieję, że zgodzi się to potwierdzić.

- To zupełnie niesamowita historia, Lucindo! - uśmiechnął się Simon. - Bardzo bystra z ciebie dziewczyna, słowo daję!

- Nie, to Steve wymyślił większość tych rzeczy. Ja... Cóż, może jestem trochę przedsiębiorcza.

- Bardzo przedsiębiorcza. Załóżmy, że wygrasz, dostaniesz te wszystkie pieniądze i dom... Co wtedy?

- Przede wszystkim założymy jakiś fundusz edukacyjny, instytucję charytatywną, która będzie wspomagać biedne dzieci. Część z dochodu będzie pochodziła z nieruchomości będących własnością funduszu, w tym z domu przy Cadogan Square. Wezmę kredyt hipoteczny na ten dom i zasilem pieniędzmi fundusz. Nigel uzyska dostęp do tych pieniędzy, ponieważ zostanie jednym z głównych członków rady zarządzającej... Cała ta operacja będzie dość skomplikowana, ale Steve jest pewny, że uda się ją przeprowadzić i ludzie Lloyd's nie będą mogli tknąć pieniędzy, bo Nigel straci wszystko, oczywiście na papierze, na moją korzyść...

- Jezu - westchnął Simon. - Szkoda, że ten Durham nie jest moim prawnikiem.

- Pewnie ty też mógłbyś go zatrudnić. To dość sprytny pomysł, prawda? Steve uważa, że nawet jeśli nie dostanę wszystkiego, i tak dostanę całkiem sporo, i oddam to Nigelowi... - Uśmiechnęła się z zadowoleniem i sięgnęła po kanapkę z wędzonym łososem.

- Hmm... - Simon przyglądał jej się uważnie. - Nie rozumiem tylko jednej rzeczy... Bardzo ładnie, że Nigel tak troszczy się o trwałość twojego obecnego związku, ale przecież ty dosłownie tryskasz szczęściem i zadowoleniem z życia, więc dlaczego sędzia miałby uwierzyć we wszystkie te bzdury, że niby Nigel się o ciebie niepokoi?

- Tak, to najtrudniejsza część planu... Muszę powiedzieć, że ja także martwię się o mój związek z Blue, że nie czuję się całkiem bezpiecznie. Powinnam napisać o tym w jakimś liście. No i oczywiście nie mogę na razie mieszkać w luksusowym domu kupionym przez Blue, bo Nigel oświadczy w sądzie, że mały domek, w którym w tej chwili mieszkamy, jest najzupełniej nieodpowiedni dla małego dziecka. Krótko mówiąc, nie możemy przeprowadzić się aż do zakończenia sprawy rozwodowej, żeby wszystko wyglądało jak należy. Blue na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu i jeżeli wyjaśnię mu całą sytuację, pomoże mi zrealizować plan, w każdym razie tak mi się wydaje. A raczej tak wydawało mi się z początku, bo teraz nie jestem już o tym do końca przekonana.

- Więc Blue nic o tym nie wie?

- Nie wie... Zaczynam żałować, że nie powiedziałam mu wcześniej, żeby mógł powoli przywyknąć do tego pomysłu, ale cóż... I właśnie dlatego chciałam zapytać, co ty o tym wszystkim myślisz i jak powinnam to rozegrać.

- Myślę, że powinnaś powiedzieć mu o swoim planie przy pierwszej okazji, naprawdę - rzekł Simon. - Bądź z nim całkowicie szczerą. I raczej przygotuj się na to, że nie będzie zachwycony.

- Ojej, tak sądzisz?

Simon pomyślał o tym, jak bardzo Blue był dumny z Lucindy i jak ją kochał, o jego wielkiej energii, staroświeckim, nieco zaborczym i typowym dla przedstawicieli klasy pracującej stosunku do kobiety i spróbował wyobrazić sobie jego pełną zrozumienia reakcję na plan Lucindy.

- Tak, moja droga. Na twoim miejscu postarałbym się załatwić to jak najszybciej, wierz mi. Zanim będzie za późno.

## ROZDZIAŁ 32

*LIPIEC 1990*

- O, Boże - jęknęła Debbie. - O, Boże, o, Boże, o, Boże...

Czuła się... Jak właściwie się czuła? Była przestraszona. Bardzo przestraszona. Przeżona sobą, przeżona tym, co zrobiła. I pełna niedowierzania, że tak się zachowała. I podniecona, rzecz jasna. Emocjonalnie i seksualnie.

I szczęśliwa. Cudownie, gorączkowo, drżąc szczęśliwa.

Siedziała przy swoim biurku, tym samym, przy którym siedziała dwadzieścia cztery godziny wcześniej, w tym samym pokoju i już w to trudno było jej uwierzyć, że nadal tu siedzi i pracuje, albo tylko udaje, że pracuje; że świat nie odchylił się od swojej osi, że czas nie stanął w miejscu ani nie przyspieszył; że wszędzie dookoła niej ludzie pracują, gadają, śmieją się i martwią różnymi sprawami. Nie mogła też uwierzyć, że wygląda tak samo - co jakiś czas sprawdzała, czy faktycznie tak jest, wyjmowała małe lusterko z szuflady i badała wzrokiem twarz, pełna obaw, co można z niej wyczytać.

Głos również raczej jej się nie zmienił; słyszała, jak mówi: „Wszystko w porządku, dziękuję”, „Wyśle dziś wiadomość” i „Tak, mogę przejrzeć tę prezentację, naturalnie”.

A jednak wszystko się zmieniło...

Nie była już tą miłą (lub całkiem miłą) i godną szacunku Debbie Fielding, szczęśliwą (lub prawie szczęśliwą) żoną Richarda i matką trojga dzieci, ze wszystkich sił zabiegającą o dobro rodziny i starającą się pogodzić życie rodzinne z zawodowym. Teraz była inną Debbie Fielding. Niewierną żoną.

Miała kochanka, mężczyznę, który nie był jej mężem, z którym poszła do łóżka i po prostu nie mogła się doczekać, kiedy znowu to zrobi, i czuła się jednocześnie okropnie i cudownie...

Czekał na nią w Criterion. Bardzo zależało jej, żeby nie zrobić na nim wrażenia biednej ofiary, więc umalowała się starannie, wybiegła na chwilę z pracy, kupiła nową koszulową bluzkę w sklepie Next i przygotowała nawet dość zabawną historyjkę, która miała usprawiedliwić jej wcześniejsze zachowanie.

Zapytał ją, czego ma ochotę się napić.

- Białego wina z gazowaną wodą mineralną - odrzekła, świadoma, że nie może i nie chce szybko się wstawić.



Joel zamówił wino dla niej i piwo dla siebie, i długą chwilę wpatrywał się w nią bez słowa.

- Świetnie wyglądasz - odezwał się w końcu.

- Nie wydaje mi się...

- Naprawdę, mówię szczerze! Więc jak, chcesz o tym porozmawiać? O tym, co cię tak zdenerwo-  
wało?

- Nie, raczej nie...

- W takim razie wszystko wskazuje na to, że ściągnęłaś mnie tu pod fałszywym pretekstem, pani  
Fielding - oświadczył z szerokim uśmiechem.

- Nie nazywaj mnie tak! Pani Fielding to moja teściowa.

- Przepraszam... Więc o czym rozmawiamy?

- Hmm... Nie jestem pewna...

W głowie miała kompletną pustkę, nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Wpatrywała się w szklan-  
kę, było jej na zmianę zimno i gorąco, czuła się okropnie. Nie powinna była tu przychodzić, wypije tylko  
szprycera i pójdzie sobie, i...

- Proszę uważać, do diabła!

To był Los. Los pod postacią mężczyzny, odrobinę wstawionego, który próbował przepchnąć się  
koło nich i potracił Joela, który w rezultacie oblał Debbie piwem.

- O, Boże, bardzo przepraszam! - powiedział mężczyzna. - To dopiero... Chwileczkę, zaraz przynio-  
sę ścierkę z baru, proszę tu poczekać.

I zniknął. Joel siedział spokojnie, przyglądając się Debbie spod oka. Po chwili wyciągnął z kieszeni  
chusteczkę i zaczął wycierać jej żakiet.

- Bardzo cię przepraszam... Okropnie poplamilem ci bluzkę.

- Nic nie szkodzi! To stara bluzka, słowo!

Bluzka miała mniej więcej trzy godziny i była kompletnie zniszczona.

Mężczyzna pojawił się ponownie, tym razem z dwiema czystymi ściereczkami w rękę.

- Proszę mi je dać! - rzuciła Debbie i skierowała się do damskiej toalety, gdzie spróbowała zmyć  
bluzkę zimną wodą.

Plama pozostała. Cóż, powinna przeprosić Joela i wyjść... Wróciła do baru, Joel siedział z mocno  
przygnębionym wyrazem twarzy.

- Słuchaj, chyba powinnam pójść do domu. Nie mogę siedzieć tu dalej i cuchnąć budweiserem czy  
czymś tam...

- Dobrze. - Był wyraźnie zmartwiony, że ich spotkanie tak nagle się skończyło. - Odprowadzę cię  
do metra.

Wyszli w wieczorne słońce, lub raczej przesyconą oparami benzyny świetlistą mgiełkę, która pod  
koniec upalnego dnia unosiła się nad Piccadilly Circus.

Minęła ich grupka dziewcząt, rozchichotanych i rozgadanych, z firmowymi torbami ze sklepu Miss Selfridge. Joel obejrzał się za nimi. Debbie ogarnęło rozdrażnienie i jeszcze większe przygnębienie; wszystkie były młode, ładne, najwyraźniej nieobarczone mężami ani dziećmi.

- Nie ma to jak terapia zakupowa - zauważył Joel.

- Rzeczywiście! - przytaknęła.

- Właściwie to nawet dość lubię robić zakupy, wiesz? Moja dziewczyna Maggie mówi, że to jedna z moich zalet.

No, dobrze, więc miał dziewczynę. Cóż, przecież to było oczywiste.

- Ale z drugiej strony, jaki facet nie lubiłby zakupów? Jak mężczyźni może się nie podobać, że tkwi w środku tłumu kobiet, w pobliżu szatni? Przecież to świetna sprawa!

- Mój mąż raczej nie patrzy na to w ten sposób - powiedziała Debbie.

Pomyślała, że rozmawiają jak dobrzy znajomi - on o swojej dziewczynie, ona o swoim mężu.

- Mamy czwartek, prawda? - uśmiechnął się. - A może tak wybralibyśmy się na późne zakupy? Chciałbym kupić ci koszulową bluzkę, dobrze?

- Och, nie!

- Och, tak! Pozwól mi, dzięki temu poczuję się trochę lepiej, nie będą męczyły mnie wyrzuty sumienia. Jaki jest twój ulubiony sklep? Z przyjemnością pomogę ci coś wybrać, no i pokręcę się w pobliżu szatni...

Nagle uśmiechnęła się pogodnie. Dlaczego nie, pomyślała. To będzie dobra zabawa. Joel był taki zabawny...

- Dobrze - powiedziała. - Niech będzie! Ale ja płacę, nie ty!

- Ja! Zresztą po co mamy się spierać, szczegóły ustalimy później!

Poszli do salonu mody Miss Selfridge, tego dużego, wewnątrz sklepu Selfridges. Było tam mnóstwo ślicznych seksownych topów, kolorowych, obcisłych T-shirtów, dżinsowych koszul i gorsecików, i żadna z tych rzeczy nie przypominała koszulowej bluzki. Wokoło kłębiły się tłumy młodych dziewcząt z biustami dosłownie wyskakującymi z obcisłych topów i gołymi długimi nogami. Joelowi lekko zakręciło się w głowie.

- To jest ładne - wskazał dopasowaną, bardzo, bardzo krótką sukienkę bez ramiączek.

- Tak - zgodziła się Debbie. - Śliczne, ale zupełnie nie nadaje się do biura.

- Czy ja wiem? Niewykluczone, że klienci pchaliby się drzwiami i oknami... Przymierz, proszę!

Wyszła z szatni promiennie uśmiechnięta. Miała zachwycający uśmiech, pewnie dzięki dużym ustom i idealnie równym białym zębom... Była trochę podobna do Julii Roberts. Hej, Joel, oprzytomnij!

Sukienka wyglądała na niej niesamowicie. Debbie była bardzo szczupła, sukienka zasłaniała uda najwyżej do połowy, więc Joel widział teraz więcej jej nóg, zdumiewających, pięknych nóg...

- Powinnaś ją kupić - rzekł.

- Tak myślisz?

- Jasne! Odwróć się... I zawiruj!

Okręciła się dookoła i wtedy się stało - sukienka, która wymagała większego biustu, zsunęła się w dół i przez moment, no, może ciut dłużej, Joel widział jej piersi. Były małe, to fakt, ale absolutnie doskonałe: jędrne, o ciemnych sutkach... Nigdy nie lubił dużych piersi, w każdym razie nie tak jak małe. Przełknął ślinę i natychmiast poczuł reakcję, bardzo silną reakcję. Sytuacja mogła stać się zdecydowanie krępująca, więc spróbował oderwać wzrok od piersi Debbie, która w tej samej chwili poprawiła sukienkę. Napotkał jej spojrzenie, trochę zaskoczone, trochę rozbawione i... Tak, trochę zmysłowe. Zniknęła w szatni i zaraz pojawiła się znowu, ubrana w białą bawełnianą bluzkę koszulową, trochę za dużą, dokładnie taką, jaka przed rokiem stała się niezwykle modna dzięki księżnej Dianie, która dała się w niej sfotografować na wakacjach.

- Ta koszula jest bardziej odpowiednia.

- Bardzo twarzowa - rzekł Joel. - Jednak nadal uważam, że powinnaś kupić tę sukienkę...

- Nie kupię jej - odparła zdecydowanym tonem. - To nie jest sukienka dla... dla matki.

- Ale ty nie wyglądasz na matkę!

- Ale przecież jestem nią. I nie wstydzę się tego.

- Wiem, ale matki wyglądają mamusiowato, a ty... Ty wyglądasz jak bardzo seksowna dziewczyna... Dziewczyna, która powinna nosić właśnie taką sukienkę. Kup ją, proszę.

- Nie kupię!

- W porządku, bierzemy koszulę. Ja płacę.

- Nie!

- Ja płacę, naprawdę mi na tym zależy! Zostaniesz w niej?

- No, tak... Muszę pozbyć się odoru tego gorzkiego piwa, czy cokolwiek to było.

- Na pewno nie było to gorzkie piwo! - oznajmił. - Mam swoją dumę. To było piwo Michelob!

- Modne?

- Bardzo modne. Zapytaj męża.

- Mój mąż nie rozpoznałby modnego piwa, nawet gdyby ktoś oblał go nim od stóp do głów! - prychnęła i natychmiast poderwała dłoń do ust. - Nie powiedziałam tego...

- Powiedziałaś, przykro mi!

Była zadowolona i pogodna, zupełnie swobodna dzięki intymnej atmosferze wspólnych zakupów.

- Chodź... - dodał. - Kupimy coś do jedzenia i zrobimy sobie piknik w parku!

Obserwował, jak walczyła ze sobą; wiedział, że nie powinien wysuwać tej propozycji i może trochę miał nadzieję, że ona ją odrzuci. Nie odrzuciła. Uśmiechnęła się szeroko, radośnie.

- Dobrze - odparła.

Wrócili więc do Selfridges, kupili bagietkę, pasztet, truskawki oraz butelkę białego wina i taksówką pojechali do Regent's Park. Usadowili się na trawie, w pobliżu jednego ze stawów, Joel otworzył wino, słońce grzało, przesączaając się między gałęziami drzew. Rozłożyli się i spokojnie gawędzili o pracy, kole-

gach, filmach, które widzieli, o swoich ambicjach i nawet ambicjach swoich partnerów, a Joel myślał tylko o tym, jaka Debbie jest śliczna i jaka zabawna, i jakie kształtne ma piersi, i jakie zgrabne nogi, i jak bardzo chciałby zobaczyć to, co znajduje się między nimi, tyle że najwyraźniej nie miał szans. Przez głowę przemknęła mu też myśl, że ten wieczór powinien zakończyć się właśnie tutaj, w taki sposób, na flircie, uśmiechu, całkiem bezpiecznie.

Debbie wyciągnęła się na trawie, odrobinę pijana, i szeroko rozłożyła ramiona.

- Och, jak miło - powiedziała.

A on nagle zapragnął dowiedzieć się o niej trochę więcej i pochylił się nad nią z uśmiechem.

- Nooo, dooobrze - rzekł. - Powiesz mi teraz, co się działo? Dziś po południu?

Debbie zdawała sobie sprawę, że nie powinna mu nic mówić. Nie powinna czuć się tak swobodnie i bezpiecznie, tak cudownie bez troski.

- Nic ważnego. Nie będę ci szczegółowo opowiadać, ale... No, pokłóciliśmy się parę tygodni temu...

O nową pracę mojego męża, w Szkocji.

- Niech zgadnę, ty nie chciałaś wyjechać do Szkocji.

- Odniosłam się do tego projektu bez entuzjazmu i nie ukrywałam tego, niestety. Na dodatek parę dni temu Richard zobaczył mnie, kiedy wychodziłam z hotelu z Simonem.

- Z Simonem?

- Tak.

- Z którego hotelu?

- Royal Garden. I... I doszedł do wniosku, że na pewno mamy romans. To takie idiotyczne!

- Naprawdę?

- Jasne!

- Powiem ci coś - zaczął powoli. - Gdybym ja zobaczył cię wychodzącą z hotelu Royal Garden z Simonem Beaumontem, pewnie także pomyślałbym, że masz z nim romans.

- Ale dlaczego?

- Niemożliwe, żebyś była aż taka niemądra!

- Przecież on jest całe wieki starszy ode mnie i lubi takie rzeczy jak konie, i jeździ range roverem, i...

- Dobry Boże! - Joel parsknął śmiechem. - Jeżeli naprawdę uważasz, że to są dobre argumenty, zaczynam szczerze współczuć twojemu mężowi!

- Dlaczego?

- Simon Beaumont jest wyjątkowo czarującym i przystojnym mężczyzną, a na dodatek niezły z niego agent i...

- Nieprawda! - zaprotestowała gorąco.

- Ale w oczach twojego męża taki właśnie jest! Poza tym odnosi sukces za sukcesem na polu zawodowym.

- Już nie!

- No, tak, już nie. Tak czy inaczej, twój mąż pewnie nie może na niego patrzeć z zazdrości.

- Ale zobaczył mnie z nim w biały dzień! Wypiliśmy tylko drinka, nic więcej!

- Może o tym nie wiesz, ale pięćdziesiąt procent małżeńskich zrad popełnianych jest właśnie w porze lunchu, w hotelach. W biały dzień, warto dodać. Ojoj, biedny Richard... Jesteś śliczna, pociągająca, zabawna i dowcipna, więc nie dziw się, że biedak jest zazrosny o każdego faceta, który się do ciebie zbliży. Wychodziłaś z hotelu z przystojnym, atrakcyjnym mężczyzną, więc dlaczego masz pretensje do nie-szczęsnego Richarda?

Debbie nagle poczuła się dziwnie. Niepokojąco dziwnie. Jednak przede wszystkim wpadła w złość.

- Obawiam się, że niewiele rozumiesz z tej sytuacji - powiedziała, starając się zachować spokój. - Zresztą z tobą nie ma to nic wspólnego... Słuchaj, jedźmy już, robi się późno i...

- Ma to wiele wspólnego ze mną - przerwał jej. - Ponieważ w pewnym momencie zdecydowałaś się powiedzieć mi o tym i ponieważ po południu płakałaś, co znaczy, że jesteś zdenerwowana. A ja lubię cię na tyle, aby mnie to obchodziło. I myślę, że jesteś niemądra, szczerze mówiąc...

- Och, zamknij się, dobrze?! - warknęła. - Nie chcę wysłuchiwać wykładów, mam ich już dosyć! Każdy uważa, że...

- Cóż, wcale mnie to nie dziwi, skoro jesteś taka... Taka tępa!

- Nie jestem tępa!

- Ależ jesteś! Cudownie, seksownie tępa, właśnie tak!

Debbie ściągnęła brwi. Patrzył na nią ciemnymi oczami, w których lśniło rozbawienie.

- Jesteś taki... taki...

- No, jaki? Jaki?

- Nieuprzejmy. Naprawdę okropnie nieuprzejmy! Nie wiem, co tutaj robię ani dlaczego w ogóle się z tobą umówiłam.

Joel parsknął śmiechem, a potem wyciągnął rękę i chwycił jej dłoń. Próbowala mu ją wyrwać.

- Nie rób tego!

Trzymał ją dalej, śmiejąc się cicho.

- Powiem ci, co tutaj robisz i dlaczego się ze mną umówiłaś - rzekł nagle najzupełniej poważnie. - Bo chciałaś, do diabła! Chciałaś być ze mną, tak jak ja chcę być z tobą. Może nie pragnęłaś tego tak mocno jak ja, ale wydaje mi się, że doskonale wiedziałaś, co robisz. I przestań patrzeć na mnie z taką wściekłością, do cholery!

- A czego ode mnie oczekujesz? - spytała ze złością. - Że będę się do ciebie łagodnie uśmiechała?

- Mogłabyś spróbować.

Pochylił się i pocałował ją. W usta. Mocno.

A ona siedziała i powtarzała sobie, że chce go odepchnąć, uderzyć, zerwać się na równe nogi, pobiec w stronę ulicy i zatrzymać taksówkę, ale nie mogła. Bo jego wargi na jej ustach i jego język szukający

jej języka podziały jak magia. Dotyk jego warg odbierała całym ciałem, czuła go w głowie, w której nagle zaczęła pulsować krew. I w piersiach... Jak to możliwe, aby pocałunek, pocałunek w usta, dotarł aż do piersi... Ale jednak dotarł, sprawił, że pragnęły dotyku, pieszczoty, pocałunków, i tylko z najwyższym trudem powstrzymała się, żeby nie sięgnąć po jego rękę i nie położyć jej na swoim ciele. Potem te niezwykle doznania spłynęły niżej, niżej, aż do brzucha i jeszcze niżej, o, Boże, tak, aż tam... W jednej chwili stała się miękka, gorąca i wilgotna, a promienie rozkoszy wędrowały dalej, jakby ktoś ciągnął je na cienkich, mocnych niciach, rozszerzały pole działania, sięgały wszędzie, pędziły jak płomień, aż w końcu pochłonęły ją bez reszty i mogła już myśleć wyłącznie o tym, jak szybko mogłaby na nie odpowiedzieć, zareagować...

- Pojedziemy do mnie? - zapytał Joel.

I Debbie nie mogła odpowiedzieć inaczej, jak tylko szybkim „tak” i skinieniem głowy, bo jakakolwiek inna odpowiedź byłaby po prostu nie do pomyślenia...

## ROZDZIAŁ 33

*LIPIEC - SIERPIEŃ 1990*

Naprawdę nie chciała nikomu mówić, pragnęła zatrzymać tę tajemnicę tylko dla siebie, ochronić ją przed wzrokiem i opiniami innych; nie chciała, aby o niej rozmawiano i wydawano wyroki, nie miała ochoty słuchać ostrzeżeń, że jeszcze za wcześnie, że to przesada, nie chciała nawet, aby ktokolwiek jej gratulował. Jej zaręczyny nie miały nic wspólnego z innymi ludźmi, bo przecież następny krok był gdzieś w odległej przyszłości; to był jej skarb, źródło szczęścia i radości, z którego mogła w razie potrzeby czerpać.

Nie powierzyła swojego sekretu rodzicom; powiedziała tylko, że świetnie się bawiła, że Jamie był absolutnie cudowny, że jego rodzina bardzo jej się spodobała (choć matka bywała dość trudna), że zakochała się w Bostonie oraz Cape Cod, i nie może uwierzyć, że to wszystko już się skończyło.

Dwa dni później, po telefonie od Jamiego, nie wytrzymała.

- Proszę cię, proszę, pozwól mi powiedzieć rodzinie! - błagał. - Od twojego wyjazdu bez przerwy cię wspominają, mówią, jaka jesteś cudowna i jak idealnie do siebie pasujemy!

Wahała się tylko chwilę.

- Dobrze, ale zaczekaj, aż ja powiem moim rodzicom! Wyślę ci wiadomość faksem!

Rodzice popijali wino w ogrodzie. Annabel poszła do nich. Pierścionek miała na palcu, ręce w kieszeniach.

- Cześć - uśmiechnęła się. - Mogę się przysiąc?

- Oczywiście, nie żartuj sobie! Usiadła, przyjęła kieliszek wina.

- Dzięki... Co słyhać, tatusiu?

- W porządku. Mnóstwo ludzi zaprasza mnie na lunch, wiesz, jak to jest...

- To dobrze! Zaraz dostaniesz jakąś fascynującą pracę, zobaczysz!

- Całkiem możliwe... - Posłał jej swój zwyczajny uśmiech, pogodny i pewny siebie.

Uspokoiła się, bo mimo niezachwianej wiary w niego, trochę się jednak martwiła.

- I wtedy nie będziemy musieli sprzedawać domu, prawda?

- Może nie.

- To świetnie! Hmm... Chcę wam o czymś powiedzieć.

- Taaak?

Wyjęła lewą dłoń z kieszeni i wyciągnęła ją ku nim.

- Podoba się wam?

Chwilę przyglądali się w milczeniu.

- Piękny, kochanie - odezwał się w końcu ojciec. - Naprawdę piękny pierścionek! Czy... Czy to, na którym palcu go nosisz, ma jakieś znaczenie?

- Owszem - odparła. - Jamie poprosił mnie o rękę.

Następna chwila milczenia. Potem matka zerwała się z krzesła i uściskała ją serdecznie.

- Cudownie, skarbie! - zawołała. - Tak się cieszę! Gratulacje!

- To wspaniała nowina, kochanie! - dodał ojciec. - Wspaniała! Przyniosę butelkę szampana... Szkoda, że nie ma z nami reszty rodziny.

Właściwie nic więcej już nie powiedzieli. Wszyscy troje siedzieli w ciepłe letniego wieczoru, popijając szampana. Pozwolili jej opowiadać bez końca o Jamie, o tym, jak bardzo go kocha i jaka jest szczęśliwa.

- Pewnie uważacie, że jesteśmy za młodzi, ale to nieprawda! Czuję, że to dobra decyzja! Jamie jest... Och, on jest po prostu idealny i... I wszystko jest cudownie! Mam nadzieję, że cieszycie się z naszych zaręczyn!

- Oczywiście, kochanie! - Ojciec pocałował ją w policzek.

- Cieszymy się, że jesteś taka szczęśliwa - powiedziała matka. - Opowiedz nam jeszcze o jego rodzinie, bo widzę, że zrobili na tobie duże wrażenie.

Parę dni później Jamie zadzwonił, aby powiedzieć jej, że rodzice są zachwyceni, że matka pyta, kiedy Annabel mogłaby przyjechać na przyjęcie zaręczynowe, że wszyscy zakładają, iż okres zaręczyn potrwa dość długo („co najmniej dwa lata, tak uważa mama, i chyba ma rację”), że nie mogą się już doczekać, kiedy Annabel zamieszka z nimi w Bostonie, że naturalnie musi przyjechać na przyjęcie z rodzicami oraz bratem i siostrą, że chcieliby wiedzieć, w jakich londyńskich gazetach ogłoszą zaręczyny, że w Bostonie opublikują zawiadomienie w „Globe” i może w „Washington Post”, i że Frances właśnie pisze list do Elizabeth. Słuchając tego wszystkiego, Annabel, prawie wbrew swojej woli, podświadomie porównywała reakcje rodziców Jamiego i swoich, i myślała, że ma ogromne, ale to ogromne szczęście...

Powietrze przypominało gęstą, ciepłą zupę - takie było pierwsze wrażenie, jakie Joel odniósł po wyjściu z samolotu na lotnisku w Nassau. Później, kiedy jechał taksówką przez miasto do Paradise Island, skojarzyło mu się ono z uroczym wesołym miasteczkiem. Ciasne uliczki i umieszczone w dość zaskakują-

cych miejscach skwery, piękne budynki w stylu kolonialnym, policjanci w białych mundurach ze złotym szamerunkiem, w białych kaskach i rękawiczkach, raczej bezskutecznie gwizdający i pokrzykujący na kierowców, zaprzężone w konie długie, barwne pojazdy, wożące turystów. Wszędzie panował zdumiewający hałas - klaksony wyły, motorowery terkotały, dzieci wrzeszczały, a nieprawdopodobna mieszanka muzyki - reggae, rocka i miejscowego soca - dobiegała nie tylko z samochodów, lecz także z magnetofonów stereo, które nosili na ramionach uśmiechnięci, radośnie podrygujący nastolatki.

Wcześniej bezskutecznie próbował zarezerwować pokój w hotelu Ocean Hill na Paradise Island, gdzie przebywali goście Bridgemana, kiedy jednak dowiedział się, ile kosztowałyby dwudniowy pobyt, z wielką ulgą przyjął pozorne niepowodzenie. Wszystkie hotele na wyspie były pełne, musiał więc zadowolić się hotelem Palace w samym Nassau. Okazało się, że wcale nie było to złe rozwiązanie - białoróżowy kolonialny hotel był całkiem wygodny, chociaż jego wielkość - 170 pokoi - w porównaniu z zaledwie 70 w Ocean Hill, świadczyła wyraźnie, że przeznaczony był dla mniej zamożnych klientów. Joel cieszył się, że ma dobrze ulokowaną bazę, pomyślał również, że jeżeli nie uda mu się złapać Allinsona, pewną pociechą będzie dla niego świadomość, że zaoszczędził kilkaset funtów.

Tak czy inaczej, wyprawa na Bahamy pociągnęła za sobą spore koszty; Joel musiał kupić trochę drogich ubrań - lniany garnitur od Armaniego, buty firmy JP Tod, odpowiednie dla gościa jednego z najdroższych hoteli świata, oraz przerażająco drogą skórzaną torbę podróżną firmy Mulberry.

Co jakiś czas powtarzał sobie, że dobrze by było, gdyby ta inwestycja chociaż w części mu się zwróciła.

Kupił ubrania, zanim się dowiedział, że nie zatrzyma się w Ocean Hill, miał jednak świadomość, że będzie z nich korzystał przez wiele lat. W kieszeni miał nowy skórzany portfel, także z salonu Mulberry - prezent od Debbie.

- W ten sposób będę miała pewność, że pomyślisz o mnie za każdym razem, gdy będziesz za coś płacił - powiedziała. - Czyli bardzo często, śmiem przypuszczać.

- Będę myślał o tobie przez cały czas - odparł, całując ją. - Nie potrzebuję portfela, żeby o tobie pamiętać.

Zameldował się w recepcji, ustalił, że hotel prowadzi wynajem limuzyn (nie mógł przecież podjechać pod Ocean Hill w jednej z tych rozklekotanych taksówek), zamówił wóz na wieczór i na następną dzień i poszedł popływać w otoczonym palmami basenie. Miał wielką ochotę się położyć, musiał jednak wytrzymać przynajmniej do pory podawania koktajli, bo wiedział, że wtedy najłatwiej mu będzie nawiązać kontakt z Allinsonem. Allinson nadal mieszkał w Ocean Hill, Joel sprawdził to przed wyjazdem z Londynu.

- Twoja praca musi ci dawać mnóstwo satysfakcji - zauważyła Debbie z zazdrością. - Przypomina filmy z Jamesem Bondem.

- No, jasne! Zwłaszcza wtedy, kiedy idę do łóżka z najpiękniejszymi dziewczynami na świecie, kilkoma naraz, co oczywiście zdarza się niemal codziennie!



Sytuacja z Debbie mocno go niepokoiła. Świetnie zdawał sobie sprawę, że wdepnął w ruchome piaski. Musiał z tym skończyć, najlepiej natychmiast, zanim bardziej się zaangażuje. Postanowił, że zadzwoni do niej zaraz po przyjeździe i rozstaną się jak przyjaciele, zafascynowani sobą przyjaciele, którzy przeżyli cudowną, ale bardzo krótką przygodę. Miał spore doświadczenie, jeśli chodzi o tego rodzaju rozstania, do tej pory zawsze potrafił trzymać uczucia na wodzy. Może dlatego, że robił to praktycznie przez całe życie...

Jednak spotkanie z Debbie przesycone było nieprawdopodobną czułością i słodyczą, a seks był po prostu zdumiewający. Kochała się z nim, jakby... jakby były to najważniejsze chwile w jej życiu. Z pasją dążyła do tego, aby dać - i otrzymać w zamian - jak największą rozkosz. Wspaniałą rozkosz, której doświadczyli oboje.

## ROZDZIAŁ 34

*LIPIEC - SIERPIEŃ 1990*

- Tamten dom naprawdę mi się podobał - powiedział Blue.

Siedział przy stole, popijając whisky; uśmiechnął się do Lucindy i poklepał krzesło obok siebie.

- Chodź, skarbie! Ostatnio ciągle się kręcisz!

Teraz był odpowiedni moment, żeby wyjaśnić mu, dlaczego nie mogą się przeprowadzić. A jeżeli wpadnie w złość, to cóż, sama będzie sobie winna. Ale...

- Który dom? - spytała, grając na zwłokę.

- Ten w Weybridge, który oglądaliśmy dziś po południu.

- Co, ten bez basenu? Byłam pewna, że zależy ci na basenie!

- Możemy zainstalować basen, to nie problem.

- Ale czy jest tam dość miejsca?

- Oczywiście, ogród ma prawie dwa akry. Wiem, że wcześniej uważałem, że Surrey nie jest idealnym miejscem do mieszkania i rzeczywiście nie jest, bo dojazd do pracy zajmie mi sporo czasu, ale podoba mi się tamta okolica, wydaje mi się, że tobie i chłopcu będzie tam całkiem dobrze.

No, dalej, Lucindo, wykrztuś to wreszcie i miej najgorsze za sobą! Przecież cię nie zabije!

- Myślę, że powinniśmy natychmiast złożyć ofertę - ciągnął Blue. - Przeprowadzimy się za jakieś dwa miesiące, najwyżej trzy.

- Za trzy miesiące urodzę dziecko i na pewno nie będę miała wtedy ochoty ani siły, żeby zajmować się przeprowadzką! Zaczekajmy, tak będzie naprawdę lepiej! I jest jeszcze coś...

- Lucindo, powoli zaczyna mnie to wkurzać! Jestem raczej cierpliwy, ale ty wystawiasz mnie na ciężkie próby.

Zmarnowała szansę, Blue już się zirytował. Więc... Więc nie teraz! Trzeba poczekać na moment, kiedy znowu będzie miał dobry nastrój.

- Po co czekać, na miłość boską?! Dom jest w zupełnie przyzwoitym stanie, w każdym razie tak mi się wydaje, trzeba go tylko umeblować! Ma nawet pokój dla dziecka!

- Z tapetą z ilustracjami z *Królika Piotrusia!* - chłodno zauważyła Lucinda.

- A co niby jest nie tak z *Królikiem Piotrusiem*, do cholery?! Wydawało mi się, że podobają ci się takie tapety! Poza tym powiedziałem przecież, że dom trzeba umeblować, tak? Więc w czym problem, do diaska? Możesz zmienić tę cholerną tapetę, zanim cokolwiek zrobisz!

- Och, przestań przeklinać! Wiesz, że tego nie znoszę! Ten dom w ogóle mi się nie podoba i nie chcę tam mieszkać!

- Lucy, mówiłaś, że bardzo ci się podoba! Co się z tobą dzieje?

Zawahała się. Dom faktycznie przypadł jej do gustu. Był duży i pełen światła, z pięknymi podłogami i wielką kuchnią z piecem, wspaniałym ogrodem i praktycznie dziką łąką. Oczami wyobraźni widziała siebie i małą dwuletnią osóbkę, trzymającą ją za rękę i razem z nią przedzierającą się przez wysoką trawę. Dom był piękny, ale Lucinda nie mogła pozwolić, aby Blue kupił go przed ostatecznym orzeczeniem o jej rozwodzie z Nigelem. Naprawdę nie mogła.

- Nie chcę się teraz przeprowadzać. Po prostu nie chcę!

- W porządku! Kupimy go i przeprowadzimy się, kiedy chłopak już się urodzi. Spędzimy tam nasze pierwsze Boże Narodzenie, co ty na to?

Bardzo kusząca perspektywa, ale Steve Durham wpadłby w furję.

- Nie - odparła. - Nie, nie mogę, kochany... Nie chcę nawet myśleć o przeprowadzce, dopóki dziecko się nie urodzi. Postaraj się wbić to sobie do głowy, dobrze?

- Podaję się! - warknął Blue. - Po prostu się poddam! Nigdy w życiu nie słyszałem takich cholernych bzdur! Wychodzę!

I wyszedł, z rozmachem trzaskając za sobą drzwiami. Lucinda długą chwilę patrzyła za nim z przerażeniem. Musiała przyznać, że nie poszło jej najlepiej.

\* \* \*

- To niesamowite miejsce - rzekł Joel.

- Prawda? Nigdy pan tu nie był?

- Nie.

- Naturalnie zimą jest jeszcze przyjemniej, bo temperatura trochę spada i wilgoć też jest mniejsza. I wtedy przyjeżdża tu bardziej eleganckie towarzystwo... Ale cóż, nasz gospodarz zechciał zaprosić nas teraz i nie widzę powodu, żeby się na to skarżyć.

Uśmiechnął się do Joela, który odpowiedział szerokim uśmiechem. Wiedział już, czemu Allinson zawdzięczał swoje sukcesy - był czarującym, łatwym rozmówcą, z poczuciem humoru i sporym dystansem wobec siebie samego. Joel nadal nie mógł uwierzyć, że bez najmniejszego problemu nawiązał z nim kon-

takt. Przyjechał do hotelu, kiedy na zewnątrz zapadała już gęsta ciemność i zapytał barmana, czy zna niejakiego pana Allinsona.

- To jeden z gości pana Bridgemana - dodał, wręczając mężczyźnie parę banknotów, aby nie wziął go za jakiegoś naciągacza, który próbuje wepchnąć się między gości.

- Tak, proszę pana, znam go. Zwykle schodzi na dół o tej porze.

- Doskonale.

Joel usadowił się w kącie z drinkiem Bellini, obserwując z przyjemnością zachód słońca i napływających do baru ludzi. Alkohol wprowadził go w stan przyjemnej senności. Przełknął garść orzechów, rozpaczliwie starając się podnieść poziom energii. Minęło pół godziny, potem trzy kwadransy. Joel ciągle sęczył tego samego drinka. Skończył, zamówił następnego, niepewny, jak podziała na niego większa porcja alkoholu. Kelner przyniósł mu drinka i wtedy Joel zauważył, że barman rozmawia z jakimś mężczyzną i wskazuje mu jego stolik.

I Allinson podszedł do niego z uśmiechem - okazało się to aż tak proste.

- Przepraszam, że zawracam głowę - Joel wyciągnął rękę. - Joel Sherlock. Pewnie zakłócam panu spokój po ciężkim dniu...

- Nie, nie, wszystko w porządku! Zaraz, nie jestem pewny...

- Chyba znał pan mojego wuja - wszedł mu w słowo Joel. - Petera Sherlocka, bankiera z Chase, z Nowego Jorku. Prosił, żeby przekazać panu pozdrowienia, gdybym przypadkiem wpadł tu na pana.

Joel pomyślał o swoim prawdziwym wuju, Micku Stricklandzie, pracowniku pralni chemicznej, który od czasu do czasu bił żonę. Ciekawe, co pomyślałby o nim Tim Allinson.

Allinson lekko zmarszczył brwi.

- Och, możliwe... Nazwisko rzeczywiście brzmi znajomo. Co słychać u pańskiego wuja?

- Wszystko dobrze, dziękuję.

- Proszę go ode mnie pozdrowić, dobrze?

- Oczywiście.

Najwyraźniej Allinson dbał o utrzymanie wszelkich znajomości, prawdziwych i fikcyjnych.

- Miło mi było pana poznać. Zatrzymał się pan tutaj?

- Niestety, nie, nie mieli już wolnych pokoi. Mieszkam w hotelu Palace. Nie najgorszy standard, zresztą przyjechałem tylko na czterdzieści osiem godzin.

- Naprawdę? Sprawy zawodowe?

- Można tak powiedzieć. Zajmuję się eksportem, moja firma prowadzi tu interesy.

- Rozumiem... Cóż, Bahamy to całkiem przyjemny zakątek świata! Gdzie pan mieszka?

- W Londynie, w Kensington. Mam też dom w Berkshire.

Allinson lekko, prawie niezauważalnie zwrócił się w stronę Joela. Najwyraźniej uznał, że warto poświęcić mu odrobinę czasu i uwagi.

- Połączył pan wakacje z pracą?

- Coś w tym rodzaju. W poniedziałek lecę do San Francisco, lecz jutro robię sobie dzień wolny i zamierzam trochę pozwiedzać. Dlatego wpadłem tu dzisiaj - chciałem na miejscu dowiedzieć się, czy jest tu coś ciekawego do obejrzenia, czy może lepiej zostać w Nassau.

- Chyba lepiej pan zrobi, spędzając czas tutaj. Wyspa jest cudowna, naprawdę. Powinien pan koniecznie wybrać się na plażę Paradise i spróbować jazdy na nartach wodnych, to świetna rozrywka. I jeszcze...

Do baru weszła właśnie hałaśliwa grupka, dwóch mężczyzn koło pięćdziesiątki i dwie wyjątkowo hojnie wyposażone przez naturę, mocno opalone blondynki. Wszyscy czworo pomachali Allinsonowi, który odpowiedział tym samym gestem.

- Już do was podchodzę! - rzucił. - Moi gospodarze - zwrócił się z uśmiechem do Joela. - Bardzo mili, słowo daję, ale... Cóż, rozumie pan. Dosyć męczący...

Posłał Joelowi porozumiewawcze spojrzenie, które mówiło jasno: „Obaj wiemy, o co mi chodzi, prawda?”.

- Zaprosiłbym pana do naszego stolika, ale...

- Nie, nie, umówiłem się z kimś na kolację w moim hotelu i muszę już wracać! - powiedział Joel. - O, to dopiero robi wrażenie...

Do baru lekkim krokiem weszła bardzo wysoka i piękna dziewczyna, opalona na głęboki oliwkowy kolor, zupełnie inny niż czerwony brąz skóry tamtych dwóch blondynek, ubrana w długą, kwiecistą suknię z jedwabiu, ze skromnym dekoltem z przodu, nieprzyzwoicie dużym z tyłu i wysokimi rozcięciami po bokach. Przez ramię miała przerzucony lśniący ciemny warkocz. Dziewczyna z dużą klasą, bez dwóch zdań, pomyślał Joel.

Smukła piękność pomachała Timowi i podeszła do niego.

- Witaj, Tim!

- Cześć, kochanie! Poznaj mojego nowego znajomego, Joela Sherlocka! Joel, przedstawiam ci Bibi, gwiazdę „Vogue”, „Harpers” i Bóg wie jakich jeszcze znanych magazynów. Joel wpadł tu tylko na chwilę, mieszka w Palace.

- Szkoda! - Bibi uśmiechnęła się lekko.

Miała niski, nieco zachrypnięty głos z obowiązkowym amerykańskim akcentem, dominującym nad włoskim. Była zachwycająca.

- Szkoda - przyznał Joel. - Zastanawiam się, czy nie spędzić tu jutrzejszego dnia.

- Naprawdę? Och, to przyjemne miejsce, prawda, Timmy? Chociaż dzisiaj jestem trochę zmęczona. Pomyślałam nawet, że jutro mogłabym zrobić sobie wolne, nie wypływać nigdzie jachtem.

- Przyszło mi do głowy dokładnie to samo, wiesz? - roześmiał się Allinson. - Nasza młoda przyjaciółka jest bardzo zajmująca, z całą pewnością.

- Nie aż tak zajmująca jak Thandie... Tak czy inaczej, muszę do nich dołączyć. Miło mi było pana poznać. - Dziewczyna posłała Joelowi trochę senny uśmiech.

- Ja też muszę się już zbierać - powiedział Joel. - Może zobaczymy się jutro? To świetne miejsce na wypicie koktajlu.

- Może się spotkamy... Jeżeli nie będzie pan miał nic ciekawego do roboty w porze lunchu, proszę mnie poszukać! Nad basenem jest zawsze świetny bufet.

- Dziękuję, bardzo to miło z pani strony! Cieszę się, że panią poznałem.

Uścisnął dłoń Allinsona, pomachał Bibi i wyszedł przed hotel, gdzie czekała na niego limuzyna. Wszystko wskazywało na to, że los nie tylko był po jego stronie, ale wręcz wybrał go na swego kumpla.

\* \* \*

Debbie wieszała pranie, kiedy Richard wrócił do domu. Cały weekend spędziła na rozmaitych pracach domowych - odkurzała, froterowała, polerowała, myła, zmieniała pościel na wszystkich łóżkach i poświęciła nawet trochę czasu na wrywanie chwastów. Nie bardzo wiedziała, po co to wszystko robi, ponieważ nie zależało jej przecież na zrobieniu przyjemności Richardowi; podejrzewała, że chodziło jej raczej o to, aby miał mniej powodów do krytykowania jej, kiedy i jeżeli wróci.

Czuła się trochę jak bohaterka filmu. Chodząc po domu, przyglądała się sobie w różnych lustrach i myślała, że wygląda zbyt zwyczajnie, aby znaleźć się w takiej sytuacji - byłoby lepiej, gdyby miała interesującą twarz i tajemnicze spojrzenie, piękną opaleniznę i burzę włosów.

- Cześć...

Podskoczyła nerwowo i upuściła dwa klipsy do przypinania mokrych rzeczy. Richard niepostrzeżenie wyszedł do ogrodu przez francuskie okno. Popatrzyła na niego, starając się sprawić wrażenie przynajmniej uprzejmie zadowolonej z jego powrotu, chociaż w głębi serca pragnęła, aby przyjechał dopiero za pięć dni. Albo pięć tygodni. Albo pięć lat. Jak można żyć z człowiekiem, którego widok budzi takie uczucie?

- Cześć! Miałeś dobrą podróż?

- Tak, dziękuję. Oczywiście głównie dlatego, że jechałem pod prąd, bo druga strona autostrady była koszmarnie zapchana, zwłaszcza zjazd w M5... - ziewnął.

- Dzieci w porządku?

- Tak. Wejźmy do środka, dobrze?

- Koniecznie? W ogrodzie jest tak przyjemnie.

- Koniecznie. Chcę z tobą porozmawiać.

- Możemy porozmawiać tutaj!

- Debbie, wolę wejść do domu, dobrze?

Poszła za nim, zastanawiając się, na wpół z nadzieją, czy to może wreszcie początek końca.

- Richard wbił sobie do głowy, że ty i Debbie macie romans - powiedziała Flora.

Siedzieli na kamiennej ławce na łące. Niżej rozciągało się spokojne, cudownie gładkie i niebieskie morze. Simonowi nagle zakręciło się w głowie.

- Słucham?!

- Właśnie. Jest bardzo zdenerwowany.

- Jezu Chryste. - Simon utkwiał wzrok w jej twarzy. - Przecież to... Przecież to zupełny absurd!

- To prawda.

- Ale dlaczego? Nie rozumiem...

- Podobno widział cię z nią w zeszłym tygodniu, jak wychodziliście z hotelu. Debbie całowała cię, a ty trzymałeś ją w ramionach.

- To jakieś szaleństwo! Ściskam i całuję wszystkich przyjaciół i bliskich znajomych, taki już mam zwyczaj, ciebie także, Floro. Czy to znaczy, że mamy romans? Może Richard dostrzegłby, jakie to bezsensowne, gdybyś zwróciła mu na to uwagę.

- Wiem, ale Richard nie rozumuje w taki sposób. Jest bardzo, bardzo zazdrosnym mężczyzną, podobnie jak jego ojciec. Mówił mi też, że Debbie od samego początku wpadła ci w oko, że od razu wyczuł, jak między wami zaiskrzyło.

- Co takiego?!

- Tak czy inaczej, zrobiłam wszystko, co w mojej mocy. Powiedziałam mu, że to idiotyczne podejrzenia, ale chyba doszedł do wniosku, że coś przed nim ukrywam.

- Co niby miałabyś ukrywać, na miłość boską?

- Nic, oczywiście - odparła, nie patrząc mu w oczy.

- No, właśnie, do cholery! Chyba że myślisz o tej chwili w kuchni parę miesięcy temu. Jeśli tak, to muszę ci powiedzieć, że byłem wtedy bardzo przygnębiony, a Debbie... Debbie po prostu starała się mnie trochę pocieszyć.

- Tak też pomyślałam. Naturalnie widziałam was, ale umiem jeszcze rozpoznać zmysłowe napięcie, w każdym razie tak sądzę.

- Dobrze powiedziane, pani Fielding! - Simon uśmiechnął się pierwszy raz od początku rozmowy. - A tamtego dnia, kiedy Richard zobaczył nas przed hotelem, Debbie dowiedziała się, że wylali mnie z pracy i zaprosiła mnie na drinka, to wszystko! I co ty na to?

- Byłam pewna, że nic nie może być dalsze od prawdy niż podejrzenia Richarda.

- Serdeczne dzięki!

- Nie jestem jednak przekonana, czy mi uwierzył. Sęk w tym, że ty i Debbie faktycznie jesteście sobie dość bliscy, i coś między wami iskrzy, co do tego Richard wcale się nie myli.

- Więc co sugerujesz? - zapytał. - Wszelkie zaprzeczenia byłyby bez sensu! Richard najwidoczniej oszalał, wiem, że to twój syn, ale...

- Nie wydaje mi się, żeby oszalał - przerwała mu Flora. - Myślę natomiast, że jest bardzo nieszczęśliwy. Debbie chyba nie wspiera go tak, jak by mogła, chociaż oczywiście rozumiem, że sama przeżywa trudny okres.

- Chodzi ci o ten wyjazd do Szkocji? Tak, mówiła mi o tym. Nie wygląda to zbyt dobrze!

- No, sam chyba widzisz. Dużo o sobie wiesz, to nie ulega wątpliwości. Richard wyciąga pochopne wnioski, zgadzam się, ale muszę też przyznać, że widzę, jak do tego doszło. Może właśnie o tym mówił, bo najwidoczniej wyczuł łączącą was sympatię.

- Boże kochany - mruknął Simon. - A ja myślałem, że jesteś moją przyjaciółką!

- Bo jestem nią, wierz mi! Jest mi strasznie przykro z powodu tej sprawy i żałuję, że nie mogę bardziej pomóc!

- Gdzie jest teraz Richard?

- Wraca do Londynu, żeby porozmawiać z Debbie.

- O, Boże - Simon ze zmęczeniem pokręcił głową. - Co za cholerny burdel! Fakt, że nie przeprosił Florę za to wulgarnie wyrażenie świadczył wyraźnie, jak mocno go zdenerwowała.

Joel nigdy nie próbował jazdy na nartach wodnych; było to fantastyczne przeżycie, coś w rodzaju powolnego lotu w ciepłym powietrzu. Odbił kilka jazd, przez pół godziny nurkował, a potem przebrał się w szorty, koszulkę polo i płócienne mokasyny, schował mokre kąpielówki do plecaka i ruszył w stronę hotelu Ocean Hill.

Była dopiero dwunasta trzydzieści, o wiele za wcześnie na lunch, zwłaszcza że bogaci ludzie zwykle późno jadali śniadanie. Joel wszedł do baru, zamówił szklankę wody z lodem i wyszedł trochę się rozejrzeć. Dookoła hotelu rozciągał się piękny tarasowy ogród z kamiennymi posągami, zadbanymi trawnikami, zachwycającymi kwiatami, kortami tenisowymi, dużym jeziorem i budynkiem, który wyglądał na kaplicę.

- Niesamowite, prawda? - usłyszał za sobą głos Bibi. - Cześć... Zauważyłam cię koło kortów. Tim i ja zastanawialiśmy się wcześniej, czy nie zagrać, ale doszliśmy do wniosku, że to za wysokie progi. Ostatnio grał tu sam McEnroe!

- To ci dopiero wyzwanie! - roześmiał się Joel.

- Właśnie! Co tu robisz? Timmy poszedł się przebrać.

- Rozglądam się...

- No, tak. Może zajrzysz nad basen, byłoby miło.

- Jasne.

Uśmiechnęła się do niego. Jej oczy na długą chwilę zatrzymały się na jego wargach, w dość znaczący sposób. Zbiło go to z tropu. Nawet bardzo.

- W takim razie do zobaczenia później - powiedziała. - O, popatrz, Timmy już idzie.

Pochyliła się do przodu i pocałowała go przelotnie, ale dość zdecydowanie, w usta.

- Co to za budynek? - zagadnął Joel, kiedy już przywitał się z Allinsonem. - Tam dalej? Wygląda na kaplicę.

- Bo to jest kaplica, mój chłopcze! Koniec dwudziestego wieku, autentyk.

Joel skinął głową. Pomyślał, że nawet jeżeli nie zrealizuje zasadniczego celu swojego wypadu, na pewno napisze ciekawy artykuł turystyczny. Poszli podjazdem w stronę kaplicy, która z bliska okazała się przerażająco kiczowata, łącznie z jaskrawymi witrażami.

- Marzenie większości narzeczonych z Nassau - zauważył Allinson. - Nic dziwnego, prawda?

Bez pośpiechu wrócili do hotelu, przebrali się i zeszli nad basen, znajdujący się w samym środku ogrodów. Kelnerzy kręcili się wokół stolików i leżaków, gotowi spełnić każde życzenie bogatych gości.

- Patrz, bufet jest tam, ale możesz też zamówić coś z menu. Ja zwykle decyduję się na kanapkę z szynką, serem i sałatą, bo są po prostu pyszne. Napijesz się piwa?

- Dobry pomysł - rzekł Joel. - Dziękuję.

- Nie ma za co! Miło mi się z tobą gada.

- Widzisz gdzieś tu Bibi?

- Pewnie poszła się zdrzemnąć. Bibi nie jada lunchu.

- Dzisiaj tak! - Bibi usiadła na leżaku obok Joela.

Zdjęła górę bikini i zaczęła smarować skórę mleczkiem do opalania. Miała niesamowite piersi, pełne i bardzo jędrne. Joel starał się nie gapić na nie, ale dziewczyna pochwyciła jego spojrzenie i uśmiechnęła się. Potem przymknęła oczy i wystawiła twarz do słońca.

- Czym właściwie zajmuje się twoja firma? - zagadnął Allinson.

- Importujemy szkło i porcelanę, na pewno wiesz, że Bahamy to wyjątkowo chłonny rynek zbytu.

- No, tak... Ciekawe! A gdzie macie fabryki?

- Głównie w północnej części Anglii, ale także we Francji, w Limoges. - Joel przeczytał w samolocie artykuł o porcelanie i ceramice z Limoges i wzbogacił swoją historię o parę zaczerpniętych stamtąd informacji. - Mamy też drugą linię, zupełnie inną - pościel. Kupujemy jej dużo w Rosji i sprzedajemy hotelom, przede wszystkim amerykańskim.

- Rozumiem... Rodzinna firma, co?

- Tak, założył ją mój dziadek. Lubię tę pracę, ale to ciężka harówka.

- Jak większość sposobów zarabiania pieniędzy. Mój gospodarz tyra jak przysłowiowy niewolnik, facet spędza w firmie jedenaście miesięcy w roku, zasuważąc praktycznie osiemnaście godzin dziennie.

- Co robi?

- Produkuje gwoździe, zasuwy, śruby i takie tam... Zaopatruje różne firmy, między innymi IKEA.

- Wszystko jasne!

- A fascynująca Thandie jest jego trzecią żoną. Słodka dziewczyna, lecz trochę męcząca.

- Hmm... Tak to bywa... Gdzie mieszkasz, Tim?

- Właśnie próbuję wybrać jakieś miłe miejsce do mieszkania. Zastanawiam się nad Jersey albo Guernsey, może New England.



Facet ma forsę jak lodu, bez dwóch zdań, pomyślał Joel. Drań! Allinson był naprawdę czarującym rozmówcą, lecz Joel przypomniał sobie Gillian Thompson i Neila Lawrence'a i błyskawicznie oprzytomniał.

- A... Czym się zajmujesz? Boże, słońce pali na całego, muszę poszukać mleczka do opalania! Przepraszam. - Pogrzebał w plecaku, znalazł mleczko i niepostrzeżenie włączył magnetofon. Znowu wyciągnął się wygodnie i uśmiechnął do Allinsona. - Mówiłeś, że...

- Nic nie mówiłem, ale ty pytałeś chyba, czym się zajmuję.

- Tak jest.

- Trochę tym, trochę tamtym. Odziedziczyłem po rodzicach fabrykę tekstyliów i sprzedałem ją parę lat temu. Zainwestowałem pieniądze w akcje i obligacje, które nie najgorzej zniosły próbę czasu, generalnie rzecz biorąc.

- Wuj wspominał mi, że pracowałeś w jednym z wielkich banków.

- Nie.

- Nie, nie w banku, tylko w Lloyd'sie. - Joel udał, że przypomina sobie zasłyszane informacje. - W Lloyd's, prawda?

- Cóż, nie byłem nigdy agentem Lloyd'sa, ale wprowadzałem tam ludzi, którzy mogli odnieść korzyści z tego rodzaju inwestycji. Wiele osób ma dzięki mnie wyższe dochody.

- Nie byłeś Nazwiskiem?

- Byłem, lecz tylko przez pewien czas.

- Słyszałem, że Lloyd's przeżywa trudny okres.

- Lloyd's? Może trochę, ale to nic poważnego.

- Jakiś czas temu czytałem w gazecie spory tekst o... Zaraz, jak to się nazywa... Ach, o azbestozie!

- Nie można wierzyć we wszystko, o czym piszą gazety, drogi chłopcze! Mógłbym przedstawić ci mnóstwo ludzi, którzy nadal czerpią wielkie korzyści z inwestycji w Lloyd'sie!

- Na pewno... Tak tu ciepło, że zaraz chyba zasnę, a za godzinę muszę wracać do hotelu. Może trochę popływam...

- A ja poszukam papierosów - rzekł, uśmiechając się, Allinson. - Do zobaczenia później!

Sytuacja była ryzykowna, bo Allinson mógł znaleźć sobie innego rozmówcę, ale Joel nie chciał, aby jego pytania wydały się tamtemu podejrzane. Przepłynął dwie długości basenu i oparł się o brzeg, ciężko dysząc. Boże, był w marnej formie. Nagle poczuł, jak czyjaś dłoń wsuwa się w jego kąpielówkę i gładzi go po pośladkach.

- Cześć - zamruczała Bibi. - Niezły tyłek.

- Dziękuję bardzo.

Poruszyła się lekko, a przy okazji przesunęła dłoń, która teraz delikatnie rozgarniała jego włosy łonowe, szukając penisa. Jego wiotkiego, miękkiego członka.

- Przykro mi - powiedział. - Zimna woda nie należy do moich ulubionych afrodyzjaków.

- Nie szkodzi! - Zaśmiała się. - Potrzebujesz afrodyzjaków?

- Nigdy.

- Tak mi się wydawało. Miło jest spotkać tu kogoś młodego, konkretnie młodego mężczyznę.

Wszyscy inni mają chyba po sto lat, oczywiście poza naszym wspólnym przyjacielem. Ile masz lat, Joel?

- Trzydzieści cztery.

- Aha... Dobry wiek.

- Miło mi, że tak uważasz. O, wraca Tim, może lepiej wyjdźmy z wody!

- Tim nie jest moim strażnikiem - powiedziała Bibi i na moment zawiesiła głos. - Ani twoim...

- Jasne, że nie, ale...

- Więc idź! - uśmiechnęła się. - Zobaczymy się później! Odwróciła się i poszła ku schodom, owijając się sarongiem.

- Świetna woda - rzekł Joel, znowu siadając obok Allinsona. - Wchodzisz?

- Nie, jestem jeszcze świeżo po lunchu. Nie będzie ci przeszkadzać, jeżeli zapalę?

- Nie, w żadnym razie...

Allinson wyjął paczkę cienkich papierosów, zapalił i zaciągnął się głęboko.

- Więc twierdzisz, że w tych plotkach o Lloyd's nie ma ani odrobiny prawdy? - zagadnął Joel.

- Raczej nie - odparł spokojnie Allinson. - Na pewno nie ma w nich nic takiego, co nie pozwalałoby mi zasnąć.

- Nie żartuj, nie mów, że nic o tym wszystkim nie wiedziałeś! Dlaczego się wycofałeś?

- Cóż, niewątpliwie firma przechodzi nie najlepszy okres, trzeba jednak widzieć cały obraz. Ostatnie załamanie finansowe w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku, to chyba nie najgorszy wynik.

- Ale ty cały czas zachęcałeś ludzi, żeby wchodzili w ten interes, tak? Podobnie jak inni z Lloyd's.

- No, tak, przecież mamy tu do czynienia z firmą, na miłość boską. I ta firma potrzebowała inwestycji, a moim zadaniem było pomóc Lloyd's znaleźć środki. Słuchaj, nie wiem, jak prowadzisz swoją firmę, ale pewnie nie opowiadasz wszystkim klientom o popełnionych przez szefostwo pomyłkach, nie mówisz im, że na przykład co roku dochodzi do uszkodzenia części towaru, wręcz odwrotnie, przekonujesz ich, że macie bardzo mały procent sfluczonych produktów.

- Oczywiście!

- No, właśnie... Ludzie z Lloyd'sa nie mogli przecież uświadamiać potencjalnym inwestorom, że mogą sobie poparzyć palce, bo nie byłoby to korzystne dla firmy, zresztą praktyka biznesowa jest zupełnie inna. Powiedzieli im prawdę, że ostatni raz ludzie stracili u nich pieniądze dwadzieścia pięć lat temu...

- Ach, tak - powiedział powoli Joel. - Rozumiem...

- Wyszli z założenia, że wszelkie problemy można rozwiązać dzięki odpowiednim środkom, jak już mówiłem. Im więcej Nazwisk, tym bardziej rozłożone ryzyko. I w tym momencie pojawiałem się ja.

- Niezłe! - Joel uśmiechnął się do Allinsona. - Godne podziwu, słowo daję! Wszystko zależy od dobrego naświetlenia i przedstawienia pewnych faktów, co? Czy to prawda, że tylko superbogaci zostają Nazwiskami?

- Kiedyś tak było, lecz ostatnio szefowie Lloyd'sa znacznie obniżyli poprzeczkę i zaczęli dopuszczać do inwestowania zwykłe plotki, które, oczywiście, z wielką radością dołączały do tak prestiżowego „klubu”.

- Tak zwany zdrowy snobizm! - rzucił Joel. - Na tym też można zbić majątek!

- Bez wątpienia.

- Twoja praca musiała być całkiem przyjemna.

- A jakże. Rozjaśniłem życie wielu ludzi, podobnie jak ich bankowe konta.

- Ale czy później też wszystko wyglądało tak optymistycznie?

- Mam nadzieję! Nie śledzę losów wszystkich nowych Nazwisk - Allinson przerwał. - Mam wrażenie, że bardzo interesuje cię ta sprawa. Z jakiegoś szczególnego powodu?

- Tak, jeśli mam być szczery. Zastanawiałem się, czy nie byłoby warto zostać Nazwiskiem. Polecałbyś takie posunięcie?

Allinson milczał długą chwilę.

- Raczej nie, w każdym razie nie w tym momencie - odparł w końcu. - Zaczekaj rok albo dwa, potem znowu porozmawiamy. Dam ci moją wizytówkę.

- Doskonale... Wydawało mi się jednak, że już nie pracujesz dla Lloyd'sa.

- Oficjalnie nie mam z nimi nic wspólnego, ale zawsze mogę skontaktować cię z odpowiednimi ludźmi.

- Dziękuję, będę ci bardzo wdzięczny! Czyli te pogłoski o azbestozie to bzdura, tak?

- Mój drogi chłopcze, nie zajmuję się szczegółami, mówiłem ci już.

- Jasne... Sądzisz, że oni coś podejrzewają?

- Kto, ludzie z Lloyd'sa? Niektórzy może tak. - Allinson wyciągnął się wygodnie i nasunął panamę na oczy. - To dość nieustępliwe plotki.

- Muszą jednak zabiegać o dopływ nowych pieniędzy?

- Absolutnie! Inaczej nie utrzymaliby się na powierzchni!

- I cały ten system działa?

- Na razie jest za wcześnie, żeby stwierdzić to z całą pewnością. Mam nadzieję, że działa, to chyba oczywiste.

- I nikt z was nie miał nigdy wyrzutów sumienia? - Joel wyprostował się, gotowy zadać ostateczny cios i rzucić się do ucieczki.

- Z jakiego powodu? Wielu ludziom pomogliśmy zarobić mnóstwo pieniędzy!

- Ale nie dotyczy to tych, których złapaliście na przynętę w ostatnich siedmiu latach, prawda? Ci teraz tracą...

- „Złapaliście na przynętę”? - powtórzył sztywno Allinson. - Nie podoba mi się to określenie!

Usiadł na leżaku i zmierzył Joela czujnym spojrzeniem.

- Przecież do tego się to sprowadzało, może nie? Teraz sytuacja się skomplikowała i ci ludzie tkwią po szyję w długach, niektórzy targnęli się na własne życie z rozpacz, bo nie są w stanie zaspokoić żądań Lloyd's.

- To śmieszne! - rzucił Allinson.

- Raczej nie! Mówię o ludziach, których życie zostało zrujnowane, kompletnie zniszczone. Na przykład... Tak, mogę odwołać się do konkretnego przykładu. Znałeś niejaką Gillian Thompson, kojarzysz to nazwisko?

- Nie. I odnoszę wrażenie, że już trochę za długo rozmawiamy na ten temat!

- Gillian Thompson była sympatyczną starszą damą, panie Allinson, która za darmo udzielała lekcji gry na fortepianie i piekła dla pana ciasteczka, kiedy umawiał się pan z nią, żeby poinformować ją o pozornie korzystnych inwestycjach. Mniej więcej rok temu popełniła samobójstwo, bo nie widziała innego wyjścia. Została bez grosza przy duszy, najzupełniej dosłownie, a wszystko to za sprawą Lloyd'sa! Sprzedała cały majątek, ale to oczywiście nie wystarczyło.

- Mówiłem już, że nigdy nie słyszałem o Gillian Thompson!

- A o Neilu Lawrensie? Ojciec czworga dzieci, bankrut, próbował się zabić! To także jeden ze złowionych przez pana inwestorów, wciśnięty do tego samego syndykatu, co Gillian Thompson. Nie ulega wątpliwości, że jego także pan znał. Nie pamięta pan jego nazwiska?

- Oczywiście że nie!

- Cóż, on doskonale pamięta pańskie! W porządku, już się wynoszę! Mam tylko jedną prośbę - wieczorem, zanim zaśnie pan po kolejnej znakomitej kolacji, proszę pomyśleć przez chwilę o tamtych dwojgu, dobrze? I może o setkach innych naiwniaków, których tak skutecznie wpuścił pan w maliny. Żegnam, panie Allinson. Ciekawie mi się z panem rozmawiało. Nie mogę powiedzieć, że było to miłe, ale z pewnością dużo się od pana dowiedziałem!

Kiedy wszedł już do taksówki i poczuł się bezpieczny, wyjął z torby magnetofon. Miał tam prawie wszystko. Mimo trzasków i nie najlepszej jakości dźwięku, dobrze słyszał pełen zadowolenia z siebie, kulturalny głos Tima Allinsona, który wygłaszał zdania stanowiące sedno artykułu. Zaskakującego, oszałamiającego artykułu. Wypad na Bahamy okazał się wart pieniędzy, które Joel wyłożył z własnej kieszeni.

Wrócił do hotelu Palace, wziął prysznic, zrobił sobie drinka i zamówił kolację do pokoju. Zanim się ubrał, w korytarzu rozległ się już klekot nadjeżdżającego wózka. Szybko owinał się szlafrokiem. Obsługa w Palace działała jak w zegarku...

Usłyszał pukanie i otworzył drzwi. Tuż za progiem czekał obficie zastawiony wózek barowy, na dolnej półce stała butelka wina, ale wcale nie pchał go jeden z tych sympatycznych kelnerów. Nie, przy wózku stała Bibi...

- Hej! - powiedziała. - Widzę, że przygotowałeś się na moją wizytę!

Zamknęła za sobą drzwi i zaczęła ściągać szlafrok z ramion Joela. Chwilę stała z uśmiechem, uważnie przyglądając się jego nagiemu ciału.

- Widzę, że nie kłamałeś! - Wyciągnęła rękę i ujęła jego członek, który prawie wyrażał już podziw Joela dla jej urody i zaaranżowanej sytuacji. - Rzeczywiście nie potrzebujesz afrodyzjaków...

## ROZDZIAŁ 35

*SIERPIEŃ 1990*

Zupełnie ją zaskoczył.

- Przepraszam - powiedział, kiedy już usiadła, a on postawił przed nią filiżankę z herbatą.

Była tak zdumiona, że przewróciła filiżankę, bo nie spodziewała się przeprosin, ale tego, że powie coś o rozwodzie. Zanim wytarła stół i już sama zrobiła sobie herbatę, zdążyła trochę się uspokoić, wrócić do względnej równowagi.

- Zaczynj jeszcze raz! - poprosiła.

- Dobrze, w porządku... Powiedziałem... Powiedziałem, że cię przepraszam. Moja reakcja była zbyt ostra, no, po prostu przesadziłem. Mama pomogła mi to zobaczyć, zapewniła mnie, że między tobą i Simonem nic nie ma, że tylko bardzo się lubicie, nic więcej.

- Ach, tak! Mówiłam ci, że tak właśnie jest, Richardzie!

- Wiem... I przepraszam... Zachowałem się... Zachowałem się źle, bardzo źle.

- Rozumiem - powoli pokiwała głową.

Mogła myśleć jedynie o tym, jak okropnie, absurdalnie zaprawiona ironią była cała ta sytuacja. Bo gdyby Richard nie wytoczył oskarżenia o romans, gdyby nie wyjechał z dziećmi do Walii dwa dni wcześniej, niż planował, ona na pewno nie umówiłaby się tamtego wieczoru z Joelem. I ich wcale nie fikcyjny romans może nigdy by się nie rozpoczął. Siedziała w milczeniu, zastanawiając się, co powiedzieć.

- Zdaję sobie sprawę, że postąpiłem niewłaściwie - rzekł Richard. - Okłamałem cię w sprawie mojej pracy w Szkocji, to było naprawdę fatalne. Przepraszam cię...

- Nie szkodzi... Ja też wyrzucam sobie, że nie zachowałam się jak należy. Nie chciałam jechać do Szkocji, wiedziałam jednak, jakie to dla ciebie ważne i ostatecznie zdecydowałabym się tam przenieść. Naprawdę.

- Naprawdę?

- Tak.

- Więc może jednak da się jeszcze coś z tym zrobić. Debbie poczuła, że ogarnia ją panika.

- W jaki sposób?

- Może nie straciliśmy jeszcze szansy na wyjazd. Bardzo zależy mi na tej pracy i jestem pewny, że tobie też by się tam spodobało. Wiem, że początek był nie najlepszy, ale...

- Rozumiem, że naprawdę bardzo ci na tym zależy - powiedziała powoli. - Chciałabym jednak...  
Chciałabym mieć trochę więcej czasu.

- Na co?

Czy naprawdę nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo ucierpiała w wyniku tej przepychanki? Czy w ogóle nie dotarło do niego, że wymierzył jej tyle ciosów poniżej pasa?

- Ja...

Na szczęście nie musiała mówić nic więcej, bo Richard się zorientował, że znowu popełnił błąd.

- Przepraszam! To oczywiste, że potrzebujesz czasu. Poczekał na twoją decyzję i postaram się jakoś wynagrodzić ci to wszystko. Pomyślałem też, że może udałoby ci się znaleźć pracę w Szkocji, żebyś nie musiała zajmować się wyłącznie dziećmi i domem. Chodzi mi o to, że widziałem to w zupełnie nierealistyczny sposób, naprawdę. Wiem, jakie znaczenie ma dla ciebie twoja praca, możesz mi wierzyć.

- Tak - odparła, czując się jeszcze gorzej. - Tak, faktycznie ma dla mnie duże znaczenie... Dziękuję ci. Napijesz się jeszcze herbaty?

- Szczerze mówiąc, mam ochotę na coś mocniejszego. To także było zupełnie nie w jego stylu.

- Debbie, kochanie, tu Simon. Wszystko w porządku?

- Tak, dziękuję... Bardzo miło, że dzwonisz.

- Możesz rozmawiać?

- Tak, Richard wyszedł pobiegać.

- Słuchaj, Flora powiedziała mi o tym absurdalnym pomysle twojego męża, że mamy romans... Jak wygląda sytuacja, trochę lepiej?

Debbie milczała chwilę.

- Tak - odparła wreszcie. - Wygląda na to, że Richard doszedł do wniosku, że się mylił. Przeprosił mnie za te oskarżenia.

- Naprawdę? Doskonale!

- To w dużym stopniu zasługa Flory. Nie wiem, jak jej podziękować. Mogła przecież powiedzieć mu... No, sam wiesz, co, prawda?

- Mogła, ale nigdy by tego nie zrobiła. Twoja teściowa to babka z klasą.

- Jasne... Nie mam pojęcia, jak się zachować. Byłoby to trochę dziwne, gdybym zadzwoniła do niej i powiedziała: „Dziękuję, że nie powiedziałaś mojemu mężowi, że któregoś dnia wieczorem zastałaś mnie i Simona obściskujących się w kuchni!”. Chciałabym jednak jakoś wyrazić jej swoją wdzięczność.

- Kochanie, nie obściskiwaliśmy się przecież, chociaż szczerze tego żałuję, naturalnie!

- Wiesz, o co mi chodzi - w jej głosie zabrzmiała zdecydowana nuta.

- Tak, wiem. Moim zdaniem nie powinnaś podnosić tego tematu. Flora uzna, że to raczej... Że to dość prowincjonalne zachowanie, robić wielkie halo z czegoś takiego.

- Prowincjonalne?

- Prowincjonalne.

- Boże, jaka z niej snobka! - mruknęła Debbie.

- Snobka i osoba z innej epoki, ale nie sposób jej nie podziwiać. Moim zdaniem, to naprawdę świetna kobieta.

- Oczywiście, tyle że ciebie nie uważa za wulgarnego prowincjusza - powiedziała z naciskiem Debbie.

- No, taką mam nadzieję! I jestem przekonany, że ciebie też nie ocenia w ten sposób. Co będzie dalej w serialu opartym na przeżyciach Debbie Fielding?

- Nie mów tak! - zaprotestowała ostro.

- Przepraszam. Czy ty i Richard odejdziecie w dal, ze szkockim zachodem słońca w tle?

- Nie wiem - odparła bardzo smutnym głosem. - Cieszę się, że zadzwoniłeś, ale jestem potwornie zajęta, przykro mi.

To go zabolalo, naprawdę dotkliwie zabolalo. Zamierzał zaprosić ją na lunch, na drinka, wysłuchać jej zwierzeń, udzielić kilku rad. Wyglądało jednak na to, że rola doradcy Debbie, rola, która całkiem mu się podobała, już się skończyła. Debbie była potwornie zajęta, a on nie. W ogóle nie był zajęty...

- Oczywiście. Zadzwon, gdybyś miała ochotę pogadać, na dowolny temat. Na pewno mnie zastaniesz. Może w przyszłym tygodniu?

- Świetnie. Dziękuję ci, zadzwonię...

Simon wiedział jednak, że Debbie nie zatelefonuje. Nie do końca rozumiał dlaczego, czuł jednak, że coś się zmieniło. W zasadzie wszystko się zmieniło, cholera jasna...

- Co takiego?!

Ryk był tak donośny, że słycać go było na całym piętrze w redakcji.

- Ty pieprzony arogancki gówniarzu! Co ty sobie właściwie wyobrażasz, kurwa?! Nie ty decydujesz, jakie teksty masz pisać! Na dodatek zrobiłeś to wbrew mojemu wyraźnemu poleceniu! Mówiłem, że nie chcę żadnych cholernych artykułów o Lloyd'sie! Powtarzałem ci to bez końca!

- Wiem, Hugh, ale...

- Możesz się stąd wynosić, kapujesz?! Choćby dzisiaj! Już!

- W porządku, ale może przynajmniej przeczytałbyś parę akapitów, co ty na to?

- Nie, kurwa mać! Dlaczego miałbym czytać parę akapitów na temat, który od razu uśpi większość czytelników?!

- Wcale ich nie uśpi! To dobry materiał i bardzo ciekawa sprawa, wierz mi!

- A dlaczego miałbym ci wierzyć, kurwa?!

- Bo wyjdzie ci to na dobre! Dwa samobójstwa i oszust! I supermodelka! Na Bahamach!

Joel czuł, że mocno przesadził, lecz tylko takie argumenty mogły przekonać Hugh. Widział, jak zaciekawienie powoli bierze górę nad oburzeniem.

- Dobra, dawaj tekst, głupku! Tylko nie wyobrażaj sobie, że to skłoni mnie do zmiany zdania!

- Jasne... Proszę bardzo.

Wręczył Renwickowi kartkę. Naczelnny wyrwał mu ją z ręki, wpadł do swojego gabinetu i z hukiem zatrzasnął za sobą drzwi.

- Boże kochany - odezwała się drżącym głosem Suzy, która właśnie zmierzała do biura Joela.

\* \* \*

- Joel, to ja... Debbie.

- O, cześć!

- Jestem ciekawa, jak ci poszło. Zebrałeś materiały do artykułu?

- Tak, tak! Wszystko poszło doskonale, nagrałem całą kasetę.

- To świetnie... Gratuluję!

- Dziękuję.

Głos Joela brzmiał chłodno i dość obojętnie; Debbie zrobiło się niedobrze ze zdenerwowania. Czy to możliwe, że rozmawiała w tej chwili z tym samym Joelem, z którym poszła do łóżka i zaznała niesamowitej rozkoszy zaledwie... Ile? Siedemdziesiąt dwie godziny wcześniej? Lepiej jak najszybciej zakończyć tę rozmowę, pomyślała.

- Naprawdę bardzo się cieszę. Twój naczelny jest zainteresowany?

- Jeszcze nie wiem. Na razie wiele wskazuje, że raczej nie, oczywiście jeśli sądzić po tym, że wylał mnie z roboty.

- Wyrzucił cię?! Serio?!

- Tak, chyba powinienem się już pakować.

- Och, tak mi przykro!

- Jeszcze raz dziękuję, tym razem za wyrazy współczucia. Słuchaj, nie chcę być nieuprzejmy, ale w tej chwili mam tu urwanie głowy. Może później, dobrze?

- Oczywiście! Przepraszam...

- Nie ma za co! Do usłyszenia później.

Debbie nie pamiętała, kiedy ostatni raz czuła się tak kompletnie zgnębiona. Albo taka głupia... I nieszczęśliwa. Odłożyła słuchawkę i, zdecydowana w żadnym wypadku nie płakać, zajęła się notatką na temat mleczka samoopalającego. Niestety, szybko okazało się, że nie był to szczególnie skuteczny sposób odwrócenia uwagi od dręczącego ją problemu.

- Simon! Kto by pomyślał, że się tutaj spotkamy! Jak się masz? To Edward Trafford Smythe, bliski przyjaciel mojego zmarłego męża. Edwardzie, to Simon Beaumont...

- Miło mi pana poznać - odezwał się Trafford Smythe.

Był dość okrągutki, miał zdrowo zaróżowione policzki i koszulę w paski z białym kołnierzykiem. Kompletnie bezguście, jak powiedziałyby Annabel.

- Miło mi - powiedział Simon.

- Umówiłeś się tu z kimś? - zwróciła się do niego Flora. - Pewnie tak...



- Nie, byłem umówiony, ale moi towarzysze już sobie poszli. Maklerzy giełdowi! - Uśmiechnął się do Trafforda Smythe'a. - Mają przed sobą pracowite popołudnie, manipulują indeksem Dow Jones.

- Ach, tak!

- A my właśnie skończyliśmy drugie danie - włączyła się Flora. - Może przyłączysz się do nas, co? Nie masz nic przeciwko temu, Edwardzie?

- Nie, skądże znowu!

- Bardzo się cieszę - rzekł Simon. - Pozwólcie jednak, że jakoś się wkupię, najlepiej zamawiając następną butelkę wina, bo ta wygląda już na trochę zmęczoną. Wygląda mi pan na amatora klaretu, mam rację? - zapytał Trafforda.

Trafford Smythe oświadczył, że uwielbia klaret.

Flora rozpoczęła rozmowę o koniach. Trafford Smythe był wielkim entuzjastą wyścigów oraz właścicielem dwóch wyścigowych koni. Zanim druga butelka wina zniknęła (w dwóch trzecich pochłonięta przez gościa Flory), Trafford był już zrelaksowany i trochę zniekształcał sylaby, gdy zapraszał Simona do stajni, w której trzymał konie.

- Z przyjemnością przyjadę, dziękuję!

- A czym pan się zajmuje?

- Ja? Jestem bankierem. Pracuję w banku Graburn & French.

- Dobry bank! Jakoś radzi sobie mimo recesji?

- Raczej tak. Oczywiście nie jest łatwo, ale...

- Edward i mój mąż bardzo się przyjaźnili - przerwała Simonowi Flora. - Edward często zabierał Williama na wyścigi, prawda? I namówił mnie na zainwestowanie pieniędzy w Lloyd'sie, co staram się mu wybaczyć. Nie, poważnie, nie mam do ciebie żadnych pretensji, mój drogi.

- Ach, jest pan agentem Lloyd'sa? - Simon lekko uniósł brwi.

- Tak. Miał pan z nimi coś wspólnego?

- Nie, nie, jestem zbyt ostrożny!

- No, tak, w tej chwili sytuacja jest trochę skomplikowana, ale firma szybko się podniesie. Mówiłem właśnie Florze, że powinna nastawić się na przetrwanie i w żadnym razie się nie wycofywać. Mogłaby nawet podnieść wymienioną w umowie kwotę.

- Powiedziała Edwardowi, że to w ogóle nie wchodzi w grę, niestety! Że muszę sprzedać dom.

- Taka sytuacja w ogóle nie powinna zaistnieć - rzekł Trafford Smythe. - Lloyd's nie chce wyrzucać ludzi z domów na ulicę ani zmuszać ich do ogłoszenia bankructwa!

- Naprawdę? - zdziwił się Simon. - Cóż, Floro, może w takim razie wszystko będzie w porządku.

- Właśnie! - Trafford Smythe dźgnął palcem powietrze. - Na pewno dobrze byś zrobiła, gdybyś porozmawiała z Komisją ds. Sytuacji Trudnych i zorientowała się, co ci zasugerują!

- Spróbuję, oczywiście. Edward bardzo cierpliwie wyjaśniał mi pewne związane z Lloyd'sem kwestie, których ani w ząb nie rozumiem, wiesz, Simonie? Pytałam go właśnie, dlaczego mój największy syn-

dykat, Westfield Bradley, podobnie jak parę innych, ma dwa podsyndykaty morskie i dwa niemorskie, a nie po jednym z każdej grupy, jak cała reszta. Jak je nazwał, Edwardzie?

W porządku, pomyślał Simon, zaczynamy. Pomóż nam, Boże... Sięgnął do kieszeni na piersi i przycisnął guzik magnetofonu. Ćwiczył nagrywanie przez parę dni i nadal czuł się trochę jak James Bond. Zraz wszystko usłyszą, dowiedzą się, jak ludzie Lloyd's podstępnie oszukiwali swoich klientów. Flora była naprawdę genialna, idealnie to wszystko zaaranżowała. Trzeba przyznać, że świetnie radziła sobie w trudnych sytuacjach.

- Ach. - Trafford Smythe odchylił się do tyłu. - Masz na myśli tak zwane „małe” syndykaty? To był bardzo interesujący pomysł i w gruncie rzeczy bardzo prosty - małe syndykaty umożliwiają agentowi rozszerzenie pola działania bez rozmywania dochodów głównego syndykatu, a wszystko dzięki sprawnemu zarządzaniu.

- Tak? - zainteresował się Simon. - Wydawało mi się, że te małe syndykaty to trochę podejrzana sprawa.

- Nie, nic z tych rzeczy! Nie są podejrzane ani nielegalne. Gdyby tak było, nie miałbym z nimi nic wspólnego!

- Więc jak to możliwe, że oboje jesteśmy w tym samym syndykacie, ale ty zarobiłeś miliony, a ja bankrutuję? - spytała Flora. - W dalszym ciągu tego nie rozumiem. W jaki sposób można trafić do jednego z tych działów, które przynoszą solidne zyski?

- No, to już zależy od tego, gdzie na samym początku umieścił cię twój agent - rzekł Trafford Smythe. - Generalnie rzecz biorąc, powinien był odpowiednio rozłożyć ryzyko. W dużej grupie syndykatowej jest wiele poddziałów, czy jak tam je nazwiemy. Wygląda na to, że ty trafiłaś do jednej lub dwóch słabszych, niestety, i muszę przyznać, że najprawdopodobniej twoje ryzyko nie zostało odpowiednio ubezpieczone. Naturalnie namawiałem Williama, żeby wykupił polisę zabezpieczającą przed stratami, ale z jakiegoś powodu nie zrobił tego.

- Najwyraźniej źle zrozumiałem tę kwestię - wtrącił Simon. - Wydawało mi się, że starsi członkowie dbają o to, aby ich przyjaciele i krewni trafiali do zyskownych syndykatów, żeby wszyscy razem bezpiecznie siedzieli na tratwie, podczas gdy wszyscy inni idą na dno albo rozpaczliwie usiłują utrzymać się na powierzchni... Czy nie tak to wygląda?

No, dalej, powiedz: „Tak, czasami tak właśnie się dzieje”, pomyślał. Wykaż się czymś, panie Trafford Smythe, butelka tego wina kosztowała 27 funtów, na miłość boską!

- Nie - powiedział Trafford, patrząc Simonowi w oczy z wyraźną pogardą, nagle kompletnie trzeźwy. - Nie, to mit. Takie plotki puszczają w obieg ludzie, którzy nie potrafią pogodzić się ze stratami. Nie wiem, kto naopowiadał panu tych bzdur, panie Beaumont, ale ten ktoś nie był dobrze zorientowany albo świadomie wmówił panu oczywistą nieprawdę. No, muszę już pędzić. Dziękuję za wino, było bardzo dobre. I proszę pamiętać, że z przyjemnością pokażę panu moją stajnię, kiedy tylko pan zechce.

Długą chwilę patrzyli za nim w milczeniu.

- Przykro mi - odezwała się Flora.

- Niepotrzebnie - odparł Simon. - Nie żartuj, przecież to nie twoja wina! Byłaś wspaniała.

- Ty też. Cholera, co za okropny facet! Nie mogę uwierzyć, że to krewny Williama, choćby nawet najdalszy! Pospolity, nadęty bałwan! Nosi spinkę do krawata, widziałeś? Spinka do krawata, co za bezguscie!

- Nie widziałem! - Simon parsknął śmiechem. - Jesteś niewiarygodną snobką, moja droga!

- Wolę traktować to jako przestrzeganie pewnych zasad - powiedziała prawie surowo.

- Niech ci będzie! Napijmy się jeszcze, Floro, za zasady! Na szczęście to jeszcze nie koniec świata. Przebiegłe dranie, co? Nie chcą, żeby ludzie wyprzedawali domy, bo to przyczyni się do stworzenia ich negatywnego wizerunku w środkach masowego przekazu, woleliby też, żeby ich klienci nie bankrutowali, ponieważ wtedy nie zdołają wyciągnąć od nich więcej pieniędzy. Te wszystkie komisje powoływane są nie po to, aby pomóc klientowi, ale żeby zawrzeć z nim umowę, zgodnie z którą będzie spłacał zadłużenie ratami, z przyszłych zarobków. O, mój Boże.

Zamówili kawę i chwilę rozmawiali na inne tematy.

- Jeżeli... To znaczy, kiedy sprzedam już dom, będziesz musiał zabrać Boya - powiedziała nagle Flora, wyraźnie zażenowana. - Z Halem także będę musiała się rozstać, chociaż może na pewien czas przyjmie go jeden z moich znajomych. Tak mi przykro.

- Nie ma sprawy! - rzucił Simon. - Zastanawiałem się już, co zrobić z Boyem.

Tak naprawdę nie brał nawet pod uwagę takiej sytuacji. Perspektywa wyjawienia tego Tilly wydała mu się tak przerażająca, że aż łzy zapiekły go pod powiekami. Pośpiesznie wydmuchał nos i uśmiechnął się z trudem.

- Nie przejmuj się - powiedział. - Wymyślimy coś...

- Na pewno. - Flora obrzuciła go zaciekawionym spojrzeniem. - Czy ty kiedykolwiek bywasz przygnębiony, Simon?

- Niezbyt często. I bardzo dobrze, jak mi się wydaje!

Pewnie byli tak mili, jak tylko mogli, pomyślała Catherine, czyli niezbyt mili, ogólnie biorąc. Ale przynajmniej próbowali...

Lucinda pożyczyła jej swojego małego peugeota 204; dzięki temu Catherine dotarła na miejsce szybciej niż pociągiem, choć i tak podróż do Somerset trwała dość długo. Dzieci były zmęczone, spocone i kłótlive, i najchętniej pobiegałyby chwilę na świeżym powietrzu, ale Phyllis Morgan nie potrafiła tego zrozumieć.

- Posiedźcie tu spokojnie - powiedziała. - I napijcie się czegoś zimnego. Zrobiłam dla was lemoniadę, proszę bardzo! Napijesz się, Catherine?

- Bardzo chętnie! - odparła Catherine.

Jednak lemoniada była gorzkawa i zbyt ciepła. Catherine zauważyła, że Caroline przetyka napój z wyraźnym trudem i posłała córeczce pełne zrozumienia spojrzenie.

- Dudley niedługo będzie. Wraca specjalnie po to, żeby się z wami zobaczyć, mimo że jest potwornie zajęty!

- To bardzo miło - bąknęła Catherine.

- Szkoda, że nie grasz - oświadczyła Phyllis. - Gdybyś grała, łatwiej byłoby ci znaleźć nowych znajomych.

- Może zdołam się nauczyć...

- Mocno wątpię! Lekcje golfa są bardzo drogie!

Catherine nie miała cienia wątpliwości, że Phyllis wyznaczyła jej już miejsce w szeregu.

Lunch był średni, oględnie mówiąc. Dostali tłuste jagnięce kotlety, które dzieci zepchnęły na brzeg talerza.

- Mam nadzieję, że nie kapryszą przy jedzeniu - rzekł Dudley. - Kiedy ja byłem mały, musieliśmy siedzieć przy stole, dopóki wszystko nie znikło z półmisek! I jakoś nic mi się nie stało!

Często powtarzał podobne zdania, zupełnie jak mantry. Catherine często się zastanawiała, jakim cudem tym ludziom udało się wydać na świat jej ukochanego Fredericka.

Sprawę przeprowadzki omówili przy cieście z polewą karmelową, bardzo podobnym do tego, jakie zwykle podawano na stacjach benzynowych.

- Nie będzie to łatwe - powiedziała Phyllis. - Ale przedyskutowaliśmy to i doszliśmy do wniosku, że musimy zaproponować ci dom. Gdybyśmy tego nie zrobili, zachowalibyśmy się niehumanitarnie - jesteś żoną naszego syna, a to są nasze wnuki. Wszyscy nasi przyjaciele są pełni podziwu, że podjęliśmy taką decyzję.

- Tak, to bardzo, bardzo szlachetnie z waszej strony! - potwierdziła pośpiesznie Catherine.

- Możemy wyjść na dwór? - zapytała z nadzieją Caroline.

- Dopiero kiedy wam pozwolę, kochanie! Wracając do kwestii przeprowadzki, pomyśleliśmy, że można by przerobić część najwyższego piętra na coś w rodzaju mieszkania dla was. W ten sposób bylibyście praktycznie niezależni, nie chcemy przecież cały czas siedzieć sobie nawzajem na głowie.

- Świetnie! - ucieszyła się Catherine. - Czy byłaby tam kuchnia?

- Nie jako osobne pomieszczenie - rzekł Dudley. - Koszt zainstalowania wszystkich urządzeń byłby astronomiczny. Ale zainstalowalibyśmy tam małą gazową kuchenkę i zakątek, gdzie mogłabyś zagotować wodę w czajniku elektrycznym, zrobić sobie herbatę, i tak dalej. Będiesz mogła przygotować tam dzieciom śniadanie, podwieczorek i kolację, możesz też, oczywiście, swobodnie korzystać z naszej kuchni, naturalnie, jeśli odpowiednio wcześniej uprzedzisz o tym Phyllis...

- I oczywiście możesz jeść z nami, jeżeli chcesz - wtrąciła Phyllis. - Pomyśleliśmy jednak, że pewnie wołałabyś być samodzielna. W niedzielę możemy jeść lunch razem, jako rodzina.

- Byłoby miło...

- Dzieci mogą bawić się w ogrodzie, rzecz jasna, ale muszą traktować go z szacunkiem. Żadnych rowerów ani gry w piłkę nożną, młody człowieku!

- Możemy mieć tu huśtawkę? - zapytała Caroline.

- To chyba możliwe, jeśli znajdziemy jakieś stosunkowo mało widoczne miejsce. Pomyślę o tym.

- Dziękuję!

- Zakupy pewnie będziesz robiła sama - powiedziała Phyllis. - Wydzielę ci parę półek w jednej z lodówek, żeby nie było żadnych problemów. Rozumiem, że dostajesz jakiś zasiłek.

- Niewielki...

- I bardzo się cieszę, że masz samochód. Bez własnego środka transportu byłabyś tu trochę odcięta od świata!

- Och, to nie mój samochód! Pożyczyła mi przyjaciółka.

- To chyba bardzo bliska przyjaciółka - zauważył Dudley.

- Owszem. - Catherine z tęsknotą pomyślała o Lucindzie, kochanej i hojnej.

- No, nie wiem, jak poradzisz sobie bez wozu. Mamy tu autobus, jeździ jednak tylko dwa razy dziennie, rano i wieczorem.

- Mam... Mam nadzieję, że od czasu do czasu będziecie mogli mnie gdzieś podzucić. Albo mogłabym pożyczać jeden z waszych samochodów.

Na podjeździe stały trzy wozy - lśniący nowy jaguar, ford escort, też nowy, i starszy, trochę poobijany polo.

- Hmm... Może polo, chociaż zawsze wolimy mieć go pod ręką, tak na wszelki wypadek. Nie chciałabym, żebyś zabierała go na długo.

- A co będzie z dowożeniem dzieci do szkoły? - zapytała z rozpaczą Catherine. - Jak mam to robić?

Wszystko razem wyglądało gorzej, niż się spodziewała.

- A, tak... Szkoła! Jak napisałam ci w liście, jesteśmy gotowi pokrywać chesne. To mnóstwo pieniędzy, ale... No, mam nadzieję, że ten wydatek opłaci się w ostatecznym rozrachunku.

- Też mam taką nadzieję! To bardzo hojna propozycja, naprawdę dziękuję.

- I oczywiście chcielibyśmy mieć całkowitą kontrolę nad ich edukacją, decydować o wyborze szkół, i tak dalej. Zamierzamy mocno zaangażować się w ten proces i naturalnie nie życzymy sobie złych ocen. - Dudley rzucił dzieciom surowe spojrzenie.

- Oczywiście, ale ja także chciałabym mieć coś do powiedzenia w kwestii wyboru szkoły.

Dudley popatrzył na Catherine z lekkim zdziwieniem.

- Tak, to chyba zrozumiałe - rzekł po chwili namysłu. - Jednak Phyllis i ja omówiliśmy już tę sprawę i uważamy, że Freddie powinien pójść do szkoły z internatem.

- Do szkoły z internatem! - Nic nie przygotowało Catherine na ten wstrząs. - Jak to, od razu?!

- Od jesienno-semesteru. Niedaleko Shaftesbury jest doskonała szkoła podstawowa, to tylko jakieś czterdzieści kilometrów stąd. Jej uczniowie bez trudu dostają się do najlepszych szkół średnich w kraju. Pewnie Freddie będzie miał dużo do nadrobienia po tych wszystkich przejściach, nie wspominając już o

okresie w szkole państwowej... Odwiedziliśmy tę szkołę i wydaje nam się, że to doskonałe miejsce. Mogą przyjąć Freddiego, pod warunkiem że jego obecna szkoła wystawi mu dobre świadectwo.

- Ale ja nie chcę. - Catherine spojrzała na Freddiego, który był błydy z przerażenia. - Chwileczkę... Czy dzieci mogą wyjść do ogrodu i trochę się pobawić? Długo jechaliśmy, naprawdę muszą odrobinę się rozluźnić.

- Chyba tak... Nie podepczcie tylko grządek z kwiatami, dobrze? I nie wspinajcie się na drzewa!

- Nie chcę wysyłać Freddiego do szkoły z internatem, w każdym razie jeszcze nie teraz - powiedziała Catherine, kiedy dzieci wybiegły na zewnątrz. - Nie jest na to gotowy.

- Nonsens! Ma dziewięć lat, ja wyjechałem z domu w wieku siedmiu lat i nic mi się nie stało!

- Jednak Freddiemu mogłoby to zaszkodzić - odparła Catherine. - Dopiero co przeżył naprawdę trudne chwile w szkole.

- Ale to była szkoła państwowa! - przerwała jej Phyllis.

- To prawda, lecz szkoła prywatna w Fulham okazała się niewiele lepsza.

- Catherine, nie możesz bez przerwy chronić dzieci przed światem - pokręcił głową Dudley. - Freddie musi dorosnąć, nauczyć się radzić sobie w trudnych sytuacjach! A jeśli chodzi o Caroline, to osiem kilometrów stąd jest bardzo dobra szkoła prywatna dla dziewcząt.

- Właśnie, gdyby Freddie wyjechał, tęskniliby za sobą - powiedziała Catherine. - Zawsze byli razem i są ogromnie zżyci. Byliby bardzo nieszczęśliwi i...

- Bzdury! - rzucił Dudley. - Moim zdaniem połowa problemów Freddiego bierze się z tego, że chłopak nie ma męskiego wzorca w życiu! No, dobrze, zostawię was teraz, dziewczęta, żebyście spokojnie wszystko obgadały, bo muszę już wracać do biura. Do widzenia, Catherine! Możesz ustalić z Phyllis datę przeprowadzki, pamiętaj jednak, że prace remontowe potrwać będą ze dwa miesiące!

I już go nie było.

- Było okropnie! - powiedziała Catherine do Lucindy. - Nie mam pojęcia, co robić, naprawdę! Freddie bardzo się zdenerwował, ale nie mamy pieniędzy i musimy gdzieś mieszkać. O, Boże!

- Strasznie mi przykro - głos Lucindy był pełen współczucia. - Tak żałuję, że nie mogę wam pomóc. Ale nasz dom jest mały i...

- A właśnie, wydawało mi się, że macie się przeprowadzić?

- Och, daj spokój! Blue też tak uważa, wszyscy tak uważają. I przeprowadzimy się, oczywiście, ale... ale po urodzeniu dziecka.

- Dlaczego nie teraz? Byłoby wam łatwiej.

- Nie zaczynaj, Catherine! - Lucinda pociągnęła nosem. - Przepraszam, wczoraj wieczorem trochę się pokłóciliśmy. Blue naprawdę chce się przeprowadzić.

- A ty nie?

- To strasznie skomplikowane, nie potrafię ci tego wytłumaczyć.

# ROZDZIAŁ 36

*SIERPIEŃ 1990*

- Joel! - Hugh Renwick szybkim krokiem wszedł do biura.

Zasadniczo nie było źle, bo kiedy się śpieszył, miał do załatwienia coś ważnego.

- Skończ ten tekst i daj mi tę część, której jeszcze nie czytałem, ale całość ma mieć nie więcej niż tysiąc pięćset słów. Przeczytam i dopiero wtedy zdecyduję.

- W porządku, dzięki! Nie powinno mi to zająć dużo czasu!

Joel nie miał najmniejszego zamiaru powiedzieć naczelnemu, że skończył już artykuł.

- Mam nadzieję! - mruknął Renwick. - Jeżeli zdecyduję, że publikujemy, puścimy go w czwartkowym wydaniu, no, może piątkowym.

- Dobrze.

- Ale wcale nie jest powiedziane, że opublikujemy!

- Jasne.

- I muszę dostać go naprawdę szybko, więc nie opierdalaj się, dobra?

- Oczywiście, już się do niego biorę!

Joel zabrał tekst na wieczorną odprawę i oddał go Renwickowi pod koniec. Naczelnny przeczytał artykuł w skupionym milczeniu.

- Dobra, może być! Wepchniemy to do jutrzejszego wydania.

Do jutrzejszego wydania! Było lepiej, niż Joel się spodziewał. Oznaczało to, że tekst rzeczywiście spodobał się Renwickowi.

- Dzwoniłeś do Allinsona?

- Jeszcze nie.

- Więc zrób to jak najszybciej! I do Lloyd'sa! Musimy dać im szansę na udzielenie odpowiedzi.

- Oczywiście.

Renwick podniósł słuchawkę i zaraz znowu ją odłożył.

- Sam płaciłeś za ten wyjazd, tak? - zagadnął.

- Tak.

- A co byś zrobił, gdybym nie puścił tekstu?

- Pomyślałem, że może chciałby go ktoś inny.

- Arogancki z ciebie gówniarz, Strickland, wiesz? Tak czy inaczej, możesz przedstawić rachunek w księgowości, jeśli chcesz. Tylko za samolot i hotel, nic więcej!

- Dzięki!

- Następnym razem za taki numer wylecisz na pysk, zrozumiano?

- Zrozumiano.

Usłyszał w słuchawce akcent, który nie był mu już obcy.

- Hotel Ocean Hill.

- Dzień dobry. - Joel pośpiesznie zerknął na zegarek i dokonał szybkiego obliczenia. - Czy zastałem pana Allinsona? Jest gościem pana Bridgema.

Była pora lunchu; przy odrobinie szczęścia powinien złapać drania nad basenem, oczywiście jeśli nie wypłynął gdzieś na cały dzień jachtem.

Wydawało mu się, że upłynęła cała wieczność, chociaż w rzeczywistości było to najwyżej pięć minut. Dzięki Bogu, że za telefon płaciła redakcja „The News”.

- Halo, tu Timothy Allinson - usłyszał wreszcie Joel. - Kto mówi?

- Przepraszam, że przeszkadzam, panie Allinson. Mówi Joel Strickland z dziennika „The News”.

- Tak? O co chodzi?

- Dzwonię z pytaniem, czy zechce pan skomentować artykuł o Lloyd's, który publikujemy w naszej gazecie.

- Jaki artykuł?

- O bardzo poważnych problemach finansowych ludzi, którzy byli Nazwiskami, chociaż nie stać ich było na tak wielkie ryzyko.

- Dziwne... Nie bardzo wiem, o czym pan mówi! To kompletna bzdura, zapewniam pana! Nie wiem, jakie ma pan źródło informacji, ale...

- Sęk w tym, panie Allinson, że pewne informacje pochodzą bezpośrednio od pana, udzielił mi pan ich wczoraj, nad basenem. Wyjaśnił mi pan, w jaki sposób działają niektóre syndykaty i jak pan to działał w ich imieniu. Powiedział pan, na przykład, że przedstawiciele Lloyd'sa „obniżyli poprzeczkę”, jak pan ujął, rozmyślnie zapraszając ludzi z raczej skromnymi dochodami, aby zostali Nazwiskami, ponieważ firma potrzebowała dopływu pieniędzy. Inaczej Lloyd's nigdy nie poradziłby sobie z nakręcającą się spiralą roszczeń.

- Co pan wygaduje, do diabła?! Jak pan się nazywa?!

- Joel Strickland. O, przepraszam, panu przedstawiłem się jako Joel Sherlock. To jeden z moich pseudonimów. Rozumiem, że to trochę skomplikowane. Tak czy inaczej, przykro mi, że nie pamięta pan naszej rozmowy, ale mam wszystko na taśmie. Chce pan, żebym przeczytał, co pan mi powiedział? To naprawdę bardzo interesujące!

- Coś takiego! Oburzające! Jeżeli umieści pan moje wypowiedzi w swojej gazecie, podam pana do sądu!

- Ma pan do tego prawo. Czy chciałby pan może uzupełnić swoje wypowiedzi dodatkowymi komentarzami?

- W żadnym razie! Wszystko to zostało celowo zaaranżowane! Zawsze kierowałem się absolutną uczciwością zawodową i...



- Więc jest pan gotów zaprzeczyć własnemu stwierdzeniu, że chociaż wiedział pan, iż Lloyd's przechodzi zły okres, jak pan to określił, nadal zapraszał pan ludzi, aby zostali Nazwiskami?

- Nie mam panu nic więcej do powiedzenia! Ostrzegam tylko raz jeszcze, że w razie publikacji podam pana do sądu!

- Doskonale, zrozumiałem. Dziękuję, panie Allinson! Joel odłożył słuchawkę i uśmiechnął się.

- Za panią, panno Thompson - mruknął.

Musiał jeszcze zadzwonić do Lloyd'sa, zapewnić im możliwość odpowiedzi. A potem może jednak powinien zadzwonić do Debbie...

Ostatecznie zatelefonował do niej dopiero następnego dnia.

- Cześć, wszystko w porządku? - spytał.

Jego głos brzmiał teraz przyjaźniej, był cieplejszy i mniej roztargniony.

- Tak, w porządku... Dziękuję... Co... Co właściwie się stało? Chodzi mi o twój artykuł...

- Publikujemy go.

- Fantastycznie! Bardzo się cieszę! Kiedy? Więc jednak cię nie zwolnili?

- Nie, w każdym razie jeszcze nie... Tekst ukaże się jutro. Mąż wrócił?

- Tak... Tak, wrócił.

- I...

- Wszystko dobrze. No, tak dobrze, jak to możliwe.

- Doskonale.

Powiedzże coś, na miłość boską, pomyślała Debbie. Coś, co miałoby dla mnie jakieś znaczenie. Co mogłoby mi pomóc. Joel milczał.

- Jak było na Bahamach? Piękna pogoda?

- Tak, wspaniale. To przepiękne miejsce.

- Nie mogę się już doczekać, kiedy mi wszystko opowiesz.

W słuchawce zapanowała cisza. Debbie była bardziej przerażona niż kiedykolwiek wcześniej, bardziej niż tamtego wieczoru, kiedy Flora zastała ją i Simona w kuchni. Ogarnął ją okropny, paraliżujący lęk.

I wtedy znowu usłyszała jego głos. Powiedział, że tęskni za nią, że chce się z nią spotkać. Zapytał, kiedy byłoby to możliwe.

Odparła, że musi zajrzeć do terminarza i zaraz oddzwoni. Potem długo siedziała ze wzrokiem wbitym w telefon i zastanawiała się, co teraz zrobi.

Joel wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że wyciągnąłem mnóstwo cennych informacji od naszego przyjaciela Allinsona!

- Naprawdę? Dobra robota! Przyznał się do czegoś?

- Do tylu rzeczy, że wystarczyło ich na artykuł, który opublikujemy w jutrzejszym wydaniu...

- Doskonale! Warto było zainwestować w podróż, co?

- Jasne! Boże, robota jak w kamieniołomach - pięciogwiazdkowe hotele, fantastyczne żarcie, piękne kobiety.

- Żałuję, że nie pojechałem z tobą - rzekł ze śmiechem Simon.

- Podobałoby ci się. Tak czy inaczej, w każdej chwili możesz dostać taśmę z nagraniem, no, kopię taśmy. To, co mam, być może nie wystarczy, aby ci pomóc, nie w sądzie, ale mimo wszystko są to doskonałe informacje. Naprawdę zależy mi, żeby coś dla ciebie zrobić. Jestem twoim dłużnikiem!

- Świetnie... Miło, że tak się starasz, doceniam to, zwłaszcza że sam nie zdobyłem żadnych informacji i trochę mnie to przygnębiło. Masz coś rzeczywiście istotnego na tej taśmie, tak?

- Oczywiście. Nasz śliski kumpel Allinson gada o łatwych do przewidzenia stratach, z których Lloyd's zdawał sobie sprawę, o tym, że uznali, iż jedynym ratunkiem jest wciągnięcie do interesu jeszcze większej liczby ludzi i naturalnie zatajenie przed nimi niewygodnych faktów. To cenne nagranie, bez dwóch zdań!

- Niesamowite! Bardzo ci dziękuję, Joel! Dobry Boże, może jednak znalazłem dymiący pistolet.

- Słucham?

- Nasza bardzo atrakcyjna pani prawnik powiedziała, że jedynym rozwiązaniem jest znalezienie „dymiącego pistoletu”, czyli uzyskanie od kogoś zeznania, że cała sprawa była mocno podejrzana. To bardzo trudne zadanie.

- Cóż, ten pistolet na pewno jeszcze dymi! - uśmiechnął się Joel.

- I bardzo dobrze! Bóg zapłać, stary, kiedyś zaproszę cię na lunch twojego życia! Powiedz mi jeszcze, gdzie dokładnie byłeś. Kocham Bahamy. Parę lat temu mieszkałem w hotelu Cotton Bay Club, na wyspie Eleuthera. Było tam wspaniale, najlepsze warunki do żeglowania, jakie widziałem. Na dodatek bardzo romantycznie. Elizabeth i ja pojechaliśmy tam na nasz drugi miesiąc miodowy, a może trzeci? Nie mogę sobie przypomnieć - Simon parsknął śmiechem. - A, właśnie, może wyda ci się to zabawne. Zostałem oskarżony o romans z Debbie Fielding, przez jej męża...

- Tak, słyszałem - odparł bez zastanowienia Joel. Simon zmierzył go uważnym spojrzeniem.

- Myślałem, że nikt o tym nie wie. Kto ci powiedział?

- Och, nie pamiętam...

- Joel, daj spokój! To ważne, moja reputacja jest w niebezpieczeństwie, i tak dalej...

Joel milczał. Simon obserwował go długo, odczytując język jego ciała i powoli dochodząc do właściwych wniosków.

- Chyba nie Debbie, co? - zagadnął w końcu.

- Tak, Debbie - przyznał niechętnie Joel. Simon spokojnie przetrwał tę informację.

- Nie masz chyba romansu z Debbie?

- Nie, jasne, że nie. Na pewno nie jest to romans.

- Słuchaj, chłopcze, nie moja sprawa, ale ta dziewczyna to istny dynamit!

- Wiem. - Joel starał się nadać swemu głosowi ton lekkiego rozbawienia.

- Mówię poważnie! Debbie jest dość... Dość niebezpieczna. Nie sama z siebie, ale z powodu okoliczności. Jej małżeństwo nie jest szczęśliwe, a w niej kipią rozmaite emocje. Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że jest nieostrożna.

- Pewnie tak. - Joel przecesał włosy palcami. - Simon, nie moglibyśmy po prostu zapomnieć o tej części naszej rozmowy?

- Cóż... Wiem, że prawdopodobnie uważasz mnie za starego jak świat, ale... No, związki z mężatkami to nie najlepszy pomysł. Sprawdziłem to na sobie.

Joel zmarszczył brwi.

- Przepraszam cię, ale wolałbym o tym nie rozmawiać. Nie powiedziałem przecież nawet, że mam romans z Debbie, to był twój wniosek. Zostawmy to, dobrze?

Simon popatrzył na niego i z jego piersi wyrwało się ciężkie, pełne smutku westchnienie.

- Jasne. Musisz mieć jednak świadomość, że igrasz z ogniem, przepraszam za tak banalne porównanie.

- Nie zapomnę o tym - rzekł Joel.

Simon wyszedł niedługo potem, nagle pełen optymizmu. Nabral przekonania, że może jednak wygrać. Wygrają, Lloyd's dostanie za swoje, a on odzyska pracę, kupi nową zagłówkę, znajdzie stajnię dla Boya...

Tego wieczoru nie mógł zasnąć z podniecenia i zmusił ledwo żywą ze zmęczenia Elizabeth do wysłuchania wszystkiego, co powiedział mu Joel.

- Naprawdę sędzę, że szczęście chyba wreszcie zaczęło nam sprzyjać! Co o tym myślisz, skarbie?

- Myślę, że... - Elizabeth ziewnęła szeroko i pocałowała go. - Myślę, że powinieneś wysłać Joelowi Stricklandowi ogromną butelkę szampana.

Rankiem następnego dnia Simon zapukał do drzwi Catherine z wielkim bukietem białych róż.

- Simon, wejdz, proszę! Och, jakie śliczne! Bardzo dziękuję, ale...

- Chciałbym cię przeprosić - powiedział. - Za to, że cię zawiodłem. Że wpakowałem cię w taką nieprzyjemną sytuację. Czuję się okropnie.

- Nie wpakowałeś mnie w żadną sytuację! Dzięki tobie przeżyłam sześć miesięcy w doskonałych warunkach! Gdyby nie ty, byłabym teraz w znacznie gorszych kłopotach. Proszę, nie czuj się winny!

- Nic na to nie poradzę.

- Spróbuj! Wyglądasz bardzo elegancko, dokąd się wybierasz?

- Do restauracji Caprice, na lunch.

- Brzmi wspaniale.

- Przecież mnie znasz. - Uśmiechnął się szeroko. - Moje życie to cała seria wspaniałych wydarzeń!

- Na to wygląda. Z kim umówiłeś się na lunch?

- Z pewną dość przerażającą damą, do której mam sporą słabość. Ma autorytarne skłonności i dużo uroku.

- Podejrzane połączenie! - zaśmiała się.

- Powiedz mi, jak udało się spotkanie z twoimi teściami.

- Było okropnie!

I natychmiast uświadomiła sobie, że jeśli Simon pozna prawdę, będzie martwił się o nią jeszcze bardziej niż do tej pory, więc wzięła się w garść i zaczęła opowiadać o wyprawie do Somerset w możliwie zabawny sposób.

- Będę więc mieszkała na strychu, zupełnie jak żona pana Rochester.

- Raczej będziesz jak Jane Eyre! Dobry Boże, to rzeczywiście okropni ludzie!

- Och, nie jest tak źle! Nie są bez serca, i tak dalej! - Catherine z trudem przywołała uśmiech na twarz.

Simon uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Nie wyjeżdżaj do Somerset, nawet o tym nie myśl! - powiedział. - Za bardzo bym za tobą tęsknił! No, teraz muszę już lecieć, do zobaczenia!

Na progu pochylił się i pocałował ją.

- Dbaj o siebie - rzekł. - I pamiętaj, że jeśli będzie ci ciężko, zawsze możesz do mnie zadzwonić! Nie bardzo wiem, co właściwie mógłbym zrobić, ale na pewno jestem dobrym słuchaczem.

- Na pewno!

- A jeśli chodzi o tę przekłętą sprawę z Lloyd'em, to powiem jedno, dzięki niej zyskałem sporą grupę bardzo miłych nowych znajomych.

- Wszyscy możemy to powiedzieć! - uśmiechnęła się Catherine. - A ty jesteś najmilszym z moich nowych znajomych.

- Bóg zapłać za dobre słowo! I pocałował ją jeszcze raz.

\* \* \*

Fiona Broadhurst rzadko przyjmowała zaproszenia na lunch, ponieważ uważała, że znacznie lepiej wykorzysta czas, jeśli zostanie w pracy, ale Simon Beaumont bardzo naciskał i powtarzał, że musi coś z nią omówić. Włożyła więc na tę okazję czerwone pantofle i nowy czarny kostium od Armaniego, ze spódnicą nieco krótszą niż zwykle.

- Za naszą sprawę! - podniosła kieliszek i rozejrzała się dookoła.

Sala wydawała się pełna kobiet w czerwieni; Fiona była zadowolona, że zdecydowała się na czarny kostium.

- Tak jest! I dziękuję pani za dotychczasową pomoc. Mam chyba całkiem dobre wiadomości, choć nie tak dobre, jak się spodziewałem. Wczoraj przeżyłem spore rozczarowanie...

Opowiedział jej o lunchu z Florą i Edwardem Trafford Smythe'em, który, niestety, do niczego się nie przyznał.

- Nie dziwi mnie to - powiedziała Fiona. - Nikt z nich nie przyzna się do winy, w każdym razie nie świadomie, a już na pewno nie w obecności jednej z ofiar. Słyszał pan o zjednoczonym froncie, panie Beaumont?

- Mam na imię Simon.

- Dobrze... Słyszałeś o zjednoczonym froncie? Obawiam się, że żaden front nie był bardziej zjednoczony niż ten złożony z ludzi Lloyd'sa. Może przynajmniej lunch był dobry?

- Całkiem niezły. A teraz dobra wiadomość; mój przyjaciel, dziennikarz „News”, wydusił coś zbliżonego do przyznania się do winy z jednego z alfonsów Lloyd's.

- Nie polecałabym używania takich określeń w sądzie!

- Postaram się zapamiętać. Tak czy inaczej, nagrał to wszystko i...

- W jaki sposób zdobył nagranie?

- Zatrzymali się w tym samym hotelu i pewnego dnia po południu wdali się w niewinną pogawędkę nad basenem.

- Przedstawiciel Lloyd'sa wiedział, że jest nagrywany, tak?

- Nie. Oczywiście, że nie... Gdyby wiedział, pewnie w ogóle by się nie odezwał.

Fiona popatrzyła na niego uważnie.

- Sąd nie uzna takiego nagrania - oświadczyła.

- Dlaczego?

- Ponieważ istnieje ryzyko machinacji. Zastanów się nad tym. Simon poszedł za jej radą i jego dobry nastrój opadł w jednej chwili.

- Więc nic z tego nie będzie?

- Raczej nie.

- Szkoda - rzekł powoli. - A już myślałem, że znalazłem pistolet z jeszcze dymiącą lufą.

- Niestety. Wydaje mi się, że będzie musiał być znacznie większy i mocniej dymiący.

- Rozumiem - pokiwał głową.

Był blady i wyraźnie przygnębiony. Zrobiło się jej go żal.

- Ale to nagranie może nam się przydać! - powiedziała pośpiesznie. - Sąd odrzuci je jako dowód, lecz niewykluczone, że zgodzi się go posłuchać! I może właśnie to przeważy, pomoże sądowi podjąć korzystną dla nas decyzję, kto wie...

- Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że za wszelką cenę próbujesz mnie pocieszyć. - Uśmiechnął się lekko.

- Nie zajmuję się pocieszaniem ludzi, chyba że bezpośrednio wiąże się to z wygrywaniem ich spraw!

Do stolika podszedł szef sali.

- Telefon do pani, przy barze.

- Przepraszam cię, Simon! Czekam na ważną informację w sprawie toczącego się procesu. Zaraz wracam.

Kiedy rozmawiała przez telefon, przy stoliku Simona przystanąła jakaś kobieta i zaczęła z nim rozmawiać. Była bardzo wysoka, jasnowłosa, w kremowo-niebieskiej jedwabnej sukience i zakiecie; zdecydowanie wyróżniała się na tle biznesowych kostiumów. Gdy Fiona wracała od baru, kobieta schyliła się, szybko pocałowała Simona i odeszła. Wyglądało na to, że nie chciała, aby przedstawiał ją swojej towarzysze. Ciekawe...

Simon uśmiechnął się do Fiony i lekko podniósł się z krzesła. Był zaskakująco dobrze wychowany, odrobinę staroświecki, ale... Ale bardzo, bardzo miły.

- Świetny kostium - zauważył. - I pantofle.

Nalał jej jeszcze jednego drinka. Siedzieli dość długo, pogrążeni w rozmowie. Fiona szybko odkryła, że Simon jest niezwykle sympatycznym rozmówcą. Chociaż nigdy nie ujawniała klientom żadnych informacji o swoim życiu osobistym, to gdy o piętnastej trzydzieści opuszczali restaurację, Simon Beaumont wiedział o niej trochę więcej, niż byłaby gotowa mu powiedzieć. Blondynka wyszła wcześniej, po drodze do wyjścia uśmiechnęła się do nich.

- Dziękuję ci - rzekł Simon. - Było mi bardzo miło, naprawdę. Szczerze współczuję tym wszystkim facetom.

- Jakim facetom? - zapytała z uśmiechem, rozluźniona po dwóch kieliszkach szampana i jednym znakomitego białego wina.

Simon Beaumont z całą pewnością nie zachowywał się jak człowiek na progu bankructwa.

- Tym, którzy nie mają szans ożenić się z tobą. Naprawdę mi ich żal! Zarumieniła się gwałtownie.

- Za dużo gadałam.

- Wcale nie! Świetnie mi się z tobą rozmawiało, słowo!

Pocałował ją w policzek i z uśmiechem pomógł wsiąść do taksówki. Odjechała z przyjemnym uczuciem zadowolenia z życia, zastanawiając się, czy Simon wywiera taki wpływ na wszystkie kobiety. Trochę współczuła jego żonie, a może raczej była o nią odrobinę zazdrosna. Nie mogła się zdecydować, co właściwie czuje.

- Cześć, tato! Zmęczony, co? Zrobić ci drinka?

- Nie, kochanie! Dosyć już wypilem, jak na jeden dzień.

- Więc może szklankę wody mineralnej? Z lodem i cytryną? Chciałabym o czymś z tobą porozmawiać.

- Dobrze, będę w ogrodzie.

- Mama kazała powiedzieć ci, że wróci koło dziesiątej. Prosiła, żebyś zadzwonił do niej, jeśli chcesz.

- W porządku, zaraz zadzwonię. Elizabeth? To ja...

- Och, witaj! Miałeś dobry dzień?

- Tak, całkiem niezły. Opowiem ci później.

- Będę dosyć późno, niestety...

- Annabel mówiła, że koło dziesiątej!

- Raczej bliżej jedenastej. Odebrałaś moją wiadomość o domu?

- Nie.

- Aha... Więc ci Amerykanie wrócili z lepszą ofertą, dwa miliony dwieście. Pozwoliłoby nam to spłacić Lloyd'sa.

- Na ten rok...

Elizabeth westchnęła, zaraz jednak wróciła do równowagi. Simon usłyszał, jak znowu stara się być dzielna i pozytywnie nastawiona do życia.

- Tak czy inaczej, spłacilibyśmy Lloyd'sa na ten rok i moglibyśmy kupić całkiem ładny dom gdzieś w Fulham, na przykład...

- Oczywiście! Świetny pomysł. Więc...

- Byli też jacyś Arabowie.

- Taaak?

- Proponowali trochę mniej, ale ich agent zapewnił mnie, że mógłby podkręcić cenę. Co o tym sądzisz?

- Nie wiem. - Nagle poczuł się kompletnie wyczerpany. - Porozmawiamy o tym, kiedy wrócisz do domu, dobrze?

Annabel wyszła do ogrodu z lodem, cytryną i butelką wody mineralnej na tacy.

- Proszę bardzo - odezwała się z uśmiechem. - Pełny zestaw! Tato, rozmawiałam dziś z Jamiem. Chce przyjechać i zobaczyć się z tobą.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Chciałby formalnie poprosić cię o moją rękę, czy to nie miłe? Trochę staroświeckie, ale... ale bardzo miłe, prawda?

- Wcale nie staroświeckie - odparł Simon. - Chłopak ma dobre maniery, to proste.

- Oczywiście! - Uśmiechnęła się do niego. - On też tak mówi! Normalnie nie oświadczyłby mi się bez wcześniejszej rozmowy z tobą, ale sytuacja... sytuacja wymknęła nam się trochę spod kontroli... Krótko mówiąc, Jamie przyjedzie pod koniec miesiąca, tylko na parę dni, żeby z tobą porozmawiać i może ustalić parę spraw. Wiem, że oboje z mamą bardzo go polubicie, bo jest cudowny i taki kochany.

- Na pewno go polubimy.

- I jeszcze... To odrobinę trudna kwestia, delikatna, ale czy sądzisz, że będziecie sprzedawać ten dom?

- Myślę, że bez tego się nie obejdzie.

- Więc właśnie... Jamie mówi, że jego mama wystąpiła z pewną propozycją...

- Doprawdy? - Simon poczuł, że nie lubi Frances Cartwright. Więcej, że nie znosi jej z całego serca. I że teraz znieleubi ją jeszcze bardziej.

- Oczywiście decyzja należy do was, naprawdę! Naprawdę! Więc... Więc Frances proponuje, żebyśmy może pobrali się tam, u nich... Nie w Bostonie, ale na Cape Cod. Dom jest cudowny, nad samym morzem i od początku strasznie mi się podobał. Wokół domu jest duży ogród, w którym spokojnie zmieściłby się namiot, pod którym urządzilibyśmy bufet i... Chyba wiesz, że w ogóle nie brałabym pod uwagę takiej możliwości, gdybyśmy mogli zostać w naszym domu, ale skoro przeprowadzamy się do zdecydowanie mniejszego, to... Naprawdę, zawsze chciałam wziąć ślub tutaj i mieć weselne przyjęcie w domu, nie w jakimś okropnym wielkim hotelu, ale... Poza tym, tam pogoda jest zawsze łatwa do przewidzenia, a w Anglii...

- Ale tu jest twój dom, kochanie, Anglia jest twoim domem - przerwał córce, nie potrafiąc opanować zdenerwowania.

Zawsze z radością myślał o tym, jak poprowadzi Annabel środkową nawą starego kościoła w Chelsea, gdzie wszystkie ich dzieci zostały ochrzczone, a po ceremonii wrócą na przyjęcie do domu, do pięknego zielonego ogrodu z murami porośniętymi powojem, gdzie było mnóstwo miejsca na namiot. Zwykle wydawali przyjęcia właśnie tutaj i tutaj już na zawsze pozostanie duch długich, wspaniałych dni i ciepłych wieczorów, przesyconych zapachem kwiatów... Tu, w ich rodzinnym domu, powinny odbywać się wszystkie przyjęcia. Jednak teraz ograbiono go z tego wszystkiego, pozbawiono marzeń. Wkrótce w jego domu zamieszkają obcy ludzie, którzy nie mają i nie będą mieli żadnego prawa do tego miejsca, w każdym razie tak właśnie myślał i nic, zupełnie nic nie mógł na to poradzić. Teraz domem jego rodziny stanie się jakaś okropna, ciasna nora w Fulham. A córka, jego ukochana córka, weźmie ślub w obcym kraju, w domu ludzi, których nawet nie znał.

- Tato, nie zrobię tego, jeśli ten pomysł ci się nie podoba, naprawdę! Daję ci słowo honoru! Ale... Ale tam jest przepięknie i wiem, że tobie też spodoba się dom na Cape Cod i...

Annabel była zarumieniona, niespokojna, niepewna jego reakcji, zrobił więc ogromny wysiłek i uśmiechnął się do niej, podjął grę.

- Na pewno mi się spodoba - powiedział, siląc się na pogodny ton. - I jestem bardzo szczęśliwy, że pojawiła się taka możliwość, jeśli tego właśnie chcesz. Ale kto wie, gdzie będziemy mieszkać za... Za ile? Za mniej więcej dwa lata, prawda?

- Mniej więcej... Może trochę mniej, bo... Bo zastanawialiśmy się... W każdym razie ty i mama możecie porozmawiać o tym z Jamiem, kiedy do nas przyjedzie.

Nie wyjeżdżaj, pomyślał Simon, nie wyjeżdżaj, proszę. Nie wyprowadzaj się do Bostonu, nie wychodź za mąż na Cape Cod, zostań ze mną tutaj, w Anglii, w miejscu, które cię ukształtowało, gdzie żyją wszyscy twoi przyjaciele, wszyscy, którzy cię kochają.

Ale naturalnie nie powiedział ani jednej z tych rzeczy.



- Zapowiada się niezła zabawa! - Roześmiał się. - Chyba będziemy musieli wynająć jumbo jeta, żeby przewieźć wszystkich gości do Bostonu!

\* \* \*

Elizabeth wyszła z pracy o wiele później, niż się spodziewała. Kiedy dotarła do domu, dochodziła już północ, a zanim wreszcie wślizgnęła się do łóżka, Simon zasypiał.

- Przepraszam - szepnęła.

- Nic nie szkodzi.

Milczał tak długo, że była pewna, że zapadł w głęboki sen.

- Kocham cię, Elizabeth - powiedział nagle. - Bardzo cię kocham.

- Ja ciebie też.

Kochali się spokojnie, z ogromną czułością.

- Kocham cię - powtórzył potem Simon i zasnął, trzymając ją w ramionach.

A kiedy obudziła się rano, już go nie było.

## ROZDZIAŁ 37

*SIERPIEŃ 1990*

- Tata pojechał chyba popływać - powiedziała Elizabeth. - Wstał wcześniej, zostawił mi kartkę. Cieszę się, dobrze mu to robi... Bardzo brakowało mu żeglowania, a cała ta historia okropnie go zestresowała.

- Dokąd pojechał?

- Do klubu w Chichester. David Green miał pożyczyć mu żaglówkę. Tata mówił, że może nawet popłyną razem do Francji na jakieś dwa, trzy dni.

- Czy wczoraj, kiedy wróciłaś, tata wspominał ci coś o ślubie?

- O ślubie? - Elizabeth uśmiechnęła się na wspomnienie bardzo krótkiej rozmowy, jaką późnym wieczorem odbyli z Simonem. - Nie, nic mi nie wspominał. Czemu pytasz?

- Och, powiem ci kiedy indziej! Teraz muszę już lecieć, bo wczoraj spóźniłam się trochę i Marcia nie była zachwycona. Będziesz wieczorem?

- Chyba tak.

- Więc porozmawiamy wtedy! Pa, mamo!

- Elizabeth, planuję przyjęcie! - Peter Hargreaves wsunął głowę do pokoju. - Na początku przyszłego miesiąca, najlepiej w pierwszy czwartek! Zależy mi, żebyście wpadli oboje, co ty na to? Zapraszam paru dawnych klientów i garstkę najlepszych, wypróbowanych przyjaciół.

- Do których ja także się zaliczam?

- I ty, i Simon. Dlatego chciałbym jak najszybciej dowiedzieć się, czy twój mąż będzie mógł ci towarzyszyć.

- Oczywiście - odparła Elizabeth. - Simon jest na żagłowie, ale powinien wrócić pod koniec dnia. I obawiam się, że to raczej bardzo mało prawdopodobne, aby nie miał czasu! Naturalnie nie należy rozumieć tego tak, jak zabrzmiało - dodała z uśmiechem. - Chodzi mi o to, że nie będzie miał żadnych innych planów. Jego życie jest teraz trochę puste.

- Biedak - Peter się zawahał. - Ale ty wyglądasz na całkiem szczęśliwą.

- Bo jestem szczęśliwa! Bardziej niż przez ostatnich parę lat... Ten, kto powiedział, że pieniądze to nie wszystko, miał absolutną rację!

Zadzwoił telefon.

- Mamo? Mamo, to ja! Musisz kupić „News”, koniecznie! Jest tam artykuł Joela, z tatą w roli głównej, i panią Fielding, i tą biedną dziewczyną, której synek zaginął, i... No, Joel pisze prawie o wszystkich!

- Moja sekretarka ma „News”, chyba codziennie kupuje. Och, tak, mój Boże! Ciekawe, czy tata już to widział?

Szybko znalazła fragment dotyczący Simona: „Zajmujący wysokie stanowisko bankier z City, który stracił prawie wszystko, nawet pracę, mówi, że był zbyt łatwowski. Niektórzy powiedzieliby, że po prostu naiwny. Beaumont to szczęściarz, bo nadal ma piękną, świetnie zarabiającą żonę i zadowolone z życia dzieci. Inni mieli mniej szczęścia - ich małżeństwa porzypadały się na skutek stresu związanego z groźnym w każdej chwili bankructwem, koniecznością przeniesienia dzieci ze szkół prywatnych do państwowych i sprzedaży ukochanych rodzinnych domów. Słyszałem o kilku samobójstwach. Pewną starszą panią, która przekazała cały odziedziczony po ojcu majątek w ręce Lloyd'sa i niedawno odkryła, że nie jest w stanie spłacić długu, sąsiadka znalazła martwą obok gazowej kuchenki”.

- Floro, piszą o tobie w gazecie! - W głosie Colina brzmiało podniecenie. - Widziałas już dzisiejsze „Daily News”?

- Nie, nie widziałam - krótko odparła Flora, bardziej poruszona tym, że Colin bierze ją za czytelniczkę „Daily News”, niż faktem ukazania się artykułu o Lloyd'sie.

- Zaraz przeczytam ci ten fragment... „Wdowa, pani Flora Fielding, to jedna z osób, które muszą zmierzyć się z trudną przyszłością. Pani Fielding zapewne nie uniknie sprzedania swego pięknego osiemnastowiecznego domu, ponieważ inaczej nie zdoła spłacić długów. „Wydawało mi się, że firmą zarządzają dżentelmeni - mówi - i zaufałam im, co okazało się zwyczajnie głupie. Ten sam błąd popełniło również wiele innych osób, zmylonych wrażeniem, że mieliśmy szczęście dołączyć do dość ekskluzywnego klubu”.

- Dobry Boże - powiedziała Flora. - Muszę zaraz pojechać po tę gazetę!

Catherine, którą o ukazaniu się artykułu zawiadomiła Lucinda, wyszła po „News” z samego rana i zaraz potem oblała gazetę kawą, kiedy przeczytała o pięknej młodej wdowie (czyżby chodziło o nią?), zmuszonej do zabrania wrażliwego synka z prywatnej szkoły, gdzie czuł się znakomicie i osiągał świetne

wyniki, do innej, gdzie złe traktowanie ze strony innych uczniów skłoniło go do ucieczki z domu. Z jakiegoś powodu od razu zaczęła się zastanawiać, czy Nigel widział już tekst Joela Stricklanda.

Nigel przeczytał artykuł z samego rana, gazetę położyła na jego biurku ogromnie przywiązana do niego Lydia. Tekst bardzo mu się spodobał, był jednak głęboko wdzięczny losowi, że nie musiał w żaden sposób angażować się w jego powstanie. Wydawało mu się, że nie było to w najlepszym guście.

Lucinda była bardzo podekscytowana. Blue zadzwonił do niej do pracy i kazał natychmiast kupić egzemplarz „News”, czego Lucinda oczywiście nie musiała robić, ponieważ dział kontaktów z mediami codziennie zamawiał wszystkie gazety. Zajrzała do „News” i zatelefonowała do Blue.

- Piszą o tyłu naszych znajomych! Zauważyłeś, że opisali Catherine jako „piękną”? Jak to miło, zwłaszcza że ona naprawdę jest piękna!

Blue odparł, że dopatrywał się w tekście dwóch lub trzech nieścisłości, lecz ta niewątpliwie jest najpoważniejsza.

- Jesteś okropny! - powiedziała Lucinda.

- Nieprawda! Tylko szczerzy!

Debbie czytała artykuł po raz piąty, kiedy zadzwonił Richard.

- W „Daily News” jest tekst o Lloyd'sie - powiedział. - Piszą w nim o mojej matce.

- Naprawdę?

- Tak. Napisał go... Zaraz, jakiś Joel Strickland. Całkiem niezły artykuł... Nie znasz przypadkiem tego Stricklanda?

- Rozmawiałam z nim raz czy dwa.

- Doskonale przygotowany materiał! To ty skontaktowałaś tego Stricklanda z moją mamą?

- Nie, skądże znowu!

- W takim razie to Beaumont. Mama jest pod wrażeniem.

- Miło mi to słyszeć. Muszę... Muszę przejrzeć ten artykuł.

Przejrzała go, po raz szósty, a potem siódmy. Wreszcie postanowiła zadzwonić do Joela i pogratulować mu tekstu.

- Dzięki! Tak, jestem całkiem zadowolony. Czekam na telefon z Bahamów, od naszego przyjaciela.

- A, tak! Myślisz, że zadzwoni?

- Prawdopodobnie odezwie się do mnie jego adwokat.

- Może wytoczyć ci sprawę w sądzie?

- Nie, bo mam Allinsona na taśmie. Nie użyłem w tekście ani jednego słowa, którym by się nie posłużył.

- Och, to dobrze! Co na to Lloyd's?

- Oświadczyli tylko, że zawsze działali w dobrej wierze, to cały ich komentarz. Tak czy inaczej, cieszę się, że artykuł ci się podoba! Muszę lecieć, mam teraz nagle straszny natłok roboty! Do zobaczenia wkrótce.

- Mam nadzieję...

Nie powinna była tego mówić! Pewnie zrobiła z siebie idiotkę, żalostną, sentymentalną idiotkę!

- Niedługo się zobaczymy, obiecuję - powiedział Joel. - Zadzwoń do ciebie.

Więc może jednak nie wypadła aż tak żałośnie...

Odłożyła słuchawkę, wsunęła gazetę do torby i spróbowała skupić się na pracy.

Blue odwołał lunch z Lucindą.

- Przepraszam, Lucy, ale muszę trochę poryć w papierach! Nadrobimy to innego dnia!

- Świetnie...

Uśmiechnęła się do niego. Blue odpowiedział szerokim uśmiechem, podszedł do łóżka i pocałował ją.

- Kochasz mnie? - spytała.

- Jasne, przecież wiesz! Wczoraj wieczorem nie szczędziłem sił, żeby tego dowieść, pamiętasz?

Uśmiechnęła się znowu i wpełzła głębiej pod kołdrę. Jedną z dobrych stron tego, że Blue tak wcześnie wychodził do pracy było to, że później mogła spać jeszcze całą godzinę.

Ale teraz... Może teraz powinna skorzystać z okazji i umówić się na lunch z Simonem? Był mocno zagubiony, biedak. Brak pracy musiał być dla niego okropnym doświadczeniem. Postanowiła, że zadzwoni do niego zaraz po przyjściu do pracy, bo teraz było jednak trochę za wcześnie.

W biurze agentów ubezpieczeniowych Jenkins & Jenkins telefon dosłownie się urywał. Maurice Crane, jeden z dyrektorów, zdjął okulary, potarł powieki i pomyślał, że robi się już za stary na to wszystko. Był szczerze wdzięczny losowi, że do emerytury zostało mu tylko kilka miesięcy. Zerknął na zegarek i doszedł do wniosku, że może już jak zwykle wyjść po kanapkę z wołowiną.

Po drodze wstąpił do toalety. Kiedy pchnął drzwi, nagle zakręciło mu się w głowie. Wyciągnął rękę, przytrzymał się framugi i zaraz poczuł się lepiej. Zrobił dwa kroki do przodu, poślizgnął się na mokrej posadzce i ciężko runął na ziemię.

Znaleziono go po paru minutach, a pół godziny później leżał na wózku na izbie przyjęć oddziału pogotowia w szpitalu St Thomas. Po kwadransie dowiedział się, że ma pękniętą kość udową. Nogę umieszczono w gipsie. Odesłali go do domu karetką i poinformowano, że powrót do zdrowia potrwa parę tygodni.

Patrząc przez okno na swój skąpany w słońcu ogród, Maurice Crane uznał, że nie był to szczególnie okrutny cios ze strony losu.

- Debbie, tu Joel. Przepraszam za wcześniej.

- Nie szkodzi.

Chwilę wcześniej postanowiła skończyć to, co ją z nim łączyło. Było to zbyt niebezpieczne, zbyt nierozważne, zresztą Joelowi najwyraźniej wcale na niej nie zależało, i nic dziwnego.

- Co słychać?

- Wszystko w porządku, dziękuję. - Próbowała nie myśleć o tym, jak seksowny jest głos Joela.

- Co w domu?

- Och, nie najgorzej. Atmosfera trochę napięta, ale Richard naprawdę stara się być miły. Joel...

- Przepraszam... Słuchaj, nie wiem, kiedy moglibyśmy się zobaczyć, ale... Ale chciałbym się z tobą spotkać. To chyba jasne.

- Ja też bym chciała. Joel...

- Więc kiedy?

- No, nie wiem - zaczęła.

Dalej, Debbie, to najważniejszy moment, powiedz mu, powiedz mu, że nie ma sensu tego ciągnąć.

- W przyszłym tygodniu Richard znowu wyjeżdża do Walii - powiedziała. - Może wtedy. Flora ma jednak zaproszenie na jakąś rolniczą wystawę i chce, żebyśmy z nią poszli. Ekscytujące, prawda?

- Z tobą wszystko może być ekscytujące, Debbie. A więc spróbujemy w przyszłym tygodniu?

- Dobrze. To możliwe. Albo zdecydowanie bardzo możliwe, jak mówią w Walii.

Roześmiał się.

- Ładne! Dobrze, w przyszłym tygodniu, zdecydowanie bardzo możliwe.

Debbie stłumiła westchnienie. Może w przyszłym tygodniu zdoła jaśniej określić, czego właściwie chce.

- Nie rozmawiałaś dziś z Simonem?

- Nie. Czemu pytasz?

- Chciałem się z nim skontaktować, ale telefon w domu nie odpowiada. Mogłabyś poprosić go, żeby się do mnie odezwał, jeśli zatelefonuje do ciebie?

- Oczywiście...

- Cześć, Debbie! Do zobaczenia w przyszłym tygodniu!

- To zdecydowanie bardzo możliwe...

- Elizabeth? Tu Peter. - Telefon na biurku mrugał lampką sygnalizującą połączenie wewnętrzne. - Masz jakieś wiadomości od Simona?

- Nie... - Elizabeth spojrzała na zegarek i ściągnęła brwi. - Dziwne, że nie zadzwonił, dochodzi już piąta. Dam mu jeszcze pół godziny i zadzwonię do Klubu Żeglarskiego. Pewnie podpira bar i kompletnie zapomniał, że czas mija.

Kiedy wreszcie złapała Davida Greena, było już po szóstej.

- Przykro mi, Elizabeth, ale ten stary drań jeszcze się nie odezwał. Nie, ostatecznie wypłynął sam, miałem tu za dużo roboty. Próbowałem nawiązać z nim łączność radiową, lecz ta cholerna radiostacja chyba jest wyłączona albo zwyczajnie nie działa. Tak, naturalnie, zadzwonię do ciebie, kiedy tylko czegoś się dowiem. Słucham? Nie, nie zabrał komórki, powiedział, że żaglówka poszłaby na dno pod jej ciężarem. Słucham? Nie, pogoda jest całkiem, całkiem, po południu na kanale kołysało, ale dla Simona to betka. Dobry Boże, przecież ten facet żeglował całe życie.

Ten zwrot dręczył Elizabeth przez całą tę długą, straszną noc, aż do rana, kiedy to otrzymała wiadomość, że na wodach kanału znaleziono żaglówkę z opuszczonym żaglem, bez załogi.

Simon faktycznie żeglował całe życie. Całe życie, aż do chwili, gdy to życie nagle się skończyło.

## CZEŚĆ TRZECIA

### ROZDZIAŁ 38

*SIERPIEŃ 1990*

Elizabeth zawsze powtarzała, że byłaby w stanie znieść wszystko poza stratą dziecka, teraz jednak odkryła, że nie miała racji. Śmierci męża też nie potrafiła znieść.

Nie miała szansy na szczęście, spokój, przyjemność, nie mogła liczyć na ulgę w cierpieniu. Ból był tak dotkliwy, że czasami najzupełniej dosłownie z trudem chwytiała powietrze, zupełnie jakby było to uczucie fizyczne, umiejscowione gdzieś w ciele, a nie w sercu czy głowie.

Ciało (jak to możliwe, że jej błyskotliwie inteligentny, przystojny, uroczy mąż stał się nagle ciałem...) zostało wyrzucone przez fale na plażę w pobliżu Gravelines, na północ od Calais, po południu 26 sierpnia. Policja zidentyfikowała zwłoki, ponieważ w kieszeni dżinsów był paszport Simona.

Po trzech dniach, ciągnących się w nieskończoność, okropnych dniach, ciało Simona przewieziono do kostnicy w szpitalu w Kensington, gdzie Elizabeth miała je oficjalnie zidentyfikować. Przyjaciele wiedzieli już, co się stało, i czuwali na zmiany, tak aby Elizabeth dzień i noc mogła liczyć na natychmiastową pomoc.

Do kostnicy pojechał z nią David Green. Poproszono ich, aby usiedli w poczekalni. Po chwili drzwi otworzyły się i do środka wszedł nieznajomy mężczyzna.

- Robert Jeffries, z biura lekarza sądowego - przywitał się. - Chciałbym móc powiedzieć, że to ja wszystkim się zajmuję, ale, niestety, byłaby to nieprawda.

Elizabeth uśmiechnęła się uprzejmie, zdumiona, że mięśnie jej twarzy są zdolne do tak niezwykłego trudu.

Robert Jeffries wyjaśnił, że nie musi oglądać ciała - wystarczy, jeśli rozpozna Simona na podstawie wykonanych przez policję zdjęć.

Kiedy przyniesiono fotografie, wysiłek, jakiego wymagało podniesienie wzroku okazał się tak ogromny, że przez chwilę nie była w stanie go wykonać. A potem, chociaż było to przerażające i straszne, i ogarnęły ją mdłości, bo ciało było wzdęte i sztywne, wszystko razem okazało się łatwiejsze do zniesienia, niż sądziła, ponieważ to wcale nie był Simon. Wszystkie wyświechtane zwroty o pustej skorupie i oczywi-

stej nieobecności ducha znalazły potwierdzenie, i Elizabeth w jednej chwili pojęła, że były absolutnie prawdziwe.

To coś... To ciało na zdjęciach miało włosy Simona i jego twarz, mniej więcej jego twarz, ale nie miało nic, kompletnie nic wspólnego z ciepłym, uroczym, pełnym miłości mężczyzną, który był jej mężem. Więc naprawdę nie było to najgorsze doświadczenie, naprawdę.

Najgorsze było to, że nie wiedziała. Nie wiedziała, czy zdecydował się zabić, bo nie potrafił dłużej zmagać się z życiem, czy też był to wypadek i Simon wypadł za burzę, uderzony bomem. Oczywiście to ostatnie byłoby okropne, ale nie tak bardzo okropne, jak świadomość, że celowo odwrócił się plecami do niej, do nich wszystkich, uznając, że nie umieją zapewnić mu wystarczającego wsparcia i dodać odwagi do dalszej walki.

Elizabeth po prostu nie mogła uwierzyć, że Simon zrobił jej coś takiego, jej i ich dzieciom. Jej Simon nie potrafiłby zachować się wobec nich z tak strasznym, przemyślanym okrucieństwem.

Gdy poczuła się trochę lepiej, pan Jeffries zaprowadził ich do kawiarni na herbatę, na którą Elizabeth, ku własnemu zaskoczeniu, miała wielką ochotę i zapytał, czy zdaje sobie sprawę, że czeka ją jeszcze dochodzenie w sprawie przyczyny zgonu.

- Celem dochodzenia jest ustalenie tożsamości osoby zmarłej oraz czasu, miejsca i przyczyny śmierci. Biuro lekarza sądowego ma wykazać, w jaki sposób i kiedy zmarły rozstał się z życiem. W tym wypadku nie pojawia się kwestia przypisania komukolwiek winy, ważne jest, aby miała pani tego świadomość.

Elizabeth słabo kiwnęła głową i powiedziała, że ma świadomość.

- Dobrze... Moim zadaniem jest stwierdzenie raczej okoliczności śmierci niż przyczyny, która zostanie określona w wyniku sekcji, oraz przedstawienie dowodów w sądzie.

- Tak, rozumiem...

- Sekcję przeprowadzono we Francji. Jeżeli pani chce, mogę przedstawić pani szczegóły.

Powiedziała, że chce dowiedzieć się wszystkiego, niezależnie od tego, jak bardzo okaże się to bolesne.

Jeffries oświadczył, że nie ma podstaw do podejrzeń, że na pokładzie żaglówki doszło do jakiejś bójki czy coś takiego; nie stwierdzono żadnych obrażeń ciała, poza siniakiem i guzem z tyłu głowy. Simon został najprawdopodobniej uderzony przez bom, który strącił go do wody. Zmarły miał na sobie kamizelkę ratunkową, nienadmuchaną, ale Elizabeth wyjaśniła Jeffriesowi, że nie należy dopatrywać się w tym czegoś podejrzanego. Istnieją dwa rodzaje kamizelek: jedne, które wypełniają się powietrzem automatycznie, natychmiast po zetknięciu z wodą, i drugie, wymagające pociągnięcia za linkę.

- Sęk w tym, że te automatyczne kamizelki są niewygodne - dodała. - Dużo osób ich nie lubi, w specjalistycznej prasie często o nich dyskutowano.

Jeffries skinął głową i zanotował parę uwag.

- Badanie toksykologiczne wykazało obecność alkoholu we krwi, nieduży procent, odpowiadający dwóm lub trzem kieliszkom wina, oraz obecność środka przeciwbólowego - powiedział. - I w tym przypadku nic nadzwyczajnego, mogły to być dwie tabletki paracetamolu, nie więcej. Oczywiście w połączeniu z alkoholem mogło to mieć pewien wpływ na naturalne odruchy, refleks, i tak dalej. Czy pani mąż nie przyjmował regularnie żadnych innych leków? Jaki był stan jego zdrowia?

- Bardzo dobry - odparła. - Nie, nie przyjmował żadnych leków.

A stan psychiczny, chciał wiedzieć Jeffries. Czy Simon był z jakiegoś powodu przygnębiony? Elizabeth zaprzeczyła. Nie, nie był w depresji, miał jednak poważne problemy finansowe, bo stracił sporą sumę na rzecz Lloyd'sa oraz pracę i był bardzo zaniepokojony tą sytuacją.

- Ale się nie poddawał - ciągnęła. - Zamierzał wytoczyć Lloyd's sprawę sądową, walczył, taki już był.

- Na pewno. - Jeffries pokiwał głową.

Zapytał jeszcze, co Simon robił w przeddzień wyjazdu, czy widział się z kimś, kto mógł od niego usłyszeć coś ważnego, albo...

- Widywał się z wieloma osobami - wyjaśniła i zaproponowała, że przygotuje listę osób, z którymi mógł się kontaktować.

- Dziękuję, pani Beaumont, to duża pomoc. - Jeffries zawahał się na moment. - W takich sytuacjach rozmawiamy zwykle z lekarzem, dyrektorem banku, i tak dalej, więc prosiłbym o umieszczenie ich nazwisk na liście.

Elizabeth nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Jeffries uważa samobójstwo za bardzo prawdopodobne, co ją także zaczęło skłaniać ku tej myśli. Zaraz skarciła się jednak ostro - musiała wierzyć w Simona, w jego wolę walki i przewyciężenia wszelkich przeszkód, jakie życie mogło rzucić mu pod nogi. Ta niezwykła zdolność determinacji była chyba najbardziej rzucającą się w oczy cechą jego osobowości. Nie mogła dopuścić do siebie myśli, że mogło się to zmienić.

Na szczęście dzieci przyjęły jej punkt widzenia. Nie przychodziło im nawet do głowy, że ojciec mógł się targnąć na swoje życie, chociaż Annabel szalała z rozpacz, pełna obaw, że przez nią jego ostatnie godziny naznaczone były smutkiem.

- Gadałam i gadałam o moim głupim ślubie! Boże, jestem zapatrzoną w siebie kretynką!

Nie mogła przestać płakać. Elizabeth starała się pocieszyć córkę i rozwiać jej lęki. Zupełnie nie wiedziała, skąd miała tyle siły.

Początkowo wyglądało na to, że nic nie wpłynie na zmianę oficjalnej wersji, zgodnie z którą był to tragiczny wypadek, kiedy jednak bliżej poznali finansową sytuację Simona, nad głowami rodziny zaczęły gromadzić się ciemne chmury. Zadłużenie w Lloyd'sie i strata pracy uczyniły samobójstwo jeszcze bardziej prawdopodobnym. Zażądali oświadczeń od lekarza Simona, jego kolegów z pracy, przyjaciół i samej Elizabeth. Sporządziła listę wszystkich, z którymi się widywał i z którymi mógł się spotkać w ostatnich dniach życia.



- I zanim ośmieli się pan zapytać mnie o moje małżeństwo, powiem panu od razu, że było bardziej szczęśliwe niż kiedykolwiek wcześniej! - oświadczyła, skupiając wszystkie wrogie uczucia na niezwykle sympatycznym młodym mężczyźnie, który zadawał jej pytania.

Jednak jakaś przerażona i pełna wyrzutów sumienia część jej serca nadal czuła, że Simon mógł zdecydować, że ma już zupełnie dosyć, a w takim wypadku ona także byłaby winna jego śmierci.

## ROZDZIAŁ 39

*SIERPIEŃ 1990*

Wszyscy mówili później, że pogrzeb był wspaniały. Wiele osób powtarzało też, że na pewno podobałby się Simonowi. Elizabeth czerpała z tego pewną pociechę. Zorganizowanie uroczystości oderwało ją od smutku i rozpacz, które teraz wypełniały jej życie, dało jej cel działania. Postanowiła, że pogrzeb będzie tak barwny i tak różnorodny pod względem muzycznym, jak tylko się da.

Simon był zaprzysiężonym agnostykiem, ale zawsze lubił kościoły i z entuzjazmem zwiedzał wszystkie, jakie napotykał w czasie wakacyjnych wędrówek. Wprawiały go w zachwyt, i maleńkie wiejskie kościółki takich regionów jak Cotswolds oraz Sussex, i olbrzymie, sięgające nieba katedry Anglii i Francji. Uwielbiał niewielkie bielone kościoły greckich wysepek, połączone meczety Indii i bogato zdobione kopuły włoskich świątyń, ale największą sympatią i wręcz czułością darzył drewniane, zwieńczone blaszanymi dachami kościółki Bahamów i Key West.

Kochał też muzykę, chociaż czasem przepaszającym tonem przyznawał, że jest fanem popularnych oper (szczególnie *Cyganerii*, której arie zawsze doprowadzały go do łez) i popularnych kompozytorów.

- Niedługo przejdę do Mozarta - zwierzał się czasami Elizabeth. - Ale jeszcze przez rok posłucham sobie Beethovena...

Lubił śpiewać; jego dźwięczny baryton słyszeć było na koncertach kolęd i ślubach, a nawet na pogrzebach.

- Uważam, że powinniśmy naprawdę się dla nich postarać - powiedział kiedyś Elizabeth przed pogrzebem szkolnego kolegi, który zmarł na raka. - Facet zasługuje, żebyśmy dali z siebie wszystko, przecież to nasze ostatnie ziemskie spotkanie.

I dzielnie dośpiewał pieśń *Być pielgrzymem* do końca, chociaż łzy płynęły mu po twarzy.

Cenił muzykę słów, kochał poetów, Szekspira i, jak to określał, „odpowiednie słowa” Biblii w wersji opracowanej przez króla Jakuba. Cała trójka dzieci zgłosiła się na ochotnika do czytania tekstów Pisma Świętego, a Tilly, najbardziej utalentowana muzycznie z rodzeństwa, pomogła matce przygotować listę utworów. Nabożeństwo miało odbyć się w starym kościele w Chelsea i Elizabeth poświęciła wiele uwagi swojemu strojowi, chociaż chwilami wydawało jej się to zupełnie absurdalne. Mimo wszystko uznała, że jej wygląd ma pewne znaczenie, i że Simon też byłby tego zdania. Wybrała swoją ulubioną czerwień, ko-

lor, w którym Simonowi najbardziej się podobała - ciemnoczerwony żakiet do czarnej spódnicy i kamizeli, szpilki firmy Manolo, a do tego nowy kapelusz od Harveya Nicholasa, ze słomki, z szerokim rondem i owiniętymi wokół główki czarnymi piórami.

Zapytała dzieci, co chciałyby włożyć. Annabel odparła, że chętnie włożyłaby sukienkę z powiewnego szyfonu, którą kupiła z okazji wyjazdu do Ameryki.

- Tata na pewno by nie chciał, żebym wyglądała jak zmokła czarna kura - powiedziała.

Tilly wybrała prostą sukienkę z kremowego lnu, a Toby szkolny mundurak Eton.

- Był bardzo dumny, że dostałem się do tej szkoły - rzekł. - Cieszyłby się, że tak się ubrałem.

- Też tak uważam - kiwnęła głową Elizabeth.

Całkiem możliwe, że był to trochę dziwny wybór, ale jakie miało to znaczenie...

W przeddzień pogrzebu zasnęła w ogrodzie. Noc była piękna, powietrze duszne i aromatyczne, ponieważ przez Anglię przechodziła jedna z tak rzadkich fal upałów. Elizabeth ogarnął wielki niepokój, czuła, że nie zdoła zasnąć. Annabel wyszła z Florianem, który okazał się prawdziwą opoką („Chce przyjść na pogrzeb, nie przeszkadza ci to, mam?”), Toby i Tilly najpierw zjedli z nią lekką kolację, prawie w milczeniu, a teraz starali się rozerwać, oglądając nagrane na taśmę wideo odcinki serialu *Sąsiedzi* z ostatniego tygodnia. Simon często powtarzał, że ten serial posiada ogromny potencjał dobra.

- Bohaterowie siadają i dyskutują o ważnych dla nich sprawach, na dodatek wszyscy jeżdżą na rowerach w kaskach. Czego chcesz więcej?

Usiadła więc w ogrodzie pod kasztanem, patrzyła w niebo i myślała o Simonie, i o tym, że następnego dnia postara się go nie zawieść. I posłała modlitwę do Potężnej Istoty w górze, do Istoty, w którą raczej nie wierzyła, żeby wszystko poszło jak najlepiej.

Tam w środku jest mój mąż, pomyślała Elizabeth, nie odrywając wzroku od stojącej na katafalku trumny. Leży tam milczący i nieruchomy, jak nigdy za życia, i bezpowrotnie dla mnie stracony.

Na trumnie Simona leżały dwa bukiety - jeden z czerwonych róż, drugi z białych. Czerwony od niej, opasany wstęgą z napisem: „Z wyrazami miłości od Elizabeth”, biały od dzieci, z jeszcze bardziej znaczącym: „Kochamy Cię, Tatusiu”. Patrzyła na trumnę i patrzyła, bezskutecznie starając się obudzić w sobie jakieś uczucie, jakiegokolwiek. Przerazało ją to; powinna przecież szlochać, dawać wyraz nieutulonej rozpacz, a nie siedzieć spokojnie obok dzieci. Niepokoiła się trochę, że ludzie to zauważą i pomyślą, że jest zupełnie nieczuła.

Kościół zaczął powoli wypełniać się krewnymi, przyjaciółmi, znajomymi i kolegami z pracy. Przybyła duża grupa z banku Graburn & French, z prezesem Martinem Dudleyem na czele. W pierwszej chwili Elizabeth pomyślała, że Dudley wykazał się sporą odwagą, zaraz jednak uświadomiła sobie, jaki jest prawdziwy powód jego obecności na pogrzebie - Simon był tak lubiany i jego zwolnienie przyjęto z tak wielkim oburzeniem, że gdyby Dudley nie przyszedł, musiałby liczyć się z otwartym buntem pracowników. Sarah, zawsze chłodna sekretarka Simona, szczerze do niego przywiązana, miała oczy czerwone od łez.

Przyszli też prawie wszyscy z jej agencji. Peter Hargreaves i jego żona usiedli w ławce za Elizabeth; oboje uściskali ją serdecznie i, ku jej wielkiemu zdziwieniu, uklękli, żeby się pomodlić. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że są religijni. Kiedy rozejrzała się dookoła, zauważyła jednak, że wiele osób także modli się w skupieniu. Żałowała, że sama nie może szukać pocieszenia w modlitwie, Bogu oraz perspektywie wiecznego życia, że brakuje jej tej wiary, którą proboszcz tak wyraźnie jej przypisywał.

Wszyscy nowi przyjaciele, „przyjaciele z Lloyd'sa”, jak o nich myślała, też byli obecni. Obok George'a Meyera siedziała obdarzona rzucającą się w oczy pewnością siebie dziewczyna o prostych brązowych włosach, bez cienia makijażu. Może była to ta pani adwokat, która tak niepokoiła Elizabeth? Jeżeli tak, to niepokój był najzupełniej zbędny, bo młoda kobieta nie była w typie Simona. Był też Florian, kochany Florian, w ciemnym garniturze, z poskromionymi lokami, a także parę innych osób z salonu fryzjerskiego. Florian wspierał Annabel ze wszystkich sił, był przyjacielem na wagę złota, kto by pomyślał... W tym tygodniu Elizabeth dowiedziała się, jak nieprzewidywalni są ludzie. Trochę dalej siedział Neil Lawrence, biały jak kreda, i Flora, w szerokiej czarnej spódnicy, sznurowanych wysokich butach oraz tworzącym zaskakujący kontrast z czernią pięknym haftowanym żakiecie z jedwabiu w kolorze akwamaryny. Flora siedziała obok dwojga swoich starszych wnuków oraz Richarda i Debbie, która wyglądała po prostu fatalnie, blada i mizerna.

W kościele było jeszcze dwoje dzieci; Elizabeth początkowo nie mogła przypomnieć sobie, kim są, lecz w końcu uświadomiła sobie, że to dzieci Catherine, Catherine, której twarz była blada jak płótno. Dostrzegła też śliczną Lucinę, już w dość zaawansowanej ciąży, bardzo spokojną i nieruchomą, z ukochanym u boku. Jak on miał na imię? A, tak, Blue... Blue surowym spojrzeniem spod ściągniętych brwi wpatrywał się w ołtarz. W pobliżu siedział ten miły, całkiem przystojny dziennikarz, Joel jakiś tam i... Kim był ten wysoki, bardzo szczupły mężczyzna, który szedł środkiem nawy, nieco nerwowo rozglądając się w poszukiwaniu wolnego miejsca? Lucinda uniosła się, aby go przywitać, niepewnie zerkając przy tym na Blue, ale mężczyzna patrzył na Catherine, która uśmiechnęła się do niego i szepnęła dzieciom, żeby trochę się przesunęły.

Organy grały piękny, przepiękny utwór Händla, a później Bacha, słońce wlewało się do kościoła przez strzeliste okna, tworząc tak pogodną atmosferę, że przez jedną szaloną chwilę Elizabeth zastanawiała się, gdzie właściwie jest i co tu robi. Potem zeszytniała, bo w kościele zapanowała martwa cisza.

- Ja jestem Drogą, Prawdą i Życiem - rozległ się niski, głęboki głos proboszcza.

Annabel szlochała cicho, po policzkach Tilly płynęły wielkie łzy, a organy zagrały wybrany przez nią dla ojca hymn *Pan wszelkiej nadziei*.

Annabel miała czytać pierwsza, Psalm dwudziesty trzeci. Nie wiedziała, jak zdoła przebrnąć przez jeden wers, nie mówiąc już o dwudziestu. Matka trąciła ją lekko łokciem.

- Powodzenia, kochanie... - szepnęła cicho.

Annabel wstała, podeszła do pulpitu, popatrzyła na zgromadzonych, wzięła głęboki oddech i zaczęła czytać. Usłyszała, jak jej głos drży i załamuje się, i wtedy zobaczyła krótki, łagodny uśmiech na twarzy

Floriana, uśmiech przeznaczony specjalnie dla niej, i jakimś cudem wzięła się w garść, chociaż głos nadal jej dygotał. A gdy dotarła do słów: „I zamieszkać w domu Pana na wieki”, dobiegł ją czyjś bardzo cichy płacz i zdała sobie sprawę, że to ona płacze. Kiedy w końcu znowu usiadła obok matki, łzy płynęły jej po twarzy strumieniem, ale było to już nieważne, ponieważ zrobiła to, co musiała zrobić dla niej i dla ojca.

Catherine przez całe nabożeństwo mocno trzymała dzieci za ręce. Miała wielką potrzebę kontaktu z człowiekiem, bo w tym koszmarze rzeczywistość wydawała się całkowicie pozbawiona sensu. Zdawała sobie sprawę, że była odrobinę zakochana w Simonie, podobnie jak wiele innych kobiet, jednak nie z powodu dobroci, jaką jej okazał, ani nawet jego uroku osobistego i tej szczególnej umiejętności, dzięki której czuła się przy nim kimś ważnym. Nie, obdarzyła Simona zbliżonym do miłości uczuciem, bo był niezwykle istotą, której bliskość dawała radość. W jego obecności wszystko wydawało się przyjemniejsze, zabawniejsze, lepsze; wystarczyło po prostu, że był...

Z całego serca współczuła jego biednym dzieciom. Lepiej niż ktokolwiek inny wiedziała, co znaczy dla dzieci strata ojca. Dzieci Simona była starsze od Freddiego i Caroline, lecz nadal tak kruche i wrażliwe. Patrzyła, jak Toby, ubrany w absurdalnie tradycyjny mundurek Eton, podchodzi do pulpitu i z zaskakującą dojrzałością czyta tekst, który sama także wybrała na pogrzeb Fredericka, przepiękne kazanie kanonika Henry'ego Scotta-Hollanda *Śmierć to nic*. W skupieniu słuchała, jak ten poruszający, młody głos mówi im wszystkim to, co ojciec na pewno chciałby im przekazać, gdyby miał wybór: „Przeszedłem tylko na chwilę do sąsiedniego pokoju. Zawołajcie mnie moim dawnym imieniem”.

- O, Boże - szepnęła, usiłując ze wszystkich sił nie płakać z tęsknoty i żalu.

Nagle zauważyła, że Nigel patrzy na nią ponad głowami dzieci, z wielką troską malującą się na twarzy. Uśmiechnął się do niej leciutko, a ona odpowiedziała uśmiechem i zupełnie niespodziewanie poczuła się trochę lepiej.

Toby skończył czytać i nagle zrozumiał, że musi powiedzieć coś więcej.

- Pewnie wiele osób zastanawia się, dlaczego mam na sobie szkolny mundurek, chociaż są jeszcze wakacje - zaczął, biorąc głęboki oddech i zdobywając się nawet na słaby uśmiech. - Mój ojciec był bardzo dumny, że dostałem się do Eton i że podjąłem tam naukę. Wydaje mi się, że dzisiejszy dzień poświęcony jest temu, co było dla niego ważne, i dlatego pomyślałem, że chciałby, żebym włożył ten śmieszny uniform.

Wszyscy się uśmiechnęli, przez kościół przebiegła nawet fala cichego śmiechu. Toby wrócił do matki i wziął za rękę Tilly.

- Teraz ty - powiedział.

Potem siedział spokojnie, z pochyloną głową, a gdy organy znowu się odezwały, puścił dłoń siostry i chwycił rękę matki, i trzymał ją tak mocno, jakby nigdy nie zamierzał jej uwolnić. Gdy Tilly podniosła się z miejsca i stanęła za pulpitem, Toby przysunął się do Elizabeth, spojrzął na nią i uśmiechnął się, a później oparł głowę na jej ramieniu i trwał tak nieruchomo, chociaż był już całkiem dużym chłopcem.

Tilly czytała przepięknie, spokojnym, dźwięcznym głosem.

- To jest wiersz, który oboje z tatą bardzo lubiliśmy - zaczęła. - Napisał go Gerard Manley Hopkins, nosi tytuł *Niebo-Port*.

Flora słuchała ze wzruszeniem, myśląc o swojej przyjaźni z Simonem, przyjaźni, która stała się dla niej taka ważna. Myślała też, że Simon jest już „tam, gdzie nie ma burz i sztormów. Gdzie zielone fale kołyszą port jak morska huśtawka” i mimo smutku, żalu i łez, patrząc na pochyloną piękną głowę Elizabeth i mokrą twarz Annabel, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wszyscy doznali pewnej pociechy.

Nie zdołała jednak odpędzić obawy, że chociaż Simon walczył i nie chciał przyjąć do wiadomości porażki, to w końcu życie stało się dla niego nie do zniesienia. Ukryła ten lęk na samym dnie serca, świadoma, że wolałaby umrzeć, niż się do niego przyznać.

Wszyscy wstali, żeby zaśpiewać ostatni hymn *Jerusalem*, i gdy ograny znowu zalały kościół cudownymi, poruszającymi dźwiękami, Debbie poczuła, że chyba już nigdy nie przestanie płakać. Nie płakała tylko nad stratą Simona, przyjaciela, przewodnika i doradcy, którym był dla niej przez ostatnie dwa lata, ale także nad poprzednimi latami swego życia, niewinnie szczęśliwymi latami, nad okresem, który dobiegł końca, gdy go poznała. Teraz była zagubiona i przerażona i nie miała pojęcia, co ją czeka.

\* \* \*

Przy dźwiękach śpiewanej przez chór pieśni *Niech Bóg będzie ze mną* wyniesiono trumnę, za którą podążyła rodzina i najbliżsi przyjaciele. Oni mieli jeszcze przed sobą drogę do krematorium i straszne, ostatnie pożegnanie.

Joel, zaskoczony swoim smutkiem, przez całe nabożeństwo siedział z tyłu kościoła, odpowiednio daleko od Debbie i jej rodziny, czekając na moment, gdy będzie mógł wyjść. Nagle, zupełnie jakby była to najbardziej naturalna rzecz na świecie, organy zagrały ulubioną piosenkę Simona, *Twoją piosenkę* Eltona Johna. Wcześniej Joel pomyślałby pewnie, że zabrzmiałoby to niewłaściwie, nawet tanio, lecz okazało się, że melodia doskonale pasuje do tej chwili. Ludzie witali się z uśmiechem, mówili, że ceremonia była piękna i że Simon, którego znali, w dziwny sposób wrócił do nich na moment. Joel poczuł, że wcale nie ma ochoty uciekać i siedział spokojnie, zasluchany w muzykę, nie myśląc o niczym szczególnym. Gdy w końcu podniósł się i odwrócił w lewo, odkrył, że patrzy prosto w duże brązowe oczy Debbie. I wtedy zalała go potężna fala uczucia, uczucia do niej. Nie był pewny, czym ono właściwie było, dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że jest to połączenie miłości, czułości i troski, i chciał powiedzieć jej o tym, pokazać, co czuje, upewnić się, że ona go rozumie.

A Debbie, nie odrywając od niego wzroku, poczuła to, co miała poczuć, i przyjęła to do wiadomości. I uświadomiła sobie, oboje uświadomili sobie, że narodziło się między nimi coś nowego i ważnego i że ma to tylko niewielki związek z tym, co przydarzyło się im wcześniej.

Przyjęcie, na które Debbie poszła, a Joel nie, odbyło się w ogrodzie za domem i było naprawdę wspaniałe. Był szampan, było słońce, grał zespół jazzowy, ludzie rozmawiali, śmiali się i raczyli się opowieściami o Simonie. Nawet dzieci, uwolnione od formalnej atmosfery poranka i koszmarne widoku, jak trumna ich ojca znika za zasłonami w kaplicy krematorium, poczuły się trochę lepiej.

Tylko Elizabeth wciąż była tak samo nieszczęśliwa i zrozpaczona, ale kiedy ogród wypełniły wydłużone cienie, z satysfakcją pomyślała, że zrobiła wszystko, co było w jej mocy, i że Simon byłby zadowolony.

## ROZDZIAŁ 40

### *SIERPIEŃ 1990*

Morag Dunbar była ładną blondynką o niebieskich oczach, między czterdziestką i pięćdziesiątką, ubraną w jasnobłękitną bluzkę i sweterek, tweedową spódnicę i granatowe skórzane mokasyny, czyli dokładnie tak, jak Debbie się spodziewała.

- Nie potrafię wyrazić, jak bardzo się cieszę, że dołączycie do nas, razem z dziećmi, oczywiście! - powiedziała. - Alexandrowi chyba spodobała się szkoła, a ja nie wątpię, że on spodoba się w szkole! Doskonale, że gra w krykieta, bardzo nam się przyda! Jeśli chodzi o dziewczynki, to sugerowałabym szkołę Saint Margarets w Calderigg; to tylko niecałe piętnaście kilometrów stąd, a szkoła jest świetna i zapewnia naprawdę dobrą opiekę. Dobrze znam dyrektorkę i...

Debbie rzuciła błagalne spojrzenie Richardowi, który natychmiast zareagował, ku jej wielkiej uldze. Starał się ze wszystkich sił, musiała mu to przyznać.

- Sęk w tym, Morag, że Debbie ma w Londynie pracę i musi złożyć wypowiedzenie z odpowiednio długim wypowiedzeniem, nie chcemy też na razie podejmować decyzji w sprawie szkoły dziewczynek.

- Ach tak! - Twarz Morag przybrała surowy wyraz. - Myślałam, że już się zdecydowaliście, w każdym razie daliście mi do zrozumienia, że...

- Zdecydowałem się - przerwał jej Richard, uśmiechając się nieco nerwowo. - I na pewno tu zamieszkamy, tyle że Debbie i dzieci najprawdopodobniej dopiero od następnego semestru. Mogę przecież spędzić tu jeden semestr sam, a potem...

- To zdecydowanie gorsze rozwiązanie - oznajmiła Morag. - Potrzebna mi jest żona dyrektora szkoły, która mogłaby zapewnić dzieciom duchową i emocjonalną opiekę! Właśnie to byłoby pani rolą, pani Fielding.

- Debbie - uśmiechnęła się uprzejmie Debbie.

- Debbie... To byłoby twoim zadaniem, Debbie. Jestem pewna, że twoi szefowie rozumieją, iż powinnaś tu być od początku semestru. Semestr zaczyna się za trochę ponad miesiąc, więc to chyba dość czasu, żeby znaleźć kogoś na twoje miejsce. Czym się zajmujesz, Debbie? Twój mąż wspominał mi, co robisz, ale wyleciało mi to z głowy, przepraszam.

- Pracuję w dziale public relations.

- Naprawdę? Więc moglibyśmy zaproponować ci pracę dla naszej szkoły, bardzo potrzebujemy kogoś, kto stworzy i przedstawi jej odpowiedni wizerunek, bo tak się to chyba nazywa, prawda?

- Tak - powiedziała Debbie. - Tak, ale...

Nie ekscytuj się, Debbie! Nie wpadaj w agresywny ton, zachowaj spokój.

- Przykro mi, Morag - odezwał się Richard. - Obawiam się, że naprawdę musimy prosić o kilka miesięcy zwłoki, jeśli chodzi o moją żonę. Debbie ma nadzieję, że po przeprowadzce tutaj będzie mogła nadal pracować dla swojej firmy, internet na pewno jej to ułatwi, poza tym musimy sprzedać nasz dom, co byłoby szalenie skomplikowane na odległość, biorąc pod uwagę niepewną sytuację na rynku nieruchomości. Bardzo mi przykro... - uśmiechnął się do Morag. - To moja wina, nie zaplanowałem wszystkiego, niestety. Mamy jeszcze jeden problem - moja matka straciła wszystkie pieniądze zainwestowane w Lloyd's i musi sprzedać dom, dlatego uważamy, że jedno z nas powinno być teraz blisko niej.

- Naturalnie. - Morag pokiwała głową, najwyraźniej uznając ten ostatni powód za znacznie rozsądniejsze wytłumaczenie opóźnienia przyjazdu Debbie. - To okropne... Sama mam przyjaciół w takiej sytuacji, zresztą pewnie wszyscy znamy kogoś, kto padł ofiarą krachu. Cóż, nie jest to idealne rozwiązanie, ale podjęłam już decyzję. Moim zdaniem jesteś idealnym kandydatem na to stanowisko, Richardzie, i przedstawiciele zarządu zgadzają się ze mną. Będziemy musieli jakoś przebrnąć przez ten pierwszy semestr.

- Wspaniale! - Richard zaczerwienił się z ulgi i radości.

Uśmiechnął się do Debbie i nagle znowu wyglądał jak tamten młody Richard, młody i szczęśliwy, chłopak, w którym się zakochała. A potem odkochała...

Bardzo starała się nie myśleć o Joelu. Nie było to łatwe, bo właściwie myślała o nim przez cały czas, bez przerwy. Jednak... Jednak gdyby Richard dowiedział się o Joelu, oznaczałoby to koniec ich małżeństwa, z całą pewnością. A w tych okropnie smutnych, trudnych dniach po pogrzebie Simona zdała sobie sprawę, że może Richard i jest nudny, zrzędlawy i wymagający, może ostatnio kilka razy zachował się niewłaściwie, po prostu źle, ale w gruncie rzeczy jest dobry i uczciwy i kocha ją. Ona też go kochała, oczywiście, że tak...

Postanowiła więc, że będzie dobrą żoną i matką i zaplanuje swoje życie wokół Richarda i dzieci, co zasadniczo było proste, zwłaszcza teraz, gdy Richard tak bardzo się starał.

W dzienniku „Telegraph” ukazał się krótki tekst o pogrzebie Simona, przedstawiający go jako wybitną, niezwykle popularną postać City. Żona Maurice'a Crane Daphne przyniosła mu gazetę do ogrodu, gdzie siedział w słońcu, popijając kawę.

- Znałeś go, prawda? - spytała.

- Kogo?

- Simona Beaumonta.

- Tak. Załatwiał przez nas wszystkie swoje ubezpieczeniowe sprawy. Dlaczego pytasz? Coś mu się stało?

- Nie żyje - odparła Daphne. - Utonął, spadł z pokładu żagłówki. Maurice był wstrząśnięty. Wziął gazetę i trzy razy z rzędu przeczytał notatkę.

- Coś strasznego - odezwał się wreszcie. - Coś strasznego, słowo daję.

Przyszło mu do głowy, że może powinien skontaktować się z panią Beaumont, z którą raz czy dwa razy miał okazję rozmawiać, i złożyć jej kondolencje, ale w końcu doszedł jednak do wniosku, że lepiej tego nie robić.

Jamie przyleciał trzy tygodnie po pogrzebie.

- Tylko na parę dni, dobrze, mamó? Bardzo chciałabym go zobaczyć, pewnie trochę by mi to pomogło, a nie chcę wybierać się teraz do Bostonu.

Elizabeth odparła, że cieszy się z przyjazdu Jamiego, oczywiście, i że wszystkim im dobrze zrobi, gdy porozmawiają z kimś na zupełnie inne tematy. Uważała, że Jamie jest uroczy i darzyła go szczerą sympatią. Był też bardzo przystojny i doskonale wychowany. Uwielbiał Annabel i był wobec niej nieskończenie troskliwy i czuły, chociaż ona tak łatwo traciła teraz cierpliwość. Nie było w tym nic dziwnego - nie dość, że wszyscy czworo nadal pogrążeni byli w rozpacz, to jeszcze nie brakowało im powodów do zdenerwowania. Dochodzenie w sprawie przyczyny śmierci Simona miało potrwać kilka miesięcy, prowadzone głównie przez francuską policję, i zapowiadało się paskudnie. Niezależnie od ostatecznego wyroku...

Toby przeżywał to wszystko szczególnie mocno. Chodziło nie tylko o to, że ojciec być może popełnił samobójstwo, ale i o rysujące się wyraźnie zagrożenie, że wszyscy się o tym dowiedzą.

- Tata miał sporo powodów, aby zrobić coś takiego, prawda? Stracił pracę i mnóstwo pieniędzy.

- Tak, kochanie. Obawiam się, że tak.

- Ale to takie okropne! Takie... Takie tchórzliwe... I straszne dla nas... Niemożliwe, żeby o tym nie pomyślał!

- Na pewno o tym myślał - powiedziała Elizabeth. - I nie wierzę, że mógłby nas tak zranić! Tata był gotowy stawić czoło każdej sytuacji!

Tilly, oburzona samym podejrzeniem, powiedziała, że ojciec nigdy nie zrobiłby czegoś takiego, że był zbyt odważny, zbyt pogodny.

- Tata był po prostu szczęśliwy, nawet w tym całym koszmarze! Wszyscy o tym mówili!

Tak czy inaczej, dochodzenie w sprawie śmierci ojca i dla niej było ciężkim przeżyciem, a wkrótce czekał ją wyjazd do nowej szkoły.

Elizabeth planowała wrócić za tydzień do pracy. Zapytała dzieci, czy będą o niej bardzo źle myślały, czy wyda im się nieczuła, lecz cała trójka popatrzyła na nią tak, jakby oświadczyła, że zamierza wstąpić do klasztoru.

- Oczywiście że powinnaś wrócić, i to jak najszybciej - powiedziała Tilly. - Praca jest ci potrzebna, mamusiu, a ty jesteś potrzebna w pracy. Na pewno ci to pomoże!

I zapytała, czy, z tego samego powodu, mogłaby przed rozpoczęciem roku szkolnego pojechać na parę dni do Flory, pobyć trochę z Boyem. Elizabeth zgodziła się bez wahania, lecz z pewnym niepokojem, ponieważ przyszłość Boya rysowała się niejasno, co Tilly nie przyszło chyba na razie do głowy.

- Zawiozę cię tam w ten weekend - zaproponowała. - Sama też chciałabym zobaczyć się z Florą. Okazała się wierną przyjaciółką naszej rodziny.



Zależało jej, żeby osobiście powiedzieć o tym Florze, wobec której nie zawsze zachowywała się przyjaźnie.

- Wydaje mi się, że Annabel naprawdę lubi swoją pracę - powiedział Jamie do Elizabeth. - I lepiej się czuje, kiedy pracuje.

W jego głosie brzmiała nuta zdziwienia. Elizabeth uśmiechnęła się lekko.

- Pewnie uważasz, że to dziwaczne zajęcie dla tak inteligentnej dziewczyny. My też tak sądziliśmy, w każdym razie na początku, ale Annabel jest świetną fryzjerką i praca sprawia jej ogromną przyjemność, a to coś naprawdę wspaniałego, możesz mi wierzyć. Ludzie, którzy lubią swoją pracę, mają wielkie szczęście, nie sądzisz?

- Tak, pewnie tak. Jeśli chodzi o mnie, to... Prawo jest raczej suchą dziedziną, zresztą to tata kieruje firmą i mówi nam wszystkim, co mamy robić, więc...

- Rozumiem.

- Ale naprawdę się cieszę, że Annabel ma swoją pracę, skoro daje jej to radość! Hmm... Czy pani też tak bardzo lubiła pracować, kiedy była pani młoda?

- Tak, zresztą nadal lubię. Zaczęłam pracować bardzo wcześnie, miałam zaledwie dziewiętnaście lat. Podobnie jak Annabel, zdecydowałam, że nie pójdę na studia. Otrzymałam propozycję pracy w agencji, na stanowisku asystentki dyrektora, i wiedziałam, że pójdę wyżej, że dam z siebie wszystko, by zasłużyć na awans. W tamtych latach było to możliwe, teraz już nie, trzeba mieć dyplom wyższej uczelni, i tak dalej.

- No, tak... A... A kiedy urodziła pani Annabel?

- Miałam dwadzieścia jeden lat.

- I dalej pani pracowała?

- Tak, bo było to dla mnie ogromnie ważne. Czasami było bardzo ciężko Annabel i tamtym dwojgu młodszym także, ale ja byłam sobą i Simon był sobą, i żadne z nas nie chciało, żebym nagle stała się kimś innym. Praca była moją pasją, dobrze sobie radziłam i... Chcieliśmy żyć właśnie tak, nie inaczej.

- Tak, to jasne - ale z tonu Jamiego wynikało, że wcale nie jest to dla niego jasne.

- Wiem, że twoja mama nie pracowała.

- Nie, nigdy nie pracowała.

- A twoja siostra? Teraz spodziewa się dziecka, prawda?

- Tak, tak... I pewnie niedługo zrezygnuje z pracy. Będzie taka jak mama. Dana, moja bratowa, jest inna, trochę podobna do pani. Uwielbia swoją pracę, jest prawnikiem i odnosi spore sukcesy. Ale... Ale ten, no, zegar...

- Zegar biologiczny?

- Właśnie! Zegar biologiczny tyka, a ciąża Kathleen to dodatkowa presja... Bif będzie chciał, żeby Dana przestała pracować, kiedy zajdzie w ciążę, więc na razie starają się wypracować jakiś kompromis. Mama mówi, że Dana w końcu zrozumie, co jest dla niej ważne.

Jamie najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że jego słowa brzmią mocno ironicznie.

- Tak, to trudna kwestia... I naturalnie nikt nie ma gotowych rozwiązań! Każdy musi sam znaleźć właściwą drogę...

- Pewnie tak... Proszę pani, mama nadal bardzo chętnie urządziłaby nam przyjęcie zaręczynowe w Bostonie, żeby wszyscy nasi przyjaciele mogli poznać Annabel. Oczywiście nie teraz, może na Nowy Rok. I oczywiście bardzo serdecznie zaprasza panią, Tilly i Toby'ego. Nie może się już doczekać, kiedy was pozna.

- Ja także! Jednak w tej chwili trochę trudno mi o tym myśleć.

- Oczywiście, oczywiście... Zamierzałem porozmawiać o tym wszystkim z panem Beaumontem. Ale... Mam nadzieję, że jest pani zadowolona z naszych zaręczyn... I bardzo mi przykro, że nie poprosiłem pana Beaumonta wcześniej... Państwa obojga, naturalnie... Bardzo, bardzo kocham Annabel i przyrzekam, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby była szczęśliwa.

- Wiem, Jamie. I naturalnie jesteśmy... To znaczy, jestem...

Ile czasu musi upłynąć, zanim przestanie myśleć o sobie jako o sobie i Simonie, na miłość boską.

- Bardzo się cieszę z waszych zaręczyn. Muszę jednak powiedzieć, że moim zdaniem Annabel jest jeszcze bardzo młoda. Sądzę, że nie planujecie ślubu w najbliższej przyszłości, co?

- Nie, nie, skądże! Ale moja mama miała dwadzieścia lat, kiedy wyszła za tatę i uważa, że to wcale nie za wcześnie.

- Cóż, sama byłam ledwo o rok starsza, gdy brałam ślub! Nie wiem tylko, co myśli o tym Annabel, a przecież to jej zdanie liczy się najbardziej.

- Tak, wiem... Wydaje mi się, że Annabel nie ma nic przeciwko temu.

- To dobrze!

- Tak czy inaczej, obiecuję, że na razie jeszcze jej pani nie zabierzemy!

Ciekawe, dlaczego moje serce skuliło się nagle jak z zimna, pomyślała Elizabeth, ale po chwili już знаła odpowiedź na to pytanie. Wcale nie chodziło o to, że Annabel ma wyjechać na stałe do Bostonu, bo na to była przygotowana. Chodziło o wszechobecne w wypowiedziach Jamiego „my”. Naprawdę jej się nie podobało.

\* \* \*

Siedząc na werandzie domu swego ojca na Barbados, Felicity Parker Jones czytała wycinek z „Timesa”, który przysłał jej ktoś ze znajomych. Notatka dotyczyła śmierci znanego londyńskiego bankiera Simona Beaumonta.

- Co za szkoda, cholera jasna! - zakląła głośno.

Kiedy ojciec dołączył do niej, żeby zjeść śniadanie, pokazała mu artykuł.

- Dobry Boże - powiedział. - Biedak... Prawdziwa tragedia! Będzie ci go brakowało, prawda, Flick? Pod wieloma względami. Ha, będziesz musiała przyzwyczyać się do myśli, że już go nie ma.

- Rzeczywiście - kiwnęła głową Felicity.

# ROZDZIAŁ 41

*SIERPIEŃ - WRZESIEŃ 1990*

- Joel, idź sobie... Zostaw mnie, proszę!

Zjawił się w jej biurze tuż przed końcem pracy, z wielkim bukietem róż. Było to ogromnie romantyczne, jasne, ale bynajmniej nie pomogło jej wytrwać w podjętej decyzji.

- Zostaw mnie, proszę - powtórzyła słabo.

Za pierwszym razem czekał na ulicy i kiedy wyszła z budynku, przeżyła cudowne zaskoczenie.

- Joel!

- To ja! Dokąd możemy pójść?

- Nigdzie! Ja wracam do domu, jestem spóźniona i...

Spojrzała na niego, popatrzyła uważnie i już nie była w stanie mu się oprzeć.

- No, może na kawę albo coś takiego - powiedziała. - Ale tylko po to, żebym mogła ci wyjaśnić...

Starła się, naprawdę. Bardzo się starała. Wy tłumaczyła mu, że wstydzi się swojej słabości, ma wyrzuty sumienia.

- Źle zrobiłam, popełniłam okropny błąd.

- Ja tam wcale nie żałuję!

Westchnęła i zaczęła tłumaczyć, jak lojalnie wspierał ją Richard w sprawie wyjazdu do Szkocji, jak zaryzykował utratę pracy tylko po to, żeby dać jej więcej czasu.

- Naprawdę nie mogę dalej się z tobą widywać.

- Nie chcesz tego?

Zawahała się, a on natychmiast to wykorzystał.

- No, właśnie, sama widzisz!

- Przestań, proszę! Możliwe, że chcę, ale nie mogę... To był... To był tylko skok w bok, było cudownie, to prawda, ale...

- Ja też tak myślałem - powiedział. - Wmawiałem sobie, że to tylko jednorazowa sprawa, ale to nieprawda. Nie dla mnie. Wstrząsnęło mną to, bo jestem całkiem niezły w przelotnych romansach, miałem ich bez liku i nie myśl, że jestem z tego dumny. Jednak kiedy wróciłem z Bahamów, zrozumiałem, że ty więcej dla mnie znaczysz. Znacznie więcej. Wygląda na to, że naprawdę... Naprawdę mi na tobie zależy, Debbie. Prawie żałuję, że tak jest, bo gdyby mi na tobie nie zależało, życie byłoby o wiele łatwiejsze.

Debbie siedziała naprzeciwko niego, wpatrzona w jego ciemne oczy, i prawie nie mogła tego znieść, tak bardzo pragnęła być z nim i przyjąć wszystko, co jej proponował. Po chwili wzięła głęboki oddech i jeszcze raz spróbowała wytłumaczyć mu wszystko od początku. Najwyraźniej nie poszło jej zbyt dobrze, bo po dwóch dniach znowu przyszedł.

Catherine nie pamiętała, aby kiedykolwiek czuła się tak nieszczęśliwa. Oczywiście, że przynajmniej kilka razy w życiu była w rozpacz - kiedy Freddie uciekł z domu i po śmierci męża - ale tamte straszne wydarzenia nie wykluczyły jej z życia, jej samej, jako zdolnej do działania i podejmowania decyzji istoty ludzkiej. Teraz nie mogła oprzeć się wrażeniu, że znalazła się we władzy Morganów i po prostu musiała robić to, co jej kazali, ponieważ nie miała wyboru. Ten przymus obejmował wszystkie dziedziny życia, włącznie z tym, co jedzą, o której mogą wyjść z domu i do której szkoły pójść dzieci. Było to przerażające; Catherine czuła się jak zaprogramowany automat.

Wygrała jedną bitwę, tę o szkołę dla Freddiego; powiedziała, że nie zgadza się, aby zamieszkał w internacie, że Frederick był zdecydowanie przeciwny takiemu rozwiązaniu, że nienawidził własnej szkoły, ponieważ był tam terroryzowany przez starszych chłopców.

- Nonsens! - odparł Dudley. - Był szczęśliwy jak skowronek, nigdy się nie skarżył!

- Nie! - zaprotestowała Catherine, ośmielona siłą własnych uczuć. - Frederick mówił mi o tym, ale zawsze uważał, że nie może powiedzieć tobie, za bardzo się wstydził!

Osiągnęli więc kompromis - Freddie miał pójść do szkoły z internatem, z której wracałby do domu na weekendy, ale dopiero „w przyszłym roku”. Morganowie bardzo protekcjonalnie odnieśli się jednak do wyjaśnień Catherine i nie ukrywali, że uważają ją za osobę naiwną.

Szkoła Caroline wydawała się całkiem znośna - pełna nadmiernie pewnych siebie małych dziewczynek, z których chyba każda miała własnego kucyka. Mimo to wszystkie bardzo przyjaźnie potraktowały Caroline na podwieczorku z okazji rozpoczęcia roku szkolnego.

Termin przeprowadzki ustalili na 10 września; dzieci rozpoczynały naukę tydzień później. Catherine pojechała z Phyllis na wyprzedaz szkolnych mundurków i w milczeniu patrzyła, jak teściowa kupuje wszystkie rzeczy dla Caroline za duże o rozmiar.

- Posłużą jej dłużej - wyjaśniła. - Mundurki są bardzo drogie, pewnie nie zdajesz sobie z tego sprawy.

Prace remontowe w ich „mieszkanu” ograniczyły się do wstawienia kuchenki gazowej z dwoma palnikami oraz umywalki w bardzo ciasnej łazience.

- Wanę zostawimy, bo może później będziemy chcieli wrócić do dawnego rozkładu pomieszczeń - oświadczyła Phyllis. - Dudley proponuje, żeby przykryć ją jakimś blatem, wtedy miałabyś tu coś w rodzaju stołu do przygotowywania posiłków! Doskonały pomysł, prawda?

W toalecie zainstalowali małe prysznic.

- Zaoszczędzimy na hydrauliku - rzekł Dudley.

Dzieci dostały dwa małe pokoiki, uzyskane przez przedzielenie jednego dużego, a sypialnia Catherine była chyba jeszcze mniejsza, z pojedynczym łóżkiem. Catherine była pewna, że już nigdy nie będzie potrzebowała podwójnego, małżeńskiego łóżka, ale teraz poczuła się brutalnie spisana na straty i powiedziała o tym Lucindzie.

- Boisz się przeprowadzki, prawda? - westchnęła Lucinda. - Biedna Catherine.

- Nie, nie boję się - odparła Catherine, świadoma, że jeśli raz zacznie opowiadać o swoich smutkach, to nigdy nie skończy. - Trochę się niepokoję, nic więcej. Z drugiej strony... Cóż, miło będzie przestać rozpaczliwie martwić się o pieniądze, poza tym dzieci trafią do dobrych szkół. I na pewno szybko znajdę tam nowych przyjaciół.

Usłyszała głuchą nutę w swoim głosie i pomyślała o innych matkach ze szkoły Caroline, noszących się w sportowym, lecz eleganckim stylu, wykrzykujących do siebie uwagi na temat obozów klubu jeździeckiego oraz zawodów sportowych. Gdzie ona znajdzie tam nowe przyjaciółki, na miłość boską!

- Musisz jak najczęściej przyjeżdżać do nas na cały dzień - powiedziała Lucinda. - O, Boże, będzie mi ciebie brakowało.

- Mnie ciebie także. Wiesz, dużo myślałam o Simonie. Sądzisz, że zrobił to celowo?

- Nie wiem. Ale to możliwe. Nie stracił przecież tylko pieniędzy, stracił też stanowisko i pracę, musiał widzieć przyszłość w dość ciemnych barwach.

- Tak, ale Simon był optymistą, i to do samego końca! Mam nadzieję, że jednak był to wypadek. Co za straszna tragedia.

Elizabeth spędziła długie, męczące popołudnie w kancelarii prawniczej. Fakty były przerażające. Myślała, że skoro Simon wycofał się z Lloyd'sa zaraz po pojawieniu się pierwszych problemów, jego zobowiązania wobec firmy zostaną wkrótce umorzone.

- Obawiam się, że wygląda to inaczej, Elizabeth - powiedział łagodnie John Fraser, ich adwokat. - Rezygnacja zwalnia tylko z inwestowania w nowe przedsięwzięcia. Zobowiązania z już podjętych inwestycji trwają nadal.

Chwilę patrzyła na niego, szczerze przestraszona.

- Więc sprzedamy... Sprzedam dom, oddam Lloyd'sowi pieniądze i wszystko, na czym mogą położyć łapę, ale nic się nie zmieni, i za dziesięć lat dalej będą ściągać ze mnie pieniądze, tak?

- Niestety... Wielka szkoda, że Simon wystawił gwarancję bankową na wasz dom, bo ludzie z Lloyd'sa zwykle nie domagają się sprzedania miejsca, w którym zamieszkuje inwestor.

- Szkoda, rzeczywiście. Simon zrobił jednak głupią inwestycję, w działki budowlane za granicą. Boże! Krótko mówiąc, niezależnie od tego, co zrobię i ile zarobię, będą mogli żądać ode mnie pieniędzy tak długo, jak zechcą?

- Nie aż tak. Długi nie przechodzą na ciebie osobiście, ale ponieważ dziedziczysz majątek Simona, mogą zabrać wszystko, co wchodzi w jego skład.

Elizabeth ogarnęły nagle mdłości.

- Dobrze się czujesz, moja droga?

- Tak, tak, wszystko w porządku. Przepraszam...

- Nie przepraszaj, na miłość boską! Może trochę wody? Napełnił jej szklanekę. Przelknęła parę łyków i mdłości minęły.

- Mów dalej - poprosiła. - Już mi lepiej.

- Dobrze... Teraz przejdziemy do dobrych wiadomości. Wszystko, co zarobisz, należy do ciebie i Lloyd's nie ma prawa zgłaszać do tego żadnych roszczeń. Poza tym są dwie spore sumy, na których nie mogą położyć łapy.

- Naprawdę? Jakie?

- Przysługuje ci renta po mężu z banku.

- Ale oni wyrzucili Simona!

- Nie szkodzi. Zgodnie z prawem mają wypłacać ci rentę.

- Dobry Boże... Ile to może być?

- Koło trzydziestu tysięcy funtów rocznie.

- Jesteś pewny? Zupełnie pewny?

- Zupełnie. Druga suma, która prawnie ci się należy, jest naprawdę znacząca.

- O co chodzi? - Znowu zrobiło jej się niedobrze.

- To osobista polisa na życie Simona, zapisana na ciebie.

- Boże... Jaka to kwota?

- Dwieście pięćdziesiąt tysięcy funtów, wolne od opodatkowania. Mam nadzieję, że to uwolni cię od koszmarów nocnych, może przynajmniej części z nich. Rozpacz po stracie najbliższej osoby to straszna rzecz, nie trzeba dodawać do niej trosk finansowych.

Wróciła do domu z uczuciem dziwnego zagubienia. Od razu poszła na górę do sypialni, zdjęła żakiet i wyciągnęła się na łóżku.

Doznała ogromnej ulgi, oczywiście, ponieważ otrzymane informacje znaczyły, że dalej będą całkiem wygodnie żyli. Z drugiej strony wszystko to razem oznaczało, że Simon był znacznie więcej wart martwy niż żywy. A to z kolei znaczyło, że...

- Och, kochany - powiedziała głośno, patrząc na zdjęcie męża, swoje ulubione.

Simon stał na pokładzie „Lizzie”, wiatr rozwiewał mu włosy, a twarz promieniała tym cudownym, zaraźliwym uśmiechem.

- Och, kochany, nie trzeba było. Naprawdę nie trzeba było...

# ROZDZIAŁ 42

*SIERPIEŃ - WRZESIEŃ 1990*

- Kochanie, wyglądasz wspaniale, po prostu kwitniesz! Świetna fryzura! Siadaj, siadaj, pozwól, że coś dla ciebie zamówię. Czy... Czy w tym stanie możesz?

- Tak, mogę, i to ja stawiam. Szampan?

- Szampan, skarbie! Chętnie napiję się jakiegoś dobrego, może zamówimy małą butelkę Bolly. I nie będę się z tobą wyklócał, kto stawia, chociaż jako prawdziwy angielski dżentelmen powinienem się uprzeć.

Po chwili kelner przyniósł półlitrową butelkę szampana Bollinger w wiaderku z lodem.

- Nie ma to jak Ritz, co? - rzekł z uśmiechem Virgil. - Czasami zapominam, jaki to niezwykły hotel. Naturalnie, my mamy Plażę, ale to jednak nie ta liga. Sam wolę hotel Pierre albo Carlyle, za którym przepadał Kennedy, bo taki stylowy.

- Och, tak bym chciała wybrać się do Nowego Jorku! - powiedziała Lucinda z żalem.

Czuła, że w tej chwili jej życie pozbawione jest stylu. Popatrzyła na Virgila, ubranego w jasnoniebieską lnianą koszulę oraz czarny lniany garnitur, na jego perfekcyjnie ostrzyżone czarne włosy, i doszła do wniosku, że jest symbolem dobrego stylu.

- Przyjedź, skarbie, na pewno będziesz zachwycona! A Nowy Jork zachwyci się tobą.

- No, może nie teraz! - Lucinda lekko poklepała się po brzuchu.

- Słusznie. Szczerze ci gratuluję, kochanie! Czy... Czy Nigel...

- Nie - zdecydowanym tonem odparła Lucinda. - Mam nowego... Och, jak mam go nazwać?

- Ukochanego?

- Więcej niż ukochanego. Narzeczonego.

- Cudownie! Jak do tego doszło?

- Po prostu... Po prostu go poznałam - powiedziała. - I zakochałam się.

- Cudnie, skarbie! Czy twój wybrany też jest typowym angielskim dżentelmenem?

- Nie... Pochodzi... pochodzi z Essex.

- Essex! Fascynująca historia! Sprawiaś sobie prawdziwego twardziela, co? No, no, nigdy bym nie pomyślał, że taki facet może przypaść do gustu typowej angielskiej różyczce z dobrego domu. Kiedy zaczęłam pracować w galerii, wydawało mi się, że jesteś zbyt słodka, żebyś mogła być prawdziwa. A gdy wyszłaś za Nigela. No, cóż... Jak on się czuje, biedaczek? Opatruje złamane serce? Czy może już znalazł sobie Inną?

- Jeszcze nie znalazł, niestety - westchnęła. - Ale nie tracę nadziei.

- A ty? Jesteś szczęśliwa?

- Och, bardzo szczęśliwa!

- I tylko to się liczy! Nigel wróci do równowagi, skarbie! Ma mnóstwo pieniędzy, więc we właściwym czasie zakwitnie dla niego inna angielska różyczka...

- Na tym właśnie polega problem. - Skrzywiła się lekko. - Nigel zostanie bez grosza przy duszy, jeśli mu nie pomogę!

- Coś mi mówi, że w tym momencie ja mam wkroczyć do akcji! - zauważył Virgil. - Co takiego miałbym zrobić?

- Tylko... Tylko coś potwierdzić, nic więcej!

- Potwierdzić coś... Hmm... Na piśmie?

- No... Tak!

- I cóż to takiego miałbym potwierdzić na piśmie? Mów, mów, skarbie, uwielbiam patrzeć, jak się wiesz!

- Chodzi mi o coś takiego...

Powiedziała mu, co wymyśliła. Virgil patrzył na nią długą chwilę, a potem wybuchnął śmiechem.

- Lucindo, kochanie, co za niesamowity pomysł! Zupełnie jakbyś była tyle warta!

- Mogłam być tyle warta.

- Nie, skarbie, w żadnym razie! Nie byłaś warta nawet jednej czwartej tej sumy!

- Och, wobec tego - zaczęła, czując, jak jej serce kuli się boleśnie. - Wobec tego będę musiała wykombinować coś innego.

- Proszę, napij się jeszcze szampana, dobrze? I nie rób takiej smutnej miny! Nikt nie wie, że nie byłaś tyle warta, nikt poza mną. Powiedz mi teraz dokładnie, co mam zrobić, a ja to zrobię!

- Virgil! - Rzuciła mu się na szyję i mocno ucałowała w oba policzki. - Dziękuję ci! Dziękuję, tak bardzo ci dziękuję! Jesteś taki dobry!

- Nie najgorszy - przytaknął. - Oczywiście można by uznać to za matactwo, gdyby komuś bardzo na tym zależało! Robię to wyłącznie dlatego, że rozbawiłaś mnie do łez! I koniecznie muszę usłyszeć, co takiego ma w sobie dobry stary Nigel, że tak się dla niego starasz! Muszę wiedzieć, skarbie, bo brzmi to okropnie intrygująco.

- Mamusiu...

- Tak, kochanie? - Elizabeth podniosła wzrok.

Tilly stała w drzwiach, bardzo blada, z fioletowymi cieniami pod dużymi oczami.

- Mamo, przepraszam, ale chyba nie mogę jechać do nowej szkoły. Nie mogę, po prostu nie mogę! Nie mogę nawet myśleć o tym, że zostawię ciebie i Annabel w domu i...

Zaczęła płakać, zupełnie jak małe dziecko. Elizabeth pośpiesznie wstała, podeszła do córki i objęła ją.

- Och, kochanie, nie musisz jechać, oczywiście! Sama też bałam się o tym myśleć, martwiłam się o ciebie i martwiłam! Nic nie mówiłam, bo wydawało mi się, że nie możesz się już doczekać wyjazdu.



- Nie, mam, nie! Coraz bardziej się bałam, każdego dnia bardziej! Przepraszam, powinnam powiedzieć ci wcześniej, ale nie chciałam cię zmartwić.

- Przecież to nie ma najmniejszego znaczenia! - powiedziała Elizabeth, świadoma, że nie mówi prawdy.

Nowy rok szkolny zaczynał się za dwa dni. Gdyby powiadomiła szkołę przynajmniej tydzień wcześniej...

- Zaraz się wszystkim zajmiemy, skarbie! - Przytuliła Tilly, karcąc się w myśli za egoizm. - Zobaczmy, co da się zrobić! Przede wszystkim musimy zadzwonić do pani Priest ze szkoły Saint Anne's... Porozmawiam z nią od razu, a ty zrób dla nas herbatę.

Pani Priest wykazała się zdumiewającym zrozumieniem sytuacji.

- Oczywiście, to jasne. Tilly musi mieć trochę czasu, żeby wrócić do równowagi i okrzepnąć. Dwa tygodnie nie zrobi żadnej różnicy, to inteligentna dziewczyna i szybko nadrobi zaległości!

- Załatwione! - Elizabeth uśmiechnęła się do Tilly, która właśnie weszła do pokoju z tacą. - Możesz zostać dłużej w domu, zacząć, kiedy będziesz gotowa! Ładnie z ich strony, prawda?

- Tak, ale ja w ogóle nie chcę jechać, mamusi. Chcę zostać w domu, opiekować się tobą...

- Posłuchaj, kochanie, nie mogę pozwolić na to, aby którekolwiek z was uznało, że musi siedzieć ze mną w domu! Chcę, żebyście robili to, co naprawdę chcecie robić, a nie zastanawiali się, co powinniście zrobić!

- Wcale się nie zastanawiam, co powinnam zrobić. - Tilly znowu zaczęła płakać. - Ja chcę zostać w domu! Boję się, mam, okropnie się boję! Wydaje mi się, że jakiś potwór pożera nas po kawałku. Nie mogę wyjechać, nie mogę! Chcę być tutaj, cieszyć się tym, co nam zostało. W domu czuję się bezpieczniej, bo przynajmniej widzę i wiem, co się dzieje.

Wtedy Elizabeth też się rozplakała, równie bezradnie i żałośnie jak Tilly. Usiadły na kanapie, przytulone, kołyszac się lekko. A potem Elizabeth obiecała córce, że znajdzie dla niej normalną szkołę.

Później, kiedy Tilly wyszła po Annabel, Elizabeth wyciągnęła przewodnik po szkołach dla dziewcząt i zaczęła go kartkować. Dobra szkoła, która przyjęłaby nową uczennicę dwa dni przed rozpoczęciem roku szkolnego, w sytuacji, kiedy do wszystkich dobrych londyńskich szkół kandydowały cztery osoby na jedno miejsce... Jak znaleźć coś takiego, na miłość boską? Boże, czuła się taka zmęczona. Tak strasznie, śmiertelnie zmęczona.

Catherine pakowała rzeczy w dość letargicznym tempie, kiedy zadzwonił telefon.

- Catherine?

- Tak, to ja...

- Tu Nigel. Nigel Cowper. Słyszałem, że przeprowadzasz się do Somerset i pomyślałem, że może przed wyjazdem pozwolisz zaprosić się na herbatę. Bardzo miło wspominać nasze spotkanie i kawę w cukierni Petera Jonesa, więc przyszło mi do głowy, że może powtórzylibyśmy ten wypad. Twoje dzieci są takie grzeczne, naprawdę możesz być z nich dumna.

- Z przyjemnością pójdziemy z tobą na herbatę - powiedziała.

- Który dzień najbardziej ci odpowiada?

- Lucinda odwozi nas do Somerset w niedzielę, więc to musi być sobota, nie ma innej możliwości.

Odpowiada ci sobota? Jeżeli nie, to nie rób sobie wyrzutów, rozumiem, że pewnie jesteś strasznie zajęty.

- W sobotę po południu?! Skądże znowu! Dokąd chciałabyś się wybrać? A dzieci?

Catherine ogarnęło nagle poczucie całkowitej beztroski. Wydawało jej się raczej mało prawdopodobne, aby jakiś mężczyzna zapytał ją jeszcze kiedyś, dokąd ma ochotę się wybrać, postanowiła więc zaryzykować.

- Nie wiem, czy wystarczy ci odwagi - zaczęła.

- Och, nie jest ze mną tak źle! Wiem, że dzieci lubią McDonalda, no, wiesz, ten bar z hamburgerami.

- Wiem. Ale jeśli jesteś naprawdę odważny, moglibyśmy spróbować czegoś innego. Znacznie poprawiłoby to wizerunek dzieci w oczach ich kolegów i koleżanek.

- Jestem za!

- To restauracja Planet Hollywood przy Leicester Square. Podają tam hamburgery, ale naprawdę dobre i wszędzie wiszą oryginalne kostiumy aktorów z różnych filmów, na przykład sukienka, którą Judy Garland nosiła w *Czarodzieju z Krainy Oz* czy płaszcz Supermana. Właścicielami Planet Hollywood są Arnold Schwarzenegger i Sylvester Stallone, wiesz?

- Nie, nie wiedziałem - rzekł Nigel z pewnym skrepowaniem. - Czy oni tam będą?

- To bardzo mało prawdopodobne! - zaśmiała się Catherine. - Więc co ty na to?

- Fascynujący pomysł! Widzę, że dziś rozrywki dla dzieci bardzo się różną od kawiarni Deny & Tom's w ogrodach na dachu, gdzie rodzice zabierali mnie w nagrodę za dobre stopnie!

- To dopiero było coś - powiedziała Catherine.

I od razu zaczęła się zastanawiać, w co się ubierze, co było naturalnie śmieszne i niepotrzebne, bo Nigel chciał zrobić przyjemność jej dzieciom, a na nią pewnie nawet nie spojrzy.

# ROZDZIAŁ 43

WRZESIEŃ - PAŹDZIERNIK 1990

Zdjęcie jej zalanej łzami twarzy ukazało się we wszystkich gazetach. Płakała, ponieważ jej synek wyjechał do szkoły.

Cóż, skoro księżna Diana może płakać z takiego powodu, to ja także, pomyślała Catherine. Oczywiście ksiązę William pojechał do szkoły z internatem, a Freddie miał wieczorem wrócić do domu (dość późno, bo musiał zostać na zajęciach reedukacyjnych), ale mimo wszystko był przestraszony, blady jak ściana i rozdygotany w tym swoim za dużym mundurku.

Nie obejrzał się, po prostu odszedł, ponaglany przez opiekuna klasy, w towarzystwie jednego ze starszych chłopców.

- Doskonały system, prawda? - odezwała się Phyllis. - Przydzielają chłopców ze starszych klas do opieki nad młodszymi, tak samo jest w internacie. No, czeka nas długa droga powrotna do domu, Catherine! Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że będziesz musiała jeździć w tę i z powrotem codziennie!

Catherine odparła, że zdaje sobie z tego sprawę. Dobrze chociaż, że mogła jeździć sama. Miała samochód i ten fakt mógł całkowicie odmienić jej życie. Kiedy Lucinda przyjechała po nich w niedzielę, powiedziała, że długo myślała nad całą sytuacją i chciałaby zostawić Catherine swojego peugeota, przynajmniej na jakiś czas.

- Mam volkswagena i przecież nie będę jeździć dwoma samochodami naraz, prawda? Blue uważa, że to doskonały pomysł!

Nie dodała, że Blue oświadczył, iż peugeot już w ciągu tygodnia zostanie mocno poobijany i że Lucinda powinna się z nim na dobre pożegnać.

- Więc weź go i...

- Nie mogę, Lucindo!

- Ależ możesz! Trochę ci to pomoże, a ja będę się mniej o ciebie martwiła! Słabo mi się robi, kiedy pomyślę, że będziesz zdana na łaskę i niełaskę tych okropnych ludzi. Poza tym, będziesz mogła częściej do mnie przyjeżdżać, spójrz na to z tego punktu widzenia!

Cały długi dzień czekała, żeby go odebrać. Myślała tylko o jego pobladłej buzi i bała się, strasznie się bała, że synek rozplacze się i zasłuży na miano beksy.

Po południu obie z Caroline zajęły się przymierzaniem szkolnego mundurka. Składał się z całkiem ładnej, plisowanej brązowej spódniczki, niebieskiej bluzki, sweterka w kolorze owsianki oraz ciemnobrązowego kapelusika i kurtki - wszystko w dwóch egzemplarzach.

- Przykro mi, że wszystkie te rzeczy są takie duże - powiedziała Catherine. - Spódnic raczej nie uda mi się skrócić, z powodu plis, ale mogę skrócić kurtki. Tylko...

- Nic nie szkodzi - odparła odważnie Caroline. - Naprawdę, rosę teraz tak szybko, że pewnie w połowie semestru nie będą już na mnie za duże, co do tego jednego babcia ma rację.

Catherine uściskała ją, myśląc, że ma wyjątkowo dzielne dzieci i wcale na nie nie zasługuje. Tak bardzo się bała, że się spóźni, że już za dwadzieścia szóstą była pod szkołą. Placyk przed bramą powoli zapelniał się range roverami oraz terenowymi volvo, wysiadające matki pokrzykiwały do siebie, całkowicie ją ignorując.

Co ja zrobię, jeśli Freddie powie, że jest tu nieszczęśliwy, pomyślała z rozpaczą. Spaliliśmy za sobą wszystkie mosty, bez dwóch zdań, więc co z nami będzie. Dostała mdłości ze strachu i zaraz wyobraziła sobie, że upokorzy się do reszty, wymiotując gdzieś w krzakach.

Ze szkoły zaczęli wysypywać się mali chłopcy, lecz Freddiego nigdzie nie było widać. Po dziesięciu minutach Catherine o mały włos nie zwariowała z przerażenia. Może siedział gdzieś w kącie, zapłakany, albo ukrywał się przed nią, przerażony, że zauważy jego rozpacz. A może już został zatrzymany za złe zachowanie? Albo znowu uciekł... O, Boże! Nagle z otwartych drzwi wystrzeliły trzy małe postaci i prawie ją staranowały.

- Cześć, mamó! To jest Groom, a to Hutchings, wszyscy jesteśmy tu nowi! Wiesz, jutro mam egzamin do drużyny piłkarskiej, jest tu też chór, egzamin zdaję pojutrze...

Catherine stała i uśmiechała się do Freddiego oraz do Grooma i Hutchingsa, i ze wszystkich sił próbowała powstrzymać łzy.

- Na szczęście obyło się bez problemów - powiedziała matka jednego z nowych kolegów Freddiego.

- Świetnie, prawda? - dorzuciła druga.

Catherine zrozumiała wtedy, że jej własne osamotnienie nie ma najmniejszego znaczenia, podobnie jak to, czy teściowie są bardziej czy mniej okropni. Jeżeli dzieci będą szczęśliwe, ona zniesie wszystko. Absolutnie wszystko.

W drodze do domu Freddiemu dosłownie nie zamykały się usta. Chłopcy byli fajni, opiekun klasy super, z nauką dobrze sobie radził, a z matematyki był nawet do przodu.

Phyllis, która czekała na nich w drzwiach, otrzymała skróconą wersję raportu i rzuciła Catherine wymowne spojrzenie.

- Ktoś do ciebie dzwonił - powiedziała po chwili. - Jakiś mężczyzna. W jej głosie brzmiała nuta wyraźnej dezaprobaty.

- Przedstawił się? - spytała Catherine.

- Tak, pan Cowper. Pytał, czy mogłabyś oddzwonić. Powiedziałam, że lepiej będzie, jeżeli sam zadzwoni jeszcze raz, bo to przecież rozmowa zamiejscowa.

- Oczywiście - mruknęła Catherine. - Dziękuję! O której... To znaczy, kiedy...

- Koło szóstej - odparła Phyllis. - Muszę lecieć, zaproszono nas na przyjęcie, więc zobaczymy się dopiero jutro! Cieszę się, że miałeś dobry dzień, Freddie! A nie mówiłam? A gdybyś poszedł do szkoły z internatem, nie musiałbyś wracać na noc do domu, pomyśl o tym!

- Rzeczywiście - przytaknął Freddie.

- Był zachwycony! - powiedziała Catherine z uśmiechem, kiedy Nigel zadzwonił wieczorem. - Oczywiście to dopiero pierwszy dzień, ale wygląda na to, że szkoła naprawdę mu się spodobała! Powiedział nawet, że może chciałby uczyć się w szkole z internatem, nie do wiary!

- Nie przywiązuj do tego wagi - rzekł trzeźwo Nigel. - Ja też opowiadałem, że chcę do szkoły z internatem, kiedy byłem w jego wieku, a potem przez cały następny rok płakałem w poduszkę przed snem. Cieszę się jednak, że był zadowolony!

- Bardzo mi miło, że zadzwoniłeś. Dziękuję!

- Nie ma za co. Trudno wyobrazić sobie coś bardziej przerażającego niż pierwszy dzień w nowej szkole! Cały dzień myślałem o Freddie. Przekaż mu wyrazy uznania, dobrze?

- Jasne! Do widzenia, Nigel.

- Do widzenia, Catherine! Oby życie na wsi okazało się dla was naprawdę przyjemne!

Cóż, chyba na tym koniec, pomyślała, odkładając słuchawkę. Taki miły facet... I najwyraźniej wciąż beznadziejnie zakochany w Lucindzie.

Debbie była bardzo zadowolona ze swojego nowego życia. Życia bez Richarda. Tęskniła za nim, oczywiście, nie było w tym nic dziwnego, przywykła przecież, że zawsze miała go gdzieś w pobliżu, był jej mężem, na miłość boską. Było jednak cudownie, umiała naprawdę dużo zrobić, kiedy miała wieczory wyłącznie dla siebie i mogła sama decydować, w jaki sposób je spędza. Jeżeli chciała, mogła pracować albo oglądać stare filmy w telewizji, albo kąpać się i czytać w wannie... Dzieciom też bardzo odpowiadała ta sytuacja, podobało im się, że skupiają na sobie całą uwagę matki. Niecierpliwie czekały na weekendowe przerwy, ale jeszcze nigdy nie zachowywały się tak grzecznie i spokojnie jak teraz. Debbie znalazła miłą kobietę, Jenny, która zajmowała się nimi po szkole, a Richard dzwonił trzy razy w tygodniu, pełen entuzjazmu.

- Panuje tu taki cudowny spokój, Debbie! Czuję się zupełnie inaczej, jestem wolny od stresów, mam znacznie więcej energii, a szkoła jest najwspanialszym miejscem na świecie! Dzieci są bardzo inteligentne i spokojne, chcą pracować i się uczyć, więc zupełnie nieźle sobie radzę. Morag jest fantastyczna, ma do mnie mnóstwo cierpliwości i ciągle dodaje mi odwagi.

Debbie powtarzała, że to świetnie, że bardzo się cieszy, że oni wszyscy czują się dobrze, ale tęskniła za nim i liczyła dni do przerwy semestralnej, kiedy pojedą do niego, lecz sama odliczała dni w drugą stronę i zastanawiała się, jak zniesie koniec tego okresu wolności. Już tylko dwa miesiące, myślała z lękiem, już tylko dziesięć tygodni. Bo przecież wcale nie chciała jechać...

\* \* \*

Kiedy tamtego wieczoru dzieci w końcu poszły spać, a ona sama wygodnie usadowiła się na kanapie, aby spokojnie obejrzeć odcinek nowego ulubionego serialu *Capital City* który Richard niewątpliwie ironicznie skrytykowałby jako płytką historię o japiszonach i ich poczynaniach w City, panującą w domu miłą ciszę przerwał dzwonek do drzwi.

To pewnie Janet, pomyślała Debbie. Jeszcze jednym plusem, wynikającym z nieobecności Richarda, były częstsze spotkania z przyjaciółką. Richard był zazdrosny o Jan i ich bliskość.

Podeszła do frontowych drzwi i otworzyła je z uśmiechem.

- Cześć, Jan! - rzuciła.

Ale to nie była Jan. W progu stał Joel.

- Musiałem się z tobą zobaczyć - powiedział. - Nie mogłem już tego znieść, przepraszam!

- Joel - zaczęła cicho, prawie szeptem. - Nie możesz przychodzić do mnie do domu. Dzieci są na górze, pewnie jeszcze nie śpią. Nie wpuszczę cię, nie mogę! Idź sobie i...

- Mamo, chce mi się pić! - Stojący u szczytu schodów Alexander uważnie przyglądał się Joelowi. - Kto to?

- Ten pan przyszedł obejrzeć dom - odparła.

- Nie może oglądać domu teraz, bo jesteśmy już w łóżkach!

- Wiem, przed chwilą mu to powiedziałam. Idź do siebie, za chwilę przyniosę ci wodę!

- Jeżeli nie chcesz zobaczyć się ze mną teraz, jutro przyjdę do ciebie do biura - oświadczył Joel.

- Jutro nie będzie mnie w pracy.

- W porządku, w takim razie w czwartek!

- Joel, dlaczego to robisz? Dlaczego nie możesz uszanować mojej woli?

- Bo ty wcale nie chcesz, żebym zniknął! I nie pozwolę ci tak myśleć! Wiem, że nie jesteś szczęśliwa.

- Jestem szczęśliwa - powiedziała z naciskiem. - Oboje jesteśmy całkowicie szczęśliwi, ja i Richard!

- Głupstwa! - prychnął. - Tak czy inaczej, jesteś zbyt śliczna, żeby nadal tkwić w tej okropnej sytuacji i spędzić resztę życia w jakimś szkockim klasztorze.

- To nie jest klasztor.

- Co za różnica, co to właściwie jest!

- Och, Joel... - Jednak okrucieństwo prawdy dotarł już do jej serca i poczuła, jak oczy pieką ją od łez.

- Więc jak, co wybierasz? Dzisiaj czy pojutrze?

Milczała długą chwilę, walcząc z dręczącym ją uczuciem. I przegrała.

- Pojutrze - odparła bardzo cicho.

- W porządku! - powiedziała Flora. - Podjęłam decyzję, Colin! Zróbmy to! Wolę zaryzykować, niż pozwolić, żeby zabrali mi dom!

- Fantastycznie - odparł. - Ale chyba lepiej będzie, jeżeli porozmawiamy o tym osobiście, nie przez telefon. Zjadłabyś kolację ze mną dzisiaj albo jutro? Spokojnie wszystko przedyskutujemy i puścimy sprawę w ruch. To dobry wybór, Floro, możesz mi wierzyć.

Na jej decyzję wpłynęła śmierć Simona. Wybrała się na długą przejażdżkę na Halu i przez cały czas myślała o tym potworze, który zabił Simona (ponieważ była absolutnie pewna, że Simon popełnił samobójstwo), zniszczył uczciwe, nieszkodliwe życie Nigela Cowpera i młode życie Catherine Morgan, i do-

prowadził do rozpaczyny małego chłopca, zmuszając go do ucieczki z domu. Jeżeli miała szansę przeszkodzić potworowi w pożarciu następnych osób, to czy było nad czym się zastanawiać? To jedyna rzecz, jaką mogła zrobić, w przeciwnym razie ludzie z Lloyd'sa wygrają. A ona nie mogła do tego dopuścić, po prostu nie mogła, i już.

## ROZDZIAŁ 44

*WRZESIEŃ - PAŹDZIERNIK 1990*

To przecież niemożliwe... Zwyczajnie niemożliwe... A jeśli jednak? Jak sobie wtedy poradzi? Co ludzie pomyślą? Co powiedzą? Czy to pogarsza jej sytuację, czy wręcz odwrotnie? Dwa dni, tak jej powiedzieli. Tyle czasu zajmuje dwukrotne wykonanie badania. Naturalnie o to właśnie jej chodziło, nie zamierzała zdać się na jakiś zestaw z papierkiem lakmusowym czy czymś w tym rodzaju, do kupienia w każdej aptece i większym sklepie. O, Boże... To chyba niemożliwe, prawda? Niemożliwe, niemożliwe, niemożliwe.

Blue wyjechał na dwa dni do Brukseli, więc Lucinda postanowiła skorzystać z jego nieobecności i zobaczyć się ze Steve'em Durhamem. Odkąd zrezygnowała z pracy, o wiele trudniej było jej zrobić cokolwiek, unikając całej litanii pytań ze strony Blue - gdzie była, z kim się widziała, dlaczego, po co... Z jakiegoś powodu usiłował dokładnie monitorować wszystkie jej wyjścia z domu i zawsze chciał wiedzieć, jak długo była na mieście i w jaki sposób gdzieś się dostała. Wszystko to razem zaczynało doprowadzać ją do szaleństwa.

Zazwyczaj Blue okazywał jej mnóstwo zrozumienia, współczucia i cierpliwości, lecz kiedy był zmęczony, miał marny dzień w pracy albo życie nie potraktowało go dość dobrze, co oczywiście miało związek z szybko idącymi w górę stopami procentowymi i pogłębiającą się depresją, często wybuchał, gdy mówiła, że ma wszystkiego dosyć. Z naciskiem powtarzał wtedy, że nie widzi najmniejszego powodu, aby ona miała czegokolwiek dosyć, że już dawno powinni byli się przeprowadzić, że czuje się, jakby utknął w króliczej norze i że zupełnie nie wiadomo, co zrobią, kiedy dziecko się urodzi. I trudno było odmówić mu racji, pomyślała teraz Lucinda. Mały domek wyglądał jak dział dziecięcy sklepu Peter Jones; w holu stał wózek, fotelik samochodowy oraz wysokie krzeselko, w maleńkim pokoiku dla dziecka ledwo mieściły się kołyska z falbankami, komoda i stolik do przewijania, a biała łazienka z chromowymi wykończeniami zapchana była paczkami z pampersami, wanienką i jeszcze jednym blatem do przewijania.

- Nie możemy się teraz przeprowadzić - powiedziała, z żalem myśląc o ogromnych domach, które odrzuciła, z dużymi pokojami dla dziecka i osobnymi łazienkami, z wielkimi kuchniami... Boże, naprawdę dużo robiła dla Nigela. - Na przeprowadzkę jest zdecydowanie za późno, zostało tylko sześć tygodni do porodu.

- Dzięki Bogu! - warknął Blue i wyszedł, mocno trzaskając drzwiami.

- Jak się czujesz? - spytał Steve Durham, kiedy weszła do jego gabinetu. - Wyglądasz wspaniale.

Był to w tak oczywisty sposób naciągany komplement, że Lucinda wpadła w złość.

- Nie wyglądam wspaniale, wyglądam jak dwunożny hipopotam!

- Nonsens! - Uśmiechnął się szeroko. - Tak czy inaczej, jesteście już prawie gotowi! Twój amerykański przyjaciel napisał bardzo dobry list, po prostu znakomity, dokładnie taki, o jaki prosiłem. Chcesz go przeczytać?

- Nie - odparła. - Nie mam ochoty. Zapłakałabym się na śmierć, myśląc o tym, że mogłabym teraz prowadzić elegancką galerię w samym sercu Manhattanu i zarabiać grube tysiące dolarów!

- Hmm... - Steve pochwyił jej gniewne spojrzenie i znowu się uśmiechnął. - Jasne, ale wtedy nie byłoby cię tutaj, nie nosiłabyś dziecka Blue. Słuchaj, odpisałem na list adwokata twojego męża, wyjaśniłem wszystkie jego wątpliwości, podkreśliłem, że oboje klienci są całkowicie zadowoleni z proponowanych rozwiązań. Teraz złożymy pozew do sądu, odrzucimy propozycję pogodzenia małżonków i przy odrobinie szczęścia zakończymy sprawę jeszcze przed Bożym Narodzeniem. I wtedy będziesz mogła zrobić z pieniędzmi i domem, co tylko zechcesz. Twój mąż ma jeszcze farmę, tak?

- Tak, ale mówi, że wkrótce będzie musiał ją sprzedać.

- Niech się zbytnio nie śpieszy - rzekł Durham. - W przeciwnym razie nasza argumentacja na nic się nie przyda. Musisz mu to powiedzieć, Lucindo, najlepiej zadzwoń do niego. Kiedy będzie po wszystkim, może wystawić farmę na sprzedaż, bo wtedy wypadnie to całkiem przekonująco. Chcesz omówić teraz sprawy związane z założeniem tego funduszu charytatywnego?

Wróciła do domu z bólem głowy. Wygodnie wyciągnęła się na łóżku i zamknęła oczy. Jaka szkoda, że wszystko to zważyło się na nią akurat teraz; tyle skomplikowanych spraw do załatwienia i mnóstwo szczegółów do zapamiętania. Na przykład... Boże, musi przecież zadzwonić do Nigela!

Zadzwoniła do jego biura, ale nikt nie podniósł słuchawki. Ciekawe, co on robił w środku dnia i gdzie podziała się ta jego wkurzająca sekretarka. Wybrała numer domowy, a kiedy włączył się automat, postanowiła zostawić wiadomość.

- Cześć, Nigel, tu Lucinda... Mam nadzieję, że wszystko u ciebie w porządku. Muszę z tobą jak najszybciej porozmawiać, więc zadzwoń do mnie dzisiaj albo jutro...

Zaraz potem zasnęła.

Okropne... Okropne i absolutnie cudowne. Jak mogła pozwolić sobie na coś takiego, na ten cudowny, wspaniały romans... Jeszcze trudniej było jej przyznać się przed samą sobą, że stało się to, co naturalnie od początku podejrzewała, że zakochała się, zakochała się pierwszy raz w życiu, naprawdę. Teraz dopiero wiedziała, że jest to prawdziwa miłość, ogarniająca całe serce i umysł, pochłaniająca wszystko, obsesyjna.

Zapomniała o ostrożności, o rozwadze i żyła w oku cyklonu. Okłamywała wszystkich - kolegów z pracy, dzieci, męża, przyjaciół.

Mówiła, że musi spotkać się z klientami, wziąć udział w wieczornym zebraniu w firmie, pójść do dentysty, do lekarza... Gdyby faktycznie się rozchorowała, nie mogłaby powiedzieć, że znowu idzie do



lekarza i pewnie umarłaby na zapalenie otrzewnej po perforacji wyrostka robaczkowego, albo coś w tym rodzaju, i słusznie by jej się to należało. Nie kłamała tylko po to, aby pójść do łóżka z Joelem; czasami chodziło o to, aby wyrwać pół godziny na kawę, na drinka po pracy, na krótkie spotkanie, wypełnione rozmową, śmiechem i bardzo często łzami Debbie. Wszystkie te rzeczy były równie ważne jak seks. Seks był wspaniały, uskrzydlający, gorący, płomienny, niezwykły, ale Debbie kochała Joela, nie seks, Joela, który był zabawny i poważny, czuły i szorstki, kochający i godny miłości.

Tym, co przeważało szalę na jego korzyść, co sprawiło, że znowu poszła z nim do łóżka, była nieświadomość, że zerwał z Maggie, lecz zupełnie niewiarygodna historia, w którą Debbie uwierzyła.

- Wiesz, kiedy zdałem sobie sprawę, że coś do ciebie czuję? - zapytał w czasie pierwszego spotkania, dwa dni po tym, jak przyszedł do niej do domu. - Że to coś poważnego? Kiedy poleciałem na Bahamy, prosto z twoich ramion, bo tak przecież było, poznałem pewną dziewczynę, modelkę... Jest dość sławna.

- Jak się nazywa?

- Bibi.

- Nigdy o niej nie słyszałam - powiedziała, mocno zirytowana.

- Nieważne... Mówiła, że w tym miesiącu była na okładce „Vogue”.

- I?

- Przyszła do mojego pokoju. Wcześniej wypiliśmy razem kieliszek szampana, nie mieszkała w moim hotelu, tylko w innym, ale wytropiła mnie...

- I? Mam paść z wrażenia, że tak jej się spodobałeś?

- Chciałbym zrobić na tobie takie wrażenie. Tak czy inaczej, weszła, popatrzyła na mnie i zaczęła się rozbierać. Nie miała na sobie zbyt dużo, tylko jedwabną tunikę i spodnie, nic więcej. Stała przede mną naga, zachwycająca, przepięknie opalona, i wiesz co? Kazałem jej wyjść. Pomyślałem o tobie, o twoich pięknych, jędrnych małych piersiach, o twoim płaskim brzuchu... Jak ty tam pomieściłaś te wszystkie dzieci, to aż nieprawdopodobne. I o twojej gęstej, czarnej kępcie, i zrozumiałem, że po prostu jej nie chcę... Pragnąłem ciebie. Możesz mi wierzyć lub nie, ale taka jest prawda, Debbie.

- Naprawdę ją odesłałeś?

- Tak.

- I naprawdę zrobiłeś to ze względu na mnie?

- Tak. Uważam, że jesteś sto razy piękniejsza, bardziej pociągająca i godna miłości.

- Jesteś szalony. Kompletnie szalony!

- Może... Szalony z miłości. Więc jak, umówisz się ze mną znowu? Na przykład... Na przykład na dzisiejszy wieczór?

- Tak - kiwnęła głową. - Na dzisiejszy wieczór... Właśnie wtedy zaczęła kłamać.

\* \* \*

Annabel często się zastanawiała, jak przetrwałaby te pierwsze okropne tygodnie bez Floriana. I czy w ogóle dałaby sobie radę. Florian nie zdręczał jej troskliwością, ale co rano pytał, jak się czuje i w drodze do pracy zawsze kupował jej bułkę z czekoladą w piekarni na Sloane Street, jej ulubionej, a potem przez cały dzień na zmianę trochę z niej żartował, a trochę głaskał ją po głowie, dosłownie i w przenośni. Nie pozwalał, żeby się leniła, przeciwnie, po pierwszych dwóch tygodniach zaczął poganiać ją i mobilizować; za to także była mu wdzięczna, bo jako córka Elizabeth potrafiła docenić terapeutyczną rolę pracy. Wieczorami często czekał na nią, nawet jeżeli sam skończył wcześniej, i stawiał jej drinka.

Siadali w jakimś barze i leniwie gawędzili.

- Jak twoja mała siostra radzi sobie w szkolnej dżungli?

Tilly zaczęła naukę w lokalnej państwowej szkole, ponieważ żadna z prywatnych londyńskich szkół nie zgodziła się jej przyjąć. Annabel i Elizabeth odprowadziły ją pierwszego dnia, mocno niespokojne, jak uczniowie ze szkoły Cromwell Road przyjmą tę beznadziejnie dobrze wychowaną istotę o niewinnych, wielkich błękitnych oczach, zakochaną w swoim kucyku.

- Spędziła tam już całe dwa tygodnie i wygląda na to, że wszystko jest w porządku - odparła Annabel. - Codziennie pytam ją, czy ma jakieś kłopoty, a ona patrzy na mnie niepewnie i mówi, że nie. Pewnie czuje się nie najgorzej, bo żyje w swoim własnym świecie. Wraca do domu z dwiema dziewczynami z okolicznych czynszówek i mam wrażenie, że one naprawdę ją lubią. Wpadły do nas przedwczoraj wieczorem, jedna czarna i bardzo chuda, druga biała i strasznie gruba, i długo siedziały razem, oglądając telewizję i chichocząc. Tilly pomaga w lekcjach tej chudej, która ma na imię Fallon i jest dyslektyczką. A wszyscy chłopcy witają moją siostrę gwizdami i nazywają ją „Księżniczką”, ale nie złośliwie, tylko z sympatią. Wiadac, że uważają ją za superdziewczynę.

- A jak twoja mama?

- Już pracuje, chociaż stara się wcześniej wracać do domu, co jest bardzo miłe. Jest taka dzielna, przy nas zawsze usiłuje zachowywać się pogodnie i wesoło, ale czasami słyszę, jak płacze w swoim pokoju. Bardzo schudła i wydaje mi się, że nie czuje się zbyt dobrze. Je bardzo mało, mówi, że ciągle ma mdłości i rzeczywiście często wymiotuje, moja biedna mama.

\* \* \*

Lucinda ocknęła się z popołudniowej drzemki. Na dworze robiło się już ciemno. Spojrzała na zegarek - wpół do ósmej. Cóż, niedługo będzie zima... Już prawie połowa października; jeszcze cztery tygodnie i urodzi się dziecko, dobry Boże...

Kiedy z trudem dźwignęła się z łóżka, dotarło do niej, że jej prawie chroniczny ból głowy jeszcze się nasilił. Przez całą ciążę bardzo skrupulatnie przestrzegała wszystkich zaleceń lekarza i ani razu nie zażyła nawet jednej aspiryny, ale teraz miała dosyć. Postanowiła podjechać do najbliższego supermarketu i

kupić coś przeciwbólowego. Blue i tak mówił, że wróci najwcześniej o ósmej, a na kolację miała steki, które mogła przyrządzić dopiero po jego przyjściu... Chwyła kluczyki i wyszła do samochodu.

Blue był ledwo żywy ze zmęczenia, kiedy w końcu dotarł do Limehouse. Te podróże były po prostu wykańczające. Dobrze chociaż, że wrócił trochę wcześniej, niż się spodziewał. Był głodny jak wilk, bo jedzenie w samolocie do niczego się nie nadawało, a wyśmienity lunch w Brukseli zjadł dawno temu. Otworzył frontowe drzwi i zawołał, że już jest, ale odpowiedziała mu cisza. Zajrzał do sypialni, ponieważ przyszło mu do głowy, że może Lucinda śpi (ostatnio zasypiała o dowolnej porze, w ciągu sekundy) i poszedł do kuchni. Na desce obok zlewozmywaka leżały obrane ziemniaki i umyta sałata, nic więcej. Boże, było coraz gorzej... Seks już jakiś czas temu stał się odległym wspomnieniem i chociaż Blue doskonale rozumiał powód takiego stanu rzeczy i nawet szczerze współczuł Lucindzie, nie była to jednak idealna sytuacja, a teraz wszystko wskazywało na to, że z jedzeniem będzie tak samo... Gdzież ona była i dlaczego nie zostawiła żadnej kartki, do diaska! Zadzwoił telefon. Blue już miał podnieść słuchawkę, ale się zawałał. Całkiem możliwe, że była to matka Lucindy, która ostatnio często do niej dzwoniła. Postanowił zjechać, aż włączy się automatyczna sekretarka i odebrać tylko wtedy, gdyby był to ktoś, z kim chciałby porozmawiać.

Po chwili usłyszał głos Nigela.

## ROZDZIAŁ 45

*PAŹDZIERNIK 1990*

Więc jednak... Spełniły się jej najgorsze podejrzenia. Oczywiście nie miała najmniejszego zamiaru zostawić tak tej sprawy. Poszła na wizytę do swojej miłej lekarki, ginekolog Sarah Goodrich, i powiedziała, że chce załatwić aborcję.

- Ale dlaczego, Elizabeth? - zapytała Sarah. - Jak się czujesz?

- Okropnie. Cały czas mam mdłości i jestem potwornie zmęczona.

- No, oczywiście, ale to minie.

- Zmęczenie nie minie. Jestem już po czterdziestce, Sarah, nie jestem młodą dziewczyną. Pomyśl też o innych zagrożeniach, choćby syndromem Downa, o wszystkim, co może mi zaszkodzić. Nie mogę sobie na to pozwolić, dzieci mnie potrzebują. I muszę pracować, bo przecież mamy tylko moją pensję. I nadal nie mam zielonego pojęcia, jak to się stało...

- Przestałaś przyjmować tabletki z wysoką dawką hormonów i zrobiliśmy wtedy krótką przerwę...

- Tak, ale to było przed... No, zanim zaszłam w ciążę. I trwało tylko kilka dni.

- Wiem, lecz ten moment najwyraźniej okazał się niebezpieczny, jeśli chodzi o poczęcie, rzecz jasna. Poza tym, pewnie słyszałaś te stare opowieści o kobietach koło czterdziestki, które przeżywają krótki okres wzmożonej płodności, ponieważ Matka Natura daje im ostatnią szansę na macierzyństwo. Moim

zdaniem, to raczej same kobiety podświadomie dają sobie tę ostatnią szansę, ale tak czy inaczej, to by wyjaśniało większość tych „późnych” narodzin ciąży...

- Ja z całą pewnością nie chcę dziecka! - oznajmiła gniewnie Elizabeth. - Nie urodzę go!

- Myślałaś, żeby porozmawiać o tym z dziećmi?

- Nie. Zależy mi na aborcji i nie chcę, żeby dzieci się dowiedziały. Byłoby to dla nich strasznie bolesne.

- A co by było, gdybyś jednak urodziła dziecko? Jak by to przyjęły?

- Pewnie trudno by im było zrozumieć, że... Wiesz, jak to jest, zdaniem bardzo młodych ludzi nikt po trzydziestce nie uprawia już seksu, a kiedy na dodatek chodzi o matkę...

- Może zareagowałyby zupełnie inaczej, może uznałyby to za piękną i pozytywną rzecz. Za coś naprawdę dobrego, coś, co rozprasza smutek.

- Nie zamierzam urodzić tego dziecka, Sarah. Nie wiem, dlaczego tak się przy tym upierasz!

- Nie upieram się, myślę tylko, że w obecnym stanie ducha nie powinnaś podejmować takiej decyzji. Jesteś pogrążona w rozpacz i niepewności, a aborcje powodują depresję. To ci nie pomoże. Posłuchaj, daj sobie trochę więcej czasu.

- Nie mam dużo czasu, miesiączka spóźnia mi się już dwa miesiące! Wolalabym załatwić tę sprawę i zająć się własnym życiem!

- Dobrze - westchnęła Sarah. - Mogę zrobić to w przyszłym tygodniu, odpowiada ci?

- Wolalabym ten tydzień, ale...

- Elizabeth, musimy mieć podpis psychiatry, musisz zrobić wszystkie badania, i tak dalej... Może być przyszła środa? W poniedziałek umówię cię na wizytę u doktora Younga, to nasz psychiatra.

- Dobrze. - Elizabeth zajrzała do kalendarzyka. - Byle tylko nie próbował namawiać mnie na urodzenie dziecka. Och, nie! Możemy zmienić środę na czwartek? W środę mam bardzo ważne spotkanie!

- Nie, czwartek nie wchodzi w grę, przykro mi. Piątek? To moja ostateczna propozycja - Sarah uśmiechnęła się nieco zbyt pogodnie. - A tymczasem, dbaj o siebie, dobrze?

- Po co? - zapytała szorstko Elizabeth i wyszła z gabinetu.

Osiągnęła etap gwałtownej złości na Simona. Za to, że zginął. Jak mógł zrobić jej coś takiego, jak on mógł?! Albo zrobił to celowo, albo przez niedbalstwo.

Jedno i drugie było zwyczajnie niewybaczalne. Drań! Gdyby teraz stanął w progu, nawrzeszczałaby na niego! Nagle wyobraziła sobie, jak by to było, gdyby Simon rzeczywiście wszedł teraz do pokoju, szeroko uśmiechnięty, gdyby ją pocałował, zaproponował drinka albo wyjście na kolację, gdyby westchnął, bo ona znowu nie miałaby czasu i musiałaby jeszcze trochę popracować... Jak ona mogła, jak to możliwe, że tak często mu odmawiała, że wolała zająć się czymś innym niż spędzić z nim dwie godziny.

- O, Boże! - powiedziała głośno, podnosząc rękę, aby zatrzymać taksówkę. - O, mój Boże!

Gniew był równie dobrym powodem, żeby nie urodzić tego dziecka, jak i wszystko inne. Teoretycznie zdawała sobie sprawę, jak cudownie byłoby je mieć, ten niezwykły, fantastyczny spadek po Simo-

nie, ale jej wściekłość była tak wielka, że odrzucała tę możliwość. Byłoby to zbyt łatwe, zbyt sentymentalne, musiałaby sama zmagać się z trudnościami, chociaż wcale nie powinna, a ten łajdak wybrał się gdzieś bez niej, jak zwykle, zostawiając ją samą, samą, całkiem samą... Oczywiście mogłaby załatwić sobie kogoś do pomocy, ale w tych pierwszych, trudnych i wyczerpujących tygodniach, pełnych niepokoju, bólu i rozdrażnienia, kiedy dziecko ma kolkę albo nie chce ssać, albo nawet kiedy jest spokojne, powinna mieć przy sobie kogoś, kto by jej towarzyszył i wziął na siebie część zmęczenia, kto powiedziałby: „No, no, nie martw się, wszystko będzie dobrze, jesteś zmęczona, to dlatego, i spójrz tylko, czy to przypadkiem nie uśmiech? Tak, chyba tak... Zaraz przyniosę ci jeszcze jedną poduszkę! Boli cię, prawda? Moje biedactwo”. Nie. Nie było jej stać na samotne przejście przez te trudności.

Miała mdłości, była zmęczona i strasznie, strasznie nieszczęśliwa.

Catherine wiedziała, że to naprawdę paskudne z jej strony, ale czuła się coraz bardziej pokrzywdzona przez los. Dzieci były bardzo szczęśliwe w swoich szkołach i miały dużo przyjaciół, jedno i drugie, zapraszano je na podwieczorki, na weekendowe spanie i na zabawy. Nowa najlepsza koleżanka Caroline nazywała się Jane-Anne i teraz całe życie ich trojga kręciło się wokół Jane-Anne, ponieważ Caroline bez przerwy mówiła o tym, co Jane-Anne myśli, co powiedziała, co lubi jeść, jakie lubi ubrania, i tak dalej, i tak dalej. Jane-Anne miała kucyka i dobrze jeździła.

Szybko się okazało, że poprzedni kucyk Jane-Anne nadal przebywa w stajniach rodziców dziewczynki i jest wyjątkowo łagodny. Matka Jane-Anne, gadatliwa, solidnie zbudowana dama, powiedziała, że jeżeli Catherine nie ma nic przeciwko temu, to z wielką przyjemnością dadzą Caroline kilka lekcji jazdy.

- Caroline chętnie by chyba spróbowała, a potem dziewczynki mogłyby czasami jeździć ze mną na przejażdżki. Rozumiem jednak, że może się pani niepokoić, więc proponuję, żebyście wpadły do nas któregoś dnia po szkole i poznały Dorcas, to znaczy kucyka. Sama pani zobaczy, jaki jest spokojny!

- To naprawdę bardzo miło z państwa strony - zaczęła Catherine. - Ale...

- Doskonale! Świetnie, więc może w przyszły czwartek? Zabiorę dziewczynki zaraz po szkole, gdyby tylko mogła pani zapakować do plecaka Caroline jakieś stare spodnie. Na lepszy strój i sprzęt przyjdzie czas, kiedy przekonamy się, że rzeczywiście chce jeździć konno, ale myślę, że jej się spodoba! Dzielna z niej dziewczynka, prawda?

Phyllis była bardzo podekscytowana tą propozycją.

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że ojciec Jane-Anne to szlachetnie urodzony Mark Price, co? To jedna z najstarszych rodzin w naszym hrabstwie, no i naturalnie pani Price też ma znakomite koneksje rodzinne. Cudownie, że Caroline tak przypadła im do serca!

Freddie też miał przyjaciela, uśmiechniętego okularnika Hutchingsa. Ojciec chłopca był radcą prawnym, a wiecznie zmęczona matka zajmowała się liczną grupką małych Hutchingsów. Pani Hutchings miała na imię Miriam, była bardzo poważną osobą i czytelniczką dziennika „Guardian”, sama hodowała warzywa i wierzyła w medycynę niekonwencjonalną. Trudno byłoby nazwać ją bratnią duszą, ale Catherine czuła się w jej towarzystwie o wiele swobodniej niż w towarzystwie matki Jane-Anne.

Freddie i Hutchings, który miał na imię Martin („Tylko nigdy nie zwracaj się tak do niego w szkole, dobrze?” - z całą powagą zastrzegł Freddie), posiadali sporo wspólnych zainteresowań, między innymi astronomię („Hutchings ma świetny teleskop!”) i obserwację ptaków, i na długie godziny znikali gdzieś z lornetkami i albumami ze zdjęciami ptaków. Catherine bardzo to cieszyło, rzecz jasna, lecz po trzeciej z rzędu sobocie, kiedy to od dziewiątej rano do dziewiętnastej mogła liczyć tylko na towarzystwo Phyllis oraz Dudleya, zaczęła czuć się bardziej samotna niż kiedykolwiek wcześniej.

I kiedy na dobre przyszła jesień z coraz mroczniejszymi i wcześniejszymi wieczorami, a życie dzieci nadal toczyło się bardzo szczęśliwie, Catherine coraz częściej spoglądała w ciemny tunel nadchodzących lat i zastanawiała się, co ją czeka.

\* \* \*

Powinam była posłuchać Simona, pomyślała Lucinda, patrząc, jak Blue szybkim krokiem wychodzi z domu i po raz trzeci w tym tygodniu z rozmachem zatrzaskuje za sobą drzwi.

Steve Durham i sam Nigel wiele razy pytali ją, czy omówiła całą sprawę z Blue, a ona mętnie odpowiadała, że jeszcze nie, ale jest przekonana, że wszystko będzie w porządku. Coraz częściej zastanawiała się, w jakim właściwie celu ma denerwować Blue, skoro na razie wcale nie musi. Naturalnie nie podejrzewała, że Blue się zdenerwuje, bo ostatecznie chodziło przecież tylko o stworzenie pozorów, a Blue był tak łagodny i dobry.

Ostatnio odkryła jednak, że część łagodności i spokoju Blue zniknęła bez śladu. Bywał teraz przewrażliwiony i kłótlivy, a tamtego wieczoru, kiedy wrócił z Brukseli i usłyszał nagrywający się na taśmę głos Nigela, najzwyczajniej w świecie wpadł w furję.

- Co tu się wyprawia, do diabła?! - zapytał. - Co ty wyrabiasz, dlaczego dzwonicz do Nigela i prosisz go o telefon?! Co jest, do kurwy nędzy?!

- Chodzi o rozwód, rzecz jasna.

- Wydawało mi się, że wszystkie sprawy związane z rozwodem załatwia prawnik, któremu płacisz, i to niemało, cholera jasna!

- Chciałam tylko... Chciałam tylko zapytać Nigela o pewien drobiazg. Steve chciał coś tam wiedzieć i obiecałam mu, że zapytam, tak było łatwiej, więc...

- Nie pytaj go o żadne drobiazgi, dobra?! - warknął Blue. - Bo wcale mi się to nie podoba! Nie mam nic przeciwko tej arystokratycznej dziurze w przestrzeni, która kiedyś była twoim mężem, ale nie życzę sobie, aby cały ten Nigel włąził w moje życie!

- Nigel w nic nie włązi.

- Naprawdę? Mam odmienne zdanie na ten temat! Nie życzę też sobie nie zastawać cię w domu, kiedy wracam z podróży! Mogłabyś przynajmniej czekać na mnie z kolacją!

- Kolacja zaraz będzie gotowa. Przyjechałeś o wiele wcześniej, niż mówiłeś, zresztą i tak kupiłam steki, których nie mogłam przecież usmażyć wcześniej.

- No, jasne, jasne! Tak czy inaczej, kiedy po powrocie do domu zastaję nagraną na sekretarkę kretyńską wiadomość od Nigela, który prosi, żebyś do niego zadzwoniła, to moim zdaniem trudno nazwać to inaczej, jak tylko włożeniem w nasze życie!

- Prosił, żebym zadzwoniła? Kiedy?

To był błąd. Blue podniósł się i chwycił płaszcz.

- Dzwon sobie do niego, kiedy chcesz! - rzucił.

- Ja wychodzę!

Spędziła koszmarny wieczór, czekając na niego. O dziesiątej wrócił, trochę skruszony, przeprosił i zaproponował, żeby się położyli, bo jest wykończony; kiedy jednak okazało się, że chce seksu, mimo całego wyczerpania (zdaniem Lucindy Blue nie miał zielonego pojęcia, jak naprawdę czuje się wyczerpana osoba), zdobyła się na monumentalny wysiłek i odpowiedziała. Było całkiem przyjemnie, ale wiedziała, że każda wzmianka o Nigelu może tylko bardziej zdenerwować Blue, więc z pewnością nie był to odpowiedni moment, by uzyskać jego zgodę na to, co chciała zrobić. Ostatecznie i tym razem nic mu nie powiedziała, a teraz Steve oznajmił jej przez telefon, że pod koniec dnia przesyła jej kurierem dokument, który powinna przejrzeć, żeby on potem mógł przekazać go prawnikowi Nigela. No, może jednak wszystko jakoś się ułoży. Może jakimś cudem uda jej się przebrnąć przez to wszystko, nie mówiąc o niczym Blue. Cała sprawa nie mogła przecież wyrzucić żadnego wpływu na jego życie.

- Dobrze - powiedziała. - Ale nie wysyłaj tego dokumentu dziś wieczorem, tylko jutro rano, dobrze? Po południu i wieczorem nie będzie mnie w domu. Przeczytam, podpiszę i od razu odeślę ci te papiery.

Teraz był ranek i czuła się potwornie. Była strasznie zmęczona, głowa znowu pękała z bólu. Kostki nóg okropnie spuchły, dłonie także, i to tak, że pierścionki wrzynały się w palce.

- Bardzo chętnie zjadłabym z tobą lunch, oczywiście - powiedziała Debbie. - Ale nie mogę! Mam spotkanie.

- Więc może wyskoczmy na drinka po pracy?

- Nie mogę... Wykorzystałam już wszystkie wymówki, jakie mogłam wymyślić, zresztą dziś wieczorem Jenny jest zajęta, bo ma wywiadówkę w szkole swoich dzieci.

- Mógłbym wpaść na kolację?

- Nie, oczywiście że nie! - odparła ostro.

Nauczyła się już, że jeśli ustąpi Joelowi na jeden krok, zaraz potem musi cofnąć się jeszcze o kilka.

- Co powiedziałyby dzieci? - dorzuciła.

- Mogłabyś powiedzieć, że jeszcze raz przyszedłem obejrzeć dom. Wcale nie byłoby to kłamstwo!

- Przykro mi, ale naprawdę nie możesz!

Odłożył słuchawkę. Debbie chwilę wściekłym wzrokiem wpatrywała się w aparat, a potem odzwoniła.

- To niesprawiedliwe - oświadczyła. - Odgrywasz się na mnie za to, że nie mogę się z tobą spotkać! To nie moja wina! Wiedziałaś przecież.

- Tak, tak, wiedziałem, że jesteś mężatką i masz troje dzieci! Ciągłe to powtarzasz, zupełnie jak mantrę!

- Bo taka jest prawda!

- Szkoda, że nie posłuchałem cię wcześniej - rzekł ponuro.

- Może i szkoda.

- Ale co by mi to dało, Debbie? Dalej kochałbym cię tak samo. Debbie milczała.

- To strasznie trudne - powiedział.

- Przecież wiem! Dla mnie też jest to bardzo trudne...

- Nie tak trudne jak dla mnie!

- Dlaczego?

- Bo wszystko zależy od ciebie. Mógłbym być z tobą co wieczór, pieprzyć cię co noc. Co za myśl.

Co za cholerna myśl! Sądzisz, że kiedyś uda nam się przeżyć coś takiego?

- Nie - odparła ze zmęczeniem. - Nie uda nam się. I nawet o tym nie myśl!

- Chcesz mi powiedzieć, że na końcu tego potwornie ciemnego tunelu nie ma nawet odrobiny światła?

- Nie ma i nie może być, przecież wiesz. Wiesz, że to jest...

- Tak? - przerwał jej. - Co to jest? Oświeć mnie, bo naprawdę chciałbym wiedzieć!

Debbie wiedziała, co to jest - coś, co w jednej chwili mogło do końca zniszczyć jej kruche małżeństwo, zagrozić szczęściu i poczuciu bezpieczeństwa dzieci, zaszkodzić jej karierze... Było to absolutnie beznadziejne i mogło skończyć się wyłącznie cierpieniem. Mimo tej świadomości za żadne skarby świata nie wyrzekłaby się tego, co łączyło ją z Joelem. To było tak rzadko spotykane i cudowne, największe szczęście, o jakim człowiek mógł marzyć, warte wszystkiego, absolutnie wszystkiego.

## ROZDZIAŁ 46

### *PAŹDZIERNIK 1990*

Boże, teraz wszystkie moje spódnice robią się za ciasne, pomyślała Elizabeth. Było to śmieszne, bo przecież dziec... bo przecież to, co tam było, miało wielkość pestki pomarańczy. Pewnie utyla z powodu zmian hormonalnych. Przekłete hormony. O, tak, przekłete, bo wszystko to stało się właśnie przez nie. No, ale dzisiaj był już piątek, w poniedziałek szła na wizytę do doktora Younga, a potem jeszcze tylko cztery dni i będzie po wszystkim. Sarah zarezerwowała już miejsce w szpitalu. Elizabeth powiedziała wszystkim, dlaczego jej nie będzie - Peterowi Hargreavesowi, że ma spotkać się z kimś w sprawie dochodzenia, Annabel i Tilly, że wyjeżdża na ważne spotkanie z klientami. Wszystko powinno być w porządku. Następnego dnia wróci do domu... Annabel będzie wtedy w pracy, a Tilly może wybierze się gdzieś z nowymi przyjaciółkami.



- Idziemy na zakupy, mamó - oświadczyła niedawno, swoim nadal doskonałym akcentem dziewczyny z prywatnej szkoły. - Wpadniemy do Top Shop i takich tam innych.

Tilly bardzo polubiła czarnoskórą Fallon, a Elizabeth podzielała tę sympatię. Fallon była dobrze wychowana i wyraźnie niezwykle wdzięczna Tilly za pomoc w odrabianiu lekcji; mieszkała razem z matką i pięciorgiem rodzeństwa w trzypokojowym mieszkaniu w Pimlico.

- Musi dzielić pokój z siostrami, gnieźdzą się tam we trzy, wyobrażasz sobie, mamó? Telewizor jest zawsze włączony, praktycznie przez cały dzień!

Odkąd jej pomagam, radzi sobie lepiej, także dzięki temu, że może odrabiać pracę domową tutaj. Jest bardzo zadowolona. Jedyne problem to Madison, która jest najwyraźniej zazdrosna, więc sytuacja nie jest łatwa.

- Wyobrażam sobie! - ostrożnie przytaknęła Elizabeth. Mało prawdopodobny scenariusz sielankowego szczęścia Tilly w państwowej szkole mógł od razu wziąć w łeb, gdyby zaczęła kłócić się z koleżankami. - Może zaprosisz Madison na niedzielę, tylko ją, żebyś mogła spędzić z nią trochę czasu?

- Nie mogę. Madison w niedziele widuje się ze swoją mamą.

- Ze swoją mamą? To kto się nią zajmuje?

- Jej ojciec i jego dziewczyna. Madison mówi, że ona jest bardzo miła i zawsze daje jej ciuchy i inne rzeczy, ale Madison i tak się w nie nie mieści... Strasznie denerwuje się swoją tuszą, naprawdę nie wiem, jak jej pomóc... Upiera się, że nie je dużo, że po prostu ma pochranione hormony.

- Naprawdę? A co je na lunch, na przykład?

- Chipsy - odparła Tilly bez cienia ironii. - Do powrotu do domu je wyłącznie chipsy, a potem musi przygotować sobie podwieczorek, bo Lara, dziewczyna ojca, wraca bardzo późno. Okropnie mi jej szkoda, to wszystko jest takie niesprawiedliwe.

- Rzeczywiście! - powiedziała Elizabeth, która w jednej chwili zrozumiała, że życie nieszczęsnej Madison pozbawione było miłości i czułości. - W takim razie może mogłaby wpaść do ciebie w niedzielę wieczorem, po spotkaniu z mamą, co?

Pomyślała o koleżankach Tilly ze szkoły St Mary's, o dziewczynkach o otwartych, miłych twarzach, z kochającymi, troskliwymi rodzicami, świetnie ubranych, doskonale odżywionych, dziewczynkach, których troski ograniczały się do tego, czy ich kucyki będą tęsknić za nimi w czasie semestru, i nagle ogarnęła ją złość - ostatnio bardzo łatwo wpadała w złość - na zasadniczą niesprawiedliwość ludzkiego losu.

- Świetny pomysł, mogłybyśmy obejrzeć jakiś film na wideo, dzięki, mamó! - Tilly pocałowała matkę i wybiegła.

Tilly była już spokojniejsza i pogodniejsza - wreszcie zaczęła powoli przyjmować do wiadomości śmierć ojca. Z całą pewnością nie potrzebowała teraz traumatycznego doświadczenia, jakim byłoby pojawienie się w domu noworodka i konieczność pogodzenia się z rzeczywistością jego poczęcia.

Boże, znowu było jej niedobrze. Wpadła do toalety w ostatniej chwili, zrzuciła niewielkie śniadanie do muszli klozetowej. Kiedy wychodziła, ocierając załzawione oczy, wpadła na Annabel.

- Halo, kochanie, myślałam, że już wyszłaś.

- Nie, jeszcze nie. Wszystko w porządku, mamó? Dalej męczą cię mdłości?

- Tak, niestety... Lekarz mówi, że w depresji to zupełnie normalne. Cały organizm przechodzi trudne chwile i nie wie, co się z nim dzieje.

- Biedna jesteś... Zaraz przyniosę ci filiżankę herbaty, co ty na to?

- Nie, dziękuję! - Elizabeth z trudem opanowała dreszcz obrzydzenia. - Lepiej napiję się wody.

- Dobrze, podam ci! Usiądź na chwilę przy stole, no, proszę. - Annabel wyjęła butelkę wody mineralnej z lodówki i podała matce szklankę. - Napij się. Dziś wieczorem chciałabym z tobą porozmawiać, o Jamiem. Będziesz w domu?

- Tak, oczywiście... Może trochę później niż wczoraj, ale...

- Nic nie szkodzi, Florian i ja idziemy na drinka z jego przyjaciółmi! Do zobaczenia koło dwudziestej trzydzieści, dobrze?

- Dobrze, skarbie... Do zobaczenia...

Annabel wyszła. Jak to dobrze, że jest tak pochłonięta swoim życiem, pomyślała ze zmęczeniem Elizabeth. Gdyby było inaczej, mogłaby w końcu coś zauważyć, albo zacząć podejrzewać...

- Lucindo, mówi mama - głos pełen napięcia i zmęczenia. - Tata... tata miał wylew...

- O, mój Boże! W jakim jest stanie?

- Na razie nie wiemy, lekarze nie potrafią powiedzieć, co będzie. Największym zagrożeniem jest możliwość drugiego wylewu. Tak czy inaczej, zależało mi, żebyś wiedziała.

- Tak... No tak... Och, mamó, to straszne. Jak ty się czujesz?

- Nic mi nie jest, ale... ale to okropny szok, no, wiesz...

- Naturalnie! Przyjadę do ciebie, zaraz wsiadam do samochodu!

- Nie wiem, czy to dobry pomysł. Dziecko może przecież lada chwila przyjść na świat.

- To jeszcze całe cztery tygodnie! Chcę przyjechać, zobaczyć tatę. Będę koło trzynastej, dobrze?

Lucinda była głęboko poruszona. Jej ojciec zachował się okropnie wobec Blue i nigdy nie był szczególnie zaangażowanym rodzicem, ale jednak był ojcem, a ona bardzo go kochała. Spakowała podróżną torbę, zadzwoniła do Blue i wyruszyła w drogę do Gloucestershire.

Pół godziny później pod dom podjechał kurier na rowerze, z kopertą zaadresowaną do Lucindy i oznaczoną nalepkami „Do rąk własnych adresata” oraz „Pilne”. Kiedy zorientował się, że Lucindy nie ma w domu, chociaż wcześniej zapewniono go, że będzie, zaklął pod nosem, a potem postanowił wepchnąć kopertę pod drzwi. Ostatecznie przesyłka została nadana jako „Pilna”, prawda?

Debbie doszła do wniosku, że przerwa semestralna będzie czymś w rodzaju próby generalnej i postanowiła myśleć o niej właśnie w ten sposób - jako o próbie generalnej wyjazdu na stałe do Szkocji.

I konieczności pożegnania z Joelem.

Ta ostatnia myśl przerażała ją tak bardzo, że czasami nie potrafiła powstrzymać łez. Myśl o życiu i świecie bez niego, już zawsze... Naturalnie jeżeli w ogóle można nazwać życiem taką marną egzystencję.

Och, Debbie, przestań dramatyzować! Co z oczu, to i z serca, życie toczy się dalej, słońce wschodzi i zachodzi, i tak dalej...

Dzieci były niezwykle podekscytowane. Spakowały swoje rzeczy kilka dni przed wyjazdem i teraz odliczały już tylko godziny. Richard także nie krył radosnego podniecenia.

- Nie mogę się już doczekać, kiedy wszystko ci pokażę! Jestem pewny, że bardzo ci się tutaj spodoba! Przygotowałem dom na wasz przyjazd, a Morag jest po prostu fantastyczna, dała nam mnóstwo rzeczy, na przykład jakieś niepotrzebne zasłony, które wystarczą nam do czasu, aż sama tu wszystko urządzisz.

Boże, broń mnie przed darami Morag, pomyślała Debbie, lecz zaraz bardzo się zawstydziła. Morag na pewno nigdy nie dopuściłaby się małżeńskiej zdrady.

Debbie musiała wziąć cały tydzień urlopu, co było jej bardzo nie w smak. Gorączkowo starała się poprawić swoje wyniki, aby Anna pozwoliła jej prowadzić przynajmniej jedną ze spraw ze Szkocji i trudno jej było znaleźć choćby chwilę dla Joela. Kiedy jednak w piątek po południu wróciła do domu, zastała Emmę z poszarzałą buzią, leżącą na kanapie, z plastikową miską pod ręką i wymiotującą mniej więcej co dziesięć minut.

- Strasznie mi przykro - przepraszającym tonem powiedziała Jenny. - Zaczęło się od razu po wyjściu ze szkoły! Szczerze mówiąc, Rachel też jest trochę nieswoja, wcale mi się to nie podoba.

W tym momencie w drzwiach stanęła Rachel, równie blada jak Emma.

- M... Ma... Mamo - jęknęła i zwymiotowała.

Dziwne, że chociaż wkrótce cała trójka dzieci wymiotowała jednocześnie, Debbie czuła się absurdalnie, dziko szczęśliwa.

Był to bardzo paskudny wirus, którego ofiarą padły dzieci we wszystkich okolicznych szkołach, potwierdził przez telefon lekarz rodzinny.

- Wymioty i biegunka - poinformowała Debbie Richarda następnego dnia rano. - Emma czuje się tak marnie, że wezwałam lekarza. Przykro mi, naprawdę. Zobaczmy, jak będą się czuli w poniedziałek, wtedy może podejmiemy jakąś decyzję.

- Mam nadzieję! Bardzo za wami tęsknię, poza tym Morag będzie okropnie rozczarowana.

- Przykro mi - powtórzyła pokornie Debbie.

Richard najwyraźniej uważał, że to ona była winna atakowi wirusa. Odłożyła słuchawkę i zadzwoniła do Joela.

- Musiałam ci powiedzieć... Tylko nawet nie myśl o tym, żeby tu przyjść!

- Przyjdę!

- Jeżeli przyjdiesz, będziesz musiał zmywać zarzyganą podłogę!

- Więc może jednak nie przyjdę - wycofał się pośpiesznie.

Debbie już wcześniej odkryła, że Joel był bardzo wrażliwy na punkcie rzeczy obrzydliwych.

Blue wrócił do domu bardzo późno. Skorzystał z nieobecności Lucindy i umówił się z kilkoma klientami. W progu potknął się o leżący na wycieracze list. „Do rąk własnych adresata” i „Pilne”, głosiły

nalepki. Koperta była zaadresowana do Lucindy. Blue odwrócił ją, zobaczył, że nadawcą jest Steve Durham, adwokat, Regent Street W1 i postanowił zajrzeć do środka. Pewnie ten leniwy łobuz w końcu energiczniej zajął się postępowaniem rozwodowym. Blue wciąż miał nadzieję, że uda mu się namówić Lucindę przynajmniej na cywilny ślub przed porodem. Nie miał przecież zamiaru pozwolić, aby jego pierworodny przyszedł na świat jako nieślubne dziecko.

Pół godziny później, po zimnym prysznicu i dużym kubku kawy, siedział za kierownicą ferrari i wyjeżdżał z miasta w kierunku zachodnim, niepewny, czy dominującym w jego sercu uczuciem była wściekłość czy smutek.

\* \* \*

W tę sobotę Elizabeth obudziła się wcześniej rano, bardzo smutna. Poprzedniego wieczoru rozmawiała z Annabel o Jamiem oraz tym przeklętym przyjęciu zaręczynowym, do którego tak dążyła Frances Cartwright.

- Frances proponuje początek grudnia, mamo. Nie wiem, co ty na to? Rozumiem, że to jeszcze trochę za wcześnie, ale... No, wiesz, ja byłabym bardzo szczęśliwa. Zwłaszcza że nie musimy organizować imprezy tutaj, w każdym razie jeszcze nie teraz. I zdaję sobie sprawę, że wszystko to może ci się wydawać oznaką obojętności i braku serca, ale...

- Ale życie musi toczyć się dalej - dokończyła zdecydowanym tonem Elizabeth. - To oczywiste.

- Tak czy inaczej, to naprawdę miły pomysł, żebyśmy pojechali do nich na to przyjęcie! Wtedy my moglibyśmy urządzić coś tutaj, jakiś czas po świętach.

- Doskonale!

Święta Bożego Narodzenia! Jak ona przez nie przebrnie, na miłość boską! Nie myśl o tym, Elizabeth! Bierz życie dzień po dniu!

- Najważniejsze jest jednak to, czy ty zechcesz pojechać. To znaczy, czy czujesz się na siłach...

- Nie - odparła twardo Elizabeth. - W żadnym razie! Przepraszam, Annabel, ale spotkania z mnóstwem ludzi, których nie znam, pobyt w obcym domu. Nie, to nie wchodzi w grę. Przykro mi, skarbie, czuję się strasznie zmęczona, chyba położę się dziś trochę wcześniej.

- Przynieść ci kolację? Może omlet, taki niedosmażony, półpłynny, taki jak lubisz?

Na samą myśl o półpłynnym, niedosmażonym omlecie Elizabeth natychmiast zrobiło się niedobrze.

- Nie, dziękuję - powiedziała, wstając. - Nie mam na nic ochoty, naprawdę! Coś jest nie tak z moim apetytem, to pewne. Może napiję się herbaty.

Filizankę herbaty mogła bezpiecznie wylać do klozetu.

- Dobrze, zaraz ci przyniosę. Bardzo, bardzo ci dziękuję, mamo!

- Za co?

- Za twoją wyrozumiałość. Jesteś absolutną gwiazdą, kocham cię!

- Ja też cię kocham.

Jednak kiedy następnego dnia rano Elizabeth pomyślała o przyjęciu zaręczynowym Annabel, takim, jakie powinna mieć, z dumnie uśmiechniętymi rodzicami i tłumem krewnych i przyjaciół ze wszystkich pokoleń, prawie nie mogła oddychać z bólu i rozpacz.

I oczywiście znowu męczyły ją mdłości. Gdy Annabel zjrzała do matki przed wyjściem do pracy, ujrzała ją pędzącą do łazienki, bladą jak ściana, z ręcznikiem przyciśniętym do ust.

- No, dobrze - powiedział Blue. - Siadaj!

Obudził ją parę minut po szóstej, energicznie waląc w drzwi, z twarzą zastygłą w grymasie złości.

- Blue...

- Siadaj, powiedziałem! I wyjaśnij mi, o co tu chodzi, do kurwy nędzy!

- Blue, mama usłysz...

- Mam gdzieś, co usłysz twoja mama, tata oraz twoje nadęte rodzeństwo! Czy on też tu jest? Twój... Twój mąż? Wcale by mnie to nie dziwiło!

- Oczywiście, że go tu nie ma! O czym ty właściwie mówisz?

- O tym! - Blue wyjął list z kieszeni i pomachał nim przed oczami Lucindy. - O tym liście!

- Och - westchnęła ciężko. - O tym... Zbladła jak ściana i ciężko osunęła się na krzesło.

- Tak, o tym! O tym... O tym dokumencie, przysłanym przez twojego adwokata! Musiało mi chyba kompletnie odbić, że skierowałem cię do niego! Ale dzięki temu przynajmniej wreszcie kilka spraw stało się dla mnie jasnych - dlaczego nie chciałaś zgodzić się na kupno domu, dlaczego Nigel ciągle do ciebie wydzwaniał. Jezu, obrzydzenie mnie bierze, kiedy o tym pomyślę! Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś, nosząc moje dziecko, naturalnie, jeżeli to jest moje dziecko, bo właśnie zaczynam mieć poważne wątpliwości! Może to dziecko Nigela, co?! Widywałaś się z nim przez cały ten czas?

- Nie bądź śmieszny! To twoje dziecko, jak mogłeś pomyśleć coś takiego?!

- Bez trudu - odparł. - Wystarczyło, że przeczytałem to pismo, oświadczenie, jak to nie czujesz się całkowicie bezpieczna w swoim nowym związku, jeszcze nie wyszłaś za mąż, mieszkasz w zupełnie nieodpowiednich warunkach, nie możesz pracować, bo jesteś w ciąży... To ostatnie to naprawdę niezły kawałek, słowo daję! Jak myśl o przeznaczonym dla ciebie domu daje ci uczucie pewności i spokoju. Nie zdałem też sobie sprawy, że zrezygnowałaś z kariery, żeby poślubić Nigela! A co z pracą w wydawnictwie, w takim razie? Czyżby to była jakaś akcja charytatywna? I co to za historia z pieniędzmi, z których zrezygnowałaś, żeby wyjść za mąż za Nigela? Z tymi stoma tysiącami funtów?

- To prawda! - oznajmiła Lucinda. - Gdybym wyjechała do Nowego Jorku z Virgilem, z łatwością zarobiłabym taką kwotę z procentu od sprzedaży, bo jego obrazy osiągają milionowe ceny!

- Ach, z Virgilem, tym pedałem. Wymyśliliście razem niezłą bajeczkę! Czapki z głów, moja droga, nie sądziłem, że stać cię na coś takiego!

Lucinda milczała.

- Jaką rolę odegrał w tym wszystkim Nigel? Nie miałem pojęcia, że... Zaraz, jak to zostało tu ujęte? Że położył kres twojej karierze, poważnie ograniczył twoje życie towarzyskie! A co z tymi wszystkimi

przyjęciami, weselami, chrzciniami, i tak dalej, na które byłaś ciągle zapraszana, kiedy cię poznałem? I co to za bzdura, że dzieląca was różnica wieku w nieunikniony sposób wywarła negatywny wpływ na wasze małżeństwo i twoje życie osobiste, co? Twoje życie osobiste, do cholery! Czy pod tym zgrabnym określeniem kryje się seks?

- Steve zasugerował umieszczenie tego w dokumencie, powiedział, że to powinno pomóc.

- Ach, tak, pomóc. Komu?

- Mnie... Powinno pomóc mi w osiągnięciu korzystnych warunków ugody finansowej.

- No, jasne! Na czym miałyby polegać ta ugoda finansowa, którą Durham pomaga ci zawrzeć?

- Miałabym dostać dom, na początek.

- Dom?! Po co ci dom, do diaska?! Przecież to ja kupuję ci dom!

- Wiem, ale... Och, nie rozumiesz...

- Masz rację, nie rozumiem! I pewnie masz nadzieję dostać jeszcze jakieś pieniądze, tak?

- Tak... Ale... Posłuchaj, proszę, pozwól mi wyjaśnić.

- Chyba nie chcę, żebyś mi cokolwiek wyjaśniała! I nie chcę więcej mieć z tobą nic wspólnego!

Chce mi się rzygać, kiedy na ciebie patrzę! Możesz podrzeć ten dokumencik, nie będzie ci potrzebny! Za parę dni dostaniesz inny, ode mnie! I nawet nie myśl o tym, żeby przyjeżdżać po rzeczy! Nigel bez wątpienia kupi ci wszystko, co zechcesz! Wygląda na to, że na dobre owinęłaś go sobie wokół paluszka!

I wypadł z domu, zostawiając Lucindę samą.

\* \* \*

Nowa przyjaciółka Tilly Fallon przyszła przenocować u niej z soboty na niedzielę. Dziewczęta puszczały muzykę na cały regulator w pokoju Tilly i oglądały filmy na wideo. Annabel pomyślała, że miło jest czuć, że dom znowu żyje, bo ostatnio ciągle panowała w nim martwa cisza. Rano weszła do kuchni i zastała dziewczyny przygotowujące grzanki w jajku, przysmak, którego Fallon nigdy nie próbowała.

- Cześć! - powiedziała z uśmiechem Tilly. - Znasz Fallon, prawda?

- Jasne! Cześć, Fallon!

- Cześć - odparła Fallon.

Była śliczną dziewczyną, Annabel przyszło nawet do głowy, że mogłaby zostać modelką, zaraz jednak skarciła się za tak nierozważną myśl. Dobrze by było, gdyby nikt nie zaproponował Fallon czegoś takiego co najmniej przez trzy czy cztery następne lata.

- Świetny dom - dorzuciła Fallon.

- Nie pomieszkamy tu zbyt długo - powiedziała Annabel. - Wystawiliśmy go na sprzedaż i szukamy innego, Tilly pewnie ci już o tym wspominała, ale... Ale teraz nasza mama nie ma siły na przeprowadzkę, nie czuje się zbyt dobrze.

- Jasne! - Fallon pokiwała głową.

- Biedna mama - westchnęła Tilly. - Rano znowu wymiotowała! Ma tyle spraw na głowie i jeszcze coś takiego.

- Moja mama też co rano wymiotuje - oświadczyła Fallon.

- Naprawdę?

- Tak. Znowu jest w klubie i wcale ją to nie cieszy, możecie mi wierzyć!

- W jakim klubie? - spytała Tilly.

- Daj spokój! - prychnęła Annabel. - Jesteś beznadziejna, naprawdę! To po prostu znaczy, że jest w ciąży.

- Ach, tak? - zdziwiła się Tilly. - Ciekawe... No, nasza mama na pewno nie jest w ciąży! Posypać grzanki tartym serem, Fallon? Z serem są jeszcze lepsze!

Nie patrzyła na Annabel. Gdyby zahaczyła wzrokiem o starszą siostrę, zobaczyłaby, że ta zamarła nagle, z imbryczkiem do parzenia herbaty w ręku, i mocno się zaczerwieniła.

## ROZDZIAŁ 47

### *PAŹDZIERNIK - LISTOPAD 1990*

W poniedziałek rano dziewczynki czuły się już lepiej - siadały, popijały kleik jęczmienny na wodzie, z cytryną, i pogryzały suche grzanki, ale Alex dalej wymiotował.

Debbie znowu zadzwoniła do Richarda.

- Nie możemy przyjechać, przepraszam. Może tobie udałoby się wpaść na dzień czy dwa, dzieci bardzo by się ucieszyły.

- Nie mogę, Debbie! Jestem tak samo zawiedziony jak wy, ale tu w szkole są dzieci, którymi trzeba się zająć. Naprawdę bardzo mi przykro, mam nadzieję, że to rozumiesz.

- Oczywiście! Wielka szkoda, że tak się złożyło. Do widzenia, Richardzie! Odłożyła słuchawkę z uśmiechem. Ależ ze mnie suka, pomyślała. Wieczorem dzieci zaczęły powoli wracać do zdrowia, nadal nie były jednak dość silne, żeby znieść długą podróż do Szkocji.

- Straszna szkoda - powiedziała Debbie do Flory tego wieczoru. - Były takie podekscytowane, a teraz wyglądają jak z krzyża zdjęte... Przydałby się im pobyt na świeżym powietrzu...

- Możesz przywieźć je tutaj - odparła Flora. - Znacznie bliżej, na dodatek pogoda jest przepiękna. Lepiej korzystajmy z domu, dopóki się da, bo niedługo wystawię go na sprzedaż!

- Och, nie! To okropne!

- Trudno nazwać to inaczej, ale Lloyd's twardo upomina się o swoje.

- Ale... dokąd się przeprowadzisz? - Debbie nie bardzo mogła wyobrazić sobie Florę w jakimkolwiek innym miejscu.

- Nie mam pojęcia. No to macie ochotę przyjechać czy nie? Byłoby mi bardzo miło.

Debbie pomyślała nagle, że to znakomity pomysł. Spędziłaby trochę czasu w bezpiecznym miejscu, z dala od tego bolesnego, trudnego problemu, z emocjami sprowadzonymi do uspokajania dzieci i niezwracania zbytnej uwagi, kiedy Flora traktuje je jak własne.

- Z przyjemnością przyjedziemy, Floro - powiedziała. - Dziękuję ci!

Doktor Young, psychiatra, wcale nie podobał się Elizabeth. Był dosyć szorstki w obyciu i potraktował ją raczej obcesowo - zapytał, z jakiego właściwie powodu czuje, że nie może urodzić dziecka, a ona odparła, że każdy głupi domyśliłby się tego bez większych trudności: jej mąż niedawno zmarł, ma już troje dzieci oraz pracę na pełny etat, wymagającą pełnego zaangażowania. Po chwili dodała, że ma również ponad czterdzieści lat i martwi się o swoje zdrowie, które cierpi z powodu ciąży, oraz o rozmaite choroby, mogące wystąpić u płodu.

- Dziś dzieci rodzi wiele kobiet w pani wieku, a nawet starsze - rzekł psychiatra. - A pani jest w doskonałej formie, w każdym razie takie odnoszę wrażenie. Pod względem statystycznym ma pani bardzo dużą szansę na urodzenie zdrowego dziecka, istnieją już zresztą badania, które pozwalają na stwierdzenie schorzeń u nienarodzonych.

- Tak, wiem o tym! - oświadczyła Elizabeth, z trudem tłumiąc ogromną chęć przechylenia się przez biurko i wymierzenia lekarzowi siarczystego policzka. - O ile mi wiadomo, pozytywny wynik na syndrom Downa oznacza aborcję w dwudziestym tygodniu, prawda? Takie przeżycie raczej nie pomoże mi wrócić do równowagi po śmierci męża!

- Nie musiałaby pani decydować się na aborcję. Dzieci z zespołem Downa są cudownie łagodne i pełne miłości, ich wychowywanie może być wspaniałym doświadczeniem. No, cóż, dobrze, jestem gotowy podpisać zgodę na pani żądanie aborcji. Tak czy inaczej, zachęcam do ponownego przemyślenia tej kwestii. Bezpośrednim rezultatem usunięcia ciąży jest zazwyczaj depresja, nie wydaje mi się, żeby w tym stanie ducha podejmowała pani taką decyzję... Bardzo proszę, aby przed piątkiem poświęciła pani trochę czasu na rozważenie sprawy i upewnienie się, że naprawdę wie pani, co robi.

- Nie stać mnie na wzięcie urlopu, aby przemyśleć tę decyzję - rzuciła Elizabeth. - Muszę zarabiać na życie, mówiłam już panu!

A teraz czekało ją jeszcze spotkanie z Fioną Broadhurst i dalsza strata czasu. Elizabeth zgodziła się spotkać z Fioną, aby przedyskutować jakąś podobno ważną kwestię, lecz już szczerze tego żałowała.

- Naprawdę nie zajmę pani dużo czasu, pani Beaumont! - Na twarzy Fiony Broadhurst pojawił się typowy dla niej nieco chłodny uśmiech. - Wiem, że nie chce pani brać udziału w przygotowaniach do postępowania sądowego, bo napisała mi pani o tym, zastanawiam się jednak, czy zdaje sobie pani sprawę, że grupa pod przewodnictwem George'a Meyera, w której był pani mąż, miała przynajmniej pewną szansę na zwycięstwo, w każdym razie takie jest zdanie moje i naszego radcy prawnego.

- Naprawdę? Z tego, co słyszałam i czytałam wynika dość jasno, że nie ma praktycznie żadnych szans, aby Lloyd's pozwolił sobie wydrzeć choćby jeden grosz!



- To nie do końca prawda. Choć dotyczyło to zupełnie innej sprawy i zdarzyło się dość dawno temu, to jednak mamy taki precedens. Mówię o sprawie Camerona Webba, pewnie wie pani, o co w niej chodziło.

Elizabeth potrząsnęła głową.

- Otóż Peter Cameron Webb i Peter Dixon, dwóch znanych brokerów Lloyd'sa, uznano za winnych defraudacji, a konkretnie przelania premii ubezpieczeniowych na własne konta, w rezultacie czego członkowie, których sprawy prowadzili, zostali bez odpowiednich środków zabezpieczających. Wydano nakazy ich aresztowania, ale obaj wcześniej wyjechali z kraju. Lloyd's zaproponował wtedy poszkodowanym członkom spore kwoty. - Fiona przerwała na chwilę. - Grupa, na czele której stanął pan Meyer, liczy obecnie około stu osób, przyłączyło się do niej sporo nazwisk, obsadzonych w syndykacie Westfield Bradley, między innymi pani mąż. I nie jesteśmy osamotnieni - co najmniej cztery tysiące nazwisk, a prawdopodobnie znacznie więcej, tworzy w tej chwili grupy, które także zamierzają wystąpić do sądu. Rozumiem jednak, że ma pani dosyć stresów, z którymi musi pani sobie radzić, na pani miejscu z pewnością czułabym to samo. Napiszę pismo zwalniające panią z dalszego zaangażowania w sprawę i naturalnie zwrócę pieniądze, które pani mąż wpłacił za działania przygotowawcze, po odliczeniu kosztów...

- Dziękuję - powiedziała Elizabeth.

- Jak pani wie, dzień przed śmiercią pani męża byłam z nim na lunchu.

- Tak? I?

Ciekawe, co teraz usłyszę, pomyślała Elizabeth. Że ją podrywał?

- Powiedział mi wtedy, że jest absolutnie zdecydowany walczyć dalej, choć poinformowałam go, że pewien dowód w sprawie, do którego przywiązywał ogromną wagę, nie zostanie przyjęty w sądzie. Było to dla niego dużym rozczarowaniem.

Taśmy Joela Stricklanda, przemknęło przez głowę Elizabeth.

- Wydaje mi się, że ta nasza ostatnia rozmowa jest dość istotna - dodała Fiona.

- Jako przyczynek do określenia stanu jego umysłu, o to pani chodzi?

- Tak. Jestem przekonana, że pani mąż miał bardzo pozytywny stosunek do sprawy Lloyd'sa i z całą pewnością nie był przygnębiony. Oczywiście powtórzę to w trakcie dochodzenia nad przyczyną zgonu. Wie pani, że lekarz sądowy zwrócił się do mnie z prośbą o oświadczenie?

- Tak... Ja też odniosłam takie wrażenie jak pani. Dziękuję, że mi pani o tym powiedziała.

Mimo wszystko nie był to stracony czas; Elizabeth nagle poczuła się znacznie lepiej.

Poprosił, żeby przyjechała do niego.

- Nie mogę rozmawiać na ten temat w jakimś obskurnym barze - powiedział.

Zgodziła się.

- Ale nie będę mogła zostać długo, Joel, naprawdę!

- W porządku.

- Wiesz, o co mi chodzi...

- Wiem, o co ci chodzi!

- Włożę najbardziej obcisłe majtki, jakie mam...

- Dobrze!

Był poważny i wyraźnie spięty; może doszedł do wniosku, że jednak nie warto tak dręczyć się czekaniem, ukradkowymi spotkaniami, przerywanymi rozmowami. Może chciał zakończyć ich związek. Skuliła się w sobie, myśląc jednocześnie, że przynajmniej będzie po wszystkim, że będzie to miała za sobą. I zacznie mozolny powrót do normalnego życia, życia w cierpieniu, którego teraz tak bardzo się obawiała.

\* \* \*

- Cześć!

Miał na sobie dzinsy i białą koszulę, był boso, najwyraźniej dopiero przed chwilą wyszedł spod prysznic. Włosy mu sterczały, jeszcze wilgotne i posklejane. Z największym trudem powstrzymała się, aby nie rzucić się na niego, nie rozpiąć koszuli i rozporka... Zamknęła za sobą drzwi i zadowolona się dość długim pocałunkiem. Po chwili Joel się cofnął i uśmiechnął do niej.

- Ojoj - westchnął. - Siadaj... Napijesz się czegoś?

- Nie, dziękuję. Przyjechałam samochodem, czuję zresztą, że powinnam mieć zupełnie trzeźwą głowę.

- Słusznie! Zaczekaj chwilę, zaraz zrobię kawę!

Był bardzo wybredny, jeśli chodzi o kawę, w ogóle o napoje i jedzenie; posiłek w McDonalddie równał się dla niego zjedzeniu psiej karmy. Dobrze, że nie ma dzieci, pomyślała i w tym samym momencie poczuła ukłucie zazdrości, bo przecież niewykluczone, że któregoś dnia będzie je miał, i to z kimś innym.

- Proszę bardzo. Smacznego!

- Dziękuję.

- No, dobrze - powiedział. - Wygodnie siedzisz?

- Tak, dziękuję.

- Zaczynam mieć tego dosyć - oświadczył. - Tego, że nigdy nie wiem, kiedy uda nam się spotkać, tego, że nigdy nie mamy dla siebie dość czasu, że nie możemy spędzić razem ani jednej nocy, że muszę dzielić się tobą z twoją rodziną, że cały czas staram się o tym nie myśleć, że dzielę się tobą także z nim. To już... to już mi nie wystarcza. Przytrafiło nam się coś wyjątkowego, wyjątkowe jest to, co do siebie czujemy i dlatego takie warunki już mi nie wystarczają. Z początku były do przyjęcia, ale teraz nie mogę tego znieść. Za bardzo cię kocham, chcę mieć cię całą i na stałe, a dostaję tylko ochłapy. Więc...

Debbie przygotowała się na najgorsze, zamknęła oczy, niezdolna patrzeć na niego w chwili, gdy jej to powie, gdy powie jej tę straszną, okropną rzecz.

- Więc podjąłem decyzję - chcę, żebyś za mnie wyszła. Żebyś rozwiodła się i została moją żoną.

Była tak oszołomiona, że czuła się tak, jakby ją uderzył.

- Po prostu muszę się z tobą ożenić, rozumiesz? Muszę cię mieć. Nigdy nie znajdę nikogo innego, nikogo, kogo kochałbym tak jak ciebie, więc zamierzam rozpocząć z tobą normalne życie, z tobą i twoimi

dziećmi, i całym tym skomplikowanym bagażem, który dźwigasz. Nie wiem, jakim będę mężem, ale stanę na głowie i zrobię wszystko, dosłownie wszystko, żebyś była ze mną szczęśliwa.

- Och - wykrztusiła.

Nadal była wstrząśnięta, ale było to cudowne, słodkie uczucie. Z niewyobrażalną radością słuchała, jak Joel wyznaje, że kocha ją tak bardzo, że chce poślubić ją i jej dzieci, że chce być z nią przez resztę swojego i jej życia, i zastanawiała się, co takiego zrobiła i co takiego miała w sobie, że obudziła w nim takie pragnienie, kiedy przecież mógł mieć setki dziewczyn, pięknych, eleganckich, nieskomplikowanych młodych kobiet. Siedziała nieruchomo, w milczeniu, pragnąc, aby mówił dalej, więcej, a jeśli nie miał do powiedzenia nic więcej, to żeby powtórzył to, co przed chwilą powiedział.

- Nie wiem, co odpowiedzieć - odezwała się dość bezradnie. - Ale oczywiście chcę powiedzieć: tak, tak, tak, ja także bardzo pragnę cię poślubić.

- To chyba znaczy, że wszystko jest w porządku, prawda? - W jego głosie zabrzmiała nuta niepewności.

- Nie, Joel. Nie wszystko jest w porządku. Nie mogę zostać twoją żoną, bo jestem już mężatką. I nie mam żadnego powodu, aby zmienić ten stan rzeczy, naprawdę...

- Ależ masz! Kocham cię, a ty odwzajemniasz to uczucie, w każdym razie tak mówisz... A może się mylę?

- Nie - odparła. - Nie mylisz się. Kocham cię, strasznie cię kocham.

- Dobrze... Więc jesteśmy w sobie zakochani! Zwróć uwagę, że mam trzydzieści cztery lata i nigdy wcześniej nie chciałem się ożenić. I nigdy nie chciałem mieć dzieci. Jestem ambitny, zapatrzony w siebie, miewam ekstrawaganckie zachcianki i... Ogólnie biorąc, jestem fatalnym materiałem na męża, ale dla ciebie zrobię wszystko! Przyjmę twoje dzieci jak własne i... I kiedyś na pewno zapragnę, żebyś urodziła też moje...

- Och, Joel... - Oczy Debbie napęłniły się łzami.

- Sam nie mogę uwierzyć, że mówię takie rzeczy! Pewnie rozpęta się niezłe piekło i twoje dzieci znienawidzą mnie za to, że nie jestem ich ojcem, i tak dalej, i naprawdę nie widzę tego w ten sposób, że oboje odpłyniemy na obłoku prosto w blask zachodzącego słońca, trzymając się w objęciach, chcę tylko powiedzieć, że jestem na to gotowy, jestem gotowy na ogromne zamieszanie, niechęć twoich dzieci i wszystko, co się zdarzy. A to dlatego, że cię kocham! Więc... Więc co ty na to, Debbie? Na pewno chcesz coś powiedzieć...

- Chcę coś powiedzieć - przytaknęła. - Naturalnie, że chcę! Ja też cię tak kocham! Ale... ale przecież musiałeś wiedzieć o tym od... od nie wiem jak dawna...

- Och, od wielu godzin! - Uśmiechnął się szeroko. - A może i od wielu dni...

- No, właśnie! Więc przywykłeś już do tej myśli, do tej świadomości, a dla mnie to absolutny szok. Cudowny szok, tak cudowny, że połowa mnie chce po prostu zostać tutaj i w ogóle nie wracać do domu...

- A ta druga połowa?

- Ta druga połowa jest przerażona. Boi się wszystkiego, najróżniejszych rzeczy. Muszę to bardzo, bardzo dokładnie przemyśleć. Nie chodzi tu o mnie, ani o ciebie, ani nawet o Richarda, to nie nas troje muszę wziąć pod uwagę, podejmując decyzję. Chodzi o dzieci. One kochają ojca, uważają go za najwspanialszego człowieka pod słońcem, więc muszę... Muszę zrobić to, co należy.

- Czyli zostać ze mną!

- Tak, jasne, chcę tego najbardziej na świecie! I na razie to wszystko, co mogę powiedzieć...

- No dobrze... - Joel spojrzął na zegarek. - O której musisz wrócić do swoich cholernych obowiązków?

- Obiecałam, że będę w domu o dziesiątej.

- O dziesiątej! Jest już dziewiąta!

- Wiem, ale... - zawahała się. - Jan powiedziała, że może posiedzieć do północy.

- To dobrze. - Wyciągnął rękę, wsunął ją pod bluzkę Debbie i zaczął pieścić jej piersi. - Lubię tę Jan. Wygląda na to, że to dobra dziewczyna.

- Bo to jest dobra dziewczyna.

Przysunęła się bliżej, rozpięła mu koszulę, zjechała dłonią w dół po dzinsach. Czowała się niesamowicie, tryskała życiem i energią, pełna radości i pożądania.

- Idziemy do sypialni? Czy zostajemy tutaj?

- Chyba nie dojdę do sypialni - zamruczała.

Potem wszystkie wrażenia i odczucia połączyły się w jedno, zdumiewająco gorące. Nigdy wcześniej nie czuła czegoś takiego, nawet wtedy, gdy kochała się z nim pierwszy raz. Miała wrażenie, że odbiera wszystko, dosłownie wszystko, jej ciało nie miało pojęcia, co robi, wiedziało tylko, czego pragnie. Leżeli na podłodze, on był w niej i już było po wszystkim, jeszcze zanim na dobre się zaczęło, ale było to wspaniałe i zachwycające. Debbie szlochała, krzyczała i śmiała się, a gdy wreszcie ucichła, Joel leciutko pogłaskał ją po policzku.

- Chodźmy teraz do łóżka - powiedział. - Trzeba zrobić to jak należy.

Było po dwunastej, kiedy dotarła do domu, wyczerpana, pełna uniesienia, niepewna, kim właściwie jest ani na co ją stać. Przeprosiła Jan i powiedziała, że musieli omówić mnóstwo rzeczy.

- Jasne, jasne - Jan ogarnęła wzrokiem jej rozmazany tusz do rzęs, zarumienione policzki, pogniecione ubranie. - Omawialiście i omawialiście, od razu widać! Och, ty szczęściaro!

Coraz bardziej zdenerwowany Steve Durham niecierpliwie czekał na wiadomość od Lucindy. Wiedziała przecież, jakie to ważne, na miłość boską! Gdyby nie zależało mu na czasie, nie wysyłałby do niej dokumentu kurierem, prawda?

W poniedziałek po południu miał już dosyć. Kilka razy dzwonił do niej w ciągu dnia i zostawił parę nagranych wiadomości, bo sprawa naprawdę była zbyt ważna. Adwokat Cowpera miał już podobny dokument, podpisany i gotowy, tymczasem on najpierw parł do takiego rozwiązania, a teraz wyszedł na kom-

pletnego niekompetentnego durnia. W tej sytuacji postanowił zadzwonić do Blue Hortona, do pracy, bo to przecież on polecił go Lucindzie.

Kiedy zapytał Blue, czy wie, co stało się z dokumentem, który wysłał do jego domu w piątek i dodał, że zależy mu, aby jak najszybciej otrzymać wspomniany dokument z powrotem, podpisany przez Lucindę, Blue rzucił soczystym mięsem i powiedział, że jeśli o niego chodzi, to Steve może sobie wsadzić papier w dupę i podpalić, a jeśli chodzi o Lucindę, to niech łapie ją w domu jej rodziców.

- Możesz też ściągnąć z niej całą forszę, jaka ci się należy! - zakończył. - I przekaz jej, że ja ci tak powiedziałem!

Elizabeth wróciła do domu kompletnie wykończona. Miała za sobą koszmarny dzień, łagodnie mówiąc. Jakby mało miała innych przeżyć, to jeszcze Peter Hargreaves prawie przeproszającym tonem poprosił, aby nową prezentację dla firmy Mercers' przedstawiła w poniedziałek, jeśli to możliwe.

W poniedziałek! Akurat w poniedziałek, kiedy ona na pewno nie będzie w najlepszej formie!

Na domiar złego facet z agencji nieruchomości zatelefonował z wiadomością, że Amerykanie podbili cenę za dom i że jego zdaniem powinni podpisać umowę sprzedaży.

- Ale ja nie mam gdzie się przeprowadzić!

- Mogę wynająć dla pani jakiś dom na kilka tygodni, dopóki nie znajdzie pani czegoś na stałe. I naprawdę uważam, że dobrze pani zrobi, przyjmując tę ofertę, bo rynek nie jest w tej chwili szczególnie stabilny.

- Zadzwoń do pana jutro z samego rana - odparła Elizabeth.

Weszła do salonu i ciężko osunęła się na kanapę. Rozejrzała się po pokoju i pomyślała, że przeprowadzka to poza wszystkim ogromny wysiłek. Zabraknie im miejsca na połowę mebli, będzie musiała podejmować jedną decyzję po drugiej, organizować wyprzedaże, i tak dalej, i tak dalej... Na dodatek trzeba będzie zająć się rzeczami Simona; odkładała to z dnia na dzień i do tej pory nie pozbyła się nawet jego ubrań. Nie mogła się na to zdobyć, nie potrafiła ich dotknąć, wziąć do ręki i wyrzucić, albo komuś oddać. Miała wrażenie, że dopiero wtedy jego śmierć stanie się nieznośnie, niewymownie ostatecznym faktem.

- Cholera jasna! - powiedziała głośno. - Cholera jasna! Frontowe drzwi otworzyły się, w holu rozległy się czyjeś kroki.

- Mamo! - usłyszała głos Annabel.

- Jestem w salonie, kochanie.

Annabel weszła do pokoju. Była blada, spięta.

- Wszystko w porządku, słonko? Co się dzieje? Annabel wzięła głęboki oddech.

- Ze mną nic się nie dzieje, mamo - powiedziała. - Ale wiem, że coś złego dzieje się z tobą. Czy ty... czy ty jesteś w ciąży?

# ROZDZIAŁ 48

*LISTOPAD 1990*

Przyjazd tutaj okazał się naprawdę dobrym pomysłem. Debbie uspokoiła się i odpoczęła po raz pierwszy od... No, nie mogła już nawet przypomnieć sobie, od jak dawna.

Miała świadomość, że będzie musiała podjąć pewne decyzje i kroki, ale jeszcze nie teraz. Na razie chciała po prostu nacieszyć się kilkoma spokojnymi, miłymi dniami. Nie pamiętała, aby kiedykolwiek wcześniej była tak szczęśliwa.

Pogoda zdobyła się na ostatni gigantyczny wysiłek, jakby specjalnie dla nich. Urządzili sobie nawet coś w rodzaju pikniku; co prawda silny wiatr szarpał kurtkami i musieli usadowić się w skalnym zakątku na plaży w Mewslade, ale mimo wszystko byli na świeżym powietrzu. Dzieci znowu miały różowe policzki i jadły jak młode wilczki.

Flora odważnie patrzyła w niepewną przyszłość i snuła rozmaite plany.

- Zastanawiam się, czy nie wyjechać do Szkocji - powiedziała. - W góry. To piękne okolice, trochę podobne do Gower, tylko o bardziej dramatycznej urodzie, no nie tak łagodnym klimacie. Tak czy inaczej, niewielką posiadłość można tam kupić prawie za grosze.

Debbie nie miała ochoty pytać ją o konie. Nie wyobrażała sobie jakoś, aby Prince Hal mógł przeprowadzić się do Szkocji, chociaż naturalnie nie było to całkowicie wykluczone. A jeśli chodzi o Boya...

- Tilly pierwszy raz nie przyjechała na przerwę semestralną - zauważyła Flora ze smutkiem, najwyraźniej bez trudu podążając za tokiem myśli Debbie. - Mówi, że teraz chce być przy matce, poza tym podobno ma sporo przyjaciół w nowej szkole. Co za ulga, że jakoś jej się to wszystko ułożyło.

- Dlaczego miałyby się nie ułożyć? - zapytała Debbie, czując dawne rozdrażnienie.

- No, ta nowa szkoła to zupełnie inne warunki niż te, do jakich przywykła.

- Ale to nie znaczy przecież, że gorsze! Zresztą dzieci łatwo przyzwyczajają się do nowości!

- Och, kochanie, naprawdę! Tilly obracała się w uprzywilejowanym, wąskim środowisku, jest nieśmiała i nieobyta w świecie, aż do granic absurdu, i założę się, że nowi znajomi traktują ją jak zabawną ciekawostkę! Na pewno żartują z niej, może nawet jej dokuczają. Moim zdaniem to cud, że tak łatwo się tam przyjęła! Wygląda na to, że szkoła naprawdę jej się podoba - napisała do mnie bardzo miły list o tym, jak chłopcy kpią z niej i nazywają „Księżniczką”, i co robi w każdy weekend ze swoimi dwiema nowymi przyjaciółkami Fallon i Madison... Uważam, że to niesamowite!

- Nie sądzisz, że dobrze jej zrobi poznanie nowej strony życia i przebywanie wśród normalnych, zwyczajnych ludzi? Takie szkoły jak ta, do której chodziła, kształtują nienaturalnie uprzywilejowane grupy, to po prostu śmieszne.

- Myślę, że raczej nie dojdziemy do porozumienia w tej kwestii. Dobrze, że pozna ludzi z innej sfery, to prawda, ale nie otrzyma tam tak dobrego wykształcenia jak w poprzedniej szkole... Pozna też wiele negatywnych rzeczy - zbyt wczesny seks, narkotyki...

- Słowo daję, Floro! - Debbie parsknęła śmiechem. - Naprawdę wyobrażasz sobie, że w prywatnych szkołach nie ma narkotyków?!

Debbie nie przyszło nawet do głowy, żeby skontaktować się z Joelem. Rozmowa z nim ożywiłaby wszystkie trudne sprawy i uczucie emocjonalnego dyskomfortu, więc na razie po prostu napawała się swoim szczęściem. Richard obiecał, że przyjedzie na weekend. Już sama ta myśl była okropna, Debbie kuliła się w sobie z niechęcią. Ale Flora była bardzo zadowolona.

- Cała moja rodzina pod tym kochanym starym dachem - westchnęła. - Całkiem możliwe, że ostatni raz.

Nagle odwróciła się do Debbie i powiedziała coś, co całkowicie zaskoczyło jej synową, chyba niewiele mniej niż wyznanie Joela.

- Chciałabym zasięgnąć twojej opinii w pewnej sprawie. Muszę porozmawiać o tym z kimś, komu ufam. Z Richardem nie mogę, bo to go bezpośrednio dotyczy, a Simon... Simona już nie ma. Chodzi mi o dom, to znaczy...

Staram się coś wymyślić, ale mam nadzieję, że nie przedobrzę. Będę z tobą całkowicie szczerą i liczę, że zatrzymasz to dla siebie.

- Naturalnie! - Debbie była tak zaciekawiona, że zgodziłaby się nawet zostać entuzjastką polowań, byle tylko Flora nie przestała mówić.

- Jest to sposób na uratowanie domu i wpuszczenie Lloyd'sa w maliny. Do rzeczy, mam... mam przyjaciela, który jest właścicielem firmy budowlanej. Tak w ogóle, to właśnie on wpadł na ten pomysł, naprawdę wyjątkowo błyskotliwy. On kupi dom za cenę rynkową, razem z ziemią. Sęk w tym, że w Gower nie można budować, bo to jest teren pod ochroną.

- Więc...

- Chyba że ma się już stojące na tej ziemi budynki. Mogą być w stanie całkowitej ruiny - domki letnie, stodoły, stajnie - ale jeżeli nie są to zwykłe szopy, czasami udaje się zdobyć pozwolenie na przekształcenie ich w domy mieszkalne.

- Taaak...

- Właśnie! Plan Colina jest następujący: zgłaszam się do Lloyd's, mówię, że sprzedałam dom i potrzebna mi jest pewna kwota, pytam, ile zamierzają mi zabrać. Oczywiście zabiorą większość, ale zostawiają coś na jakieś małe mieszkanie.

- Taaaak...

- Będzie jednak druga umowa, między firmą budowlaną i inną, gwarantująca tej pierwszej dużą sumę, jeżeli plan przekształcenia budynków zostanie zaakceptowany w ciągu trzech lat. Na budowę trzech domów.

- I twój przyjaciel może załatwić taką zgodę?

- Tak, jest tego prawie pewny.

- A ty byłąbyś w jakiś sposób związana z tą drugą firmą, tak? Flora uśmiechnęła się do Debbie.

- Tak, to byłoby możliwe. Oczywiście nie jako dyrektor ani udziałowiec, ale jako trzymający się w tle beneficjent. Ta druga firma zawarłaby umowę joint venture z firmą budowlaną. Mój przyjaciel twierdzi, że nawet gdyby Lloyd's chciał doszukać się związku między mną a tym przedsięwzięciem, i tak by go nie znalazł. Dzięki całemu temu przedsięwzięciu zachowałabym część pieniędzy, w gruncie rzeczy całkiem sporo, i byłoby mnie stać na posiadłość w jakiejś przyjemnej okolicy.

- To faktycznie brzmi bardzo zachęcająco. - Debbie pokiwała głową. - Sprytny plan... Dobrze znasz tego człowieka, prawda? I masz do niego zaufanie?

- Tak, całkowite - odparła Flora. - Chodzimy razem na koncerty!

Zupełnie jakby było to niepodważalną gwarancją uczciwości, pomyślała Debbie, starając się nie patrzeć na Florę. Jakby ten zaprzyjaźniony właściciel firmy budowlanej był absolwentem Eton albo należał do godnego najwyższego szacunku klubu...

- Więc co o tym myślisz, Debbie? Nie pytam cię, co powinnam zrobić, chciałam po prostu o tym porozmawiać.

- Moim zdaniem twój przyjaciel to prawdziwy geniusz... I podoba mi się idea wystawienia Lloyd'sa do wiatru, zdecydowanie! Zasługują na to... Cóż, jeżeli ten plan jest pewny, to znaczy, jeśli nie przyłapią cię na gorącym uczynku i nie poślą do więzienia - żartuję, żartuję, ale przecież wiesz, o co mi chodzi! - chyba powinnaś w to wejść. Pewnie pozwoliłoby ci to nadal jeździć konno, mieć pieniądze na utrzymanie własnego wierzchowca i tak dalej, więc dlaczego nie?

Flora popatrzyła jej prosto w oczy. Dość długo siedziały tak, przyglądając się sobie nawzajem.

- W głębi serca wcale tak nie myślisz, prawda? - odezwała się w końcu Flora. - Daj spokój, Debbie! Chcę przedyskutować tę kwestię i zależy mi na szczerzej opinii.

- No więc... - Debbie spojrzała na teściową i pierwszy raz w historii ich trudnego związku poczuła, że rozmawiają jak dwie absolutnie równe sobie osoby. - Nie wydaje mi się, żeby ten plan rzeczywiście ci odpowiadał.

- Ponieważ jest nieuczciwy?

- Nie, nie, nic z tych rzeczy! Chodzi mi o to, że... Po prostu nie widzę cię w roli kogoś, kto zgadza się na cokolwiek, co by oznaczało zniszczenie tych łąk, całego tego terenu. Nigdy byś sobie tego nie wybaczyła, w każdym razie tak mi się wydaje. Przykro mi, jeśli chciałaś usłyszeć coś innego, ale tak właśnie myślę.

- Och, Debbie. - Flora spojrzała na młodą kobietę i uśmiechnęła się do niej bardzo, bardzo łagodnie, ze łzami w ciemnoniebieskich oczach. - Och, moja droga, jaka ty jesteś mądra. Dziękuję ci za szczerłość. Naprawdę jestem ci bardzo wdzięczna.



Chwilę obie milczały, a potem Flora znowu się odezwała, tym razem normalnym, energicznym głosem.

- Nie rozmawiajmy o tym więcej! Może w ogóle nie powinnam była ci tego mówić.

- Bardzo się cieszę, że to zrobiłaś.

\* \* \*

Jeszcze tylko dwa dni, potem poczuje się lepiej. No, najpierw trochę gorzej, ale później...

Atmosfera w domu była okropna, Annabel przestała się do niej odzywać. Tilly, wyraźnie zagubiona i zdziwiona łatwą do wycucia wrogością, której przyczyny nie rozumiała, ze wszystkich sił starała się łąć oliwę na wzburzone wody. Toby nie przyjechał do domu na przerwę, postanowił spędzić ją w domu swego najlepszego przyjaciela Piersa Wilsona, który mieszkał w Herefordshire; kiedy zapytał Elizabeth, czy może jechać, poczuła sporą ulgę.

- Nie będzie ci przykro, mamó? Wiem, że powinienem być z wami, ale u Piersa będzie pewnie fantastycznie, jego ojciec ma zorganizować polowanie dla chłopaków, i tak dalej...

Elizabeth dobrze go rozumiała. Tobym kierowało nie twarde serce, ale kompletna niezdolność by stawić czoło traumie, wynikającej ze śmierci ojca i związanej ze wszystkim, co pociągnęła za sobą. Pocięszyła ją wiadomość od szkolnego kapelana, który powiedział jej, że trochę rozmawiał z Tobym i że jego zdaniem nie należy martwić się zachowaniem chłopca.

- Potrzeba mu tylko czasu - powiedział duchowny. - Spróbujmy pozwolić mu złapać oddech, niech okrzepnie w nowej sytuacji.

Tymczasem Annabel patrzyła traumie prosto w twarz, nowej traumie, i to niewiarygodnie bolesnej. Elizabeth nie mogła odżałować, że nie udało się utrzymać córki w nieświadomości. Teraz poza gniewem i bólem dręczyły ją jeszcze wyrzuty sumienia, no i oczywiście fatalne samopoczucie. Tamtego wieczoru w pierwszej chwili wszystkiemu zaprzeczyła, ale Annabel była niezwykle bystrą obserwatorką i rozmówczynią; bez większego trudu wychwyciła kłamstwo w głosie matki i dostrzegła niepewność w jej spojrzeniu.

- Daj spokój, mamó, rozpacz i depresja nie pobudzają do wymiotów codziennie rano, regularnie jak w zegarku! I masz większy biust, zauważyłam to już jakiś czas temu! No, mamó, przyznaj się!

- No, dobrze... Jestem w ciąży.

- Jak cudownie! - zawołała z zachwytem Annabel. - Musisz być taka szczęśliwa! Rozumiem, że poranne mdłości to koszmar, ale wkrótce miną i...

- Kochanie - zaczęła łagodnie Elizabeth. - Kochanie, nie zamierzam urodzić tego dziecka.

- Co takiego? - Oczy, twarz, głos Annabel, wszystko to razem wyrażało szok i oburzenie. - Jak to, zdecydowałaś się na aborcję?!

- Tak...

- Niemożliwe! Przecież to źle, naprawdę źle! Na dodatek to jest dziecko taty! Co on by powiedział, jak myślisz?! Nie możesz tego zrobić!

- Mogę, kochanie... I przecież wiem, że to jest dziecko taty, ale jego już tu nie ma, a ja muszę troszczyć się o was wszystkich, i po prostu nie mogę, nie mogę go urodzić...

- Mamo, musisz! Nie ma innego wyjścia! Nie możesz zabić własnego dziecka! To, że ono istnieje, to jedyna dobra wiadomość, jaką usłyszałam od... Od śmierci taty. To naprawdę cudowne!

- Skarbie, nie mogę. Kiedy chwilę się zastanowisz...

- Już się zastanowiłam! I myślę teraz o tym, jak wydrą je z ciebie, jak je zabiją, jak zabiją to, co pozostało nam po tacie!

- Annabel, histeryzujesz!

- Dlaczego? Dlaczego niby histeryzuję?!

- Posłuchaj - zaczęła cierpliwie Elizabeth. - Wiem, że byłoby cudownie je mieć, gdyby wszystko było tak jak dawniej. Ale tata nie żyje! Nie ma go, nie mogę liczyć na jego wsparcie! Ani pod względem emocjonalnym, ani fizycznym, ani finansowym. To niemożliwe, uwierz mi.

- To wcale nie jest niemożliwe! Masz nas, my ci pomożemy, my cię wesprzemy! Będzie wspaniale, zobaczysz!

- Annabel, posłuchaj. Wszyscy dorastacie, a ja chcę, żebyście byli wolni, żebyście mogli robić to, co będziecie chcieli robić. Chcę, żebyś mogła być z Jamiem. Toby pójdzie na studia, zresztą, czy potrafisz wyobrazić sobie, jak on to odbierze? Jaki będzie zażenowany, jak będzie się wstydził powiedzieć o tym swoim przyjacielom? A Tilly...

- Tilly stanie na głowie, żeby pomóc, nie zawiedziesz się na niej! Szczególnie teraz, kiedy cały czas jest w domu! Pomyśl tylko, jak mogłyby ci pomóc, ona i Fallon, bo przecież Fallon wszystko wie o małych dzieciach!

- Tilly właśnie wchodzi w wiek dorastania, kochanie, i na pewno nie chciałaby mieć dodatkowych obciążeń w postaci matki z niemowlęciem! A ja skończyłam już czterdzieści lat! Urodzenie dziecka w tym wieku łączy się z zagrożeniami, oczywiście dla dziecka, które może przyjść na świat z różnymi schorzeniami. Jak sobie z tym poradzę? I co to oznacza dla mnie samej? Cięża to ogromny wysiłek dla każdego organizmu, nie mówiąc już o organizmie w średnim wieku!

- Och, to bzdury! - krzyknęła Annabel. - Wyglądasz jak dwudziestoparoletnia dziewczyna!

- Ale pod względem ginekologicznym wcale nią nie jestem! Przykro mi, zrobiłabym wszystko, żeby ci tego oszczędzić, ale naprawdę nie zamierzam urodzić tego dziecka. Mam zabieg w piątek, już jestem umówiona i...

- Nie spodziewaj się tylko, że zaopiekuję się tobą, kiedy wrócisz do domu! - Annabel wstała i zmierzyła matkę lodowatym spojrzeniem. - Nigdy bym nie uwierzyła, że jesteś zdolna do czegoś takiego, nigdy! I tata też by nie uwierzył! Mamo, ja... ja się ciebie po prostu wstydzę! Naprawdę!

Ojciec Lucindy powoli powracał do zdrowia.

- Jestem zachwycony - powiedział lekarz prowadzący do pani Worthington, kiedy przyjechała do szpitala we wtorek rano. - Pan Worthington zaczyna już mówić i chociaż prawa strona ciała nadal jest mało

mobilna i mamy pewien problem z ręką, to jednak trzeba pamiętać, że u pacjentów z udarem najbardziej liczą się pierwsze czterdzieści osiem godzin. Jeżeli udar ustępuje, perspektywy są zwykle dobre, a w tym przypadku tak właśnie jest!

Lucinda przyjęła tę dobrą wiadomość z pewnym roztargnieniem. Od rozstania z Blue ze wszystkich sił starała się być dobrą córką i stawiać problemy rodziców na pierwszym miejscu, ale było to bardzo trudne. Czowała się strasznie nieszczęśliwa i przygnębiona. Szczęście w nieszczęściu, że matka, która poprzedniego wieczoru wzięła przed snem tabletkę nasenną, nie słyszała całej tej awantury, podobnie jak siostra Lucindy, która wróciła na noc do siebie.

Dzwoniła do niego dwa razy, lecz on uparcie odkładał słuchawkę. Steve Durham, gdy w końcu udało mu się ją zlokalizować, doniósł jej o podobnej reakcji, chociaż oczywiście nie przytoczył soczystych przekleństw, które padły z ust Blue. Lucinda nie miała pojęcia, co właściwie powinna zrobić, w jaki sposób wytłumaczyć Blue, co tak naprawdę się stało. Zdawała sobie sprawę, że Blue raczej na pewno nie przeczyta listu od niej, a już z całą pewnością nie uwierzy w ani jedno napisane przez nią słowo. Wszystko to razem było okropne i oczywiście to ona była winna, tylko ona. Cała historia wyglądała wyjątkowo mało wiarygodnie, zresztą nawet Steve zachęcał ją, aby powiedziała Blue znacznie, znacznie wcześniej, na samym początku. Teraz Lucinda widziała jasno, że musiała kompletnie postradać zmysły.

- Och, Gertie - powiedziała do małego, czarno-brązowego jamnika, który był ulubieńcem matki. - Co mam robić?

W tej chwili usłyszała dzwonek telefonu. Pani Worthington podniosła słuchawkę.

- Lucindo, chodź, szybko, kochanie! - zawołała.

Lucinda natychmiast wyobraziła sobie, że stało się coś strasznego, może Blue połknął całe opakowanie tabletek nasennych, albo...

- To Nigel! - Matka z uśmiechem podała jej słuchawkę. - Chce z tobą rozmawiać, chyba mu się śpieszy. Ale tak miło i troskliwie wypytywał o twojego ojca, podziękuj mu ode mnie, bardzo proszę.

Najwyraźniej była przekonana, że Nigel i jej córka znowu się zejdą. Pewnie uważa, że właśnie taki jest powód nieobecności Blue, pomyślała Lucinda.

- Nigel, to ja - odezwała się.

Matka czaiła się na schodach, pełna nadziei, że zaraz usłyszy mnóstwo interesujących rzeczy.

- Porozmawiam w gabinecie taty - powiedziała.

- Nie ma potrzeby - odparła matka, wchodząc do kuchni i głośno zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

- Dzień dobry, Lucindo. Jak się czujesz?

- Dobrze, dziękuję.

- To świetnie. Widzisz, pojawił się pewien problem...

- Z rozwodem? Och, Nigel, stało się coś okropnego, powinnam była cię posłuchać i porozmawiać z Blue dawno temu, powinnam była powiedzieć mu, co planujemy, ale ciągle to odkładałam, a teraz on uwierzył w te wszystkie bzdury, że brak mi poczucia bezpieczeństwa, że zależy mi na twoim domu, i tak

dalej. Uważa, że naprawdę tak myślę i w ogóle nie chce słuchać, nie chce ze mną rozmawiać, i nie wiem, co robić, po prostu nie mam pojęcia.

- O, Boże! - powiedział Nigel. - Chyba najlepiej będzie, jeżeli wybiorę się do niego!

Blue siadał właśnie przy stole, na którym stała bardzo duża butelka whisky, kiedy usłyszał pukanie do drzwi. W pierwszej chwili je zignorował, ale za trzecim razem podniósł się, lekko zatoczył i poszedł otworzyć.

- Wszystko jedno, co sprzedajecie - zaczął i przerwał.

Na progu stał Nigel Cowper z malującą się na twarzy determinacją i z mocno zniszczoną skórzaną aktówką w ręku.

- Dobry Boże - rzekł Blue. - Ale jesteś bezczelny! Spieprzaj, dobra?!

- W żadnym razie - odparł Nigel. - Muszę wejść i porozmawiać z tobą!

- Tak ci się tylko wydaje! A jeżeli chcesz ją mieć z powrotem, to proszę bardzo! I powtórz jej, że życzę wam wszystkiego najlepszego!

- Nie chcę jej mieć z powrotem, jak to ująłeś - powiedział Nigel. - Bo ona wcale nie chce być ze mną! Chce wyjść za ciebie!

- Taaak?! Tak bardzo chce za mnie wyjść, że, cytuję: „czuje się niepewna w nowym związku”?! I chce zatrzymać twój dom?! Pierdolisz, wcale nie chce za mnie wyjść!

- Nie widzę najmniejszej potrzeby, żebyś używał takiego języka - oświadczył Nigel. - Chcę wyjaśnić ci całą tę sprawę, więc wpuść mnie do środka!

- Słuchaj, stary, nie życzę sobie, żeby ktoś mi się tu pakował do domu, a już na pewno nie ty! A najbardziej twoja była żona! Więc spieprzaj w podskokach do tego miejsca, gdzie wy, dżentelmeni, spędzacie wieczory, i zostaw mnie w spokoju!

- Nie mam zamiaru! Pójdę sobie dopiero wtedy, gdy wszystko ci wytłumaczę, a ty przyjmiesz to do wiadomości! To naprawdę nie jest tak, jak myślisz!

- Nie? Więc jak jest, jeśli łaska?

- Powiem ci, jeżeli mnie wpuścisz! - powtórzył Nigel, który zaczął ją tracić nadzieję na sukces.

Blue otworzył drzwi na oścież i zamaszystym gestem wskazał nieproszonemu gościowi prowadzące do salonu drzwi.

- Tam! - warknął.

Nigel z wielkim zainteresowaniem rozejrzał się po pokoju. Widział, że jego wystrój musiał kosztować mnóstwo pieniędzy, ale wydawał mu się raczej okropny. Grube, puszyste dywany, błyszczące meble z chromowanymi wykończeniami, olbrzymi telewizor, wieża na pół ściany, duży stolik do kawy ze szkła, sporo dziwacznych obrazków i ani jednej książki. Jak Lucinda mogła żyć w takim otoczeniu?

- Bardzo tu miło - odezwał się uprzejmie.

- Gadaj, co masz do powiedzenia!

- No, tak... Zaczniemy od tego, że już dawno mówiłem Lucindzie, że powinna ci to wytłumaczyć. Widzisz, całe to postępowanie rozwodowe to... to coś w rodzaju gry. Wymyślił to jej adwokat. Pewnie wiesz, że jestem mocno zadłużony i Lloyd's tylko czeka, żeby położyć łapę na całym moim majątku. Lucinda nie mogła znieść myśli, że zostanę praktycznie bez grosza przy duszy, więc...

I Nigel z wielkim zaangażowaniem zaczął wyjaśniać Blue, na czym polegał błyskotliwy plan Steve'a Durhama, jak to Lucinda założy fundusz charytatywny, którego on, Nigel, zostanie jednym z dyrektorów, jak dom przy Cadogan Square przejdzie w ręce Lucindy i jak ona weźmie kredyt hipoteczny, przelewając całą sumę na konto bankowe funduszu.

- To może być całkiem spora suma, Lucinda może też kupić inną posiadłość, gdzie mógłbym zamieszkać i...

- W porządku, w porządku, kapuję, w czym rzecz! Lloyd's nie dostanie całej twojej forsy, tak?

- Tak, najkrócej mówiąc.

- No, sam nie wiem. - Blue pokręcił głową. - W gruncie rzeczy i tak mógłbyś to wszystko zrobić, założyć ten fundusz i tak dalej, nie angażując w to Lucindy i sprawy rozwodowej.

- Nie, absolutnie nie! Rozwód jest prawnie wiążącą umową, a wszystko to musiało wyglądać przynajmniej w części wiarygodnie. Lucinda powinna sprawiać wrażenie, że naprawdę potrzebuje tych pieniędzy i ma do nich prawo.

Blue siedział wpatrzony w ciemny ekran telewizora.

- No, tak - powiedział w końcu. - Tak, rozumiem! Bardzo sprytne.

- Cieszę się, że tak uważasz! Więc wszystko w porządku, tak? Nie masz już pretensji do Lucindy ani...

- O, wręcz odwrotnie! - rzucił Blue, a jego prawie czarne oczy złowrogo załśniły w bladej twarzy. - Nigdy nie uwierzyłbym, że Lucinda jest zdolna do czegoś takiego, i na tym polega cały problem! Jest faktem, że była gotowa publicznie powiedzieć to wszystko, ale mnie nawet o tym nie wspomniała! Knuła i spiskowała za moimi plecami, z tobą i tym dupkiem Durhamem! Dlaczego nie mogła od razu mi o tym powiedzieć, do diabła?!

- Myślę, że się bała. Kiedy sprawa była już w toku, Lucinda najzwyczajniej w świecie przestraszyła się, jak to przyjmiesz. Łatwiej było jej odkładać rozmowę z dnia na dzień i powtarzać sobie, że powie ci, ale trochę później.

- Cudownie! - mruknął Blue. - Tylko jak ja mam jej teraz wierzyć? Jest podstępna, kłamliwą krową i...

Nigel podniósł się gwałtownie.

- Nie powinieneś wyrażać się o niej w taki sposób! - powiedział twardo.

- Doprawdy? Coś takiego! A niby dlaczego, ty bekso po prywatnej szkole?!

- Bądź tak dobry i natychmiast to odwołaj! - Nigel czuł, jak krew zaczyna pulsować mu w głowie.

- Co mam odwołać?!

- To, co powiedziałaś o Lucindzie! I o mnie także!

- Nie będę tak dobry! - Blue wyszczerzył się drwiąco. - Nie! To wszystko prawda, więc przykro mi, stary, ale nie!

Nigel w ułamku sekundy stracił całą cierpliwość. Pochylił się, chwycił Blue za krawat i poderwał go z fotela.

- Odwołaj, mówię!

- Nie mogę - odparł Blue. - Niestety... Lucinda to podstępna, kłamliwa krowa i...

Nie powiedział ani słowa więcej. Nigel błyskawicznie odwiódł ramię do tyłu i wymierzył mu bardzo mocny cios prosto w podbródek. Blue zatoczył się do tyłu, uderzył głową o brzeg stolika do kawy i z zamkniętymi oczami osunął się na ziemię, co wyglądało dość teatralnie. Na beżowy dywan popłynęła strużka krwi.

- O, mój Boże! - wykrztusił Nigel, patrząc na rozciągniętego na podłodze Blue. - O, mój Boże!

## ROZDZIAŁ 49

*LISTOPAD 1990*

Tilly szlochała tak, jak to tylko ona potrafiła szlochać. Zawsze była mistrzynią w zalewaniu się łzami - nie dość, że płakała głośno, ale jeszcze produkowała przy tym naprawdę imponującą ilość wilgoci. Annabel siedziała obok niej, obejmując ją ramieniem.

- Co się stało? - spytała Elizabeth. - Tilly, kochanie, o co chodzi?

- O Fallon! - zapłakała Tilly. - Jest taka zrozpaczona! Cały dzień płakała, bo jej mama straciła dziecko i jest teraz w szpitalu, bardzo źle się czuje, Fallon pojechała do niej zaraz po szkole.

- O, Boże - powiedziała Elizabeth z całym spokojem, na jaki w tej sytuacji mogła się zdobyć. - Tak mi przykro.

- Jasne! - rzuciła Annabel. - Przykro ci, co?

I wyszła z pokoju. Elizabeth westchnęła i skupiła uwagę na Tilly.

- Nie płacz, skarbie! Zwykle natura dokonuje w ten sposób pewnej selekcji, bo większość takich nienarodzonych dzieci cierpi na bardzo poważne lub nieuleczalne choroby.

- Nie, nie rozumiesz! - Tilly otarła oczy. - Ojciec Fallon uderzył jej mamę pięścią w brzuch, bo tak się zezłościł z powodu tego następnego dziecka. Fallon strasznie się boi, że jej mama umrze! Nie wiem, jak ktoś może coś takiego zrobić, mamó, uderzyć kobietę w ciąży, celowo zabić maleńkie dziecko! To takie okropnie złe!

\* \* \*

Pół godziny później Elizabeth weszła do pokoju Annabel i niepewnie popatrzyła na córkę.

- Zdecydowałam się zatrzymać to dziecko - powiedziała. - Urodzę je! Ale będziesz musiała mi pomóc, bo sama na pewno sobie nie poradzę!

Annabel przyglądała jej się chwilę z bardzo poważną twarzą. Potem podniosła się, podeszła do matki i otoczyła ją ramionami.

- Nie będziesz musiała sama sobie radzić - szepnęła. - Obiecuję ci!

- Mamo, muszę jechać do Londynu. - Lucinda wpadła do kuchni, wyraźnie przerażona. - Blue miał... Miał wypadek, jest w szpitalu...

- Jaki wypadek?

- Nie jestem pewna, jakiś uraz głowy, był nieprzytomny. Jadę tam teraz!

- Jak to, przecież jest już po ósmej, Lucindo! Nie możesz jechać tak późno.

- Muszę przejechać tylko kawałek M4, zresztą wcale nie jest tak późno. Nie żartuj, mamo, nic mi nie będzie, zadzwonię do ciebie jutro!

I już jej nie było.

Nigel siedział w poczekalni stacji pogotowia ratunkowego szpitala Barts, kiedy na końcu korytarza ukazała się zdyszana Lucinda.

- Gdzie on jest? Czy coś wiadomo?

- Wydaje mi się, że nic mu nie będzie - odparł Nigel. - Zawieźli go na prześwietlenie. Stracił sporo krwi, wiesz przecież, jak krwawią rany głowy, ale uważają, że to raczej nic poważnego. Odzyskał przytomność jeszcze przed przyjazdem karetki.

- Dzięki Bogu! Pozwolą mi go zobaczyć?

- Pewnie tak, kiedy przywiozą go z powrotem. Mówili, że chyba zatrzymają go do jutra, niezależnie od tego, co wykaże prześwietlenie.

- A co mogłoby wykazać? - zapytała z przerażeniem.

- No, na przykład jakiś skrzep albo coś takiego. Nie wygląda wcale źle, podobno w karetce kłął jak szewc.

- Zwykle klnie jak szewc. Tak czy inaczej, to raczej dobry znak! Och, Nigel, bardzo dziękuję, że tak szybko mnie zawiadomiłeś! Nie rozumiem tylko, jak to się właściwie stało.

- Uderzyłem go - rzekł Nigel.

Przywieziono go jakieś trzydzieści minut później i zostawiono w gabinecie zabiegowym, gdzie po chwili weszli lekarz i pielęgniarka. Po paru minutach podeszła do nich inna pielęgniarka.

- Pan towarzyszy panu Hortonowi, prawda? - zwróciła się do Nigela.

- Tak...

- A ja jestem jego... jego żoną - powiedziała Lucinda. - Nic mu nie jest? Mogę go zobaczyć?

- W tej chwili nie potrafię odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Lekarz ogląda właśnie zdjęcia rentgenowskie. Pan Horton jest raczej w niezłej formie, jeśli sądzić po jego elokwencji.

- Ojej - westchnęła Lucinda. - Pewnie strasznie przeklina, tak?

- Trochę...

- Przepraszam. Czy zdążył już wszystkich zdenerwować?

- O, słyszałam już gorszy język! - oświadczyła pogodnie pielęgniarka i ogarnęła wzrokiem pękata sylwetkę Lucindy. - Mówi pani, że jest jego żoną? Powiedział nam, że jest nieżonaty.

- Prawie jego żoną, albo była prawie żoną - wyznała ze smutkiem Lucinda. - Przepraszam, mówię kompletnie bez sensu, ale przed chwilą przyjechałam spod Londynu i jestem trochę zmęczona.

- Tak naprawdę to moja żona - oznajmił Nigel. Pielęgniarka popatrzyła na nich oboje i wyraźnie się poddała.

- Kiedy pani rodzi? - spytała, wycofując się na bezpieczniejsze terytorium.

- Za cztery tygodnie. O, Boże, jest lekarz! Jak on się czuje, panie doktorze? Nic mu nie grozi? Mogę go zobaczyć?

- Nic mu nie grozi, zupełnie nic. Ma uraz głowy, ale rana jest płytka i krwawienie ustało. Tak, może go pani zobaczyć, chciałbym jednak zatrzymać go na obserwacji.

- Oczywiście. Rozumiem. Więc mogę tam wejść?

- Tak, jeżeli pani chce. Mam nadzieję, że potraktuje panią nieco uprzejmiej niż nas wszystkich!

Lucinda wsunęła głowę za zasłonę. Blue leżał na plecach, z zamkniętymi oczami i szerokim bandażem owiniętym wokół głowy.

- Proszę się odchrzanić, dobrze? - przemówił. - Jestem wykończony, chce mi się rzygać i próbuję zasnąć! Co z wami, ludzie?

Podeszła bliżej, ujęła jego dłoń i spojrzała na niego z czułością.

- Zaraz się odchrzanię - powiedziała łagodnie. - Chciałam się tylko upewnić, że żyjesz...

Odwrócił się, żeby na nią popatrzeć.

- Mój Boże... Lucinda...

- To ja. Miło mi, że mnie jeszcze poznajesz.

- Oczywiście, że cię poznaję, głupia krowo! Jezu, głowa mi pęka. - Znowu zamknął oczy. - Ten twój mąż potrafi nieźle doładować w szczękę. Nie do wiary!

W jego głosie brzmiał ton, którego Lucinda w pierwszej chwili nie potrafiła określić, zaraz jednak uświadomiła sobie, że był to podziw. Najszczęszy podziw.

- Nigel nauczył się boksować w Eton - wyjaśniła. - Ludzie zawsze są tym zaskoczeni.

Blue podniósł powieki i popatrzył na nią dość mętnie, z leciutkim uśmiechem.

- Nie psuj tego - rzekł. - Już zaczynałem przyzwyczajać się do myśli, że wcale nie jest takim idiotą, za jakiego go miałem.

- Przepraszam. Powiedz mi... Powiedz mi, o czym myślałeś. Myślałeś o mnie?



Była tak wystraszona, że z trudem mówiła. Potem słowa popłynęły całym strumieniem i stała tak nad nim, tłumacząc się, z twarzą zalaną łzami.

- Blue, tak cię przepraszam! Wiem, że Nigel próbował ci wszystko wyjaśnić, wiem, że źle zrobiłam, nie mówiąc ci nic o tym planie, ale tak okropnie cię kocham, tak okropnie, nie zraniłabym cię za żadne skarby, musisz mi uwierzyć, jestem po prostu głupia, głupia i... i bezmyślna, i...

- Zamknij się, na miłość boską! - powiedział. - Ty głupia krowo...

- Niech będzie - zgodziła się potulnie. - Ale ja naprawdę, naprawdę...

- Zamknij się, mówię!

Popatrzył na nią bardzo poważnie, tak poważnie, że serce na moment przestało jej bić z przerażenia, że znowu każe jej odejść.

- Wszystko w porządku, Lucindo - rzekł całkiem łagodnie. - Trochę to potrwa, zanim przetrawię cały ten pasztet, ale na pewno nie dłużej niż do narodzin naszego chłopca. Jak on się czuje?

Wyciągnął rękę i z wielką czułością pogłaskał brzuch Lucindy.

- Dobrze. Och, Blue, kochany, tak mi ulżyło i taka jestem ci wdzięczna, i...

- Powiem ci coś. - W oczach Blue pojawił się zupełnie nowy wyraz, coś pomiędzy szacunkiem i podziwem. - Ten plan, który wymyśliliście, jest cholernie sprytny! Cholernie! Nigdy bym nie uwierzył, że stać cię na coś takiego. Jestem pod wrażeniem!

- Pod wrażeniem! Przecież to nie moja zasługa, ani trochę.

- Wręcz przeciwnie. Najwyraźniej wcale nie jesteś taka roztrzępana, jak sądziłem. A teraz daj swojemu staremu buziaka.

Schyliła się, żeby go pocałować, a on odwzajemnił pocałunek, gorąco i głęboko. Lucinda pomyślała, że jeżeli tak ją całuje, to chyba nie jest z nim źle, bo reaguje całkiem normalnie.

Catherine przyjechała do Londynu na spotkanie z adwokatem i wczesne gwiazdkowe zakupy. Jej dzieci miały nocować u przyjaciół, miała więc dwadzieścia cztery godziny cudownej, nieograniczonej wolności. Zadzwoiła do Lucindy, aby zapytać, czy mogłyby się gdzieś spotkać i dowiedziała się, że Blue jest w szpitalu.

- Ma uraz czaszki. Później ci to wyjaśnię! Nie mogłabyś przyjechać do mnie, Catherine? Bardzo chciałabym się z tobą zobaczyć, a jestem trochę zmęczona.

Catherine odparła, że zaraz przyjedzie.

Lucinda wyglądała na wyczerpaną i nic dziwnego, pomyślała Catherine, biorąc pod uwagę, przez co przeszła - choroba ojca, kłótnia z Blue i pobyt w szpitalu, gdzie przewieziono Blue.

- Ale Nigel był taki dobry, tak troskliwie się mną opiekował! I próbuje wyczyścić dywan. Za minutkę wróci, pojechał tylko oddać maszynę do czyszczenia dywanów, którą gdzieś pożyczył.

- Nigel! - zdziwiła się Catherine.

- Tak. On i Blue wdali się w bójkę i Nigel znokautował Blue. Tylko nie wspominaj mu o tym, kiedy przyjdzie, dobrze?

- O... Oczywiście! - odparła Catherine.

Nie byłaby bardziej zaskoczona, gdyby Lucinda powiedziała jej, że Nigel otworzył lokal ze striptizem dla gejów.

- Ale dlaczego Nigel uderzył Blue? Nie rozumiem...

- Och, Blue powiedział o mnie coś, co nie przypadło Nigelowi do gustu i... O, już jest! Nigel, kochany, pamiętasz Catherine, prawda?

- Naturalnie! - Nigel uśmiechnął się do Catherine. - Mamy nawet za sobą mocno ryzykowne przeżycie kulinarne.

- Rzeczywiście! - przyznała Catherine.

Wciąż próbowała pojąć, jak to możliwe, że łagodny, nieco oderwany od rzeczywistości Nigel zdzielił kogoś w szczękę. Na dodatek tym kimś był Blue. Najwyraźniej nadal jest bardzo zakochany w Lucindzie, pomyślała z nagłym ukłuciem smutku.

- Jak miło! - powiedziała Lucinda. - Napijmy się teraz kawy, a potem pojedę odebrać Blue ze szpitala. Nie do końca cieszy mnie świadomość, że będę musiała go pielęgnować, ale nie mam wyboru, obawiam się...

- Jak tam życie na wsi? - zagadnął Nigel, gdy Lucinda zniknęła w kuchni.

- Cudownie - odparła Catherine i nagle postanowiła zrezygnować z pozorów. - Nie, nie cudownie... Szczerze mówiąc, jest po prostu okropnie.

- Przykro mi. To taka piękna część kraju.

- Tak, ale ludzie są trochę mniej piękni, zwłaszcza ci, z którymi mieszkam.

- Ach, rozumiem. No, tak... Dzieci są zadowolone?

- Wyjątkowo!

- Cóż, to pewnie dla ciebie najważniejsze. Przecież to dla nich wyjechałaś! A dzieci powinny mieszkać na wsi, prawda?

- Chyba tak - westchnęła Catherine. Lucinda wróciła z kawą.

- Dywan wygląda zdecydowanie lepiej, Nigel - powiedziała. - Dobra robota!

- Cieszę się, że tak uważasz. Przynajmniej tyle mogłem zrobić!

Catherine zachciało się nagle płakać. Podniosła się gwałtownie, przewracając stolik razem ze stojącym na nim dzbankiem i rozlewając kawę na świeżo wyczyszczony dywan. I chociaż Lucinda i Nigel nie robili jej absolutnie żadnych wyrzutów, nawet się nie skrzywili, Lucinda kilka razy powtórzyła, że plamy w ogóle jej nie przeszkadzają, a Nigel dodał, że zostało mu jeszcze mnóstwo odplamiającego szamponu, więc w gruncie rzeczy dobrze się złożyło, to jednak odjeżdżając, Catherine zaczęła płakać i płakała przez całą drogę aż do Westway. Zastanawiała się, jak czuje się Lucinda, która ma dwóch zakochanych w niej mężczyzn, zakochanych tak bardzo, że najzupełniej dosłownie wzięli się o nią za łby. Ze wszystkich sił usiłowała też nie przejmować się swoją egzystencją w stylu Jane Eyre. Szkoda tylko, że nigdzie w pobliżu nie było żadnego pana Rochester, gotowego pośpieszyć jej na pomoc.

Teraz byłoby już po wszystkim, myślała Elizabeth, bawiąc się kawałkiem grzanki. Nie byłaby już w ciąży, nie męczyłyby ją mdłości, miałyby przed sobą powrót do normalności. Wszystkie dobre rzeczy, jakie wyniknęły z jej decyzji, ulga i radość Annabel, zachwyt Tilly i nawet cicha, lecz też pełna ulgi uwaga Sarah, lekarki: „Naprawdę uważam, że to mądra decyzja!”, wszystko to należało już do przeszłości i teraz Elizabeth stała twarzą w twarz z rzeczywistością. Miała urodzić dziecko jako wdowa, musiała sama poradzić sobie z jego wychowaniem i nie miała nikogo, z kim mogłaby podzielić się tym doświadczeniem. Naturalnie były dzieci i było to cudowne, ale nie mogła liczyć na obecność Simona, który wziąłby na siebie część jej niepokoju i lęku.

Powiedziała o wszystkim Peterowi Hargreavesowi, który oświadczył, że bardzo cieszy się ze względu na nią i że wyobraża sobie, jak wielką pociechą będzie dla niej to dziecko. Pociechą! Zdołała jednak uśmiechnąć się i serdecznie mu podziękować.

- I czujesz się dość dobrze, aby nadal pracować? - zapytał.

- Tak - odparła. - Nic mi nie dolega, naprawdę!

- Obiecuj, że powiesz mi, gdyby tylko coś było nie tak, dobrze? Natychmiast! Zrobię wszystko, żeby ci pomóc!

- Dzięki, Peter, to dużo dla mnie znaczy. Nie zawiodę cię!

Nie powiedziała jeszcze Toby'emu. Czekala na przyjazd syna do domu, wolała nie informować go przez telefon lub listownie. Miała dzięki temu więcej czasu na przygotowanie się do rozmowy.

Naprawdę, naprawdę nadal nie chciała tego dziecka. Naprawdę. Nie wpatrywała się w swój brzuch rozmarzonym wzrokiem, co często zdarzało się jej ze starszymi dziećmi, nie zastanawiała się nad znaczeniem tego cudu. Jeżeli w ogóle myślała o tym dziecku, to głównie z lękiem, jak sobie poradzi i jak jej będzie trudno. Zmieniła zdanie wyłącznie z powodu dziewczynek, rozumiała, jak potwornie bolesna byłaby dla nich świadomość, że matka pozbyła się ciąży, ciąży, której owocem miała być ich młodsza siostra lub brat, ostatni dar od ojca. Miłość do nich wystarczyła, aby nie dopuścić do serca uczucia żalu czy niechęci, że wymogły na niej tę decyzję, ale nie było jej łatwo. Tak czy inaczej, wiedziała, że urodzi to dziecko.

Nagle podniosła się, ogarnięta nieznanym ostatnio przypływem energii. Nie mogła go zmarnować; postanowiła od razu zabrać się do wybierania rzeczy, które chciała zabrać ze sobą do nowego domu.

\* \* \*

Po dwóch godzinach pracy miała prawo czuć się całkiem zadowolona z siebie. Zrobiła listę wszystkich mebli z salonu, jadalni i holu, które chciała sprzedać. Zupełnie niespodziewanie poczuła, że chyba jeszcze zacznie - tak, tylko zacznie - segregować rzeczy w garderobie męża. Musiała to zrobić, nikt nie mógł jej w tym wyręczyć, zresztą może nie będzie to takie okropne. Wzięła głęboki oddech, weszła po schodach na górę i otworzyła drzwi garderoby.

Zaczęła wyjmować garnitury, jeden po drugim; oczywiście było źle, bardzo źle, bo ubrania pachniały nim i przywoływały obrazy z przeszłości. Widziała go w nich, czuła go i w końcu osunęła się na ziemię, szlochając, tuląc je do piersi, tęskniąc za nim tak, jak chyba jeszcze nigdy nie tęskniła i nie podejrzewała

nawet, że zatęskni, pragnąc, aby ją przytulił, odezwał się do niej, uśmiechnął się, żeby powiedział, jaka jest cudowna, jak pięknie wygląda, jak bardzo ją kocha. Dobrze już znany gniew znowu wkradł się do serca, zerwała się na nogi i zaczęła ściągać garnitury z wieszaków, przeklinając go za to, że zostawił ją samą z tym nowym, niechcianym ciężarem. A kiedy tak wyciągała ręce do góry, chwytając wieszaki, szarpała je i rzucała na ziemię, nagle uświadomiła sobie, że przenika ją tępy, lecz wyraźny ból, który wbija się w nią głęboko, nie ciągle, ale z przerwami. Natychmiast zrozumiała, że oznacza to, iż zaraz poroni.

## ROZDZIAŁ 50

### *LISTOPAD 1990*

Nie krwawiła - no, prawie wcale nie krwawiła. Tylko trochę, zaledwie parę kropek krwi. Ale ból nadal ścisnął ją natarczywie, spazmatyczny, ciągnący.

Doktor Rice, który od lat zajmował się całą rodziną, powiedział, że zaraz przyjedzie.

- Proszę położyć się i nie wstawać! Niech pani od razu otworzy drzwi, żeby potem już się nie ruszać... Krwawi pani?

- Tylko trochę. Bardzo mało.

- To dobrze! Będę za jakieś pół godziny!

Położyła się natychmiast, tak jak jej kazał. I co parę minut z lękiem w sercu sprawdzała, czy nie krwawi mocniej. Z trudem powstrzymywała łzy i żałowała, że Annabel nie ma w domu.

To niesprawiedliwe, pomyślała. Naprawdę niesprawiedliwe! O, Boże, teraz następny skurcz. Ale... Tak, chyba słabszy. A już na pewno nie silniejszy. Zaraz przyjedzie doktor Rice i da jej zastrzyk, który zahamuje skurcze, w każdym razie taką miała nadzieję.

I w tej chwili zrozumiała, że chce urodzić to dziecko, bardzo, bardzo pragnie je urodzić.

Colin najwyraźniej uznał jej wyjaśnienia za niewystarczające.

- Naturalnie, że musisz zrobić to, co uważasz za stosowne, Floro.

Wyobrażałem sobie jednak, że przemyślałaś tę całą kwestię trochę dokładniej.

- Próbowałam, naprawdę! Ale... Przepraszam cię. Zmarnowałam tylko mnóstwo twojego czasu.

- To nieważne. Zdarza się! Mam nadzieję, że nie będziesz tego żałowała. Stracisz przecież dom, prawda?

- Tak. Tak, ale... Słuchaj, są rzeczy, z którymi po prostu nie można się pogodzić. Tobie na pewno też zdarzyło się kiedyś coś takiego.

- A jakże - rzekł bardzo chłodnym tonem. - No, dobrze, odwołam wszystkie przygotowania, skoro jesteś pewna.

- Jestem pewna. Całkiem pewna.

Odłożyła słuchawkę z nadzieją, że Colin jej wybaczy. Brakowałoby jej jego towarzystwa, koncertów i rozmów.

## ROZDZIAŁ 51

*LISTOPAD 1990*

Niedzielne gazety pełne były dramatycznych rozważań i przypuszczeń na temat kryzysów, spisków, podstępów i walki o władze. Elizabeth, wolna od bólu, ale nadal niespokojna, ponieważ wciąż jeszcze trochę krwawiła, czytała o prawie niewyobrażalnej możliwości odejścia Margaret Thatcher ze stanowiska przewodniczącej Partii Konserwatywnej, i to zgodnie z sugestią kogoś innego niż ona sama.

Z każdej pierwszej strony patrzył Heseltine, bardziej przystojny i fascynujący niż kiedykolwiek dotąd.

Wszystko to razem stanowiło wspaniałą rozrywkę.

Joel, który po prostu potwornie tęsknił za Debbie, z ulgą odebrał przed południem telefon od Hugh Renwicka z poleceniem, aby do poniedziałkowego wydania napisał tekst o finansowych implikacjach odejścia pani Thatcher.

- Cała ta sprawa ma dużo wspólnego z finansami. W zeszłym roku rezygnację złożył Lawson, John Major nie dokonał cudu, gospodarka jest w fatalnym stanie, mnóstwo firm bankrutuje, budżet państwa jest na minusie, można dorzucić do tego sprzeciw Heseltine'a wobec niektórych posunięć rządu... Daj mi tekst na jakieś tysiąc pięćset słów, dobra? Przykro mi, że zepsułem ci niedzielę.

- Nic nie szkodzi!

Joel był w gruncie rzeczy wdzięczny naczelnemu. Będzie miał co robić i o czym myśleć. Do jej powrotu.

- Coś takiego - powiedział Blue. - Ciekawe, czy staruszka rzeczywiście w końcu odejdzie.

- Jaka staruszka? - spytała Lucinda. - Jeszcze kawy?

- Tak, proszę... Maggie! Niewykluczone, że wreszcie się podda. Wygląda na to, że Heseltine i jego ludzie za wszelką cenę chcą ją przegonić! Kraj faktycznie jest w niezłych tarapatach.

- Tak? Blue, myślałam o Nigelu.

- Naprawdę? Wymyśliłaś jakiś nowy sposób, żeby dostał jeszcze więcej pieniędzy?

- Nie... Chodzi mi o coś lepszego niż pieniądze.

- Niewiele jest rzeczy lepszych niż pieniądze, Lucy! O czym myślałaś?

- O miłości, i tak dalej... O Catherine.

- O Catherine! Tej niezbyt ładnej?

- Catherine wcale nie jest niezbyt ładna - powiedziała Lucinda zdecydowanym tonem. - I sędzę, że ona i Nigel bardzo by do siebie pasowali. Oboje są samotni, oboje potrzebują kogoś bliskiego. Co o tym myślisz?

- Musisz dać mi trochę czasu, żebym przetrwał tę wizję. Kurka wodna, głowa mnie boli!

- Dać ci tabletkę przeciwbólową?

- Nie, dziękuję... Mam na myśli coś lepszego niż tabletkę przeciwbólową. Chodź no tutaj, daj swojemu staruszkowi buziaka.

Lucinda ucieszyła się, że Blue czuje się wystarczająco dobrze, aby myśleć o seksie. Szkoda tylko, że sama nie czuła się aż tak dobrze. No, ale musiała przecież zrekompensować mu krzywdy, jakich doznał.

- Pani Morgan?

- Tak? - Catherine widziała, że Phyllis kręci się w holu, udając, że przegląda pocztę, odwróciła się więc do niej plecami.

- Mam nadzieję, że pani nie przeszkadzam.

- Nie, nie, w żadnym razie...

Jak mogłoby przeszkadzać jej, że dzwoni do niej mężczyzna? I to mężczyzna, który nie był ani Dudleyem, ani jednym z nauczycieli dzieci? Była to cudowna rzecz, najbardziej ekscytująca ze wszystkiego, co przydarzyło jej się w ciągu ostatnich miesięcy.

- Poznaliśmy się w zeszłym tygodniu, na zawodach konnych. Była pani z państwem Price. Nazywam się Patrick Fisher.

- Tak, pamiętam, naturalnie...

- Doskonale. To był przyjemny dzień, prawda?

Rzeczywiście, całkiem przyjemny. Było też bardzo zimno i mokro, błoto sięgało kostek, a jej tak zmarzły dłonie, że upuściła kubek z herbatą, który otrzymała od matki Jane-Anne, ale oboje państwo Price byli dla niej bardzo mili. Catherine obserwowała wyścigi, co okazało się całkiem interesujące, i chodziła wszędzie za przedzierającymi się przez błoto Price'ami. Z wielką radością patrzyła na uszczęśliwioną Caroline i myślała, że w porównaniu z dniem spędzonym z Dudleyem i Phyllis było to naprawdę coś wspólnego.

Zapamiętała Patricka Fishera - facet koło pięćdziesiątki, pogodny, z lekką nadwagą i ogorzałą twarzą, w kurtce firmy Barbour, tak znoszonej, że aż wyświechtanej, w czapce w kratę. Po prostu wesoła karykatura angielskiego ziemianina.

- Zapraszam parę osób na drinka w najbliższą sobotę wieczorem i zastanawiałem się, czy miałyby pani ochotę wpaść. Mówiła pani, że na razie nie poznała tu pani zbyt wielu osób.

Gdyby Phyllis nie czyhała w holu, Catherine z całą pewnością padłaby na kolana i zaniósłaby do Boga dziękczynną modlitwę.

- Bardzo chętnie wpadnę, dziękuję - powiedziała tylko w tej sytuacji.

- Doskonale, doskonale! Wiem, że mieszkała pani w Londynie, więc może wydamy się pani nieco nudni...

- Skądże znowu! - zaprotestowała gorąco, myśląc o długich wieczorach, samotnie spędzanych w Fulham.

- Oby tak było... Świetnie, w takim razie jesteśmy umówieni, sobota koło osiemnastej! Podam pani adres - Musgrove Hall, Upton Stratton.

Phyllis była mocno zirytowana. Catherine musiała jej powiedzieć, bo chciała zapytać, czy w sobotę wieczorem mogłaby zostawić dzieci w domu.

- Nie, nigdzie się nie wybieramy! Patrick Fisher zaprosił cię na drinka? No, mam nadzieję, że będziesz zadowolona. To straszny ekscentryk. Nigdy się nie ożenił i chodzą słuchy, że... No, ale to nieistotne.

Catherine nie dopytywała się, czego dotyczą „słuchy”, chociaż Phyllis w ewidentny sposób bardzo chciała podzielić się z nią plotkami na temat Fishera.

- Wydał mi się bardzo sympatyczny. Poznałam go na tych zawodach, na które w zeszłym tygodniu Price'owie zabrali mnie razem z Caroline, pamiętasz?

- Oczywiście! - oznajmiła Phyllis z wyraźnym niezadowoleniem.

Jej zdaniem to, że noszący tytuł szlachecki Mark Price i jego żona zaprosili Catherine na zawody konne, było po prostu nie do zniesienia.

Dlaczego muszą mówić do człowieka w taki sposób, myślała Elizabeth. Dlaczego? Zupełnie jakby pacjent był niedorozwinięty umysłowo. Dlaczego nie mogą po prostu powiedzieć: „Proszę tam poczekać” zamiast: „Gdyby była pani tak dobra i poczekała tam, dobrze?”, albo: „Proszę to włożyć” zamiast: „Mogłaby pani wskoczyć w ten fartuch?”. A towarzyszył temu zawsze charakterystyczny, nienaturalnie radosny uśmiech...

Nie poprawiło to jej nastroju, nie spodziewała się zresztą niczego dobrego. Czowała się lepiej i już to mocno ją niepokoiło. Jeżeli nadal była w ciąży, to dlaczego nie miała mdłości? Poza tym dalej krwawiła, wprowadzcie tylko odrobinę, ale...

- Pani Beaumont, zapraszam do środka! Przepraszam za ten elegancki strój. Elizabeth się podniosła.

- Za co?

- Za ten fartuch. Daleko mu do Chanel, prawda?

- Mamo, nie rób takiej wścieklej miny! - syknęła Annabel.

Uparła się, żeby zwolnić się rano z pracy i jechać z Elizabeth do szpitala. W odpowiedzi na wyrażone przez matkę wątpliwości oświadczyła, że ma gdzieś, czy Miki będzie zadowolona, czy nie.

- Ty jesteś o wiele ważniejsza - dodała.

- Gdyby była pani tak dobra i wskoczyła na leżankę, tak jest, ślicznie. Jak się pani czuje?

Pielęgniarka miała australijski akcent, co z jakiegoś powodu jeszcze pogorszyło nastrój Elizabeth.

- Dobrze, dziękuję.

- Doskonale! Właśnie to chciałam usłyszeć! Teraz posmaruję brzuszek tą galaretką. Przepraszam, że taka zimna. Wszystko w porządku?

- Tak, dziękuję!

Co sobie ta durna krowa wyobrażała? Że ona tu zemdleje z powodu paru kropel zimnej galaretki?

- No, już gotowe. Mam nadzieję, że nie było to zbyt nieprzyjemne... Miała pani już kiedyś robione badanie USG?

- Nie. Kiedy byłam w ciąży ze starszymi dziećmi, jeszcze go nie wynaleziono.

- Wie pani, na czym to polega?

- Chyba... Chyba tak.

- Na wszelki wypadek wytłumaczę. To urządzenie - pomachała przed oczami Elizabeth czymś w rodzaju mikrofonu - to transponder, który emituje i odbiera fale dźwiękowe. Fale ulegają przekształceniu w dwuwymiarowy obraz tego, co chcemy zobaczyć, w tym wypadku pani dziecka. Teraz zaczniemy... Gdyby była pani tak dobra i popatrzyła na ten ekran. Na własne oczy zobaczy pani, co dzieje się w pani macicy. Jest pani... Zaraz, zaraz... Tak, jest pani prawie w trzynastym tygodniu, więc maluch ma siedem, może osiem centymetrów. Wie pani, że znajduje się w takim jakby niewielkim pęcherzu z wodą.

- Tak, wiem, dziękuję! - rzuciła Elizabeth. - Mam już troje dzieci.

- Troje! Och, jak cudownie! Dziewczynki czy chłopcy?

- Jeden chłopiec, dwie dziewczynki.

- W jakim są wieku?

- To nastolatki.

- Nastolatki, naprawdę? Nie wygląda pani na matkę nastoletnich dzieci, słowo daję!

Uśmiechnij się, Elizabeth, wysił się trochę, ta dziewczyna jest przecież całkiem miła.

- Na pewno są okropnie podekscytowani, co? Ach, maluch gdzieś tu jest. Tylko gdzie? Nie widzę go... Pewnie bawi się z nami w chowanego.

Nie widzi dziecka, głupia suka, bo go tam nie ma! Uciekło od niej, niezadowolone z miejsca pobytu, zrażone negatywnymi wibracjami, które przez wszystkie te tygodnie mu przekazywała. Mocno zacisnęła pięści.

- Nie szkodzi... Z tej strony nam się nie udało, więc spróbujemy z drugiej. O, tu jest jeden jajnik, a tu drugi, widzi pani? No, maluchu, gdzie ty się podziałeś?

Elizabeth czuła, że zaraz zacznie krzyczeć. Nie potrafiła leżeć nieruchomo i słuchać tego steku bzdurow, kiedy po prostu umierała z przerażenia i rozpacz. Zamknęła oczy. Dziewczyna w milczeniu przesuwiała transponder po jej brzuchu. Po jej płaskim, najwyraźniej pustym brzuchu.

Osiem... Dziewięć... Dziesięć...

- Pani Beaumont? Gdyby była pani tak dobra i otworzyła oczy, dobrze? O, proszę spojrzeć, podskakuje jak szalony! Moim zdaniem, hoduje tam pani przyszłą gwiazdę futbolu...

- O, mój Boże! O, Boże...



Nagle australijski akcent okazał się najcudowniejszy na świecie, a zupełnie przeciętna, okrągła twarz dziewczyny anielsko piękna.

- To znaczy... Czy to znaczy, że dziecko nadal tam jest?!

- Jasne, że jest! I zostanie tam jeszcze jakiś czas, raczej dłuższy. Czy ta ładna dziewczyna na korytarzu to pani córka?

- Tak...

- Chce pani, żebym zaprosiła ją do środka i pokazała jej braciszka? Albo siostrzyczkę?

I tak przez następne pięć minut Elizabeth i Annabel siedziały jak zaczarowane, z mokrymi od łez policzkami, mocno trzymając się za ręce, wpatrzone w migotliwy obraz na czarnym ekranie, i z zapartym tchem obserwowały dziecko, które było ostatnim podarunkiem od Simona. Co jakiś czas uśmiechały się do siebie z ogromną ulgą i radością, co w nieunikniony sposób łączyło się ze smutkiem i poczuciem straty.

## ROZDZIAŁ 52

### *LISTOPAD 1990*

Cóż, marny początek. Udało jej się namówić Nigela, żeby zaprosił Catherine na koktajl; szczerze mówiąc, oczy zabłyśły mu na myśl o spotkaniu z Catherine, ale zaraz potem okazało się, że Catherine wybiera się już na jakieś inne przyjęcie. I bardzo dobrze, oczywiście, świetnie, że zawiera nowe znajomości, ale...

- Co za pech! - zdenerwowała się Catherine. - Wolałabym zobaczyć się z Nigelem, ale nie mogę nie pojechać na tamto przyjęcie, to byłoby bardzo nieuprzejme. Jak już się dzieje, to wszystko naraz, niestety!

Lucinda odłożyła słuchawkę i westchnęła. To byłaby znakomita okazja, żeby spotkali się i porozmawiali. Nie mogła przecież zaprosić Nigela i Catherine na drinka do siebie.

- Przykro mi, Jamie, ale będziesz musiał to przesunąć! Tak, rozumiem, że to trudne i na pewno twoja mama nie będzie... Tak, ale to jest naprawdę, naprawdę ważna sprawa! Moja mama jest w ciąży, na miłość boską, i dopiero co o mały włos nie poroniła. Nie mogę przylecieć do Bostonu za dwa tygodnie, to po prostu niemożliwe! Słucham? Naprawdę? Ojej... Jamie, przykro mi, że tak się wszystko ułożyło, dla mnie też jest to trudne. Ale jeśli Tilly i Toby mieliby jechać ze mną, to mama zostałaby tu sama jak palec. Może po świętach, co? Na przykład w styczniu... Co ty na to? Chcę zająć się mamą i w tej chwili to jest dla mnie najważniejsze! Jest jej bardzo ciężko, przecież wiesz, i... Och, kurwa mać, Jamie, mam tego dosyć!

- Rzuciłam słuchawkę - wyznała Annabel później, kiedy Tilly wróciła do domu ze szkoły. - Jamie jest tak zapatrzony w siebie, w ogóle nie rozumie, jakie to ważne, ciągle gadał tylko o tym, ile wysiłku będzie wymagało od jego matki, żeby poodkręcać wszystko, co już zorganizowała, poodpraszać ludzi i tak dalej... Tylko jakie to ma znaczenie w porównaniu z dzieckiem?!

Jamie oddzwonił. Bardzo przeproszał Annabel, mówił, że nie chciał wyjść w jej oczach na egoistę, że Elizabeth i jej dziecko są teraz najważniejsi, rzecz jasna, i że jego matka uznała, że styczeń będzie lepszy.

- Możemy poczekać, jeżeli ty możesz - powiedział.

- Mogę. To znaczy, nie mogę, ale muszę. Za kilka tygodni będę już trochę spokojniejsza. Jak twoja mama?

- W porządku, przesyła serdeczności. Prosiła, żebym powiedział, że pisze list do twojej mamy. O dziecku... O tym, że na pewno myśl o dziecku dodaje jej teraz sił.

- Cóż, tak i nie - odparła ostrożnie Annabel. - Myślę, że mama bardzo się boi. Jak poradzi sobie sama, no, wiesz...

- Jasne. No, muszę już kończyć, tata zapłaci majątek za tę rozmowę! Kocham cię!

- Ja też cię kocham. Jamie, czy mógłbyś... Czy chciałbyś... Czy chciałbyś przyjechać tu na Boże Narodzenie? To propozycja mamy. Bardzo byśmy się cieszyli, ja i cała reszta. Te święta będą dla nas trudne i...

Milczenie.

- Byłoby cudownie, oczywiście - odezwał się wreszcie Jamie. - Dziękuję za zaproszenie... Ja... Hmm... Będę musiał porozmawiać z rodzicami. Boże Narodzenie to wyjątkowe święta, mamy wspaniałe rodzinne tradycje, no i...

- Większość rodzin je ma. Zastanów się, Jamie! Do usłyszenia!

Odłożyła słuchawkę. Jeżeli Jamie uważa, że ona przez następne pięćdziesiąt lat będzie obchodziła Boże Narodzenie z jego rodziną, nie swoją, to... To wkrótce odkryje, jak bardzo się pomylił!

\* \* \*

- Debbie, tu Joel. Co to za zagrywki, do diabła?! Jest już czwartek, nie widziałem cię od ponad tygodnia! Co ty wyprawiasz?!

- Nic nie wyprawiam. Ja tylko... Ja tylko się zastanawiam nad wszystkim...

- Więc przestań! Albo przynajmniej przestań zastanawiać się sama! Pozwól, żebym ci pomógł!

- Nie mogę się z tobą spotkać. Jeszcze nie teraz, potrzebuję jeszcze trochę czasu, parę dni. Przykro mi...

I odłożyła słuchawkę.

Wydawało się jej, że podjęła dobrą decyzję, starając się oczyścić swoje myśli i nie kontaktować z nim, żeby później stawić czoło przyszłości i wybrać właściwą drogę, ale dźwięk jego głosu wywołał dotkliwy ból, czuła się tak, jakby zerwała ze skóry ogromny strup... Nagle zrozumiała, że dłużej tak nie wytrzyma. Musiała się z nim zobaczyć. Musiała i tyle... Dopóki mogła.

Zadzwoniła.

- Zobaczą, co da się zrobić - powiedziała. - W kwestii opieki do dzieci. Dziś wieczorem...

- Kocham cię - rzekł.

Tylko tyle, nic więcej. Tylko „kocham cię”.

- Ja też cię kocham.

Toby'emu o dziecku powiedziała Annabel. Zareagował dokładnie tak, jak przewidziała Elizabeth - ogromnym skrępowaniem, prawie przygnębieniem. Zmusił się, żeby przyjść i pogratulować jej, ale widziała, że było to dla niego niezwykle trudne. Wrócił do szkoły z nieskrywaną ulgą.

- Głupi złamas! - rzuciła Tilly, kiedy nadąsana twarz Toby'ego znikła za oknem odjeżdżającego pociągu.

Jej nadal idealny akcent uczynił epitet jeszcze bardziej wymownym.

- Tilly, to nieładne słowo! - zaprotestowała Elizabeth.

- I dobrze, bo ten idiota nie zasługuje na ładne słowa! Co za świnią! A, zresztą... Mamo, co to właściwie jest „złamas”? Madison często tak mówi, ale nie chcę jej pytać.

Elizabeth usiadła za biurkiem, żeby przygotować wystąpienie na konferencję, znacznie silniejsza i spokojniejsza niż w ostatnich tygodniach, i wtedy zadzwonił telefon z instytutu medycyny sądowej. Data sprawy, która miała zakończyć dochodzenie w sprawie śmierci Simona, została wyznaczona na drugi tydzień stycznia. Stycznia! Tyle czasu po śmierci Simona! Nie miała cienia wątpliwości, że kompletnie zburzy to jej kruchy, ciężko wypracowany spokój. W tej chwili jakoś utrzymywała się na powierzchni - żyła, funkcjonowała, pracowała, zajmowała się rodziną. I to było wszystko, na co w przewidywalnej przyszłości mogła liczyć. Z najwyższym trudem ogarnęła rzeczywistość, nawet sprzedaż domu i wyprowadzkę, która miała nastąpić dwa tygodnie przed świętami. Jednak myśl o zagłębianiu się w szczegóły jego śmierci naprawdę ją przerażała. Elizabeth Beaumont była twarda i dzielna, ale nie miała pojęcia, jak zdoła sobie z tym poradzić.

## ROZDZIAŁ 53

*LISTOPAD - GRUDZIEŃ 1990*

Czyżby naprawdę było to jeszcze gorsze od siedzenia w domu z dziećmi, zastanawiała się Catherine. Spędziła w Musgrove Hall ponad godzinę, ale równie dobrze mogłoby w ogóle jej tu nie być, ponieważ nikt nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

Patrick przywitał ją bardzo miło i ciepło, kiedy zjawiała się jako jedna z pierwszych.

- Sporo gości było dziś na polowaniu, więc pewnie trochę się spóźnił - wyjaśnił. - Tak czy inaczej, cieszę się, że panią widzę! Dżin? Czy może whisky? Naturalnie mam też sherry, proszę wybierać.

Poprosiła o dżin z tonikiem, miała nadzieję, że później uda jej się przejść na sam tonik, a potem weszła za Patrickiem do piekielnie zimnego pokoju, który nazwał salonem. Zero dywanów, zero zasłon, tylko kamienne płyty na podłodze. Muszę uważać, żeby czegoś nie upuścić, pomyślała. W kamiennym kominku, naprawdę pięknym, płonął skromny ogieniek. Catherine od razu poczuła, że jej czarne spodnie i jedwabna

bluzka koszulowa to chyba zbyt sportowy strój; dwie kobiety, które zastała w salonie, miały na sobie koktajlowe suknie, dokładnie takie, jakie zapamiętała z dzieciństwa. Ciekawe, gdzie teraz można kupić takie kreacje ze spódnicami na sztywnych halkach, z rękawami trzy czwarte i owalnymi dekolcami. Jedna uszyta była z ciemnego aksamitu, druga z grubego, ciężkiego jedwabiu, obie stanowiły idealne tło dla sznurów prawdziwych (niewątpliwie!) pereł oraz ogromnych brosz.

- Przedstawiam pani Pattie Smithers oraz jej męża Paula, to jest Mo Cummings, a ten wyraźnie bezużyteczny facet to pan Mo, jak go tu nazywamy.

- Odczep się! - powiedział pan Mo i wyciągnął do Catherine wilgotną od potu dłoń. - Mike Cummings...

- A to Catherine Morgan, która mieszka tutaj dopiero od dwóch miesięcy! Wszystko to pani sąsiedzi, moja droga. Catherine przeniosła się do Somerset z Londynu, więc jest przyzwyczajona do rozmaitych rozrywek. Powiedziałem jej, że pewnie uzna nas za strasznie nudnych...

- Nie, w żadnym razie! - przerwała mu Catherine. - To Londyn był nudny. Ja...

- Mąż wyjechał, tak? - zagadnęła Pattie, odrobinę podobna do bullterriera.

- Nie... To znaczy... Jestem wdową. - Catherine uśmiechnęła się do niej nerwowo.

- Och, tak mi przykro. - Pattie nie wyglądała ani na skępowaną towarzyską gafą, ani na pełną współczucia dla swojej rozmówczyni. - Gdzie pani mieszka?

- W Gillingham. Mieszkam... mieszkam z teściami, przynajmniej na razie. I z moimi...

- Gillingham? - Mo lekko zmarszczyła brwi. - Nie, nie znam nikogo z Gillingham. Pani teściowie polują?

- Nie... Nie, nie polują.

- Szkoda! Miło mi panią poznać. Ach, Sally, tak się cieszę, że cię widzę! - i Mo z uśmiechem odwróciła się do trzeciej damy w koktajlowej sukni, z jeszcze bardziej ogorzałą twarzą.

- Jak polowanie?

- Wspaniale! Psy prawie od razu podjęły trop. Catherine przestała dla nich istnieć.

Jednak Patrick często przypominał sobie o niej i ciągnął ją od jednej grupki do drugiej, dosłownie przestawiał ją z miejsca na miejsce. Była mu za to szczerze wdzięczna. Naprawdę był bardzo, bardzo sympatyczny, ale pewnie już żałował, że ją zaprosił, bo przecież okazała się dla niego ciężarem.

Rozmowy toczyły się wyłącznie na temat polowania i broni; jak na razie nikt nie wspomniał o łowieniu ryb, ale Catherine czuła, że jest to nieuniknione. Zamówiony przez nią drink jeszcze nie został przyniesiony - pewnie trudniej było zmieszać dzin z tonikiem niż nalać wino do kieliszków. W tym wszystkim dobre było jedno - nadal była trzeźwiuteńka.

Jedyną odmianę w tematyce konwersacji stanowiła pani Thatcher oraz jej upadek. Wszyscy zgadzali się co do tego, że Heseltine zasłużył sobie na śmierć przez powieszenie, ponieważ to on spowodował całą tę sytuację.

- Poznałem go kiedyś - powiedział ktoś. - Nieznośny facet, urodzony drań. No i te włosy...

- Heseltine chodził przynajmniej do przyzwoitej szkoły - rzucił ktoś inny. - Wyobraźcie sobie tylko, że moglibyśmy dostać Majora. To jest dopiero przerażający gość!

- Hurd będzie nie najgorszy - oświadczył mężczyzna łyсы jak kolano. - Brak mu wprawdzie charyzmy, ale...

- Charyzmy, też mi coś! - parsknął Patrick. - Trudne pojęcie, Geoffrey, starszku! Catherine, ty mieszkasz na stałe w Londynie, znasz któregoś z naszych okropnych polityków?

Jaki on miły, pomyślała Catherine. Naprawdę stara się wciągnąć mnie do rozmowy.

- Raz spotkałam Neila Kinnocka - zaczęła ostrożnie. - Ale on...

- Kinnocka? Sławnego walijskiego gadułę? - Geoffrey spojrział na nią spod uniesionych brwi. - Trzeba przyznać, że dobrze robi, trzymając ludzi z Partii Pracy z daleka od tego zamieszania. Gdzie go pani poznała, na miłość boską?

Wyjaśniła, że Kinnock odwiedził kiedyś szkołę jej dzieci, natychmiast sobie uświadomiła, że tym samym dała do zrozumienia, że Freddie i Caroline chodzili do państwowej placówki, nerwowo zerknęła na zegarek i powiedziała, że zrobiło się strasznie późno, wobec czego musi jak najszybciej wracać do domu. Ponieważ było dopiero dwadzieścia pięć minut po dziewiętnastej, nie zabrzmiało to szczególnie przekonująco.

Jednak Patrick wyraźnie uznał to za całkowicie zrozumiałe. Nie ulegało wątpliwości, że reguły dotyczące przyjęć były na wsi zupełnie inne niż w mieście.

- Odprowadzę panią. Mam nadzieję, że nie wynudziła się pani...

- Nie, było mi bardzo miło! - Uśmiechnęła się. - Bardzo dziękuję!

- Nie ma za co, cieszę się, że pani przyjechała! Zawsze to coś innego, poznała pani nowych ludzi. Z czasem zorientuje się pani, że są całkiem mili. Mam nadzieję, że wkrótce znowu się zobaczymy. Wybiera się pani w sobotę na zawody konne w Trister?

- Nnnie...

- Powinny być dość interesujące! Wybieram się tam, może chciałaby pani pojechać ze mną?

- Sama nie wiem... - Czowała się bardzo niepewnie.

Czyżby właśnie otrzymała zaproszenie na randkę? A jeżeli tak, to czy miała ochotę je przyjąć? Patrick był wyjątkowo miły, ale jednak nie do końca w jej typie. Z drugiej strony, z przyjemnością wyrwałaby się z domu. Tyle że...

- Bardzo to miło z pańskiej strony - powiedziała. - Ale prawdopodobnie musiałabym zabrać ze sobą dzieci.

- O, tym lepiej! Pani córeczka to strasznie miły dzieciak!

- Może w takim razie przygotuję coś na piknik? - zaproponowała.

- Nie, proszę nie robić sobie kłopotu, pani P. wszystkim się zajmie.

- Więc upiekę ciasto. Na... na podwieczorek.

- Świetnie! Doskonały pomysł! A więc do zobaczenia w sobotę!

Gdyby pani Bennet była moją matką, pomyślała Catherine, patrząc przez ramię na rezydencję Musgrove Hall w całym jej splendorze, na pewno byłaby bardzo podekscytowana.

Debbie nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wyhodowała sobie dwie głowy. Albo przynajmniej dwa życia. W jednym, dobrze znanym, była dobrą żoną i matką, troskliwą i zaangażowaną w życie dzieci; codziennie rano odwoziła je do szkoły, ubrane w schludne mundurki i porządnie nakarmione, z odrobionymi lekcjami i przygotowanymi dodatkowymi projektami, a potem jechała do pracy, gdzie ciężko harowała i całkiem nieźle sobie radziła przez pięć dni w tygodniu (z tego trzy razy kończyła o piętnastej, żeby odebrać dzieci). Później wracała do domu, sprzątała, gotowała, porządkowała, prała, przyjmowała przyjaciół dzieci i przez telefon rozmawiała z mężem, zapewniając go, że wszystko jest w porządku, wypytywała, jak mu idzie w pracy; wieczorem raczej wcześniej kładła się spać, żeby rano rozpocząć następny, uporządkowany dzień.

Miała jednak i drugie, sekretne życie, w którym kłamała, oszukiwała, wymyślała fikcyjne spotkania, wydawała mnóstwo pieniędzy na opiekunki do dzieci i pędziła na drugą stronę Londynu z mocno bijącym sercem i ciałem rozpalonym pożądaniem, aby spędzić z kochankiem kilka cennych, pełnych uniesień godzin, rozmawiać z nim, śmiać się, kochać, cały czas uparcie przymykając oczy na fakt, że przyszłość, o której w ogóle nie chciała myśleć, zbliża się nieuchronnie.

Kiedy Joel w jakikolwiek sposób próbował nakłonić ją do podjęcia ostatecznej decyzji, powtarzała mu, aby tego nie robił.

- Liczy się to, co jest teraz, to, że jesteśmy razem, że kocham cię, a ty mnie, że po prostu nie możemy się sobą nacieszyć! Po co to niepotrzebnie psuć?

Wiedziała, że ta historia nie może mieć szczęśliwego zakończenia, ale dopóki trwa, jest fascynująca i pełna radości. Oczywiście nie zawsze świeciło słońce - czasami Joel wpadał w gniew, niecierpliwił się, narzekał, że ona nie chce zachować się w zdecydowany, odpowiedzialny sposób.

- Nie mogę przecież zrobić nic więcej, na miłość boską! - krzyczał. - Poprosiłem cię, żebyś za mnie wyszła, więc czemu nie dajesz mi odpowiedzi?! Co jeszcze mam zrobić?!

- Nic - odpowiadała, całując go i obejmując. - Nic, zupełnie nic. Nie męcz mnie, proszę. Coś się stanie, zobaczysz, coś sprawi, że sytuacja sama się rozwiąże. Zaczekaj jeszcze, bardzo cię proszę!

Najgoręcej kłócili się w czasie weekendów, w które Richard przyjeżdżał do domu. Wtedy Joel szalał i mówił jej, że jest tchórzem i pozbawioną serca kłamczuchą, i że jeśli sama nie podejmie decyzji, on zrobi to za nią. Przeżywała te weekendy (od połowy semestru trafiły się tylko dwa, dzięki Bogu...) w stanie paralizującego przerażenia. Umierała ze strachu, że Richard zacznie coś podejrzewać, że dzieci się wygadają, jak często nie ma jej w domu, że Joel nieoczekiwanie zjawi się na progu, że - i to było najbardziej stresujące - Richard będzie się z nią kochał. Co oczywiście się zdarzało. Później nie miała pojęcia, jak udało jej się przebrnąć przez to doświadczenie; zwykle układała sobie w głowie komunikaty dla prasy, planowała spotkania, zastanawiała się nawet, co włoży na siebie w poniedziałek rano. Zdumiewało ją, że Richard niczego nie zauważył.

Wreszcie, po całej wieczności, wypełnionej opowieściami o tym, jak cudowna jest Morag oraz nowa praca, nadchodził poniedziałek i Debbie z westchnieniem ulgi wracała do swoich dwóch światów. I tkwiąc w samym centrum jednego i drugiego, ani na chwilę nie zapomniała, że musi podjąć decyzję absolutnie sama, bez niczyjej pomocy.

- Czy nie mógłby pan przyspieszyć porodu, doktorze? - zapytała Lucinda, ze zniecierpliwieniem patrząc znad ogromnego brzucha na swojego lekarza. - Wydaje mi się, że zaraz pęknę, nie wytrzymam tego ani chwili dłużej! Nie można czegoś zrobić?

- Nie. Moim zdaniem, sztuczne wywoływanie porodu przynosi więcej szkód niż korzyści, zresztą pani termin przypada dopiero w przyszły czwartek. Pierwsze dzieci zwykle się spóźniają. Główka dziecka nie znajduje się jeszcze w ujściu macicy, więc przed panią co najmniej tydzień. - Lekko poklepał brzuch Lucindy i uśmiechnął się do niej. - Wiem, że to nudne i męczące, ale proszę o cierpliwość! Dzieci rodzą się wtedy, kiedy są gotowe przyjść na świat!

Lucinda wróciła do domu taksówką; Blue już na nią czekał, nieco zaniepokojony.

- Wczesnie przyjechałeś z pracy - zauważyła.

- Tak, wiem... Miałem luźny dzień. Co powiedział doktor, Lucy?

- Och, że pewnie potrwa to jeszcze tydzień albo dwa! Chyba oszaleję!

- Nie, nie martw się! Moje biedactwo. Przygotowałem ci kolację, co ty na to?

- Jesteś słodki, naprawdę! Popatrzył na nią niepewnie.

- To tylko kurczak à la Czernobyl, ten z delikatesów Marks & Spencer - powiedział.

- Nie mów tak, nie lubię tego!

- Chodzi ci o Marksa & Spencera?

- Nie, o kurczaka à la Czernobyl... To takie... Takie bezduszne.

- Przepraszam.

- Tak czy inaczej, bardzo dziękuję, kochany!

- Usiądź wygodnie, oprzyj nogi na poduszce. Zaraz wszystko przyniosę.

Kiedy Lucinda sadowiła się na kanapie, bezskutecznie próbując sobie wyobrazić siebie z płaskim brzuchem, zadzwoniła Catherine. W poniedziałek jej dzieci były zajęte do wieczora, a ona wybierała się do miasta na świąteczne zakupy. Czy Lucinda chciałaby, żeby ją odwiedzić?

- Och, tak, koniecznie! Przyjedź jak najwcześniej, zaraz po zakupach!

- Dobrze! Ojej, Phyllis mnie woła... Muszę lecieć, do zobaczenia!

Blue wniósł tacę, a na niej nawet najlepsze lniane serwetki i mały wazonik z różą. Przyjrzała mu się trochę podejrzliwie.

- Co ty knujesz? Co się dzieje? No, dalej, lepiej powiedz mi od razu.

- Paru chłopaków leci w poniedziałek do Paryża, tylko na jeden dzień. Ot, tak, żeby się rozerwać przed świętami. Powiedziałem im, że ja nie jadę, rzecz jasna, bo dziecko może urodzić się dosłownie w każdej chwili...

- To prawda!

- No, tak, ale mówiłaś... Oczywiście ani mi się śni, żeby jechać, przecież naprawdę możesz zaraz zacząć rodzić...

- Chyba raczej nie zaraz! Blue, marny z ciebie kłamca. Lepiej poleć z nimi, wiesz?

- Naprawdę? Nie miałabyś mi tego za złe?

- Nie bardzo - westchnęła. - Może dzięki temu wcześniej urodzę.

- W takim razie lecę! Ostatecznie to tylko na jeden dzień, i lecimy prywatnym samolotem, klient stawia! Gdyby coś, po prostu zadzwonisz do mnie i...

- Do Paryża?

- Tak, na komórkę. I wrócę, zanim okiem mrugniesz! No, najwyżej w dwie godziny... Ale naprawdę, skarbie, nigdzie się nie ruszę, słowo daję, jeżeli nie chcesz!

- Jedź. Wszystko w porządku! Później pewnie długo nigdzie się nie wyrwiesz. Tylko przypadkiem nie wyłącz komórki, bo nigdy więcej się do ciebie nie odezwę!

Firma Nigela powoli zmierzała w kierunku bankructwa. Często myślał, że gdyby spotkał Johna Majora, powiedziałby mu parę słów prawdy na temat zjawiska, przez Majora z uporem określanego mianem recesji, a które najwyraźniej było depresją na wielką skalę. Należąca do Nigela mała fabryczka w Yeovil miała katastrofalnie niski poziom produkcji, a jej utrzymanie kosztowało więcej, niż zarabiała. Nigel doszedł do wniosku, że najwyższy czas zachować się jak mężczyzna, pojechać do fabryki w najbliższy piątek i poinformować swoich pracowników, że ją zamyka.

Popatrzył na mapę i zorientował się, że będzie przejeżdżał koło Gillingham, gdzie teraz mieszkała Catherine. Lucinda twierdziła, że Catherine czuje się samotna, więc może jego wizyta sprawiłaby jej przyjemność. Chyba nie była już taka samotna, bo przecież w ubiegłą sobotę nie mogła przyjechać na jego przyjęcie, co trochę go rozczarowało. Catherine była bardzo miłą dziewczyną, no i bardzo ładną... Nigel szczerze polubił jej dzieci. Postanowił, że zadzwoni do niej i zobaczy, co z tego wyniknie. Może wszyscy razem mogliby wybrać się gdzieś w sobotę na lunch?

Catherine było bardzo przykro, ale na sobotę już się z kimś umówiła.

- Jedziemy na zawody konne - powiedziała. - Ze... Ze znajomymi.

- Och, szkoda! Nic nie szkodzi, spróbujemy kiedy indziej!

- W niedzielę pewnie będziesz już z powrotem w Londynie, prawda? - zapytała ostrożnie.

Nie chciała, żeby Nigel pomyślał, że bardzo zależy jej na spotkaniu, ale naprawdę go lubiła i szkoda by było nie wykorzystać szansy.

- Raczej tak - rzekł Nigel i nagle poczuł, że musi dowiedzieć się czegoś więcej o nowych znajomych Catherine. - Czy ci twoi znajomi też mieszkają w Gillingham? - zapytał.

Zawahała się chwilę.

- Nie, ale dość blisko - powiedziała. Cóż, nadal nic nie wiedział. Trudno!

- Miło mi było z tobą porozmawiać - rzekł. - Umówimy się na jakiś inny dzień. Do zobaczenia!



- Tak, do zobaczenia.

Nie ulegało wątpliwości, że wcale nie był nią zainteresowany... Gdyby było inaczej, zostałby w tym Yeovil do niedzieli. Cholera jasna! Był taki miły, taki dobry, uprzejmy i łagodny.

Przekazanie pracownikom wiadomości o konieczności zamknięcia fabryki okazało się naprawdę okropnym przeżyciem. Nigel zaprosił wszystkich na parę kolejek do pubu, a potem jeszcze kierownictwo firmy na kolację do restauracji w Yeovil. Przyjęli złą nowinę po męsku, powiedzieli, że spodziewali się tego i zaczęli opowiadać historie o dawnych czasach. Nie było wśród nich ani jednego młodego człowieka.

Nigel obiecał, że postara się zapewnić im jak największe odprawy, pojechał na noc do marnego hotelu i rano obudził się w samobójczym nastroju. Gdyby tylko mógł spotkać się z Catherine, na pewno od razu poczułby się lepiej. A przecież ona miała znacznie poważniejsze problemy. Nagle uznał, że może warto poczekać przynajmniej do soboty wieczorem. Mogliby pojechać gdzieś na drinka, albo coś w tym rodzaju... Więc może jednak zostanie, powłóczy się po okolicy, zwiedzi Wells lub inną pobliską miejscowość. Zawsze chciał zobaczyć katedrę w Wells.

Zjadł niesmaczne śniadanie i wyruszył do Wells, gdzie z przyjemnością obejrzał katedrę i spędził resztę dnia. Potem pojechał do Gillingham i zaparkował w alejce obok paskudnego domu Morganów seniorów, teściów Catherine. Dom zaskoczył go brzydotą, powiedział sobie jednak, że Catherine nie ponosi za to żadnej winy. Postanowił poczekać na jej powrót.

Mniej więcej pół godziny później odjechał, jeszcze bardziej wstrząśnięty i na dodatek zasmucony widokiem potężnego, zabłoconego range rovera, który zatrzymał się na podjeździe przed domem i wyrzucił ze swego wnętrza nie tylko Catherine i Freddiego, ale także Caroline, mocno śpiącą i niesioną przez równie potężnego i zabłoconego jak samochód mężczyznę.

## ROZDZIAŁ 54

*GRUDZIEŃ 1990*

- Halo, Lucindo, jak się czujesz?

- Och, nie najgorzej, wiesz, jak to jest.

Brzmiące w głosie Lucindy przygnębienie tak do niej nie pasowało, że Catherine przestraszyła się nie na żarty.

- Nie masz... Nie jesteś...

- Nic z tych rzeczy, niestety! Nic mi nie dolega, mam tylko wszystkiego po dziurki w nosie. Całe szczęście, że niedługo do mnie przyjedziesz! Blue jest w Paryżu i...

- W Paryżu! - Catherine po raz setny zaczęła się zastanawiać, co takiego Lucinda widziała w Blue.

Nigel w żadnym razie nie pojechałby do Paryża tydzień przed terminem porodu. Byłby w domu i czuwał przy Lucindzie, dbałby o nią, troszczył się i niepokoił.

- Tak, ale tylko na jeden dzień. Wraca wieczorem, a może w każdej chwili, gdyby był mi potrzebny, wiem jednak, że nie będzie. Przyjedź jak najszybciej, Catherine, czekam na ciebie! Czuję się jakoś tak dziwnie.

- Muszę jeszcze kupić parę rzeczy na Gwiazdkę, nie mam niczego dla Phyllis. Jestem teraz w Selfridges, zaraz coś wybiorę, mam nadzieję, i już do ciebie jadę...

- Długo to potrwa? - zapytała z rozpaczą Lucinda.

- No, powiedzmy, że półtorej godziny... Tak, tyle powinno mi wystarczyć! Przed czwartą będę, dobrze?

- Dobrze... Postaram się nie zwariować do tej pory.

- O której wraca Blue?

- Późno... Przed chwilą dzwonił i mówił, że klient chce zaprosić ich na kolację, oczywiście wczesną. Przez cały weekend byłam dla niego taka okropna, że pozwoliłabym mu zostać tam nawet tydzień.

- Na pewno wcale nie byłaś dla niego okropna. - Catherine nie wyobrażała sobie, aby Lucinda mogła być dla kogokolwiek okropna. - Trzymaj się, przed czwartą będę!

- W porządku, dzięki!

Lucinda rzeczywiście czuła się jakoś dziwnie, nie tyle pod względem fizycznym, ile umysłowym - była zagubiona i niespokojna, kompletnie bez powodu. Zadzwoił telefon.

- Lucinda?

- Och, Nigel! Jak się cieszę, że dzwonicz! Co u ciebie?

- W porządku. Jestem trochę przygnębiony, nic ważnego. Zastanawiałem się, czy miałaś jakieś wiadomości od adwokatów.

- Nie, jeszcze nie, ale Steve nie ma żadnych wątpliwości, że wszystko się ułoży. Nie martw się! Może masz ochotę wpaść do mnie na herbatę? A nuż poprawisz trochę humor. Mam ciasteczka.

Nigel z trudem przełknął ślinę. Lucinda zawsze kupowała mu ciasteczka, co tydzień, i podawała w niedzielę na podwieczorek z pysznym dżemem truskawkowym albo marmoladą...

- No, nie wiem...

- Proszę cię, bardzo chciałabym cię zobaczyć! Okropnie mi się nudzi, mam już dosyć czekania na poród! Catherine też wpadnie. Moglibyśmy urządzić sobie małe przyjęcie.

- Catherine? - Nigel natychmiast przypomniał sobie mało przyjemny koniec oczekiwania na powrót Catherine za domem Morganów.

- Tak, przyjechała na gwiazdkowe zakupy! Zawahał się.

- To miła propozycja - odezwał się w końcu.

- Świetnie! Kiedy przyjedziesz? Bo zamierzałam właśnie się wykapać.

- Och, za jakąś godzinę.

- Tak samo jak Catherine. Doskonale, zaraz nastawię wodę na herbatę!

\* \* \*

Nigel i Catherine przyjechali dokładnie o tej samej porze; uśmiechali się do siebie ze skrępowaniem, zbliżając się do domu Lucindy z dwóch przeciwnych kierunków.

- Halo, Nigel...

- Dzień dobry, Catherine... Świetnie wyglądasz, życie na wsi najwyraźniej ci służy!

- Życie może i tak - westchnęła. - Ale raczej nie ludzie.

- Masz przecież nowych przyjaciół, prawda?

- Można tak powiedzieć.

Nigel pomyślał o potężnie zbudowanym mężczyźnie, z widoczną czułością niosącym w ramionach małą dziewczynkę, i nagle ogarnęło go rozdrażnienie.

- Wchodzimy? - zagadnął.

Lucinda miała na sobie płaszcz kąpielowy z frotté, a jej brzuch wydawał się po prostu monstualny. Nigel pośpiesznie odwrócił wzrok.

- Jak to miło! - powiedziała. - Tak się cieszę, że widzę was obydwój! Zaraz się ubiorę i napijemy się herbaty. Catherine, skarbie, mogłabyś włączyć czajnik? A ty poszukaj ciasteczek, Nigel! Mam jakiś nagły przypływ energii, chętnie coś zjem!

- Ciasteczka! - zawołała Catherine. - Uwielbiam ciasteczka! W każdą sobotę jadaliśmy na podwieczorek ciasteczka z dżemem truskawkowym, ulubionym Fredericka i moim też...

- Niesamowite - odezwał się Nigel, wpatrując się w nią w skupieniu.

- Co takiego?

- Och, nic...

Pół godziny później, gdy zadzwonił telefon, cała trójka z przyjemnością pochłaniała ciasteczka i piła herbatę.

- Halo? Co takiego? Och, Blue, jesteś po prostu beznadziejny! Jak mogłeś? Rozładowała mu się bateria w komórce, a on nawet tego nie zauważył! - poinformowała Lucinda Nigela i Catherine. - Słucham? A, dwoje przyjaciół, wpadli na herbatkę. Dziękuję, że zadzwoniłeś! Nie, nie, jeszcze nie rodzę, masz szczęście! Tak, dzwoń co jakiś czas, skoro ja nie mogę do ciebie zatelefonować. Co godzinę, dobrze? No, pa! I żebyś mi nie wrócił do domu pijany!

- Gdzie on jest? - spytał Nigel.

- W Paryżu, na przedświątecznej imprezie. Wraca wieczorem, niezbyt późno. Polecieli prywatnym samolotem.

Co z niego za mąż, jeśli wyjeżdża do Paryża, kiedy jego dziecko może się w każdej chwili urodzić, pomyślał Nigel, z czułością patrząc na Lucindę. I jeszcze to biedactwo musi mu przypominać, żeby się nie upił. Co ona w nim widzi, na miłość boską?

- No, dobrze - powiedziała Lucinda z uśmiechem. - Może jeszcze herbaty? Idę nastawić czajnik! Zaraz... Ojej... Co ja narobiłam? Chyba nie rozlałam tego wszystkiego, co?

- Nie - spokojnie odparła Catherine, patrząc na dużą kałużę, która uformowała się pod nogami Lucindy. - Właśnie odeszły ci wody.

Catherine zadzwoniła po karetkę na numer zapisany na kartce obok telefonu. Po niewiarygodnie długim czasie (w każdym razie tak jej się wydawało) ktoś podniósł słuchawkę i powiedział, że postara się zaraz wysłać wóz, ale należy wziąć pod uwagę spore opóźnienie.

- Na mieście są straszne korki! Jak częste są skurcze?

- Nie ma skurczów - wyjaśniła Catherine. - Ale przed chwilą odeszły wody.

- Skąd pani dzwoni?

- Z Limehouse.

- Kawalek drogi. To pierwsze dziecko pacjentki?

- Tak.

- I na pewno nie ma skurczów?

- Na pewno.

- Coś pani poradzę - najlepiej będzie wsadzić ją do samochodu i przywieźć do szpitala. Trasa jest zakorkowana w waszą stronę, do nas można w miarę szybko dotrzeć. Więc proszę po prostu jechać, i oczywiście zawiadomić szpital, że mają na was czekać! Powodzenia!

Wyszli na ulicę. Volvo Nigela, kanciaste i solidne, stało przy krawężniku.

- Wsiadaj z tyłu, Lucindo! - poleciła Catherine. - Ja wezmę mapę miasta i spróbuję pilotować Nigela.

- Nie trzeba! - powiedziała Lucinda. - Znam na pamięć najkrótszą trasę! Wolalabym, żebyś usiadła obok mnie i pottrzymała mnie za rękę. Och, wcale nie jest tak źle, to nawet dosyć zabawne!

- I bardzo dobrze! - rzekła Catherine z uśmiechem. - Tak powinno być. Jedźmy już, Nigel!

Nigelowi tak mocno trzęsły się ręce, że z trudem przekręcił kluczyk w stacyjce.

Byli na wiadukcie Holborn, kiedy z ust Lucindy wyrwał się krótki okrzyk. Catherine szybko podniosła wzrok.

- Skurcz?

- Tak, chyba tak! Ale nie bardzo bolesny.

- W porządku. Potrzebne nam jeszcze dwa.

- Mam nadzieję, że to jednak potrwa trochę dłużej, co? - Lucinda zaczęła szczerkać zębami.

- Oczywiście, głuptasie! Potrzebne nam trzy skurcze, żeby się dowiedzieć, jak często występują!

Jechali w kierunku Gower Street, gdy Lucinda znowu krzyknęła. Catherine spojrzała na zegarek.

- Szybko - mruknęła. - Mniej więcej pięć minut po pierwszym. Jedź, Nigel...

- Robię, co mogę - odparł drżącym głosem.

Trzeci skurcz pojawił się po pięciu minutach i trwał trzydzieści sekund.

- Świetnie - oznajmiła Catherine. - Na razie są krótkie!

- Może i krótkie, ale na pewno nie łagodne! - Lucinda przygryzła dolną wargę. - Ten ostatni był naprawdę bolesny. Chyba powinnam robić ćwiczenia oddechowe. Jak nam idzie, Nigel?

- Teraz już znacznie lepiej. Nie martw się, zaraz dowieziemy cię na miejsce!

Zanim dotarli do szpitala, Lucinda miała już skurcze co trzy minuty. Później wszystko potoczyło się bardzo szybko - prawie natychmiast podbiegła do nich pielęgniarka z fotelem na kółkach i pomogła Lucindzie usiąść.

- Dziękuję ba... - zaczęła Lucinda i skrzywiła się z bólu. Miała właśnie następny skurcz.

- Jak częste są skurcze? - spytała pielęgniarka.

- Co trzy minuty - odparła Catherine.

- Co trzy minuty! Szybka akcja! Kiedy się zaczęły?

- Bardzo niedawno, na wiadukcie Holborn - powiedziała Lucinda. - Ale zaraz potem nabrały tempa. - Posłała pielęgniarce promienny uśmiech. - Mam szczęście, prawda? Chciałabym jednak dostać znieczulenie. Czy doktor Clark już jest?

- Jeszcze nie, ale już jedzie.

Nigel niepewnie popatrzył na Lucindę i Catherine.

- Pójdę zaparkować samochód, dobrze?

- Oczywiście - zgodziła się Catherine. - Ale zaraz wracaj, bo będziemy cię potrzebować!

- To mąż? - zagadnęła pielęgniarka, patrząc za wysoką, oddalającą się korytarzem sylwetką Nigela.

- Tak, ale nie... Boże, następny skurcz! Dosyć... Och, bardzo boli! Trzymaj mnie za rękę, Catherine!

Nie puszczaj!

- Pójdę zadzwonić do Lucindy - powiedział Blue.

Przed chwilą wypił trzeci koktajl. Siedzieli w barze hotelu George V w Paryżu, a wcześniej zjedli długi, mocno zakrapiany różnymi alkoholami lunch w hotelu Crillon. Wszyscy byli zdrowo rumiani, słabo trzymali się na nogach, niewyraźnie mówili i cierpieli na ogólne rozluźnienie mięśni.

- Pamiętasz, gdzie jest telefon? - zapytał Charlie.

- Jasne...

Chwilę patrzyli, jak Blue, zataczając się, zmierza w stronę korytarza.

- Stary głupek - powiedział Charlie z sympatią. - Jeszcze jedna kolejka i chyba...

Blue dopadł do nich biegiem, z przerażeniem w oczach.

- Musimy lecieć! - rzucił. - Już!

Nigel i Catherine siedzieli na korytarzu pod drzwiami pokoju Lucindy, z którego przed chwilą zaczęły dobiegać głośnie jęki.

- O, Boże - powiedział Nigel, chwytając Catherine za rękę. - To straszne!

- To zupełnie normalne - odparła uspokajająco. - Nie martw się, nic jej nie będzie! Ból jest dość ostry, dlatego krzyczy. Mnóstwo kobiet klnie, na przykład ja...

- Lucinda na pewno nie będzie kłęła!

Jęk, jeszcze głośniejszy.

- Biedna Lucinda! Dlaczego oni nie starają się jej pomóc?!

- Próbują, zaraz przygotowują znieczulenie dołędźwiowe. Lucinda i tak ma szczęście, bo kiedy ja rodziłam, jeszcze go nie stosowano.

Korytarzem zbliżał się postawny, przystojny mężczyzna w garniturze z kamizelką i muszką. Po chwili zniknął w pokoju.

- To pewnie doktor Clark - mruknęła Catherine do Nigela.

- Skąd wiesz?

- Właśnie tak wyglądają wzięci ginekolodzy, chyba wszyscy. Zza drzwi wyjrzała głowa siostry Johns.

- Może pan teraz wejść, panie Cowper! Szybciutko, szybciutko, bo przegapi pan wielki moment!

Żona świetnie sobie radzi!

- Ale... Ale... Ja nie... To znaczy...

- Wszystko będzie dobrze! - dodała mu odwagi Catherine. - Nie martw się! Lucinda cię potrzebuje.

Siostro, ma siostra fartuch dla pana Cowpera?

- Tak, naturalnie! Proszę mu powiedzieć, żeby się pospieszył, rodząca chce przeć!

Z pokoju wydobył się długi skowyt bólu.

- Nie mogę. - Nigel osunął się na krzesło i ukrył twarz w dłoniach. - Naprawdę nie mogę, jest mi niedobrze.

- Chodzi o to, że pan Cowper nie jest ojcem - szybko wyjaśniła Catherine.

- Ach, tak... W takim razie gdzie jest ojciec dziecka?

- W samolocie, w drodze do Londynu.

Następny jęk, długi, niski. Po sekundzie usłyszeli, jak Lucinda bardzo głośno i dobitnie instruuje kogoś, żeby się odpięrzył. Nigel wyglądał na wstrząśniętego.

- Mówiłam ci - uśmiechnęła się Catherine. - To dobry znak! Już niedługo...

- Rodząca naprawdę potrzebuje teraz wsparcia - odezwała się pielęgniarka. - Ciągłe pyta o jakiego Blue. Myślałam, że to pan Cowper.

- Może - zająknęła się Catherine. - Może ja bym mogła...

- Jak się pani nazywa? Zaraz ją zapytam! Chwilę później siostra znowu wyjrzała na korytarz.

- Mówi, żeby pani koniecznie weszła! A pan niech siedzi tutaj i będzie cicho! - pouczyła surowo Nigela, jakby to on wydawał przerażające krzyki, nie Lucinda.

Gdy Catherine zbliżyła się do łóżka, Lucinda wyciągnęła do niej ramiona.

- Catherine, Catherine, tak się cieszę. O, cholera! Cholera jasna! Co za pieprzone tortury! Powiedz im, żeby natychmiast dali mi znieczulenie! Szybko, na miłość boską!

- Nie możemy - odparł doktor Clark. - Teraz i tak już by nie zadziało! No, mamy następny skurcz! Przyj, Lucindo, przyj z całej siły! Głowa do klatki piersiowej, mocniej! Tak jest! Grzeczna dziewczynka! Jeszcze parę razy i będzie po wszystkim.

- Wolałabym, żeby już było po wszystkim! - wydyszała Lucinda. - Żeby wreszcie było po wszystkim! Jak udało ci się przeżyć to dwa razy, Catherine, o, cholera... Boże, Boże, strasznie boli! Pomooocy!

Nigelowi wydawało się, że trwa to całą wieczność - jęki, wrzaski, ciężkie dyszenie, zupełnie jakby w pokoju uwięziono przerażonego psa. Jak mógł kiedykolwiek brać pod uwagę poddanie Lucindy takim mękom. I gdzie był ten cholerny Horton? Gdzie on był teraz, kiedy tak go potrzebowała?

Blue tkwił w samolocie nad kanałem La Manche, sztywny ze strachu. Od czasu do czasu cichym głosem napomykał, że jeżeli ten pieprzony pilot w ciągu dziesięciu minut nie posadzi tej pieprzonej maszyny na pieprzonym londyńskim lotnisku, to on poda go do pieprzonego sądu. Resztę czasu milczał i w myślach obrzucał samego siebie najgorszymi inwektywami, zastanawiając się, jak mógł zrobić coś tak okropnego, jak mógł zostawić Lucindę na łasce losu, samą, w godzinie najgorszej próby. Dobry Boże, był cholernym gówniarzem, draniem, niczym, zerem. Co ona takiego zrobiła, że trafił jej się ktoś taki jak on, na miłość boską?! Przysiękał sobie, że jeśli Lucindzie nic się nie stanie, jeżeli dziecko zaczeka na niego z przyjściem na świat, to wstąpi do jakiegoś pieprzonego klasztoru. Nie, to nie byłoby dobre rozwiązanie, bo przecież musiał zapewnić im obojgu godziwe warunki życia.

- Jeżeli ta pieprzona maszyna za dziesięć minut nie wyląduje w pieprzonym Londynie, podam was do pieprzonego sądu - powtórzył po raz czwarty przez ostatnie pół godziny.

- Uspokój się, stary! - powiedział Charlie. - Nic jej nie będzie, zobaczysz!

- Skąd możesz wiedzieć? - warknął. - Wszystko może się zdarzyć, dosłownie wszystko!

\* \* \*

- Dalej, Lucindo, jeszcze raz! - ponaglił doktor Clark zdecydowanym tonem. - PRZYJ! I jeszcze! Dalej, mocniej, mocniej, postaraj się, jeszcze! Poród to ciężka praca, nie leń się! Teraz! Dobrze, dobrze... No, weź głęboki oddech i znowu, do roboty! Zaraz będzie po wszystkim, już, już! No, wreszcie! Tak, udało się! Świetnie się spisałaś, słowo daję... Popatrz tylko, jaka śliczna dziewczyneczka...

- Dziewczynka? Och, cudownie. Blue będzie wściekły, ale dobrze mu tak, dobrze mu tak! Spójrz, Catherine, spójrz! Och, jaka cudna! Dobrze się spisałam, wszyscy dobrze się spisaliśmy! Bardzo, bardzo panu dziękuję, doktorze, i przepraszam, że tak przeklinałam. Patrzcie, ma takie duże niebieskie oczy. Proszę mi ją dać, och, och... Och, ty moja piękna, najpiękniejsza...

Catherine wyszła na korytarz, żeby przekazać Nigelowi wielką nowinę i zapewnić go, że wszystko w porządku.

Nigel wciąż siedział nieruchomo, z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Nigel, już po wszystkim. Lucinda czuje się świetnie, dziecko także, to dziewczynka, po prostu prześliczna.

- Myślałem... Myślałem, że ona umrze - wyszeptał. - Nie zniósłbym tego. Catherine otarła oczy i uświadomiła sobie, że Nigel też płacze i ma zupełnie mokre policzki, które wciąż pracowicie wyciera krawatem.

Nadal ją kocha, pomyślała z rozpaczliwym smutkiem. Nadal jest w niej zakochany i zawsze będzie.

## ROZDZIAŁ 55

*GRUDZIEŃ 1990*

Maurice Crane wreszcie wrócił do pracy w agencji Jenkins & Jenkins. Noga zrastała mu się dłużej, niż oczekiwano, zresztą, jak wszyscy mu przypominali, nie był już taki młody jak dawniej.

Trzeciego dnia wezwał go do siebie Roger Spence, dyrektor zarządzający firmy. Trochę zdenerwowany, niepewny, czy jego nieobecność nie trwała zbyt długo i czy przypadkiem nie zostanie zwolniony, Maurice poprawił krawat, strzepnął marynarkę i ruszył korytarzem do gabinetu szefa.

- Ach, Maurice, dobrze, że już wróciłeś! Ze zdrowiem wszystko w porządku?

- Tak, dziękuję, panie Spence. Nigdy nie sądziłem, że tak bardzo będzie mi brakowało pracy. No i teraz, zamiast niecierpliwie czekać na emeryturę, zacznam się jej bać.

- Przecież zostało ci jeszcze parę lat, prawda?

- Cztery - odparł Maurice.

Nie miał już wątpliwości, że pan Spence zamierza poruszyć temat jego wcześniejszego odejścia na emeryturę.

- Właśnie, więc na razie nie masz się czym martwić! Słuchaj, Maurice, jednym z naszych klientów był niejaki pan Simon Beaumont, tak? Pewnie wiesz, że utonął mniej więcej w tym czasie, gdy ty wracałeś do zdrowia po wypadku.

- Tak. Wielka szkoda, uroczy człowiek.

- Oczywiście... Tak czy inaczej, w sprawie jego śmierci prowadzone jest dochodzenie. Najprawdopodobniej był to wypadek, lecz pewne okoliczności można by uznać za przyczynę ewentualnego samobójstwa.

- Przykro mi to słyszeć.

- Cóż, pan Beaumont stracił ogromną kwotę w rezultacie perturbacji z Lloyd's, musiał wszystko sprzedać i na dodatek zwolniono go z pracy. Teraz biuro koronera sprawdza stan jego finansów, chodzi głównie o to, czy miał jeszcze jakieś długi, i tak dalej. Ponieważ to ty zajmowałeś się jego polisą, muszę cię zapytać, czy w ciągu ostatnich sześciu miesięcy otrzymałeś od niego jakiegokolwiek instrukcje. Mówię tu o wszelkich możliwych zmianach, dodatkowych polisach, rozumiesz, prawda?

- No, tak... - Maurice Crane popatrzył na swoje wypolerowane buty. - Tak, rozumiem...

Roger Spence obrzucił go czujnym spojrzeniem.



- Chcesz powiedzieć, że otrzymałeś od niego takie polecenia?

Maurice Crane westchnął.

- Nie umiem kłamać, podobnie jak George Washington - wyznał. - Liczyłem, że nikt nie zada mi tego pytania i wtedy będę mógł to przemilczeć. Sądzę, że Washington uznałby takie wyjście z tej sytuacji za prawie honorowe.

- Myślę, że powinieneś powiedzieć mi, co właściwie masz na myśli - rzekł Roger Spence ze zmęczeniem.

Maurice Crane spełnił służbowe polecenie, a parę godzin później wrócił do domu, przygnębiony i pełen wyrzutów sumienia.

Jamie napisał do Annabel długi list, tłumacząc się, dlaczego nie może przyjąć jej zaproszenia na święta Bożego Narodzenia.

*Bardzo chciałbym przyjechać, rzecz jasna, ale mama ma niezwykle tradycyjne podejście do naszych świątecznych tradycji. W takich wypadkach zawsze zachowuje się trochę jak archetypiczna matka, pilnie strzegąca domowego ogniska...*

W takich wypadkach, też mi coś, pomyślała Annabel. Ciekawe, kiedy zachowuje się inaczej.

*Mam nadzieję, że w przyszłym roku będziesz tutaj i spędzisz święta z nami. Zadzwoń w sam dzień Bożego Narodzenia, ale już teraz przesyłam Tobie, Twojemu rodzeństwu i oczywiście mamie najlepsze życzenia świąteczne od nas wszystkich. Oby ten szczególny dzień był dla Was radosny na tyle, na ile jest to w tych okolicznościach możliwe. Czy macie jakieś plany na święta? Bardzo chętnie bym je poznał. Zaraz po świętach nadejdzie styczeń, kochanie, i przyjedziesz na nasze przyjęcie zaręczynowe! Nie powiedziałaś mi jeszcze, kto z twojej rodziny będzie Ci towarzyszył, chociaż oczywiście dla mnie najważniejsza jest twoja obecność i poza nią niewiele się liczy.*

*Kocham Cię, kocham, kocham,*

*Jamie*

Annabel długo siedziała z listem w ręku, zapatrzona w okno. Myślała nie o Jamie, ale o świętach. Wszystko wskazywało na to, że będą okropne. W następnym tygodniu czekała ich przeprowadzka; dom był już ogołocony z wszystkich dużych mebli, ściany z obrazów, a pokoje, w których przez tyle lat stały krzesła, stoły, szafy i komody, sprawiały wrażenie nie tylko pustych, ale dziwnie zaniedbanych. Wszystko to razem było straszne, zwłaszcza że wynajęty w Fulham dom, umeblowany, z dywanami i wykładzinami w rozmaitych odcieniach beżu, bardzo nowoczesny, z pewnością nie tchnął świąteczną atmosferą.

Mama czuła się już całkiem dobrze i znowu stała się energiczną, zapracowaną osobą, była jednak bardzo szczupła - oczywiście poza wyraźnym zaokrągleniem sylwetki z przodu - mizerna i blada. Tilly niemal bez przerwy opłakiwała czekające ją ostateczne rozstanie z Boyem, o którym powiadomiła ją bardzo zdenerwowana Flora. Toby miał za parę dni przyjechać do domu; nadal był przygnębiony i nie potrafił ukryć, że ciąża matki jest dla niego powodem do zażenowania.

- Masz wolną chwilę, Joel? - W progu pokoju pojawiła się potężna sylwetka Hugh Renwicka.

- Jasne!

- Chętnie zamieniłbym z tobą słowo. Może po konferencji?

- Doskonale. Ciekawe, co znowu...

- Jest przepiękna, taka cho... Taka absolutnie idealna - powiedział Blue, nie odrywając oczu od twarzy córki. - Ciągłe nie mogę dojść do siebie ze zdziwienia... To po prostu cho... Po prostu cud! Dziewięć miesięcy temu nie było nic, a teraz proszę bardzo, jest nowa osoba!

- Wiem... Nieźle sobie poradziliśmy, co? Przytrzymaj ją, dobrze? Trochę mi niewygodnie.

Blue ostrożnie wyjął dziecko z jej ramion.

- Jesteś bardzo podobna do mamusi, wiesz? - powiedział do małej.

- Rzeczywiście jest do mnie podobna, prawda? Wszyscy tak mówią... Nie jest ci przykro, kochany?

- Jasne że nie... Pomyśl, jak by wyglądała, gdyby była podobna do mnie.

- Nic by to nie szkodziło, gdyby była chłopcem. No, teraz o wiele lepiej! Już ją biorę. Chodź, skarbie, wracamy do mleczarni.

- Co takiego?

- Powiedziałam, że wracamy do mleczarni, sam rozumiesz...

- No, tak, ale twój biuścik wcale się nie zmienił - oznajmił Blue, patrząc na olbrzymie kule, które zastąpiły nieduże, krągłe piersi Lucindy.

- To dobrze! Podaj mi te chusteczki, o, dziękuję. Co słychać w pracy?

Wygoniła go do pracy drugiego dnia, ponieważ jego nieudolnie ukrywane zdenerwowanie doprowadzało ją do szału, a niewątpliwie szczere wyrzuty sumienia szybko stały się wyjątkowo irytujące.

- Posłuchaj, wszystko jest w porządku, naprawdę! - powiedziała, wysłuchawszy kolejnej litanii złożonej z okrzyków: „Jak mogłem zrobić ci coś takiego!” i: „Czy ty mi kiedyś wybaczysz?”. - Stało się, było, minęło, i już! Sama zgodziłam się, żebyś poleciał do Paryża, więc jeżeli w ogóle można tu mówić o winie, to dzielimy ją na pół, a teraz przestań się tym w końcu zadreć! Mamy o wiele ważniejsze rzeczy na głowie, nowe obowiązki, i tak dalej!

- Jesteś aniołem! - Blue pocałował ją czule. - Aniołem w ludzkiej skórze.

- Wiem! - odparła, uśmiechając się słodko.

Plany, jakie snuła, z pewnością nie były anielskie, ale Blue nie musiał tego wiedzieć.

- Zastanawiałam się trochę, co zrobimy - zaczęła. - Jutro wracamy do domu, nasza mała panienska i ja. A, właśnie, musimy wybrać dla niej imię!

- Tak, wiem...

Do tej pory nie udało im się dojść do porozumienia. Odrzucali kolejne opcje, od popularnej Jade („Po moim trupie!”, powiedziała Lucinda) poprzez ezoteryczną Annuniatę („Chyba sobie żartujesz, do cholery!”), zupełnie zwyczajne Jane, Anne i Caroline („Jest na to zdecydowanie za ładna!”), aż po modne i

kwieciste Daisy, Lily oraz Rose („Ponieważ jest moim maleńkim kwiatuszkiem!", wyznał z czułością Blue).

- Tak czy inaczej, jutro możesz odebrać nas stąd o czternastej. Wrócimy do domu i będziemy prawdziwą małą rodziną, czy to nie cudowne?

- Cudowne...

- Nie mam tylko pojęcia, jak zmieścimy się w tym domu.

- Powtarzałem ci to przez parę miesięcy!

- Wiem, bardzo mi przykro, ale przynajmniej wiesz, dlaczego tak to odwlekałam... - Podniosła na Blue błyszczące oczy. - Ale mam pewien pomysł.

- Tak? Spójrz, ona się uśmiecha!

- Nie, chyba tylko ma kolkę. Ojej, niezłe wydaje odgłosy, słyszałeś? - Lucinda zachichotała. - Puszczą bąki tak samo głośno jak ty! Wracając do rzeczy, mój pomysł pewnie ci się nie spodoba, ale...

- Nie chcesz chyba wprowadzić się do matki? Proszę, proszę, tylko nie tam.

- zaproponowała nam, żebyśmy u niej zamieszkali, zresztą faktycznie jest tam mnóstwo miejsca.

- Lucy, nie!

- Przecież obiecałeś! Chciałeś zrekompensować mi swoją nieobecność przy porodzie!

W pokoju zapanowała cisza. Przez twarz Blue przemykały gwałtowne i dość oczywiste emocje.

- No, tak - rzekł w końcu, z ogromnym wysiłkiem. - To prawda...

- Moglibyśmy też przenieść się do domu Nigela, to znaczy mojego domu.

- Co?! Nie, nie mógłbym tam mieszkać!

- Oczywiście tylko na jakiś czas, dopóki nie założymy tej fundacji! Pytałam Steve'a, co o tym myśli, i powiedział, że to świetny pomysł, bo dzięki temu cała sprawa wydałaby się bardziej wiarygodna.

- Kiedy go pytałaś? - zapytał podejrzliwie.

- Wczoraj, dzwoniłam do niego. Poza tym jest jeszcze jeden problem - muszę zatrudnić pielęgniarkę dla dziecka.

- Nie zgadzam się na żadne niańki, mówiłem ci!

- Pielęgniarka to nie niania - wyjaśniła zdecydowanym tonem. - Opiekuje się dzieckiem przez mniej więcej sześć tygodni, dopóki mała nie zacznie przesypiać całej nocy, żebym mogła szybciej wrócić do sił. Moim zdaniem potrzebujemy takiej pomocy, a w Limehouse jest za mało miejsca. Tamten dom jest pusty, Nigel już tam nie mieszka, wynajął mieszkanie przy Sloane Street. Dom był dla niego za duży, czuł się strasznie samotny. Biedny, kochany Nigel! Naprawdę chciałabym, żeby on i Catherine... No, nieważne. Tak czy inaczej, dom jest pusty, należy do mnie i powinniśmy tam chociaż trochę pomieszkać. Przecież to nie jest żaden problem.

- Nie mogę, Lucy! Przykro mi, ale po prostu nie mogę.

- Cóż, w takim razie pozostaje mama. Och, Blue, a już myślałam... myślałam, że...

Zaczęła płakać. Blue pośpiesznie przysunął się i podał jej chusteczki.

- Nie płacz, Lucy, wszystko jest w porządku, jakoś sobie poradzimy! Czy ta pielęgniarka nie może przychodzić tylko na dzień?

- Nie żartuj sobie! Chodzi o to, żeby była w domu w nocy! Będziemy musieli pojechać do moich rodziców, trudno... Może ty zostaniesz w Limehouse, żeby codziennie nie dojeżdżać tak daleko do pracy...

Milczenie.

- Nie chcę, żebyśmy mieszkali osobno, Lucy! Nie zostawię ciebie i dziecka, nie teraz, kiedy mam was obie. Chciałem... No, dobrze, niech będzie, wprowadźmy się do tego mauzoleum! Ale muszę kupić nowe łóżko, nie ma mowy!

- Och, dziękuję! Strasznie ci dziękuję! Oczywiście, że możesz... To znaczy, koniecznie musimy kupić nowe łóżko, a kiedy tylko wrócę do zdrowia, kupimy nowy dom! Och, jesteś aniołem! Kocham cię, bardzo cię kocham! Prawie wszystkie domy, które oglądaliśmy, nadal są na rynku, wiesz? Sprawdziłam to!

- W jaki sposób?

- Zadzwoiłam do wszystkich agencji.

- I co, do kupienia jest nawet ten dom w Chislehurst, ten z wewnętrznym basenem?

- Nawet ten. Zaraz, chwileczkę - sięgnęła po długopis i kartkę.

- Uważaj, Lucy, o mało nie upuściłaś dziecka!

- Skądże znowu! Nie można ciągle trzymać jej na rękach, to... Wiesz, właśnie przyszło mi do głowy, że moglibyśmy nazwać ją Molly, co ty na to? Molly! Podoba ci się? Cudnie, prawda?

- Tak... Tak, całkiem ładne imię, chyba tak. No, popatrz tylko, przecież ona się uśmiecha, mów sobie, co chcesz!

- Najwyraźniej nowe imię przypadło jej do gustu! No, kochany, powiedz, że tobie też się podoba...

- Może być - westchnął Blue, biorąc małą na ręce i głaszcząc ją po główce. - Tak, Molly to ładne imię. Molly...

- Jeżeli chcesz, możemy dać jej na drugie Rose! Molly Rose Horton! Podoba ci się?

- Tak. - Popatrzył na córeczkę z uśmiechem. - Bardzo mi się podoba. Witaj, Molly Rose...

Mała znowu puściła głośnego bąka.

- Widzisz? Na razie tylko w ten sposób umie okazać aprobatę! Kochany, najlepiej od razu zacznij przewozić jej rzeczy, bo wcale nie mamy dużo czasu!

- Skąd mam wziąć klucz?

- Ja go mam - odparła Lucinda, wyjmując z torby klucz, który poprzedniego dnia dał jej Nigel. - Cały czas nosiłam go w torebce, proszę bardzo. Zaraz zrobię listę najpotrzebniejszych rzeczy, żeby trochę ci pomóc!

Kiedy Blue wyszedł, Lucinda spojrzała na dziecko i uśmiechnęła się.

- Łatwo nam poszło, prawda? - odezwała się. - Jak to dobrze, że wujek Nigel miał wczoraj przy sobie klucz. Powiem ci coś jeszcze, Molly Rose - nie mam najmniejszego zamiaru przeprowadzać się do

Chislehurst. Ale przecież nie będzie to konieczne. Mężczyźni są potwornie głupi, wiesz? Kiedy podrośniesz, wytłumaczę ci, jak sobie z nimi radzić! Chcesz teraz wpaść na chwilę do mleczarni czy raczej...

Ale Molly Rose spała już głęboko i spokojnie.

- Flora? Tu Colin...

- Och, Colin! Jak to miło!

- Tak, to znaczy, mam nadzieję. Przepraszam cię, tamtego dnia zareagowałem zbyt gwałtownie!

Byłem...

- Wcale nie! Zareagowałeś zbyt spokojnie, wiele osób na twoim miejscu spraloby mnie na kwaśne jabłko!

- To niemożliwe! - Colin był wyraźnie zgorzony. - Tak czy inaczej, szczerze cię podziwiam, Floro.

Naprawdę podziwiam, szanuję twoją uczciwość i wstydę się, że sam nie potrafiłem...

- Przestań!

Flora nagle zrozumiała, że Colin zrezygnował z własnych zasad, aby jej pomóc, że postąpił wbrew samemu sobie. Z trudem przełknęła ślinę.

- Przestań - powtórzyła cicho. - Nigdy, nigdy nie zapomnę o tym, co chciałeś dla mnie zrobić! Dziękuję ci z całego serca! I mam ogromne wyrzuty sumienia, że zmarnowałam tyle twojego niezwykle cennego czasu. Może wpadłbyś dzisiaj na kolację? Przygotuję twoją ulubioną pieczeń wołową po walijsku...

- Z przyjemnością przyjadę. I jest coś, co... Coś, o co chciałem cię już dawno zapytać.

- Tak?

- Zastanawiałem się, czy... To znaczy, zastanawiałem się, co powiedziałałabyś na to, żebyśmy... żebyśmy...

- Co próbujesz mi powiedzieć, Colin?

- Zastanawiałem się, co powiedziałałabyś na to, żebyśmy latem pojechali razem do Salzburga. Na festiwal...

- Ależ oczywiście, z radością z tobą pojadę! Nie wiedziałeś, że będę zachwycona taką propozycją?

- No, tak, ale niektórzy mogliby pomyśleć, że...

- Co mogliby pomyśleć? - zapytała Flora, czując, że zaraz się rozpłaczę. - Że ty jesteś bardzo, bardzo dobrym człowiekiem, a ja mam ogromne szczęście, że wybieram się tam z tobą, tylko tyle mogliby pomyśleć!

- Och, to cudownie!

Wyraźnie usłyszała w jego głosie radość.

- W takim razie zarezerwuję dla nas miejsca, przelot, hotel, wszystko. Oczywiście osobne pokoje - dodał szybko.

- Oczywiście - zgodziła się jeszcze szybciej.

Nagle nawet strata domu przestała wydawać jej się taka okropna.

Coś było nie tak, Debbie od razu to wyczuła. Joel nie był... No, po prostu nie był w pełni obecny. Wydawał się dziwnie roztargniony, nawet kiedy się kochali. A później milczał.

- O co chodzi? - zapytała. - Co się stało?

- Och, nic takiego! - odparł chłodno. - Myślę sobie po prostu, że spotkało mnie coś wspaniałego.

- To znaczy?

- Tak bardzo cię kocham, że poprosiłem, żebyś została moją żoną i postanowiłem przyjąć trójkę twoich dzieci jako własne, a w zamian ciągle słyszę tylko, że mam spokojnie czekać! Bo ty musisz mieć czas na przemyślenie tego! Całe moje życie ma stać w miejscu, żeby Debbie Fielding miała czas przemyśleć dwa wyjścia z trudnej sytuacji! Nie mogę normalnie pracować, planować czegokolwiek, wszystko uzależniam od tego, kiedy następnym razem będziesz mogła się ze mną spotkać, i cały czas żyję w lęku, czy przypadkiem nie zostawisz mnie i nie wyjedziesz do tej pieprzonej Szkocji! I o to właśnie chodzi, Debbie!

Milczała. Serce biło jej tak głośno, że na pewno słychać je było z dużej odległości. Usiadła na łóżku i zaczęła wkładać spódnice.

- Jakie wnioski mam wysnuć z twojego zachowania, z twojej niezdolności zdecydowania, co dalej? Jak mogę wierzyć, że mnie kochasz, skoro fundujesz mi coś takiego? Mam tego dosyć, wiesz? Dostyc wszystkiego, nawet kiedy się pieprzymy! To takie... Takie bezcelowe, czuję się zupełnie bezradny. Przychodzisz, mówisz, że mnie kochasz, uprawiamy seks, mówisz, że jeszcze nie podjęłaś decyzji i wychodzisz. Nie zniosę tego dłużej, naprawdę!

- Nie będziesz musiał - powiedziała bardzo cicho. - Za dwa tygodnie kończy się semestr i...

- I to jest dobra wiadomość, tak? - Joel zerwał się i zaczął krążyć po pokoju, nie odrywając od niej wzroku, z mroczną, zgorzkniałą twarzą. - Kończy się semestr! Przyjedzie mąż i będzie po wszystkim, oczywiście dla nas! Chyba że jednak raczysz powiedzieć „tak”, raczysz go zostawić i wyjść za mnie! Bo może mimo wszystko okaże się, że te twoje miłosne przysięgi mają jakieś pokrycie, że nie są tylko pięknymi słowami! Wydaje mi się, że powinnaś wrócić teraz do domu, Debbie! Tak, wracaj do domu i nie przychodź tu, dopóki się nie zdecydujesz!

Postawiona wobec groźby utraty Joela, wobec groźby ostatecznego pożegnania, rozpląkała się żalownie.

- Coś się stało, prawda? - wykrztusiła. - Coś się zmieniło. Nie chodzi tylko o to, że masz dosyć tej sytuacji, jest coś jeszcze, coś, o czym mi nie mówisz.

- Tak, masz rację. Nie chciałem mówić ci o tym, dopóki czegoś nie postanowisz. Uważałem, że byłoby to nie fair. Ale... No, cóż, wygląda na to, że zbyt dobrze mnie znasz.

- Chyba tak...

Bo rzeczywiście dobrze go znała, tak samo jak on ją, nie tylko jej ciało, nie tylko reakcje zmysłowe, ale i jej umysł, i sposób jego działania. To prawie przerażające. Byli sobie tak bliscy, chociaż znali się przecież od niedawna, podczas gdy Richard, którego żoną była od dziesięciu lat i któremu urodziła troje

dzieci, nadal pod pewnymi względami stanowił dla niej zagadkę. Richard, w oczach którego ideałem kobiety była Morag, Richard, który potrafił ją okłamać i oszukać.

Z wysiłkiem wróciła do rzeczywistości.

- Więc co się stało?

- Dostałem propozycję pracy. W Nowym Jorku.

- W Nowym Jorku - powtórzyła bezmyślnie.

W pierwszej chwili nic to dla niej nie znaczyło, zupełnie nic. Tak samo dzieje się, gdy człowiek się oparzy albo zrani - przez kilka pierwszych sekund nie czuje nic. Ból przychodzi później.

- Tak. Miałbym poprowadzić filię naszej redakcji w Nowym Jorku. Duży krok do przodu, a przy okazji świetna przygoda.

- Boże, to wspaniale! Po prostu wspaniale! Tak się cieszę, Joel, jestem z ciebie taka dumna! Ja...

Dopiero teraz się spostrzegła, że znowu płacze. Nie miała pojęcia, z jakiego powodu, czuła jednak ból.

- Przepraszam - powiedział. - Naprawdę nie chciałem ci mówić. Wiem, że to dla ciebie zbyt wielkie obciążenie.

- Jak to?

- Chodzi mi o to, że nie możesz jechać do Nowego Jorku, to jasne. To poza wszelką dyskusją!

- Tak - odparła cicho. - Tak, nie mogłabym jechać, oczywiście...

- Nie chciałem więc, żebyś brała pod uwagę tę informację, podejmując decyzję.

- Nie chciałeś? - Kręciło jej się w głowie, mózg z pewnością nie funkcjonował normalnie.

- Nie, bo wiedziałabyś, że zmieniasz bieg mojej kariery, że powstrzymujesz mnie przed tym, na czym mi zależy... - Uśmiechnął się niepewnie. - Wiesz, dopiero teraz uderzyło mnie, że musisz mieć uczucie déjà vu. Richard wyjechał do Szkocji, ja miałbym wyjechać do Nowego Jorku, w gruncie rzeczy to podobna sytuacja.

- Nie - odparła po sekundzie namysłu. - Zupełnie niepodobna! Ty postawiłeś mnie na pierwszym miejscu, uznałeś, że jestem ważniejsza od twojej kariery, a Richard postawił mnie wobec faktów dokonanych. - Przywarła do niego z całej siły. - Och, kocham cię tak bardzo, że aż nie wiem, jak to znieść, jak sobie z tym poradzić. Przepraszam cię, że jestem taka beużyteczna i samolubna, przepraszam.

- To nieprawda! Na pewno nie jesteś beużyteczna, o, nie! Chodź tutaj. - Usiadł na łóżku i wyciągnął do niej ramiona. - Chodź i przydad się na coś! Ja też bardzo cię kocham, bardzo, bardzo. Myślisz, że chcę jechać do Nowego Jorku bez ciebie? Zostawić cię tutaj, tak daleko ode mnie? Boję się nawet o tym myśleć. Mam nadzieję, że tak się nie stanie i modłę się o to do Boga, dla którego nie mam czasu.

Schylił głowę i zaczął całować jej piersi, nieskończenie delikatnie i czule.

- Joel - zaczęła, kompletnie zaskoczona odkryciem, jak inną rolę odgrywa w jego życiu i życiu Richarda. Wyciągnęła rękę i leciutko dotknęła jego twarzy. - Joel, chcę być z tobą. Chcę zostać twoją żoną, jeśli nadal ci na tym zależy.

- Co?

- Powiedziałam, że chcę być z tobą. Proszę... I przepraszam, że tak długo to trwało.

- O, Boże - wyszeptał. - Bogu niech będą dzięki.

Debbie poczuła nagle wilgoć na swojej dłoni i uświadomiła sobie, że Joel płacze.

## ROZDZIAŁ 56

*GRUDZIEŃ 1990*

Elizabeth otrzymała z biura koronera listę nazwisk ludzi, którzy mieli zeznawać w czasie rozprawy. Lista była zdumiewająco długa, niektóre nazwiska trochę ją zaskoczyły. Dobrze chociaż, że nie żądano obecności policjantów i lekarzy z Francji - urzędnik koronera miał tylko odczytać francuskie raporty medyczne, wyniki sekcji oraz badań patologicznych i oficjalną przyczynę śmierci Simona.

Zeznania miał złożyć londyński lekarz Simona, a także ich adwokat John Fraser. Wezwano również szefa Simona z banku Graburn & French.

Dobrze mu tak, pomyślała. Mam nadzieję, że spędzi kilka bezsennych nocy, zastanawiając się nad tym wszystkim.

Dalej widniały nazwiska osób, które widziały Simona bądź rozmawiały z nim w przeddzień śmierci.

- Niezbyt wielu mężczyzn, prawda, Simon? - odezwała się głośno. - Nic nowego...

Catherine Morgan, Lucinda Cowper, Flora Fielding, Fiona Broadhurst - wyglądało to jak lista żeńskiej klasy. Dopiero na końcu umieszczono Joela Stricklanda. Ciekawe, dlaczego w ogóle, pomyślała, zaraz jednak przypomniała sobie o artykule Joela. Koroner wezwał też Davida Greena, zażądał przedstawienia opinii o stanie technicznym jachtu i jeszcze jednej opinii specjalisty od kamizelek ratunkowych.

Znalazła jedno nazwisko, które absolutnie nic jej nie mówiło - Maurice Crane, szef jednego z działów agencji ubezpieczeniowej Jenkins & Jenkins. Zaniepokoiło ją to, nawet bardzo. Oczywiście rozmawiała z kilkoma osobami z firmy Jenkins & Jenkins, wszyscy starali się udzielić jej wszelkich możliwych informacji na temat polisy Simona, i tak dalej, ale kim był Maurice Crane i dlaczego miał złożyć zeznania?

Myśl ta nie dawała jej spokoju, ale trudno, musiała przez to przejść.

Catherine bała się świąt. Phyllis i Dudley oznajmili, że zawsze jedzą świąteczny obiad w klubie golfowym, dokąd oczywiście z przyjemnością zaproszą ją i dzieci. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że chyba wolałaby odgrzać kupionego w sklepie indyka na swojej małej kuchence. Nadal usiłowała zepchnąć myśl o Bożym Narodzeniu jak najdalej w głąb podświadomości, kiedy rodzice Jane-Anne zapytali ją, czy nie miałyby ochoty przyjechać do nich.

- Jane-Anne byłaby w siódmym niebie - powiedziała Kate Price. - Podobnie chłopcy! Będą tłumy krewnych, powinno być całkiem miło. Będziemy szczęśliwi, jeśli przyjedziesz. Wieczorem zawsze wpada



do nas Patrick, który po prostu uwielbia szarady. Wydaje mi się, że naprawdę się zaprzyjaźniliście! - dodała, mrugając do Catherine.

Była to prawda, przyjaźń była jednak chyba wszystkim, na czym zależało Patrickowi. Catherine przyjęła to z ulgą. Patrick był bardzo miły, dobry i nawet dość zabawny, ale z całą pewnością nie seksowny. Tak czy inaczej, Catherine była zakochana w Nigelu, kochanym, roztargnionym, niepewnym siebie, łagodnym Nigelu, z jego pięknym, rozczulającym uśmiechem i raczej rozpaczliwą uczciwością. Nigel był niezwykłym, najlepszym na świecie mężczyzną i Catherine kochała go całym sercem. Jedyne problemy polegały na tym, że Nigel nie sprawiał wrażenia zakochanego w niej. Nigel wciąż kochał Lucinę.

No, trudno, Catherine, dosyć tego rozczulania się nad sobą. Zaproszenie, z którym wystąpili Pricie'owie, szczerze ją wzruszyło; do serca przypadła jej także myśl, jak bardzo zirytują się Phyllis i Dudley, gdy dowiedzą się, że ich synowa spędzi Boże Narodzenie z rodziną cieszącą się największym znaczeniem w okolicy.

Debbie ogarnął wreszcie pewien spokój, którego nie mogła zniszczyć nawet propozycja, aby spędzić święta z Florą. Od czasu do czasu nadal miewała chwile kompletnej paniki, ale nie dręczyło jej już poczucie, że jeszcze nie podjęła decyzji; wreszcie mogła patrzeć w przyszłość, chociaż to, co widziała, nie było zbyt przyjemne.

Musiała powiedzieć Richardowi. Musiała powiedzieć dzieciom. Musiała powiedzieć Florze, albo przynajmniej pozwolić, aby powiedział jej Richard. Na samą myśl o tym czuła na plecach zimny dreszcz, najzupełniej dosłownie. No i jeszcze Richard musiał powiedzieć Morag. Przyszło jej już do głowy, że może Morag zechce poszukać kogoś innego na stanowisko dyrektora szkoły, kogoś z rodziną i znacznie bardziej odpowiednią żoną.

Trzeba też sprzedać dom, bo przecież Richard nie pozwoli, żeby mieszkała w nim sama. Musieli zdecydować, gdzie dzieci będą się dalej uczyć - czy pojedą do Szkocji z Richardem, czy też zostaną z nią w Londynie. W tym ostatnim wypadku Debbie potrzebowałaby domu.

Decyzje, decyzje, decyzje... Jedna pociągała za sobą następne. Kto postanowi, gdzie zamieszkają dzieci i kiedy? I czy dzieci będą miały coś do powiedzenia w tej sprawie, zakładając, że ich ojciec zostanie w Szkocji? Wszystko to razem wyglądało naprawdę paskudnie.

Tak czy inaczej, na razie dzieci, Richard i Flora nie mieli pojęcia, co ich czeka, bezpiecznie zamknięci w lśniącej, tęczącej bańce mydlanej. Debbie stała na zewnątrz i wiedziała, że musi ją przekłuć, musi powiedzieć im okropne rzeczy. Bez przerwy się zastanawiała, jak to przyjmą i jak zareagują. Mąż będzie głęboko zraniony, jego kruche poczucie wartości własnej legnie w gruzach, dzieci przeżyją szok, niezachwiane poczucie bezpieczeństwa, w którym dotąd rosły, zostanie bezpowrotnie zniszczone, a poczucie lojalności wystawione na ciężką próbę. Najpewniej dojdą do wniosku, że jej nienawidzą i nie omieszkają jej o tym powiedzieć. Bez wątplenia znienawidzą Joela. A radosna, intensywna miłość, jaka połączyła ją i Joela, zostanie rzucona w pył i brud rzeczywistości...

Zdawała sobie sprawę, że nie uniknie żadnej z tych rzeczy, które budziły w niej tak wielki lęk, nie miała jednak cienia wątpliwości, że zrobi wszystko, aby być z Joelem przez resztę życia. Po długiej rozmowie doszli do wniosku, że rodzina Debbie dowie się o wszystkim dopiero po Świętach; ani dzieci, ani Richard nie zasługiwali przecież na pełne rozpacz i gniewu Boże Narodzenie, prawda?

Szczęśliwy, uzbrojony w nową cierpliwość Joel całkowicie się z nią zgadzał. Odrzucił propozycję pracy w Nowym Jorku „z powodów osobistych” i zaproponował kilka nazwisk Hugh Renwickowi, który nazwał go idiotą.

Joel przyznał naczelnemu rację.

Do przyjazdu Richarda pozostały już tylko dwa dni; Debbie i Joel cieszyli się każdą spędzoną wspólnie chwilą, na jaką mogli sobie pozwolić.

Flora właśnie wróciła z dworca Swansea Station, dokąd odwiozła Tilly na pociąg do Londynu, kiedy zadzwonił telefon.

Spędzili we czworo cudowne trzy dni - Tilly i Boy oraz Flora i Hal. Flora znalazła już kupca na Hala.

- To bardzo miła kobieta, trudno byłoby znaleźć kogoś lepszego - powiedziała do Tilly, gdy zapraszała ją na ostatni weekend z Boyem.

Miała nadzieję, że Tilly zachowa wspaniałe wspomnienia z tych dni. Pogoda była piękna, mroźna i słoneczna; zjeździły Gower wzdłuż i wszerz, były na plażach, w Rhossili Down i nad Cefn Bryn, w lasach Parkmill i zatoce Three Cliffs, i nawet w ruinach Pennard Castle wysoko nad morzem. Dużo spacerowały i gawędziły, prowadziły długie, pełne dygresji rozmowy. Flora opowiadała Tilly o koniach, które miała, poczynając od małego szetlandzkiego kucyka po ukochanego Hala, otrzymanego w prezencie od Williama na czterdzieste urodziny. Powiedziała jej także o dzieciach, które straciła po urodzeniu Richarda, i o tym, że jazda na koniu przez wzgórza okazała się najskuteczniejszym lekarstwem na rozpacz, a także o tym, że gdy po śmierci Williama godzinami galopowała po plaży, czasami zupełnie zapominała o swojej stracie.

- Gdyby tak mama umiała jeździć - westchnęła Tilly. - Wydaje mi się, że w podobny sposób działa na nią praca, że jakoś koi jej serce. Wszyscy mówią, że powinna wziąć urlop, zwłaszcza teraz, ze względu na dziecko, ale ja myślę, że byłaby to najgorsza rzecz, jaką powinna zrobić...

W oczach Tilly przez cały czas czał się głęboki smutek. Ostatniego wieczoru się rozplakała.

- Nie chodzi tylko o Boya, Floro! Płacę, bo dla mnie Boy jest związany z tatą, wiem, że brzmi to głupio, ale ty wiesz, co mam na myśli. Tata chciał, żebym miała Boya, był taki dumny ze mnie i moich jeździeckich umiejętności, chociaż tak naprawdę są przeciętne. Czuję, że kiedy stracę Boya, do końca stracę i tatę, i nie mogę tego znieść, nie mogę...

Długo szlochała w ramionach Flory, a rano, blada i przygnębiona, ubrała się i ostatni raz poszła do stajni. Flora widziała, jak objęła Boya za szyję i oparła czoło o jego nos, jak przeczesła jego grzywę palcami i delikatnie pocałowała w chrapy. Po paru chwilach wróciła do Flory i mocno chwyciła ją za rękę.

- Możemy już jechać? - spytała. - Najlepiej od razu.

Wsiadła do samochodu, z determinacją odwracając głowę, żeby nie patrzeć w stronę stajni, oddychała płytko i szybko.

- No, już dobrze - powiedziała, kiedy były już na szosie. - Było cudownie, Floro, dziękuję ci.

Rzuciła Florze szybki, promienny uśmiech, a potem płakała przez całą drogę do Swansea tak rozpaczliwie, jakby serce miało jej pęknąć.

Telefon zadzwonił, gdy Flora otwierała drzwi, i mało brakowało, aby go nie odebrała. Była przekonana, że to ten okropny facet z agencji nieruchomości. Pewnie chce umówić następnych ludzi na oglądanie domu. Ogłoszenie o sprzedaży, które ukazało się w ostatnią sobotę, jak na razie spotkało się z marnym odzewem, za co Flora była głęboko wdzięczna losowi, choć może świadczyło to o jej głupocie.

- Czy rozmawiam z panią Fielding? - dobiegł ją ze słuchawki głos z wyraźnym angielskim akcentem. - Żoną Williama Fieldinga?

- Tak.

- Dzień dobry pani, mówi Bernard Edmund-Jones z kancelarii adwokackiej Harris & Harris w Cardiff.

Harris & Harris? Nie byli to jej prawnicy, ona i William korzystali z usług innej kancelarii prawniczej.

- Tak?

- Czy mógłbym rozmawiać z panem Fieldingiem?

- Bardzo mi przykro, ale to niemożliwe - powiedziała Flora. - Mój mąż zmarł sześć lat temu.

- Ach, serdecznie pani współczuję. Cóż, w takim razie będę musiał omówić tę kwestię z panią.

- Jaką kwestię?

- Natknąłem się dziś na ogłoszenie sprzedaży Broken Bay House.

- Och, rozumiem.

Najwyraźniej pan Edmund-Jones chciał kupić jej dom. No, sądząc po głosie i akcencie, był bardziej odpowiednim kandydatem na przyszłego właściciela niż pan i pani Davies z Llandeilo.

- Pani Fielding, bardzo mi przykro, ale nie może pani wystawić domu na sprzedaż! Broken Bay House nie należy do pani, więc nie ma pani prawa nim dysponować.

# ROZDZIAŁ 57

*GRUDZIEŃ 1990*

- No, to by było tyle.

- Tak, chyba tak...

- Będzie mi ich brakowało. - Joel schylił się, żeby pocałować jej piersi. - I tego także - dodał, zsuwając się jeszcze niżej. - Uważaj na to wszystko, dobrze?

- Oczywiście. Na szczęście nie potrwa to długo.

- Dla mnie i tak o wiele za długo!

- Wiem. Ale kiedy następnym razem się spotkamy, wszystko będzie inaczej. Tak, jak powinno być...

- Nie wiem, czy chcę, żeby było tak, jak powinno być! Bardzo odpowiadał mi taki stan, jak do tej pory.

- Mnie też, ale...

- Nie zapomnisz o mnie przez święta, prawda?

- Może zapomnę! - uśmiechnęła się lekko.

Nie mogłaby o nim zapomnieć, nigdy, nawet gdyby miała go już więcej nie zobaczyć. Odcisnął na niej swoje piętno, stał się częścią niej, częścią jej myśli, zachowania i postępowania, był w niej, gdy budziła się, rozmawiała z innymi ludźmi, pracowała, zajmowała się dziećmi, prowadziła samochód, gotowała, robiła zakupy i zasypiała nocą.

- A ja postaram się o tobie nie zapomnieć - rzekł. - Chociaż nie będzie to łatwe...

Nienawidziła zostawiać go samego, bo przecież chciała być z nim cały czas. I nienawidziła zostawiać dzieci, ponieważ czuła, że zdradza je tak samo, jak zdradziła ich ojca.

- Kocham cię - powiedziała. - I bardzo, bardzo dziękuję ci za prezent. Dostała od Joela telefon komórkowy, żeby mogli ze sobą rozmawiać.

- Możesz dzwonić tak często, jak zechcesz - powiedział.

- Ale nie w dzień Bożego Narodzenia! - zastrzegła.

- Nie mogę ci tego obiecać! Prosisz o zbyt wiele, obawiam się...

- W takim razie nie wezmę go, zostawię tutaj!

- No, tak, bardzo rozsądnie. Och, Debbie, ja też cię kocham! Zobaczymy się dwudziestego siódmego, pamiętaj!

Umówili się, że dwudziestego siódmego grudnia Debbie wróci do Londynu, do Joela, a wcześniej powie o wszystkim Richardowi i dzieciom, i zostawi ich z Florą.

- Dwudziestego siódmego! Mam nadzieję...

- Nie mów: „Mam nadzieję”, tylko: „Na pewno!”.

- Na pewno!

Pan Edmund-Jones miał siwe włosy i przejrzystą jak bibuła skórę, charakterystyczną dla bardzo starych ludzi. Dłoń, którą wyciągnął do Flory, była koścista i pokryta dużymi plamami wątrobianymi, paznokcie długie i pożółkłe. Miał na sobie spodnie w prążki, czarną marynarkę i niezbyt czysty krawat. Uśmiechnął się, odsłaniając zdumiewająco równe i białe zęby i wskazał krzesło po drugiej stronie biurka.

- Bardzo mi miło panią poznać - powiedział. - Proszę usiąść. Czy napije się pani herbaty? Albo kawy, bo wiem, że niektórzy z naszych młodszych klientów wolą kawę.

Więc jestem młodszą klientką, z rozbawieniem pomyślała Flora. Ta świadomość była jednocześnie przyjemna i intrygująca.

- Wolę herbatę - odrzekła z uśmiechem. - Dziękuję.

- Doskonale, doskonale. Pani Andrews, poproszę dwie herbaty i dwa kawałki ciasta, jeśli można.

Pani Andrews wycofała się i przez długi czas nie było ani jej, ani ciasta. Flora zaczęła się już zastanawiać, czy przypadkiem nie zapomniała o poleceniu szefa.

- No, dobrze - odezwał się pan Edmund-Jones. - Pewnie ma pani do mnie jakieś pytania.

- Naturalnie. Przede wszystkim chciałabym wiedzieć, kto, jeśli nie ja, jest właścicielem Broken Bay House?

- Fundusz powierniczy, którego beneficjentem jest pani wnuk - odparł pan Edmund-Jones. - Dziwię się, że pani o tym nie wie.

- Mój... Mój wnuk! - zawołała Flora.

Alexander, dziesięcioletni chłopiec o chudych nogach i kościstych, wystających kolanach, z opadającymi na czoło ciemnymi włosami, mówiący wysokim, trochę załamującym się głosem. Czy to możliwe, żeby Alexander był właścicielem Broken Bay House?

- Tak... Przepraszam, że dopiero teraz złożyłem pani kondolencje z powodu śmierci męża. Powinieniem regularnie przeglądać nekrologi, ale jakoś nigdy nie mam na to czasu. Szczerze pani współczuję, pani mąż był czarującym człowiekiem.

- Dziękuję! Proszę mi jednak powiedzieć, jak to możliwe. Dlaczego dom nie należy do mnie? Nie rozumiem.

- Ponieważ jest pani kobietą - wyjaśnił starszek.

- A co to ma do rzeczy?

- Widzi pani, posiadłość Broken Bay House jest dziedziczona przez linię męską, przechodzi w ręce pierwородnego wnuka najstarszego wnuka... Pozornie wydaje się to skomplikowane, lecz w gruncie rzeczy jest całkiem proste. Wiem, że ma pani wnuka.

- Tak - odparła Flora, czując, że kręci jej się w głowie. - Więc... Więc co będzie z domem?

- Nic szczególnego - rzekł pan Edmund-Jones. - Ach, jest pani Andrews z herbatą, jak to miło. Może zechce pani nalać, pani Fielding?

Flora uśmiechnęła się słabo i napełniła herbatą dwie filiżanki. Stary adwokat z aprobatą kiwnął głową, gdy dołała mleka.

- Ach, pani wie, że mleko dolewa się do herbaty, a nie herbatę do mleka. - Uśmiechnął się szeroko.  
- Moja matka dzieliła ludzi na takich, którzy wiedzą i takich, którzy nie mają pojęcia o dobrej herbacie z mlekiem.

- Naprawdę? - Flora lekko uniosła brwi.

Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że przez gabinet zaraz przebiegnie duży biały królik.

- Tak jest, mleko do herbaty - powtórzył pan Edmund-Jones. - Kawalek ciasta?

- Nie, dziękuję - powiedziała Flora.

Ciasto wyglądało na równie zakurzone jak cały gabinet.

- Może później... O co pani pytała?

- Co będzie z domem.

- No, właśnie, nic szczególnego. Pani wnuk jest zapewne młodym człowiekiem, czy tak?

- Ma dziesięć lat.

- Rozumiem. Cóż, jeżeli jesteście w dobrych stosunkach, pewnie wyrazi zgodę, aby mieszkała pani w jego domu do końca życia. Gdy skończy dwadzieścia jeden lat, dom przejdzie na jego własność, a po jego śmierci odziedziczy go jego najstarszy wnuk, i tak dalej. Pani wnuk ma prawo mieszkać w Broken Bay do śmierci, a gdyby nie miał wnuka, posiadłość przejdzie w ręce jego najstarszego kuzyna. - Adwokat wyjął z szuflady kartonową teczkę. - Wszystko zapisane jest tutaj - rzekł, przerzucając kartki. - Fascynująca historia. Pierwszy właściciel domu, John Fielding, zbudował go w tysiąc siedemset osiemdziesiątym roku. Jego syn David był nicponiem i hulaką, więc John bał się, że mógłby sprzedać dom, aby spłacić długi. Dlatego wydziedziczył syna i zostawił wszystko wnukowi, synowi Davida. Ustanowił zasadę dziedziczenia, zgodnie z którą majątek dziedziczy zawsze najstarszy wnuk - w ten sposób domu nie można sprzedać ani zapisać komuś innemu.

- Ale ja muszę sprzedać dom! - wyznała z rozpaczą Flora. - Mam dług, który spłacam firmie Lloyd's, nie uda mi się z tego wymigać!

- To pechowa sytuacja dla Lloyd'sa - rzekł pan Edmund-Jones. - Cóż, nie uda im się dobrać do Broken Bay House, mogą pani... Zaraz, jak brzmi ten dość wulgarny współczesny zwrot? A, tak, mogą pani nagwizdać! Swoją drogą, co za okropna historia, mam kilku klientów, którzy zostali kompletnie zrujnowani przez roszczenia ze strony Lloyd'sa.

- Przepraszam, ale muszę prosić, żeby wyjaśnił mi pan to wszystko jeszcze raz. Pewnie wydam się panu bardzo głupia, lecz czy to znaczy, że mogę zostać w domu? Że nikt nie może mi go zabrać?

- Nikt poza pani wnukiem, oczywiście zakładając, że stosunki między wami byłyby zdecydowane złe. Tylko on, jako właściciel, po osiągnięciu pełnoletności mógłby kazać pani opuścić dom, rozumiem jednak, że to raczej niemożliwe.

Flora natychmiast ujrzała Alexandra, zwiniętego w kłębek obok niej na zniszczonej kanapie w kuchni; Alexander zawsze nazywał ją „superbabcią”.

- Ma pan rację - powiedziała. - To niemożliwe.

Zaraz po powrocie do domu naląła sobie dużą whisky, a potem usiadła przy telefonie i wybrała nie numer Richarda czy Debbie, ale Beaumontów.

Odebrała Elizabeth.

- O, witaj, Floro! Jak to miło, że dzwonisz. Dziękuję za kartkę z życzeniami!

- Nie ma za co, to taka cudowna wiadomość! Jak się czujesz? Pewnie jesteś strasznie zmęczona.

- Tak, trochę.

- Czy jest Tilly?

- Nie, niestety. Wyszła z przyjaciółkami. Mam nadzieję, że nic nie stało się Boyowi, albo...

- Nie, z Boyem wszystko w jak najlepszym porządku, jest w znakomitej formie! Chciałam po prostu zamienić parę słów z Tilly.

- Może mnie powiesz, o co chodzi. Na pewno przekażę to Tilly.

- Nie chcę wydać ci się irytującą babą, naprawdę, ale bardzo, bardzo zależy mi, żeby osobiście porozmawiać z Tilly - powiedziała Flora przeproszającym tonem. - To ogromnie ważne dla nas obu. Mogłabyś ją poprosić, żeby zadzwoniła do mnie, gdy wróci? Długo jej nie będzie?

- Nie mam pojęcia - odparła Elizabeth, wciąż chłodnym tonem. - Powinna wrócić najpóźniej o dziesiątej.

- Więc powiesz jej, żeby zadzwoniła? Jak najszybciej?

- Jasne. Jak najszybciej.

Irytująca baba, pomyślała, wracając do pakowania. Musiała mieć wszystko pod kontrolą, jakże by inaczej. Jednak Simon i Tilly bardzo lubili Florę i byli jej ogromnie wdzięczni. Boże, ależ była zmęczona. Pewnie nie wytrzyma nawet do dziesiątej. Może na wszelki wypadek zostawić kartkę dla Tilly.

Położyła się dość wcześnie, zostawiwszy kartkę dla córki na stole w holu. Tuż po dziesiątej Tilly wpadła do jej pokoju z błyszczącymi oczami, zarumienioną buzią i wielkimi łzami w niebieskich oczach, i wyrwała ją z płytkiego snu. Elizabeth czuła, że teraz nie będzie mowy o ponownym zaśnięciu... Ach, ta cholerna Flora Fielding.

- Mamusiu, mamusiu, stało się coś wspaniałego! Flora może zostać w swoim domu i Boy także! I to wszystko dzięki jakiejś prawnej komplikacji! Niesamowite, prawda? Absolutnie niesamowite!

Elizabeth musiała przyznać, że to rzeczywiście niesamowite.

Flora mogła tylko zgadywać, jak doszło do tak niezwykłego splotu wydarzeń. Poskładała całą historię z pomocą pana Edmunda-Jonesa, który przekazał jej wszystkie znane mu fakty, oraz dzięki własnej znajomości charakteru Williama. Mąż nigdy nie mówił jej nic o funduszu powierniczym, ale cóż, taki właśnie był. Przede wszystkim był od niej o wiele starszy (całe dwadzieścia pięć lat!) i bardzo staroświecki, jeśli chodzi o stosunek do życia. Flora, która wyszła za niego, mając dziewiętnaście lat, była mocno nie-

konwencjonalną osobą. Nie wiedziała o wielu sprawach, między innymi o dochodach i finansowym statusie męża.

William bardzo ją kochał, lecz zawsze uważał, że żona nie musi posiadać dogłębnej znajomości stanu finansów małżonka i nie powinna się takowej domagać. Nie oczekiwał, że Flora będzie rozmawiać z nim o zajęciach domowych oraz problemach macierzyńskich i nie zamierzał omawiać z nią spraw finansowych.

Ich codziennymi sprawami zajmowała się kancelaria prawnicza w Swansea. Testament Williama był mało skomplikowany - wszystko dziedziczyła Flora. William często powtarzał, że musi wprowadzić jakieś zmiany w zapisach, umarł jednak nagle i nie zdążył wprowadzić w życie swoich planów.

Florze zaświtała także w głowie myśl, że chociaż William niewątpliwie był w niej głęboko i szczerze zakochany, to chyba jednak nie ufał jej do końca, a z biegiem lat pewnie coraz trudniej byłoby mu przyznać się do istniejących powikłań prawnych.

Istniało jeszcze jedno wytłumaczenie możliwego braku zaufania ze strony Williama, pomyślała trzeźwo, wpatrzona w ciemność. Zawsze miała nadzieję, więcej, była prawie pewna, że William nic o tym nie wiedział, ale może nie miała racji... Znowu ogarnęły ją wyrzuty sumienia i lęk. Stłumiła je pośpiesznie. Daj spokój, Floro, pomyślała. William zamierzał pewnie powiedzieć o prawie dziedziczenia Broken Bay Richardowi, ale później, przecież w chwili jego śmierci Alexander miał dopiero cztery lata.

Do wieczora z uśmiechem chodziła po domu, ciesząc się jego ciepłem i świadomością, że nie musi się wyprawdzać. Poszła na spacer i długo stała oparta o prowadzącą na ławkę furtkę, nie zważając na zimno i napawając się widokiem bezkresnego nieba i morza, a potem wróciła i opowiedziała o wszystkim koniom. Przyjęły radosną wiadomość bardzo spokojnie. Weszła do domu w stanie przyjemnego podniecenia i stanęła przy wychodzącym na ogród oknie w jadalni, niecierpliwie czekając na telefon od Tilly.

Myślała o tym, że Tilly i Boy nie muszą się rozstawać. Nie mogła zgodzić się, aby to Elizabeth przekazała informację córce, bo przecież ludzie tak rzadko mają okazję obdarzyć kogoś absolutnym szczęściem. Flora zamierzała wykorzystać tę możliwość.

\* \* \*

Blue był człowiekiem zakochanym. Często zastanawiał się teraz, o czym, na miłość boską, myślał i rozmawiał przed narodzinami Molly Rose. O Lucindzie, oczywiście, a w dalszej kolejności o pracy i swoich wulgarnych drogich zabawkach, takich jak ferrari i deska surfingowa z silnikiem, jednak żadna z tych rzeczy nigdy nie pochłaniała jego uwagi w tak absolutny sposób. Myślał o Molly Rose od chwili, gdy budził się rano i pośpiesznie wyskakiwał z łóżka, aby popatrzeć na nią, zanim jeszcze otworzy oczka, albo gdy opiekunka karmiła ją i przewijała, ponieważ Molly była rannym ptaszkiem, i nie przestawał myśleć przez cały dzień, aż do nocy, kiedy zasypiał, niespokojnie nasłuchując, czy nie płacze, ponieważ był przekonany, że opiekunka jej nie usłyszy.

Lucinda nigdy nie była taka szczęśliwa jak teraz. Znajomi ze szkoły rodzenia, matka, siostra, przyjaciele, gazety i nawet doktor Clark wiele razy ostrzegali ją, że przeżyje załamanie, że będzie stale zmę-



czona, obolała i przygnębiona, że może mieć kłopoty z karmieniem, że będzie marzyła o spokojnie przespanej nocy, tymczasem Lucinda nie doświadczyła żadnego z tych koszmarów. Dni i tygodnie mijały jej w mglistym poczuciu całkowitego zadowolenia z życia. Zdumiewająco szybko odzyskała siły i już tydzień po porodzie wychodziła na spacer z Blue i dzieckiem, wypuściła się nawet na gwiazdkowe zakupy („wypad do Harveya Nicholasa to przecież nic takiego!”). Molly Rose zachowywała się wspaniale, z donośnym beknieniem odpadała od piersi matki, gdy najadła się do syta, i od razu zasypiała. Płakała tak rzadko, że kiedy już jej się to zdarzyło, wszyscy zwracali uwagę na tak nietypowe zachowanie; nawet gdy nie spała, leżała spokojnie, spod zmrużonych powiek zerkając na wiszące nad łóżeczkiem i wózkami karuzelki z zabawkami. W przeciwieństwie do większości maleństw, nie przesypiała też całego dnia, aby potem wrzeszczeć od mniej więcej szóstej wieczorem do późnej nocy; nie, Molly Rose po prostu drzemała z wyraźnym zadowoleniem albo usiłowała przyglądać się otoczeniu. Była prześliczna i kilka dni przed Bożym Narodzeniem naprawdę się uśmiechnęła, a w każdym razie tak uważali dumni rodzice. Wiedzieli, że to uśmiech, a nie grymas, ponieważ Lucinda natychmiast zawołała Blue i chociaż Molly na moment przestała się uśmiechać, to zaraz powtórzyła niezwykle wyczyn, specjalnie dla ojca. Naturalnie był to niepewny, drżący uśmiech, który jakby zaskoczył malutką twarzyczkę, ale jednak uśmiech.

- Wygląda na to, że jest nieprawdopodobnie rozwinięta - oświadczyła Lucinda. - Masz prawo być z niej dumny, Blue!

- A ty nie jesteś z niej dumna?

- Jestem, oczywiście! Och, popatrz, popatrz, znowu się uśmiecha!

Rzeczywiście, uśmiechnęła się znowu i zrobiła to jeszcze kilka razy, aż wreszcie zapadła w sen, zmęczona wysiłkiem.

- Cudowne, co? Prawdziwy prezent gwiazdkowy, najwspanialszy na świecie! - zachwycała się Lucinda. - Nie chcę od życia nic więcej, naprawdę!

- To szkoda - powiedział Blue. - Bo mam tu coś dla ciebie, ale w tej sytuacji lepiej to oddam...

„To” okazało się małym niebieskim pudercikiem z salonu Tiffany'ego, owiniętym białą wstążką.

- Ani mi się waż! - zaprotestowała, wrywając mu pudełeczko z ręki i wyjmując ze środka pierścionek z pięknym brylantem. - Och, Blue, w poprzednim życiu musiałam być strasznie dobra, skoro zasłużyłam na kogoś takiego jak ty! I na Molly Rose, oczywiście!

Nigel zamierzał spędzić święta u krewnych w Norfolk. Była to głęboko przygnębiająca perspektywa, nie widział jednak innego wyjścia, no, chyba że zdecydowałby się zostać sam w nowym mieszkaniu.

Miał wrażenie, że kiedy rozwód zostanie ostatecznie orzeczone, będzie mógł śmieiej spojrzeć w przyszłość. Dochód z wynajęcia domu powinien być całkiem spory. Nigel nadal myślał o planie Steve'a z pewnym niepokojem; wychowano go w duchu kryształowej uczciwości, wiedział jednak, że spłaci ponad połowę zadłużenia w Lloyd's, a kiedy wyrzuty sumienia zaczynały go naprawdę męczyć, przypominał sobie o biednej Gillian Thompson oraz kilku innych osobach, wymienionych w artykule Joela Stricklanda, i wyrzuty natychmiast ustępowały. W takich chwilach myślał też o Catherine Morgan, której przeżycia były

naprawdę okropne. Komu by przyszło do głowy, że postępowanie tak starej, funkcjonującej zgodnie z zasadami dżentelmeńskiego zachowania firmy doprowadzi ludzi do rozpacz i utraty majątku?

Nigel westchnął. Znowu myślał o Catherine, chociaż bardzo starał się tego nie robić. Bezskutecznie, niestety.

Catherine była taka... taka cudowna. Cudowna, łagodna, dobra i bardzo dzielna. Zostawiła Londyn, przyjaciół, znajomych i przeprowadziła się w nowe miejsce, gdzie nikogo nie знаła, gdzie, pozbawiona niezależności, mieszkała z tymi okropnymi teściami, a wszystko po to, aby zapewnić dzieciom spokojne, szczęśliwe dzieciństwo.

Zastanawiał się, czy nie zaprosić Catherine razem z dziećmi na jakiś dzień przed świętami i na przykład pójść z nimi do kina, ale kiedy wreszcie zdołał się zmobilizować, wyobraźnia natychmiast podsunęła mu obraz tamtego mężczyzny, niosącego w ramionach małą Caroline. Ten obraz sprawił, że Nigel od razu stracił odwagę. Nie zamierzał drugi raz cierpieć z powodu złamanego serca.

Przeprowadzka nie była aż tak okropna, jak obawiała się Elizabeth. Oczywiście była to smutna, bolesna chwila, ale Simon i wszystkie związane z nim przeżycia, dobre i nie najlepsze, w tak wielkim stopniu stanowiły o atmosferze domu, że Elizabeth, rozstając się z domem, łatwiej zaakceptowała fakt, że już go nie ma.

Widziała dom, który bardzo jej się podobał, mniejszy, rzecz jasna, ale uroczy, z epoki wiktoriańskiej, w Little Venice, niedaleko kanału, z pięknymi, pełnymi światła pokojami i oknami wychodzącymi na zieloną uliczkę i spokojny ogródek. Potrafiła wyobrazić sobie nowe życie w tym domu, ponieważ był dość duży, aby starsze dzieci mogły zapraszać swoich przyjaciół, a jednocześnie na tyle mały, by czuła się bezpiecznie, ona i małe dziecko. Dom przypadł do gustu również dzieciom, które już zaklepały sobie po pokoju i wyznaczyły swoje terytoria.

Wynajęty dom okazał się całkiem przyjemny, mogli spokojnie przetrwać w nim Boże Narodzenie, Nowy Rok, a potem finał sprawy w sądzie. Bardzo szczerze omówili kwestię świąt i zgodnie doszli do wniosku, że trzeba je po prostu jakoś przeżyć i razem na pewno im się uda.

- Powinniśmy pójść do kościoła - oznajmiła dość niespodziewanie Annabel. - Z samego rana, żeby spojrzeć na święta z innej perspektywy...

Tilly i Toby zgodzili się z nią. Tilly zaproponowała, żeby zjedli zimny lunch, a wieczorem gorącą kolację.

- Może pieczeń wołową albo coś w tym rodzaju - powiedział Toby. - Byle nie indyka.

- Dobry pomysł! - przytaknęła Tilly. - Ale ja chcę też krakery!\* Nie ma Świąt bez krakerów i prezentów w pończochach.

\* Cracker (ang.) - atrakcja przyjęć w okresie Bożego Narodzenia - walec papierowy zawierający drobną niespodziankę i ogień bengalski, który wybucha, gdy się ciągnie za dwa końce walca.

- Jasne - powiedziała z uśmiechem Elizabeth. - Ja też powieszę pończochę przy kominku.

- Ach, ty straszna egoistko! - Annabel objęła ją mocno. - I nic cię nie obchodzi, że będziemy musieli biegać po całym mieście i szukać pięknych rzeczy dla ciebie, co? No, dobrze, niech ci będzie.

Tydzień przed Bożym Narodzeniem Annabel wróciła wieczorem do domu z trochę niepewną miną.

- Mamo, jeżeli ten pomysł ci się nie spodoba, powiedz bez chwili wahania, ale Florian zastanawiał się, czy nie mógłby wpaść do nas w świąteczne popołudnie. Napilibyśmy się szampana, trochę pogadali... Florian jest taki pogodny i miły, na pewno przynajmniej trochę nas rozweseli, oczywiście, jeśli wszyscy się zgodzą na jego wizytę.

- Zgadzą się - oznajmiła Tilly. - Prawda, Toby?

- Chyba tak - odparł Toby, który dosyć lubił Floriana.

Florian miał styl, a Toby'emu zależało, żeby dopracować się własnego. Poza tym Florian znał życie, i to życie ulicy.

W gruncie rzeczy święta miały więc okazać się nie najgorsze. Wiedzieli, że je przeżyją, tak jak musieli przeżyć wiele innych rzeczy.

Toby nie był już tak niechętnie nastawiony do dziecka jak na początku. Zmienił swój stosunek do ciąży matki nie pod wpływem Floriana, lecz Fallon, która z każdym dniem stawała się coraz piękniejsza. Jej gęste włosy zostały krótko ostrzyżone - przez Floriana, który pewnego wieczoru spotkał ją u Beaumontów i ubłagał, aby pozwoliła mu je obciąć - i teraz przylegały do głowy jak mała czarna czapeczka. Fallon była wysoka, prawie tak wysoka jak Tilly, i bardzo szczupła, a ostatnio zaczęła ubierać się dość ekscentrycznie, lecz atrakcyjnie, głównie w ciuchy kupowane na stoiskach z używaną odzieżą w Kensington Market - długie, powiewne spódnice i luźne jedwabne bluzki, swetry w kolorach tęczy i duże kapelusze. Miała fascynujący głos, niski i zachrypnięty, i głęboki, „nieprzyzwoity” śmiech. Toby uważał, że Fallon jest wspaniała i nawet zaprosił ją na randkę, Fallon powiedziała jednak Tilly, że nigdy w życiu nie pójdzie nigdzie z chłopakiem, który wygląda, ubiera się i mówi tak jak Toby.

- Nie miej mi tego za złe, Til, ale ludzie by się ze mnie śmiali.

Lubiła jednak Toby'ego i prowadziła z nim długie rozmowy przy kuchennym stole. Któregoś dnia zauważyła, że pewnie bardzo cieszy go myśl o nowym bracie lub siostrze.

W odpowiedzi Toby zaczerwienił się jak burak, otworzył następną butelkę piwa i zapalił papierosa, chociaż Elizabeth zabroniła mu palić w domu.

- O co chodzi? - zdumiała się Fallon. - Powiedziałam coś nie tak?

- Nie - odparła Tilly. - Ale on wcale nie cieszy się z dziecka.

- Dlaczego? Oczywiście taki maluch okropnie hałasuje, fakt, a pieluchy śmierdzą, i tak dalej, ale przecież nie spędzasz w domu zbyt dużo czasu, Toby! Poza tym wasza mama na pewno będzie bardzo dbała o czystość, więc w czym rzecz? Małe dzieci są cudne, naprawdę! Wiem, co mówię, bo u nas jest ich sporo!

- Tak, ale ty jesteś dziewczyną - wykrztusił Toby.

- Zauważyłeś, co? Dobra robota! A nie przyszło ci do głowy, że może to będzie chłopiec? Mógłbyś być dla niego... Zaraz, jak to się mówi, Til? No, mógłbyś być dla niego wzorem!

- Wzorem postępowania. - Tilly kiwnęła głową potakująco.

- Właśnie! Jesteś jedynym facetem w domu, więc mały będzie cię potrzebował! Mógłbyś zabierać go na mecze, i takie tam. Będzie świetnie, przekonasz się! Mój mały braciszek strasznie tęskni za starszym.

- Dlaczego nie ma go w domu? - zapytała Tilly.

- Dean przeprowadził się do Rona, naszego najstarszego brata. Czuje się tam o wiele lepiej, bo strasznie nie lubi nowego chłopaka naszej mamy. Nikt z nas go nie lubi. Tak czy inaczej, biedny mały Darren jest zupełnie zagubiony bez Deana! Dean był dla niego jak ojciec!

- Rozumiem, o co ci chodzi. - Toby nieśmiało uśmiechnął się do Fallon. - Nie myślałem o tym w ten sposób.

- Pewnie! - Fallon popatrzyła na niego prawie z litością. - Nie przypuszczałam, że przyszło ci to do głowy. Mogę pociągnąć dymka, Toby?

I tak siedzieli, paląc do spółki papierosa i gadając, podczas gdy Tilly umierała z niepokoju, że do kuchni wejdzie nagle matka. Nie wiedziała, że takie zagrożenie nie istnieje - Elizabeth parę minut wcześniej zeszła na dół, żeby zrobić sobie filiżankę herbaty, ale poczuła papierosowy dym, usłyszała charakterystyczny głos Fallon i śmiech Toby'ego, i doszła do wniosku, że najlepiej będzie, gdy na palcach wróci do swojego pokoju i uda, że o niczym nie wie. Przynajmniej do rana.

Flora była bardzo podekscytowana myślą o Bożym Narodzeniu. To, że mogła spędzić święta w Broken Bay, wolna od obaw o przyszłość, było po prostu niesamowite. Z entuzjazmem rzuciła się w wir gotowania, planowania, dekorowania i robienia zakupów, a kiedy 22 grudnia Debbie przyjechała z dziećmi, dzień przed Richardem, dom wyglądał tak pięknie, przystrojony iglastymi gałązkami, girlandami, ze świecznikami na każdym parapecie i olbrzymią choinką w holu, że wszyscy czworo zgodnie zaczęli bić brawo.

Flora uznała, że Debbie wygląda na bardzo zmęczoną; najwyraźniej pracowała za dużo i za ciężko. Obiecała sobie w duchu, że zadba, aby jej synowa miała przyjemne święta, że postara się nie denerwować i przynajmniej trochę poskromi swoje autorytarne zapędy.

Napisała do Richarda i wyjaśniła mu, jak przedstawia się sytuacja z domem, żartobliwie dodając, że może mieszkać w Broken Bay, „dopóki Alexander nie będzie miał nic przeciwko temu!”. Opowiedziała synowi historię pierwszego Johna Fieldinga i podkreśliła, że nie miała pojęcia o oryginalnym zapisie testamentowym. Wiedziała, że dla Richarda będzie to trudne do przełknięcia. Jej syn był sztywny i dumny, podobnie jak William, ale cóż, musiał przecież poznać prawdę. Okazało się, że Richard przyjął wiadomość nie najgorzej, przynajmniej na razie, ponieważ odpisał szybko i serdecznie, czuła jednak, że to jeszcze nie koniec. Znacznie bardziej ucieszyła ją reakcja Debbie, która zatelefonowała do niej z gratulacjami, szczerze zadowolona z nagłej odmiany w życiu teściowej.

Richard miał przyjechać prosto ze Szkocji. Koniec semestru oznaczał dla niego mnóstwo administracyjnej, papierkowej roboty; Morag i on potrzebowali kilku dni spokoju, żeby dopiąć wszystko na ostatni guzik.

- Morag jest wykończona, ale oczywiście nie poddaje się i chce dalej pracować - powiedział Florze przez telefon.

Dzieci były szczęśliwe i podniecone. Udekorowały swoje pokoje, zastanawiały się, gdzie najlepiej powiesić świąteczne pończochy, szukały gałązek i chowały się w różnych kątach, pakując prezenty i chichocząc. Czekają nas wymarzone, idealne święta, pomyślała Flora.

- Stworzyłaś cudownie szczęśliwą rodzinę, Debbie - powiedziała, kiedy szły przez wrzosowisko, a dzieci biegły daleko przed nimi. - Chociaż na pewno nie zawsze było ci łatwo. Dobra robota!

Debbie milczała. Flora zerknęła na nią ostrożnie i zobaczyła, że ma łzy w oczach. Instynkt podpowiedział jej, aby nie zdradzać się z tym spostrzeżeniem i szybko zmienić temat. Miała nadzieję, że małżeństwo jej syna nie przeżywa nowego kryzysu, obawiała się jednak, że Debbie nie będzie szczególnie szczęśliwa w Szkocji, w cieniu uwielbianej Morag.

Trochę później powiedziała Debbie, że następnego wieczoru spodziewa się kogoś na kolacji.

- Mam nadzieję, że nie będzie ci to przeszkadzać. Umówiłam się już dawno temu, a Richard i tak przyjedzie bardzo późno.

- Oczywiście, że nie będzie mi to przeszkadzać - uśmiechnęła się Debbie. - Muszę zresztą pojechać po Richarda na lotnisko w Cardiff. Kim jest ta twoja przyjaciółka? Znam ją?

- To przyjaciel, nie przyjaciółka - wyjaśniła Flora. - Nie, nie znasz. Nazywa się Colin Peterson i to on pomagał mi przy sprzedaży domu, pamiętasz?

- Och, tak! Oczywiście.

Flora pracowicie wycierała stół. Gdyby nie było to niemożliwe, Debbie by przysięgła, że jej teściowa lekko się zarumieniła...

Debbie żyła teraz z chwili na chwilę, dzień po dniu. Ze wszystkich sił starała się nie myśleć, co stanie się 27 grudnia, kiedy powie o wszystkim Richardowi, i o strasznych konsekwencjach czekającej ją rozmowy, ale nie mogła uwolnić się od lęku i przygnębienia.

Kiedy Flora pogratulowała jej stworzenia szczęśliwej rodziny, poczuła się jak morderczyni, jak Lady Macbeth albo Lukrecja Borgia. Jak mogła zrobić im coś takiego? Czy miała do tego prawo? Wiedziała, że nie, ale przecież musi to zrobić. Jechała do Cardiff po Richarda z uczuciem okropnego niepokoju. Jak zdoła udawać przez następne ciągnące się bez końca trzy dni, że wszystko jest w porządku? Jak ma się uśmiechać do męża, rozmawiać z nim, wyrazić zainteresowanie jego sprawami, okazać czułość, pozwolić mu kochać się ze sobą...

Przestań, Debbie! Musisz, musisz! I nie ma nad czym się zastanawiać!

- Witaj, Debs! Cieszę się, że cię widzę!

Objął ją, ale jakoś wytrzymała. Nie było najgorzej, na razie sobie poradziła.

- Ja też się cieszę - powiedziała. - Co słyhać?

- Jestem wykończony! Harowaliśmy jak robocze woły, Morag i ja. Nadal dopiero uczę się wielu rzeczy, ale Morag ma do mnie tyle cierpliwości, nie wyobrażasz sobie nawet.

- To miło... Jak podróż?

- W porządku. Samolot wyleciał z opóźnieniem, jak wiesz.

- Tak, na szczęście zadzwoniłam do informacji i dzięki temu udało mi się skubnąć trochę kolacji! Jesteś głodny? Twoja mama zostawiła coś dla ciebie w piecyku.

- To dobrze, chętnie coś zjem. Jak ona się czuje?

- Świetnie - odparła Debbie, prowadząc Richarda do samochodu. - Jest taka szczęśliwa z powodu domu.

- Na pewno! To zupełnie niesamowita historia, prawda?

- Absolutnie niesamowita! Kto by pomyślał, że nasz mały Alexander zostanie posiadaczem ziemskim.

- No, brzmi to dość absurdalnie! - rzucił sztywno Richard.

- Tak czy inaczej, powinnam cię uprzedzić... O, tam jest samochód... Powinnam cię uprzedzić, że twoja matka ma wielbiciela.

- Co takiego?! - Richard odwrócił się i z niedowierzaniem popatrzył na Debbie. - Jakiego wielbiciela?!

- No, wielbiciela, mężczyznę! Jest nią wyraźnie zainteresowany, pełen szacunku i bardzo troskliwy.

- Wyraźnie zainteresowany? Jakiś mężczyzna jest zainteresowany moją matką?

- Tak! Nie patrz na mnie z taką dezaprobatą, to przecież dobrze dla niej!

- Nie wiem, co powiedzieć. Kto... kto to jest?

- Nie jestem pewna, chyba właściciel jakiejś firmy budowlanej. Wcześniej służył jej radą w sprawie sprzedaży domu. Jest zachwycony, że mama zatrzyma Broken Bay House, widać było, że szczerze cieszy się jej szczęściem. Miły człowiek, może jeszcze będzie, kiedy przyjedziemy. Mówił, że bardzo chciałby cię poznać.

- Ale... Ale jaki on jest? Stary? Nie rozumiem, dlaczego mama nigdy mi o nim nie wspomniała!

- Pewnie była zażenowana. - Debbie zapięła pas, dziękując Bogu, że mają o czym rozmawiać. - Napomknęła mi o nim z wyraźnym skrepowaniem, nawet się zarumieniła. Kiedy przyjechał, od razu się zorientowałam, że łączy ich ogromna sympatia, może zresztą coś więcej. Jeżdżą razem na koncerty. Jest mniej więcej w jej wieku. Najbardziej zaskoczyło mnie to, że bardzo różni się od jej znajomych. To... No, to nie jest arystokrata.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi! - rzucił z irytacją.

- Nie ubiera się z wyszukaną elegancją, miał na sobie taki śmieszny sweter w paski. Zupełnie przeciętny facet, ale bardzo, bardzo sympatyczny. Ma na imię Colin.

- I myślisz, że... Myślisz, że to poważne? Debbie, patrz, co robisz, zaraz zderzymy się z ciężarówką!

- Zauważyłam ją - z trudem opanowała gniew. - Nie wiem, czy to poważne, wydaje mi się, że raczej nie zamierzają się pobrać za dwa tygodnie czy coś takiego.

- Jeżeli chcesz jechać zewnętrznym pasem, powinnaś chyba trochę przyspieszyć! To niebezpieczne! Dlaczego zawsze zapominała, że Richard strasznie się denerwował, kiedy ona prowadziła? Ostro zjechała na środkowy pas.

- Lepiej?

- Tak... Więc co z tym facetem?

- Nazywa się Colin, Colin Peterson i zrobił na mnie naprawdę miłe wrażenie.

W innych okolicznościach dodałaby, że jemu Colin na pewno się nie spodoba, ale postanowiła zmilczeć. Chciała zafundować Richardowi trzy dobre dni. Jemu i dzieciom. Trzy radosne, szczęśliwe dni. A później...

- Wrzuć piątkę, Debbie! Słyszysz chyba, jak silnik rzezi?

Debbie zjechała na pobocze i wysiadła. Richard patrzył na nią ze zdziwieniem.

- Co się stało?

- Sam prowadź dalej, bardzo proszę! Ja przecież nie umiem! - Była bliska łez, wszystkie jej dobre postanowienia zniknęły w jednej chwili.

- Słuchaj, jestem wykończony, przed chwilą wysiadłem z samolotu, na miłość boską.

- Zamknij się, dobrze? Jeżeli nie masz do powiedzenia nic miłego, to w ogóle nie mów! Zaraz będziemy na miejscu i będziesz mógł osobiście zapytać Colina, jakie ma zamiary!

Richard milczał aż do Gower. Kiedy podjechali pod dom, samochodu Colina już nie było. Flora wyszła im na spotkanie.

- Dobry wieczór, kochanie! Tak się cieszę, że przyjechałeś! Wesołych świąt!

- Dom wygląda wspaniale, przeszłaś samą siebie, mamo.

- Miałam pomocników. Jak ci minęła podróż? Dobrze? Chodźmy do środka, zostawiłam ci zapiekanekę.

- Dziękuję, że o mnie pomyślałaś! Dzieci już śpią?

Weszli do holu. Mała błyskawica w nocnej koszuli rzuciła się Richardowi na szyję.

- Tatusiu, tak strasznie za tobą tęskniłam!

- Ja za tobą też, skarbie!

To okropne, pomyślała Debbie, patrząc, jak Richard podnosi Emmę i ją całuje. Właśnie dlatego czuję się taka zła. Bo muszę zniszczyć to wszystko.

Aby poprawić sobie nastrój, wypła dwa duże kieliszki wina, zanim Richard zjadł skromną kolację. Emma cały czas siedziała na kolanach ojca. Debbie zauważyła, że Flora co jakiś czas zerka na nią spod oka.

O, Boże, pomóż mi, pomyślała.

Ale przecież Bóg nigdy nie pomógłby takiej niegodziwej, grzesznej kobiecie.

Była gotowa na seks, ale udało się jej. Richard pocałował ją, powiedział, że ledwo żyje ze zmęczenia i zgasił światło. Długo leżała w ciemności, patrząc na jego plecy, słuchając chrapania i dziękując Bogu, że jednak jej pomógł. A jutro, jak mówiła jej ulubiona bohaterka literacka, będzie przecież nowy dzień.

## ROZDZIAŁ 58

*GRUDZIEŃ 1990*

Obserwowała samą siebie, godzina po godzinie. Uśmiechała się, otwierała prezenty, dziękowała, śpiewała kolędy, jadła indyka, piła za dużo, rozwiązywała szarady, patrzyła, jak tym razem Rachel zasypia na kolanach ojca, kładła dzieci spać, a potem siedziała przy kominku z Richardem i Florą, znowu piła, słuchała ich rozmów, wspominała i w ogóle nie zdawała sobie sprawy, że prawie cały czas milczy.

Poszła do łóżka i pozwoliła, aby Richard się z nią kochał. I jakoś to przeżyła.

- Cudowne święta! - powiedział, odwracając się od niej. - Dziękuję!

I zasnął. Jak to możliwe, żeby się nie zorientował, że coś się dzieje? Jak to możliwe? Ale jutro jest już 26 grudnia i zaraz będzie po wszystkim. W każdym razie po tym, co najgorsze.

Co najgorsze dla niej.

Zdumiewające, że nadal nie miała ani cienia wątpliwości. Wiedziała, że robi to, co powinna zrobić.

Dwudziesty szósty był przenikliwie zimny, ale pogodny.

- Piękny dzień, prawda? - zagadnęła Flora. - Wiecie, co powinniśmy zrobić? Pójść na Robaka!

- Taaaak! - krzyknęły chórem dzieci.

Kiedys już to zrobili, przeszli wzdłuż całego półwyspu, który dawno temu był wyspą, zwanego Worm's Head, czyli „głową robaka”, wybiegającego daleko, daleko w zatokę Rhossili. Półwysep nosił taką nazwę, ponieważ wyglądał jak leżący w wodzie smok (w staroangielskim smoka określano wyrazem „wurm”); był to jeden z najwspanialszych spacerów w okolicy Gower. Dzieci uwielbiały obserwować Robaka, zwłaszcza w czasie przyływu, ale taka wyprawa mogła być niebezpieczna, jeżeli się nie obliczyło dość dokładnie, kiedy woda zacznie się wznosić, a dzień był bardzo zimny.

- No, naprawdę nie wiem - zaczęła z powątpiewaniem Debbie.

- Przecież wiesz, że tak naprawdę nic nam nie grozi! - przerwała jej Flora. - Dzieci są coraz większe i świetnie radzą sobie nawet z dalszymi wycieczkami... - Na moment zawiesiła głos, nie chcąc drażnić synowej uwagą, że świetnie sobie radzą właśnie dzięki niej. - Mamy piękny dzień i zaraz sprawdzimy, kiedy jest przyływ. Co ty na to, Richardzie?

- Myślę, że to doskonały pomysł - odparł i rzucił Debbie chłodne spojrzenie.

Dopuściła się jednego z najgorszych w jego oczach „wykroczeń” - okazała się nadopiekuńcza w obecności jego matki.



- Świetnie! - powiedziała Flora. - Popatrzmy. Tak, odpływ o trzynastej trzydzieści, więc nic nam nie grozi.

- Nie zapominajcie, że koło szesnastej trzydzieści robi się ciemno - odezwała się Debbie.

- Nie zapominam o tym i zamierzam wyjść znacznie wcześniej niż o trzynastej trzydzieści - rzekła Flora. - Tak czy inaczej, między odpływem a przyływem mamy pięć godzin, moglibyśmy nawet urządzić sobie piknik!

- Piknik! - Debbie parsknęła śmiechem. - Jest strasznie zimno!

- Taaak, piknik, piknik! - krzyknęły dzieci. Zadzwoił telefon i Flora podniosła słuchawkę.

- Colin! Jak to dobrze, że dzwonicz! Co? No, bo przyszło mi do głowy, że może chciałbyś się do nas przyłączyć. Wybieramy się na piknik! Tak, wiem, że jest zimno, ale popatrz tylko, jakie piękne słońce! Tak, na Robaka! Słucham? Ach, doskonały pomysł! Spotkajmy się w Rhossili, koło szesnastej, nie, lepiej o piętnastej trzydzieści. Debbie, moja synowa, boi się, żeby nie zaskoczył nas przyływ. I zmierzch, rzecz jasna! Tak, wrócimy na podwieczorek! Dobrze... Słucham? Tak, powtórzę... - Uśmiechnęła się do Debbie. - Colin prosił, żeby ci powtórzyć, że bardzo miło było mu cię poznać i że już się cieszy na dzisiejsze spotkanie.

- Och, to miłe - powiedziała Debbie. - Ja też chętnie się z nim dziś zobaczę...

Myślała przede wszystkim o tym, że gdy zobaczy Colina, będą już w domu, w ciepłe, nie na nagich, lodowatych skałach. I będzie to koniec ostatniego dnia. Ich ostatniego dnia jako rodziny.

Wyruszyli grzbietem porośniętego trawą klifu, wiodącego do morza. Dzieci biegły przodem, roześmiane i hałaśliwe.

- Świetnie się bawią - przyznała Debbie.

- Naturalnie! Weź plecak, Richardzie, a ja pomogę Rachel przejść przez rozpadlinę. Wszystko w porządku, Debbie?

- Tak, dziękuję.

Nic im nie groziło, mieli mnóstwo czasu. Debbie zdobyła się na odwagę i powiedziała, że nie chce, aby szli aż do Devil's Causeway, zdradliwej rozpadliny, którą trzeba było pokonać, aby znaleźć się na ostatnim odcinku Robaka. Richard, ku jej zaskoczeniu, zdecydowanie ją poparł.

- To za daleka wyprawa - rzekł. - Jest naprawdę zimno, a ja nie chcę dźwigać kogoś z powrotem!

Flora zgodziła się z pobłażliwym uśmiechem.

Słońce stało jeszcze wysoko na bezchmurnym niebie, kiedy przeprawili się przez rozpadlinę. W zasadzie była to nie tyle rozpadlina, ile trudny odcinek przejścia przez skały i kamienie. Emma podskakiwała jak piłka, rozmawiając z ojcem, Rachel trzymała babcię za rękę, a Alex szedł z Debbie, trochę wolniej niż tamci. Co jakiś czas Richard albo Emma odwracali się i ponaglali ich.

- Nie zwracaj na nich uwagi - powiedziała Debbie do syna. - Nie musimy się spieszyć.

- Nie spieszę się!

Urządzili piknik na porośniętej trawą wyżynie tuż nad rozpadliną. Flora zabrała w termosie zupe, którą zjedli z bagietką, kanapkami z serem i pomidorami. Było sielankowo, ale mimo słońca i cudownie błękitnego nieba bardzo zimno. Zerwał się ostry wiatr i Richard rozejrzał się dookoła z lekkim niepokojem.

- Lepiej już chodźmy - rzekł. - Po co ryzykować.

- Ojej, wy, mieszcuchy, jesteście strasznie ostrożni! - zaśmiała się Flora.

Ruszyli. Richard i Emma szli teraz razem z Debbie i Alexem. Flora maszerowała przodem, trzymając Rachel za rękę; jej długi tęczowy szal powiewał na wietrze. Debbie niespokojnie przyglądała się Rachel - dla sześciolatki była to męcząca wyprawa. Powiedziała o tym Richardowi.

- Och, Debs, nie żartuj! Rachel dobrze sobie radzi i...

- Byłabym spokojniejsza, gdybyś szedł z nimi - powtórzyła z uporem Debbie. - Jeśli Rachel zacznie tracić siły, mógłbyś z nimi zawrócić.

- No, dobrze... Idziesz, Al?

- Nie, dziękuję - odparł Alex, poblądły z zimna i raczej milczący. Debbie patrzyła, jak Richard i Emma dołączają do Flory i Rachel.

- Nie musisz iść z nimi, Alex - powiedziała. - Jeżeli chcesz, możemy poczekać na nich tutaj.

Chłopiec potrząsnął głową.

- Babcia pomyśli, że straszny ze mnie cienias.

- Przecież to nie ma znaczenia! Po prostu powiedz mi, jeśli nie będziesz miał ochoty iść dalej, dobrze? Pamiętaj, że mamy jeszcze tę samą drogę do pokonania z powrotem.

- Dobrze. - Alex zerknął na nią z uśmiechem. - Miło, że tata znowu jest z nami, prawda, mamo?

Wam jest miło, lecz mnie niekoniecznie, pomyślała. Wszystko mnie w nim drażni, jego głos, twarz, sposób, w jaki się do mnie odzywa, a najbardziej to, że nie jest Joelem.

- Naturalnie!

- Jeszcze trochę i znowu będziemy z nim na stałe. Wspaniale, co? Jeszcze trochę i wcale nie będziemy z nim na stałe. Nie będzie wspaniale, bo będziecie bardzo nieszczęśliwi.

- Tak, skarbie, wspaniale. No, spróbujmy ich dogonić, bo...

- Mamo... - Alex przystanął. - Trochę mi niedobrze. Przepraszam.

- Nie przepraszaj, kochanie, przecież to nie twoja wina! Mówiłam ci, żebyś nie jadł tyle lodów. Och, Al...

Zwymiotował gwałtownie. Debbie próbowała go pocieszyć, uspokoić, doprowadzić do porządku jego kurtkę. Spojrzała przed siebie, ale tamci byli już za daleko, nie było szans, żeby ją usłyszeli. Nie bardzo wiedziała, co robić.

- Zaczekaj tu - powiedziała. - Pobiegnę do nich i powiem, co się stało!

- Nie, nie zostawiaj mnie! Boję się!

- Nie masz się czego bać, skarbie, za dziesięć minut wrócę.

- A jeśli coś cię zatrzyma? Nie, nie chcę, zresztą już ich nawet nie widać!

- No, rzeczywiście! - Nagle ogarnął ją gniew. - Mogli na nas poczekać! To nie fair!

- Tak, na dodatek podnosi się mgła.

Miał rację, znad Gower napływały kłaki szarej, wilgotnej, okropnej mgły, na szczęście niezbyt gęstej, ale widoczność i tak była ograniczona.

- Więc co robimy? - spytała. - Posiedzimy tutaj czy zawracamy? Myślę, że powinniśmy spokojnie poczekać.

- Dobrze, ale robi się strasznie zimno.

- Proszę! - Debbie podała synkowi szal, jeden z grubych, długich szalów Flory. - Owiń się nim, będzie ci cieplej. Jestem pewna, że oni będą tu najdalej za pół godziny.

- Pół godziny! Tak długo?!

- Nic na to nie poradzę.

- Gdzie oni się podziali? - odezwała się Flora. - I dlaczego zostali tak daleko w tyle?

- Nie mam pojęcia. - Richard wzruszył ramionami.

Był zirytowany i niespokojny. Miał dosyć matki, która zaproponowała tę idiotyczną wycieczkę, siebie samego, bo się jej nie sprzeciwił, Debbie, która nie dotzymała im kroku, i nawet Emmy, narzekającej, że jest jej zimno i chce wracać do domu. Tylko Rachel nadal podskakiwała gdzieś z przodu, co parę minut nawołując ich poprzez mgłę.

- Och, trudno! - powiedziała Flora. - Wracajmy, skoro chcecie! Chodź, Rachel, wszyscy chcą wracać do domu!

Słowa „ale nie my” zawisły w powietrzu. Rachel znieruchomiała z dłońmi opartymi na biodrach, wyraźnie wściekła.

- Chodźmy, Rachel! Zgubiliśmy mamę i Aleksa, musimy wracać!

- To ich wina! Wcale nie chcę wracać! Tu jest tak fajnie!

- Słuchaj, Richardzie, wracaj z Emmą, a Rachel i ja pójdziemy jeszcze trochę dalej - zaproponowała Flora. - Nie martw się, na pewno zawrócimy przed Devil's Causeway. Rachel świetnie się bawi i szkoda byłoby skracać wycieczkę.

- Mgła gęstnieje - zauważył Richard.

- Za pół godziny znowu wyjrzy słońce, zobaczysz!

- I robi się późno - dorzucił. - Jest już czternasta trzydzieści, odpływ zaczął się dawno temu.

- Tak, ale mamy jeszcze co najmniej dwie godziny do przyływu! Pójdziemy tylko kawałek dalej, zaraz zawrócimy i dogonimy was po drodze! Spotkamy się po stronie Rhossili, tak będzie najlepiej, dobrze?

- Dobrze. Ale uważajcie!

- Jasne, jasne! - Flora się uśmiechnęła. - Mówisz zupełnie jak twój ojciec!

- I chyba nie ma w tym nic złego! - powiedział sztywno Richard i wziął Emmę za rękę.

Flora miała całkowitą rację - po pół godzinie mgła się rozwiała i zaświeciło zimowe słońce. Kiedy Richard i Emma dotarli na miejsce, gdzie wcześniej zjedli piknik, ujrzeli Debbie i Aleksa, siedzących na ziemi i podśpiewujących.

- Co się stało? - zapytał Richard. - Dlaczego zostaliście z tyłu?

- Alex źle się poczuł i wymiotował - odparła Debbie. - Musieliśmy usiąść i poczekać na was. Gdzie reszta?

- Och, mama postanowiła pójść z Rachel jeszcze kawałek, bo mała bardzo nalegała. Niedługo tu będą.

- Mam nadzieję! Możemy wracać?

- Tak, mama powiedziała, że spotkamy się na drugiej stronie rozpadliny.

- To dobrze! Nie lubię tej okolicy, naprawdę! I wygląda na to, że miałam rację, jest strasznie zimno i jeszcze ta mgła.

- W porządku, chodźmy już!

- Nie podoba mi się, że zostawiamy je same. - Debbie obejrzała się przez ramię. - Szkoda, że zgodziłeś się, żeby poszły dalej!

Bezpiecznie pokonali skalistą rozpadlinę, chociaż zajęło im to prawie czterdzieści pięć minut. Alex znowu wymiotował i ciągle przystawał, kamienie były śliskie i mokre, dzieci przewróciły się kilka razy.

- Boże, odetchnę z ulgą, kiedy wreszcie będziemy w domu! - powiedziała Debbie. - Jestem wykończona!

- Ja też! - poskarżył się Alex.

- Zaraz odpoczniemy. Wejdźmy jeszcze tylko na to zbocze, żebyśmy widzieli je z daleka.

Powoli wspięli się ścieżką na grzbiet klifu, znaleźli suche miejsce i usiedli.

- Chce mi się pić - rzekł Alex.

- Mnie też - powiedziała Emma.

- Będziecie musieli poczekać - rzekł Richard, ostrzej niż zazwyczaj.

Debbie zaczęła się zastanawiać, co mu się stało, kiedy zauważyła, że wciąż patrzy w kierunku zatoeki Rhossili.

- Woda szybko się podnosi - rzucił takim tonem, jakby nie miało to żadnego znaczenia.

- Halo!

Był to Colin Peterson, ubrany w nowiuteńką kurtkę z woskowanego płótna, taką samą czapkę i lśniące gumowce. Na jego widok Debbie poczuła się trochę lepiej. Był taki rozsądny, taki... taki normalny! Ciekawe, co on widzi we Florze.

- Halo, Colin, jak miło cię widzieć! To jest Richard, Richard - Colin Peterson.

- Bardzo mi miło - rzekł Richard. - Szkoda, że nie zastałem pana przed świętami.

- Ja też żałuję, ale cieszę się, że spotkaliśmy się teraz. A to Alex, prawda?

- Tak. Emmę już pan zna.

- Tak jest! Jak się masz, Emmo?

- Dobrze - odparła Emma. - Właśnie wracamy z pikniku!

- Tylko twoja babcia mogła wpaść na pomysł urządzenia pikniku w taki dzień - powiedział Colin.

Absolutna racja, pomyślała Debbie. Ciekawe, gdzie jest teraz Flora? I moje najmłodsze dziecko.

- A gdzie jest niezłomna pani Fielding? - zapytał Colin, najwyraźniej czytając w myślach Debbie.

- Zaraz tu będzie - odrzekł niepewnie Richard. Pierwsza załamała się Debbie.

- Gdzie one są? Gdzie? Co się stało, dlaczego jeszcze ich nie ma?!

Przypływ zalał już plażę. Jeszcze dziesięć minut i fale zaczną lizać te kamienie, te cholerne kamienie, pomyślała Debbie. Dobry Boże, wiatr podnosi wodę, morze jest wzburzone. Sprawdziły się jej najgorsze obawy.

- Wracam. - Richard podniósł się z trawy. - Rzeczywiście, coś musiało się stać.

- Pójdę z tobą!

- Nie, to niebezpieczne! Poza tym ktoś musi zostać z dziećmi!

- Ja mogę z nimi zostać - odezwał się Colin. - Chociaż nie, lepiej pójdę z panem, a Debbie zostanie z dziećmi.

- Ostrożnie, tato! - zawołała pogodnie Emma.

Całe szczęście, że ani ona, ani Alex nie zdawali sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

- Będę uważał - odpowiedział Richard.

Richard i Colin ruszyli biegiem w dół zbocza. Wiatr zerwał Colinowi z głowy nową czapkę i rzucił ją daleko w morze. Debbie uznała to za paskudny ornen. Może Flora i Rachel też są już na terenie ogarniętym przypływem? Może Flora wpadła na pomysł, żeby zbadać jakąś nową ścieżkę? Było to zupełnie prawdopodobne. Głupia baba! Może Rachel rozpaczliwie trzyma się teraz jakiejś skały. Może...

- Mam nadzieję, że nic im nie będzie - odezwał się Alex.

- Jasne! - powiedziała Debbie. - Wszystko będzie dobrze, zobaczysz!

Przystąpiła do negocjacji z Bogiem - jeżeli wyjdą z tego cało, jeżeli Rachel wróci do niej, zrezygnuje z pracy, nigdy więcej nie spotka się z Joelem, zostanie nauczycielką, codziennie będzie uprawiała seks z Richardem...

- Są! - zawołał nagle Alex. - Patrz, mamo!

- Och, dzięki Bogu, dzięki Bogu! - ucieszyła się Debbie, z lękiem myśląc o złożonych przed chwilą obietnicach.

- To nie one - powiedziała Emma. - To tylko Rachel, mamo.

Rzeczywiście była to Rachel. Dzięki Bogu, że nie sama Flora. Ale jak Rachel da sobie radę? Była taka malutka, jak w ogóle udało jej się dojść tak daleko? Na szczęście Richard i Colin na pewno dotrą do niej przed przypływem.

Rachel rozpaczliwie wymachiwała rękami, starając się zwrócić uwagę mężczyzn. Pewnie się boi, pomyślała Debbie, bardzo się boi, z tej odległości wygląda jak malutka kropeczka, tak wolno się przesuwa. Dlaczego tak wolno? Nie bądź idiotką, Debbie, Rachel idzie ostrożnie, żeby się nie poślizgnąć.

- Tatuś już idzie, kochanie! - krzyknęła, doskonale wiedząc, że Rachel nie może jej usłyszeć.

Spojrzała na ścieżkę i uświadomiła sobie, że Richard i Colin mogą nie widzieć Rachel, ponieważ znajdują się zbyt nisko. Zawołała do nich, ale wiatr porwał jej głos.

- Zostańcie tu! - powiedziała do dzieci. - Zejdę tylko na skały, żeby pokazać tacie i Colinowi, gdzie jest Rachel! Nie bójcie się, zaraz wrócę!

- Nie idź, mamó, proszę!

- Muszę! Nie zejść daleko, słowo!

Zbiegła ścieżką aż do plaży. Machała i wołała, ale oni jej nie słyszeli. Zastanawiała się chwilę, czy nie pobiec za nimi, ale doszła do wniosku, że ktoś powinien zostać z dziećmi. I nie utonąć, podpowiedziała jej wyobraźnia. Wspięła się z powrotem na górę i patrzyła, jak Richard i Colin okropnie powoli przeprawią się przez rozpadlinę. Woda skradała się już po kamieniach.

- O, Boże - jęknęła, kiedy Richard poślizgnął się i ciężko runął na ziemię.

Długo się podnosił, Colin zawrócił, aby mu pomóc. Richard chyba uderzył się w głowę - Debbie widziała, jak ociera czoło i patrzy na swoją dłoń, pewnie umazaną krwią. Usiadł ostrożnie, wziął coś od Colina, przycisnął do czoła.

- Pośpieszcie się! - krzyknęła. - Teraz najważniejsza jest Rachel, nie traćcie czasu!

Richard dźwignął się z ziemi, powiedział coś do Colina i razem ruszyli dalej. Zmarnowali jednak tyle cennego czasu.

Z miejsca, gdzie znajdowała się Debbie z dziećmi, bardzo trudno było się zorientować, co się właściwie dzieje. Wydawało się, że chwilami Rachel idzie w złym kierunku, że oddala się, chociaż było to chyba niemożliwe. Z drugiej strony, może poruszała się w tak dziwny sposób, ponieważ widziała nadbiegające fale. Jest taka mała, myślała Debbie, i taka krucha w różowym anoraku, na którym tak jej zależało, i różowych gumowcach. Mała dziewczynka, która niedawno skończyła sześć lat, samotnie zmagala się z morzem, przyplływem i wiatrem. Jak mogłam zostawić ją samą, jak mogłam powierzyć ją Florze, jak, jak, jak?!

Richard był już chyba w połowie drogi, ale brodził po kostki w wodzie. Miał na nogach wysokie buty, lecz ślizgał się, co chwila tracił równowagę i znowu ją odzyskiwał. Co będzie, gdy woda podejdzie jeszcze wyżej? Dobrze chociaż, że teraz widział już Rachel. Pomachał do niej, a ona odpowiedziała, zupełnie pogodnie. Boże, jaka dzielna mała dziewczynka. Colin także uparcie brnął naprzód, pewniej niż Richard, z którym właśnie się zrównał. Ale co oni mogli zrobić? Niemożliwe, żeby udało im się przenieść dziecko w bezpieczne miejsce, woda zaraz sięgnie im do ud, do pasa, Rachel zanurzy się w wodzie po szyję, fale rzucą ją na skały.

- Och, Emmo! - głośno jęknęła Debbie, bo nie mogła dłużej udawać, że wszystko jest w porządku. - O, Boże...

Emma popatrzyła na nią uważnie.

- Myślisz, że trzeba wezwać pomoc? - spytała.

Richard był przerażony. Znał to morze, ten fragment wybrzeża, dorastał tutaj, wiedział, co im grozi. Jednak Rachel znajdowała się jakieś dwieście metrów od niego, na suchym terenie; powinna tam zostać, zrozumiał nagle. Tam była bezpieczna, niedługo dotrze do niej łódź ratunkowa z Port Enyon.

Zaczął machać do niej, pokazywać, że ma wracać na półwysep, lecz ona źle go zrozumiała i znowu pomachała do niego pogodnie. Zupełnie nie zdawała sobie sprawy, że naprawdę jest w niebezpieczeństwie. Ruszył ku niej; całe szczęście, że widzialność była dobra, popołudniowe słońce świeciło jasno i dzięki temu sytuacja wydawała się trochę mniej straszna.

Usłyszał okrzyk i zobaczył Colina, który był już bardzo blisko. Dzielny człowiek! Richard był szczerze wdzięczny, że Colin pośpieszył mu na pomoc, kiedy upadł. Głowa mu krwawiła, duże szkarłatne krople kapwały prosto do wody, ale Richard nie czuł bólu, w ogóle nie czuł nic poza obezwładniającym strachem. Colin pewnym krokiem brnął przed siebie. Kiedy zrównał się z Richardem, uśmiechnął się do niego.

- Nieźle nam idzie! - zawołał. - Jesteśmy już prawie na miejscu!

- Jeszcze nie! - odparł Richard. - Ale za jakieś pięć minut będziemy przy Rachel! Gdzie jest moja matka, do cholery?!

- Bóg jeden wie - Colin uśmiechnął się słabo. - A całkiem możliwe, że nawet On tego nie wie... Więc jak, wracamy na półwysep?

- Tak! - rzucił Richard. - Rachel, zawracaj! Zawracaj!

Tym razem usłyszała go, ale potrząsnęła głową i odkrzyknęła coś. Jej dziecięcy głos nie miał szans w walce z wiatrem.

- Dzielna mała! - powiedział Colin. - Spójrz, jeżeli przejdziemy tamtędy, w tym wyżej położonym miejscu, szybciej do niej dotrzemy! Widzisz? No, dalej!

Miał rację, przeszli prawie bez trudu, ale Rachel wybrała drogę środkiem i jej różowe gumowce były już do połowy zanurzone w wodzie. Nagle przystanąła, bo wiatr zerwał jej z szyi tęczowy szalik. Wyciągnęła rękę, o mały włos nie straciła równowagi. Szalik odleciał daleko.

- Pójdę po nią sam - rzekł Richard. - Ty idź dalej w kierunku cypla!

- Nie, nie, pójdę z tobą, możliwe, że obaj się jej przydamy. O, cholera!

I Richard zobaczył, jak wysoka fala przelatuje nad skałami i pędzi w stronę Rachel.

Fala zbiła ją z nóg. Debbie krzyknęła ze strachu, nie odrywając wzroku od małej różowej postaci, która próbowała się podnieść, tylko po to, żeby woda znowu rzuciła ją jak szmacianą kukielkę.

- Zrób coś! Zrób coś! - krzyknęła do kogoś, kto mógł ją usłyszeć, kto mógł pomóc, ale Richard i Colin byli za daleko, a Bóg najwyraźniej odwrócił się do niej plecami.

\* \* \*

Flora ocknęła się i zobaczyła, że Rachel zniknęła.

Zabroniła jej się oddalać, powtarzała jej raz za razem, chociaż ból zupełnie ją obezwładnił. Mówiła, że powinny trzymać się razem, ale Rachel uparła się, że pójdzie po pomoc. Flora wiedziała, że to bez sensu, niebezpieczeństwo było zbyt duże, przyptyw zaczął się już jakiś czas temu. Kiedy woda znowu opadnie, ktoś znajdzie je i uratuje, może nawet w ciągu najbliższych minut, jeżeli Richard wykazał się rozsądkiem i zawiadomił policję. Muszą jednak trzymać się razem, powtarzała wnuczce, owijając małą szalem, żeby było jej chociaż trochę cieplej. Będzie zimno, ciemno i nudno, ale jakoś przetrwają, będą śpiewać piosenki i układać zagadki, i w końcu ktoś przyjdzie im z pomocą.

Kiedy trzeci raz straciła przytomność, tym razem na dłużej, Rachel po prostu zniknęła. I teraz Florę ogarnął paniczny lęk, bo kiedy powoli dźwignęła się na nogi, krzywiąc się z bólu i przytrzymując skały, żeby nie upaść i odciążyc nogę, którą z całą pewnością złamała, zobaczyła, że przyptyw zalewa rozpadlinę, zniknęły tym samym wszelkie szanse, że Rachel bezpiecznie przedostanie się na drugą stronę.

Flora osunęła się na kamienie, płacząc z przerażenia, bólu i wyrzutów sumienia, bo przecież w swojej wielkiej arogancji uparła się, żeby przyjść tu razem z Rachel. Była głupia, że w ogóle zaproponowała tę wycieczkę, głupia i zapatrzona w siebie! Dlaczego nie chciała słuchać głosu rozsądku, głosu Debbie. Teraz w jednej chwili podjęła decyzję - mimo okropnego bólu postara się dojść jak najdalej, chociaż wydawało się to niemożliwe. Pójdzie za Rachel, żeby zawrócić ją z niebezpiecznej drogi, zatrzymać.

Rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś, na czym mogłaby się oprzeć, jakiegoś kija czy gałęzi. Kilka metrów dalej dostrzegła wyrzucony przez morze kawałek drewna, który doskonale nadawał się na laskę, musiała jednak do niego dotrzeć. Podskakiwanie było zbyt niebezpieczne, wołała się poczołgać. Centymetr po centymetrze przesuwiała się w kierunku kawałka drewna, płacząc z bólu, który rozrywał złamaną nogę i tę drugą, podrapaną o kamienie.

Zapadający zmierzch pozbawiał wszystko koloru, robiło się coraz zimniej. Czy umrze z wyziębie-  
nia, jeśli nie znajdą jej i będzie musiała zostać tu do rana? Nie, nie opowiadaj bzdur, Floro! Ludzie wychodzą cało ze znacznie gorszych oparów, czasami muszą wytrzymać wysoko w górach. Po prostu zmarzniesz, i dobrze ci tak!

No, wreszcie doczołgała się do drewna. Jeśli teraz zdoła się położyć na boku, oprzeć na łokciu i wykorzystać ten kawałek jako podnośnik, to może uda się jej podnieść. Tak, tak, prawie się udało, bardzo powoli. Już klęczy na zdrowym kolanie, tak, wreszcie się wyprostowała! I zanim kawałek drewna przekrzywił się, a ona z krzykiem znowu runęła na ziemię, zdążyła zobaczyć, że woda kompletnie zalała rozpadlinę... Możliwe, że Rachel utonęła. Czuła się zupełnie sama, bardziej osamotniona niż kiedykolwiek w życiu, udręczona przerażeniem tak wielkim, że żaden fizyczny ból nie mógł się z nim równać.

Debbie zamarła bez ruchu na klifie, patrząc, jak Rachel drugi raz wypływa na powierzchnię. Ujrzała jej drobne ramię, uniesione nad wodą, jej błagalnie uniesioną różową rączkę i zrozumiała, że nie zniesie dłużej tego widoku, że przekracza to jej wytrzymałość. Już miała zamknąć oczy, lecz nagle zobaczyła, jak



Richard, zanurzony po pas w wodzie, jakimś cudem chwyta stopę Rachel, potem jej nogę, i ciągnie ją ku sobie, jak unosi ją nad powierzchnię, a potem odwraca się i sięga po wyciągniętą rękę Colina, i podciąga się wyżej, na skały. Obaj mężczyźni powoli, z ogromnym wysiłkiem brnęli przed siebie, Richard z Rachel w ramionach, stopniowo oddalając się od wzburzonej wody. Colin wspiął się na trawę, wziął Rachel od Richarda i ostrożnie położył ją na ziemi. A potem Debbie przestała wyraźnie widzieć, bo zmierzch przesłonił wszystko szarą zasłoną.

- Myślisz, że trzeba sprowadzić pomoc, mamusiu? - odezwała się znowu Emma.

Na szczycie klifu znajdował się telefon alarmowy, tuż obok znaku „Niebezpieczeństwo”. Jak to możliwe, że zupełnie o nim zapomniałam, myślała Debbie, biegnąc pod górę. Wydawało się to niemożliwe, a jednak... Chwyliła słuchawkę i z trudem wydyszała wiadomość.

Patrzyli na nieruchomą małą postać na ziemi, na szczęście nieruchomą tylko przez chwilę, lecz ta chwila wydawała się trwać całą wieczność. Bali się, że utonęła, przygnieciona masami wody albo pozbawiona przytomności paskudnym uderzeniem w głowę. Richard osunął się przy niej na kolana, odwrócił ją na brzuch, przekrzywił głowę na bok i, szlochając jak małe dziecko, zaczął ugniatać jej plecy z nadzieją, że płuca znowu napełnią się powietrzem. I nagle, po paru sekundach, rozległ się cudowny i okropny odgłos krztuszenia się, i Rachel zwymiotowała, wyrzuciła z siebie wodę, a potem usiadła i spojrzała na nich.

- Musimy przenieść babcię - wyjąkała. - Chyba złamała nogę. Zniosła się płaczem i Richard chwycił ją w ramiona.

- Już dobrze, już dobrze! - powtarzał. - Nic ci teraz nie grozi!

- Wcale nie! - krzyknęła Rachel. - To był ulubiony szalik babci... Zgubiłam go, babcia będzie się gniewać.

Gdy Flora znowu odzyskała przytomność, poczuła, że ktoś bardzo delikatnie rozciera jej dłonie i odgarnia włosy z czoła. Uznała, że chyba ma halucynacje i z ogromnym wysiłkiem podniosła powieki, świadoma, że nawet tak niewinne poruszenie wydaje się nasilać ból w nodze. Podniosła powieki i zobaczyła Colina Petersona, który wpatrywał się w nią czujnie.

- Naprawdę jesteś wyjątkowo głupią kobietą - powiedział spokojnie.

- Wiem, wiem, przepraszam - odparła szeptem i nagle przypomniała sobie wszystko. - Rachel - jęknęła, czując, że jej serce ściska lodowaty strach.

- Nic jej nie jest - rzekł pośpiesznie Colin. - Jest mokra i zmarznięta, ale poza tym wszystko z nią w porządku! Rachel, podejdź tu, do babci.

Dopóki nie przyleciał helikopter pogotowia ratunkowego, wezwany przez Debbie, Rachel siedziała obok Flory, śmiała się i trzęsła z zimna, powtarzała jej, że wszystko będzie dobrze, i że okropnie jej przykro, że zgubiła tęczowy szalik.

- Chyba jakoś zdołam ci to wybaczyć - powiedziała Flora.

# ROZDZIAŁ 59

*GRUDZIEŃ 1990*

Joel, który właśnie wrócił do Londynu po średnio przyjemnych świątach, spędzonych u przyjaciół w Kent, spał niespokojnie i obudził się ze świadomością, że dopiero tego dnia jego życie zaczyna się naprawdę. Był 27 grudnia - Debbie miała powiedzieć mężowi, że zamierza go opuścić, i wieczorem powinna już być w Londynie.

Nie spodziewał się, że przyjedzie promiennie szczęśliwa; zdawał sobie sprawę, że będzie nieprzytomna ze zdenerwowania, zapłakana, udręczona wyrzutami sumienia, a może nawet wrogo do niego nastawiona.

Czekały ją okropne chwile. Joel współczuł jej z całego serca, sam też miał wyrzuty sumienia i nagle pomyślał, że powinien być bliżej niej, żeby nie musiała sama pokonywać długiej drogi do Londynu. I uświadomił sobie, że nie ma żadnego powodu, aby nie pojechał zaraz do Cardiff i tam się z nią spotkał. Nie miał pojęcia, dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej, lecz teraz jedyny problem polegał na tym, aby ją zawiadomić. Nie powinien do niej dzwonić, nawet na komórkę, było to zbyt niebezpieczne, ale z drugiej strony... Co tam! Warto zaryzykować. Debbie na pewno nie zostawiła telefonu w jakimś ogólnie dostępnym miejscu.

Szybko wybrał jej numer. Czekał i czekał... Odbierz, Debbie, odbierz! Chcę usłyszeć twój głos, powiedzieć ci, że już po ciebie jadę. Włączyła się poczta głosowa. Joel uznał, że może bezpiecznie zostawić wiadomość. Richard był dinozaurem, całkiem niewykluczone, że nie wiedział o istnieniu telefonów komórkowych, a już na pewno nie umiałby odsłuchać nagranej wiadomości.

- To ja! Życzę ci powodzenia, do zobaczenia wkrótce, mam nadzieję. Zadzwoń do mnie. Jadę po ciebie do Cardiff. Kocham cię.

Colin siedział przy łóżku Flory w szpitalu w Swansea. Była jeszcze oszołomiona po ogólnym znieczuleniu, które podano jej, żeby złożyć złamaną nogę i spiąć kość gwoździem.

Powoli zwróciła ku niemu głowę.

- Zapytaj, czy mogę napić się herbaty, dobrze? - poprosiła nienaturalnie słabym głosem. - Zaraz umrę z powodu niedoboru teiny we krwi.

- Zaraz zapytam! Chcesz jeszcze trochę wody?

- Nie chcę wody, w żadnym razie! Chcę napić się czegoś ciepłego i przyjemnego! Proszę cię, Colin, zapytaj...

- Dobrze, ale nie sądzę, aby się zgodzili. Pół godziny temu pielęgniarka powiedziała, że możesz pić tylko wodę, bo wczoraj wieczorem byłaś w marnym stanie.

- No, tak, ale jest już rano i czuję się o wiele lepiej!

Daleko jej było do dobrego samopoczucia, nie tylko z powodu bólu, ale także okropnego wstydu i wyrzutów sumienia. To ona ponosiła całkowitą odpowiedzialność za wystawienie na poważne niebezpieczeństwo zdrowia i życia rodziny, to ona niemal spowodowała śmierć najmłodszej wnuczki, to ona naraziła synową na najstraszniejsze cierpienie. Była głupią, arogancką kobietą i nie miałaby najmniejszego prawa mieć za złe Debbie i Richardowi, gdyby po tym wszystkim odwrócili się od niej i nigdy więcej nie powierzyli dzieci jej opiece. Dlaczego taka była? Co nią kierowało, co kazało jej wierzyć, że ona ma rację, a inni się mylą? Dlaczego nie umiała słuchać ludzi, dlaczego ignorowała to, co do niej mówili? W jakiś sposób musi się nauczyć szacunku do innych, nawet na tym późnym etapie życia, musi też odpokutować swój okropny błąd. Ale jak? Co miała ze sobą zrobić, jak pokonać tę dominującą, upartą kobietę, która w niej mieszkała? I kto mógł jej w tym pomóc?

Colin wrócił do pokoju z nieco nerwowym uśmiechem.

- Przykro mi, mówią, że może za jakąś godzinę.

- Za godzinę? To śmieszne!

Nagle pomyślała, że równie dobrze może zacząć od razu, od zaakceptowania czyjejś opinii.

- W takim razie będę musiała poczekać - powiedziała cicho i się rozplakała.

Colin przysunął krzesło do łóżka i podał jej bardzo dużą i bardzo czystą chusteczkę ze swoimi inicjałami.

- To przez to znieczulenie - zauważył. - Człowiek jest potem zupełnie rozchwiany emocjonalnie, wszyscy o tym wiedzą. No, spokojnie, niedługo dostaniesz herbatę.

- Nie, nie dlatego płaczę. Strasznie mi wstyd, że tak idiotycznie się zachowałam! Nie powinnam była namawiać ich na tę wycieczkę, trzeba było chwilę pomyśleć i...

- Nie! - Ujął delikatnie jej rękę. - Nie wolno ci tak się torturować! Chciałaś tylko, żeby twoja rodzina spędziła przyjemny dzień na świeżym powietrzu...

- Nie, Colin, mogłam pójść z nimi na spacer po Bryn albo do lasu Oxwich, ale ja musiałam... Musiałam się popisać, pokazać, jaka jestem dzielna! To okropne zachowanie, nic dziwnego, że Debbie mnie nie lubi.

- Nie lubi cię? - zdziwił się szczerze Colin.

- Nie, i to moja wina, tylko moja! Nigdy nie starałam się zdobyć jej przyjaźni, z latami było coraz gorzej, komenderowałam nią i dziećmi, uważałam się za mądrzejszą i w końcu mnie znienawidziła! Tak samo traktowałam Williama, zawsze to moje musiało być na wierzchu! William był bardzo ostrożnym, może trochę pedantycznym człowiekiem, a ja wymuszałam na nim różne rzeczy i zwykle ignorowałam jego życzenia, na przykład stale jeździłam konno z gołą głową.

- To jeszcze nic strasznego.

- Nieprawda, bo William wciąż się zamartwiał, że spadnę i rozbiję sobie głowę! Nic by mi się nie stało, gdybym włożyła dżokejkę, prawda? I bez przerwy kpiłam z jego ostrożności w sprawach finanso-

wych! William nigdy nie miał choćby najmniejszego debetu na koncie, wiesz? A ja próbowałam namówić go, żeby ryzykował, kupował akcje.

- Przystąpienie do Lloyd'sa trudno nazwać ostrożnym posunięciem - zauważył łagodnie.

- Ale William uważał, że to jest ostrożne posunięcie i wtedy miał prawo tak sądzić! To było jedyne ryzyko, jakie ośmielił się podjąć, ale wcześniej dokładnie przejrzał całą historię firmy, długo naradzał się z tym okropnym Traffordem Smythe, kilka razy sprawdzał, czy nikt nie wysuwa żadnych poważnych roszczeń wobec Lloyd'sa. I nie znalazł nic takiego oczywiście, bo była tylko ta jedna sprawa roszczeniowa w latach sześćdziesiątych. Nie, nie można go za to winić! Jeżeli ktoś tu jest winny, to ja, nie on!

Płakała coraz rozpaczliwiej. Colin gorączkowo rozejrzał się w poszukiwaniu pomocy i ujrzał pielęgniarkę, która zmierzała ku nim, niosąc filiżankę z herbatą.

- Proszę bardzo! - powiedziała do Flory, stawiając filiżankę na stoliku. - Małymi łyżkami, ostrożnie i powoli! No i po co się pani tak denerwuje, zaraz skoczy pani ciśnienie! Spokojnie, skarbie, proszę grzecznie napić się herbatki, o, właśnie...

Dziesięć minut później Flora posłusznie oparła się o poduszki, gdy zgodnie z zaleceniem wypijała herbatę małymi łyżkami. Nie burzyła się, gdy pielęgniarka kilka razy nazwała ją „skarbem”, chociaż nie było to łatwe. Nie miała zresztą złudzeń, wiedziała, że stworzenie nowej, pokornej i łagodnej Flory nie jest łatwe, liczyła jednak, że z czasem się tego nauczy.

- Zdrzemnij się teraz troszeczkę, skarbie - powiedział Colin, nieświadomie przechodząc na szpitalny slang.

Flora poczuła się nagle bardzo zmęczona. Uśmiechnęła się do niego, podziękowała, że przyjechał i tuż przed zaśnięciem zdążyła jeszcze pomyśleć, że tego dnia był wyjątkowo okropnie ubrany, w jasnozieloną bluzę polo w niebieskie paski i spodnie z fabrycznie gniecionej tkaniny. Najdziwniejsze było jednak to, że nie miało to dla niej żadnego, naprawdę żadnego znaczenia.

Gdy Richard wszedł do kuchni, była ósma. Debbie siedziała przy stole z Rachel na kolanach i czytała jej książeczkę.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- Tak, dobrze...

Była bardzo blada i wyraźnie spięta.

- Cieszę się - uśmiechnął się do niej. - Wczoraj wieczorem byłaś po prostu fantastyczna! Dziękuję ci, że... że tak wspaniale się zachowałeś, zwłaszcza wobec mamy. Jestem ci za to naprawdę wdzięczny. Na pewno nie było to łatwe, nie robić jej żadnych wyrzutów, nie powiedzieć ani słowa.

- Cóż, nie miałam wielkiego wyboru, zresztą Flora była w okropnym stanie.

Biedna Flora, strasznie cierpiała, dopóki nie podali jej morfiny, a nawet wtedy dalej czuła ból. Należała jednak, żeby pozwolono jej porozmawiać z Debbie, kiedy czekała w gabinecie zabiegowym na chirurga ortopedę.

- Wiem, że martwisz się o Rachel, ale zamiast z mamą parę słów, bardzo cię proszę - powiedział Richard.

Wszyscy spotkali się w szpitalu w Swansea. Załoga helikoptera, który zabrał Richarda, Rachel, Colina i Florę skontaktowała się przez radio z posterunkiem policji w Reynoldston, gdzie czekała Debbie. Wiedziała, że do końca życia nie zapomni chwili, w której powiedziano jej, że wszyscy są cali i zdrowi, że Flora złamała nogę, ale pozostali są tylko przemoczeni i zmarznięci. Jeden z policjantów oświadczył, że zawiezie ją do Swansea, ponieważ przeżyła zbyt wielki szok, aby usiąść za kierownicą, i rzeczywiście, kiedy usadowiła się na tylnym siedzeniu, mocno obejmując dwójkę dzieci, drżała na całym ciele. Alex nie krył podniecenia, że jedzie samochodem policyjnym, na dodatek takim z migającym niebieskim światłem na dachu. Szczerze wzruszona Debbie podziękowała sierżantowi, starając się nie szczekać zębami.

- Rozumiem, że chciałaby pani jak najszybciej dojechać do szpitala, prawda? - zagadnął, uśmiechając się do niej w lusterku. - Pewnie strasznie się pani martwiła.

Gdy wpadli na oddział pogotowia ratunkowego, Rachel zerwała się z ławki i rzuciła się matce w ramiona, zasypując ją pocałunkami.

- Mamo, mammo, taki helikopter jest po prostu świetny, robi okropny wiatr i widzieliśmy z góry całe Gower, i...

Nie było po niej widać strachu ani zdenerwowania, jednak lekarz, który założył kilka prawie niewidocznych szwów na rozcięcie na czole dziewczynki ostrzegł, że symptomy szoku mogą pojawić się później.

Richard pocałował Debbie w policzek i zapytał, czy dobrze się czuje, a w jego głosie brzmiało więcej czułości i troski niż kiedykolwiek w ostatnich miesiącach.

- Nic mi nie jest - odparła. - Ale co z tobą? Jesteś kompletnie mokry i jeszcze ta rana na głowie. Wygląda paskudnie, naprawdę!

- Nie, to nic takiego, powiedzieli, że wystarczy parę szwów.

- Powinna była przywieźć suche rzeczy, ależ jestem głupia!

- Nie, nie - zaprotestował. - Zaraz dadzą mi jakąś szpitalną piżamę.

- Piżamę? Chyba nie chcą cię tu zatrzymać na noc? - Z jakiegoś powodu nie chciała, żeby został w szpitalu, wołała mieć go w domu.

- Nie, ale nie mają żadnych innych suchych ubrań. Rachel też ma na sobie piżamę, nie zauważyłaś?

- Nie - przyznała pokornie, zastanawiając się, co z niej za matka, skoro nawet nie przyszło jej do głowy, żeby przywieźć suche, ciepłe rzeczy dla dziecka, które o mały włos się nie utopiło. - Nie, zauważyłam tylko, że żyje i ma się nie najgorzej. Przepraszam.

- Nic nie szkodzi, Rachel naprawdę ma się nieźle, poza tym nic się nie liczy.

- Gdzie jest Colin? - spytała Debbie.

- Tam, za tą kotarą! Zranił sobie ramię, muszą oczyścić, zdezynfekować rozcięcie i sprawdzić, czy nic mu nie dolega. Bali się, że coś sobie zrobił, ale chyba wszystko z nim w porządku, mówi nawet, że było fajnie. Zachował się wspaniale, Debbie, nie mam pojęcia, co bym bez niego zrobił, słowo daję.

- Wiem, widziałam... Dzięki Bogu za Colina! A gdzie... gdzie jest twoja mama?

Właśnie wtedy Richard poprosił ją, żeby porozmawiała z Florą. Flora wyglądała przerażająco, blada i ledwo żywa z bólu, była jednak przytomna.

- Muszę ci coś powiedzieć, zanim zabiorą mnie na salę operacyjną - szepnęła.

- Jak... Jak się czujesz?

- Nic mi nie jest, noga tylko trochę boli. Ale... Ale jestem ci winna przeprosiny. Strasznie się wstydzę tego, co zrobiłam, Debbie! Nie powinnam była upierać się przy tej wyprawie, widziałam przecież, że się niepokoisz, najgorsze jednak, że naraziłam Rachel na tak wielkie niebezpieczeństwo.

- Na pewno nie zrobiłaś tego celowo.

- No nie, poślizgnęłam się i upadłam, no i błagałam ją, żeby nie odchodziła, ale parę razy odjechałam i wreszcie Rachel wzięła sprawy we własne ręce. Kiedy się ocknęłam ostatni raz, nie było jej przy mnie. Och, Debbie, nie śmiem nawet prosić cię o wybaczenie. Pewnie i tak nigdy mi nie przebaczysz, zależy mi tylko, żebyś wiedziała, że mam potworne wyrzuty sumienia i żałuję, że tak się zachowałam i...

- Już ci wybaczyłam, nie żartuj! Przecież to był wypadek, a Richard nie powinien był zostawiać was same. To było głupie, wina jest i po jego stronie...

- Ale ja uparłam się, że pójdziemy same!

- Co za bzdury, Floro, Richard ma trzydzieści pięć lat, potrafi sam podejmować decyzje! Słuchaj, muszę już lecieć, trzeba zabrać Rachel do domu, nakarmić ich wszystkich. Zobaczymy się jutro, ale nie rób sobie wielkich wyrzutów, bardzo proszę! Nikomu nic się nie stało, to najważniejsze! No, do jutra...

Pocałowała teściową i wyszła. Czowała się dziwnie, naprawdę bardzo dziwnie, pewnie z powodu szoku.

Jednak teraz był już ranek i szok powinien dawno minąć. W nocy spała mocno, co ją zdziwiło. Śniła jej się wzburzona woda, ciemność, pełne przerażenia krzyki, ale spała. Kiedy się obudziła, zrozumiała, że dotarło do niej coś, przed czym nie zdoła uciec. Starła się odepchnąć tę nową świadomość, odwrócić się od niej, było to jednak niemożliwe. Wstała, zeszła na dół, zrobiła sobie herbatę i usiadła przy stole, wpatrując się w ciemny ranek za oknem i myśląc o tym, co ją dzisiaj czeka.

Nie mogła opuścić Richarda, ani dzisiaj, ani jutro, ani w dalszej przyszłości. Niezależnie od tego, jak bardzo pragnęła odejść i jak bardzo kochała Joela, należała do Richarda, ponieważ to on był ojcem jej dzieci, ich dzieci. I tyle. Razem udało im się dokonać czegoś absolutnie niezwykłego - powołali do życia troje ludzi, troje małych ludzi, całkowicie zależnych od nich pod względem emocjonalnym i fizycznym. I ona była całkowicie zależna od nich, stanowili centrum jej życia, sens jej istnienia. Kiedy poprzedniego dnia patrzyła na walczącą z wodą Rachel, przekonana, że zaraz straci ją na zawsze, zrozumiała, że nic nie

jest tak ważne ani tak cenne jak dzieci, i że gdyby któremukolwiek z nich stało się coś złego, ona też chciałaby umrzeć.

Między nią i Richardem istniała mocna więź, stworzona przez troje ich dzieci. Wiele razy kłócili się i odwracali od siebie, ale w miłości do dzieci byli jednym, zawsze razem, zawsze złączeni. Świadomość tego, co to oznaczało, była tak przerażająca i bolesna, że Debbie zgięła się w pół przy stole i mocno zacisnęła powieki, powstrzymując łzy.

Nie mogła zacząć płakać, nie mogła sobie na to pozwolić, w żadnym razie, zaczęła więc chodzić po kuchni z założonymi rękami, szybko, od ściany do ściany, ale łzy okazały się silniejsze od wszelkich postanowień i szloch zagarnął ją z wielką siłą, wstrząsając nią raz po raz.

Wiedziała już, że wieczorem nie pojedzie do Londynu, aby zacząć nowe, radosne życie; nie powie Richardowi, że odchodzi, w ogóle nic mu nie powie, może tylko, że lunch jest na stole, albo że dzieci chcą się w coś pobawić, albo że w telewizji jest właśnie mecz piłki nożnej. I patrząc w tunel okropnych, banalnych, pozbawionych miłości lat, które miała przed sobą, jęknęła z rozpacz i bólu. Czowała, że nie wytrzyma w domu i w kuchni ani chwili dłużej, włożyła więc kurtkę i wysokie buty Flory i wyszła do ogrodu, na ławkę Flory, i zaczęła chodzić po niej w tę i z powrotem, szlochając na cały głos.

Raz czy dwa krzyknęła, jej głos zmieszał się z krzykiem mew i szumem morza. Po pewnym czasie wróciła do domu, kompletnie wyczerpana, położyła się na kanapie w kuchni i spojrzała na swoje nowe, wypełnione obowiązkami życie. Po chwili spróbowała zmobilizować dość siły, aby zadzwonić do Joela i wytłumaczyć mu, co się stało.

Joel wybrał się na zakupy. Chciał, żeby przed przyjazdem Debbie wszystko zapięte było na ostatni guzik. Zmienił już pościel, sprzątnął łazienkę i kuchnię, napełnił wszystkie wazony w domu najładniejszymi kwiatami, jakie udało mu się znaleźć. Kupił jej też kilka prezentów, śmiesznych drobiazgów, które powinny się jej spodobać - figi z białej koronki (nosiła wyłącznie białe majtki, mówiła, że inne kolory przebijają przez ubranie), taśmę z piosenkami Madonny do filmu *Dick Tracy*, taśmę z filmem *Powrót do przyszłości*, pudełko czekoladek firmy Ferrero Rocher, na których widok krzywiła się z obrzydzeniem, ale która pochłaniała w ogromnych ilościach, i oprawione zdjęcie ich obojga, roześmianych i szczęśliwych. Wszystko po to, żeby ją rozbawić, uspokoić, poprawić jej nastrój i uświadomić, że będzie z nim szczęśliwa. Kupił też kolację. Czuł, że raczej nie będzie głodna, ale byłoby okropnie, gdyby jednak miała na coś ochotę i zobaczyła pustą lodówkę. Trochę wędzonego łososia, pieczywo i ser brie, tak dojrzały, że lada chwila mógł sam wyjść z mieszkania. I szampan, oczywiście...

Komórkę wziął ze sobą, ale nie dzwoniła. Po powrocie do domu nie zastał żadnej wiadomości na automatycznej sekretarce. Cóż, była dopiero jedenasta, Debbie może jeszcze nawet nie zaczęła rozmawiać z Richardem. Pewnie byli zajęci dziećmi. Obiecała mu jednak, że porozmawia z mężem przed lunchem, poprosi Florę, żeby zabrała dzieci na spacer, wtedy nie będzie musiała czekać aż do wieczora.

Usiadł przy stole i zaczął przeglądać gazety, lecz po chwili wstał, zastanawiając się, czy jest jeszcze za wcześnie na drinka. Ostatecznie było Boże Narodzenie, a kieliszek wina powinien go trochę uspokoić.

Ale gdyby Debbie chciała, żeby przyjechał po nią do Cardiff, powinien być trzeźwy... Zrobił sobie kawę i usiadł przy telefonie, starając się nie patrzeć na wiszący na ścianie zegar.

- Wskoczę na chwilę na dwór - powiedziała Debbie. - Muszę złapać trochę świeżego powietrza.

- Wyjść z tobą? - zapytał Richard.

- Nie! Znosi się na deszcz, a ja chcę tylko rozprostować nogi, dobrze?

- Jasne, jasne... Kiedy wrócisz, możemy zjeść lunch, znalazłem w lodówce jakąś zupę.

- Dobry pomysł.

- Sam też potrafię ugotować niezłą zupę, wiesz? Morag dała mi kilka przepisów, ona wspaniale gotuje.

Debbie uświadomiła sobie nagle, że dłużej tego nie zniesie.

- Nie chcę być nieuprzejma, ale trochę mnie już zmęczyło wysłuchiwanie litanii cnót Morag, przykro mi. Moglibyśmy może nie wspominać o nich przez parę dni, jak sądzisz?

Miała nadzieję, że zabrzmi to lekko, może nawet zabawnie, sama usłyszała jednak twardą, prawie gorzką nutę w swoim głosie. Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Oczywiście, przepraszam - powiedział, z o wiele większą cierpliwością, niż się spodziewała.

Może starał się wynagrodzić jej zdarzenia poprzedniego dnia?

- Dzięki! No, dobrze, zaraz wracam.

Ruszyła do samochodu rześkim krokiem, bo przecież Richard mógł obserwować ją przez okno. Każdy krok wymagał jednak ogromnego wysiłku, musiała się zmuszać, aby stawiać jedną stopę przed drugą.

Usiadła za kierownicą i ruszyła na Cefn Bryn. Zdążyła się już zorientować, że w Gower zasięg jest marny i trzeba stanąć w jednym z wyższych punktów, żeby w ogóle coś słyszeć, a i wtedy połączenie czasami zanikało w pół zdania. Zastanawiała się, czy nie skorzystać z publicznego automatu, ale sama myśl o odbyciu tej strasznej rozmowy z Joelem w śmierdzącej budce telefonicznej (zawsze cuchnęły moczem i piwem!) wydała jej się przerażająca. Spojrzała na zegarek. Boże, dochodziła już trzynasta trzydzieści! Joel na pewno czeka na telefon; wyobraziła go sobie w mieszkaniu, jak siedzi przy telefonie i myśli o niej, szczęśliwy i spokojny, chociaż nie, pewnie już trochę zdenerwowany. Ciekawe, co ma na sobie. Dżinsy i białą koszulę, jest boso, bo nigdy nie nosi kapci ani butów w domu. Musiała na moment zamknąć oczy, tak straszna była świadomość tego, co mogła mieć, a co znalazło się poza zasięgiem jej ramion.

Nowa fala rozpaczy prawie powaliła ją na ziemię. Przypominało to bóle porodowe, Uznała, że musi poczekać, aż ból minie, może krzyknąć albo wbić paznokcie w dłonie, w jakiś sposób uwolnić trochę cierpienia, zanim odezwie się do Joela. Nie mogła się przecież załamać, musiała być silna. Silniejsza niż kiedykolwiek...

Co za koszmar! Za dwadzieścia druga! Co ona wyprawia?! Spokojnie, Joel, pewnie nie skończyła jeszcze rozmawiać z tym dupkiem, to coś więcej niż codzienna pogawędka. Obiecała jednak, że zadzwoni przed pierwszą. „Przysięgam, że zadzwonię, byś wiedział, że wszystko jest w porządku, nawet jeśli miało-



by to potrwać trochę dłużej", powiedziała. Ta granica w czasie wydawała mu się pocieszająca, dzięki niej jakoś przetrwał ranek, nie denerwował się tak bardzo.

Ale wyglądało na to, że jednak go zawiodła.

Postanowił poczekać do drugiej i zatelefonować do niej, na komórkę, nie na numer stacjonarny. Usiadł i utkwiał wzrok w ekranie telewizora, po którym z rykiem przemykały samochody wyścigowe. Musiał się czymś zająć, cokolwiek... Czas pęłzył powoli, jak ślimak. O drugiej wybrał numer komórki Debbie.

Stała na wrzosowisku, w najwyższym punkcie Cefn Bryn. Zaparkowała, wyjęła komórkę z torby i zobaczyła, że ma wiadomość. Od niego. Mówił, że przyjedzie po nią do Cardiff. Dźwięk jego głosu prawie ją pokonał, przez chwilę była gotowa zostawić wszystkich i wszystko, lecz w końcu z trudem pozbiierała strzępy swojej decyzji. Musi zrobić to szybko, zanim Joel wyruszy do Cardiff. A jeśli już wyjechał z Londynu? Czy ona zdoła wytrwać wtedy w powziętym postanowieniu, wiedząc, że Joel jest niedaleko, że za godzinę będzie przy niej? Utkwiła nieprzytomny wzrok w porośniętej drzewami zatoce Oxwich i właśnie wtedy zadzwonił telefon.

Joel.

- Cześć - powiedziała, zdumiona, że potrafi mówić tak zwyczajnie, tak spokojnie, i że potrafi mu przerwać. - Joel, nie przyjadę.

Tak po prostu.

- Możemy odwiedzić babcię? - zapytała Rachel.

- Oczywiście, jutro.

- Ja chcę dzisiaj! Martwię się o nią!

- Ja też! - powiedziała Emma.

- Ja też - dodał Alex.

- Rachel, tata dopiero przed chwilą wrócił ze szpitala - przypomniała córce Debbie. - Babcia dobrze się czuje, przecież słyszałaś.

- Ale to było dawno temu, teraz może już czuć się znacznie gorzej! Może jest jej smutno, bo leży tam sama. Dlaczego nie możemy do niej pojechać?

- Emmo - zaczęła Debbie i przerwała.

Dlaczego nie? Zajmie się czymś na chwilę, oderwie myśli od...

- Może rzeczywiście zawiozę was do babci. Tata jest bardzo zajęty, ale zapytajcie go, co on na to.

Emma wróciła po sekundzie, szeroko uśmiechnięta.

- Tata uważa, że to świetny pomysł!

- W porządku. Jedziemy! Pakujcie się do samochodu!

Chwilę patrzyli na nią ze zdumieniem. Dorośli zwykle podejmowali decyzje całymi godzinami.

- Jak to, teraz? - odezwał się Alex.

- Tak, teraz - odparła Debbie, starając się nie słyszeć rozpaczy w swoim głosie. - Tak, teraz!

Nie powinna była siadać za kierownicą. Czowała się jak po alkoholu, jakby była pijana, zmęczona i na dodatek chora, poważnie chora. Nie była w stanie myśleć. Nie miała pojęcia, jak dojechać do Swansea, z trudem przekręciła kluczyk w stacyjce. Zatrzymała się przed skrzyżowaniem i chwilę patrzyła na światła przejeżdżających samochodów, zastanawiając się, czy nie zawrócić. Ale nie, wszystko było lepsze niż siedzenie w pokoju, z którego co jakiś czas biegła na górę albo na dwór, żeby się wypłakać. Tak, ruch, jakikolwiek ruch był o wiele lepszy, dzięki niemu ból stawał się możliwy do zniesienia. Zamrugła, żeby przegonić łzy, musiała jednak ostro zahamować, bo prawie nic nie widziała.

- Dobrze się czujesz, mamó? - zapytał Alex.

- Tak, wszystko w porządku, przepraszam. Chyba trochę się przeziębiam, to nic poważnego. No, jedziemy!

Wpadł w gniew i to było najgorsze.

- Świetnie! - rzucił. - Dziękuję, że raczyłaś mnie poinformować! Powinienem był od razu się domyślić! Do widzenia, Debbie!

I przerwał połączenie. Stała nieruchomo, patrząc w niebo i starając się jakoś to wytrzymać. Potem ruszyła przed siebie, bezradnie rozcierając zgrabiałe dłonie. Owce i dzikie kucyki, które mieszkały na Bryn, podnosiły łby znad trawy, aby popatrzeć na nią, jęczącą i zawodzącą jak wariatka. Po jakimś czasie odzyskała dość siły, żeby wrócić do samochodu i życia, które tak bezlitośnie się o nią upomniało.

- Ach, moje skarby! - Flora wyciągnęła ramiona do wnuków. - Tak się cieszę! Jak się czujesz, Rachel, jak twoja biedna główka?

- Nie boli - odparła Rachel, zaraz jednak przypomniała sobie, że chyba nie warto zdobywać się na taką szczerłość. - Nie, jeszcze boli - sprostowała.

- Zupełnie jak moja noga, też jeszcze boli.

- Kiedy wrócisz do domu? - spytał Alex.

- Za parę dni, bo najpierw muszę nauczyć się poruszać. Jutro przyniosą mi kule, wtedy sprawdzimy, jak sobie radzę. Kiedy zobaczą, że biegam z nimi po całym oddziale, od razu mnie wypiszą.

- Że biegasz? - powtórzył z niedowierzaniem chłopiec. - To chyba niemożliwe, babciu!

- Och, jeszcze nie wiesz, na co mnie stać! Debbie, kochanie, dobrze się czujesz?

- Tak - odparła Debbie. - Dobrze, dziękuję. Muszę tylko... Muszę tylko pójść do toalety, za chwilę wrócę.

Wygląda okropnie, pomyślała Flora. I najwyraźniej płakała! Może pokłóciła się z Richardem, albo może to efekt szoku. Uśmiechnęła się do dzieci.

- Ale mieliśmy przygody, co? Nigdy więcej nie pozwólcie, żeby babcia zabrała was na Robaka.

- Dlaczego? - zdziwił się Alex. - Uwielbiamy wycieczki na Robaka, to świetna zabawa!

- No pewnie - przytaknęła Rachel.

Sprawiła wrażenie bardzo zadowolonej z życia. Chyba na szczęście zapomniała już o strachu, uratowała ją błogosławiona dziecięca odporność. Jej matka zniosła to wszystko znacznie gorzej, pomyślała Flora, patrząc na wracającą Debbie.

- A co dzisiaj robiliście? - zapytała.

- Nic specjalnego - odparła Rachel. - Bez ciebie okropnie się nudzimy.

- Dzięki, Rachel! - powiedziała Debbie.

- Przepraszam, mamó, ale tak po prostu jest.

- Jak się czuje Colin? - zagadnęła Emma. - Polubiłam go, jest bardzo miły!

- Naprawdę jest bardzo miły - przytaknęła z uśmiechem Flora. - I cieszę się, że go polubiliście.

Wpadnie trochę później, może się spotkacie.

- Przepraszam - wykrztusiła nagle Debbie i znowu wybiegła na korytarz.

- Mama chyba nie czuje się zbyt dobrze - powiedziała Emma, patrząc za matką. - Okropnie się przeziębila, biedactwo. Przy lunchu starała się być dzielna i nie płakać, ale widziałam, że...

Dobry Boże, wstrząsnęło nią to mocniej, niż sądziłam, i nic dziwnego... Czy uda nam się zaprzyjaźnić? Nie, to chyba niemożliwe.

- Dzwoni telefon! - rzekł Alex.

- Telefon? Nie...

- Ależ tak, posłuchajcie!

- Masz omamy, naprawdę! - Emma uśmiechnęła się pobłażliwie. - A, rzeczywiście, teraz ja też słyszałam. Chyba dzwoni pod łóżkiem.

- Może to ta nowa komórka, którą mama dostała w pracy - powiedział Alex. - Daj mi jej torbę. O, już przestała. Ciekawe, czy...

Zaczął energicznie grzebać w torbie.

- Alex, nie wolno grzebać w czyjejś torbie! - skarciła go Flora.

- Dlaczego? Przecież zawsze jest otwarta! O, jest komórka! Może ktoś zostawił jej wiadomość.

- Skąd tyle wiesz o telefonach komórkowych? - Flora uniosła brwi.

- Tata mojego kumpla ma komórkę, pokazał mi ją niedawno. Taka sama jak mamusi. Fajna rzecz taka komórka, wiesz, babciu? Nie tylko dzwoni i przyjmuje wiadomości, ale można też sprawdzić dzięki niej, gdzie są korki i jak zmieniają się ceny akcji na giełdzie. Tak, ma wiadomość, zaraz zobaczymy, od kogo. Pewnie od taty. - Alex podniósł głowę i spojrzał na matkę, która z pełnym determinacji uśmiechem podeszła do łóżka Flory. - Mamó, ktoś dzwonił na twoją komórkę i zostawił wiadomość! - odsłuchał, lekko zdziwiony. - Kto to jest Joel?

Flora patrzyła, jak twarz Debbie najpierw pobladła, a potem się zaczerwieniła. Debbie wyrwała telefon z ręki Aleksa i znowu wybiegła, lecz nie zniknęła z pola widzenia Flory. Stała z telefonem przy uchu i słuchała bardzo, bardzo uważnie. Po chwili wyłączyła komórkę i oparła się o ścianę, zasłaniając oczy dłonią. Minęło sporo czasu, zanim wróciła do pokoju.

- Biedna mama - odezwała się Emma. - Jesteś taka smutna. Czemu płaczesz? Głowa cię boli od tego kataru, mamusiu?

- Tak. - Głos Debbie był szorstki od łez. - Dzieci, musimy się zbierać.

- Przecież dopiero przyjechaliście! - zawołała Flora. - Nie żartuj, Debbie! Hej, dzieciaki, idźcie teraz poszukać słodyczy albo czegoś do picia, dobrze? Na parterze są automaty z przekąskami, tuż obok wejścia, i chyba na trzecim piętrze także. Weźcie moją portmonetkę, jest tam sporo monet! Możecie kupić sobie po dwie rzeczy, dobrze?

- Taaak!

- Zgubią się! - zaniepokoiła się Debbie. - To marny pomysł!

- Jeżeli udało im się przeżyć piknik na Robaku w środku zimy i nie utonąć w czasie przypływu, to bez wątpienia przetrwają spacer po szpitalu, kochanie. Dzieci, gdybyście się zgubili, zapytajcie jakiegoś pana doktora albo pielęgniarkę, gdzie jest oddział szósty, dobrze? I nie wychodźcie na zewnątrz!

- Nie wyjdziemy!

Wybiegli na korytarz. Debbie patrzyła za nimi, zbyt zmęczona i udręczona, aby udawać, że nie płacze. Łzy płynęły jej po policzkach.

- Powiedz mi, co się dzieje, Debbie - odezwała się łagodnie Flora. - To ci pomoże, zobaczysz.

- Nie mogę...

- Możesz. A jeżeli to jest to, o czym myślę, to powiem ci, że nie będę zaskoczona ani zgorszona, chociaż ty chyba tak sądzisz. Nie, w najmniejszym stopniu nie będę zgorszona. I jeśli jest to właśnie to, pozwól, że opowiem ci, przez co sama przesłam.

Jego głos, nagrany na taśmie poczty głosowej, brzmiał zupełnie inaczej. Wcześniej był zimny, gniewny i wrogi, teraz całkiem inny. Odsłuchiwała wiadomość trzy razy, nie chciała uronić ani słowa.

- Debbie, tu Joel. Przepraszam, że wcześniej tak się rozżłościłem. Musisz zrobić to, co twoim zdaniem jest słuszne, a ja postaram się zrozumieć i zrobić to, co ty chcesz. Nowy Jork to chyba dobry pomysł, tak... Nie wydaje mi się, abym mógł żyć w tym samym mieście co ty i nie być z tobą. Chcę jednak, żebyś wiedziała, że cię kocham, bardzo cię kocham, i że czas, który razem spędziliśmy, był absolutnie doskonały. Absolutnie doskonały... - przerwał, bo głos mu drżał. - Do widzenia, Debbie! Pamiętaj, że cię kocham.

Czuła, że teraz jakoś sobie poradzi, że jakoś przetrwa. Będzie cierpiała, ale jej ból nie będzie już zaprawiony goryczą.

\* \* \*

- Och, przepraszam - powiedziała do Flory. - Mogę wziąć chusteczkę?

- Oczywiście. - Flora podsunęła jej pudełko. - Chcesz mi teraz opowiedzieć, co się stało? To naprawdę pomoże, wierz mi.

Debbie potrząsnęła głową.

- Nie mogę! Naprawdę nie mogę. To nie byłoby uczciwe.

- Wobec kogo?

- Wobec ciebie! I... I wobec Richarda.

- Ach, więc jednak mam rację! - westchnęła Flora. - Nie musisz mi nic mówić, oczywiście. Może innym razem, najlepiej kiedy zechcesz. Albo w ogóle. - Wyciągnęła rękę i bardzo delikatnie pogłaskała Debbie po dłoni. - Powiedz mi tylko jedno - zostajesz? Zostajesz z nami?

Debbie bezradnie skinęła głową. Skąd Flora mogła to wszystko wiedzieć, skąd?

- To dobrze. Cieszę się. Najbardziej cierpią w takich sytuacjach dzieci, a ty stworzyłaś naprawdę szczęśliwą rodzinę. I możesz być dumna ze swoich dzieci.

Debbie znowu kiwnęła głową.

- Staralam się - szepnęła.

- I udało ci się! Słuchaj, zdaję sobie sprawę, jak ciężko musi ci być z Richardem. Jest taki sam jak jego ojciec, wymagający i zaborczy. W pierwszych latach małżeństwa William mocno podciął mi skrzydła. Chciałam osiągnąć coś więcej, wykrzesać coś z mojej pracy, z fotografii, ale on nie chciał o tym słyszeć. Czasami było mi nieznośnie trudno.

Debbie patrzyła na nią z rozchylonymi ze zdziwienia wargami.

- Myślałam... Zawsze mi się wydawało...

- Że uważam, że mój syn jest chodzącą doskonałością? Tak, kocham go i wiem, że jest dobry, uczciwy i bez reszty oddany tobie i dzieciom, ale nie należę do zaślepionych matek. Widzę, jaki naprawdę jest Richard, widzę to bardzo dokładnie. - Flora przerwała na chwilę. - Będzie ci bardzo ciężko. To straszny ból, wiem, o tym. Trochę podobny do bólów porodowych, tak mi się w każdym razie wydawało. Napływa falami, mija i znowu atakuje.

- Mój Boże - wyjąkała Debbie, nie odrywając wzroku od twarzy teściowej. - Też tak sobie pomyślałam. Dokładnie to samo.

- No, widzisz, jednak trochę cię rozumiem. Ale ten ból mija, kończy się, i to w taki sposób, że ostatecznie wcale nie jesteś pewna, czy tego chcesz. Czujesz, że jesteś niełojalna, ale zaczynasz wracać do równowagi i powoli zapominasz. Możesz mi wierzyć, z czasem naprawdę zaczniesz zapominać i nic na to nie poradzisz. Uleczą cię różne rzeczy, z początku będą to drobiazgi, nic nieznaczące detale. Musisz tylko być cierpliwa i wytrzymać, kochanie! I po pewnym czasie zrozumiesz, że było warto, obiecuję ci!

Debbie siedziała nieruchomo, wpatrzona we Florę, i miała wrażenie, że właśnie dostała bardzo silny lek, dzięki któremu będzie mogła pójść dalej przez życie.

- Jesteś wspaniała - powiedziała wreszcie. - Bardzo cię przepraszam, że byłam taka... Taka...

- Och, nie wracajmy do tego! Cieszę się, że w końcu mogę ci się na coś przydać. Posłuchaj, powinnaś powiedzieć Richardowi, że nie chcesz jechać do Szkocji! Że nie pojedziesz.

- Co? Ale ja muszę jechać, Floro! Muszę, bo...

- Wcale nie musisz! Potrzebujesz swoich przyjaciół, potrzebujesz pracy, a z całą pewnością nie potrzebujesz tej strasznej baby, Morag jakiejś tam.

- Poznałaś ją?

- Nie, i nie muszę. Wyobrażam sobie, jaka jest koszmar! Po prostu powiedz Richardowi, że nie możesz jechać, że on może sobie tam zostać, jeśli chce, ale ty nie pojedziesz.

- Będzie wściekły. To zrujnuje mu karierę. Nie, Floro, muszę jechać! To... To jeden z powodów, dlaczego...

Jej oczy znowu wypełniły się łzami.

- Więc przynajmniej powiedz mu, że musisz spędzić jeszcze jeden semestr w Londynie, nie spiesz się. Jeżeli chcesz, porozmawiam z nim, wtrączę swoje trzy grosze.

- Naprawdę? - Debbie uśmiechnęła się leciutko.

- Oczywiście! Niech trochę się zastanowi, jak ty będziesz się tam czuć! Powinien był załatwiać całą tę sprawę w porozumieniu z tobą, od samego początku! Wstyd mi za niego, tak samo jak wstydę się siebie. Żałuję, że nie wychowałam go lepiej, że nie postarałam się, aby był bardziej wrażliwy i otwarty na innych... Ale jednak ma dużo zalet.

- Naturalnie - przytaknęła Debbie. - I mimo wszystko bardzo go kocham, naprawdę.

- Wiem. O, są już dzieci, przyprowadziły Colina! Jak to miło. Wytrzymaj nos, kochanie. Colin, tak się cieszę, że wpadłeś! Jak sobie poradziłyście, dzieciaki?

- Doskonale - odparła Emma. - Mamy smarties, coca-colę w puszkach i marsy! A to dla ciebie, mamusiu, żeby trochę cię rozweselić. Twój ulubiony krem miętowy! Nie masz nam za złe, że kupiliśmy go dla mamy, babciu?

- Nigdy wam tego nie wybaczę! - uśmiechnęła się Flora.

- Och, Emmo - Debbie mocno objęła córkę i wtuliła twarz w jej lśniąco włosy. - Dziękuję! Bardzo, bardzo wam dziękuję.

- Kocham cię, mammo. - Emma podniosła głowę i oparła czoło o policzek matki. - Nie lubię, kiedy jesteś smutna.

Debbie przypomniała sobie słowa Flory i pomyślała, że może jest to pierwsza z tych drobnych rzeczy, jakie mają pomóc jej wrócić do równowagi.

- Chodźcie, dzieci - powiedziała. - Zostawmy babcię i Colina w spokoju, dobrze?

- Ale mammo...

- Nie, nie ma żadnego „ale mammo"! Babcia jest bardzo zmęczona, a Colin chce porozmawiać z nią chwilę przed końcem odwiedzin. Dajcie babci całusa i podziękujcie jej za słodycze!

Patrzyła, jak dzieci całują na pożegnanie babcię, zupełnie niespodziewanie drogą także i jej sercu, a potem nachyliła się i sama pocałowała Florę w policzek.

- Nie wiem, jak ci dziękować, Floro, ale... ale dziękuję.

- Dziękujesz mi, zostając z nami - rzekła Flora, patrząc jej prosto w oczy. - Byłabym bardzo niešťczęśliwa, gdybyś odeszła. Nie zniosłabym tego.

Te słowa zostały w pamięci Debbie i wielokrotnie pocieszały ją w następnych tygodniach.

# ROZDZIAŁ 60

*STYCZEŃ 1991*

- No, już! Wyglądasz pięknie!

- Dziękuję... Ty też nieźle się prezentujesz!

Rzeczywiście wyglądał świetnie - w smokingu, ze świeżo ostrzyżonymi jasnymi włosami, gładko zaczesanymi do tyłu, z błękitnymi oczami pełnymi miłości do niej.

- Dziękuję... - Uśmiechnął się. - Podekscytowana?

- Bardzo!

Jaka dziewczyna nie byłaby podekscytowana, gdyby znajdowała się w centrum uwagi wszystkich, podziwiana i uwielbiana... Cartwrightowie przyjęli ją z ogromną czułością, nawet Frances wykazała się sporą wrażliwością, ze współczuciem mówiąc o śmierci Simona.

- Tak nam strasznie przykro - powiedziała. - Przeżywamy tę stratę razem z tobą, możesz mi wierzyć.

Podkreśliła też, że doskonale rozumie decyzję Elizabeth, aby nie wyruszać w podróż do Stanów.

- W żadnym razie nie powinna się teraz przemęczać, ma dosyć zmartwień na głowie, a lot mógłby być dla niej niebezpieczny! Bylibyśmy bardzo szczęśliwi, gdyby była tu z nami, ale rozumiemy, że to zwyczajnie niemożliwe.

I chyba faktycznie rozumieli, wszyscy. Szczególnie miła była Dana, która uściskała Annabel ze łzami w oczach i powiedziała, że jeśli Annabel chciałaby porozmawiać, to ona z radością ją wysłucha, ale jeżeli nie, przyjmie to ze zrozumieniem. Annabel szczerze polubiła Danę i uważała ją za wyjątkowo sympatyczną przedstawicielkę rodziny Cartwrightów, chociaż Dana weszła do tej rodziny przez małżeństwo.

Pozostali też okazali jej mnóstwo sympatii i zrozumienia, a ona miała wrażenie, że jest bardziej zakochana w Jamiem niż wcześniej. Jamie jeszcze wyprzystojniał, był bardzo przejęty ich zaręczynami i popisywał się nią przed wszystkimi.

- Moi przyjaciele nie mogą się już doczekać, kiedy cię poznają! Wybrałem już drużbów, wiesz?

- Niemożliwe! - roześmiała się. - Przecież pobierzemy się w najlepszym razie za półtora roku, prawda?

- Kochanie, osiemnaście miesięcy minie jak z bicza strzełił! Kathleen zaręczyła się z Joem i nawet nie zdążyliśmy się obejrzeć, a już trzeba było planować, jak usadzimy gości przy stołach...

- Jak się czuje Kathleen? - spytała Annabel, grając na zwłokę.

- Doskonale! Mama bardzo się przejmuje, już urządza pokój dziecięcy.

- Jak to, w domu Kathleen? - Wydało się to jej sporą przesadą, nawet jak na Frances.

- Nie, nie, tutaj... Spodziewa się, że maluch będzie tu spędzał dużo czasu i dlatego przemeblowuje dawny pokój Kathleen.

- Ach, rozumiem!

W przeddzień przyjęcia zaręczynowego poszła z Daną po kolacji do salonu. Usadowiły się na kanapie przed telewizorem, zdjęły pantofle i przez chwilę oglądały beznadziejny stary film. Jamie i Bif omawiali z ojcem jakąś sprawę, w którą wszyscy byli zaangażowani.

Dana zerknęła na Annabel.

- Podekscytowana przed jutrzejszą imprezą? - zagadnęła z uśmiechem.

- Bardzo!

- To dobrze... Wszyscy jesteśmy przejęci i wzruszeni. Bardzo się cieszę, że wchodzisz do rodziny. Jesteś taka... taka odświeżająca! Nie chodzi tylko o to, że jesteś młoda, ale masz tak pozytywne podejście do wielu spraw.

- To znaczy?

- Po prostu czuję, że nie pozwolisz im się przeistoczyć w typową przedstawicielkę rodziny Cartwrightów! Ojej, czy ja naprawdę powiedziałam coś takiego? Nie, niemożliwe...

- W porządku, nie powiedziałaś! - zaśmiała się Annabel.

- Chyba wypiliśmy za dużo szampana. Ale przecież wiesz, co mam na myśli! Oni wszyscy są tacy pewni siebie i swoich racji. Nie masz pojęcia, jaką wywierają na mnie presję, żebym jak najszybciej zaszła w ciążę. A tymczasem ja właśnie teraz zaczynam robić mnóstwo rzeczy, które naprawdę mnie interesują, prowadzę własne sprawy i jestem bardzo zadowolona z pracy. Dlaczego miałabym rezygnować z tego wszystkiego i poświęcać cały czas jakiemuś rozwrzeszczanemu bachorowi? - Dana westchnęła. - Przepraszam cię, to nie twój problem! Na dodatek zachowuję się nielojalnie.

- Nie widzę powodu, dlaczego miałabyś rezygnować z pracy. Moja matka nie zrezygnowała.

- Tak, pamiętam, mówiłaś mi o tym! Pomyślałam wtedy, że twoja mama musi być wspaniałą kobietą.

- Ona jest wspaniałą kobietą!

- Przykro mi, że przeżywa teraz tak ciężkie chwile. - Duże brązowe oczy Dany pełne były współczucia. - Najpierw śmierć waszego taty, potem ciąża, wszystkie te problemy. Jak ona się czuje? Tobie też na pewno jest trudno.

- Trochę, ale bardzo się do siebie zbliżyliśmy, mama i ja. Pomagamy sobie nawzajem, wspieramy się. Czasami mama ma ciężki dzień, kiedy indziej ja nie mogę się pozbierać. Mama bardzo się denerwuje dochodzeniem w sprawie śmierci taty. Sprawa ma odbyć się za parę tygodni.

- Dochodzenie? Dlaczego?

- Ponieważ tata zginął w wypadku i pojawiły się wątpliwości, czy rzeczywiście był to wypadek, czy może samobójstwo.

Głos Annabel zadrżał. Dana odwróciła się do niej, objęła ją.

- To straszne! - powiedziała. - Dla ciebie i dla niej. Bardzo wam współczuję.



- Tak, to naprawdę okropne. Oczywiście wszyscy chcielibyśmy, żeby koroner orzekł, że był to wypadek, to chyba jasne, ale jak można tego dowieść. Tak ciężko jest żyć ze świadomością, że tata wolał się zabić niż walczyć dalej.

Dana westchnęła i delikatnie pogładziła ją po policzku.

- Tak czy inaczej, mama pracowała przez wszystkie trzy poprzednie ciąży. - Annabel otrząsnęła się z przygnębienia. - A teraz przepracuje czwartą...

- Wasz tata był niezwykłym człowiekiem, skoro się na to zgodził.

- Chyba tak. Naturalnie, mieliśmy nianie, ale tata zawsze wspierał mamę, był z niej bardzo dumny i nigdy nie narzekał, kiedy wyjeżdżała na konferencje. Tak, naprawdę był niezwykłym człowiekiem. - Pośpiesznie otarła oczy. - Przepraszam, to wszystko jest jeszcze takie świeże.

- Rozumiem cię!

- Dzięki... Wracając do rzeczy, jeżeli chcesz pracować, to przecież dziś nikt nie może mieć ci tego za złe! Kobiety nie muszą rezygnować z pracy tylko dlatego, że rodzą dzieci. Ja na pewno tego nie zrobię.

- I bardzo dobrze - powiedziała Dana.

Nie wyglądała jednak na całkowicie przekonaną.

- Rozmawiałaś o tym z Bifem? - zapytała Annabel.

- Bif uważa, że matka powinna zajmować się dzieckiem w domu i do pewnego stopnia nawet się z nim zgadzam. To rzeczywiście najlepsze wyjście, w idealnym świecie, rzecz jasna! Ale nie wszyscy jesteśmy idealni, prawda?

- Mama zawsze mówiła, że byłaby nieszczęśliwa, gdyby musiała siedzieć w domu, a wtedy my też bylibyśmy nieszczęśliwi, więc lepiej, że pracowała.

- Jak widzisz to teraz, kiedy jesteś już dorosła? - Dana lekko uniosła brwi. - Masz straszne kompleksy?

- Och, przerażające! - Annabel parsknęła śmiechem. - Tak straszne, że sama zamierzam postąpić dokładnie tak samo!

- Rozmawiałaś o tym z Jamiem?

- Jeszcze nie! Na razie chyba za wcześnie, ale na pewno to zrobię.

- Opowiesz mi wtedy, jak zareagował, dobrze? - powiedziała Dana. - Chętnie ukryłabym się w szafie i podsłuchiwała waszą rozmowę, słowo daję.

Uśmiechnęła się pogodnie, ale Annabel miała wrażenie, że jest bliska rozpacz. I nagle ogarnął ją lęk...

Przyjęcie minęło w przyjemnej mgiełce - mnóstwo ludzi chciało zamienić z Annabel chociaż parę słów, wszyscy powtarzali, jak się cieszą, że mogą poznać przyszłą żonę Jamiego, pan Cartwright wygłosił zaskakującą mowę, w której wyraził zachwyt nad urodą i charakterem Annabel oraz radość z faktu, że witają ją w rodzinie, Frances mówiła wszystkim, że zyskuje córkę i w żadnym razie nie traci syna, Jamie patrzył na Annabel z dumą, gdy dziękowała Cartwrightom za to, jak ją przyjęli (z wyrazu twarzy Frances

wynikało jasno, że jej zdaniem to Jamie powinien zabrać głos, nie jego narzeczona). Później Jamie także powiedział parę słów, dziękując wszystkim za przybycie i w każdym zdaniu wspominając o swojej uroczej narzeczonej (oklaski i wiwaty) i przyszłej żonie (jeszcze głośniejsze oklaski i wiwaty). Kolacja zorganizowana została jako wspólny bufet, a potem zaczęła się dyskoteka dla młodszych gości. Annabel bez końca tańczyła z Jamiem i jego wszystkimi przyjaciółmi, których od razu polubiła.

Jeszcze później, gdy większość gości pożegnała się, powtarzając Jamiemu, jaki z niego szczęściarz, Annabel usiadła wśród Cartwrightów i rozmawiała z nimi wesoło i pogodnie, a na koniec podeszła do pana Cartwrighta, zarzuciła mu ręce na szyję, ucałowała go i podziękowała za przyjęcie i wspólną mowę, potem ucałowała Frances i także serdecznie jej podziękowała.

I wreszcie wszyscy poszli spać. Jamie przyszedł do niej po obowiązkowych trzydziestu minutach i było im cudownie. Annabel zasnęła w jego ramionach, głęboko przekonana, że jest najszczęśliwszą dziewczyną na świecie.

## ROZDZIAŁ 61

*STYCZEŃ 1991*

- Mamo?

Elizabeth pośpiesznie wyszła do holu, uściskała córkę, powiedziała, że bardzo się cieszy z jej powrotu i dopiero wtedy zauważyła łzy na jej policzkach.

- Annabel, kochanie, co się stało? Jest ci smutno, że musiałś go zostawić czy...

- Nie, to nie to... Mamo... - przerwała, z trudem przełknęła ślinę. - Nie jesteśmy już zaręczeni. - Wyciągnęła lewą dłoń, na której nie było zaręczynowego pierścionka. - Oddałam mu pierścionek, wszystko skończone.

- Ale dlaczego?! Co się stało? O co wam poszło?

- Pewnie o to, że mam taką matkę jak ty i miałam takiego ojca - powiedziała Annabel.

Zaczął się dzień przed jej wyjazdem. Jedli lunch tylko we dwoje i Annabel powiedziała Jamiemu o swojej nowej pracy, w salonie fryzjerskim, który Florian zamierzał otworzyć przy Fulham Road.

- Zostanę stylistką w najbardziej eleganckim, najmodniejszym salonie w całym Londynie, wyobrazasz sobie? Nie mogę w to uwierzyć! Nie jesteś ze mnie dumny?

- Tak - odparł dosyć obojętnie. - Jestem dumny, naturalnie.

Z lekkim smutkiem zauważyła, że nie sprawia wrażenia uszczęśliwionego, a on odparł, że naprawdę bardzo się cieszy z jej osiągnięć, ale...

- Od razu przypomniałam sobie twoje powiedzenie, że liczy się tylko to, co mówimy po „ale” - westchnęła Annabel. - No, więc powiedział, że bardzo się cieszy, ale jego zdaniem jako karierę powinnam potraktować teraz małżeństwo, przeprowadzkę do Bostonu, założenie rodziny, i tak dalej. A ja na to, że

oczywiście, traktuję to wszystko najzupełniej poważnie, ale nadal zależy mi na pracy i karierze zawodowej. Wtedy Jamie powiedział, że on widzi naszą przyszłość inaczej, a ja zapytałam, dlaczego właściwie i dodałam, że Dana też zależy na pracy.

To był błąd. Jamie oświadczył, że Bif bardzo cierpi z powodu nadmiernej ambicji żony, że strasznie chce mieć dzieci, a Dana wręcz przeciwnie.

- Przecież to nieprawda! - zaprotestowała Annabel. - Dana chce mieć dzieci, lecz nie chce rezygnować z pracy, to wszystko! Rozmawiałam z nią o mamie, o tym, jak ona pogodziła życie rodzinne z zawodowym.

- Dana rozmawiała z tobą na ten temat? - W głosie Jamiego zabrzmiała ostra nuta. - Nie rozumiem, dlaczego. Co to ma z tobą wspólnego?

- Dana będzie przecież moją szwagierką.

- Annabel, to są sprawy Bifa i Dany, nie twoje!

- Ale dlaczego nie może pracować i wychowywać dziecka?

- Dlatego że Bif nie życzy sobie, żeby pracowała, uważa, że powinna zajmować się dziećmi i domem! I ja się z nim zgadzam!

- Nie sądzisz, że mogłaby robić jedno i drugie? Czy ja też bym nie mogła?

- Nie! Praca Bifa jest bardzo stresująca i moja także! Obaj pracujemy do późna i pod koniec dnia chcemy wracać do... do...

- Do czego, Jamie? - zapytała, czując, jak gdzieś w głębi jej serca wybucha mała fontanna gniewu.

- No, do dobrze prowadzonego domu i... i...

- I słodkiej kobietki w fartuszkach? Daj spokój! - Była pewna, że Jamie sobie z niej żartuje i postanowiła się odwzajemnić. - Do bousej, ciężarnej, zajętej gotowaniem pysznej kolacyjki żonusi? Tak nas widzisz, taka jest rola kobiet, twoim zdaniem? Mamy dbać, żeby dom lśnił i obiad czekał w piecyku, tak? Przykro mi, ale jeśli tak uważasz, to zaręczyłem się z nieodpowiednią dziewczyną...

- Nie bądź śmieszna! Zaręczyłem się z odpowiednią dziewczyną, jestem o tym przekonany!

- Ufff... Przez chwilę wydawało mi się, że naprawdę wierzysz w te wszystkie bzdury!

Jamie milczał.

- Wierzę w nie - odparł po chwili.

Potem pokłócili się na całego. Jamie krzyczał, że Annabel chyba nie wie, czym jest małżeństwo i poczucie odpowiedzialności za drugą osobę, a ona krzyczała, że on nie ma pojęcia o prawdziwym świecie, ani o tym, jaka ona naprawdę jest, i że nigdy nie zgodzi się zostać żoną z epoki wiktoriańskiej, której jedynym życiowym celem jest dbanie o męża i dom. No, chyba się nie spodziewał, że zgodzi się na coś takiego, co? A jeśli faktycznie takie miał oczekiwania, to nie powinni być razem!

- Nie rozumiesz, że gdybym taka była, nigdy byś mnie nie pokochał?! Jestem sobą, a ty kochasz mnie, nie jakiś wytwór swojej wyobraźni, nie kopię twojej matki.

Powiedział, że nie powinni mieszać do tego jego matki i że ma nadzieję, że Annabel nie krytykuje Frances. Odparła, że absolutnie jej nie krytykuje, ale Frances należy do innego pokolenia, pokolenia, które zupełnie inaczej postrzegało pewne sprawy.

- Moim zdaniem sprawy o zasadniczym znaczeniu nie podlegają kaprysom mody - oznajmił Jamie.

- Kaprysom mody, rzeczywiście! Uważasz, że praca to dla kobiet kaprys mody?!

- Nie, ale łączenie życia zawodowego i rodzinnego jest kaprysem mody! Kaprysem, który nie ma prawa bytu! Dlaczego liczba rozwodów stale rośnie, jak ci się wydaje? Dlaczego dzieci dorastają bez nadzoru i dyscypliny? Dlaczego tylu młodych ludzi wkracza na drogę przestępstwa?

- Jamie, jestem jednym z tych dzieci, które dorastały bez nadzoru i dyscypliny - powiedziała Annabel. - Wychowali mnie rodzice, którzy chcieli mieć dzieci i pracować zawodowo! Nie rozwiedli się, a żadne z nas nie wkroczyło na drogę przestępstwa!

Opamiętał się, trochę przyhamował i przeprosił ją. Wrócili do domu, gdzie wszyscy już na nich czekali. Udawali, że wszystko jest w porządku, ale tej nocy Annabel spała sama, a raczej nie spała.

- Leżałam i ciągle wracałam do tego, co mówił, i zastanawiałam się, jakie ma to dla mnie znaczenie. Wiedziałam, że nie mogę pogodzić się z jego podejściem do tych spraw, więc kiedy dziś rano odwiózł mnie na lotnisko, powiedziałam, że jeśli nie obieca mi, że uzna znaczenie mojej pracy i zgodzi się, abym pracowała także po urodzeniu dzieci, to nie chcę zostać jego żoną.

Wtedy on odparł, że nie może złożyć takiej obietnicy, więc zdjęłam pierścioneł, oddałam mu i nawet nie pocałowałam go na pożegnanie. Wydawało mi się, że jestem bardzo dzielna, lecz teraz zwyczajnie się boję. Och, mamó, bardzo go kocham, ale... Ale przecież nie mogę wyjść za człowieka, który myśli w ten sposób, prawda?

- Nie - odparła łagodnie Elizabeth. - Wydaje mi się, że nie możesz. Kochanie, Jamie jest jeszcze bardzo młody, należy do klanu, w którym obowiązują jasno określone zasady, przez całe życie wpajano mu pewien model zachowania. Musi minąć trochę czasu, zanim nauczy się myśleć inaczej.

Annabel potrząsnęła głową.

- Nie masz pojęcia, jak upierał się przy swoim zdaniu! Cartwrightowie są zupełnie inni niż my. Wydawało mi się, że powinniśmy spędzić ze sobą więcej czasu, więc zaproponowałam, żeby przyjechał na rok do Londynu, zwłaszcza że jego ojciec ma tu mnóstwo kontaktów, ale odparł, że to najzupełniej absurdalny pomysł, że on pracuje dla Cartwrightów, nie dla kogoś innego, i że jeśli zależy mi, żebyśmy byli razem, to powinnam jak najszybciej przeprowadzić się do Bostonu. Powiedz mi, że dobrze zrobiłam, mamó!

Elizabeth się zawahała. Miała uczucie, że wkracza na pole minowe.

- Cieszę się, że potrafisz bronić swoich przekonań, skarbie - zaczęła. - I jestem z ciebie dumna, naprawdę! Szczerze mówiąc, obawiałam się, że Cartwrightowie cię przytłoczyli, ale teraz widzę, że nie miałam racji i to jest ogromnie ważne. Kochanie, musisz jakoś porozumieć się z Jamiem, musicie wypracować jakiś kompromis...

- Nie będziemy pracować nad żadnym kompromisem! - przerwała jej Annabel. - Zerwałam zaręczyny.

- To straszna szkoda. Jamie bardzo cię kocha, a ty kochasz jego...

- Mamo, nie mogę uwierzyć, że mówisz takie rzeczy! Ty i tata wspieraliście się nawzajem i...

- Tak, wspieraliśmy się - potwierdziła Elizabeth. - Ale czasami płaciliśmy za to wysoką cenę. Tata był wspaniały, wiem jednak, że od czasu do czasu nie miałby nic przeciwko temu, żeby w domu czekała na niego taka Frances Cartwright.

- Co ty opowiadasz! Tata nie kochałby cię, gdybyś nie była sobą!

- Wiem o tym, mówię tylko, że nie jest to proste. Dla Jamiego pogodzenie się z twoim podejściem do życia byłoby równie trudne jak dla ciebie podjęcie decyzji o rezygnacji z pracy i zostaniu w domu. Musisz wziąć to pod uwagę w czasie następnej rozmowy.

- Nie będzie następnej rozmowy. Zerwałam zaręczyny, mówiłam ci!

- Tak, ale niewykluczone, że Jamie zmieni zdanie, gdy dokładnie wszystko przemyśli. Może znacznie myśleć samodzielnie i...

Annabel pokręciła głową.

- To niemożliwe, był okropnie uparty.

- No, zobaczymy... Chodź, kochanie, jesteś bardzo zmęczona! Idź na górę, zaraz przyniosę ci herbatę, co ty na to? A kiedy przyjdzie Tilly, powiem, że już śpisz, bo pewnie nie masz ochoty opowiadać jej o tym wszystkim, co?

- Nie, nie mam, ale będę musiała to zrobić, prawda? Jej i wielu innym osobom. O, Boże...

Annabel znowu zaczęła płakać.

Elizabeth przytuliła ją i usiłowała pocieszyć, a potem zeszła do kuchni, żeby zaparzyć herbatę. Czuła smutek i żal, ale także pewną ulgę. Annabel zerwała zaręczyny, lecz motyw jej działania uświadomiły Elizabeth, że nie musi zamartwiać się o córkę. Annabel doskonale wiedziała, co robi, i potrafi o siebie zadbać, niezależnie od tego, co jeszcze miało ją spotkać.

Robert Jeffries z biura koronera zatelefonował do Elizabeth trzy dni przed rozpoczęciem sprawy. Wyraził nadzieję, że Elizabeth dobrze się czuje i zapytał, czy chciałaby o coś zapytać.

- Nie, raczej nie - odparła. - O której mamy być na miejscu?

- Zaczynamy o dziewiątej trzydzieści, więc chyba między dziewiątą a dziewiątą piętnaście... Dzieci będą pani towarzyszyć, prawda?

- Tak, cała trójka.

- Nie mamy tu żadnych szczególnych udogodnień, niestety, ale zaprowadzę panią z dziećmi do jednej z poczekalni, a jeżeli przyjdziecie trochę wcześniej, oprowadzę was po budynku sądu, pokażę salę, wasze miejsca, i tak dalej. Nie będzie się pani tu czuła tak obco, to trochę pomaga. I jeszcze... Muszę panią ostrzec, że pewnie zjawią się dziennikarze.

- Dziennikarze! Nie można temu zapobiec?

- Obawiam się, że nie. Tego rodzaju sprawy są otwarte i przedstawiciele prasy mogą w nich uczestniczyć, jeśli chcą. Pani mąż był znaną postacią i gazety podały wiadomości o jego śmierci i pogrzebie. Ten słynny artykuł młodego dziennikarza z „News” w dużym stopniu dotyczył pana Beaumonta, więc... więc przypuszczam, że dziennikarzy będzie sporo. Bardzo mi przykro z tego powodu. Sprawę poprowadzi wyjątkowo miły koroner, doktor Holden, człowiek rozważny i wyrozumiały, który świetnie radzi sobie z mobilizowaniem świadków.

- Zmobilizowaniem?

- Tak! Widzi pani, ludzie często grzęzną w szczegółach, gubią się, raz po raz wracają do tego samego, a doktor Holden nie pozwala na takie rzeczy. Na pewno doceni pani jego umiejętności. I jeszcze coś - złoży pani zeznania jako pierwsza. Wydaje mi się, że tak będzie dla pani lepiej, bo później nie będzie pani musiała tak się denerwować.

- Dziękuję - powiedziała Elizabeth. - Chciałabym wiedzieć... O co może zapytać mnie koroner?

- Na pewno poprosi o potwierdzenie, że zidentyfikowała pani męża. To tylko formalność, ale wymagana w oczach prawa. Mamy już pani zeznania, więc sporo pytań będzie odnosić się właśnie do nich - jak oceniała pani stan zdrowia męża pod względem fizycznym i umysłowym, czy miał jakieś problemy ze zdrowiem, czy powiedział coś, co by wskazywało, że zastanawiał się nad odebraniem sobie życia.

- Rozumiem... Bardzo panu dziękuję! Do zobaczenia w środę.

- Do zobaczenia. Gdyby drzwi były jeszcze zamknięte, proszę zadzwonić, a ja otworzę.

Elizabeth odłożyła słuchawkę i powoli pokręciła głową. Jak uda jej się przeżyć ten straszny dzień? Jak?

Debbie bała się sprawy, to znaczy nie tyle samej sprawy, ile tego, że może spotkać w sądzie Joela. Mocno zaangażował się przecież w sprawę Lloyd'sa, a jego artykuł został opublikowany na kilka dni przed śmiercią Simona. Nie wyobrażała sobie, jak to będzie. Usiądą w tej samej sali, zamknięci w tych samych ścianach, oddychając tym samym powietrzem... Jak ona to zniesie?

Plan Flory zadziałał. Poradziła Debbie, żeby porozmawiała z Richardem szczerze i krótko, i powiedziała mu, że jest jej przykro, ale naprawdę nie może przyjechać do Szkocji już na nowy semestr.

- Naturalnie Richard wpadnie w złość, ale jakoś to przetrawi. A gdyby zaczął przesadzać, sama z nim pomówię, dobrze?

- Dziękuję, Floro... Bardzo ci dziękuję.

Richard wpadł w furję i zamiast zamknąć się w sobie, co zwykle robił, nakrzyczał na Debbie: jak wytłumaczy Morag tę zwłokę, jak poradzi sobie z pracą, znowu sam, co ze szkołami, z których mieli wypisać dzieci, co z domem, który przecież mieli sprzedać. I skąd ma mieć pewność, że Debbie za parę miesięcy nie zachowa się tak samo, a potem znowu i znowu?

- Nie możesz mieć takiej pewności - odparła spokojnie. - Masz tylko moje słowo, że na następny semestr przyjadę do Szkocji. Musisz mi zaufać, nic więcej nie mogę zrobić.

Powiedziała, że ze szkołami nie będzie problemu; dzwoniła już, żeby się dowiedzieć, czy dzieci mogą zostać i okazało się, że nie ma przeszkód. Co prawda, na miejsce Aleksa zapisano już innego chłopca, ale jego klasa była tak mała (15 osób!), że dyrektor bez wahania zgodził się dopisać go do listy. Jak na ironię, najtrudniej było załatwić sprawę w szkole państwowej, lecz i tak się udało.

Anna była zachwycona, że Debbie zostaje w Know How jeszcze na trzy miesiące; nie znalazła nikogo na jej miejsce i nie zdążyła ustalić, które sprawy Debbie mogłaby prowadzić ze Szkocji. Pozostała więc tylko Morag, która, jak powiedział Richard, bardzo się zdenerwowała, ale jednocześnie zachowała się po prostu wspaniale i z ogromnym zrozumieniem. Przekazał rodzinie tę informację przy kolacji, odbywszy wcześniej długą konferencję telefoniczną ze swoją zachwycającą szefową. Debbie i Flora, która właśnie tego dnia wróciła ze szpitala, zaniósł się bezradnym chichotem.

- Nie rozumiem, co was tak śmieszy! - oburzył się Richard.

- Twoja obsesja na punkcie tej kobiety - wyjaśniła Flora, ocierając załzawione oczy. - Gdybyś tylko posłuchał, jakim tonem o niej mówisz. Daj chwilę wytchnienia nam wszystkim, a zwłaszcza biednej Debbie! Nie wątpię, że Morag jest uosobieniem wszelkich cnót, lecz my, przeciętne śmiertelniczki, czujemy się przy niej nieprzyjemnie małe.

Mrugnęła do Debbie, która natychmiast znowu parsknęła śmiechem.

- Przepraszam, Richardzie, ale Flora ma rację, nie czujemy się na siłach, aby rywalizować z Morag - wykrztusiła.

I nagle zdała sobie sprawę, że przez co najmniej dziesięć ostatnich minut w ogóle nie myślała o Joelu, i że ten wybuch wesołości sprawił jej najprawdziwszą przyjemność. Tak, przyjemność, a przecież była głęboko przekonana, że już nigdy nie zazna tego uczucia. A więc była to następna drobna rzecz. Tak, życie mimo wszystko nie było takie złe... Przetrwam, pomyślała.

Ale jeśli będę musiała się z nim spotkać, znajdę się w punkcie wyjścia, dodała. I drugi raz już nie wypłynę na powierzchnię.

\* \* \*

Annabel nie miała żadnych wiadomości od Jamiego, uznała więc, że ani trochę nie pomyliła się w ocenie jego charakteru - był uparty i arogancki, prawdziwy Cartwright. Całe szczęście, że się go pozbyła. Nie rozpaczała nawet specjalnie z tego powodu, no, tylko z samego rana... I wieczorem, przed pójściem spać... I dość często w środku dnia... Tak czy inaczej, prawie przestała już płakać. No, może raczej płakała trochę rzadziej... Wiedziała, że poradzi sobie, że wyjdzie na prostą. Odniesie sukces, nie będzie żoną jakiegoś biznesmena, skazaną na siedzenie w domu. A kiedy zostanie pierwszą na świecie właścicielką wielkiej sieci salonów fryzjerskich, powiadomi go o tym. I będzie miała satysfakcję, poczuje, że naprawdę było warto.

Dzień przed sprawą kilka osób zadzwoniło do Elizabeth, aby się dowiedzieć, czy dobrze się czuje, i życzyć jej wszystkiego dobrego. Zadzwonił David Green, rzecz jasna, który miał przyjechać do Londynu i

zatrzymać się u nich. Zadzwoniła Catherine, kochana Catherine, i równie kochana Lucinda, która zwierzyła się Elizabeth, że strasznie się denerwuje i boi, że wszystko pokręci.

- Nie masz co pokręcić, Lucindo! - uspokoiła ją i roześmiała się, prawie wbrew sobie. - Musisz tylko odpowiedzieć na ich pytania, nic więcej!

- Tak, wiem, ale ja nie bardzo umiem odpowiadać na pytania. Powiedziałam kiedyś komuś, że nie wiem, gdzie jest Cadogan Square, chociaż staliśmy na Cadogan Square, pod drzwiami mojego domu! No, będzie, co ma być, ale stanę na głowie, żeby wszystko było w porządku! Mnóstwo buziaków, Elizabeth i do zobaczenia jutro.

Flora powiedziała, że Elizabeth musi spróbować się nie martwić.

- Niedługo będzie po wszystkim, zobaczysz! Ja też przez to przeszłam, po śmierci Williama również odbyło się dochodzenie, wiesz?

- Dlaczego?

- Umarł w ciągu dwudziestu czterech godzin od chwili przyjęcia do szpitala. Było to okropne, rzecz jasna, ale wydawało mi się dziwnie nierzeczywiste. Sprawa prowadzona przez koronera jest mniej formalna niż proces sądowy, mniej przerażająca.

- Przykro mi, że też przeżyłaś coś takiego, Floro.

- Och, jakoś to przeżyłam! Nie miałam zresztą innego wyjścia, prawda?

- No, tak... Powiedz, jak dotrzesz na miejsce.

- Przywiezie mnie mój przyjaciel Colin. Ma cudownego jaguara, takiego z bardzo niskim zawieszeniem, dzięki czemu bez trudu uda mi się wsiąść i wysiąść...

- Byłabym bardzo szczęśliwa, gdybyś mogła się u nas zatrzymać, ale mieszkamy teraz w pudełku po butach!

- W ogóle się tym nie przejmuj, kochanie! Colin zrobił już rezerwację w Savoyu, tam będzie nam bardzo wygodnie!

Mam nadzieję, że zarezerwował dwa osobne pokoje, pomyślała Elizabeth i natychmiast ogarnął ją żal, co zdarzało jej się bardzo często, że nie może podzielić się tą pyszną myślą z Simonem.

Zatelefonował również Joel Strickland.

- Cześć, Elizabeth! Chciałem tylko powiedzieć, że będę tam jutro. Mam nadzieję, że jakoś się trzymasz...

- Miło, że dzwonisz! Cóż, oczywiście trochę się boję.

- Naturalnie... Jednak rozprawa z koronerem nie jest taka fatalna, kilka razy byłem obecny w sądzie jako dziennikarz, więc mniej więcej wiem, co mówię. Dla ciebie będzie to trudne, ale koroner zwykle zachowuje się jak normalny człowiek. Może nie będzie tak źle, jak myślisz.

- Tak, ktoś mi już to mówił. Flora Fielding, chyba ją poznałeś...

- Tak. - W słuchawce zapadło dziwne milczenie. - Znam też jej synową. Ona też pewnie tam będzie.

- Tak. Milczenie.



- A twoja prześliczna córka? - zapytał Joel po długiej chwili, z nienaturalną wesołością.

- Wszystkie dzieci przyjadą ze mną.

- Dzielne dzieciaki! Ale nie ma się co dziwić, takie odziedziczyły geny! Pozdrów ode mnie Annabel!

Uroczy facet, pomyślała Elizabeth. Uroczy i dobry. Mam nadzieję, że ma równie uroczą i dobrą żonę albo dziewczynę.

Samolot British Airways z Barbados, który powinien wylądować w Londynie o czternastej trzydzieści, miał godzinne opóźnienie. Było już po piątej, kiedy Felicity Parker Jones wydostała się z lotniska, by następnie przez półtorej godziny przedzierać się taksówką przez korki wokół lotniska do swego domu koło Westdean w Sussex. Gdy w końcu dotarła na miejsce, wszystkie miejscowe sklepy były już pozamykane.

Felicity konała z głodu. Z żelazną konsekwencją nigdy nie jadła posiłku w samolocie, lecz widok tkwiącej w lodówce zapiekanki z ryby nie był zbyt atrakcyjny, a gospodyni Felicity poprzedniego dnia trafiła do szpitala z podejrzeniem zapalenia wyrostka robaczkowego. W zaistniałej sytuacji Felicity postanowiła pojechać do Klubu Żeglarskiego i po kilkuminutowej jeździe samochodem usiadła w barze, aby wypić dżin z tonikiem przed kolacją.

- Przyjemny urlop? - zapytał ktoś nagle.

- Wspaniały - odpowiedziała. - Świetne warunki do żeglowania. Kupiłam nową żaglówkę, dwunastometrową i jestem z niej bardzo zadowolona. Barbados to przepiękne miejsce. Jest tu gdzieś David Green? Chciałam go o coś zapytać.

- Nie, pojechał do Londynu - odparł Brian Thomas, sekretarz Klubu. - Z Andym Peasmarshem. Mają składać zeznania na jutrzejszej sprawie.

- Jakiej sprawie? - zdziwiła się Felicity.

- Kończącej dochodzenie w sprawie śmierci Simona Beaumonta. Pewnie wiesz, że zginął? Utonął, straszna tragedia.

- Tak, wiem, oczywiście! To naprawdę wielka tragedia. Ale dlaczego dochodzenie, na miłość boską?

- Wygląda na to, że mogło to być samobójstwo, z powodu fatalnej sytuacji finansowej, i tak dalej. Nikt nie wie na pewno, jak to było.

Felicity wpatrywała się w niego długą chwilę, a potem wstała. Gwałtownie pobiła pod opalenizną.

- Ja wiem na pewno, jak to było - powiedziała. - W każdym razie tak sędzę! Muszę natychmiast skontaktować się z Davidem Greenem, to bardzo ważne!

# ROZDZIAŁ 62

*STYCZEŃ 1991*

Debbie obudziła się bardzo wcześnie i od razu ogarnęły ją ostre mdłości. Wiedziała, że czeka ją ciężki dzień. Bardzo ciężki. Ale Flora będzie przy niej, więc da sobie radę. Jakoś... Taką miała nadzieję.

Czując nienawiść do samej siebie, wyjątkowo zadbała o swój wygląd. Powiedziała sobie, że ma przed sobą poważne wystąpienie i że przez parę chwil znajdzie się w centrum uwagi wszystkich osób na sali sądowej. I nagle przypomniała sobie, że gdy rozmawiali o sprawie, Joel opowiadał jej, że ludzie często przychodzą na tego rodzaju okazje ubrani w sposób rzucający się w oczy.

- Na ostatniej sprawie, w jakiej brałem udział, widziałem damę mniej więcej w wieku Flory, wystrojoną w futro i biżuterię z brylantami oraz zabawnego staruszka w kombinezonie hydraulika.

Debbie umyła włosy, włożyła nową bluzkę koszulową firmy GAP, czarny kostium, więcej niż zwykle czasu poświęciła na makijaż.

- Ładnie wyglądasz, mamusiu - zauważyła Emma. - Wychodzisz gdzieś na lunch?

- Nie, idę do sądu, mówiłam ci, co to takiego, pamiętasz? Muszę złożyć zeznania.

- Ojej! - zdumiał się Alex. - Trochę jak Rumpole, tak?

- Trochę - przytaknęła Debbie. - No, jedzcie śniadanie! Jenny odbierze was ze szkoły, bo ja mogę się spóźnić.

- Przyzwyczaiłam się do tego, że się nie spóźniasz - powiedziała Rachel, mocno obejmując matkę. - To o wiele przyjemniejsze!

Jeszcze jedna drobna rzecz... Debbie dostrzegła je coraz częściej. Czują, że tego dnia wszystkie będą jej potrzebne.

Flora wstała dwie godziny przed śniadaniem, które miała zjeść z Colinem. Musiała wykonać serię ćwiczeń fizjoterapeutycznych, zażyć środki przeciwbólowe, umyć się (Boże, wiele dałaby za możliwość kąpieli!) i ubrać. Wszystko to ciągnęło się bez końca. Ze znużeniem opadła na taboret przed toaletką, żeby się uczesać. Gdy ogarnęły ją wątpliwości, czy zostało jej jeszcze trochę siły, powiedziała sobie, że nie czas na żarty. Zupełnie jakby miała na co narzekać, w porównaniu z biedną Elizabeth i jej dziećmi, no i pewnie Debbie. Flora wiedziała, że Joel Strickland najprawdopodobniej będzie na sali i drżała o kruchą, świeżo odbudowaną równowagę Debbie. Dziwne, że w tej sprawie bez chwili wahania stanęła po stronie synowej. Niewątpliwie stało się tak dlatego, że sama przeszła przez podobne doświadczenia, od początku do końca, i doskonale rozumiała młodą kobietę. Miała nadzieję, że Debbie wyjdzie na prostą. Wszyscy powinni wyjść na prostą, zwłaszcza jeśli Richard trochę się postara. Odbyła już z nim jedną rozmowę i zamierzała odbyć następne. Bardzo kochała syna, zdawała sobie jednak sprawę, że nie zawsze jest wrażliwy, podobnie jak jego ojciec. Upięła włosy w kok, podniosła się i wyszła na korytarz, wspierając się na kuli.

Elizabeth także obudziła się wcześniej. Leżała spokojnie w niewielkim łóżku, wspominając ranek, kiedy ostatni raz widziała Simona, w znacznie większym łóżku. Powiedział jej, że ją kocha i przez cały następny dzień była absolutnie szczęśliwa, ostatni raz w życiu.

- Och, Simon! - odezwała się głośno. - Dlaczego musiałeś nam to zrobić? Dlaczego, dlaczego, dlaczego nie mogłeś zostać z nami i pozwolić, abyśmy ci pomogli?

Poczuła bolesne ukłucie dawnego gniewu i ucieszyła się. Dzięki złości łatwiej przetrwa ten dzień, tak, powinna być na niego zła. Jeżeli koroner wyda wyrok o samobójstwie albo wyrok otwarty, nigdy nie wybaczy mężowi. Nigdy.

\* \* \*

Przyjechali do sądu tuż po dziewiątej, wszyscy czworo, samochodem troskliwego Petera Hargreavesa - Annabel milcząca i zupełnie spokojna, Tilly drżąca ze zdenerwowania, Toby sztywny i rozmyślnie wyniosły, oraz Elizabeth. Dzień był piękny. Elizabeth zastanawiała się chwilę, czy może jej to jakoś pomóc i doszła do wniosku, że nie. Ciemne burzowe chmury byłyby znacznie bardziej na miejscu. Budynek, prawdopodobnie z epoki edwardiańskiej, zbudowany był z nieotynkowanej cegły i wyposażony w duże drewniane drzwi; stał przy szerokiej, wysadzonej drzewami alei na tyłach Brompton Road. Na zewnątrz czekał już mały tłum.

Przycisnęła guzik dzwonka, zgodnie z poleceniem pana Jeffriesa, który zjawił się natychmiast, z cudownie pogodnym, uspokajającym uśmiechem na twarzy.

- Dzień dobry, pani Beaumont! Jaki piękny ranek, prawda? A to pewnie...

- Annabel - przedstawiła się Annabel. - To jest mój brat Toby i moja siostra Tilly.

- Witam serdecznie! Może chcielibyście zajrzeć do sali, dopóki nikogo tam nie ma.

Poprowadził ich korytarzem, który wychodził na duży kwadratowy hol, i z ukłonem otworzył drzwi.

- Proszę bardzo - powiedział.

- Och... - zająknęła się Annabel. - Jest tu... jest tu całkiem miło.

Nie spodziewali się czegoś takiego. Znaleźli się w jasnym, wysokim pomieszczeniu, pełnym rzędów krzeseł, trochę jak w kaplicy. Był tu ogromny kominek, również w edwardiańskim stylu, wysokie, łukowato zwieńczone okna i bardzo ładne mosiężne kinkiety na ścianach. Miejsce dla koronera umieszczono na niewielkim podwyższeniu.

- Tutaj będziecie siedzieć - rzekł pan Jeffries, wskazując pierwsze dwa rzędy. - Tu są miejsca dla dziennikarzy, a tam miejsce dla świadka. Wszyscy pozostali siadają wedle własnego wyboru, przyjaciele pewnie wybiorą miejsca za wami, a rozmaitego rodzaju urzędnicy, lekarze i tak dalej, o, tam. Jest sporo miejsca, jak widać. No, dobrze. Macie jakieś pytania?

- Nie, chyba nie - odparła Elizabeth. - Chociaż jednak tak. Czy jest tu toaleta?

Od śniadania siusiała już trzy razy. Jak to możliwe, że dzieci wywierają tak obciążający wpływ na pęcherz.

Wypili kawę w poczekalni, słuchając narastającego gwaru z holu, przez który przechodziło coraz więcej osób. Elizabeth słyszała wysoki, melodyjny głos Flory, miękki, lekko wydłużający samogłoski głos Lucindy, ostry, mocny głos Blue, bas Martina Dudleya oraz przyciszony, nieco zmatowiały głos Debbie Fielding.

Potem pan Jeffries wprowadził ich do środka. Sala pełna była znajomych twarzy. Trochę jak na weselu, pomyślała Elizabeth i nagle przyszło jej do głowy, że może powinna przywitać się z każdym z osobna albo odmówić krótką modlitwę w intencji dobrego wyroku.

Usiedli we wskazanym rzędzie, Elizabeth między dziewczętami. Tilly wciąż drżała i z całej siły ścisnęła rękę matki, Annabel spokojnie wpatrywała się w przestrzeń, a Toby siedział ze wzrokiem utkwionym w swoich butach.

- Proszę wstać! - powiedział pan Jeffries.

Bocznymi drzwiami do sali wszedł koroner, doktor Holden. Skinął głową zgromadzonym, którzy znowu usiedli. Zaczęła się rozprawa.

Doktor Holden miał niezwykle miły głos - było to pierwsze spostrzeżenie Elizabeth. Dobrze ustawiony, modulowany głos wykształconego, kulturalnego człowieka, wyraźny i dobitny, choć wcale nie głośny. Czowała, że ten głos może jej pomóc. Koroner miał jasne, łagodnie siwiejące włosy i ubrany był w doskonale uszyty szary garnitur w jodełkę. Mógłby być jednym z ich sąsiadów w Boltons. Uśmiechnął się do niej lekko i odchrząknął.

- Dzisiejsza sprawa dotyczy śmierci przez utonięcie - oznajmił. - Możemy zaczynać, panie Jeffries?

Pan Jeffries podszedł do pulpitu dla świadków i złożył przysięgę. Biorąc pod uwagę przyjemny brak oficjalnej atmosfery w sali, Elizabeth nie spodziewała się, że usłyszy słowa o Wszechmogącym Bogu oraz prawdzie, całej prawdzie i tylko prawdzie.

Jeffries sięgnął po plik notatek i zaczął czytać.

- Zmarły został zidentyfikowany jako Simon Gerald Beaumont, wiek - czterdzieści siedem lat. Urodzony siedemnastego maja tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, zamieszkały pod numerem siedemnastym w Bolton Place w Londynie. Ciało znaleziono na wybrzeżu Francji, w Gravelines w pobliżu Calais, dwudziestego szóstego sierpnia ubiegłego roku, tam też przeprowadzono sekcję zwłok i stwierdzono, że przyczyną śmierci było utonięcie, tak zwane „suche utonięcie”, w trakcie którego woda dociera do szczytu krtani i zamyka ją, a zaraz potem następuje zatrzymanie akcji serca. Początkowo zmarły został zidentyfikowany we Francji na podstawie paszportu, który pozostał w kieszeni spodni, później przez swoją żonę, panią Elizabeth Beaumont. Zwłoki sprowadzono do Anglii i przewieziono do kostnicy szpitala Kensington i Fulham. Jeszcze parę tygodni przed śmiercią pan Beaumont zajmował stanowisko dyrektora i członka zarządu banku handlowego Graburn & French i...

Nie mogła się skoncentrować. Wszystko wydawało się jej nieistotne, nie miało z nią nic wspólnego. „Zwłoki” nie miały nic wspólnego z Simonem, „zmarły” także. Dziwne, naprawdę... Pan Jeffries nadal czytał; zgodnie z wynikiem badań toksykologicznych w próbkach krwi znaleziono ślady alkoholu i środka

przeciwbólowego, co oznaczało, że zmarły wypił jeden lub dwa kieliszki wina i zażył jedną, najwyżej dwie tabletki paracetamolu. Ilość tak jednego, jak i drugiego nie mogła spowodować utraty przytomności. Z tyłu czaszki znaleziono ślad po uderzeniu, prawdopodobnie bomem. Zmarły miał na sobie kamizelkę ratunkową, nienadmuchaną. Nic nie wskazuje na morderstwo czy choćby jego próbę; żaglówka, siedmiometrówka stylu Seal, została znaleziona następnego dnia na wodach kanału, w trakcie spokojnego dryfowania. Dzień przed śmiercią pan Beaumont był najprawdopodobniej w doskonałej formie fizycznej i w świetnym nastroju.

Doktor Holden wychylił się do przodu.

- Dziękuję, panie Jeffries. Chcielibyśmy teraz usłyszeć zeznania pani Elizabeth Beaumont. Zechce pan je odczytać?

Elizabeth słuchała, jak pan Jeffries informował sąd, gdzie zidentyfikowała ciało Simona, że o śmierci męża w wyniku utonięcia dowiedziała się od policji, że dzień wcześniej Simon był w dobrym humorze. Znowu zaczęła mieć kłopoty z koncentracją.

- Proszę zająć miejsce za pulpitem dla świadków, pani Beaumont - odezwał się doktor Holden cudownie uprzejmym głosem.

W jednej chwili wszystko stało się przerażająco rzeczywiste, rzeczywiste i straszne. Zrobiło jej się niedobrze, ogarnął ją lęk, ślina zaschła w ustach, zakręciło się w głowie. Wstała, spojrzała na doktora Holdena i odkryła, że nie jest w stanie się poruszyć.

- Czy dobrze się pani czuje, pani Beaumont?

W sali zapanowała cisza jak makiem zasiał, wszyscy wpatrywali się w Elizabeth. Widziała wiele twarzy, niektóre były serdeczne, inne zatroskane, poruszone, zażenowane... Uświadomiła sobie, że chociaż celowo wybrała luźny żakiet, jej ciąża musi być widoczna - była już w piątym miesiącu i nie miała prężnych mięśni dwudziestolatki, które pomogłyby ukryć ten fakt. Czuła się absurdalnie głupio i przeraźliwie samotnie, nagle w całej pełni dotarła do niej rozpacзлиwa sytuacja, w jakiej się znajdowała. Oto stała tu całkiem sama, w sali sądowej, owdowiała, ciężarna, wezwana do złożenia zeznań w sprawie męża, zmarłego męża, który zostawił ją, skazał na coś takiego...

Wtedy zobaczyła odwróconą ku sobie twarz Annabel, która także wstała i wzięła ją za rękę. Tilly też się podniosła i objęła ją w pasie. Elizabeth poczuła się pewniej, utracone siły wróciły.

- Tak - powiedziała, obdarzając obie córki szybkim uśmiechem. - Tak, dobrze się czuję, dziękuję.

Podeszła do pulpitu. Pan Jeffries podał jej szklankę wody. Z wdzięcznością wypła parę łyków, odstawiła szklankę i położyła dłoń na Biblii.

- Przysięgam Bogu Wszechmogącemu... - zaczęła powoli.

Słyszała, jak jej głos brzmi coraz pewniej, a kiedy skończyła, doktor Holden uśmiechnął się do niej. Poczula się tak, jakby właśnie zdała trudny egzamin i chyba tak właśnie było.

- Czy wolałaby pani złożyć zeznania, siedząc? - zapytał koroner.

- Nie - odparła Elizabeth. - Wolę stać, dziękuję bardzo...

- Doskonale. Mieszka pani pod numerem 14 przy Kensington Avenue i pracuje pani w agencji reklamowej Hargreaves, Harris & Osborne.

- Tak, wszystko się zgadza.

- Jakie stanowisko pani zajmuje?

- Dyrektora zarządzającego.

- Rozumiem. - Doktor Holden podniósł wzrok, lekko zaskoczony, i zaraz uśmiechnął się do niej.

Jego reakcja dodała jej pewności siebie, uświadomiła, że jej pozycja i osiągnięcia nadal robią duże wrażenie. Koroner wrócił do notatek.

- Przeprowadziła się pani pod obecny adres z Bolton Place, jak widzę. Może pani podać powód zmiany adresu?

- Tak. Zostaliśmy zmuszeni do sprzedaży domu. Straciliśmy dużo pieniędzy w rezultacie krachu Lloyd's i...

- Czy państwa dom został wystawiony na sprzedaż przed dwudziestym pierwszym sierpnia?

- Tak.

- Czy pani mąż był tym zdenerwowany i zaniepokojony? Faktem konieczności sprzedaży domu, w którym mieszkał z rodziną?

- Oczywiście! Obydwoje byliśmy tym zdenerwowani.

- Dziękuję... To pani zidentyfikowała ciała męża, czy tak?

- Tak, ja.

- A ostatni raz widziała go pani żywego wieczorem dwudziestego sierpnia. Czy mogłaby pani opowiedzieć nam o tym w paru słowach?

- Wróciłam do domu późno, Simon już drzemał. Pracowałam nad ważną prezentacją.

- Nad prezentacją? Proszę wyjaśnić nam, co to takiego.

- To określenie z branży reklamowej, opisujące pracę, przedstawianą klientowi, która ma służyć do promocji produktu.

- Rozumiem. Czy tamtego wieczoru odbyliście jakąś rozmowę?

- Nie, bo byliśmy okropnie zmęczeni. Od razu poszliśmy spać.

Ale wcześniej kochaliśmy się i poczęliśmy to dziecko... I była to ostatnia rzecz, jaką Simon zrobił dla mnie...

- Czy mąż powiedział pani, dokąd wybiera się rano?

- Nie, ale zostawił mi kartkę z wiadomością, że jedzie popływać na żaglówce. I że prawdopodobnie wróci wieczorem tego samego dnia, tylko późno.

- Nie widziała go pani tego ranka?

- Nie.

- Czy często pływał? W ciągu tygodnia?

- Często. Uwielbiał ten sport. Kiedyś miał własną żaglówkę, lecz musiał ją sprzedać. Zwykle nie pływał w ciągu tygodnia, ale ostatnio stracił pracę, został zwolniony przez zarząd banku, w którym pracował dwadzieścia pięć lat i...

- Niedługo do tego dojdziemy. Wracając do tamtego ranka - zostawiona przez męża wiadomość nie była dla pani niczym zaskakującym, czy tak?

- Nie, absolutnie nie.

- Mąż był wykwalifikowanym żeglarzem?

- Tak. Wygrał wiele regatowych zawodów, zdobył mnóstwo nagród.

- Czy przed dwudziestym sierpnia był przygnębiony? Zawahała się.

- Trudno mi nazwać to przygnębieniem, bo przygnębienie nie było w stylu Simona, ale... Martwił się. Jak już mówiłam, stracił dużo pieniędzy w Lloyd'sie, no i pracę. Wystawiliśmy dom na sprzedaż, nie była to więc pozytywnie nastrajająca sytuacja.

- Czy miał skłonności do przygnębienia?

- Nigdy. Brał życie takim, jakim było, walczył.

- Nie był w trakcie leczenia środkami uspokajającymi lub antydepresyjnymi?

- Nie, oczywiście że nie! Mówiłam już, że nie miał skłonności do przygnębienia.

- Czy ostatnio w państwa życiu zaszły jakieś inne zmiany?

- Tak... Mieliśmy dom w Sussex, który sprzedaliśmy ponad rok temu.

- Czy określiłaby pani swoje małżeństwo jako szczęśliwe? Przepraszam, że pytam o coś takiego, ale...

- Bardzo szczęśliwe - odparła zdecydowanym tonem, nagle bardziej niż przed chwilą świadoma swego zaokrąglonego brzucha.

- Dziękuję. Sytuacja w pani firmie jest stabilna, czy tak? Nie grozi pani utrata pracy?

- Nie.

- Ma pani sporą rodzinę. Troje dzieci w prywatnych szkołach.

- W chwili śmierci Simona tylko dwoje. Nasza najstarsza córka pracowała już od pewnego czasu.

- Rozumiem... Tak czy inaczej, dwoje to też spory wydatek.

- Tak, mogliśmy jednak pozwolić sobie na płacenie chesnego z mojej pensji. Nie budziło to zaniepokojenia Simona.

- Pani mąż zaangażował się w wytoczenie sprawy sądowej firmie Lloyd's, prawda?

- Tak, chociaż ta sprawa jeszcze się nie zaczęła.

- Przygotowania musiały dużo kosztować.

- Tak, faktycznie. Zamierzaliśmy pokryć część kosztów z pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży domu.

- Więc pani wspierała męża w tych poczynaniach, czy tak?

- Tak. Z początku uważałam, że jest to niepotrzebne ryzyko, ale zrozumiałam, że jeżeli damy pieniądze Lloyd'sowi, firma wkrótce zażąda od nas następnej spłaty, i tak w nieskończoność. Wspólnie doszliśmy do wniosku, że lepiej podać ich do sądu.

- No, tak... Bardzo pani dziękuję, może pani wrócić na miejsce. Chciałbym wysłuchać teraz zeznań lekarza rodzinnego pana Beaumonta.

Doktor Rice szybko złożył zeznania: Simon był w doskonałej formie fizycznej, wyjątkowo sprawny jak na swój wiek, spokojny, opanowany, bardzo optymistycznie nastawiony do życia. Doktor Rice przepisywał mu tylko kuracje antybiotykowe w przypadku infekcji, które zdarzały się bardzo rzadko, i z całą pewnością nie przepisywał mu leków antydepresyjnych ani nawet na sen. Ostatni raz widział Simona mniej więcej rok przed jego śmiercią, z okazji corocznych badań, które dowiodły, że pacjent jest w znakomitym stanie.

- Dziękuję, doktorze Rice. O zeznania poproszę teraz pana Martina Dudleya.

Dudley próbował usprawiedliwiać się już w zeznaniu pisemnym, a teraz, odpowiadając na pytania koronera, bronił się jeszcze zaciekłej. Nie chciał zwolnić Simona, ale został zmuszony do tego kroku przez warunki umowy o pracę. Pan Beaumont zamierzał czynnie zaangażować się w proces sądowy przeciwko firmie Lloyd's, groziło mu też bankructwo, nie mógł więc nadal piastować stanowiska dyrektora banku. Tak, wiadomość o zwolnieniu z pracy przyjął bardzo dobrze.

- Mówi pan o tym w taki sposób, jakby pan Beaumont był panu wdzięczny - rzekł doktor Holden, nieco szorstko. - Nie padły żadne ostre słowa, tak mam to rozumieć? Chciałbym przypomnieć, że składa pan zeznania pod przysięgą, panie Dudley!

Elizabeth miała ochotę podbiec do podwyższenia i uściskać koronera. Dudley sprawiał wrażenie głęboko zażenowanego.

- Jeśli dobrze sobie przypominam, pan Beaumont powiedział, że mogłem spróbować znaleźć jakieś inne wyjście z sytuacji. Był... był bardzo wzburzony.

- Co dokładnie powiedział?

- Nazwał mnie... Nazwał mnie marnym, małodusznym, tchórzliwym draniem - wyjął Dudley z najwyższą niechęcią.

- Coś jeszcze?

- Nie. No, powiedział, że ma nadzieję, iż nie wydaje mi się, że to go wykończy. Odparłem, że wcale mi się tak nie wydaje, w żadnym razie.

- I nic takiego nie przyszło panu do głowy?

- Nie. Pan Beaumont był świadomym swojej wartości, wykształconym człowiekiem o wysokich kwalifikacjach.

- Rozumiem. Co było dalej?

- Pan Beaumont opuścił budynek banku i nigdy więcej już go nie widzieliśmy.



- Dziękuję, może pan usiąść. - Koroner przyglądał się, jak Dudley wraca na swoje miejsce. - Światnie - odezwał się po chwili. - Co dalej?

Z zamyślonym wyrazem twarzy potoczył wzrokiem po sali. Założył się, że chciał być aktorem, przemknęło przez głowę Elizabeth.

- Wydaje mi się, że powinniśmy wysłuchać zeznań osób, które widziały zmarłego dwa lub trzy dni przed jego śmiercią - oświadczył doktor Holden. - Zaczniemy może od zeznań pani Lucindy Cowper.

Były wspaniałe, wszystkie te dziewczyny Simona. Wszystkie mówiły, że był zdumiewająco pogodny, jeśli weźmie się pod uwagę, ile miał zmartwień. Że był fantastyczny.

- Był dzielny, pełen optymizmu i dobry - powiedziała Lucinda.

- Często widywała pani pana Beaumonta? - zapytał doktor Holden. - Chodzi mi o to, czy byliście bliskimi przyjaciółmi.

- O, tak, bardzo bliskimi! Czasami umawialiśmy się na lunch, a przed urodzeniem dziecka...

- Dziecka?

- Tak, niedawno urodziłam dziecko. Dokładnie sześć tygodni temu.

- Ach, tak. Nadal jest pani mężatką, prawda?

- No, tak, jestem, ale dziecko...

Boże, jak zwykle mieszała jedno z drugim.

- Chyba lepiej zacznę raz jeszcze - powiedziała, patrząc na koronera dużymi, pełnymi przejęcia oczami. - Przepraszam bardzo. Byłam żoną kogoś, kto stracił mnóstwo pieniędzy w Lloyd'sie i przez tę sytuację poznałam Simona, pana Beaumonta, ale ojcem mojego dziecka jest... Był... Ojcem mojego dziecka jest ten pan, który tam siedzi - wskazała Blue, który podniósł się, jakby w oczekiwaniu na oklaski. - Nietrudno sobie wyobrazić, że był to dla mnie trochę trudny okres, lecz zawsze, gdy byłam przygnębiona, dzwoniłam do Simona, żeby chwilę z nim porozmawiać, i to natychmiast poprawiało mi nastrój. Simon wszystkich podnosił na duchu.

- A czy pani Beaumont wiedziała o tych pogawędkach? - spytał doktor Holden, nie ukrywając swojej sympatii dla Lucindy.

- Tak, oczywiście! Wszyscy mieliśmy powiązania z Lloyd'sem. Spotykaliśmy się w Ascot i w innych takich miejscach.

- Rozumiem. - Koroner ze wszystkich sił starał się nie roześmiać.

- Tak czy inaczej, było mi trochę smutno, bo Simon chciał zjeść ze mną lunch na dzień przed... Na dzień przed... O, Boże... - Lucinda przerwała i otarła oczy. - Miałam wyrzuty sumienia, ponieważ nie mogłam się z nim umówić. Ale on powiedział, że spotkamy się w następnym tygodniu, że zadzwoni i wtedy ustalimy termin...

- Więc nie ustaliliście terminu spotkania w czasie tej ostatniej rozmowy?

- Nie, nie ustaliliśmy.

- Dziękuję pani, pani Cowper.

Jako następna zeznania składała Catherine. Powiedziała, że Simon był dla niej bardzo miły, że załatwił jej pracę w banku, dzięki czemu wybrnęła z trudnej sytuacji.

- Ale kiedy został zwolniony, mnie także zwolniono. Simon bardzo się tym przejął.

- To znaczy?

- Simon się cieszył, kiedy mógł pomagać innym, było to dla niego ważne. Tamtego dnia, w przeddzień wypadku, odwiedził mnie z wielkim bukietem kwiatów i powiedział, że jest mu bardzo przykro.

- Przykro, że została pani zwolniona?

- Tak.

- Chociaż nie przez niego?

- Nie przez niego, oczywiście, ale czuł się za to odpowiedzialny. Simon miał ogromne poczucie odpowiedzialności.

Zapadła cisza. Doktor Holden szybko zapisał coś w notesie.

Gdzie on jest, myślała Debbie, ledwo przytomna z napięcia. Może w ogóle się nie pojawi, może jest już w Nowym Jorku. Boże, to okropne! To straszne! Za każdym razem, gdy ktoś otwierał drzwi, serce na moment przestawało jej bić. Boże, o, Boże...

- Chcielibyśmy wezwać teraz na świadka panią Deborah Fielding.

Dobrze, że nie musi składać zeznań ze świadomością, że on na nią patrzy. Dzięki temu będzie w stanie mówić i myśleć. Mimo to drżała na całym ciele, opierając rękę na Biblii i składając przysięgę. Przysłuchiwała się swoim zeznaniom, zeznaniom osoby, która najwyraźniej była bardzo opanowana i pewna siebie. Kto by pomyślał, że ta osoba uwikłała się w sieć szaleństwa, niebezpiecznego, zakłamanego, cudownego szaleństwa. Że była gotowa rzucić męża, rodzinę, wszystko, co miała. Kto by pomyślał, patrząc teraz na nią, spokojną, rozważną, elegancko ubraną.

Koroner uśmiechnął się do niej. Był całkiem przystojny, w gruncie rzeczy trochę podobny do Simona, tak, zdecydowanie miał coś z jego stylu.

Przypominał Simona, którego nie lubiła do chwili, gdy pokochała go za jego dobroć, cierpliwość, jaką jej okazywał, za jego zainteresowanie jej problemami i mądre rady. Oczywiście nie kochała go tak jak Joela, o, nie, było to zupełnie inne uczucie, ale jednak go kochała. A teraz Simona już nie było.

- Pani Fielding, czy mogłaby pani powiedzieć nam dokładnie, w jakich okolicznościach poznała pani pana Beaumonta?

- Tak. - Jej głos był słaby, słaby ze strachu.

Drzwi otworzyły się i... Nie, w porządku, to tylko woźny znowu przyniósł komuś karafkę z wodą, tym razem Florze. Dzięki Bogu, dzięki Bogu...

- Poznałam go przez moją teściową - powiedziała Debbie, już mocniejszym głosem. - Bardzo go polubiłam, a on okazał mi dużo, dużo dobroci.

- W jaki sposób?

- Doradzał mi w sprawach związanych z pracą. Był rzutki i bardzo inteligentny, i uwielbiał pomagać innym. Był kimś w rodzaju przyjaciela rodziny. Zwykle widywałam go, kiedy przyjeżdżał do Walii ze swoją córką i zatrzymywał się u mojej teściowej, która opiekowała się ich koniem.

Och, i jeszcze poznał mnie z moim kochankiem, zapomniałam o tym wspomnieć. Z moim kochankiem, który może w każdej chwili tu wejść...

- Rozumiem. O ile mi wiadomo, spotkała się z nim pani bezpośrednio po tym, jak stracił pracę.

- Tak. Zaprosiłam go wtedy na drinka.

- Pani zaprosiła go na drinka? Zwykle bywa odwrotnie, prawda?

- Nie było w tym nic dziwnego. Simon od czasu do czasu zapraszał mnie, więc uznałam, że teraz moja kolej.

- No, tak... Miło, że pani o tym pomyślała. W jakim nastroju był pan Beaumont tamtego dnia, pani zdaniem?

- Był trochę zdenerwowany i niespokojny, ale miał mnóstwo planów. Zamierzał doprowadzić do tego procesu i...

- Tak jest. Państwa spotkanie odbyło się kilkanaście dni przed tą ostatnią, tragiczną w skutkach wyprawą pana Beaumonta.

- Tak, mniej więcej dwa tygodnie.

- Czy potem jeszcze go pani widziała?

- Rozmawiałam z nim kilka razy przez telefon, także w przeddzień śmierci.

- W jakim był wtedy nastroju? Debbie zawahała się chwilę.

- Był odrobinę przytłumiony.

- Mogłaby pani sprecyzować to określenie?

- Był mniej... mniej pogodny niż zwykle. Ale z całą pewnością nie przygnębiony!

- To on zadzwonił do pani, prawda? W jakim celu?

- Żeby pogawędzić. I zaprosić mnie na lunch, ponieważ miał dużo wolnego czasu.

- Przyjęła pani zaproszenie?

- Nie, bo tamtego dnia nie mogłam.

Powiedziała wtedy coś znacznie gorszego. Powiedziała, że jest zbyt zajęta, żeby rozmawiać. A może właśnie to okazało się ostatnią kroplą? Może to przechyliło szalę?

- Simon powiedział, że w takim razie umówimy się innego dnia, może w następnym tygodniu.

- Tak. Dziękuję pani! Poprosimy teraz drugą panią Fielding, panią Flore Fielding. - Koroner popatrzył na Flore, której Colin pomagał właśnie podnieść się z krzesła. - Jest pani w stanie dotrzeć do miejsca dla świadków?

- Oczywiście.

Przeszła przez salę, wspierając się na kulach, i stanęła za pulpitem. Wyglądała absolutnie cudownie w zakiecie z niebieskiego welwetu. Miała go na sobie, kiedy ostatni raz spotkała się z Simonem, i teraz włożyła celowo, ze względu na pamięć o nim, żeby na pewno go nie zawieść.

- Czy mogłabym powiedzieć coś, zanim zaczniesz pan zadawać pytania? - odezwała się, złożony przysięgę. - Otóż gdy pod koniec naszego ostatniego spotkania spytałam pana Beaumonta, czy coś może go przygnębić, odpowiedział, że raczej nie.

- Zgodnie z procedurą sądową to ja zadaję pytania, pani Fielding - oświadczył Holden. - A pani na nie odpowiada. Proszę przestrzegać tych zasad.

- Dobrze.

- W jakim nastroju był pan Beaumont po południu tamtego dnia, kiedy zjedliście razem lunch?

- Był bardzo zdenerwowany, przede wszystkim wściekły.

- Z jakiego powodu?

- Zaangażował się w przygotowania zmierzające do wytoczenia procesu firmie Lloyd's, oczywiście wszystko to było w początkowym stadium, ale Simon starał się zgromadzić dowody.

- Właśnie. Mamy tu oświadczenie pani Broadhurst z kancelarii prawniczej Evans Dixon Campbell, wysłuchamy jej w następnej kolejności. Tak czy inaczej, jak postępowało zbieranie dowodów?

- Nie najlepiej. Myślałam, że mój agent z Lloyd's udostępni nam jakieś użyteczne informacje, ale nic z tego nie wyszło.

- Rozumiem. Pan Beaumont przywiązywał wielką wagę do tych informacji, prawda?

- Tak, wiązał z nimi duże nadzieje.

- Czy to znaczy, że był rozczarowany?

- Tak. Był zawiedziony.

- W jakich okolicznościach się poznaliście?

- Na spotkaniu w sprawie Lloyd'sa, to znaczy na spotkaniu członków naszego głównego syndykatu w Lloyd'sie. Zaprzyjaźniliśmy się. Opiekowałam się koniem jednej z córek pana Beaumonta, koń przebywał w stajni na terenie mojej posiadłości w Walii.

- Pan Beaumont musiał być pani ogromnie wdzięczny.

- Tak.

- Więc pani także jest ofiarą Lloyd'sa? I... Proszę wybaczyć ciekawość, ale czy wyszła pani z tego bez szwanku?

- Nie, w żadnym razie. Mój dom został uratowany dzięki prawnemu kruczkowi, dość interesującej prawnej komplikacji, ale wtedy byłam przekonana, że go stracę. Pan Beaumont bardzo się tym przejmował.

- Z jakiego powodu?

- Z powodu konia swojej córki, który przebywał w mojej stajni. Było oczywiste, że nie będę mogła trzymać go w jakimś mieszkanku w Swansea.

- Z pewnością! - W oczach doktora Holdena zalśniły isierki rozbawienia. - Krótko mówiąc, pani sytuacja pociągła za sobą nowe zmartwienia i troski dla pana Beaumonta.

- Tak, jestem jednak przekonana, że Simon coś by wymyślił. Był bardzo, bardzo rzutkim i przedsiębiorczym człowiekiem.

- Oczywiście. Pozwoli pani, że zapytam jeszcze raz - czy kiedy rozstawaliście się tamtego popołudnia, był wyraźnie zdenerwowany?

- Tak, był - odparła Flora. - Ale jak już mówiłam, ani na chwilę nie stracił pozytywnego nastawienia do życia.

- Dziękuję pani... Może pani usiąść.

Zawiodła go! Czuła się po prostu okropnie. Zmarnowała szansę, niepotrzebnie odezwała się, kiedy nie powinna była tego robić, jak zwykle starała się zdominować wszystkich, nawet koronera... I zaszkodziła sprawie Simona. Nagle łzy napłynęły jej do oczu i trąciła Colina, aby podał jej chusteczkę.

Z zaniepokojeniem patrzył, jak ocierała oczy. Takie objawy słabości były u Flory rzeczą naprawdę niezwykłą.

Przy pulpicie stanęła Fiona Broadhurst, bardzo pewna siebie i opanowana.

- Czy często umawia się pani z klientami na lunch w restauracji Caprice? - Doktor Holden uśmiechnął się do niej, prawie porozumiewawczo.

Podoba mu się, pomyślała Elizabeth. Tak, podoba mu się to, co Fiona sobą reprezentuje - prawo i porządek.

- Nie, niezbyt często. Jednak pan Beaumont był bardzo hojny.

- Mimo że był praktycznie zrujnowany?

- Nie wydaje mi się, aby ruina finansowa musiała zmieniać osobowość człowieka - oznajmiła chłodno Fiona.

- Najwyraźniej nie musi tak być. Proszę mówić dalej.

- Oświadczył, że ma mi do powiedzenia coś ważnego.

- Co chciał pani powiedzieć?

- Że ma pewne dowody, taką w każdym razie miał nadzieję, dowody nagrane na taśmie magnetofonowej. Musiałam wyjaśnić mu, że sąd ich nie uzna, ponieważ osoba, której słowa mogły stanowić dowód, nie wiedziała, że jest nagrywana. Jednak sędzia mógłby w pewnym stopniu wziąć je pod uwagę...

- Tak jest - zgodził się doktor Holden.

Fiona Broadhurst obrzuciła go bardzo chłodnym spojrzeniem.

- Jak pan Beaumont przyjął tę wiadomość?

- Zdenerwował się. Moje słowa podważyły jego przekonanie o powodzeniu sprawy.

Boże, to nie prowadzi do niczego dobrego, pomyślała Elizabeth. Lepiej by było, gdyby tego nie mówiła.

- Dużo słyszeliśmy o pozytywnym nastawieniu do życia, które reprezentował pan Beaumont. Pani jest pierwszą osobą, która przyznała, że ten optymizm mógł ulec zachwianiu.

Fiona milczała.

- Co było dalej?

- Pan Beaumont powiedział, że nadal chce walczyć o proces.

- Czy był rozczarowany pani reakcją na wiadomość, którą pani przekazała?

- Tak... Można to tak określić.

- Rozumiem. Czy później jeszcze o tym rozmawialiście?

- Nie. Pan Beaumont powiedział, że sam przekaże wszystko pozostałym zainteresowanym. Później rozmawialiśmy o innych sprawach.

- Prawnych?

- Nie, raczej ogólnych.

- Czy wtedy, w restauracji, żadne z państwa nie rozmawiało z nikim innym? Nikt nie podszedł do państwa stolika, na przykład?

- Chwileczkę. Ja poszłam odebrać telefon, a kiedy wracałam, zauważyłam, że pan Beaumont z kimś rozmawiał.

- Witał się tylko czy wyglądało to na dłuższą rozmowę?

- Chyba jednak rozmawiali... Ona...

- Ona? Więc była to kobieta?

- Tak.

- Młoda kobieta?

- Między trzydziestką a czterdziestką. Dała mu wizytówkę, a potem wróciła do swojego stolika i już więcej nie rozmawiali.

Elizabeth mocno zacisnęła dłonie. Stary, dobrze znany lęk ogarnął ją zimną falą.

- Pan Beaumont nie powiedział pani, z kim rozmawiał?

- Nie.

- Dziękuję bardzo.

Koroner zwrócił twarz ku sali i uśmiechnął się lekko, czarująco.

- Mamy więc człowieka, któremu nie brakowało powodów do przygnębienia, który powinien być w depresji, jak podpowiada nam logika, lecz który najwyraźniej wcale nie był przygnębiony. Godne podziwu! Nie ulega wątpliwości, że pan Beaumont miał bardzo silny charakter. Myślę, że powinniśmy teraz zrobić sobie krótką przerwę, rozprostować nogi, ugasić pragnienie. Zależy mi też na wysłuchaniu zeznań pana Stricklanda, dziennikarza. Czy jest już może na sali, bo wiem, że miał się spóźnić?

Jak to możliwe, że ktoś wypowiada jego nazwisko w tak naturalny, normalny sposób, zdziwiła się Debbie. I jak to możliwe, że ja siedzę tu zupełnie spokojnie, patrząc na koronera, podczas gdy tak naprawdę chce mi się skakać i krzyczeć.

- Miałem wiadomość, że pan Strickland jest już w drodze, doktorze Holden. Powinien dotrzeć w ciągu pół godziny. Wczoraj wieczorem musiał być w Liverpoolu i pociąg, którym wraca, miał duże opóźnienie.

- Coś niesamowitego! - rzekł z uśmiechem doktor Holden. - Dziękuję! W takim razie spotkamy się za piętnaście minut...

- Proszę wstać! - powiedział pan Jeffries.

Doktor Holden zszedł z podwyższenia i zniknął, a życie na chwilę znowu wróciło do normy.

Toby był wściekły.

- Ten facet każdemu podstawia nogę, stara się skłonić ludzi, żeby przyznali, że tata był przygnębiony, chociaż wcale tak nie było!

- Wiem. - Elizabeth ze znużeniem kiwnęła głową.

Kim była ta kobieta, która dała Simonowi wizytówkę? W ostatnie popołudnie jego życia. Jak on śmiał?! I jak ona śmiała...

Debbie szybkim krokiem podeszła do jednego z urzędników.

- Złożyłam już zeznania - powiedziała. - Czy mogę iść?

- Pewnie tak. Zaraz zapytam pana Jeffriesa!

Szybko, panie Jeffries, szybko! Muszę uciec stąd, zanim... Zanim...

- Tak, może pani iść. Czy można skontaktować się z panią telefonicznie, gdybyśmy potrzebowali jeszcze jakiejś informacji? To bardzo mało prawdopodobne, ale... Nie wyjeżdża pani teraz z Londynu, prawda?

- Nie, nigdzie nie wyjeżdżam i mam komórkę! Numer jest tutaj, na wizytówce, proszę spojrzeć.

- Doskonale, przekażę numer sądowi, ale pewnie nie będzie nam potrzebny. Dziękuję, że pani przyszła.

Pobiegła korytarzem do wyjścia. Wiedziała, że później będzie musiała pożegnać się z Florą, zadzwonić do Elizabeth, zapytać o werdykt, ale teraz musiała uciekać, natychmiast, szybko, zanim...

Wypadła na zalany słońcem trotuar. Zmrużyła oczy i wtedy zobaczyła podjeżdżającą pod gmach sądu taksówkę. Nie, nie, tylko nie to! Tak, tak, błagam...

Stał na chodniku, dziesięć metrów od niej, może mniej, zupełnie nieruchomy i nie odrywał od niej wzroku. Ona także zatrzymała się i zamarła, znieruchomiła w czasie i lęku, i tęsknocie, tęsknocie za nim.

Za nim, którego kochała najbardziej na świecie, z wyjątkiem... Z wyjątkiem... Płakała za nim, tęskniła za nim, śniła o nim, tak, śniła o nim noc w noc. Wspominała siłę jego miłości i jego pieszczot, i nadal tak bardzo, tak bardzo go pragnęła. A teraz stał przed nią, naprawdę, i wystarczyło, żeby wyciągnęła rękę, żeby coś powiedziała. Zeszła z krawężnika i ruszyła ku niemu, na drugą stronę ulicy, zupełnie jak zaczarowana, jakby przyciągał ją potężny magnes, a on zrobił to samo. Patrzyli sobie prosto w oczy, a jej oczy były pełne łez.

I całkiem niewykluczone, że jednak by to zrobiła. Zapomniałaby o wszystkich swoich odważnych postanowieniach i odeszła z nim prosto w szczęście, ale taksówkarz nacisnął klakson.

- Jeszcze piątaka proszę! - krzyknął.

Joel odwrócił się na chwilę i w tym momencie Debbie odzyskała siłę woli i równowagę, i rzuciła się pędem przed siebie. Biegła szybciej, niż wydawałoby się to możliwe, bo przecież miała na nogach pantofle na wysokich obcasach, dysząc, z trudem chwytając powietrze. Uciekała, uciekała od niego, od wszystkiego, co ich łączyło, przerażona, że on pobiegnie za nią, że odezwie się do niej, dotknie jej ramienia. I całym sercem pragnęła, aby jednak to zrobił...

Ale nie pobiegł za nią i po pięciu minutach poczuła się bezpieczna. Szła dalej szybkim krokiem, chyba bardzo długo, a gdy wreszcie się rozejrzała dookoła, była w McDonalddie. Osunęła się na krzesło i utkwiała wzrok w drzwiach, przerażona, że on zaraz tu wejdzie, a potem zaczęła płakać, bardzo cicho, ponieważ zrozumiała, że jednak nie.

## ROZDZIAŁ 63

*STYCZEŃ 1991*

Gdy Joel złożył zeznania, Elizabeth była bliska rozpaczy. Zebrani na sali usłyszeli kolejną opowieść o rozczarowaniu; o przekonaniu Simona, że Joel wręczył mu pistolet z jeszcze dymiącą lufą, przekonaniu, które podważyła Fiona Broadhurst.

Joel wszedł do sali bardzo zdenerwowany, poruszony, pewnie opóźnieniem pociągu i pośpiechem. Kiedy po złożeniu zeznań usiadł, na moment ukrył twarz w dłoniach, zaraz jednak wyprostował się, uśmiechnął do niej i do Annabel, wyraźnie zmęczony, i utkwił wzrok w koronerze.

Następnym świadkiem był David Green. Jego zeznania zajęły dużo czasu. Opisał wszystko dokładnie, ze szczegółami, od chwili, gdy Simon przybył do Klubu Żeglarskiego („Później niż planował, między dziesiątą trzydzieści a jedenastą”) do momentu, kiedy po kilkudziesięciu minutach odcumował żaglówkę Davida i powiedział, że wróci za pięć, sześć godzin.

- W jakim był stanie? - zapytał doktor Holden. - Chodzi mi o stan ducha.

- Był bardzo pogodny, można nawet powiedzieć, że podekscytowany.

- Naprawdę?

- Tak. Uparł się, żeby zamówić butelkę szampana, którą wypiliśmy do spółki, zanim odpłynął.

- Nie podzielił się z panem przyczyną swego podniecenia?

- Nie.

- Nie odniósł pan wrażenia, że pan Beaumont był nadmiernie podniecony?

Elizabeth poczuła, że ramię Toby'ego zeszywniało. Pośpiesznie położyła dłoń na jego ręce i ścisnęła ją lekko.



- Nie - odparł David Green. - Zachowywał się jak zwykle, gdy był czymś bardzo uradowany.

- Popłynął pańską żaglówką, prawda? Pożyczył mu ją pan?

- Tak jest.

- Często pożycza pan swoją żaglówkę?

- Od czasu do czasu, zwłaszcza Simonowi. Był bardzo przejęty koniecznością sprzedaży „Lizzie”, to chyba oczywiste. Powiedziałem, że gdyby chciał popłynąć, może wziąć moją łódź.

- Powiedział panu, dokąd się wybiera?

- Zastanawiał się, czy nie popłynąć do Francji i nie zatrzymać na noc w małym hoteliku w Saint Vaast, kilkanaście kilometrów od Cherbourga, w którym często nocujemy, ale miał dużo zajęć i planował wrócić wieczorem, prawie na pewno.

- Pogoda była dobra?

- Doskonała, z lekką bryzą. „To będzie świetny wypad, powiedział... - David Green przerwał i wydmuchał nos. - Świetny wypad, godny uwiecznienia w kronikach”. Często używał tego określenia.

W sali zapanowała cisza.

- Jaka była prognoza pogody? - zapytał koroner.

- Meteorolodzy ostrzegali, że nad kanałem mogą przejść dość mocne wiatry, ale nie zanosilo się na nic szczególnego, ot, po prostu trochę silniej powieje i podróż będzie ciekawsza.

- Rozumiem. Więc pan Beaumont szybko odpłynął, tak?

- Tak. Odprowadziłem go do miejsca, gdzie przycumowana była „Princess Charming”. Miał ze sobą kamizelkę ratunkową, włożył ją przy mnie, kiedy wyjaśniałem mu różne rzeczy związane z łodzią.

- Co chciał pan powiedzieć panu Beaumontowi na temat swojej żaglówki?

- Och, że zainstalowałem nową radiostację, jedną z tych bardzo nowoczesnych. Pokazałem, jak działa, chociaż w gruncie rzeczy jest to tylko zmodernizowana wersją poprzedniej.

- Więc nie powinien być mieć z nią żadnych problemów?

- Nie, skądże! Powiedziałem też, że w schowku jest kilka puszek piwa. Simon zapytał, czy mam w szafce paracetamol, bo boli go głowa. Odparłem, że niepotrzebnie pił szampana do śniadania, a on oświadczył, że szampana można pić zawsze. A potem... Potem... Potem pożegnał się ze mną.

- Jak brzmiały jego słowa, jeśli pan pamięta?

- „Cześć, David, serdeczne dzięki, powiedział. Życz mi szczęścia”.

- Dlaczego chciał, żeby życzył mu pan szczęścia, jak pan myśli?

- Nie mam pojęcia.

- Często mówił coś takiego?

- Kiedy startowaliśmy w regatach. Normalnie nie...

- Więc dlaczego akurat tym razem?

- Chyba po prostu był podniecony perspektywą żeglugi, cieszył się na ten dzień, bardzo chciał popłynąć... - głos Davida Greena ucichł nagle.

- Tak, oczywiście. Kiedy zaczął pan podejrzewać, że coś jest nie w porządku?

- Zacząłem się niepokoić, kiedy nie wrócił wieczorem, a potem usłyszałem wiadomości o paskudnym sztormie na kanale.

- Ale nawet wtedy jeszcze się pan nie denerwował?

- Nie, jeszcze nie. Pomyślałem, że pewnie jednak zdecydował się przenocować we Francji.

- Próbował pan nawiązać łączność z żaglówką?

- Tak. Starłem się skontaktować z Simonem przez cały wieczór, lecz nie odpowiadał. Wiedziałem zresztą, że jeśli przycumował we Francji, to zszedł na ląd i mnie nie słyszy. Niepokoiłem się, ale tylko trochę. Simon był doskonałym żeglarzem, niewiele jest sytuacji, z którymi nie dałby sobie rady, ale oczywiście nikt nie potrafi przewidzieć, co stanie się podczas sztormu. Moja żaglówka nie jest zbyt duża, „Lizzie” Simona była znacznie większa, więc siłą rzeczy znalazł się w większych opałach, niż mógł przewidzieć.

- Naturalnie. Kiedy otrzymał pan pierwszą wiadomość o znalezieniu pańskiej żaglówki?

- Następnego dnia rano. Dryfowała na wodach na południe od Calais. Maszt był lekko uszkodzony, ale poza tym wydawała się nienaruszona.

- Czy natychmiast przyszło panu do głowy, że pan Beaumont musiał mieć wypadek?

- Tak, od razu, niestety. Zawiadomiłem więc odpowiednie służby i...

Doktor Holden zarządził następną przerwę - godziną, na lunch.

Elizabeth i jej dzieciom przyniesiono kanapki oraz kawę, natomiast reszta zebranych wyruszyła na poszukiwanie czegoś do jedzenia. Z budynku wyszli wszyscy poza Joelem Stricklandem, który został w drugiej, większej poczekalni. Annabel zobaczyła go, kiedy poszła po świeżą kawę.

- Cześć, Joel, miło cię widzieć! Wszystko w porządku?

- Och, tak. Tak, dziękuję.

Najwyraźniej wyrwała go z głębokiego zamyślenia, bo uśmiechnął się do niej dopiero po dłuższej chwili, z wyraźnym wysiłkiem.

- Jak twoja mama? - spytał.

- Nie najgorzej, jakoś się trzyma. Poczuję się lepiej, kiedy ten koszmar wreszcie się skończy. Oczywiście wszyscy modlimy się o przychylny werdykt, nie jestem jednak pewna, czy go usłyszymy. Mam wrażenie, że nie ma dosyć dowodów, które by potwierdzały tezę o wypadku, a tych innych jest całkiem sporo. Mamie będzie ciężko, jeżeli... No, wszystkim nam będzie ciężko.

- Oczywiście! - Joel westchnął ciężko i znowu zmusił się do uśmiechu. - Cóż, musimy mieć nadzieję. Holden to przyzwoity gość, bardzo uczciwy i dokładny. Miło było cię zobaczyć, Annabel.

Zupełnie jakby cokolwiek mogło być teraz dla niego miłe. Nawet rozmowy z oszałamiająco pięknymi dziewczynami, takimi jak Annabel. Chciał być z dziewczyną, która tak naprawdę wcale nie była piękna, która była trochę za chuda i miała uśmiech zdolny rozświetlić całą Anglię, uśmiech zdolny powalić każdego na kolana, jeśli tylko jej na tym zależało.

W progu stała Flora.

- Witaj, Joel! Cieszę się, że dotarłeś. Co słyszeć?

- Wszystko w porządku, dziękuję. Za dwa tygodnie wyjeżdżam do Nowego Jorku, będę prowadził naszą tamtejszą redakcję.

- Och, wspaniale! Zmiana scenerii dobrze robi każdemu, wierz mi! To doskonały środek na poprawę nastroju.

- Taką mam nadzieję.

- Minąłeś się z Debbie - powiedziała. - Musiała pędzić do pracy.

- Z Debbie? - powtórzył.

- Tak, Debbie, mój drogi. Ostatnio jest trochę przygnębiona, ale wydaje mi się, że powoli wraca do siebie. Jest taka dzielna. Jestem z niej bardzo dumna i bardzo jej współczuję.

- Ach... No, tak...

Uśmiechnęła się do niego nagle, z wielką czułością, a potem delikatnie poklepała go po dłoni.

- Do widzenia, Joel. Dbaj o siebie i ciesz się Nowym Jorkiem. Będziesz zadowolony z tego wyjazdu, zobaczysz, nawet jeśli w tej chwili wydaje ci się, że to niemożliwe.

- Do widzenia, pani Fielding.

- Mów mi po imieniu, bardzo proszę. No, powinnam już wracać! Mój towarzysz pomyśli jeszcze, że uciekłam. Miejmy nadzieję, że koroner wyda dobry werdykt. Sprawiedliwy.

- Tak... Dziękuję, Floro.

O co jej chodziło, zastanawiał się, patrząc, jak odchodzi, podpierając się kulami. Czyżby próbowała mu powiedzieć, że wie? I że rozumie? Niemożliwe! Ale jednak... Jednak możliwe. Była wyjątkowo miłą osobą, zawsze starał się przekonać o tym Debbie. A ponieważ każda myśl o Debbie przejmowała go dotkliwym bólem, wyszedł z budynku i pomaszzerował przed siebie. Znalazł jakiś pub i wypił szklanekę piwa Michelob - czy kiedykolwiek będzie w stanie nie zareagować na tę nazwę łzami - i wrócił do sądu.

- Wysłuchamy teraz pana Phillipsa. Jest pan członkiem Królewskiego Stowarzyszenia Żeglarzy i, jeśli dobrze rozumiem, specjalistą od kamizelek ratunkowych. Kamizelka pana Beaumonta nie była nadmuchana - czy to znaczy, że zawiodła? Że była uszkodzona?

- Nie, w żadnym razie. Była to kamizelka nieautomatyczna, co znaczy, że należy pociągnąć za linkę, aby napełniła się powietrzem. Wiele osób nie ma zaufania do kamizelek tego typu, lecz mniej więcej tyle samo nie ma przekonania do tych automatycznych.

- Z jakiego powodu?

- Kiedy ulegną zmoczeniu, nadmiernie się wydymają, na przykład w czasie deszczu, mgły czy wysokiej fali i wtedy stają się niewygodne.

- Ale są bezpieczniejsze?

- Tak, jeżeli ktoś wypadnie za burtę, oczywiście przy założeniu, że zadziałają. Jak już mówiłem, nie zawsze można na nich polegać.

- Czy obejrzał pan kamizelkę, którą miał na sobie pan Beaumont?

- Tak.

- Czy była uszkodzona?

- Nie, po prostu nie napełniła się powietrzem.

- Co, pana zdaniem, może tłumaczyć ten fakt?

- Sądzę, że bom uderzył pana Beaumonta w głowę, a zwykle takie uderzenie ma ogromną siłę, proszę mi wierzyć, i ten stracił przytomność...

- Ale dlaczego bom był obluzowany? Wydawało mi się, że jest to podstawowe narzędzie, pozwalające utrzymać kontrolę nad łodzią.

- Oczywiście, lecz pan Beaumont najwyraźniej wpadł w sztorm, gorszy, niż się spodziewał, co oznacza, że miał pełne ręce roboty. W takiej sytuacji wystarczy parę sekund nieuwagi i już wszystko wymyka się spod kontroli. Więc gdy bom uderzył go w głowę, stracił przytomność, wpadł do wzburzonej wody i nie pociągnął za linkę, łatwo to sobie wyobrazić. Poszedł pod wodę, więc nawet jeśli na moment odzyskał przytomność...

- Tak, rozumiem! Słyszał pan może o innych tego rodzaju przypadkach? Chodzi mi o nienadmuchane kamizelki ratunkowe?

- Zdarza się to rzadko, ale jednak się zdarza.

- Więc dlaczego ludzie nadal ich używają?

- Jak już mówiłem, kamizelki automatyczne potrafią ograniczać ruchy, no i nie zawsze można na nich w pełni polegać.

- Dziękuję panu... Chciałbym...

Drzwi sali otworzyły się i do środka zajął jeden z sądowych urzędników. Szybko podszedł do pana Jeffriesa i powiedział mu coś na ucho. Obaj wyszli na korytarz i po chwili pan Jeffries wrócił, wyraźnie poruszony, z kartką, którą podał doktorowi Holdenowi.

Koroner przeczytał wiadomość, skinął głową i pan Jeffries znowu poprosił obecnych, by wstali. Doktor Holden ogłosił krótką przerwę i opuścił salę. Sprawiało to wrażenie sceny rodem z filmów z wątkiem sądowym, jak powiedziała Annabel do matki.

Po przerwie przez mniej więcej pół godziny słuchali eksperta, opowiadającego o żaglówkach, jachtach oraz ich jakości. Było to męczące i nudne. Ile jeszcze zdołam znieść, myślała Elizabeth. Czy naprawdę musi to tak długo trwać? Przecież...

- Wysłuchamy teraz pana Maurice'a Crane'a - oznajmił doktor Holden. - Z firmy ubezpieczeniowej Jenkins & Jenkins. Poprosimy o pisemne oświadczenie pana Crane'a, panie Jeffries. Panie Crane, proszę zająć miejsce dla świadków.

Elizabeth słuchała, jak Jeffries odczytuje oświadczenie Crane'a, że jest pracownikiem firmy Jenkins & Jenkins, że pan Simon Beaumont był jednym z jego klientów, że rano 20 sierpnia zasięgnął jego rady w sprawie polisy ubezpieczeniowej. Miała uczucie, że chodzi o coś bardzo ważnego, nie mogła się jednak zorientować, co to takiego.

- Był pan więc prawdopodobnie jedną z ostatnich osób, które rozmawiały z panem Beaumontem, prawda?

- Tak.

- I zadzwonił do pana do pracy? Czy klienci często telefonują do pana w sprawie polis?

- Tak, jeżeli chodzi o coś, co wymaga natychmiastowego wyjaśnienia ich wątpliwości albo działania.

- Rozumiem. Pan Beaumont zadzwonił, żeby zadać panu pytanie. Czego konkretnie dotyczyło?

- Jego polisy ubezpieczeniowej na życie.

- Polisy ubezpieczeniowej na życie - powtórzył doktor Holden. - Jak brzmiało pytanie?

- Zapytał mnie, czy jego polisa jest... Czy jest bezpieczna.

- Bezpieczna? To znaczy ważna? Nie do końca to rozumiem.

- Chodziło mu nie tyle o okres ważności polisy, ile... Po prostu, chciał wiedzieć, czy w przypadku jego śmierci kwota z ubezpieczenia na pewno przypadnie w udziale jego żonie i dzieciom, obawiał się bowiem, że Lloyd's może uznać te pieniądze za część jego majątku i zgłosić roszczenia.

W sali zapadła cisza jak makiem zasiał. Wszyscy siedzieli nieruchomo, wpatrzeni w Maurice'a Crane'a. Gdzieś w dole ulicy rozległo się wycie policyjnej syreny, niedaleko piskliwym jazgotem zaniósł się alarm samochodowy, w tle brzmiała kakofonia klaksonów. Elizabeth była pewna, że takie odgłosy już do końca życia kojarzyć się jej będą z tą chwilą. Z chwilą, kiedy zrozumiała, że tamtego ranka Simon musiał celowo wypłynąć w morze po to, aby się utopić. Aby zostawić ją na zawsze, bez słowa. Parę godzin wcześniej wyznawał jej miłość i kochał się z nią, a potem zostawił ją samą, na wieki. Drań, drań, drań...

- Co mu pan powiedział, panie Crane?

- Że polisa wystawiona jest na jego żonę i Lloyd's nie może jej tknąć. Nigdy, w żadnym razie. Że jest absolutnie bezpieczna.

- Ach, tak... I to był koniec waszej rozmowy?

- Tak. Pan Beaumont podziękował mi, zawsze był niezwykle uprzejmy, i odłożył słuchawkę.

- O której godzinie rozmawialiście?

- Koło dziesiątej trzydzieści.

- Czyli tuż przed przybyciem pana Beaumonta do Klubu Żeglarskiego. Czy głos i sposób prowadzenia rozmowy pana Beaumonta mogły świadczyć o jego zdenerwowaniu czy niepokoju?

- Nie. Powiedziałbym raczej, że pan Beaumont sprawiał wrażenie pozytywnie podekscytowanego.

- Podekscytowanego! W podobny sposób nastrój pana Beaumonta opisał pan Green... Dziękuję, panie Crane! - Koroner zawiesił głos. - Byłby to koniec zeznań, mamy jednak jeszcze jednego świadka, który zjawił się niespodziewanie, a posiada wiedzę o nowych faktach z ostatniego dnia życia pana Beaumonta. Zgodziłem się wysłuchać tego oświadczenia.

Środkiem sali przeszła jasnowłosa kobieta w kostiumie od Chanel, co w pełni docenić mogli tylko zorientowani; niezorientowani widzieli jedynie bardzo ładną garsonkę z różowego tweedu, z klapami ob-

sztytami takim samym materiałem w jaśniejszym odcieniu i spódniczką tuż przed kolana, odsłaniającą wspaniałe nogi. Blondynka była opalona, a jej rozjaśnione słońcem włosy przytrzymywała czarna wstążka. Miała różowe pantofelki na wyjątkowo wysokich obcasach. Rozejrzała się po sali i gdy jej oczy wreszcie zatrzymały się na Elizabeth i jej dzieciach, uśmiechnęła się lekko.

- Dziękuję pani za przybycie, pani Parker Jones! Panie Jeffries, proszę odczytać oświadczenie.

I tak wszyscy się dowiedzieli, że Felicity Parker Jones, rozwódka zamieszkała we wschodniej części hrabstwa Sussex, która ostatnie cztery miesiące spędziła, żeglując w okolicach Barbados, kilka razy spotkała Simona Beaumonta na rozmaitych regatach i żeglarskich imprezach. Że parę razy miała nawet okazję z nim pływać, że ostatni raz widziała go tamtego fatalnego ostatniego dnia rano i że spotkali się wtedy w hotelu St George w Arundel, aby omówić pewną propozycję. Felicity Parker Jones słyszała o utonięciu Simona, ale nie знаła szczegółów sprawy i aż do poprzedniego dnia wieczorem, kiedy to wreszcie wróciła do Anglii, nie miała pojęcia, że przyczyna śmierci jej dobrego znajomego jest przedmiotem dochodzenia.

- Więc ostatni raz widziała pani pana Beaumonta dwudziestego sierpnia. Gdzie to było?

- W restauracji Caprice.

To ona rozmawiała z nim przy stoliku, pomyślała Elizabeth. Oby jednak nie była to ona, nie, nie ta nadmiernie pewna siebie, twarda kobieta.

- Jadł z kimś lunch, więc zamieniliśmy tylko kilka słów. Powiedział mi, że już nie pracuje w banku, a ja oświadczyłam, że mam dla niego propozycję. Ponieważ następnego dnia leciałam na Barbados, uzgodniliśmy, że powinniśmy jak najszybciej porozmawiać. Pan Beaumont powiedział, że następnego dnia rano jedzie do Chichester, więc umówiliśmy się w hotelu Saint George w Arundel, jak napisałam w oświadczeniu.

Ty draniu! Wiedziałeś, że masz się z nią spotkać, ale nic mi nie powiedziałeś! Po prostu wyjechałeś bez słowa! Cóż, przyzwyczajenie to druga natura.

- W jakim nastroju był tego ranka pan Beaumont? Był pogodny, pełen optymizmu?

- Bardzo pogodny i rzeczywiście tryskał optymizmem. Naturalnie wiedziałam o jego problemach z Lloyd'em, wszyscy członkowie Klubu Żeglarskiego wiedzieli, co go spotkało. Współczuliśmy mu, gdy musiał sprzedać „Lizzie”, ale przecież nie on jeden. Wielu naszych przyjaciół przeżywało podobne trudności. Zawsze wydawało mi się, że Simon przyjmował to wszystko lepiej niż inni, był tak wielkim optymistą i...

Dalej, dalej, Felicity Parker Jones! Jest nieźle, naprawdę nam pomagasz! Kto wie, może nawet wybaczę wam obojgu.

- Wróćmy do tej propozycji. Zechciałaby pani dokładniej ją opisać?

- Tak, oczywiście! Mam dwa jachty, jeden trzymam na Barbados, to mała jednostka, i drugi, znacznie większy, którego współwłaścicielem jest mój ojciec. Zawsze startuje na nim w Regatach Atlantyckich.

- Co to takiego, jeśli można wiedzieć?

- Wyścig, który zaczyna się na Wyspach Kanaryjskich, a kończy na wyspie Saint Lucia.

- Rozumiem... Długa trasa, prawda?

- Tak. Regaty trwają od dwóch tygodni do miesiąca. To wielka impreza, startują w niej jednostki wszelkiej wyporności, od dziewięciu metrów długości do dwudziestometrowych. Bardzo ekscytujący wyścig, któremu towarzyszy mnóstwo dobrej zabawy. Tak czy inaczej, szukaliśmy czwartego członka załogi i zapytałam Simona Beaumonta, czy miałby ochotę do nas dołączyć.

- Proszę opowiedzieć nam coś więcej o tych regatach. Kiedy się odbywają?

- W listopadzie.

- I jest to ważna impreza w kalendarzu żeglarskim?

- Bardzo ważna.

- Niebezpieczna?

- Jak to żeglowanie, czasami bywa ryzykowne, kiedy indziej absolutnie bezpieczne. Wszystko zależy od pogody.

- Rozumiem. Jaka byłaby typowa reakcja żeglarza na zaproszenie do udziału w takim wyścigu?

- Mogę chyba śmiało powiedzieć, że większość entuzjastów tego sportu byłaby zachwycona.

- Czy pan Beaumont był zachwycony?

- Ogromnie! Powiedział, że teraz ma motywację do dalszego działania, do walki z tymi cholernymi ludźmi z Lloyd'sa, i tak dalej. Tak... ale...

- Ale?

- Dodał, że musi omówić to z żoną, że zrobi to wieczorem i od razu da mi znać.

- Czy powiedział coś jeszcze?

Lucinda z całej siły zacisnęła palce na dłoni Blue; Flora na rękę Colina; Annabel chwyciła dłoń matki. Fiona Broadhurst złożyła ręce jak do modlitwy, Catherine przygryzła wargę tak mocno, że jeszcze długo potem była opuchnięta. Oczy wszystkich utkwione były w twarzy Felicity Parker Jones.

- Powiedział, że jest jedna rzecz, która może okazać się ważna w obliczu tego, że wyścig jest potencjalnie niebezpieczny - jego polisa ubezpieczeniowa na życie. Zdawał sobie sprawę, że będzie musiał sprawdzić, czy w razie czego pieniądze na pewno przypadną jego bliskim, że nie wpadną w ręce Lloyd'sa. Powiedział, że musi przekazać wszystkie szczegóły żonie i że postara się zrobić to jak najprędzej, żeby mieć to z głowy.

Pół godziny później doktor Holden zakończył podsumowanie sprawy, spojrział na Elizabeth i uśmiechnął się krótko.

- Zgodnie z dowodami, które mam przed sobą, ponad wszelką wątpliwość orzekam, że śmierć Simona Beaumonta była dziełem przypadku - powiedział.

Elizabeth wybuchnęła płaczem.

Znacznie, znacznie później, kiedy wyczerpana, lecz zadowolona Elizabeth położyła się spać, Toby wyszedł gdzieś z przyjaciółmi, Tilly z przyjaciółkami, telefon wreszcie przestał dzwonić i Annabel spokoj-

nie usiadła w kuchni, starając się skupić uwagę na bardzo nudnym starym filmie i zastanawiając się, czy kiedykolwiek będzie jeszcze naprawdę szczęśliwa panującą w domu przyjemną ciszę zakłóciło pukanie do drzwi. Annabel, pewna, że to Tilly, która znowu zapomniała klucza, co zdarzało jej się bardzo często, zerwała się z krzesła i z irytacją szarpnęła klamkę.

- Co za idiotyzm, naprawdę! - rzuciła, otwierając drzwi.

- Dobrze wiem, że jestem idiotą - odezwał się pokorny głos.

Tyle tylko, że nie była to Tilly. W progu, na oświetlonym ganku, stał Jamie. Jamie, trochę blady, ale bardzo zdeterminowany.

- Pozwolisz mi wejść? - zapytał. - Muszę z tobą porozmawiać. Annabel stała nieruchomo, nie wierząc własnym oczom.

- Wyprowadziłem się z Bostonu - powiedział Jamie. - Zostawiłem firmę Cartwright & Partners. Wyjaśniłem ojcu, że jeśli praca w rodzinnej firmie oznacza tkwienie w gorsecie sposobu myślenia rodem z lat pięćdziesiątych, to nie chcę tego. Mogę przecież pracować tutaj, na miłość boską! Kocham cię i chcę, żebyś pracowała, jeśli czujesz taką potrzebę, i chcę się z tobą ożenić. Jeżeli to jeszcze możliwe.

I Annabel, zdumiona i głęboko wzruszona tą manifestacją odwagi oraz determinacji, a przede wszystkim miłości, wyjąkała, że oczywiście jest to możliwe i żeby wszedł do środka.

- Powiedziałem ojcu, że chcę tylko wyjechać do Londynu na rok albo trochę więcej, żebyśmy mogli pobyć razem i ułożyć sobie życie, że nie widzę żadnego powodu, aby tego nie robić, bo przecież działanie firmy nie zależy od mojej obecności, i że ty też musisz brać pod uwagę swoją pracę. Na to odparł, że twoją pracą powinno być zajmowanie się mną, naszymi dziećmi i domem, rzecz jasna, a ja powiedziałem, że ty czujesz, że możesz zajmować się tym wszystkim i pracować, a wtedy ojciec oświadczył, że nie chce mieć w rodzinie osoby, która prezentuje taki sposób myślenia. Więc powiedziałem, że i tak jadę do ciebie, na tydzień czy coś w tym rodzaju, że musimy porozmawiać. Tata wpadł w furję i zaczął krzyczeć, że nie życzy sobie, żebym wracał do pracy w firmie.

- Ale jednak wyjechałeś.

- No, tak - powiedział twardo Jamie.

Annabel pomyślała, że nikt, kto nie spędził pewnego czasu z Cartwrightami, nie może mieć pojęcia, jak wielkiej odwagi wymagał taki krok. Uświadomiła też sobie, jak bardzo Jamie musi ją kochać.

- Och, Jamie. Bardzo, bardzo cię kocham! I jestem pewna, że twój ojciec wcale tak naprawdę nie myślał, a jeżeli nawet tak, to znam tuzin firm, które bardzo chętnie cię przyjmą! Mama zna mnóstwo prawników!

- Naprawdę?

- Naprawdę! Opowiem ci teraz, co stało się dziś w czasie przesłuchań świadków w sprawie śmierci mojego taty. Było to niesamowite.

- O, Boże - westchnął Jamie. - Zapomniałem o tym, strasznie cię przepraszam.

- Nie przepraszaj, tylko słuchaj...



# EPILOG

*MAJ 1991*

Była najpiękniejszą, najbardziej zachwycającą panną młodą na świecie. Wszyscy tak mówili. Błogosławieństwo było cudowne, co wszyscy także zgodnie potwierdzili. A ona przeszła środkiem nawy w obłoku białego jedwabiu, różowych róż i szczęścia, aby dołączyć do narzeczonego, którego widok panny młodej poruszył tak głęboko, że wyszedł na jej spotkanie.

Państwu młodemu towarzyszyła wyjątkowo duża grupka druhen i paziów, złożona z siostrzenic i siostrzeńców panny młodej oraz dzieci przyjaciół, żadne z nich nie było jednak tak podniecone i dumne jak Caroline Morgan, która, usłyszawszy, że przypadł jej w udziale tak wielki zaszczyt, upuściła szklanekę z kolorowym napojem na dziewiczo biały dywan swojej babci. Matka Caroline zauważyła ze smutkiem, że najwyraźniej mała odziedziczyła po niej nie tylko geny odpowiedzialne za brązowe oczy i włosy, ale też to, że jej śliczne rączki, także odziedziczone po matce, miały pewnie upuścić jeszcze nie jeden przedmiot.

Główna druhá, panna Molly Rose Horton, nie bardzo była jeszcze w stanie sprostać swoim obowiązkom i z całą pewnością nie podbiła serca drużby, ale wyglądała absolutnie zachwycająco, trzymana na rękach przez

Catherine Morgan, która asystowała przecież przy jej przyjściu na świat. Panna Molly, ubrana w sukieneczkę z tego samego materiału co suknia matki, uszytą mniej więcej w tym samym stylu, raczyła zgromadzonych uroczymi, bezzębnymi uśmiechami i wytrzeszczając ze zdziwienia duże niebieskie oczy, przyglądała się, jak jej rodzice wymieniają małżeńską przysięgę.

Matka panny młodej uśmiechała się łaskawie do zgromadzonych, opierając się na ramieniu najmłodszego syna, następnie wsparła się na ramieniu męża, który poprowadził córkę do ołtarza. Goście byli wyraźnie podzieleni - strona panny młodej pohukiwała, jak określił to później Blue, natomiast strona pana młodego pokrzykiwała. W gruncie rzeczy jedyna zauważalna różnica polegała jednak na tym, że garnitury po lewej stronie były znacznie starsze i bardziej zniszczone niż te po prawej.

Lucinda starannie wybrała hymny, które wszyscy znali.

- Zupełnie jakbyśmy słuchali rajskich pieśni - mruknęła pani Worthington do starszej córki.

Państwo młodzi wyszli z kościoła uśmiechnięci i pełni tak oczywistej radości, że nawet pan Worthington nie mógł się nie uśmiechnąć. Blue niósł na rękach Molly Rose, która tak bardzo wczuła się w radosny nastrój uroczystości, że wykonała swoją najświeższą sztuczkę, to znaczy pomachała wszystkim obecnym, wielce zadowolona, że wszyscy niezwłocznie zrobili to samo.

Pan Worthington nie miał nic przeciwko temu, że na jego ramieniu wsparła się teraz pani Horton, ładna kobieta ubrana w rozmaite odcienie różu, w spódniczce wystarczająco krótkiej, aby odsłonić naprawdę niezłe nogi. Pani Worthington, w dość ciężkiej granatowej kreacji, wyglądała znacznie mniej atrakcyjnie; ostrożnie przyjęła ramię pana Hortona, jakby się obawiała, że jest to jadowity wąż, ale kiedy

ojciec pana młodego wyznał jej szeptem, że jego zdaniem Lucinda jest ogromnie podobna do mamusi („Niech Bóg wybaczy mi to kłamstwo!” - powiedział później do żony), łaskawie skłoniła głowę i zaczęła uśmiechać się prawie tak szeroko jak Molly Rose.

\* \* \*

Przyjęcie weselne odbyło się w nowym domu Hortonów, dużej i imponującej willi w St George Hill w hrabstwie Surrey; Lucindzie udało się odwieść Blue od zamiaru kupna domu w Chichester, zorientowała się jednak, że jeśli nie pójdzie na kompromis, szybko może znowu stać się osobą niezamężną, z westchnieniem pożegnała się więc z wizją pięknego, stylowego domu w Londynie.

Willa, nosząca nazwę „Żywopłoty” ze względu na otaczające wspaniałe, wysokie i gęste żywopłoty z buczyny, była jedną z najlepszych rezydencji w St George i chlubiła się nie tylko basenem, trzyakrowym ogrodem oraz sześcioma sypialniami z łazienkami, ale również „małą salą balową”, jak opisał to pracownik agencji sprzedaży nieruchomości. Powiększona o przestrzeń pod dużą markizą, pomieściła wszystkich gości, których było dokładnie dwustu pięćdziesięciu.

Flora przyjechała z Colinem i bawiła się wyśmienicie. Miała na sobie jedwabną suknię w bardzo ciemnym odcieniu błękitu, z haftowanym żakietem z czerwonego jedwabiu, w czerwonym kapeluszu z piórami, którego nie powstydziałaby się sama Królowa Wdowa, oraz wysokie buty na bardzo wysokim obcasie. Colin wybrał elegancki garnitur, może nie tak nowy, jakby sobie tego życzył, lecz szykowny. Chciał uszyć garnitur na tę okazję, ale Flora mu to wyperswadowała.

- Ten jest bardzo ładny - powiedziała, wskazując strój wiszący w garderobie, gdzie Colin zaprosił ją, aby omówić całą kwestię. - Po co miałbyś kupować nowy?

Colin odparł, że wspomniany garnitur ma co najmniej sto lat, i że jego zdaniem impreza wymaga czegoś wyjątkowego, jak to określił; ostatnio był na ślubie, gdzie jeden z gości miał klapy marynarki obzycie materiałem w jaśniejszym odcieniu, takim jak spodnie. Flora miała nadzieję, że Colin nie zauważył dreszczu obrzydzenia, który nią wstrząsnął, i powtórzyła, że ten garnitur wydaje jej się absolutnie satysfakcjonujący i że demonstracje szyku lepiej zostawić rodzinie panny młodej. Colin zgodził się, aczkolwiek niechętnie, i oświadczył, że w takim razie sprawi sobie przynajmniej nowy cylinder, co brzmiało całkowicie bezpiecznie, dopóki Flora nie zobaczyła ciemnoczerwonej otoczki, dopasowanej kolorem do spodni.

W drodze na ceremonię zjedli bardzo przyjemny lunch i Flora odrobinę się wstawiła. Ten fakt, w połączeniu ze słońcem i nastrojem dnia oraz jej własnym nowym szczęściem, nagle wzbudził w niej tak wielką odwagę, że pocałowała Colina.

- Wyglądasz bardzo, bardzo elegancko - powiedziała. - Jesteś naprawdę przystojny.

- Dziękuję! - odparł. - A ty wyglądasz po prostu pięknie! Musisz zabrać ten strój do Salzburga, to już niedługo.

- Rzeczywiście - przyznała. - Właśnie, chciałam ci coś powiedzieć...

- Taaak? - Colin spojrzał na nią ostrożnie. Uśmiechnęła się i znowu go pocałowała.

- Wszystko w porządku. Chciałam tylko zapytać, czy nie mógłbyś trochę zmienić rezerwacji.

- Spróbuję - powiedział. - Na czym miałyby polegać ta zmiana?

Flora popatrzyła na niego z uśmiechem i doszła do wniosku, że nawet ten cylinder nie jest taki zły.

- Wolałabym, żebyśmy nie mieli osobnych pokojów - oznajmiła. - Jeśli ci to nie przeszkadza, oczywiście.

Annabel Beaumont przyciągała uwagę wszystkich. Ubrana w prostą sukienkę z jasnoblękitnego jedwabiu, bez ramiączek, w srebrzystych sandałkach na niebotycznych obcasach, z włosami uczesanymi w wodospad loków, wyglądała prawie tak zachwycająco jak panna młoda. Kiedy przyjmująca życzenia Lucinda uściskała Annabel, szepnęła jej nawet do ucha, że czuje się przy niej jak stara krowa.

- Co ty wygadujesz, Lucindo! - oburzyła się Annabel. - Wyglądasz na siedemnastolatkę, prawda, Jamie? Lucindo, to mój narzeczony, Jamie Cartwright.

- Och, jak się cieszę! - zawołała Lucinda. - Blue, to Jamie, zachwycająco przystojny narzeczony Annabel, prawnik ze Stanów! Szczęściara z ciebie, moja droga, gdybym ja wyszła za prawnika, oszczędziłabym sobie wielu kłopotów.

Jamie pocałował Lucindę w rękę i potrzęsnał dłonią Blue, mówiąc, jak to miło z ich strony, że zaprosili go na swój ślub. Annabel nie po raz pierwszy pomyślała, że Jamie jest absolutnie czarujący i chyba trochę podobny do jej ojca.

Jamie pozostał współnikiem w firmie Cartwright & Partners, ale miał przenieść się na rok do Londynu i pracować w Lincoln's Inn, z którą Cartwrightowie dawno podpisali umowę. Razem z Annabel ustalili, że dopiero po tym okresie zdecydują, gdzie chcieliby osiąść na stałe.

Naturalnie nie obyło się bez trudności.

Elizabeth zdołała nie okazać zaskoczenia z racji obecności Jamiego w jej domu, którą to obecność odkryła następnego dnia i serdecznie przywitała niespodziewanego gościa, przez dwadzieścia cztery godziny nie komentując faktu pojawienia się narzeczonego córki. Później, kiedy dowiedziała się, że Jamie i jego ojciec jednak się pogodzili, i że Jamie porozumiał się z rodziną w sprawie przeprowadzki do Londynu, odetchnęła z ulgą, przekonana, że teraz Annabel raczej nie grozi już dominacja ze strony klanu Cartwrightów.

- Stary Cartwright powiedział, że, jego zdaniem, Jamie będzie doskonałym prawnikiem, skoro zachował zimną krew w trudnej sytuacji - wyjaśniła jej Annabel. - I Jamie podejmie pracę w jakiejś firmie, w której wszyscy współnicy są jego bliskimi przyjaciółmi.

- To świetnie - powiedziała ostrożnie Elizabeth. - Bardzo się cieszę! Chciałabym tylko uświadomić ci, kochanie, że ty też musisz pójść na pewne ustępstwa.

- Uważasz, że jestem głupia, czy coś w tym rodzaju, mamó? - obruszyła się Annabel. - Oczywiście, że pójdę na ustępstwa!

I dodała, że jeśli Jamie uważa, że ona przeprowadzi się do Bostonu teraz, kiedy dostała pracę w salonie Floriana, to powinien szybko zmienić zdanie.

- Annabel! - W tonie Elizabeth zabrzmiała ostrzegawcza nuta.

Annabel pośpiesznie spuściła wzrok.

- No, w każdym razie do ślubu może wybić to sobie z głowy! - dała wyraz swojej skłonności do kompromisowych rozwiązań.

Teraz Jamie przyjechał na rok do Londynu i szukali mieszkania.

- Gdzieś bardzo, bardzo blisko, mamusiu! Nie musisz się martwić!

- Nie martwię się - odparła Elizabeth.

Pomyślała, że dość dokładnie przewidziała taki rozwój sytuacji. Zdawała sobie sprawę, że kiedy już zgodzi się urodzić dziecko, życie Annabel okaże się dla niej ważniejsze od życia matki, i że właśnie tego chciała.

Elizabeth nie było na ślubie ani na weselu. Oczywiście została zaproszona, ale ponieważ dziewiąty miesiąc ciąży powoli zbliżał się do końca, powiedziała, że Lucinda na pewno zrozumie ją i wybaczy nieobecność.

Z każdym dniem czuła się szczęśliwsza, silniejsza, bardziej zdolna poradzić sobie ze skomplikowaną przyszłością. Znalazła nianię, solidną dziewczynę ze Szkocji o imieniu Tess, która powinna świetnie dopasować się do życia rodziny. Nie bez znaczenia było to, że Tess okazała się bardzo ładna i Toby w pełni ją zaakceptował. Za namową Elizabeth, pierwszą rozmowę z Tess odbyli wszyscy czworo razem; Tess bardzo się to spodobało - wyznała, że zawsze spodziewa się kłopotów, kiedy rozmawia z nią tylko matka dziecka.

Nie było także Nigela. Lucinda wiedziała, że nie przyjdzie i wcale tego nie pragnęła, uważała jednak, że poczuje się urażony, jeśli nie zostanie zaproszony i dlatego wysłała mu jeden z bogato zdobionych kartoników. Nigel popatrzył na niego lekko zażawionymi oczami, zastanawiając się, jak to możliwe, że ktoś taki jak Lucinda ozdabia teraz zaproszenie na ślub różowymi wstążeczkami, ale poczuł się trochę lepiej i bez wahania wrzucił kopertę z zawartością do kominka. Zamówił dwa drzewka laurowe na prezent, który miał zostać dostarczony do domu państwa młodych w dniu ślubu, a potem ze zdumiewającą łatwością popatrzył na swoją przeszłość z dużej perspektywy.

Przypuszczał, że Catherine będzie na ślubie i weselu, no, chyba że jednak zdecydowałyby się zostać w Somerset z tym facetem. Gdyby Nigel trochę mniej bał się odrzucenia, pewnie spróbowałby skontaktować się z Catherine, ale wszystko to razem mocno go przygnębiło. Zaczął się zastanawiać, co zrobić z tym dniem, i ostatecznie postanowił zostać w Londynie. Miał obejrzeć kilka domów, ze szczególnym uwzględnieniem jednego, bardzo ładnego, przy Ovington Street. Uznał, że zje też obiad w klubie. Dzień jakoś minie, a potem... No, właśnie, co potem? Starokawalerskie życie aż do śmierci, na to wyglądało. Cóż, zdarzają się przecież gorsze rzeczy. Tyle dobrego, że będzie mógł robić, co zechce.

Toby był na ślubie i nie mógł się doczekać uroczystego śniadania w rezydencji państwa młodych, ponieważ Fallon miała przyjechać, żeby pomóc w kuchni. Lucinda powiedziała Tilly, że może przyprowadzić przyjaciół, jeśli chce i Tilly zaprosiła Fallon i Madison, lecz ta ostatnia, i tak bardzo nieśmiała, odparła, że nie chce narażać się na tak straszne pokusy. Za namową Tilly Madison wstąpiła do klubu Weight

Watchers i straciła już osiem kilogramów. Fallon oświadczyła, że czułaby się jak mała na jarmarku, chyba że Tilly znajdzie jej coś konkretnego do roboty; gdy okazało się, że firmie organizującej przyjęcie brakuje dwóch osób do pomocy w kuchni, Tilly zgłosiła Fallon.

- Może uda nam się trochę potańczyć bopa wieczorem - zauważyła z nadzieją.

- Akurat! - odparła Fallon. - A już na pewno nie z tym twoim bratem, który pewnie robi z siebie pośmiewisko na parkiecie!

Tilly odrobinę sztywno upomniała ją, aby nie wyrażała się tak nieuprzejmie, a Fallon, która szczerze uwielbiała Tilly, powiedziała, że przecież tylko żartuje i że jej zdaniem Toby jest całkiem przystojny, i gdyby tylko trochę wrzucił na luz i nauczył się mówić jak człowiek, byłby nawet do przyjęcia.

Debbie i Richard nie byli na przyjęciu, ponieważ prawie nie znali Lucindy. Zresztą Debbie i tak nie mogłaby przyjechać, bo ślub był w piątek, a w piątki Debbie pisała teksty dla „Daily News”.

Przed wyjazdem do Nowego Jorku Joel zrobił dla Debbie coś wspianiałego; zaprosił Nicky Holt na lunch i zapytał, czy przypadkiem ona „albo któryś z twoich kumpli w tym głupim biznesie” nie mogliby dać Debbie szansy.

- Debbie Fielding pracuje w reklamie - oświadczyła zimno Nicky. - Masz na nią ochotę, Joel, czy co?

Joel zdecydowanie zaprzeczył.

- Debbie całkiem nieźle pisze, jest zabawna i szuka nowego zajęcia. Proszę cię, Nicky! Kiedy następnym razem przyjedziesz do Nowego Jorku, postawię ci kolację w hotelu Pierre!

- Ona naprawdę ci się podoba, prawda? - zaciekała się Nicky. - Dobra, pomyślę o tym. Teraz co tydzień mamy przeprowadzać sondaż rozmaitych produktów, co ty na to?

- Świetny pomysł - pokiwał głową Joel.

I tak Debbie, której jakimś cudem udawało się funkcjonować mniej więcej normalnie, chociaż ciągle miała wrażenie, że zaraz oszaleje, pewnego ranka odebrała telefon od Nicky i zaproszenie do składu sędziowskiego, orzekającego wartość produktów.

- Co tydzień tylko dwieście słów - powiedziała Nicky. - Chcesz spróbować?

- Jasne - odparła Debbie. - Z przyjemnością!

W ciągu czterech tygodni jej dwieście słów, dowcipniejszych i lepiej napisanych niż inne, wywarło tak wielkie wrażenie na Nicky, że zaproponowała

Debbie rozszerzenie testowania na różne kluby fitness oraz spa, „i takie tam różne”.

Teraz Debbie przygotowywała cały przegląd takich miejsc, długą kolumnę w poniedziałkowym wydaniu „Daily News”. Zjawiała się w klubach incognito, spędzała tam cały dzień i pisała teksty tak rzeczowe i dobrze opracowane, że szybko dorobiła się wielu fanów, którzy stale przysyłali jej swoje spostrzeżenia oraz wyrazy uznania. Nic nie mogło ukoić jej bólu, złagodzić uczucia samotności oraz przywrócić optymizmu szybciej niż ta kolumna. Teraz mogła nawet całkiem spokojnie słuchać, jak Richard wylicza cnoty cudownej Morag, i wcale nie chciało jej się wrzeszczeć.

Najlepsze ze wszystkiego było to, że kiedy wiosną przeniosła się do Szkocji, mogła dalej pisać. Jedną noc w tygodniu musiała spędzać poza domem, ale wcale jej to nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie. Powiedziała Richardowi, że przynajmniej tyle może chyba dla niej zrobić, a on zgodził się bez sprzeciwu, ku jej sporemu zdumieniu. Przyszło jej do głowy, że pewnie coś wspólnego ma z tym Flora, jej najnowsza i największa sojuszniczka, i chyba miała rację.

Tęskniła za Joelem dziko, do bólu i nadal płakała co najmniej raz dziennie; dalej budziła się rano z głową pełną snów o nim, ale jakoś jednak żyła. Pierwsze okropne dni, kiedy ból porażał ją swą intensywnością, w końcu minęły. Od czasu do czasu potrafiła się nawet cieszyć dziećmi, pracą, perspektywą urzędowania pięknego nowego domu. I czuła, że kiedyś znowu będzie szczęśliwa.

Kiedy Annabel wychodziła z domu na ślub, Elizabeth nie powiedziała jej, że męczy ją potworny ból głowy; gdy Tilly przybiegła ucałować ją na pożegnanie, nie wspomniała, że czuje się bardzo słabo i oczywiście nie wspomniała o tym Toby'emu. Wiedziała, że gdyby to zrobiła, wszyscy troje w żadnym razie nie zgodziliby się zostawić jej samej w domu. Jednak zaraz po ich wyjściu, czyli dopiero po dwunastej w południe, ponieważ każde miało mnóstwo do zrobienia, a najwięcej chyba Annabel, która pomagała Florianowi ułożyć fryzurę panny młodej, zadzwoniła do swego ginekologa, doktora Taylora, i powiedziała mu, co jej dolega. Nie minęło pół godziny, a już jechała prywatną karetką do szpitala Księżnej Diany, gdzie czekał na nią niepokojąco liczny komitet powitalny pod kierownictwem wyraźnie zatroskanego doktora Taylora.

- Wydaje mi się, że czas pomóc dziecku wydostać się na świat - oświadczył spokojnie, zmierzwiwszy ciśnienie Elizabeth oraz tętno jej i dziecka. - Ma pani stanowczo za wysokie ciśnienie krwi, do terminu porodu zostały już tylko dwa tygodnie i nie widzę żadnego powodu, aby dalej panią męczyć. Zrobimy cesarskie cięcie, nie ma co tracić czasu.

- O, Boże... - jęknęła Elizabeth, czując, jak strach całkiem dosłownie ściska jej serce lodowatą dłonią i tęskniąc za Simonem bardziej niż kiedykolwiek dotąd. - Panie doktorze, czy wszystko będzie w porządku?

- Oczywiście! - odparł lekarz. - Rytm serca dziecka jest bardzo mocny, maluch po prostu chce wreszcie wyrwać się na świat. Proszę się uspokoić, najpierw postaram się obniżyć pani trochę ciśnienie, a cesarskie zrobię późnym popołudniem. Nie jadła pani lunchu, prawda?

- Nie, tylko śniadanie... I filiżankę herbaty koło... Koło pierwszej... - Nagle zrobiło jej się sucho w ustach, zaczęła gwałtownie dygotać, zęby jej zaszczękały. - Ja... Chcę...

Rozplakała się, w pełni świadoma, że nie może mieć tego, czego tak pragnęła, czego pragnie każda rodząca kobieta - obecności i bliskości męża.

Doktor Taylor zachował się wspaniale. Usiadł obok niej i łagodnie ujął ją za rękę.

- Wszystko będzie dobrze, Elizabeth, proszę mi wierzyć - powiedział. - Nic pani nie grozi i dziecku również. Czy jest ktoś, kogo chciałaby pani mieć teraz przy sobie, kto mógłby przyjść i posiedzieć tu trochę z panią?

- Nie - odparła Elizabeth i rozpląkała się jeszcze żałośniej, ponieważ to jedno słowo tak dobitnie i bezlitośnie określało jej samotność. - Wszystkie dzieci są na ślubie przyjaciółki, nie chcę psuć im dnia.

Doktor Taylor popatrzył na nią i uśmiechnął się.

- Elizabeth Beaumont, jesteś zawodnikiem najwyższej światowej klasy - rzekł. - Trudno, będzie pani musiała zadowolić się moim towarzystwem!

Nigel zamierzał właśnie wziąć kąpiel, kiedy zadzwonił ktoś z kwiaciarni. Okazało się, że zamówione przez niego dwa laurowe drzewka, które miały po południu dotrzeć do Weybridge, nie zostały dostarczone.

- Więć proszę zrobić to teraz! - polecił.

W odpowiedzi usłyszał, że, niestety, to niewykonalne, ponieważ wszyscy zatrudnieni w kwiaciarni kierowcy rozjechali się już do domów. Czy w tej sytuacji drzewka można dostarczyć rano? Nigel już miał się zgodzić, lecz nagle uświadomił sobie, że woli, aby jednak dotarły do Waybridge jeszcze tego dnia; wcześniej wyobrażał je sobie nawet, stojące po obu stronach wejścia pod płócienny namiot i napisał o tym w liście do Lucindy. Chciał zaznaczyć w ten sposób swoją obecność na weselnym przyjęciu, duchową, rzecz jasna, i teraz pomyślał, że przecież może dowieźć drzewka sam, i że zajmie mu to najwyżej godzinę. Nie będzie wchodził, w żaden sposób nie zasygnalizuje, że jest na miejscu, dostarczy tylko drzewka i odjedzie. I kiedy drzewka przyjechały taksówką, w kwadratowych białych drewnianych donicach, przystrojone dużymi białymi kokardami („Można by je zdjąć, są trochę wulgarne”, zwierzył się Nigel absolutnie niezainteresowanemu taksówkarzowi), postawił je na tylnym siedzeniu swojego volva i ruszył w drogę do Weybridge.

Catherine nie była pewna, czy dobrze się bawi, czy też nie. Oczywiście wszystko zostało wspaniale przygotowane, Lucinda wyglądała cudownie, podobnie jak ogród, dom i namiot z wielką markizą, kwartet smyczkowy grał fantastycznie, wszyscy byli dla niej bardzo mili, a Caroline i Freddie zachowywali się wzorowo (no, może w tej chwili trochę mniej wzorowo, bo z dzikim wrzaskiem uganiaли się po ogrodzie z siostrzeńcami i siostrzenicami Lucindy), nie zmieniało to jednak faktu, że czuła się bardzo samotna. Znowu.

Aura weselnego przyjęcia jeszcze podkreślała tę smutną świadomość. Wszyscy goście przybyli parami, nie tylko ci młodzi, i w połowie przyjęcia, zanim usiedli do stołu, Catherine poczuła, że oczy pieką ją od łez i postanowiła przespacerować się po ogrodzie. Dość bezradnie rozglądała się w poszukiwaniu Freddiego i Caroline, i oczywiście nie patrzyła, gdzie idzie, więc w głównej alejce wpadła na jednego z kelnerów, niosącego tacę pełną kieliszków z winem.

Spojrzała na swoją jasnoróżową garsonkę, teraz poplamioną czerwonym winem, z trudem powstrzymała szloch i uciekła do pokoju, w którym poprawiała makijaż. Musiała się przebrać; na szczęście miała ze sobą lnianą sukienkę, raczej mało odświętną i trochę pogniecioną, ale przynajmniej niepoplamioną i nie cuchnącą jak sklep monopolowy.

Włożyła sukienkę, starając się pozytywnie patrzeć na świat - gdyby teraz zaczęła uważać się nad sobą, byłoby po wszystkim - i właśnie sięgała po szminkę, kiedy na podjeździe zauważyła auto zdumiewająco podobne do volva Nigela. Po paru sekundach przekonała się, że jest to volvo Nigela, bo zobaczyła właściciela wozu we własnej osobie, który wyładowywał z tylnego siedzenia laurowe drzewka w dużych donicach, najpierw jedno, potem drugie, i podawał je człowiekowi pilnującemu bramy.

Zauważyła, że Nigel kilka razy tęsknie zerknął na dom, że jest sam, tak jak ona, ubrany nie w weselny strój, ale zupełnie codzienny, również jak ona, i w jednej chwili z całą jasnością dotarło do niej, co musi zrobić. Podbiegła do okna, wychyliła się i pomachała obiema rękami.

- Nigel! - zawołała. - Nigel, zaczekaj!

Nie usłyszał.

Wypadła z pokoju, zbiegła po schodach i w jednej chwili była przy bramie, ale volvo już odjeżdżało, już zniknęło za zakrętem wysadzanym drzewami drogi.

- Nigel, nie - jęknęła. - Och, Boże...

I ponieważ nie mogła już tego wszystkie znieść, przykucnęła na środku drogi i rozpłakała się, zasłaniając głowę ramionami.

- Catherine? - usłyszała nagle. - Catherine, to ty?

Najwyraźniej Nigel musiał cofnąć się od zakrętu, bo gdy podniosła głowę, wychylał się z okna samochodu, z bardzo zatroskaną twarzą.

- Tak, tak, to ja - potwierdziła, kompletnie ogłupiała ze smutku i ulgi.

Nigel wysiadł, podszedł do niej, przykucnął obok i otoczył ją ramieniem.

- Co się stało? - zapytał. - Co ci jest?

Dopiero wtedy rozpłakała się naprawdę, szlochając na cały głos, a on pomógł jej się podnieść, doprowadził do samochodu, posadził na miejscu obok kierowcy i powoli ruszył w dół drogi, oddalając się od ogarniętego weselną radością domu i pełnych ciekawości oczu.

- No, dobrze... - odezwał się, zjeżdżając na pobocze i wyłączając silnik. - Teraz powiedz mi, co się stało. Dzięki Bogu, że cię zauważyłem! Nie mogę znieść widoku twoich łez, Catherine, naprawdę nie mogę. Czy ktoś zrobił ci przykrość?

Catherine podniosła wzrok i zajrzała mu w twarz, jeszcze smutniejszą niż zwykle, i w błękitne, zatroskane oczy, i zrozumiała, że po prostu musi zadać mu pytanie, które tak leżało jej na sercu.

- Nigel, czy ty... - zaczęła. - Czy jesteś jeszcze zakochany w Lucindzie?

I usłyszała, że nie, dzięki Bogu, nie, już nie, chociaż Lucinda nadal jest bliska jego sercu, to chyba oczywiste.

- Bo widzisz - podjęła. - Wydaje mi się, że...

O, Boże, to wymagało odwagi, wielkiej odwagi, była przerażona, czuła się okropnie, idiotycznie, ale to była jej ostatnia szansa, wiedziała o tym i w żadnym razie nie chciała jej zmarnować.



- Wydaje mi się... To znaczy... Całkiem możliwe, że się w tobie zakochałam. A potem wszystko stało się bardzo proste.

Mniej więcej w tym samym czasie doktor Taylor delikatnie odgarniał włosy z twarzy Elizabeth, która powoli budziła się z narkozy, uśmiechał się do niej - przez głowę przebiegła mu nawet myśl, że może jest w niej odrobinę zakochany - i informował ją, że urodziła bardzo zdrowego, silnego i wyjątkowo hałaśliwego synka.

Bufet był wspaniały, mowy weselne bardzo zabawne, szczególnie mowa Charliego. Kiedy zaczęły się tańce, szef kelnerów podszedł do Lucindy, która gawędziła z kimś przy jednym ze stolików, i szepnął jej coś do ucha.

- O, mój Boże! - zawołała panna młoda i potoczyła dookoła dzikim wzrokiem.

Podbiegła do Toby'ego, który tańczył, faktycznie nie najlepiej, z olśniewająco piękną czarnoskórą dziewczyną, tańczącą o wiele lepiej od niego, rzecz jasna.

- Toby, Toby, urodziła! - wydyszała Lucinda. - Wasza mama urodziła dziecko, to chłopiec!

Z lekkim przerażeniem patrzyła potem, jak Toby nieruchomieje, jak jego twarz zastyga na kształt pozbawionej uczuć maski, i jak po chwili chłopak przygryza wargę, a jego błękitne oczy, tak podobne do oczu ojca, napętniają się łzami. Zaraz potem Toby wyrzucił w górę wyprostowaną rękę z zaciśniętą pięścią.

- Jeeest! - krzyknął.

Toby i Annabel podbiegły do niego i wszyscy troje stali na środku parkietu, mocno objęci, płacząc i się śmiejąc.

- Musimy do niej zaraz jechać! - powiedziała Annabel, ocierając oczy. - Czy ktoś mógłby zamówić nam taksówkę?

Szef kelnerów uśmiechnął się szeroko i obiecał, że zaraz się tym zajmie.

- Czy ktoś widział Catherine? - zagadnęła Lucinda, trochę jeszcze zapłakana ze wzruszenia, gdy młodzi Beaumontowie już odjechali. - Mam nadzieję, że nic jej się nie stało.

- Och, przepraszam! - obudziła się Caroline. - Mieliśmy ci powiedzieć! Pojechała na kolację z Nigelem, prosiła, żeby powiedzieć ci, że ma nadzieję, że ci to nie przeszkadza. Wróci później.

- Z Nigelem! - ucieszyła się szczerze Lucinda. - Boże, jak wspaniale!

- Kurka wodna, jeszcze jeden dramat i chyba pojedę do biura - powiedział Blue. - Tam mogę przynajmniej liczyć na trochę spokoju i ciszy.

Annabel, Toby i Tilly stali przy łóżku matki w szpitalu i uśmiechali się do niej przez ły.

- Nieźle sobie poradziliśmy, prawda? - odezwała się trochę sennie.

- Wspaniale, mamusiu! - powiedziała Annabel.

- Kochana jesteś! - oznajmiła Tilly.

- Dobra robota! - rzekł Toby. - Jestem naprawdę zadowolony. Pielęgniarka wniosła do pokoju nadal wrzeszczące dziecko.

- Obawiam się, że będzie dość hałaśliwym nowym członkiem rodziny. - Elizabeth uśmiechnęła się, biorąc małego w ramiona.

Przyglądali mu się długo, w radosnym osłupieniu.

- Tata byłby taki szczęśliwy - powiedziała w końcu Tilly, wyrażając uczucia ich wszystkich.

- Tak, byłby bardzo szczęśliwy! - przytaknęła Elizabeth zupełnie pogodnym tonem.

Parę minut później zostawili Elizabeth, bo była już mocno zmęczona, a dziecko nie mogło ułożyć się do snu, i obiecali, że wrócą rano.

- Wiecie co? - odezwała się Annabel, kiedy usiedli przy kuchennym stole, herbatą wznosząc toast za nowo narodzonego brata. - Z tego wszystkiego przyszła mi do głowy całkiem pozytywna myśl.

- Jaka? - zapytał Toby.

- Że ci okropni ludzie wcale nas nie pokonali, nikogo z nas... To nie oni wygrali, my wygraliśmy!

TLR